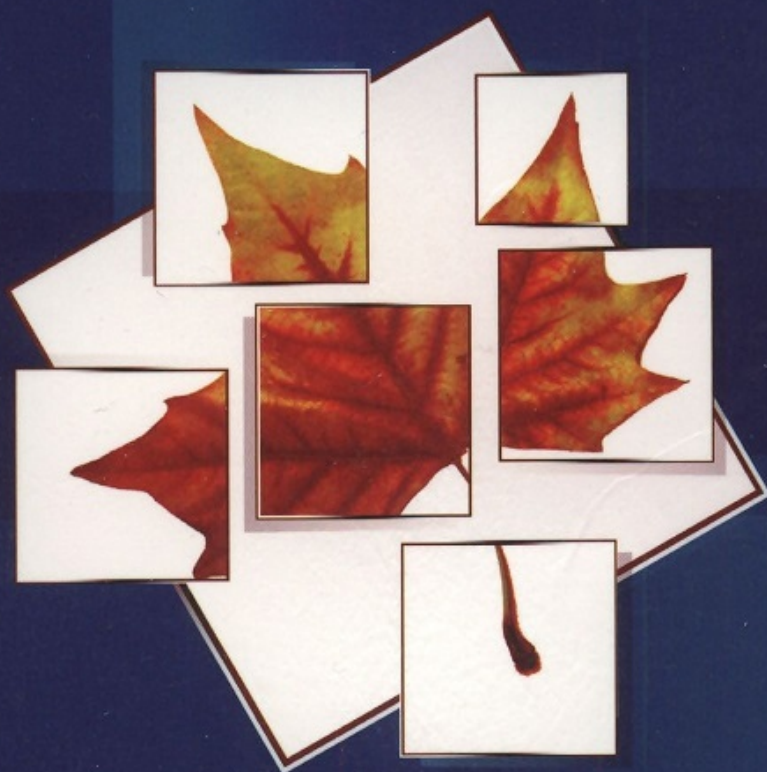


Updike
John

MIŁOSNE KAWAŁKI



DWANAŚCIE OPOWIADAŃ

ORAZ KONTYNUACJA
POWIEŚCI „UCIEKAJ, KRÓLIKU”

Redakcja Literacka Bellony

John Updike

MIŁOSNE KAWAŁKI

DWANAŚCIE OPOWIADAŃ
ORAZ
KONTYNUACJA POWIEŚCI
„UCIEKAJ KRÓLIKU”

Tłumaczyła z angielskiego
BARBARA CENDROWSKA

 **BELLONA**
Warszawa

One się urwały

Pierce Junction to miasteczko na pustkowiu w New Hampshire, któremu nieco splendoru przydawała mała uczelnia humanistyczna, a my jakoś dawaliśmy sobie radę dzięki temu, że trzymaliśmy się razem, niczym kłębowisko węży w pustynnej jaskini. Lata sześćdziesiąte uświadomiły nam wysoką wartość moralną kopulacji i niechętnie rezygnowaliśmy z zachowań tak przyjemnych i zdrowych zarazem. Ale nie da się przespać ze wszystkimi – byliśmy mieszcuchami, mieliśmy posady i dzieci, a romanse pochłaniały energię i wyniszczały nas. Nie umieliśmy jeszcze oddzielać emocji od seksu. Patrząc wstecz, obecnie przeciętny student w ciągu czterech lat osiąga znacznie lepsze wyniki. Z niektórymi kobietami w ogóle nie udało mi się przespać i one rysują się w mojej pamięci z przewrotną żywością, może dlatego, że dzięki sporadyczności naszych kontaktów w oślizgłym kłębowisku węży zdołały zachować wyrazistość.

– Wiesz, Martinie – odezwała się do mnie Audrey Lancaster podczas rejsu jachtem, wynajętym w Portsmouth pod koniec lata dla uczczenia czyichś czterdziestych urodzin – zrozumiałam wreszcie, dlaczego tak o tobie mówią. – „Wreszcie” to swego rodzaju przytyk, a mówiły zapewne kobiety. Zastanawiałem się, o czym też opowiadają sobie żony i rozwódki z naszego grona. Stałem oparty o barierkę, chwilowo sam, rozanielony kalifornijskim chablis, patrząc na migotliwe odbłaski świateł nabrzeża w Piscataqua River. Jacht, chybcząc się, podpływał do przystani przy akompaniamencie Simona i Garfunkela, których zawodzenia niosły się z głośnika w ciepłą, wilgotną noc.

Moja żona na przednim pokładzie tańczyła wolny taniec ze swym kochankiem, Frankiem Greerem. Gdy Audrey pojawiła się koło mnie, objąłem ją w talii, jakbyśmy również mieli zatańczyć. Nie cofałem ręki i, jak z postrzępionego przewodu dochodzi lekkie brzęczenie, tak od krągłości jej pośladka przeszedł mnie prąd w dłoni i w palcach. Był z niej kawał kobiety, o gładkiej cerze i tak krótkowzrocznej, że sunęła jak czołg na swych platfusowatych stopach, jakby coś, czego dobrze nie widziała, miało ją przewrócić. Ciągłe gubiła szkła kontaktowe, na czymś trawniku albo za gałkami ocznymi. Wcześniej wyszła za mąż i była nieco młodsza od reszty z nas. Nie można było nie kochać Audrey, gdy widziało się ją na korcie tenisowym w postrzępionych, obciętych džinsach, z których wystawały silne, opalone nogi. Z krzywym uśmiechem od ucha do ucha robiła zamach i zupełnie nie trafiała w piłkę. Jej talia, w bawełnianym letnim stroju, była gładka w dotyku i gibka i, owszem, po raz pierwszy, odkąd się znaliśmy, wyczułem w niej partnerkę do łóżka, pasujący do mnie kawałek kosmicznej układanki.

Ale czułem też, że, zasadniczo, wcale jej nie obchodzę, nie na tyle, by odważyła się na

całe ryzyko, nieodłącznie związane z cudzołóstwem, przyływy poczucia winy, wykańczające porywy namiętności. Nie ufała mi, tak jak nie ufa się rywalowi. Oboje weszliśmy w role klaunów, ubiegających się o tytuł klasowego wesołka. Co więcej, Audrey była zajęta, i to podwójnie: nie dość, że miała męża, o przywisku Szpic, a także czwórkę dzieci, co stanowiło normę dla naszego pokolenia, to jeszcze wdawała się w mętne flirty bądź ulegała zauroczeniom, między innymi moją najlepszą przyjaciółką, Rodney Miller – jeżeli wierzymy w przyjaźń między osobami tej samej płci w obrębie naszego zasadniczo heteroseksualnego kółka. Z upodobaniem, przeciągłym tonem wygłaszała zjadliwe uwagi, tak jak teraz, gdy odezwała się do mnie: – Nie powinieneś powiedzieć Jeanne i Frankowi, że jacht niebawem zawinie do przystani? Bo inaczej gliny w Portsmouth zwiną ich za nieobyczajne zachowanie.

– Dlaczego ja? – odparłem. – Nie jestem kierownikiem rejsu.

Jeanne to moja żona. Jej miłość do Franka, w jakiś przewrotny sposób, mocniej mnie z nią wiązała – było mi jej żal, że musi spędzać tyle czasu ze mną i z dziećmi, choć sercem jest gdzie indziej. Wychowała się we francuskiej rodzinie katolickiej i w jej cierpieniu i wyrzeczeniu było coś szlachetnego, niewidzialna włosienica unosiła jej pierś jak u baletnicy i w moich oczach jeszcze przydawała mej żonie urody. Nie podobało mi się, że Audrey z nie} drwi. Ale czy rzeczywiście? Może moje uczucia były bardziej prymitywne, bardziej idiotycznie zaborcze, niż mi się w owym czasie wydawało. Mocniej ścisnąłem talię Audrey, niemal boleśnie ją uszczypnąłem, a potem puściłem i poszedłem na przód jachtu, do Jeanne i Franka; muzyka akurat przestała grać, a oni wyglądali, jakby dopiero się obudzili, twarze mieli obrzmiałe i przestraszone. Frank Greer do niedawna był żonaty z niejaką Winifredą. Rozwód, który majaczył na horyzoncie naszego kółka przez całe dziesięciolecie, podczas którego gromada naszych dzieci z wolna przepływała z klasy do klasy ku, jak się spodziewaliśmy, osiągnięciu równowagi psychicznej, ciągle był rzadkością i palił Franka do żywego, niczym czerwony policzek, który przyciskał do twarzy mojej żony.

Podczas jednej z owych przerw w łóżku, gdy namiętność została zaspokojona, ale jeszcze przez pół godziny niezręcznie byłoby się wymknąć, Maureen Miller powiedziała mi, że Winifreda czuła żal, iż podczas tych lat, gdy wszyscy wiedzieli o romansie Franka z Jeanne, nigdy się do niej nie przystawiałem. Winifreda, zwana też Freddy, była małą kobietką o wyglądzie sowy, wdzięcznej białej sowy – miała wielkie, ciemne oczy, skórę nietkniętą słońcem i włosy gładko zaczesane z przedziałkiem pośrodku, na podobieństwo Emily Dickinson. Ta fryzura wieńczyła ciało pulchne, lecz o drobnych, zgrabnych rękach i stopach. A choć moja żona mogła pochwalić się postawą tancerki, to w istocie żona jej kochanka umiała tańczyć, lekka i zwiewna jak piórko, co wywierało na mnie ambarasujące działanie erotyczne. Gdy brałem ją w ramiona, miałem erekcję, toteż roztropnie unikałem tańczenia z nią aż do samego końca wieczoru, kiedy to któreś z nas, usiłując oderwać od siebie naszych współmałżonków, okrywało się płaszczem. W innych okolicznościach Winifreda nie pociągała mnie. Podobnie jak pierwowzór, od którego zaczerpnęła fryzurę,

miała ambicje literackie oraz dogmatyczny, skrótowy, celowo niejasny styl. Jej wypowiedzi brzmiały dla mnie odrobinę zbyt stanowczo.

– Właściwie, czemu nie – rzekła, niezbyt uprzejmie, pewnego razu dobrze po północy, gdy Jeanne zaproponowała, bym odprowadził Winifredę do domu, gdyż na dworze rozszalała się burza śnieżna. Przyjęcie, które wydaliśmy u siebie, dawno dobiegło końca, pary, bądź ich pozostałości, które zasiedziały się, popijając leniwie, powoli zaczynały wychodzić, aż została tylko Winifreda; niezmiennie surowa i beznamietna, potrafiła pochłonąć ogromne ilości trunków – przymykała wówczas tylko promienne, czarne oczy, a śpiewny głos wymawiał słowa jeszcze precyzyjniej. Nic wtedy nie zapowiadało rozvodu Greerów. Frank wymówił się od przyjęcia pod mętnym pozorem podróży w interesach. Później uświadomiłem sobie, że był to pierwszy etap ich rozstania. Jeanne, wiedząca więcej, niż dawała po sobie poznać, tego wieczoru wychodziła z siebie, by dogodzić samotnej kobiecie, troszczyła się o nią jak młodsza siostra. Gdy towarzystwo zaczynało się rozchodzić, usilnie namawiała Freddy, by uraczyła nas jeszcze jedną opowiadką z seminarium twórczego pisania na naszej miejscowej uczelni, Bradbury, na które uczęszczała na specjalnych prawach. Bradbury niegdyś było ponurym seminarium prezbiteriańskim, które, wraz ze swą kolumnową kaplicą, przycupnęło tu, u podnóża White Mountains, ale już dawno rozluźniło kościelne ograniczenia i w latach sześćdziesiątych przekształciło się w uczelnię koedukacyjną, wywracając dotychczasowy ład.

– Jedna dziewczyna – zaczęła Winifreda, zarzekając się, że to już ostatnia kahlua z brandy na dzisiaj – przeczytała opowiadanie, które musiało mieć *bardzo* silny związek z jej ostatnim zawodem miłosnym, który mocno przeżyła, a od wykładowcy usłyszała tylko niezwykle kąśliwe uwagi. To chyba jakiś sadysta albo chce ją poderwać. – Jej mina wyrażała niesmak i znużenie wszelkimi takimi poczynaniami. Przypuszczam, że gniew, który czuła do Franka, przenosiła na wykładowcę, nowojorskiego poetę, marzącego o powrocie do Greenwich Village, gdzie rewolucja seksualna miała wielopostaciowy charakter. Z moich kilku z nim spotkań odniosłem wrażenie, że to nudny, zgorzkniały facet, a do tego zaskakująco szorstki.

Ze słów Winifredy wynikało, że te zajęcia były fascynujące, a przynajmniej tak można by sądzić z ożywionej reakcji Jeanne, radośnie zachęcającej zasiedziałą niewiastę do dalszych opowieści. Zgodnie z zasadami współżycia w Pierce Junction, szczególną serdeczność należało okazywać małżonce kochanka – co odnosiło się zresztą do obu płci. Względy te płynęły w sumie z całkiem szczerych pobudek, gdyż sekretne dzielenie się cudzą własnością rodziło pełną udręki i poczucia winy wdzięczność względem stróża owego skarbu, który mógł cieszyć się nim na co dzień. Lecz nawet Winifreda, mimo oparów kahlua, zaczęła się czuć nieswojo, toteż podniosła się wreszcie w naszym zimnym pokoju (termostat już dawno udał się na spoczynek) i owinęła głowę szalem, jakby straszyla piórka. Z nachmurzoną miną przystała w końcu na usilne namowy Jeanne, bym odprowadził naszego ostatniego gościa do domu. – Fakt, że nie mogę prowadzić, było u was *tak* miło – powiedziała do Jeanne, potrząsając jej ręką, na co Jeanne, z rumieńcem na

licu, odpowiedziała niezwykle wylewnym i dość gorączkowym, jak mi się wydawało, uściskiem, będącym wyrazem przeniesionego uczucia.

Kolosalne pojazdy naszej miejskiej drogówki, migając obrotowymi światłami, wowały samochód Winifredy w krawężnik, ale mieszkała tylko trzy przecznice dalej, co oznaczało, że będziemy mozolnie brnąć pod górę przez świeży śnieg, którego zdążyło napadać na cztery cale. Musiała wesprzeć się na moim ramieniu, ale oboje byliśmy zatopieni we własnych myślach. Śnieg sypał z jednostajnym poszeptem, a obecność na ulicach, o tej głęboko nocnej godzinie, kręcących się w miejscu, zgrzytających pługów, dawała poczucie więzi – większego towarzystwa pod nawisłymi chmurami, zabarwionymi żółtym poblaskiem od owej niezwyklej, tajemniczej poświaty, którą niesie zamieć. Domy były ciemne, a światło na mojej werandzie stawało się coraz mniejsze, oddalając się za wzgórze. Przed swymi drzwiami, tuż pod latarnią, Winifreda obróciła się do mnie, jakbyśmy, okutani w ciepłe palta, gotowali się do tańca, ale miałem tylko ucałować jej bladą, owalną, zmarzniętą i smutną twarz. Płatki śniegu zaplątały się w długie rzęsy jej zamkniętych powiek i roziskrzyły łuk rozdzielonych, ciemnych włosów, których nie przysłaniał szal. Jak zwykle, poczułem podniecenie. Z tyłu, w domu, znajdowały się tylko śpiące dzieci. Jego fasada z desek szalunkowych, wymagających pomalowania, wyglądała tandetnie, zdradzając, że za nią kryje się strapiona para małżeńska.

Domy innych par w Pierce Junction przyciągały romantycznym urokiem – przebijającym z zespolonych gustów, nagromadzonych mebli, oprawionych w ramki zdjęć ślubnych i migawek z wakacji, spędzonych jeszcze w czasach przedmałżeńskich. Uwielbialiśmy pełnić role gości i gospodarzy, ale woleliśmy być gośćmi – naruszającymi prywatność, wścibskimi i nieodpowiedzialnymi. Czy spodziewała się, że wejdę do środka? Nie wydawało mi się to możliwe – za moimi plecami, za wzgórzem, Jeanne sprząta po przyjęciu w salonie, rozpaczliwym okiem spoglądając na pędzącą, czerwoną wskazówkę sekundową na kuchennym zegarze. Drobnutkie śniegowe gwiazdki zlepiły mi rzęsy, gdy całowałem naszego gościa na dobranoc, prosto w usta, lecz lekko, leciutko, dając subtelne dowody dwornego smutku, spowitego oparem alkoholu. Ze wszystkich pocałunków, które składałem i otrzymywałem w Pierce Junction, od dzieci, dorosłych i golden retrieverów, ten, o krystalicznej czystości, na zawsze zastygł mi w pamięci.

Gdy wróciłem do domu, w salonie, o dziwo, siedział Frank, popijając piwo. Ubranie miał zmięte, a na twarzy rumieniec, jak po wielkim wysiłku. Jeanne, zbyt zmęczona, by okazać zdenerwowanie, wyjaśniła:

– Frank właśnie wrócił z podróży. Mało brakowało, by samolot w ogóle nie wylądował na lotnisku w Manchesterze, a gdy Frank zorientował się, że Freddy nie ma w domu, pomyślał, że przyjedzie tu po nią.

– Po tym wzgórzu w tę i we w tę w zamieci? – zdziwiłem się. Nie przypomniałem sobie, by mijał nas jakiś samochód.

– Mój wóz ma napęd na cztery koła – powiedział Frank, jakby to wszystko wyjaśniało.

Maureen potrafiła drwić ze mnie bardzo hałaśliwie. Smukłe ciało mojej kochanki było szerokie, lecz płytke – Maureen miała rozłożyste biodra, ale płaskie piersi, a przez całe lato jej szyję okalała różowa pętla spalenizny, upstrzona piegami i obłaząca od pracy w ogrodzie w wydekoltowanej bluzce i bez kapelusza. Rudzielec, pozostała wierna długim, prostowanym włosom dzieci kwiatów, choć dzieci kwiaty już dawno zeszyły do podziemia, postradały zmysły albo wróciły do rodziców. Gdy opisałem jej te zdarzenia, pomijając szczególny efekt fizjologiczny, który zawsze odczuwam, biorąc Winifredę w ramiona, Maureen roześmiała się, odrzucając grzywę włosów, jakby zamierzała pożreć mnie swymi wystającymi, białymi zębami. – Jeanne jest niesamowita – rzekła. – Umówić się na randkę z facetem o pierwszej w nocy w nadziei, że mąż będzie poza domem spał z żoną kochanka! Wygląda na to, że cały plan zawalił się przez burzę – dlatego tak gwałtownie zatrzymywała Freddy.

– Nie wierzę – rzekłem na tyle sztywno, na ile mogłem się zdobyć, leżąc w jej łóżku, wsparty na poduszkach, nagi, z papierosem i szklanką czerwonego wermutu – że wszystko zostało tak *zaplanowane* z zimną krwią. Na pewno wpadł, bo myślał, że przyjęcie jeszcze trwa.

– Ale przecież widział, że nie było samochodów!

– Ha! – rzekłem z nutką triumfu – przed domem stał samochód Freddy, worany w ziemię.

– Worany, i to jest nić przewodnia – stwierdziła Maureen. – „Gdybyście nie orali moją jałowicą, nie rozwiązałybyście mojej zagadki”. – Ona i Rodney poznali się w letniej szkole biblijnej, a Rodney nadal odznaczał się owym grzecznym, chłopięcym urokiem przyszłego misjonarza. – W każdym razie – ciągnęła wesoło, podskakując na łóżku tak gwałtownie, że wermut opryskał mi włosy na piersi – gdzie – niech to szlag! – Jeanne mogłaby go wyczuć – uważasz, że zawiodłeś Freddy, ale niesłusznie. Całe Bradbury mówi, że ona śpi z tym dziwnym nowojorskim poetą.

– Nie musiałaś mi tego mówić, chciałbym zachować resztki niewinności.

– Martinie, ależ ty to uwielbiasz, uwielbiasz wiedzieć wszystko – powiedziała, zanurzając nos w rozlany wermut z jakąś obcą, agresywną, lwią powagą, która dosyć mnie wystraszyła. W masie włosów wymacałem uszy Maureen i uchwyciwszy się ich, odciągnąłem jej głowę od swojej piersi. Ściśnięte w ten sposób kobiece oblicze, z uniesioną górną wargą i oczyma jak szparki, przywiodło mi na myśl wyciągniętą do pocałunku twarz Winifredy, a także maskę pośmiertną. Ciało Maureen nie było ciałem kobiecym skrywającym kości, szczupłym, skazanym na wieczny głód. Śmiała się, lecz patrząc twardo, z pogardą, choć żartobliwie, rzekła:

– Rodney uważa, że jesteś wścibski jak kobieta.

Uraziło mnie to i podnieciło. Rodney i ja z niezwykłą surowością przestrzegaliśmy zasad dyskrecji, rozmawiając wyłącznie o czystych i niewinnych sportach, jak golf, poker, tenis, narty. Nawet w szczytowym okresie wojny w Wietnamie i podczas długiego upadku kariery Nixona nie dyskutowaliśmy o polityce. A jednak na myśl, że Maureen i Rodney rozmawiają o mnie w trakcie intymnych małżeńskich uniesień, poczułem miły dreszczyk. – Jak kobieta,

tak? – rzekłem przeciągle, szamocząc się pod nią, by odwrócić nasze pozycje w łóżku, w tym łóżku w pokoju gościnnym, które znałem tak dobrze, mahoniowe łoże z baldachimem, z ruchomymi kwiatonami w kształcie ananasa, wieńczącymi każdy z czterech słupków. Okrzyki Maureen, na znak oporu i rozbawienia, rozchodziły się po całym jej wiktoriańskim domu, przez pokoje, wyłożone dębową klepką, i, jak się obawiałem, na ulicę.

Pierce Junction to miasteczko pełne sekretów, które bezustannie wychodziły na jaw, niczym trociny z belki, zżeranej przez termyty. Robaki wydrążyły tu mnóstwo dziur, w których na końcu migotała iskierka życia. Gdy Jeanne zorientowała się, że zdradzam ją z Maureen, zareagowała z zaskakującą dla mnie furją, bo wszak od lat tolerowałem jej romans z Frankiem. Swój gniew zademonstrowała, wpadając jak burza do Millerów i opowiadając wszystko Rodneyowi, co było zachowaniem niewybaczalnym. Maureen, w której kołatały jakieś resztki pobożności, w środy i soboty pracowała w prowadzonym przez metodystów domu dla młodocianych przestępców w Concord, a nasz związek wydał się przez skrupulatność spółki telefonicznej, która przysyłała wykaz rozmów zamiejscowych, podając miejscowość i numer. Gdy przywodzę na pamięć nasz związek, nie widzę drastycznych obrazów z godzin spędzonych w łóżku, lecz czuję mdły posmak, zastygłą jak wspomnienie magdalenki świadomość szczególnie smętnej minuty podczas leniwego dnia, tęsknotę, która, pośród nudnego, pustego popołudnia, napawała mnie nienasyconym pragnieniem usłyszenia głosu Maureen – niższego i bardziej ochryplego przez telefon, któremu świadomie nadawała wtedy brzmienie śpiewniejsze, niż gdy znajdowaliśmy się twarzą w twarz. Jej głos na chwilę odsuwał bolesny strach, w którym żyłem przez te wszystkie lata, jej głos, w błyskawicznym olśnieniu, malował mi zjadliwą wizję świata, który, zazwyczaj okolony niejasnym lękiem, teraz ukazywał mi się w barwach jaskrawych i nieustraszonych. Śmiech Maureen napawał mnie pewnością siebie, jakbyśmy wszyscy dali się nabrać na smakowity, niebezpieczny żart, gasił pragnienie, które ciążyło mi w gardle niczym żelazna sztaba. Bez niej gdzieś w pobliżu, lub choćby bez jej głosu w słuchawce, świat wypadał ze swoich kolein. Musiałem z nią rozmawiać, choć rachunek za telefon nas wykańczał.

Nie tylko ja czułem ten głód, przenikał on cały nasz krąg z żalością niezaspokojonej potrzeby, również nieszczęsną Jeanne i Franka, wykradających to idiotyczne pół godziny podczas zamieci. Maureen była dla mnie czymś na podobieństwo obozowego ogniska, które sprawia, że okalająca je ciemność wydaje się absolutna, a już parę kroków od jego żaru ogarnia człowieka przejmujący chłód.

Gdy Jeanne pojechała na rozmowę z Rodneyem, przepadła na ładnych parę godzin. Nie, zaraz, ale po paru dniach, przeżytych w atmosferze bezwzględnej szczerości, które zmieniły nas w umęczone szkielety, wyznała, że Maureen nie było, a ona przespała się z nim w napadzie jakiegoś mściwego szału, choć Rodney nie przejawiał szczególnej ochoty.

– Smutek Maureen – powiedziałem jej – brał się między innymi stąd, że Rodney był jej tak wiemy, że tak całkowicie go zaspokajała. A przynajmniej tak jej się zdawało.

– To zabawne. Pamiętasz, jak Winifreda i Frank rozstawali się, a Freddy na gwałt

chciała sobie kogoś znaleźć? Bałam się, że cię uwiedzie w tę noc, gdy była ta straszna zamieć. Rodney był jedynym znajomym mężczyzną który jej nie zawiódł – sprostał oczekiwaniom Freddy wobec samej siebie. Najwyraźniej jest bardzo seksowna. Rodney miał wrażenie, że w owym czasie – zaczynam przemawiać jak Nixon – poszłaby do łóżka z każdym, co go trochę zniechęciło. Szkoda, że mi o tym powiedział – nawet Frank nie wie, a nie lubię mieć przed nim tajemnic.

– Cóż za wrażliwość sumienia – powiedziałem.

– Proszę bardzo, możesz się ze mnie natrzasać. Chyba sobie zasłużyłam.

– Moja męczennico, moja Jeanne w płomieniach – rzekłem, nie mogąc się doczekać, by zaciągnąć ją do łóżka i przekonać się, jak ta nowa wiedza, niedawne zepsucie, wzbogaciły ją.

A jednak rozwiedliśmy się, powoli i w bólach, podobnie jak Maureen i Rodney. Przeprowadziłem się do Nashua, ale przyjeżdżałem do Pierce Junction, by odwiedzić dzieci, zmierzyć Jeanne temperaturę i grać w te gry, co zawsze. Kiedyś, po nocy spędzonej na rozgrywkach pokerowych, Rodney wyperswadował mi jazdę do Nashua z brzuchem pełnym piwka i namówił do spędzenia nocy w jego kawalerskiej chacie, na wzgórzach, dokąd musiałem tłuc się milę po bitej drodze. Czekając, aż łazienka będzie wolna, zauważyłem liścik, ciśnięty niedbale na zarzucone papierzyškami biurko. Zaokrąglone, sterczące pionowo litery, w których „a” było niezwykle podobne do „o”, od razu wydały mi się znajome – Audrey Lancaster była sekretarką komitetu ochrony przyrody, w którym niegdyś pracowałem. „Znowu wyszłam na głupka” – przeczytałem. – „Czyżbym cię błędnie zrozumiała, czy też ojciec Laurenty znowu skrewił? Teraz mój wóz jest zakurzony, a nogi mam całe w bąblach od ukąszeń komarów po godzinie siedzenia na twojej werandzie. Jakiś cholerny ptak w lesie usiłuje mi coś przekazać w czystej angielszczyźnie, ale nie potrafię wyłowić sensu z ptasich treli. Twoja, w pewnym sensie. Zgadza się?” Niepodpisane. Poliniowana na niebiesko kartka, najwyraźniej wydarta z wściekłością z notatnika akademickiego. Dziura po pinezce, którą zapewne była przypięta na zewnątrz. Poczułem się podniecająco blisko Audrey, tak blisko, jak owej nocy, gdy położyłem dłoń na jej pośladku. Przywędrowała tą ponurą, bitą drogą przez las, niczym wielki, śliski łoś, podążający w górę strumienia i sromotnie zjechała z powrotem. Jej literacka aluzja przywiodła mi na myśl Winifredę.

Gdy Rodney wyłonił się z łazienki, jak niewinne chłopię w dziecięcej, bawełnianej piżamce i z plamką pasty na brodzie, nienawidziłem go jak nigdy przez te wszystkie lata, gdy wchodziłem do jego imponującej rezydencji obok uczelni, mijając kosiarkę i kanistry w garażu, przez kuchnię, gdzie codziennie pochłaniał śniadanie, obok półki, na której stały jego golfowe trofea, aż do mahoniowego łóżka w pokoju gościnnym. Niektórzy ludzie płoną na obrzeżach życia, nienasytzeni i pragnący wejrzeć w nie głębiej, ale on rozsiadł się

wygodnie, zadowolony, w samym jego środku, a życie przychodziło do niego w takiej obfitości, że nie zdołał spamiętać, z kim był umówiony.

W Nashua, w miarę jak lata siedemdziesiąte zapadały się w inflację i beznadzieję za rządów Cartera, przestałem śledzić niuanse życia w Pierce Junction. Maureen od razu odrzuciła możliwość wspólnego, szacownego życia. Za dużo dzieci, zbyt wielki uszczerbek finansowy, było, minęło. – Nie widzisz, Marty? – spytała. – Dopuściliśmy się tego. Patrząc na siebie, będziemy widzieć tylko nasz grzech.

To dziwaczne ostatnie słowo wstrząsnęło mną, uświadomiłem bowiem sobie, że być może ona – a także Jeanne i wszystkie kobiety cierpią w naszym seksualnym rajku, że odejście od monogamii jest dla nich wielkim obciążeniem psychicznym i kosztuje je wiele nerwów. Zraniło to moją męską dumę. I dlatego, pośród emocjonalnego zamętu, poczułem też ukłucie mściwej satysfakcji na wieść o jej nagłej śmierci w wypadku samochodowym, który wydarzył się późną nocą na autostradzie 202, a spowodował go nie kto inny jak Szpic Lancaster, umięśniony, hałaśliwy, lubiący tęgo popić restaurator, którego wyraźne niedostatki wzbudziły w naszym małym kółku nieklamany podziw dla wyrozumiałości Audrey. Ich jedyną wspólną cechą był zły wzrok. Maureen zginęła, on wyszedł z tego jedynie z drobnymi obrażeniami, a wydarzenie to nie wpłynęło na ruch w jego przydrożnej restauracji, nazwanej, nomen omen, „Pod czterolistną koniczynką”.

Nie mogłem wprost uwierzyć, że po naszym wzniosłym związku Maureen zadała się z takim brutalem, takim prostakiem. Łamiąc kark, ten szczupły kark, o pulsującej żyłce na szyi, która wyłaniała się z kręgu skóry, spalonej letnim słońcem, dostała, na co zasłużyła. Te wstrętne, niegodne myśli rzecz jasna przemknęły mi tylko przez głowę – po tej błyskawicy amoralnych neuronów zaraz zaczął kapać deszcz przyzwoitego smutku. Ale ta śmierć w otoczce skandalu, z czarnymi śladami hamowania i strzaskanymi światłami awaryjnymi, sprawiła, że Pierce Junction stał się dla mnie zamkniętą kartą.

Jeanne i Frank pobrali się, a ja zacząłem drugie życie, z drugą żoną i nowymi dziećmi. Moje własne dzieci wyrosły, poszły na studia, założyły własne rodziny i wyprowadziły się. Miałem coraz mniej powodów do powrotów, a gdy już znalazłem się w miasteczku, stwierdzałem, że jego geografia uległa niewielkiej zmianie, przepływały przez nie te same prądy, inne były tylko przewody. Twarze i stare dziury, wydrążone przez robaki, jeśli nadal istniały, stały się niewidoczne, skryły się w ludziach młodszych. Gdy wracałem myślą do naszych szalonych, w pewnym sensie świętych najlepszych lat, najżywiej stawały mi w pamięci kobiety nie te, z którymi byłem najsilniej związany, lecz dalsze znajome, otoczone nimbem pewnej dziewiczości, które z syrenim śpiewem istot niepoznanych znikały za moim widnokregiem.

Pomiędzy Nashua i Pierce Junction powstało centrum handlowe, na miejscu farmy mleczarskiej, której srebrzyste silosy, połyskujące w słońcu, nadal spodziewałem się ujrzeć na tym zakręcie autostrady. Zamiast nich zobaczyłem błyszczące ułamki, pokawałkowane jak po wybuchu – sieć sklepów, obleczonych w postmodernistyczne szkło,

i ogromną, asfaltową łąkę, wybrukowaną samochodami. Zamierzając kupić prezent urodzinowy dla wnuka w którymś z owych „Dziecięcych rajów” o kunsztownym liternictwie, przy akompaniamencie natrętnej muzyki przemierzałem aleje centrum po obu stronach, jakby parodiując dawną główną ulicę miasta, usianą witrynami z markami towarów i upstrzoną dość siermiężnymi kioskami ze świecidełkami, egzotycznymi herbatami ziołowymi, słodyczami i preclami w jogurtowej polewie, które wyciągano z matowych, plastikowych pojemników. Nagle, w pewnej odległości od siebie, poznałem ten chód – platfusowaty, ostrożny, lecz sunący niezachwianie naprzód i, w moich oczach, kusząco młodzieńczy. Zanurkowałem do sklepu Gapa i, skryty pomiędzy półkami ze zmiękczonego dzinsu i golfami w barwach ziemi, patrzyłem, jak przechodzi Audrey, pulchniej sza, siwa, lecz nadal gibka. W miejsce szkieł kontaktowych, które zawsze gubiła, nosiła teraz uroczo toporne, grube szkła. Mrużyła oczy, uśmiechała się i rozmawiała z ożywieniem, poruszając swymi giętkimi, szemrzącymi, szerokimi ustami.

Jej towarzyszka, w spodniach, z mocną trwałą na cienkich, siwych włosach i w pikowanej, puchowej kurtce, przez chwilę wydawała mi się kompletnie obcą osobą, nabzdyczoną mężczyzną o drobnej posturze. Ale potem w mgnieniu oka rozpoznałem ją i w starczym podnieceniu poczułem, jak nabrzmiewa mi rozporek, więc czym prędzej odskoczyłem od okna. Tak, nie mogłem się mylić, to samo baryłkowate ciało sowy, ciemne, przykryte powiekami oczy, filigranowe kończyny. Winifreda. Wraz z Audrey poruszały się z ową senną, wzajemną uległością starych małżeństw. Trzymały się za ręce.

Duża przerwa

David Kern już od czterdziestu lat nie mieszkał w Pensylwanii, lecz zawsze przyjeżdżał na zjazdy absolwentów, które odbywały się co pięć lat. Podstawowy skarb jego życia tu był zagrzebany, w mieście Olinger, i David ciągle wierzył, że go odkopie. Natomiast Julia Reidenhauser na zjeździe nie była od lat, od czasów tych pierwszych, niskobudżetowych spotkań, które komitet klasowy organizował na terenie piknikowym Wenrich Grove i w Schenktown, w ośrodku dla weteranów wojennych, kiedy wszyscy mogli się jeszcze wcisnąć w szkolne ubrania i bardzo wiele dla siebie nawzajem znaczyli. – Julia przyjedzie w tym roku – z Doris, naturalnie – oznajmiła mu Mamie Kauffman.

Mamie rozrosła się wszerek, jak mufinka, a jej małe, zręczne rączki z dołeczkami – miała artystyczne zacięcie i zamierzała zostać projektantką mody – wygiął artretyzm, ale nadal była słodką istotką z głową w chmurach, tak samo wzruszająco szczęśliwą, że tu jest, że tutaj *przybyła*, jak wtedy, gdy matka przyprowadziła ją za rękę do starej szkoły podstawowej na Alton Pike i podsadziła na liczący trzy stopy wysokości murek oporowy, który oddzielał asfaltowe boisko od chodnika. Właściwie nie było to boisko, a choć dzieci bawiły się na nim w czasie przerwy, nie miały tam huśtawek, zjeżdżalni ani koszy do koszykówki, zaledwie parę słabo widocznych białych linii i kół, wymalowanych na asfalcie. Tylko nauczyciele znali zabawy i reguły gry, wiążące się z tymi oznakowaniami. Asfalt okrążał budynek niczym szeroka fosa i był ściśle rozgraniczony na połowy dla dziewcząt i chłopców, z cementowym przejściem z przodu i z tyłu w charakterze linii podziału. W dawnej szkole podstawowej wszystko było symetryczne i sztywno ustalone, z wyjątkiem podskakujących, wiercących się, chichoczących, zasmarkanych, popuszczających w majtki, zasikanych smarkaczy, od przedszkolaków po szóstoklasistów.

– Żartujesz – rzekł David, ale wiedział, że mówiła poważnie, oczka Mamie, mniejsze niż za szkolnych czasów, lśniły szelmowsko darem, który mi przynosiła. Była sekretarką klasową i duszą komitetu zjazdowego, odkąd zaczęto organizować te spotkania, snującą misterne intrygi, by ściągnąć wszystkich stu dwunastu byłych uczniów. – Jak ci się udało ją namówić? – zapytał.

Mamie nieoczekiwanie przybrała urażony ton. – Wcale jej nie namawiałam. Dość mam tej zebraniny, Davidzie. Kiedyś błagałam Julię i parę innych osób, co do których miałam pewność, że będą się świetnie bawić, jeśli łaskawie zechcą się tu zjawić, ale teraz pomyślałam, że wyślę zaproszenia i niech przyjadą ci, którzy chcą. Jesteśmy dorośli, na miły Bóg. – Wszyscy byli po sześćdziesiątce, skończyli szkołę czterdzieści pięć lat wcześniej, tego czerwca, gdy wybuchła wojna koreańska. Wedle obliczeń sekretarki,

siedem osób spośród stu dwunastu już nie żyło. Lecz wokół siebie, poprzez mgłę siwizny, zmarszczek i wałków tłuszczu, David dostrzegał dziecięce twarzyczki, które przez cały okres nauki nie uległy większej zmianie. – Betty Lou powiada, że Doris ją namówiła – nie chciało jej się jechać samej aż z Schenktown. No i chyba Julia przebrnęła już przez to morze kłopotów ze zdrowiem, z mężem i w ogóle – dodała Mamie.

Morze kłopotów? Mamie przez całe życie mieszkała w Olinger – w istocie, zajmowała lokum dwie przecznice od matki, która jeszcze żyła – i zakładała, że David, który wyjechał na studia, potem wstąpił do wojska, a następnie pracował w Nowym Jorku, dokąd przez trzydzieści lat dojeżdżał z Connecticut, lepiej zna miejscowe ploteczki. Pamiętał, jak na piętnastym zjeździe Ann McFarland zdradziła mu, że Julia przyjedzie, jeśli uda jej się zrzucić dziesięć funtów, ale nie dała rady, więc dumnie się nie pokazała. Mieszkała w Schenktown, sześć mil od Olinger, a do szkoły zaczęła uczęszczać dopiero w dziewiątej klasie. Urok dawnego Olinger nie działał na nią tak mocno jak na Mamie, Betty Lou czy Ann.

Poczucie lokalnej dumy, które żywili mieszkańcy Olinger, zawsze wprawiało w zdumienie matkę Davida. Nie była to wszak najbogatsza z podmiejskich dzielnic Alton ani też najładniejsza czy najbardziej „holenderska”. W zasiedlonej niegdyś przez Holendrów części Pensylwanii holenderskość można zmierzyć nie tylko liczbą ustrojonych stodół czy pobielonych karczm w mieście, ale natężeniem ponurego oporu wobec „nowinek” – centrów handlowych, samoobsługowych stacji benzynowych, sklepów sprzedających z rabatem, placówek opiekuńczych dla starszych i w jakimś sensie upośledzonych – wszystkiego, co podkopywało dawny stan rzeczy. Całe autokary turystów zjeżdżały z Baltimore i Filadelfii, by zobaczyć, „jak to drzewiej bywało”. W środku Olinger stał dom z wapienia jeszcze sprzed rewolucji, a dziewiętnastowieczny tor do wyścigów zaprzęgów graniczył z krętymi uliczkami dość wytwornej dzielnicy, Oakdale, wybudowanej w latach trzydziestych, która po wojnie rozpełzła się aż na zbocza Shale Hill, ale w samym mieście akcenty holenderskie nie zaznaczały się zbyt silnie, choć wzmacniał je, jak się wydawało Davidowi za każdym powrotem, masowo produkowany regionalny kicz – kalkomanie ze znakami złego uroku, lalki w strojach amiszów.

Przejeżdżający tamtędy po drodze z Lancaster do Alton, uznają Olinger za część ciągu handlowego. Za czasów dzieciństwa Davida miasteczko rozplątywało się wśród pól uprawnych, starego młyna, zatoczki, porośniętej rukwią wodną, wielkiego kamieniołomu, niebezpiecznego i kuszącego swą pustką. Teraz ten tajemniczy, słabo zaludniony teren wypełniały centra handlowe, komisje samochodowe, knajpy w aluminiowych barakach i kioski z przekąskami. A jednak Olinger, przynajmniej w oczach pokolenia Davida, szczęściem nadal zachowało swą odrębność osady opartej na zdrowych zasadach, błogosławionego złotego środka pomiędzy śmiechu wartą wiejską niewinnością miściny o jednej ulicy i dwóch fabrykach, jak Schenktown, wciśnięte w ponure połacie rżysk i opuszczonych sadów jabłoniowych, a miejskimi koszmarami Alton – dużego, dotkniętego kryzysem miasta przemysłowego o rosnącej przewadze ludności kolorowej. Mieszkańcy

Olinger dumni byli ze swego miejsca na ziemi, a David nadal uważał, że jego pierwszy wyjazd, na który zdecydowano się za poduszczeniem matki, przyniósł mu tylko stratę. Gdy David miał czternaście lat, jego matka namówiła ojca, by przenieśli się z Olinger na starą farmę, parę mil na południe.

Choć podczas tych zjazdów David raczej nieśmiało trzymał się na uboczu, podniósł się jednak i poszukał wzrokiem Julii. Zjazd odbywał się w sali recepcyjnej restauracji w Alton, udekorowanej barwami klasy, kasztanowymi i złotymi. Rozwieszono powiększone fotografie z tych szczęśliwych czasów – kucyki, wywijane skarpetki do kostek, stołówka w oparach papierosowego dymu. Ustawiono długi stół bufetowy. W barze kłębił się hałaśliwy tłum. Julia stała nieopodal, w samym środku sali, otoczona paroma dawnymi adoratorami i z nieodłączną Doris Gerhardt u boku. Dobroduszna, rudowłosa Doris była chyba najniższa w ich klasie i jako jedna z pierwszych wyszła za mąż. Obie kobiety ucałowały Davida, czego się nie spodziewał. Całus, którym obdarzyła go Doris, mozolnie wyciągając się w górę, był gorętszy i bardziej natarczywy, natomiast Julia wycelowwała zmysłowo, wilgotnymi wargami, w sam środek ust. Zwyczajowe w Connecticut uprzejmościowe całuski, antyseptyczne muśnięcie policzków, nie były tu znane. Od czasów szkolnych przybyło Julii przynajmniej z dziesięć funtów, ale że była wysoka i zachowała elegancką, prostą postawę, mogła nic sobie z tego nie robić. Włosy miała siwe, lecz nadal bujne; miękka grzywa, wysoko spiętrzona nad czołem, opadała na barczyste ramiona. Haczykowaty nos, szarzielone oczy, patrzące z mrocznym spokojem – niemiecka piękność o ziemistej cerze, całą sobą dawała do zrozumienia, że najzupełniej wystarczy być sobą. Nie przypominał sobie, by uczęszczała na jakieś zajęcia pozalekcyjne. W szkolnym roczniku jako swój główny cel wymieniła „wyrwanie się ze szkoły”. W klasie zachowywała się godnie, a ożywienie wykazywała tylko wtedy, gdy wywoływano ją do recytacji; wstawiała wówczas, a jej twarz oblewał rumieniec, który wzbudzał erotyczny dreszcz w rzędach uczniów. Jej uśmiech urzekał bezradnością, jakby chciała powiedzieć: „I cóż można poradzić?” *Was kann mer duh?*

David, który wchodząc do sali był podenerwowany, pełen tremy, za wszelką cenę pragnąc powrócić do dawnego rytmu Olinger, w obecności Julii i małej Doris poczuł się odmieniony. Stał się innym człowiekiem, spokojniejszym i jakby przybyło mu parę centymetrów wzrostu.

– I co u was?

– Nie możemy narzekać – odparła Doris.

– Może ty nie, ale ja owszem – rzekła Julia, leniwie odgarniając gęste włosy. – Pół życia spędzam u dentysty, a drugie pół u kręgarza.

– Świetnie wyglądasz – rzekł David. – Obie wyglądacie wspaniale. – Po czym przerwał ich górne, choć żartobliwe komplementy, by odwołać żonę od innej rozmowy – uczestniczyła wraz z nim już w tylu zjazdach, że zdążyła nawiązać własne znajomości wśród jego klasy. Chciał, by poznała Julię. Obie kobiety uściśniły sobie ręce i popatrzyły na siebie z lekkim zdziwieniem. David zastanawiał się, dlaczego tak usilnie starał się

doprowadzić do tego spotkania i czemu czuł się tak odprężony, tak *u siebie*, co niezwykle rzadko mu się zdarzało. I nagle sobie przypomniał: duża przerwa. W oczach tych dziewcząt z Schenktown był kolegą z okolicy, normalnym człowiekiem. Nie miały mu za złe, że oderwano go od Olinger za przyczyną matki, której przychodziły do głowy idiotyczne pomysły, one widziały go takim, jakim był naprawdę – przyszłym mężczyzną.

Rodzina przeniosła się, gdy chodził do dziewiątej klasy. Farma leżała na południowym wschodzie, Schenktown zaś, Olinger i Alton ciągnęły się w kierunku południowo-zachodnim. Przeraziła go myśl, że mógłby uczęszczać do rejonowej szkoły – miałby zstąpić w otchłań dziwacznej, wiejskiej młodzieży, cuchnącej sianem i nawozem? Ale jego ojciec prowadził lekcje w Olinger, toteż ustalono, że David pozostanie w swojej szkole; dojeżdżał i wracał z ojcem starym, czarnym chevroletem. Po lekcjach wałęsał się po boisku albo wysiadywał w barze z przekąskami, przy tej samej ulicy. Z mieszkańca Olinger stał się włóczęgą, bezdomnym kniotkiem, kurczowo trzymającym się statusu licealisty. Mieszkał najdalej z całej klasy.

Ale prawdę mówiąc, zaczął odstawać od Olinger jeszcze przed przeprowadzką. Już mniej więcej od piątej klasy w trajkotach i plotkach na temat weekendowych planów nie brano go pod uwagę – bez niego odbywały się spotkania w czyjejs suterenie, w kamieniołomie czy też na terenie do jazdy na rolkach w parku rozrywki w Alton. Klasowa młodź miała swoją paczkę, lecz on do niej nie należał. Zgubił szlak, którym szedł od czasu spacerów w przedszkolu, wakacji spędzanych na placu zabaw w Olinger i wycieczek rowerowych całą gromadą przez miasto, z chłopcami i dziewczętami, których znał od zawsze. Niektóre dziewczęta odznaczały się szczególną urodą, miały więcej ikry i energii od reszty, a paru chłopców obdarzonych było magicznymi cechami – pewnością siebie, bystrością – co przysparzało im popularności, lecz te zalety zaczęły odgrywać poważniejszą rolę dopiero w siódmej, ósmej klasie. W dziewiątej David doszedł do wniosku, że właściwie może całkiem osiąść na wsi, gdzie całymi popołudniami czytałby kryminały, ćwiczył rzuty do kosza, który ojciec przybił mu do ściany stodoły i okopywał rośliny w „organicznym” ogrodzie, który matka założyła za zbroczem, porośniętym zaniedbanym sadem.

W dziesiątej klasie otrzymał prawo jazdy i kluczyki do rodzinnego samochodu, który i tak stał na szkolnym parkingu. Znalazł się w tej samej orbicie, co Julia i Doris. W Schenktown działała stara fabryka kapeluszy, a choć filcowe nakrycia głowy niebawem miały wyjść z codziennego użytku w Ameryce, firma prosperowała na tyle dobrze, by Julia jeździła zielonym studebakerem kabrioletem, a Doris willisem combi o bokach ze stali, zamiast z lakierowanego drewna, co w 1948 roku nadal było nowością. Samochody uwolniły ich nie tylko od szkolnego autobusu, ale i od licealnej stołówki. Podczas gdy większość uczniów wracała na obiad do swych niewielkich mieszkańek w blokach Olinger

albo stała w szkolnej stołówce po smażoną konserwową mielonkę czy kurczaka po królewsku, Julia, Doris, David i młodzieńcy ze śmietanki Schenktown, jak Wilbur Miller czy Morris Hertzog, którymś z ich samochodów jeździli tam i z powrotem po Alton Pike, szukając najlepszego hamburgera. Posiłek w barze przekąskowym czy w taniej restauracyjce kosztował tylko parędziesiąt centów drożej niż w szkolnej stołówce, ale gdy rodzice Davida uznali, że wiejskie liceum nie jest dla niego wystarczająco dobre, przyznali mu też pięć dolarów tygodniówki na posiłki na mieście. Po latach podziwiał ich hojność i dziwił się swemu samolubstwu: kilkunastoletni drapieżca, pożądający hamburgerów, uznania i benzyny.

Na spożycie obiadu szkoła przeznaczała pięćdziesiąt pięć minut. Gdy znaleźli już i zjedli hamburgery, odpowiadające ich podniebieniu, starczało im jeszcze czasu na przejażdżkę po okolicy. W Pensylwanii końca lat czterdziestych, nim powojenne ożywienie gospodarcze odcisnęło na niej trwałe piętno, nieskażona wiejska okolica rozciągała się o pięć minut jazdy w każdym kierunku od Olinger z wyjątkiem trasy trolejbusowej do Alton. Kręte miejskie drogi, ciągnące się między wzgórzami, łączyły odludne farmy i nieliczne sklepy spożywcze na obrzeżach miasteczka, przed którymi stały dwie pordzewiałe, czerwone pompy benzynowe pod dumnym godłem Pegaza. David pamiętał, jak stawał na tylnym siedzeniu studebakera Julii, wystawiając się na podmuchy wiatru, a potem kładł się na zwiniętym dachu kabrioletu i ogrzany słońcem metalowym bagażniku, wpatrując się w oszałamiającą grę obłoków i gałęzi drzew, przesuwających mu się nad głową.

Małe cmentarzyki z pochylonymi nagrobkami z piaskowca, tajemnicze gaje specjalnie zasadzonych roślin zimozielonych, zaniedbane wiejskie kramy, które wyglądałyby na porzucone, gdyby nie świeżo wyciśnięte, żółte soki, pomarańczowe dynie i stara kobieta w czepeczku, mająca na nie oko z ganku; rozpadające się kamienne chłodnie, zarosłe zielskiem ruiny starych kuźni, zatoczki, toczące brązową pianę z szumiących wodospadzików, pola uprawne, obsiane zbożem, żytem, pastwiska, pełne pasącego się bydła, sady drzewek brzoskwiniowych i jabłoni, obsypanych kwieciem albo uginających się pod ciężarem owoców – to wszystko rozlewało się wokół podróźnych, przejeżdżających przez okolicę w środku dnia, niepomnych na nic prócz siebie nawzajem i pędu. Gdy David kierował pojazdem, starym, czarnym chevroletem, stosował sztuczkę, nie tak bardzo niebezpieczną, jak się z pozoru wydawało, która wszakże nieodmiennie wywoływała krzyki i piski pasażerów. Otóż na szczycie wzgórza wrzucał luz, wyskakiwał na stopień i prowadził auto przez okno. Szansa, że z naprzeciwka wyjedzie samochód, była niewielka. Bite drogi, po których jeździły wiejskie fury, wybrukowano przed wojną. Niebawem miały zostać poszerzone, a zakręty wyprostowane kosztem małego wiejskiego domku z mansardowymi oknami czy kamiennej stodoły przy zjeździe z drogi gruntowej, ale teraz tworzyły pusty labirynt, będący wyzwaniem dla owych wyrostków z prawem jazdy, przyzywający ich z zatłoczonych korytarzy liceum i szkolnych klas, spośród wyperfumowanego, wypomadowanego tłumu w swetrach z angory, sztruksowych koszulach, szykownych półbutach i mokasynach, poszeptów o coraz to nowych romansach,

zerwaniach, umyślnych wybrykach i bezlitosnych wycen towarzyskiej giełdy Olinger – złota młodzież w górę, szary tłumek w dół, atrakcyjni i podziwiani kontra znacznie liczniejsi koledzy, pozbawieni towarzyskich przymiotów.

Zjazdy absolwentów ujawniły wszakże, iż miejsce raz ustalone w sztywnej szkolnej hierarchii, a przeto praktycznie niezmiennie przez cały okres nauki, było marnym prognostykiem powodzenia w dorosłym życiu. Komiczny kmiotek, niepotrafiący skłecić zdania, w klasie niewidoczny, przeniósł się do Maryland, założył sieć plantacji sadzonek, a teraz przed restaurację, w której odbywa się zjazd, zajeżdża srebrnym jaguarem. Żałosna, otoczona powszechną wzgardą córka rozwódki – w owych czasach postępek niewybaczalny – zdobyła prestiżowe, kierownicze stanowisko w firmie handlowej w Chicago. Klasowe wesołki i zawadiaki objęły posady nauczycieli i policjantów, solennie i z namaszczeniem dźwigając brzemień odpowiedzialności za utrzymanie porządku na podległym im terenie. Nagroda dla świeżo upieczonego tatuśka – przybyłego z pełną wigoru czwartą żoną, nieróżniącą się niczym od trzeciej żony sprzed pięciu lat, w podobnej, głęboko wydekoltowanej, satynowej minisukience – przypadła chłopakowi, który, jak sięgnąć pamięcią, nigdy nie chodził na tańce ani nie umówił się na randkę. Klasowe szare myszy, niemal bezpłciowe istoty, na których tle szkolne seksbomby wiwatowały jako cheerleaderki i obnosiły swe wdzięki, nabrały wytwornych manier i szelmowskiego uroku, czemu sprzyjało mieszkanie w dobrej dzielnicy, podczas gdy u niegdysiejszych gwiazd nastąpił zwichrowany przerost ich najatrakcyjniejszych cech – bujnego biustu, wigoru, brawury, przewrotnej, starannie wyczelowanej bezwzględności – dzięki którym tak przyciągały wzrok napalonych wyrostków.

Julia przyciągała wzrok, ale zdawała się tego nie dostrzegać, a jeśli dostrzegała, nic sobie ze swej popularności nie robiła. Jej charakterystyczny, zmartwiony uśmiech, jakby mówiła: „Nic nie poradzę”, nabierał, zdaniem Davida, nieco ponurej, męskiej determinacji, gdy z dużą prędkością prowadziła swój kabriolet, a pęd powietrza odrzucał jej włosy z czoła, targając je wściekle, albo kiedy paliła papierosa podczas obiadu. Jej dolna szczęka poruszała się pod papierosem, a oczy zwięzały się jak u mężczyzny. Zawsze podróżowała z osobą towarzyszącą, małą Doris, co jeszcze wzmagало egzotyczne wrażenie, jakie wywierała na miejscowej elicie. Powabne, dynamiczne dziewczęta kokietowały ją i wciągnęły do swego kółka niemal wbrew jej woli. Jak donosiła poczta pantoflowa, miłosne wyznania Julia zbywała wzruszeniem ramion, jako śmieszne. Zdaniem Davida, nie miała życia seksualnego, a być może jej partner został w Schenktown. Chłopcy, Wilbur i Morris, którzy jeździli razem z nim na przejażdżki w porze obiadowej, odznaczeni się wiejską łagodnością i taktem, jakby w życiu nie było żadnych podtekstów – jakby te niefrasobliwe wyprawy w środku dnia nie były emocjonującymi ćwiczeniami w zadzierzgiwaniu więzi, sondowaniem własnego tupetu, próbą ucieczki spod nakazów narzucanych w liceum w Olinger i otaczającej je zwartej społeczności bliźniaków z cegły. W Julii było coś negatywnego, jakaś odmowa, co David w niej lubił, nie starając się naruszyć panującej między nimi miłej bezpłciowości. Chyba po raz pierwszy pocałowała

go dopiero podczas owego czterdziestego piątego zjazdu absolwentów.

To upodobanie do przejażdżek po wiejskiej okolicy korzystnie wpłynęło na życie towarzyskie Davida. Studebaker Julii bądź kombi Doris w weekendy zajeżdżały na farmę chłopaka, za pomocą której jego matka chciała wykopać przepaść między jej rodziną i miastem. Uwoziły go w dobranym gronie pasażerów, wśród których znajdowali się nie tylko stateczni kumple z Schenktown, lecz takie rodzynki jak Mamie, Betty Lou i Ann oraz chłopcy, którzy znaleźli uznanie w ich oczach. Dzięki magnetyzmowi Julii i mocy amerykańskiego samochodu wrócił do dawnego trybu życia, do owych tajemniczych, niczemu niesłużących, niczym niedających się zastąpić spotkań, z których zaczęto go wykluczać w piątej klasie. Całą grupą szli pograć w kręgle, spowici kłębamii dymu grali w kanastę, oglądali telewizję, będącą wówczas w powijakach, jechali nad staw, gdzie znajdowała się przystań i trampolina – ot, takie preteksty, żeby się spotkać i pobyć razem, niejasno przeczuwając, że na widnokręgu niebawem pojawią się inne możliwości, które ukształtują i ograniczą ich życie. Dla niego było już trochę za późno, zdążył zaplanować sobie przyszłość po Olinger, idąc w sumie za namową matki. Ale był szczęśliwy, że znowu stał się częścią paczki i zabrał ze sobą w świat dumę z przynależności, z uznania przez otoczenie.

Dopiero dziś wieczorem zdał sobie sprawę, w jak znacznym stopniu owo uznanie było darem Julii, która sama zbytnio go nie ceniła. Odkąd wyrwała się ze szkoły, niewiele wiedział o jej życiu i do niczego ta wiedza nie była mu potrzebna – cóż, mąż z Schenktown, gromadka dzieci, dawka chorób i rozczarowań, która nadaje życiu ów fatalny posmak. Spróbowała tego wszystkiego już jako nastolatka. Ale *wszak, was kann mer duh?* W końcu zostaje nam tylko postawa. Po tych pełnych stukotu korytarzach, które zginęły bez śladu, chodziła wyprostowana, a jej piersi, w staromodnym biustonoszu o wystających konturach, okryte puszystym swetrem, sterczały ostro nad brzuchem tak płaskim i napiętym, jakby wzięła głęboki oddech, by zacząć śpiewać.

Dlatego, widząc ponownie Julię Reidenhauser, poczuł się tak odprężony, postawny i przepełniony wdzięcznością, pewien, że go doceniają. Ale skąd ten nagły impuls, by przedstawić ją żonie? Patrzył, jak krząta się po pokoju w tym motelu na skraju Alton, z wolna zdejmując ubranie, wiesza biustonosz na wieszaku na ręczniki, krzywiąc się z powodu niedostatków wyposażenia tego prowincjonalnego przybytku – w łazience była kawa rozpuszczalna, ale brakowało czepka kąpielowego i olejków – ale to powierzchowna irytacja, niezamącająca spokoju ducha. Kobieta stanowiła krąg, którego ośrodek znajdował się w nieco innym miejscu. David zastanawiał się, czy dożyje pięćdziesiątego zjazdu. Mamie mówiła o nim do mikrofonu, jej głos, sepleniąc dziecinnie, rozwijał niezwykłą wizję – rejs po Chesapeake, a nawet weekend na Bermudach, co po sezonie wcale nie jest takie kosztowne. Chciała, by wszyscy przedstawili jej swoje pomysły w listach. – I podajcie aktualne adresy do wykazu klasowego. Korespondencji nie przesyła się już, rodzice, którzy się tym zajmowali... odeszli. – Pomocy, mówiła, zapadamy się w otchłań

pokoleń. Nie ma już liceum w Olinger, nazwa ta przepadła podczas regionalizacji w latach pięćdziesiątych, a sam budynek szkolny, z korytarzami wyłożonymi woskowaną dębową klepką i napakowany azbestem, został zburzony w latach siedemdziesiątych. Na dwudziestym piątym zjeździe nagrodami w loterii były żółte cegły wyniesione z ruin.

– Może już więcej nie będę cię ciągał na te zjazdy – oznajmił David żonie.

Rzuciła mu udręczone, nieprzytomne, urocze spojrzenie.

– Miałabym przepuścić pięćdziesiąty? Dlaczego? To mili ludzie, naprawdę. Nawet ich lubię, tyle że nigdzie nie jeżdżą.

– Chyba uważają, że już dojechali. Jak ci się spodobała Julia? – Julia wyszła z Doris, zanim zaczęły się tańce i popijawa po kolacji. Najpierw Butch Fogel pokazał stary film, który jego ojciec nakręcił na ośmiomilimetrowej taśmie, z parady z okazji Dnia Poległych w 1937 roku, a potem z ubawu na pustej działce koło kościoła luterańskiego. David patrzył jak urzeczony, wyławiając z migoczących obrazków dawnego nauczyciela szkółki niedzielnej, wymachującego cygarem, łysego doktora, który przyjmował jego poród i, gdy David chorował, przychodził z czarną, składaną torbą, a także, przez przesywający ułamek sekundy, młodzieńczego ojca Davida, pozującego do kamery oraz grubego miejskiego policjanta, który w Boże Narodzenie zawsze przebierał się za świętego Mikołaja i rozdawał pudełka czekoladek, opakowane w czerwony papier. David szukał siebie w szybko przesuwających się gromadach ludzi, ale był wtedy ledwie pięcioletnim brzdącem i pewnie i tak by swojej buzi nie rozpoznał.

– A która to?

– Ta wysoka, z zakrzywionym nosem i koroną siwych włosów.

– Wydawała się trochę ponad to.

– Takie miała podejście. Ale w gruncie rzeczy wcale się nad nas nie wynosiła. – Teraz zrozumiał, dlaczego chciał, by się poznały, by się dotknęły. Był dumny, że znał je obie, jedną i drugą kobietę. Nim spotkał Julię, obracał się wyłącznie w towarzystwie dorastających dziewcząt.

Nowojorskie dziewczę

W owych czasach Nowy Jork wydawał się równie odległy od Buffalo, co obecnie Singapur. Jeździłem tam pociągiem, przez osiem ogłupiających godzin, albo samochodem, trasą nr 17, zatrzymując się w Corning i Binghamton, gdzie mieliśmy klientów, a potem przez Catskills do hrabstwa Westchester. Zatrzymywałem się w hotelu Roosevelt albo Biltmore, do których z dworca Grand Central mogłem przejść spacerkiem z walizką. Nowy Jork to odrębna planeta, odległy brzeg, wzywający, by zacząć tu nowe życie. W domu czas wypełniały potrzeby gospodarstwa, dzieci i żony – Caroline liczyła swe siwe włosy, a przez ciężę nabawiła się żylaków. Tu czas należał do mnie, całe godziny; i nikt mi nie dyktował, jak mam je wypełnić, skoro odbyłem już wszystkie, przewidziane na dany dzień spotkania. Sprzedawaliśmy odlewy metali, głównie stopy aluminium. Naszymi klientami byli głównie producenci ram okien otwieranych pionowo, ale w latach sześćdziesiątych zaczęto produkować metalowe ramy do obrazów, dzięki czemu nawiązałem kontakty z mniej prestiżowymi kręgami artystycznymi. Odwiedzałem galerie, by przekonać się, jakie mają potrzeby i w jednej z nich, na górnym piętrze na West Fifty-seventh Street, poznałem Jane.

Nie była brzydka, ale, wedle ogólnie przyjętych norm, nie mogła uchodzić za piękność. Miała w sobie coś asymetrycznego, nie tylko w uśmiechu, cała jej szczupła twarz o wystających kościach policzkowych i przypudrowanych piegach była nieco przekrzywiona na jedną stronę. Gdy gestykulowała, jej ramiona i ręce wydawały się zbyt długie, jakby wyposażone w dodatkowy staw zawiasowy. Często cofała dłonie, muskając nimi po ciele – może chciała sprawdzić, czy jakaś jego część nie obluzowała się. Ciągłe odrzucała długie, prostowane włosy o matowym, rudawym odcieniu, przywodzącym mi na myśl strużyny ołówka i cedrowy aromat, który rozchodzi się przy wytrząsaniu ich z temperówki. Była ubrana w beżową sukienkę mini z dzianiny i czarne rajstopy, a biodra i uda miała szersze, niż można by sądzić z kościstej, górnej połowy ciała, co w bezlitosnym, jaskrawym świetle przestrzeni wystawowej wzmagało tylko tkliwość w człowieku, dostrzegającym, że coś z nią jest nie tak. Białe ściany obwieszane były pospiesznie namalowanymi abstrakcjami, błękitnymi pigmentami rozsmarowanymi na zagruntowanych na biało płótnach, wszystkich tej samej wielkości, oprawnych w ramki z walcowanej na zimno stali, co przywodziło na myśl rząd łazienkowych luster.

– Nie przyszedłem, żeby oglądać obrazy – usprawiedliwiałem się. – Tylko ramki. Chciałbym się zorientować, czego państwo potrzebują.

– Chyba potrzebujemy czegoś możliwie nierzucającego się w oczy – rzekła, trzepocząc

długą ręką w kierunku ściany, po czym położyła dłoń na kłębie ramienia i uścisnęła go. – Mnóstwo artystów nie toleruje w ogóle żadnych ramek, twierdząc, że wywołują one konkretne nastawienie, chcą, by wisiał surowy obraz, a poza tym, tak czy tak, zwalczają wszelkie prostokąty. Ale zorientowaliśmy się – rzekła, błyskając krzywym, rozbajającym uśmiechem – że rama dodaje klientom pewności siebie. Świadczy o tym, że obraz jest ukończony, że artysta namalował to, co zamierzał.

– Bardziej interesują mnie kształtki – rzekłem, ale Jane już wiedziała, że to ona mnie interesuje. Zgłupiałem, wzniosła się między nami jakaś mgła. W owych nieoświeconych czasach takiego zainteresowania nie uważano za afront, lecz za podstawę odniesienia, którą należy uwzględnić w życiowym równaniu. Oboje z Jane byliśmy nieco po trzydziestce, w wieku, gdy na nowo oblicza się swe życiowe szanse. W Buffalo przeżyłem gwałtowne zauroczenie, zakończone burzliwym rozwiązaniem tej miłosnej intrygi, po czym, jako ojciec rodziny, skromniej oszacowałem szczęście, jakie mogę jeszcze zdobyć w świecie i jakim zdołałbym obdarzyć kobietę, niebędącą moją żoną. Doświadczenie życiowe napełniło mnie pokorą. Ale Nowy Jork to inny świat – nieskończona liczba restauracji, mieszkań, wind, bezmierne ludzkie pragnienia. W domu spodziewano się mnie dopiero późnym wieczorem następnego dnia.

– W sprawie kształtek – rzekła Jane, po chwili niezręcznego wahania, rzuciwszy mi zaniepokojone spojrzenie, które na sekundę przedarło się przez mgłę – może pofatyguje się pan do magazynu. – Tam, w pomieszczeniu zapchanym nieoprawionymi obrazami i niezłożonymi ramami, przykładnicami i nożami, poukładanymi jednak w pewnym porządku, mieścił się jeszcze porysowany stół roboczy i chybotliwe, wysokie stołki, na których przysiedliśmy, zapalając papierosy.

– Czym się zajmujesz, Stan?

Opisałem jej swoją karierę zawodową – niedoszłego inżyniera, który został sprzedawcą odlewów metali. Opisałem ośmiopokojowy dom, rodzinę z trojgiem dzieci, garaż na dwa samochody w Eggertsville i nową, czerwoną odśnieżarkę, która miała przecierać nam drogę przez słynne śniegi nad jeziorem Erie.

– A teraz opowiedz o sobie.

Paliła, jakby nigdy przedtem nie brała do ust papierosa, przysuwając go do warg dłonią wyprostowaną na płask, z palcami odgiętymi do tyłu. Rozgniotła niedopałek w tandetnej, zielonej popielniczce, jakby miażdżyła nadzwyczaj żywotnego robala. – Nie mam na to czasu, skarbie – rzekła, niezgrabnie zeskakując ze stołka. Jej buty, na końcu długich nóg o pełnych udach, były zaskakująco, połyskliwie szkarłatne, jak czerwone paznokcie na czarnych palcach. – Słyszę, że ktoś wszedł. Może chce ukraść obrazy. Muszę ich zachęcić. Mam też dziecko – dodała. – Dziewięcioletniego chłopca. Nie mam męża, samochodu ani odśnieżarki, ale mam kochane, pełne nadziei dziecko.

Tym razem jej wahanie i spojrzenie miało wyraźne przesłanie: teraz mój ruch i to szybko. Teraz ja miałem okazać zakłopotanie.

– A może, może zjedlibyśmy dziś razem kolację? Czy masz coś lepszego do roboty?

Pewnie tak.

Nieco ku memu rozczarowaniu – przewidywałem komplikacje – nie była zajęta. – Chętnie – rzekła, w zamyśleniu odgarniając włosy znad ucha. – A ty? Na pewno chcesz mnie zaprosić?

– A co z chłopcem?

– Zadzwonię po opiekunkę.

– Naprawdę? Tak szybko ją znajdziesz? – W Buffalo dziećmi zajmowały się zagadkowe dorastające dziewczęta, zatopione w świecie marzeń trzynastolatek albo szacowne matrony, wdowy i stare panny, które niezwykle ceniono i trzeba było się do nich zapisywać na całe tygodnie naprzód. Nadal miałem wątpliwości, lecz mgiełka między Jane i mną zagęściła się.

– Naprawdę – nalegała. – Ósma wieczór może być? Nakarmię małego i utulę go. To mój adres – stąd dojdiesz spacerkiem. Spokojnie, Stan – będzie miło.

Jane mieszkała na West Side, dwadzieścia przecznic na północ od galerii, w której pracowała. Tej nocy, albo którejś z następnych, stwierdziłem ze zdumieniem, że po tych ulicach o trzeciej nad ranem krąży mnóstwo taksówek. Sennie wynurzywszy się z ciepła jej łóżka, wyszedłem na Columbus Avenue pełen obaw. Nasze pożegnalne szeptki ciągle syczały mi w uszach, jej ostatni pocałunek wyparowywał pod moim nosem. Ciało miałem bezbronne jak ślimak bez skorupy. Wyszedłem ze względu na chłopca, by się na mnie nie natknął, gdy się obudzi, i na moją żonę, która mogła telefonować do mnie do hotelu, wytrącona z równowagi jakąś domową katastrofą. Caroline na co dzień zachowywała zimną krew, pod którą kryła się jednak pulsująca nerwowość. Trzykrotnie uczyniłem ją matką, po czym co rusz skakałem w bok.

Teraz sam stanąłem na skraju katastrofy – wokół siebie w polu widzenia miałem puste ulice, uliczny bandzior – czy tak ich wtedy nazywaliśmy? – pewnie czyhał gdzieś na mnie z nożem sprężynowym w którejś z mrocznych bram, za schodami z brązowego piaskowca. Ale dwie przecznice dalej migotały światła całodobowej apteki, a aleję ożywiały przeciągające w krótkich odstępach samochody. Po paru minutach pojawiła się taksówka, której światelko na dachu zwiastowało ratunek. W trakcie tych jazd do mojego hotelu zazwyczaj gawędziliśmy z kierowcą – on był rad, że złapał kurs, a mnie język rozwiązywał seksualny triumf i poczucie ucieczki. Podczas owych powrotów przez niemal opustoszałe miasto miałem błogie przeświadczenie, że wszystko idzie jak należy, że wracam w utarte tory. Gdy podjeżdżałem pod hotel, płaciłem taksówkarzowi, nadal czując rozkoszne rozmamłanie, przechodziłem koło obojętnego recepcjonisty do windy i dalej, z pozbawionego okien korytarza do cichego, czekającego na mnie pokoju, gdzie dołączałem do mego, ja”, które tkwiło tu przez cały czas. Łóżko było chłodne, ciasno zasłane, na poduszce spoczywała miętowa czekoladka.

Czasami do mojego hotelu przychodziła Jane. Kiedyś, gdy spodziewając się jej wizyty, nie zapaliłem światła, zapytała, wchodząc: „Czy tu odbywa się orgia?” Kiedy indziej –

właśnie wtedy? Ile razy byliśmy tam razem? – nie mogliśmy otworzyć drzwi, gdy Jane musiała się zbierać. Było to niedorzeczne i przerażające, niewidoczny przedstawiciel organów ścigania uwięził mnie z żywym dowodem mojego przestępstwa. Minęła druga w nocy, Jane już dawno powinna była położyć kres orgii i odesłać opiekunkę do domu. Na sąsiadkę z dołu mogła liczyć zawsze. Niezameżne kobiety w Nowym Jorku wspierały się nawzajem jak siostry w polowaniu na partnera, na którego złowienie szanse miały niewielkie. Mężczyzn – do czegokolwiek zdatnych, wolnych, heteroseksualnych – było niewiele, mniej niż na prowincji, o czym Jane poinformowała mnie na swoją zgubę, gdyż między wyprawami do Nowego Jorku przez całe miesiące żywiłem słodką pewnością, że Jane będzie na mnie czekać, niezmiennie piękna i chętna.

Tajemnica zamkniętego pokoju nigdy nie została całkowicie wyjaśniona. Normy moralne kierownictwa hotelu w owych latach tuż przed rewolucją seksualną były dla mnie niejasne; pełen winy, jąkałem się, dzwoniąc do recepcji. Przez ciągnące się niemiłosiernie długie minuty oboje z Jane byliśmy więźniami, całkowicie ubranymi i odczuwającymi fizyczne znużenie. Nareszcie czarny konserwator otworzył zamek z zewnątrz wytrychem. Speszony, gmerał przy odpornej gałce od wewnątrz, gawędząc z nami, jakbyśmy byli ot taką najzwyczajniejszą, związaną świętym węzłem małżeńskim parą, które zazwyczaj potrzebują jego pomocy. O tej niezwykłej godzinie stworzyliśmy małą społeczność, zwłaszcza on i Jane znaleźli wspólny język, prześcigając się teoriami co do tej mechanicznej zagadki. – To coś na kształt bramki w metrze – powiedziała – trzeba mieć żeton. – Owo poczucie koleżeństwa nowojorczyków przed świtem, którzy gładko i miło włączyli moje cudzołóstwo w niekończący się miejski kołowrót, było dla mnie objawieniem.

Carole poznałem na studiach – na uniwersytecie w Buffalo, zanim został on filią uniwersytetu nowojorskiego. Studiowała matematykę, była bystra, metodyczna, krępa i krągła. Miała okulary o grubych szklach i cienkie, poważne wargi. Od razu zorientowałem się, że będzie godną zaufania partnerką i matką moich dzieci. Moja ocena była słuszną, jako towarzysza życia nie zawiodła moich oczekiwań. Oboje zbyt dużo się uczyliśmy, by znaleźć dość czasu na formalne zaloty, po prostu przez dwa lata przyjaźniliśmy się, a na ostatnim roku postanowiliśmy się pobrać. I tak, gdy wpadłem do którejś z narożnych kwiaciarni na Manhattanie, by kupić całe naręczce czerwonych róż albo może lawendowych mieczyków, po raz pierwszy odegrałem rolę płomiennego kochanka. Moją partnerką w tym przedstawieniu była wiekowa włoska aktorka za ladą z wąsikami nad górną wargą w wystrzępionym swetrze, o stalowosiwych włosach, zebranych w ciasny koczek, w który wbity był żółty ołówek, dając teatralny efekt. W jaskrawym świetle lamp zmysły miałem wyostrzone – z gorączkową ostrością rejestrowałem feerię barw płatków, zwielokrotnioną ich odbiciem w czarnym oknie wystawowym, chłód, wionący od lodówki, w której trzymano kwiaty cięte, a także gniewny, wprawny gest, z jakim występująca ze mną gwiazda wyciągnęła ołówek z koczka i nabazgrała pokwitowanie, po czym wysłała mnie

na ulicę ze stożkiem kwiecica, owiniętym w zielony papier. Za sprawą owego bukietu, który dzierżyłem w dłoniach, zaciągnąłem się do armii anonimowych nowojorskich kochanków. Minąwszy jeszcze parę jasno oświetlonych bram na Columbus Avenue, wstąpiłem do sklepu z alkoholami po litrową butelkę Wild Turkey – najdroższego burbona w granicach moich możliwości. W domu Carole i ja piliśmy Jima Beama, a i to niewiele. Ale tu byłem kimś innym, nadzianym lowelasem. Kwiaty i alkohol – cóż innego mógłbym przynieść Jane, w co przybrać mą wdzięczność? Seks opłacony, choćby i niedostatecznie, był lepszy – wyrazistszy, bardziej otwarty, gwałtowniejszy – niż seks małżeński, który miał wkraść się w nasze stosunki za darmo. Za rzadko wpadałem do sklepu z alkoholami – cztery czy pięć razy do roku – by właściciele, dwaj srodzy bracia, witali się ze mną, ale po roku dostrzegłem jakiś błysk na ich nieufnych twarzach, coś na kształt podejrzania, że powinni mnie znać, że jestem stałym klientem. Może wyróżniała mnie aura zalotnika. Mogłem uchodzić za młodego żonkosia, który dopiero się wprowadził i wciąż jeszcze napawa się urokami wspólnego zamieszkania.

Moje wspomnienia owiane są poczuciem szczęścia, zapewne przeżywanego wyłącznie w wyobraźni. Kiedyś, w styczniu, stałem przy frontowych oknach Jane, patrząc na czubki rzędu jaworów; zsuwający się mokry śnieg kładł białe półksiężycy na każdym okrągłym sęczku, a w mieszkaniu rozbrzmiewała donośna muzyka karylionów, dobywająca się z ludzkich gardeł – to Swingle Singers wykonywali fugi Bacha, na płycie, którą Jane dostała na Boże Narodzenie, nie pytałem od kogo – i byłem tak szczęśliwy, że łzy napłynęły mi do oczu. Moje ciało, owinięte luźnym, wełnianym szlafrokiem Jane, było wypchane duchową wełnistością ukontentowania. Z tyłu za mną, nieopodal w kuchni, nakrywała dla nas do śniadania. Paraboloidy soku pomarańczowego i walec marmolady jaśniały wewnętrznym światłem. Aromat piekących się muffinek przecinał się z widokiem śniegu, przylegającego do strąków sykamora. Ta poranna chwila rozlewała się, szerzej i szerzej, Bach atakował ją wciąż na nowo, nigdy nie mając dosyć. Jeffrey, syn Jane, był u kolegi czy u ojca, tak że tym razem mieliśmy mieszkanie dla siebie. Spędziłem w nim noc, zakładając, że telefon w hotelu nie zadzwoni. Jane mierzyła mniej więcej tyle samo wzrostu co ja, toteż mogłem włożyć jej szlafrok. Za nic nie wcisnąłbym się w szlafrok drobnej i smukłej Carole. W Jane uwielbiałem obfitość, było jej tak dużo – biodra tak szerokie, że chodziła, kołysząc się na boki, rude włosy z nitkami siwizny, które zawsze opadały mi na twarz, kanciaste, pokryte meszkiem ramiona, nogi, sięgające rogów łóżka. Było to pojedyncze łóżko, w którym źle nam się spało; chrapaliśmy sobie w twarze i umykaliśmy przed szturchnięciami.

Jej mąż był artystą, nie wiodło mu się tak dobrze, by łożył na dziecko albo bym coś o nim słyszał, ale też nie tak źle, by odrzucił swą artystyczną aureolę. Nienawidziłem jej znajomych artystów i zazdrościłem im – loftów i hulank, odpuszczenia sobie codziennej harówki, uroku istot nie z tego świata. Jeffrey, dziewięcio-, a potem dziesięcioletek o sarnich oczach był poważny i uprzejmy, może dlatego, że widywałem go tylko wtedy, gdy szykował się do łóżka, a ja porywałem jego matkę. Wysokie okno maciupkiego pokoiku chłopca wychodziło na południe, na światła śródmieścia, wspinającą się coraz wyżej masę

prostokątów – widok jak z tysiąca i jednej nocy, za który czułem pokorną wdzięczność – rabuś z prowincji bezprawnie zgarniający drobiazg z takiej wystawy, wyrrywający dla siebie cząstkę tych wspaniałości.

W szkole Jeffrey okazał się chłopcem nad wiek rozwiniętym, co napawało Jane dumą. Rozmawialiśmy od czasu do czasu, miałem wrażenie, że odnosi się do mnie z przebiegłą uległością, ostrożną nadzieją. Na co dzień żył samotnością swej matki, dzięki mnie atmosfera nieco się zmieniała. Miał jaśniejsze włosy niż Jane; spiczasty podbródek, blada skóra i różowe policzki nadawały mu wygląd małego Anglika, po ojcu, o ciemniejszej karnacji, odziedziczył jedynie sówie, brązowe oczy i czarne brwi. Czytał dużo Tolkiena i C.S. Lewisa, w szkole nieco kłopotu sprawiało mu dodawanie ułamków o różnych mianownikach. Spośród mężczyzn, przewijających się na marginesie jego życia, chyba tylko ja miałem dyplom inżyniera.

– Tak starannie piszesz cyfry! – wykrzyknął pewnego dnia, gdy zacząłem poduczać go wspólnych mianowników.

– Tak trzeba. Jak masz je nabazgrać, to już lepiej w ogóle daj sobie spokój. Twoje „4”, z zamkniętą górą, za bardzo przypomina „9”.

– Ale Stan, w książkach wszystkie „4” są zamknięte.

– W książkach przechodzi mnóstwo rzeczy, które w życiu nigdy by nie przeszły – pouczyłem go po ojcowsku. Czułem się mile połączony, że „Stanem” nazywa mnie chłopiec w wieku moich własnych dzieci. Na chwilę stałem się członkiem tej rodziny, ale to członkostwo utkane było z anielskich włosów, wiotkie, pozbawione wagi prawdziwych więzów rodzinnych. Na chwilę stałem się czarodziejem, dostosowując się do ich czaru, tak niepewnie wiszącego w powietrzu, pomiędzy wierzchołkami sykamorów i rzędami płonących świateł drapaczy chmur.

Jane umeblowała swoje mieszkanie tanim kosztem, ściany obwieszane były nieseryjnymi rycinami bez ramek, rolę pomocników pełniły stopy książek o sztuce i katalogów. Czułem się tu sprawny jak nigdzie indziej, zwinny, cichcem wykradałem szczęście z tych pokoi, a potem wyslizgiwałem się przez drzwi, do windy (jak głośno waliły drzwi i dudniły mechanizmy w tym głęboko śpiącym budynku!) i dalej, na opustoszałe ulice, które z tajemniczą chyżością podstawiały mi wałęsającą się taksówkę o płonącym trzecim oku.

Przygody! Przygody z Jane. Musieliśmy coś zjeść. Gdy konserwator wypuścił nas wreszcie z pokoju hotelowego, oboje byliśmy wygłodniali i zaszliśmy do całonocnego baru na East Forty-second Street. Poczułem się, jakbym wchodził do ekskluzywnej restauracji z seksbombą pod rękę. Towarzysząc Jane do restauracji, czułem się wybrańcem losu. Nigdy nie zamawialiśmy stolika – nie lubiłem zmagać się z soczystymi głosami o obco brzmiącym akcencie w znanych knajpach, jak La Côte Basque czy coś w tym rodzaju – ale Nowy Jork obfitował w na pół puste, anonimowe restauracje, gdzie witają cię jak wyczekiwanego gościa – starszy kelner promieniał na widok Jane w minispódniczce i opadających, rudawych włosach, przetykanych nitkami siwizny. Pamiętam drogi szwedzki stół na East

Fifties, knajpę, której specjalnością były steki, urządzoną w teksańskim stylu, o dużych oknach, wychodzących na Third Avenue; restaurację rybną, gdzie jadło się na drewnianych stołach, na południe od placu Waszyngtona. Przedstawienia na Broadwayu trwały zbyt długo, by tracić na nie cenny czas, który mogliśmy spędzić razem, ale Jane zaciągnęła mnie w ponure okolice Thirties na jakiś film, zrealizowany poza nurtem oficjalnym, a także na sztukę o grupie narkomanów, siedzących i czekających, aż zjawi się ich „łącznik”. Tuliłem ją w czasie spektaklu, którego przesłanie, o beznadziei, o uzależnieniu, skierowane było jakby do nas, miało zwerbować publiczność w szeregi rozproszonych żołnierzy rebelii w latach poprzedzających wojnę w Wietnamie. Ale Jane ostentacyjnie nie reagowała, choć jej rozsypane włosy muskały mi policzki, od czego przechodziły mnie ciarki, jakby chciała dać mi do zrozumienia, że ze swym romantycznym podejściem zbyt łatwo sobie to wszystko odpuszczam.

Nie przypominam sobie, by film artystyczny miał jakąkolwiek fabułę, pamiętam jedynie mnóstwo powolnych, ziarnistych ujęć panoramicznych i nerwowy, surrealistyczny kolaż, obejmujący szybki, parokrotnie powtarzany akt fellatio, aż Jane wyrzekła na głos „Uu...aa” prosto w moje ucho. Akt był inscenizowany za pomocą sztucznego penisa, zmontowanego z twarzą młodej kobiety, nie zaś odegrany jak gdyby nigdy nic, co zrobiono by parę lat później. W owym czasie było to śmiałe posunięcie, podobnie jak śmiała była Jane, gdy, nieco niezgrabnie, przestraszyła mnie, niespodziewanie zsuwając się na łóżku, by dotknąć ustami czubka mego wyprężonego członka, niczym mała dziewczynka, która pod wpływem nagłego impulsu składa pocałunek na łysej głowie ukochanej lalki. Pocałunek był szybki, lekki i najwyraźniej przestraszył ją tak samo jak mnie, pozostał w mojej pamięci jako odosobniona chwila, oświetlona poblaskiem kwiaciarni – moment wilgotnej, skrytej intymności, wyczekujących, miękkich płatków. Nie nalegałem, by powtórzyła ten gest, wypłynął on z nadmiaru uczuć, których nie miałem prawa wymuszać. Mogłem brać, ale nie mogłem się domagać.

A co ona otrzymała ode mnie? Lekcję posługiwania się pałeczkami. Weszliśmy do nazbyt bogato przyozdobionej, lecz słabo oświetlonej chińskiej restauracji na Lexington Avenue, gdzie ściany wytapetowane były na złoto, a siedziska miały kolor szafirowy. Podano pałeczki w małych, papierowych pochawkach, lecz Jane sięgnęła po nóż i widelec, które również leżały przy talerzach. – Inni twoi wielbiciele pozwalali ci na to? – zapytałem.

Zarumieniła się i najeżyła, jakby broniąc się przed atakiem.

– Inni moi wielbiciele, jak ich nazywasz, nie zabierają mnie zbyt często do chińskich restauracji.

Starłem się nie dopytywać o jej życie podczas tych długich okresów, gdy mnie przy niej nie było; wolałem nie wiedzieć zbyt wiele, a i ona chyba nie miała za dużo do opowiadania. – Pewnie uważają je za nie dość szykowne – powiedziałem oskarżycielskim tonem, broniąc się przed jej ewentualnym atakiem. W Buffalo do chińskiej restauracji zabieraliśmy dzieci, by sprawić im przyjemność, gdyż tam dawały się łatwo poskromić, albo nudne pary, zaprzyjaźnione z Carole. Łagodniej już powiedziałem: – Srebra nie idą w

parze z chińskim jedzeniem. To nic trudnego. – Odwinąłem pałeczki Jane i ująłem w dłoń jej długą, piegowatą, giętką rękę. Dziewczyna wydawała się lekko przerażona. Na chwilę ujrzałem swoje odbicie w zwierciadle jej umysłu: przerażający mężczyzna, o wielkich łapskach, które mogą zadać powalający cios. Wyjaśniłem, jak posługiwać się pałeczkami: – Jeden opierasz o tak, o palec, by kciuk go przytrzymywał, a drugi trzymasz między tymi dwoma, jak ołówek. Widzisz, jak nimi poruszać? Pałeczkami możesz zgarnąć wszystko, od pojedynczego ziarnka ryżu po kawałek wołowiny w sosie słodko-kwaśnym.

– Już umiem! – oznajmiła po chwili. – To fantastyczne. Au. A niech to.

– Z ryżem jest najtrudniej. Złącz je. Chińscy chłopcy posługują się nimi jak łopata.

– Jestem już po trzydziestce – rzekła – i do głowy by mi nie przyszło, że nauczę się jeść czymś takim. Ludzie dookoła wymachują nimi tak swobodnie. Dzięki, Stan.

Jej podziękowania przyjąłem z dumą. Wątpię, czy Jeffrey naprawdę nauczył się sprowadzać ułamki do wspólnego mianownika, ale pragnę wierzyć, że Jane dzięki mnie aż do śmierci będzie umiała się posługiwać pałeczkami.

Tracę ją. Mgła, która zawisła między nami przy pierwszym spotkaniu, w otocze oślepiających niebieskich gryzmołów, może pochłonąć wszystkie szczegóły. Pałeczki, taksówki w głębi nocy, ja jako ucieleśnienie podekscytowanego mężczyzny, kupującego kwiaty dla ukochanej – co jeszcze zachowałem w pamięci? Wiele rozmawialiśmy, padło między nami tysiące słów, ale o czym? Mieliśmy całkiem odmienne doświadczenia, a gdybyśmy zbyt rozgadali się o naszych małżeństwach, potknęlibyśmy się na tym, że jej się rozpadło, a moje trwa. Kiedyś, gdy wszedłem w nią po dłuższej niż zazwyczaj przerwie, wydyszała mi w ucho: „Wrócił do domu”, co niemal pozbawiło mnie męskich sił, bo było tak przeraźliwie smutne i nieprawdziwe. Mój dom znajdował się w Eggertsville, tam, gdzie było troje moich dzieci, komplet mebli, gdzie w każdy sobotni wieczór odbywały się przyjęcia, gdzie w niedzielne poranki chodziłem na męską partię tenisa, a Carole na zajęcia chóru metodystów. Powab Jane krył się właśnie w tym, że *nie* była domem, że spowijał ją czar egzotyki.

Nowy Jork za mną nie tęsknił i wydawało mi się, że Jane również nie wypłakuje za mną oczu. A jednak, tłumacząc swój łzawy nastrój – Jeffrey miał gorączkę, nie chciała go zostawiać z Brendą z dołu, więc siedzieliśmy razem, w ubraniach, w pokoju z widokiem na wierzchołki sykamorów – Jane wypsnęło się:

– Tak, ale ty nie pędzisz codziennie do skrzynki w nadziei, że przyszedł list z Buffalo.

Jej listy do mnie, które przysyłała na adres mojego biura w fabryce, wprawiały mnie w zakłopotanie, a sekretarka wydziału, kładąc mi na biurku kopertę, zaadresowaną zamaszystym, okrągłym pismem Jane, robiła dziwną minę. Walka o utrzymanie galerii, wernisaż Roberta Motherwella czy innej artystycznej sławy – szczegóły z jej świata, gdy mnie w nim nie było, zdawały mi się miłą i nierzeczywistą. Szczegóły z mojego mogły ją do mnie zrazić, gdyż odmalowywały żywot mniej samotny niż jej. W Buffalo miałem wszystko, czego potrzeba do życia z wyjątkiem niej, mojej nowojorskiej dziewczyny,

wtulonej w moją świadomość niczym ciastko po obiedzie, miętówka na poduszce. – Niewiele mam ci do powiedzenia – oznajmiłem jej. – Tylko tyle, że cię uwielbiam.

– Uwielbienie zakłada dystans, zgadza się? – Jane miała surowy wyraz twarzy, który przybierała na widok przypadkowych przechodniów, zachodzących do galerii, by się ogrzać w chłodny dzień. Niezgrabnie rozgniotła papierosa, dopalonego aż do szkarłatnego filtra, w modnej popielniczce z nieszkliwionej gliny, spoczywającej na stosie książek o sztuce. Zaraziła się od Jeffreya i ciągle pochrząkiwała.

– Ale chyba mało cię interesuje – zapewniłem ją – któremu z moich dzieci ukradziono rower albo który pies zdechł.

– Tak myślisz?

– Albo w jaki sposób Carole złapała gumę, przewożąc dzieci z sąsiedztwa swoim kombi czy jak strasznie spił się ktoś tam na dość drętwym przyjęciu u kogoś tam.

– A z tą kobietą, dla której o mały włos nie zostawiłeś Carole, widujesz się jeszcze?

– Z Altheą Wadsworth? Czasami, przy wielkich okazjach.

– Udajemy, że nic takiego się nie zdarzyło. Życie musi toczyć się dalej.

– Chyba musi, owszem.

Nie podobał mi się zaczepny ton tej rozmowy, toteż podszedłem do frontowego okna, zastanawiając się, czy aby nie po raz ostatni oglądam te wierzchołki drzew. Od i północy widać było kilka wieżowców, ulice, opadające coraz niżej, i okna domów. Prawie jak w Buffalo, na Seneca Street.

– Z tą Altheą naprawdę cię wzięło. Mało co nie zostawiłeś dla niej Carole.

Irytowało mnie trochę, że Jane zna imiona tych kobiet. Powściągnąłem chęć wyjaśnienia jej, że widziałem, jak Althea radzi sobie z rolą żony i matki w podmiejskiej dzielnicy – że doskonale mogłaby wskoczyć na miejsce Carole. Wiedziałem, jakie przywiezie ze sobą meble. Meble Jane były nieokreślone – jak samo miasto, wszechświat anonimowych światła.

– Owszem, i przysięgałem, że więcej tego nie zrobię. Zadałem wszystkim mnóstwo bólu.

Jeffrey zaczął pokastywać w drugim pokoju – suchym, delikatnym kaszlem jedynaka – i Jane poszła do niego. Słyszałem mamrotanie, gdy nacierała mu plecy. Zaczęła śpiewać. Dotąd nie słyszałem, jak śpiewa. Miała słodki głos, piskliwy, lecz szczerzy, z nieoczekiwanym, wiejskim zaśpiewem. „Jesteś moim słońkiem, mym jedynym słońkiem” – śpiewała cicho Jeffreyowi. „Ty dajesz mi szczęście, gdy niebo jest szare”.

Po jakimś czasie, gdy chłopiec usnął, wróciła do mnie i powoli, poruszając się z niezgrabną gracją jelenia, o wysoko osadzonym zadzie, zdjęła ubranie. Kochaliśmy się na jej kanapie, pokrytej gumą piankową, na chwiejnych chromowanych nóżkach, a potem zjedliśmy sześć opiekanych bajgli i dwa ćwierćlitrowe opakowania twarożku. Chyba wtedy spałem z nią ostami raz, ale głowy bym nie dał. Oddalaliśmy się od siebie stopniowo. Wyrobom z wytłaczanego aluminium zagrażała ostra konkurencja zagraniczna – Korei i Tajwanu, po wszystkim, co dla nich zrobiliśmy – a komplikujące się sprawy w Buffalo coraz bardziej mnie pochłaniały, w pracy i na polu towarzyskim, toteż przestałem

szukać pretekstów do podróży na Manhattan.

Byliśmy już z Altheą niespełna piętnaście lat po ślubie, gdy ponownie spotkałem Jane, w Rochester. Akurat w Rochester, pośrodku zimy, przy jednym z wejść do centrum handlowego w śródmieściu, gdzie stał słup totemiczny i zegar, w którym pokazywały się figurki. Było już po Bożym Narodzeniu i zwały śniegu zbiły się w warstwy brudnego, pofałdowanego lodu, twardego jak stal. Jane towarzyszył jasnowłosy chłopczyk, którego wziąłem za Jeffreya, ale, naturalnie, Jeffrey musi już mieć ze dwadzieścia parę lat. Chłopczyk ciągnął ją, mimo że kącik ust odchylił się jej w krzywym uśmiechu, a ja nie mogłem przemówić słowa, ponieważ wzniosła się między nami dawna mgła, choć Jane wyraźnie zbrzydła. Przytyła. Jej twarz kobiety w średnim wieku była okrągła i czerwona. Miała na sobie wełnianą czapkę i czarne, pikowane palto, które podmiejskie matrony traktują jak swój strój roboczy. Przywarły doń strzępki psiej sierści i chyba parę źdźbeł słomy.

– Boże drogi, Jane – rzekłem, uchylając się od mocnego, aż nazbyt pewnego siebie uścisku, którym mnie obdarzyła przez warstwy naszych zimowych okryć. – Co ty tu robisz?

– Mieszkam tutaj – oznajmiła. – Dokładnie w Irondequoit. Kupiliśmy starą farmę.

My? Nie chciałem drążyć tego tematu.

– A od... od kiedy?

– Och, będzie z dziesięć lat. To jest Tommy.

– A co z Jeffreyem?

– Mieszka w Taos i próbuje zostać malarzem, biedactwo. Boże, jak się cieszę, że udało mi się skończyć z tymi artystycznymi pajacami. Samolubne, infantylne dupki. Ken pracuje u Kodaka – jest chemikiem. Poznałam go tak jak ciebie – usiłował sprzedać galerii jakiś proces produkcyjny.

– Jaki proces, chciałem po prostu zerknąć na kształtki. Ale jak sobie dajesz radę, Jane? Nie żal ci Nowego Jorku?

Położyła mi na dłoni wielką łapę w grubej, czarnej rękawicy i nawet przez podbitą wełną skórę czułem trafność tego ruchu, wróciła aksamitna trafność, faktura młodości, gdy świat daje nam jeszcze szanse. W obecności Jane poczułem strach przed śmiercią, jaki mężczyzna odczuwa przy kobiecie, która niegdyś się przed nim otworzyła, lecz nie jest już dlań dostępna.

– Nienawidziłam Nowego Jorku, za wszelką cenę chciałam się stamtąd wyrwać. Wiedziałeś o tym, Stan. Dlatego się spłoszyłeś.

– Ja...

Ale obce dziecko ciągnęło ją do centrum, ku jakiejś atrakcji, którą żywo widziało w swej wyobraźni, niezdarnie szarpiąc matkę za rękę. Machając tą ręką w powietrzu, rzekła z naciskiem:

– Nic nie mów, słonko. Chcę tylko, żebyś był szczęśliwy.

Mój ojciec na skraju kompromitacji

Przenikał nawet do moich dziecięcych snów, ten strach. Strach, że mój ojciec ześlizgnie się ze stromego stopnia szacowności, stopnia, na którym wszyscy wraz z nim staliśmy. „Wszyscy”, którzyśmy byli na jego utrzymaniu – moja matka, jej rodzice, ja. Dom, w którym mieszkaliśmy, był dla nas za duży – kupił go dziadek w 1922 roku, gdy zarobił już tyle, że mógł pójść na emeryturę. W ciągu dziesięciu lat krach na giełdzie pochłonął wszystkie jego oszczędności. Siedział w kącie swego wielkiego domu, w najbardziej słonecznym pokoju, wychodzącym na podwórze od frontu, żywopłot i ulicę, z której dochodził pomruk pojazdów. Babka, zgięta ku ziemi i pokręcona artretyzmem, kuśtykała po kuchni i podwórzu za domem, gdzie uprawiała groszek i hodowała kurczaki. Matka zaszywała się na górze, przy biurczku o bokach z wikliny, gdzie nie należało jej nachodzić, a ojciec zazwyczaj przebywał gdzieś na mieście. Ten wysoki, długonogi mężczyzna musiał ciągle być w ruchu. Zajmował się sprzedażą angielskiej porcelany wysokiej jakości i, jako komiwojażer, krążył między Stanami i Wielką Brytanią. W roku, w którym przyszedłem na świat, stracił tę posadę i dopiero po trzech latach udało mu się otrzymać pracę nauczyciela licealnego. Dla niego był to niespokojny czas, lecz w mojej dziecięcej pamięci przechowało się zaledwie parę, przysypanych warstwą lat, zapachów i obrazów. Ojca widzę właśnie jako nauczyciela: na co dzień w garniturze, w kieszonce koszuli trzymał paczkę papierosów, ołówek automatyczny i wieczne pióro. Był w mieście ważną osobą, a przynajmniej tak mi się wydawało, i zapewne to świadomość jego wysokiej pozycji zasiała we mnie lęk, że spadnie z piedestału.

W jednym z koszmarów, jakie musiały zrodzić się w mojej głowie pod wpływem historyjek obrazkowych z gazet okresu Wielkiego Kryzysu, widziałem ojca wsadzonego do beczki, którą zrzucają ze schodów ratusza wrzeszczące widma miejscowych notabli. Tłum zaczął ciskać w niego czym popadnie, a moje próby wyjaśnień, prośby o litość, uwięzły mi w gardle. W dzisiejszych czasach, gdy buduje się długie i wąskie centra handlowe oraz miasta, funkcjonujące jedynie jako granice na mapie zagospodarowania terenu, trudno sobie wyobrazić, jak majestatycznie prezentowało się wąskie grono włodarzy ówczesnych miasteczek, przynajmniej w oczach dziecka – jaka siła słuszności i moc jej narzucania promieniowała z pozbawionych iskry humoru twarzy najważniejszych osobistości grodu. Nie byli to koniecznie najwyżsi urzędnicy, nasze miasteczko było zbyt małe, by stanowili oni znacniejszą grupę. A stanowisko komendanta policji zajmował radosny, komicznie mały człowieczek, który w nikim nie wzbudzał obaw, nawet w pierwszoklasistach, których przeprowadzał przez ulicę w drodze do szkoły. Ale pewni miejscowi kupcy, kilku

duchownych, przedsiębiorca pogrzebowy, którego rezydencja, z zielonymi markizami, była najbardziej okazałą budowlą na głównej przecznicy, naprzeciwko zajazdu i drogerii, a z innych mężów także drogista i dyrektor szkoły, w której uczył mój ojciec, samą swą postawą nasuwali myśl o władzy potępienia i wygnania.

Aby tę władzę uzyskać, trzeba było urodzić się w naszym mieście lub przynajmniej w pobliżu, a ojciec nie mógł się tym poszczycić. Jego akcent, zasady, którymi się kierował, nieco się różniły od miejscowych. To była Pensylwania, a on pochodził z New Jersey. Moja matka urodziła się w tej okolicy i niewykluczone, że poślubiła mojego ojca, by się stąd wyrwać. Ale przed sześćdziesięciu laty ziemia miała większą siłę przyciągania niż obecnie, przykuwała człowieka do siebie. Los, czy klęska, przywiodły moich rodziców do domostwa dziadka, w którym tylko ja, wzrastając tam od małego, czułem się jak w domu.

Byłem dumny z mego ojca – nauczyciela. Z braku obycia nie zauważałem, że garnitur miał nieodprasowany, a krawat przekrzywiony. Włosy szczywał do tyłu i, modą swego pokolenia, przedziałek robił prawie pośrodku. W kuchni pospiesznie wlewał w siebie sok pomarańczowy (wyciśnięty w szklanym, rowkowanym naczynku w kształcie sombrera i precedzony przez sitko), odgryzał kawałek grzanki (opiekacz to zwykła cynowa budka ze szczeliną i skośnymi bokami, którą stawiało się na palniku gazowym, a grzanki przypiekały się w brązowe paski tylko po jednej stronie naraz), po czym wypadał z domu w takim pośpiechu, że krawat powiewał mu nad ramieniem; pędził przez podwórko, koło winorośli, obwieszonych buczącymi pułapkami na japońskie trzmielce, do budynku z żółtej cegły, o wysokim kominie, z rozległymi boiskami wokół. Tutaj prowadził lekcje. Choć w mieście działało parę zakładów, produkujących wyroby pończosznicze i kapelusze, poutykanych wokół kwartałów szeregowych domków, liceum było najbardziej imponującym budynkiem w polu mojego widzenia. Dla mnie stanowiło ośrodek wszechświata. Ponieważ ojciec był wybijającą się postacią w miasteczku, dzięki niemu i ja stałem się rozpoznawalny, co napawało mnie nieskrywaną radością. Jego koledzy z grona nauczycielskiego witali mnie na ulicy uśmiechem, inni dorośli też najwyraźniej kojarzyli moją osobę i traktowali z ironiczną wyrozumiałością. Ojciec mało pił – miał delikatny żołądek nerwicowca – ale na polu towarzyskim zachowywał się z pijacką nieobliczalnością. W przeciwieństwie do reszty domowników, potrzebował ludzi, wierzył w ich mądrość i hojność. I tak mieszkaliśmy pod jednym dachem – czworo odludków i ekstrawertyk. Wzorując się na matce, wcześniej nauczyłem się samotnie spędzać czas, kreśląc na papierze wszelkie obrazy, jakie tylko nasuwała mi wyobraźnia. Gdy szkoła – podstawówka na drugim końcu miasta, idąc główną ulicą – przyjęła mnie w poczet uczniów, wobec kolegów czułem nieśmiałość.

Ojciec nazywał mnie „młodą Ameryką”, choć nie byłem tak przemądrzały, jak mu się wydawało. Długi, rozwidlony kij, który sam wystrugał, wbijał w tył mojego czerwonego samochodziku i pełgał po ulicach, tak że wystarczyło, bym siedział w środku i kręcił kierownicą. Po moich narodzinach kolejne już nie nastąpiły. Moja sypialnia mieściła się w wąskim pokoju od tyłu, gdzie stała półka na książki, a na ścianach wisiały oprawne

ilustracje Vernona Granta do wierszyków dla dzieci. Okna wychodziły na podwórze za domem, a sypialnia rodziców znajdowała się obok. Słyszałem ich nocne rozmowy, choć nie rozróżniałem słów; syk nieszczęścia, niezrozumiałe napięcia przechodziły przez ściany. „Ten sukinsyn” – mówił ojciec o kimś, czyjego nazwiska nie złowiłem uchem. „Chce mnie dopaść” – słyszałem. Kim może być ten jego wróg, zastanawiałem się, podczas gdy wyższy, bardziej rytmiczny głos matki starał się łać balsam na ranę, jakakolwiek by ona była. Ich głosy kołysały mnie, aż zasypiałem, otoczony zabawkami, dziecinnymi książeczkami, stosami rysunków, wykonanych kredkami na szorstkim, burym papierze, który otrzymywałem w szkole i postaciami Vernona Granta, górującymi nad półką – było to grono beztroskich, długonosych aniołów, które mieszkały w ogromnych butach i turlały się z pagórka. Czułem, że papier mnie ochroni. Czasami z pokoju rodziców dochodziły kłótnie, stłumione szlochy mojej melodyjnej matki i perkusyjne dudnienie ojca; te kłopoty przypominały burzę, która szalała po domu i huczała przez pół godziny, po czym wzbijała się w niebo i odchodziła na wschód, w kierunku Filadelfii.

Jednym źródłem kłopotów był niejaki Otto Werner, który swe nazwisko wymawiał z niemiecka. Nawet pośród pensylwańskich Niemców wybijał się jako szczególnie germański typ, ze swą szczotką wąsów, złośliwym błyskiem w oku, postawą sztywną jakby kij połknął i raptownymi ruchami. On również był nauczycielem, ale nie z naszego miasteczka. Wraz z moim ojcem w weekendy i latem jeździli półtorej godziny do Filadelfii, by robić dyplom magisterski. Jako magister, ojciec otrzymałby parę tak niezwykle potrzebnych dolarów podwyżki.

Pierwszy skandal wywołał Otto, gdy stojąc na stopniach biblioteki Van Pelta na uniwersytecie pensylwańskim, wykrzykiwał: „Heil Hitler!”. Stany Zjednoczone nie prowadziły wówczas jeszcze wojny i proniemiecki Bund otwarcie spotykał się w pobliskim miasteczku Alton, niemniej był to niebezpieczny wyskok. Ojciec przyznawał, że Otto był „wolnym duchem”. Jednakże on miał samochód, a my nie. W najwcześniejszych wspomnieniach utkwiał mi zielony model A, którym ojciec niegdyś jeździł, ale wóz ten zniknął gdzieś tak w latach trzydziestych. W mieście o tak ciasnej zabudowie, że wszędzie można było dojść w przeciągu kwadransa oraz w regionie gęsto poprzecinanym siecią trolejbusów i pociągów, nie odczuwano dotkliwie braku auta, a gdy wybuchła wojna i tak nie można było dostać benzyny.

Gorszy skandal niż „Heil Hitler!” związany był z uczennicą liceum. Mój ojciec zaniósł jej parę liścików od Otta, po czym okazało się, że były to listy miłosne i ojciec został oskarżony o współudział w deprawacji nieletniej. Wmieszali się w to rodzice dziewczyny, poinformowano też radę szkoły. Mojego ojca mogli wyrzucić z pracy i ciągać po sądach za uczestnictwo w tej hecy. Nocami, leżąc w łóżku, słyszałem szepty rodziców, urywane, czasami buchające głośniej, jakby coś się smażyło, czułem żar, słyszałem, jak ojciec przewraca się w udreće, a reszta dorosłych w domu wstrzymuje dech. Czy dochodziło do schadzek, czy umawiali się na nie za pomocą liścików, dostarczanych przez ojca? To do niego podobne, zawsze wyświadczał ludziom niepotrzebne przysługi. Pewnego razu,

podczas zamieci, wyszedł, by przeprosić swego ucznia za to, że w czasie lekcji stracił do niego cierpliwość czy rzucił sarkastyczną uwagę. – Nienawidzę sarkazmu – powiedział. – Wszyscy tutaj się nim posługują, ale nieboraka, który stanie się celem takiego ataku, boli jak diabli. Biedny dzieciak, myślałem, że zasmrodził pracownię, żeby mi dopiec, ale po namyśle doszedłem do wniosku, że powodowała nim czysta głupota. – Prowadził lekcje chemii, które nastroczały mnóstwo okazji do rozlania, tłuczenia, smrodzenia i drobnych eksplozji.

Skandal z dziewczyną jakoś się rozmył. Być może liściki były niewinne. Być może przekonał dyrektora i radę szkoły, że przynajmniej on jest niewinny. Romans musiał się zawiązać, gdyż po roku czy dwóch dziewczyna ta, która tymczasem zdążyła skończyć szkołę, poślubiła Ottona. Małżonkowie przenieśli się na południowy zachód, ale od czasu do czasu odwiedzali rodziców. Gdy matka owdowiała i zamieszkała sama na farmie, dziesięć mil od miasta, przyjeżdżali do niej z wizytą podczas corocznych pielgrzymek na wschód. Choć pani Werner była piętnaście lat młodsza od męża, wcześniej przytyła i osiwiiała, tak że różnica wieku coraz mniej rzucała się w oczy. Kupili wóz kempingowy, stawali przy stodole, a Otto kuśtykał przez podwórze, by wesoło przywitać się z matką. W oku nadal błyskała mu ta figlarna iskierka. Matka również witała go z radością, najwyraźniej zapomniawszy, ilu przysporzył jej zgryzot. Wspominając stan gorączki w naszym domu, strach, o który nas przyprawiała historia z Ottonem, pominąłem rzecz najciekawszą – miał on tylko jedną nogę. Druga to beżowa proteza i właśnie stąd brał się jego podrygujący chód, ostre szarpnięcie przy każdym kroku, jakby podrzucał coś prawym biodrem. Przez tę ułomność wydawał się mniej niebezpieczny – czy można karać jednonogiego człowieka za to, że wykrzykiwał „Heil Hitler!” albo że zapalał uczuciem do podlotka z innej szkoły?

W obiegu były głównie dziesięciocentówki i ćwierćdolarówki. Hamburger kosztował dziesięć centów, tak samo jak bilet do kina, póki podatek wojenny nie podwyższył ceny do jedenastu. Był ostatni rok wojny, za miesiąc mieliśmy świętować dzień zwycięstwa, za miesiąc Hitler – puuf. – wysadzi się w powietrze w swym podziemnym bunkrze, a ja skończyłem trzynaście lat i stara pani Naftziger, siedząca w oszklonej kasie, jakimś sposobem się zorientowała. Dorosły bilet kosztował dwadzieścia siedem centów – zbyt drogo, bym mógł sobie nań pozwolić dwa razy w tygodniu.

Gospodarowanie finansami w domu dziadka na pierwszy rzut oka wydawało się proste: co dwa tygodnie ojciec przynosił pensję w brązowej kopercie, po czym całą sumę wrzucano do biało-czerwonego pudełka na przepisy kulinarne, stojącego na blacie lodówki. Gdy ktoś potrzebował pieniędzy, po prostu je wyjmował, mnie przyznano sześć centów na drugie śniadanie, pięciocentówkę i centa, za które, w drodze powrotnej do szkoły, kupowałem drożdżówkę. Dziadek nabywał paczkowane potrawy w sklepie Tyse’a Segnera, parę domów dalej. Tyse, który zajmował pomieszczenia na zapleczu i na górze, był starszym panem z pokolenia dziadka – zawsze w zbyt kwaśnym humorze, jak uznałem,

biorąc pod uwagę, że za ladą trzymał mnóstwo słodyczy, którymi mógł się opychać do woli. Moja matka zazwyczaj kupowała świeże mięso i warzywa w Bud Hoffert's Acme, dwie przecznice dalej, za wytwórnią sztucznego lodu, na Second Street. Bud nosił okulary bez oprawek i pokrwawiony fartuch. Babcia gotowała, ale nigdy nie robiła zakupów, podobnie jak tata – on tylko przynosił, jak to określał, „na chleb”. Cynowe pudełeczko na przepisy nigdy nie opróżniało się do tego stopnia, bym nie mógł pozwolić sobie na drożdżówkę na drugie śniadanie. Przysuwałem do lodówki kuchenne krzesło, by stojąc na nim, wyłować pięciocentówkę i centa spomiędzy wepchniętych byle jak zwitków banknotów i garści ćwierćdolarówek. Gdy zaczynało zza nich przezierać dno, skądś pojawiały się następne monety i banknoty, byśmy przetrwali do kolejnej wypłaty i dopiero z czasem zaczęło mi świtać, że pieniądze te brały się z biletów na szkolne imprezy sportowe.

Mój ojciec, w ramach obowiązków pozalekcyjnych, sprawował nad nimi nadzór; podczas meczów piłki nożnej siedział w przerwie między ogradzającymi linami, sprzedawał bilety i wydawał resztę z płaskiego zielonego pudełka z przegródkami wyłobionymi tak, by dało się palcami wyciągnąć monety. Podczas meczów koszykówki siedział z pudełkiem przy stoliku tuż za frontowymi drzwiami szkoły, naprzeciwko gabloty ze srebrnymi trofeami, za rogiem, oddzielającym go od gabinetu dyrektora. Zielone pudełko przynosił ze sobą do domu, wiele razy, by mieć na nie baczenie. Bilety fascynowały mnie – wielkie zielone koła, szerokie jak talerze obiadowe, ale grubsze. Drukowano je w dwóch wyraźnie odmiennych kolorach, niebieskim dla dorosłych i pomarańczowym dla uczniów, przy czym każdy bilet był numerowany. To były pieniądze innego rodzaju. Każdy kwadracik cienkiej, ciasno zwiniętej tekturki nabierał, w odpowiednim czasie, prawdziwej wartości, o której decydowało wydarzenie sportowe – pieniądze, czas, kartonik i chęć *obejrzenia* splatały się w magicznym kręgu. Ojciec był magikiem, zmieniając na dolary, ćwierćdolarówki i dziesięciocentówki publiczność, napływającą tłumnie na wtorkowe i piątkowe wieczorne mecze koszykówki oraz masy ludzi, które w sobotnie popołudnia ciągnęły ulicami miasteczka na boisko piłkarskie. (Bez kłopotu można się było wślizgnąć pod linami, ale wielu dorosłym szkoda było fatygi, toteż płacili.) Bilety, liczone w setkach, nabierały wartości dopiero, gdy ojciec zasiadał przy stoliku. Zawsze wyrównywał rachunki, gdy otrzymywał pensję, tak przynajmniej zapewniał matkę. Zaczynała się niepokoić, a ten niepokój udzielał się mnie.

Pamiętam, że pod wrażeniem ich rozmów, wyczuwalnego w nich *napięcia*, przytulałem twarz do słoja drewnianej lodówki – obitej cynkiem szafy, która z racji swej wysokiej pozycji dominowała w naszej kuchni, dzień w dzień konsumując ciężkie bloki lodu, które przywożono wyłożoną słomą ciężarówką, po czym wnosił je w szczypcach czerwonołicy mężczyzna w skórzanym fartuchu, zakrywającym mu plecy, dla osłony przed wilgocią i zimnem. Przez warstwę cynku i dębowego drewna czułem chłód na policzku, gdy twarze rodziców wirowały nade mną, a ich głosy przywierały do mojego mózgu.

– Defraudacja – mówiła matka. Słowo to znałem tylko z radia. – Co nam z tego

przyjdzie, jeśli któreś z nas pójdzie do więzienia?

– Wyrównuję wszystko, co do centa. Co drugi tydzień, gdy dostaję pensję, sprawa staje się czysta jak łąza.

– A jeśli w którymś tygodniu Danny Haas uzna, że bilety należy zdeponować w piątek, a nie w poniedziałek? Gdyby mu to przyszło do głowy, miałbyś manko.

Wiedziałem, że Danny Haas uczy matematyki w wyższych klasach i odpowiada za szkolny program lekkiej atletyki. Niski mężczyzna, który palił cygara i nosił ubrania w szerokie paski, był jednym ze sprawiedliwych miejskiej elity. Czasami błaznował z moim wysokim ojcem, z racji różnicy wzrostu między nimi, ale nie miałem wątpliwości, kto tu gra pierwsze skrzypce, kto jest ustosunkowany i kto kogo może zetrzeć na proch.

– Nie robi tego, Lucy – mówił mój ojciec. Zwracając się do matki po imieniu, dawał znak, że pragnie zakończyć rozmowę. – Danny jest taki sam jak wszyscy Holendrzy, nie zmieni na jotę swych przyzwyczajzeń. A zresztą nie mówimy tu o jakichś krociowych sumach, chodzi o śmieszne pieniądze. – Jakie, w istocie? Banknot dziesięciodolarowy w owych czasach wydawał mi się fortuną, a dwudziestodolarówki nie widziałem nigdy, nawet gdy pudełko na przepisy wypełnione było po brzegi.

– Jeśli wykryją manko, nikt nie powie, że to śmieszne pieniądze.

Wtedy ojciec wpadał w złość, co w innych sytuacjach rzadko mu się zdarzało. – Cóż mogę poradzić, Lucy? I tak żyjemy jak ostatnia nędza. Powiedzonko „ostatnia nędza” musiał przynieść z innego życia, gdy był chłopcem w moim wieku i mieszkał w innym stanie. Perorował dalej, wylewając żale, które rzadko dochodziły moich uszu. – Musimy ogrzać cały ten wielki dom. Nie możemy chodzić, jak nas Pan Bóg stworzył. Dzieciak rośnie. Mój brązowy garnitur niedługo się rozleci. Mama stara się, jak może w ogrodzie, ale mam do nakarmienia pięć gąb. – Babcię nazywał „mamą” i, jak mi się wydawało, jej jednej nie uważał wyłącznie za ciężar. Praca matki przy wiklinowym biurku nie przynosiła zarobku, dziadek, w zadufaniu, kupił za duży dom, a ja... ja nawet nie odgarniałem sąsiadom śniegu, bo łatwo się zaziębiałem. Ojciec coraz bardziej się rozogniał. – Policz tylko – pięć! Tata zawsze powtarzał: *Nihil ex nihilo*. – „Tata” to jego ojciec, zmarły przed moim urodzeniem. – Nic się z niczego nie rodzi – przetłumaczył. – Na tym świecie nie ma darmowych obiadów.

Mama słabym głosem zaczynała mówić coś o „oszczędnym gospodarowaniu”, o czym też słyszałem tylko w radiu, ale nawet ja czułem, że nic z tego nie będzie. Jakże mógłbym obyć się bez drożdżówki? Nikt inny w mojej klasie nie był aż tak biedny. Toteż ojciec musiał dalej podkraść szkolne fundusze, aż któregoś dnia sturlają go w becze ze stopni ratusza.

W czasie wojny żyło się trochę łatwiej. Brakowało mężczyzn, toteż ojciec latem dostawał prace, które nie szkodziły mu na przepuklinę – został chronometrażystą drużyn kolejowych, naprawiających tory. Szyny buczały i trzeba je było podsypywać. Wnosząc z książek historycznych, wojna nie trwała długo, niespełna cztery lata upłynęły od Pearl Harbor do dnia zwycięstwa. Ale ja miałem wrażenie, że wlecze się bez końca, podczas

gdy pokonywałem kolejne szczeble podstawowej edukacji. Nie wyobrażałem sobie świata bez wojny, bez wielkich nagłówków, kartek na żywność, kuponów, manewrów niszczycieli, Binga Crosby'ego i Dorothy Lamour, sprzedających obligacje pożyczki wojennej na wiecach. Byłem w siódmej klasie, najwyższej w szkole podstawowej, mieszczącej się w okazałym budynku z żółtej cegły, w którym nauczał mój ojciec.

Lekcji chemii nie miałem jeszcze w programie, ale w szkole wciąż widniała mi przed oczyma jego wysoka postać, sunąca posuwistym krokiem. Choć dzień w dzień chodziłem po tych samych, zastawionych szafkami, wywoskowanych korytarzach, przebywałem w jego miejscu pracy, wciąż czułem niepokój, że ojciec straci swą pozycję. Grożące mu niebezpieczeństwa widziałem coraz wyraźniej. My, uczniowie, wypełnialiśmy korytarze zgiełkiem bezlitosnym, o miażdżącej sile. Mój ojciec nie bardzo potrafił utrzymać dyscyplinę, nie miał dość germańskiego ducha pensylwańskich Niemców, a zaprowadzanie ciszy i porządku nie sprawiało mu szczególnej przyjemności. Z wyższych klas dochodziły mnie wieści, że całe lekcje marnował na wygłaszanie monologów, w których usiłował udzielać uczniom tak zwanych „lekcji życia” – że zawsze jest coś za coś, że nie ma darmowych obiadów. Prawdy te ilustrował przykładami, zaczerpniętymi z procesów chemicznych, więc może wykłady jego nie były tak całkiem nie na temat, jak się uczniom wydawało. Napuszczali go, wymigując się tym sposobem od pracy na lekcji. Rzucił nagle gąbkę do wycierania tablicy pod sufit, po czym łapał ją z chłopcą zwinnością, wygłaszając przy tej okazji sentencję: „Co idzie do góry, musi spaść”. Uczniom, którzy na chwilę uciszyli się, ogłaszał: „Jesteście teraz na Górze Głupków, ale zejdzicie po drugiej stronie, macie na to moje słowo”. Głosił dość otwarcie, że bezład jest bardzo płodny, w końcu wiele ważnych odkryć chemicznych było dziełem przypadku. Uwielbiał chemię. „Woda jest uniwersalnym rozpuszczalnikiem” – mawiał, jakby to mogło człowieka pocieszyć, niczym formułka: „To również przeminie”. A może jednak jego przesłanie przebijało się przez klasowy chaos – krążące liściki, uwagi, mamrotane przez klasowych wesołków, bójki na tyle.

W gronie nauczycielskim, ku memu zakłopotaniu, pełnił rolę błazna. Na apelach jego uwagi wywoływały śmiech szkolnej braci, a wiosną, podczas dorocznej uroczystości, gromadzącej wykładowców i uczniów, wziął udział w koszmarnej, moim zdaniem, inscenizacji epizodu Pyrama i Tysbe ze *Snu nocy letniej*. Obsadzony w roli niezdarnej, odzianej w sutą, chłopską spódnicę Tysbe, z uszmińkowanymi ustami, w rudoblond peruce z mysimi ogonkami, mój ojciec wspiął się po krótkiej drabinie do szpary w murze. Jako mur wystąpił krępy trener piłki nożnej, Tank Geiger, w piłkarskim kasku, okryty prześcieradłem, wymalowanym w cegiełki.

W zaciszu naszego domu zdążyłem już zauważyć, że nogi mojego ojca są praktycznie bezwłose w porównaniu z nogami innych mężczyzn, zwłaszcza w miejscu, gdzie w skarpetkach znajdował się elastyczny pasek. A teraz, gdy widok jego gołych, bezwłosych kończyn ukazał się oczom wszystkich uczniów – którzy wyli przy każdym afektowanym kroku w górę po stopniach drabiny – pomyślałem, że nadszedł moment jego upadku.

Pan Geiger wyciągnął w górę kciuk i palec wskazujący złączone w kółko, które miało przedstawiać szparę w murze; po przeciwnej stronie muru mały pan Haas wspiął się na drabinę o szczebel wyżej od mojego ojca, by jego twarz znalazła się na tej samej wysokości. – O, pocałuj mnie – wyrecytował – przez dziurę w tym paskudnym murze. – Pan Geiger wykrzywił się z udawaną urazą, a publiczność ryknęła śmiechem. Mój ojciec, wysokim głosem Tysbe, odparł: – Dziurę całuję, nie twe usta wcale – i twarze jego oraz pana Haasa z wolna zetknęły się poprzez palce trzeciego nauczyciela. Od wrzasków, pełnych niedowierzania i dzikiej radości, zapłonęły mi uszy. Zamknąłem oczy. To już kompletna katastrofa, pomyślałem. Jest gorzej niż w moich najgorszych koszmarach.

Ale następnego dnia mój ojciec sadił wielkimi susami przez korytarze, z głową wysoko uniesioną i przedziałkiem pośrodku, jak zwykle, w codziennym, wyświeconym garniturze, a życie szkolne toczyło się dalej. „Spalanie”! – głosiło jedno z chemicznych hasła ojca – „niczego nie niszczy. Przesuwa tylko cząsteczki”.

Odkryłem, że gdy ojciec nie prowadzi lekcji, zaszywa się w kotłowni. Nauczyciele mieli swój pokój, w którym stał długi stół i gdzie grono pedagogiczne mogło usiąść spokojnie i odpocząć, gdy miało okienka, ale nie wolno w nim było palić, toteż zwłaszcza mężczyźni wolne chwile spędzali w kotłowni, wielkiej, dwupoziomowej komorze pod wyniosłym kominem. Prowadziło do niej podziemne przejście ze szkolnej piwnicy, obok pracowni stolarskiej, lecz jako zwykły uczeń, siódmoklasista, wchodziłem tam tylko z zewnątrz, gdy szukałem ojca. Szło się betonowym przejściem, które ożywiały jedynie tablice do gry w kosza, przytwierdzone płasko do cegieł, otwierało pancerne drzwi, po czym, przy akompaniamencie głuchego dźwięku, wchodziło się na podest na szczycie kondygnacji nabijanych gwoździami, stalowych stopni. Przed sobą, po drugiej stronie mrocznej przepaści, miało się olbrzymie kotły, ogrzewające szkołę. Widać było, jak bliższe palenisko pochłania olbrzymi, zsuwający się weń haust groszku z kosza samowyladowawczego, mikowe wzierniki drżą od pomarańczowego żaru, a zwoje pokrytych azbestem rur parowych wiją się po suficie. Paru nauczycieli, których postaci z góry wydawały się śmiesznie małe, siedziało i paliło przy karcianym stoliku, w towarzystwie szkolnych woźnych.

Bez płaszcza, z widocznym całym przedziałkiem, mój ojciec, zapadły na betonowe dno tej ogromnej, ciepłej przestrzeni, wyglądał młodzieńczo i radośnie. Będąc nieśmiałym chłopaczkiem, zarumieniłem się, a unoszący się w górę żar jeszcze bardziej rozpałał mi policzki, gdy wdzierałem się do tego męskiego sanktuarium, by przekazać wiadomość. Nie pomnę już, o co wtedy chodziło, ale pamiętam, że powitano mnie serdecznie, jakbym już był jednym z tych mężczyzn, którzy wypełniali popielniczki po brzegi, aż się z nich wysypywało, a ich filiżanki po kawie zostawiały brązowe kręgi na blacie karcianego stolika. Jako nauczycielskiemu dziecku wolno mi było zerknąć poza oficjalną scenerię codziennego edukacyjnego teatru. Byłem mocno zdziwiony, widząc na poplamionym stoliku zniszczoną talię kart do bezika, ściągniętą gumką. Nauczyciele są ludźmi. Z czasem miałem stać się jednym z nich.

Gdy wojna się skończyła, przenieśliśmy się z rezydencji zbyt obszernej do oddalonego o dziesięć mil wiejskiego domostwa, które okazało się zbyt ciasne. W ten sposób mama wcielała w życie ideę oszczędnego gospodarowania. Nagle zostałem pozbawiony staroświeckich, małomiasteczkowych pewników. Koniec z drewnianą lodówką, cynowym opiekaczem, obrazkami Vernona Granta, ukazującymi postaci z dziecięcych wierszyków, które wisiały nad moim łóżkiem. Nie mogłem już przebiegać przez podwórko do liceum. Wraz z ojcem zostałem skazany na codzienne wygnanie, wsiadaliśmy do samochodu – musieliśmy kupić samochód – zanim na przedniej szybie stopniał szron i wracaliśmy, nie raz i nie dwa, już po zmroku, gdy nasze reflektory były jedynymi na bitej, wyboistej drodze do domu. Ojciec nadal pobierał pieniądze za bilety na mecze koszykówki, a w ramach dodatkowych zajęć pozalekcyjnych ćwiczył też ekipę pływaków, która, ponieważ w szkole nie było basenu, musiała mieć treningi w klubie YMCA, w obskurnym i groźnym śródmieściu Alton. Dziesięcioletni samochód sprawiał nam wciąż nowe niespodzianki: siadały mu opony, łamały się osie, w czasie zamieci, przy wjeździe na zbocze wzgórza, zakładanie łańcuchów było mordęgą. Czasami nie dawaliśmy rady dojechać do domu, musieliśmy na piechotę łapać okazję, by znaleźć jakiś dach nad głową – w domach innych nauczycieli albo w „zapchlonych” hotelikach, jak je wesoło nazywał ojciec. Podczas tych lat wspólnego dojeżdżania staliśmy się zespołem – razem wychodzącymi z licznych opresji towarzyszami niedoli na skraju katastrofy. Nieraz gaśł nam silnik i utykaliśmy na drodze, mając cztery dolary przy duszy, co było okropnym, lecz autentycznym przeżyciem w czasach, gdy nie znano jeszcze bankomatów. Ale potem, w hotelu, gdy ojcu udało się ubłagać recepcjonistę, by zadzwonił do Danny’ego Haasa, żeby za nas poręczył, czułem błogość, bo otarłszy się o „samo życie”, wychodziliśmy z tego obronną ręką.

Z irytacją, ale w milczeniu przysłuchiwałem się rozmowom ojca z urzędnikami hotelowymi, mechanikami z warsztatów samochodowych, kelnerkami w tanich knajpach, przechodniami na ulicy. Wszystkich zaskakiwała nadzwyczajna ufność, jaką w nich pokładał. Nic dziwnego, że skończył jako nauczyciel – był święcie przekonany, że od każdego może się czegoś nauczyć. Czułem się upokorzony jego pokornym zachowaniem, ale miałem czternaście, piętnaście lat i byłem na jego łasce, a on był na łasce świata. Widziałem, że go odtrącają i nie rozumieją. W kącikach ust pojawiały mu się kropelki piany, gdy usiłował wyjaśnić, o co mu idzie, a ja słuchałem bezradnie zaślepiony niecierpliwością i, jak to teraz widzę, oparem miłości do niego, litością, która we mnie nabrzmiewała niczym jakieś przykre wykrzywienie mojej własnej twarzy.

Powoli zaczęło mi świtać, że lubi nawet najmniej zadowolające kontakty z ludźmi. – Po prostu byłem ciekaw, co nam zaproponuje – tłumaczył po jakimś jałowym sporze, powiedzmy, z policjantem, nadzorującym garaż miejski, dokąd odholowano nasz samochód, który nie chciał zapalić. Jak się okazało, ojciec zaparkował go w strefie załadunku przy peronie kolejowym, a policjant nie dostrzegł różnicy między dobrymi intencjami ojca i mechaniczną krnąbrnością samochodu, który odmówił posłuszeństwa. – Łądowałem w najgorszych dziurach – opowiadał o czasach, kiedy sprzedawał porcelanę. –

Gdzieś na nowojorskiej prowincji, w zachodniej Wirginii, byle gdzie, po prostu wysiadałem z pociągu z walizką próbek, wchodziłem do pierwszego sklepu, w którym sprzedawali porcelanę i próbowałem ich namówić, by włączyli do swojej oferty mój towar, który zazwyczaj był nieco droższy od tego, który mieli na półkach. Nigdy nie wiedziałem, co się trafi. Czasami, na kompletnym zadupiu, gdzie diabeł mówi dobranoc, składali zaskakujące zamówienia – wręcz olbrzymie. Było to, rzecz jasna, przed Wielkim Kryzysem, który spadł na nas w dwudziestym dziewiątym, ale zanim przyszło załamanie, interes szedł. A potem ty się urodziłeś. Młoda Ameryka. Twoją matkę i mnie wytrąciło to z równowagi, nigdy nie widzieliśmy się w roli rodziców. Sam nie wiem dlaczego – przecież to ciągle się dzieje. Człowiek z natury przede wszystkim pragnie robić dzieci. Kiedy tu stoję, usiłując wbić układ okresowy w te rozwichrzone głowy, myślę sobie: – Te huncwoty chcą tylko robić dzieci.

U mnie chęć robienia dzieci najpierw przejawiała się tym, że nauczyłem się palić. W licealnej społeczności końca lat czterdziestych niepalący się nie liczył. Kupiłem paczkę – chyba old golds, ze względu na bibułkę, brązową w odcieniu ochry – na dworcu w Alton, gdy mój ojciec trenował drużynę pływacką. Choć pierwsze sztachy ścięły mnie z nóg, jakby wyraził się ojciec, dalej paliłem dzielnie, zwłaszcza że przy moim włóczęgowskim trybie życia, jako satelita ojca, mnóstwo czasu spędzałem w tanich knajpkach. Gdy miałem piętnaście lat, pewnego zimowego ranka, gdyśmy jechali samochodem do szkoły, zapytałem ojca, czy mogę zapalić. On sam, za radą lekarza, rzucił palenie. Ale mnie wtedy pozwolił i choć, po trzydziestu latach, również z tym zerwałem, do dziś dnia pamiętam te żrące sztachnięcia, od których kręciło się w głowie, zmieszane z pierwszymi, błogosławionymi powiewami ciepła z samochodowego grzejnika, przy akompaniamencie wiadomości z życia wsi, przetykanych najnowszymi przebojami. Obaj zdawaliśmy sobie sprawę, że milczące przyzwolenie ojca, bądź co bądź nauczyciela, trochę go kompromituje. Ale w ten sposób stawałem się człowiekiem, a by stać się człowiekiem, trzeba też stanąć na skraju kompromitacji.

Teraz widzę, że przenosiny na wieś wyzwoliły nas obu od małomiasteczkowego sztywniactwa i dyktatu prawych mężów. Spadły na nas zakupy, które mój ojciec najchętniej załatwiał w przydrożnym sklepie. Chodziły wieści, że był własnością dawnego gangstera z Alton, który osobiście pilnował interesu. Podobnie jak mój ojciec, Arty Callahan był wysoki, melancholijny i nieco przygłuchy; jego żona, gruba, dowcipna kobieta, miała podobno niezbyt chwalebny przeszłość. Ojciec ich uwielbiał i uwielbiał spędzać z nimi czas, odwlekając powrót do naszego odludnego domu na wsi. Państwo Callahanowie odnosili się doń jak należy, bez zbytniej wesołości ani powagi, wszyscy troje byli wolnymi duchami. Gdy z nimi rozmawiał, dając wyraz swemu codziennemu poczuciu zagrożenia za pomocą nieco teatralnych gestów i fraz, siadywałem przy małym stoliku, pokrytym plastikowym laminatem, obok stojaka na pisma, i przerzucałem „Esquire”, szukając zdjęć dziewcząt Vargasa. Ukradkiem rzucałem spojrzenie na profil Arty’ego Callahana, w którym główny akcent stanowiły jego fatalnie wykonane sztuczne zęby i zastanawiałem się, ilu

ludzi zabił. Jedynym jego gangsterskim postępkim wobec mnie było wypłacanie mi dziesięciu dolarów – olbrzymiej godzinowej stawki – za udzielanie jego synowi korepetycji z algebry w soboty, gdy byłem już na tyle dorosły, by dojechać do nich samochodem.

Wymieniliśmy nasz samochód na nowszy i w nieco lepszym stanie, choć dalej był to model przedwojenny. Gdy poszedłem na studia, nie lękałem się już – nie prześladowały mnie koszmary – że miejscowa społeczność wystawi ojca na pośmiewisko. Liczył sobie już wówczas pięćdziesiątkę, co jest wiekiem szacownym. Żyjąc u jego boku przez pięć lat zauważyłem, że flirtuje tylko z kompromitacją, że nie jest to zgubne zauroczenie. Tylko śmierć mogła go powalić, lecz nawet ten upadek, w moich oczach, nie byłby zbyt gwałtowny.

Koty

Gdy umarła moja matka, odziedziczyłem osiemdziesiąt akrów Pensylwanii i czterdzieści kotów. Dokładnie osiemdziesiąt dwa, przecinek pięć akrów, kotów nie byłem w stanie policzyć. Kłębiły się w miauczącym bajorze futer przy drzwiach od tyłu przed piątą rano, słysząc, jak matka obraca rozklekotaną rączką sfatygowanego otwieracza do puszek, wystającego z framugi drzwi, obok pocącej się lodówki. Na któreś Boże Narodzenie, gdy była już po siedemdziesiątce, kupiłem jej nowy otwieracz, ale z czasem ten również stępsiał i rozchwierutał się od częstego używania; jak ostatnie skąpiradło zastanawiałem się, czy jej starczy do końca życia. Po osiemdziesiątce ona też zaczynała się wykańczać, co wyraźnie widziałem przy każdych odwiedzinach na farmie. Ledwo dawała radę przejść do skrzynki pocztowej i nakarmić koty – ona, która przez całe życie szafowała siłami ponad wszelką miarę: jako dziewczynka jeździła konno, na uczelni grała w hokeja, potem, gdy wraz z rodziną przeniosła się na tę odludną farmę i wzięła w ręce ster domu, pracowała jak mężczyzna, obsługiwała piłę łańcuchową, wspinała się po wysuwanej drabinie i wskakiwała radośnie na siodełko traktora.

Urodziła się tutaj, w epoce, gdy do pługów zaprzęgano muły. Ani mój ojciec, ani ja nie rozumieliśmy jej pragnienia powrotu do tej harówki, chwastów, robali, żaru z nieba, błota i dzikiej przyrody. Pod jej kierunkiem zaprowadziliśmy pewien porządek – odnowiliśmy stary dom z kamienia, odremontowaliśmy oborę, zasadziliśmy rzędy truskawek, szparagów i groszku, skosiliśmy trawnik aż do skraju lasu. Lecz gdy się wyprowadziłem, a ojciec umarł, płodna natura zaczęła wszystko zagarniać z powrotem dla siebie. Nowy właściciel odkrył, że nawet parapety okienne zgniły i roiły się od termitów i stonóg. Ze strychu pokryty gontem dach wyglądał jak gwiazdziste niebo. Matka nie dość, że pozwalała myszom i polatuchom gnieździć się w domu, to jeszcze karmiła je ziarnami słonecznika – nowy właściciel wypatrzył stosy ich łupin w stolarce. W ostatnich latach życia matki dom cuchnął stertami gazet, które nigdy nie trafiły do stodoły, puszkami pokarmu dla kotów w papierowych torbach i wilgotnym psem. Zapasiona suka, Josie, kuśtykała coraz mocniej wraz ze swoją panią, nigdy nie mając okazji się wybiegać. Aż żal było patrzeć, jak szczęśliwa jest stara Josie, mogąc poczłapać ze mną do stodoły, by odnieść gazety, czy do lasu z obmierzłymi puszkami na naszą cynową górę.

Czy mi się tylko wydawało, czy też matka nuciła pod nosem, obracając rączką otwieracza, niczym jakimś prymitywnym instrumentem muzycznym, grającym wciąż tę samą melodię? Wrzucała jeden żelatynowy walec kociego jedzenia za drugim do zestawu cynowych tortownic, które służyły kotom za miski obiadowe. Stały na ganku z tyłu za

domem na cementowej podłodze. Karmienie tych na pół zdiczających czworonogów bawiło ją i sprawiało jej przyjemność – choć według mnie postępowała bardzo nieestosownie. Ich rosnąca liczba groziła katastrofą, coraz większą za każdą moją synowską wizytą, choć zastępy kotów szczęśliwie przerzedzały nieco zwierzęce choroby, a także interwencyjne wystrzały żywotnie zainteresowanych sąsiadów. Jedni sąsiedzi grozili, że doniosą na nią do Ligi Ochrony Przyrody, inni, pod osłoną nocy, podrzucali niechciane kocięta.

Jako syn swojej matki, rozumiałem jej sposób myślenia, przez który wpadła w takie tarapaty. Jeśli nie będzie się karmić kotów, zeżrą wszystkie ptaki. Kochała ptaki, dlatego zaczęła karmić koty. W domu, przy zamkniętych oknach, siedząc na sofie i rozmawiając, przechylała głowę i rzucała: „Zięba jest czegoś smutna” albo „Przedrzeźniacz opowiada żarcik”, a czasami przychodziła do mojego pokoju w białym szlafroku i, z oczyma rozszerzonymi jak u przerażonego dziecka, mówiła: „Posłuchaj pana lelka”.

Przez wzgląd na moje astmatyczne skłonności nie wpuszczała kotów do domu, lecz po jej śmierci słyszały mnie przez drzwi z siatką, gdy, kręcąc z całych sił otwieraczem, przemawiałem do nich głośno, tak jak ona. – Wiem, wiem – mówiłem. – Umieracie z głodu. Waszapani umarła. Jestem tylko jej synem, jej jedynym dzieckiem. Nie mieszkam tutaj, mieszkam w New Jersey, uczę literatury europejskiej w Rutgers, mam dom z czterema sypialniami, elegancką żonę imieniem Evelyn i dwoje dorosłych dzieci, z których jedno ma już własne dziecko. Nie chcę tu zamieszkać, zresztą nigdy nie chciałem. A jeśli macie coś lepszego na oku, zmykajcie tam, bo tu, moi drodzy koci przyjaciele, dobre czasy się skończyły. Wyszła już ostatnia puszka karmy, a ja zostaję tu jeszcze tylko przez dwa dni. I co wtedy zrobicie? Bo ja nie mam pojęcia. Ciężka sprawa, powiem wam szczerze. Szkoda, że w ogóle daliście się wciągnąć w ten system.

Gdy na gołym cemencie postawiłem wypełnione po brzegi tortownice, cuchnące odstręczająco koniną i mączką rybną, kocie ciała skupiły się wokół nich niczym pączki futrzanego kwiatu. A jednak, pośród przepychanek, starsze koty zdołały utorować dostęp do karmy kociętom. Tricolory miały cętkowane mordki o szerokich czołach, przywodzące na myśl bratki. Biało-czarne przypominały testy Rorschacha albo mapy planety o mniej zróżnicowanej powierzchni niż nasza. Matka nadawała imiona kotom, które przychodziły na ganek i mówiła o którymś: „Isabel jest dość niefrasobliwą matką”, albo o nieufnym, poturbowanym przez życie, łaciatym kocurze: „Jeffrey dzisiaj utyka. Muszą go cisnąć buty”.

Koty, które mieszkały w oborze, nie zyskały imion. Gdy otworzyłem górną połowę drzwi boks, z oczu w słomie błysnęły światelka jak z odłamków bladego szkła, a kilka zwierząt, spłoszonych nagłym odsunięciem pokrywy, prześlizgnęło się pod przegrodą do następnego boks. Jednak po godzinie z naczynia, które zostawiłem, było wyjedzone do czysta. Koty z obory za swą nieśmiałość płaciły dość ponurym życiem, z powodu chowu wsobnego były podatne na choroby, a przetrząsnąwszy słomę, pozostała w oborze z czasów, gdy trzymano tam krowy, znalazłem wyschnięte kocie truchło – zmierzwioną skórę, twardą jak podeszwa, z bezoką mordką, wykrzywioną w gniewnym grymasie.

Pod koniec życia matka nie miała już siły, by chodzić do obory i karmić koty, toteż

pierwszej nocy w naczyniu została jeszcze połowa karmy. Koty z obory, które nie zdechły albo nie uciekły, przeniosły się na ganek. – I co teraz zrobimy? – zapytałem skradające się zwierzaki, gdy wróciłem z obory w zmierzchu pierwszych wrześnieowych dni. – Nie zostawię mego cywilizowanego życia, by was karmić, niewdzięczne stworzenia.

Gdy przeprowadziłem się na farmę jako chłopiec, miałem poczucie odwrotu od cywilizacji. Nie było tu telefonu, elektryczności ani kanalizacji – cofnęliśmy się o parę epok. Brygada amiszów położyła dachówki z jasnego, cedrowego drewna i dość zgrabnie wbudowała w saloniku mebel, który żadnemu z poprzednich właścicieli nie był potrzebny – bibliotekę. Z czasem wkroczyli hydraulicy, dzięki czemu nie musieliśmy już korzystać z wygodki, a przedsiębiorstwo elektryczne zainstalowało wysokie, pociągnięte kreozotem słupy w starym sadzie. W domu pojawiła się telewizja i zamiast słuchać prognoz pogody, zestawień cen zbóż i muzyki ludowej, nadawanej przez stację w Alton, oglądaliśmy wiadomości z Filadelfii, najpierw czarno-białe, a potem w kolorze. Ale nigdy nie otrząsałem się z wrażenia, że farma jest pułapką, przeżytkiem i moim bezsprzecznym obowiązkiem jest się stąd wyrwać.

Zapytałem sąsiada od południowej strony, Dwighta Potteigera:

– Co zrobić z tymi kotami?

Uprawia kukurydzę i fasolkę na sprzedaż i jest zastępcą kierownika miejskiego parku autobusów szkolnych. Zwierzył mi się:

– Pytałem Irmę: „Co David robi z kotami po twojej śmierci?” Odpowiadała, zawsze bardzo spokojnie: „Och, Davey coś wymyśli. Zawsze dawał sobie radę. Od dwudziestu lat zapewnia mi tutaj wygodne życie”.

Matka owdowiała po sześćdziesiątce. To, co dawałem jej na utrzymanie, w połączeniu z emeryturą ojca i ich oszczędnościami, ledwo starczało na zaspokojenie podstawowych potrzeb, a teraz, gdy umarła, wydało mi się nędzną jałmużną. Uwagi Dwighta były irytujące również z tego powodu, że choć rzeczywiście miała na imię Irma, nie lubiła go i nie chciała, by ludzie tak ją nazywali. Gdy kiedyś zapytałem ją, jak się do niej zwracać, zrobiła urażoną minę. – Ty – rzekła – możesz mówić do mnie „mamo”.

– Chyba trochę przesadzała.

– No, na pewno nie przesadzała, mówiąc o wielkości tego stada kotów. Nawet nie chcę myśleć, ile pieniędzy wpakowała w karmę. Przez ostatnie lata po zrobieniu zakupów dzwoniła do mnie, żebym zaniósł jej skrzynki do kuchni.

– Dzięki – powiedziałem. Powinna była mieć takiego syna jak Dwight.

– Gdzieś tak co tydzień musiałem jej wyładowywać cały bagażnik. – Czy wyciąga urazy, które w sobie dusił, czy przywołuje do życia jej obraz?

– Były dla niej jakimś towarzystwem – odezwałem się tonem tak przeprasającym, na jaki tylko mogłem się zdobyć.

– Były kompletnie dzikie – rzekł Dwight. – Jak przychodziłem wieczorem, wyskakiwały z ganku, jakby nigdy nie widziały człowieka z brodą. – Gdy zaczął zapuszczać brodę, ja

również poczułem niepokój – w tych stronach brody mieli tylko amisze i przodkowie w sztywnych albumach. Jego broda zadziwiała rudością, przetykaną brązowosiwą szczecinę. Nadawała właścicielowi wygląd władczy, z pewną dozą złośliwości, a dobywający się z bujnego zarostu głos wydawał się głębszy, niż to było naprawdę.

– Wiesz, zaczęła je karmić – tłumaczyłem ze znużeniem – żeby nie żarły ptaków.

Zachichotał. – Teoretycznie tak, sama mi o tym mówiła. Ale kładłem jej w głowę: „Irmo, ta farma i tak nie jest rajem dla twoich skrzydlatych przyjaciół”. Nie lubiła tego słuchać. Kazała, żebym był cicho. „Słyszysz, przedrzeźniacz mi dziękuje”. Zaśmiał się, albo z tych słów, albo ze swego udatnego naśladowania.

– Ale... – Przystąpiłem z nogi na nogę, matka stanęła mi przed oczami jak żywa.

Ciągnął dalej, kryjąc uśmiech w brodzie.

– Wiem na pewno, że straciła parę jaskółczych gniazd, gdy koty wykombinowały, jak się wspiąć po starych drzwiach obory. Jaskółki dymówki łatwo się nie zniechęcają, ale te od Irmy w końcu przestały przylatywać.

Wtrąciłem się pospiesznie, by uciec od tych smutnych wspomnień.

– Powiedz mi, Dwight, co mam z nimi zrobić? Znaczący, z kotami. Nie mogę ich tak zostawić, żeby wyzdychały z głodu.

Widział, że żebrzę o jego pomoc. A choć wiedziałem, że przeszło mu to przez myśl, nie zapytał: „A czemu nie?” Był gotów spełnić moje zachcianki, podobnie jak pobłażał fantazjom matki.

– Jak załatwię sprawy z prawnikiem w miasteczku, pastorem w kościele i przedsiębiorcą pogrzebowym – powiedziałem – muszę wracać do New Jersey.

Teraz on przystąpił z nogi na nogę.

– Mogę wziąć śrutówkę i zająć tu w porze kolacji, kiedy zbierają się na ganku. Załatwię parę sztuk, a reszta może się zorientuje i zwieje. Jeśli chcesz, poproszę Adama, żeby przyszedł ze strzelbą na świstaki i weźmiemy je w kleszcze. Potrzebujemy zgody właściciela, ale rozumiem, że nam ją dajesz, zgadza się?

– Jasne. Musimy coś zrobić. – Adam Schwabs sąsiadował z domem matki od północnej strony, był to pulchny sadownik z gromadą dzieci, a teraz wnuków. My, trzej właściciele, byliśmy w tym samym wieku, pod sześćdziesiątkę. Byli chłopcami, gdyśmy się tu sprowadzili. Próbowałem się z nimi bawić, lecz w piłkę grali niezdarnie. Ich tępa, powolna przyziemność przerażała mnie – przypominała o śmierci.

– Będę wam bardzo wdzięczny – powiedziałem z naciskiem i w moich własnych uszach mój głos zabrzmiał bardzo z miejska, słabo, protekcyjnie.

Dwight rzekł: – Nie chcemy, żebyś zawracał sobie tym głowę w Rutgers, w takim eleganckim towarzystwie. – Przyjmując przysługę od sąsiada, musiałem też znieść wbitą we mnie szpilę. Moja matka, gdy ojciec nie mógł już dogadywać się z sąsiadami, dobrze rozumiała te wiejskie transakcje wiązane: świadcząc każdą uprzejmość, musieli się też trochę ponabijać. Dzierżawiła pola sąsiadom, a oni pomagali jej podczas zamieci i awarii sprzętu. Gdyby stąd wyjechała, ziemia dostałaby się w ręce przedsiębiorcy budowlanego i

okolica uległaby nieodwracalnej zmianie: wykopano by szamba, przeprowadzono trasy szybkiego ruchu, podatki poszłyby w górę, a poziom wód gruntowych obniżyłby się. Mnie też odpowiadało, że siedzi na farmie, z dala od mojego życia. Zacząłem się wszakże zastanawiać, jak przeżyje następną zimę. Ale powzięła za mnie decyzję, padając trupem przy kuchennym zlewie, gdy smażyła sobie kotlet schabowy, a w bawialni szły właśnie wiadomości na kanale czwartym.

Następnego ranka, nakarmiwszy koty, oznajmiłem im: „Zjadajcie wszystko, skarby – wasze dni są policzone”. Podświadomie oczekiwałem, że strzały ze strzelby wyrwą mnie ze snu, ale dzień wstał spokojny i wilgotny. Cementowy ganek ozdobiły odciski pazurów. Zbita masa szarych chmur ciągnęła po niebie za słupami telefonicznymi i resztkami drzewek owocowych. Gdy się tu wprowadziliśmy, na ganku stała pompa i wodę ciągnęliśmy do garnków i wiader. Początkowo musiałem się nieźle wysilać, by wykonać parę pierwszych pociągnięć metalowym ramieniem na sucho, zanim woda zaczęła płynąć. Nim zdążono założyć kanalizację i zainstalowano elektryczną pompę, czynność ta stała się tak automatyczna, jak odkręcenie kranu. Podobnie jak obracanie rączką otwieracza puszek, pompowanie miało własny, wpadający w ucho rytm, śpiewało swą mechaniczną pieśń.

Matka postawiła w rogach ganku parę doniczek geranium, a u góry zawiesiła na haczyku dzwonki wietrzne. Zobaczyła je w którymś z niezliczonych katalogów, jakie jej przysyłano i zamówiła tę zabaweczkę, bo ten pomysł ją rozbawił. Przyszło mi do głowy, że to cenna umiejętność – cieszyć się drobiazgami. Te dzwonki i ciekawskie drapania wewnątrz ścian nie przeszkadzały mi spać, choć się tego obawiałem. Ustaliłem już, co będę robił w najbliższej przyszłości – wieczorem wyjadę do Nowego Brunswiku, za dwa dni przywiozę tu rodzinę na pogrzeb matki i załatwię transport, żeby zabrali te meble, których nie przekazemy do domu aukcyjnego. Jadąc samochodem z Josie w środku, skręciłem do Schwabsów, żeby poprosić Adama, by miał oko na dom. Mieszkał wraz z żoną w parterowym domku przy drodze, a jego rodzice nadal zajmowali dom z piaskowca, identyczny jak mojej matki, przy oborze, którą przerobił na punkt sprzedaży wyborowych owoców. Zgodził się z uśmiechem, dającym do zrozumienia, że nie będzie to konieczne. Okolice się zmienia, ale nie do tego stopnia, by rabowano domy świeżo zmarłych sąsiadów.

– Jestem ci bardzo wdzięczny, że pomożesz Dwightowi wystrzelać te nieszczęsne koty.

Zrobił zdziwioną minę. – Pierwsze słyszę, ale nie jest to znowu taka wielka sprawa – powiedział, jakby zapewniał moją matkę, że uruchomi jej traktor.

Gdy dwa dni później, o zmierzchu, moja rodzina przyjechała samochodem kombi, a ja wypożyczoną, dychawiczną ciężarówką, pokrytą obłazającą, pomarańczową farbą, kotów na ganku za domem było chyba tyle samo, lecz harcowały jak oszalałe. Darły się, wyciągając pyszczki w górę, odsłaniały zakrzywione kły, wygięte, szorstkie języki, różowe błony gardeł. Parę kociąt, zataczających się z wycieńczenia, również miauczało we wspólnym proteście przeciw brakowi należytego starunku. Kopniakami torowałem sobie drogę, ale

gdy już znalazłem się w bezpiecznym domowym zaciszu, dałem memu synowi, Maksowi, dwadzieścia dolarów, by pojechał do sklepu w Fern Hollow i kupił tyle karmy, byśmy przynajmniej przez czas naszego pobytu mieli spokój. Syn zrobił niespokojną minę i powiedział, że zawsze gubił się w Fern Hollow. Moja żona usłyszała nas i przybyła chłopcu z odsieczą. – Maks był w tym sklepie najwyżej trzy razy w życiu – rzekła Evelyn. – Gdy przyjeżdżaliśmy w odwiedziny, zawsze robiliśmy zakupy w supermarkecie w Morgantown. Nie może tam pojechać?

– To dwie mile dalej i zamykają o pół do szóstej. A ponadto mama uważała, że należy wspierać małe sklepy, żeby się utrzymały.

Moja żona westchnęła i przewróciła oczami.

– Kochanie, twoja matka nie żyje. Możemy zrobić zakupy w dużym sklepie, jeśli tak nam wygodniej.

– Ale jest zamknięty, już mówiłem. A nie możemy całą noc słuchać tych wrzasków.

– Może ucichną, jak zgasimy światła – rzekła. – A zresztą powinny wiedzieć, co je czeka.

– Sam pojedę, do diabła – powiedziałem, w nadziei, że nie dopuszczą, bym ja, główny żałobnik, zostawił ich samych w starym, kamiennym domu, w dusznych, źle oświetlonych pokojach, w których chroboczą gryzonie. Nadal wszyscy razem siedzieliśmy w kuchni, gdzie staroświecki, ręcznie nakręcany zegar mojej matki przestał tykać i wydzwaniać kuranty. Gdy byłem chłopcem, jego melancholijny, urywany gong przez wiele nocy czuwał nad moją bezsennością.

Hiram, mój zięć, odezwał się:

– Ja pojedę, Dave, tylko powiedz mi, gdzie to jest.

Starał się być uprzejmy, ale nadszpeciwał mi i zaczął przedwcześnie łysieć, a ponadto promieniował zadowoleniem z siebie, jak to absolwent Princeton, toteż miałem ochotę dać mu kopniaka. Zresztą wszyscy mnie irytowali, co dało się słyszeć w mojej odpowiedzi:

– Za długo by mówić. Po drodze jest sześć nieoznakowanych rozwidleń.

– To wiejski chłopak – odezwała się moja żona do Hiram z konspiracyjnym uśmiechem. – Niech jedzie. – Do mnie rzekła: – Uwielbiasz te kręte, stare drogi. Połączysz się w duchu z matką. – Moja matka nie była zadowolona, że ożeniłem się w tak młodym wieku, co wyszło na jaw, jak to zwykle w rodzinie. – Kup też mleko i sok pomarańczowy na śniadanie i może chleb na grzanki. Stęchłe płatki owsiane twojej matki może się jeszcze nadadzą.

– Pojadę z tobą, tato – odezwała się moja córka Nancy.

– Czy nie trzeba będzie dać kolacji Peterowi? – zapytała Evelyn.

Peter, który miał dwa lata, był moim wnukiem.

– Ja go przebiorę, Nance – zaoferował się Hiram. – Jedź z ojcem.

– Chciałabym zabrać Petera – rzekła. – Niech zobaczy, jak wygląda taki stary wiejski sklepik.

– Nie jest *taki* stary – obruszyłem się. Traktowali te rolnicze okolice jak skansen. A

więc zwróciłem się do mego jedyne go sojusznika, córki. Kocie piski zaczęły działać mi na nerwy. Z głodu skrobały i drapały siatkowe drzwi.

– Brum brum fu! – powiedział Peter.

– Nikt nie jedzie – oświadczyłem. – Karma dla kotów, sok pomarańczowy, mleko, pączki.

– Nie jesteśmy zwolennikami pączków – szybko wtrącił Hiram.

– Dobrze, skreślam pączki – warknąłem.

– Kup tylko dla siebie – powiedziała Evelyn, jakby miały przynieść mi zakazaną, ale prawdziwie matczyną pociechę.

– Precle – zaproponowałem. – Chyba wszyscy jesteśmy zwolennikami precli.

Poczułem ulgę, jak zawsze, gdy wyrywałem się z domu do samochodu i dalej, po falujących, zasłanych liśćmi drogach na wolność. Do pojedynczych domostw, które pamiętałem sprzed lat, doszły nowe, widziałem oświetlone okna i skoszone trawniki przed postawionymi w późniejszych latach parterowymi domami w stylu ranczerskim, zgrzebnie łączącymi drewno, piaskowiec i winylowy siding. Moja matka wspominała, jak pozwalano jej odwozić ojca na stację w Fern Hollow, gdzie wsiadał w pociąg do Alton, a potem wracać samej na farmę, choć miała ledwie dziewięć czy dziesięć lat. Koń, naturalnie, znał drogę. Po ciemku, myśląc o dziewczynce ze wstążkami we włosach, prowadzącej powozik przez trzy mile lasu i plantacji tytoniu, przepuściłem jedno rozwidlenie. Zamiast zawrócić, mszyłem na skróty, ale droga, którą pamiętałem, teraz kończyła się na nieczynnej żwirowni. Zacząłem się pocić, doznałem uczucia klaustrofobii, na którą cierpiałem w młodości. Droga z powrotem ciągnęła się w nieskończoność, ale odnalazłem Fern Hollow, a Stoudt's Keystone był jeszcze czynny, działały dwie pompy benzynowe, a ganek z boku załadowany był paszą dla koni i workami nawozu. Stojący za ladą Roy Stoudt poznał mnie i skinął na przywitanie, choć byłem przebrany w miejską koszulę i kurtkę. Gdy powiedziałem mu, czego potrzebuję, rzekł:

– Zastanawiałem się, jak te koty sobie poradzą.

– Mają mamę szansę. Sąsiedzi obiecali trochę ich odstrzelić, ale jak dotąd nic nie zrobili. Na razie wezmę karton. – Oczyma duszy ujrzałem zataczające się z głodu kociaki i dodałem: – No, może dwa.

– Twoja matka zawsze brała wołowinę i owoce morza.

– Niech będzie. Co tam masz.

– Mówiła, że na wieprzowinę kręcą nosami, to koty starotestamentowe. Lubiała pożartować. Nigdy nie wiedziałem, kiedy się ze mnie nabija.

– Owszem, i ja też. – W Rutgers powiedziałbym: „Ja również nie”. Łatwo podchwyciłem miejscowy rytm. Stoudt's Keystone to długi, ciemny sklep, w którym klienci, przesuwający się przez lata koło kasy, wytarli deski w podłodze tak, że połyskiwały główki gwoździ. Nadal sprzedawano w nim zwoje lepu na muchy i prymki tytoniu. Pośród obfitości opakowanych węglowodanów nie mogłem się zdecydować, który

gatunek precli wybrać. W końcu sięgnąłem po paczkę z napisem: NOWOŚĆ! Niska zawartość tłuszczu i sodu.

Podliczając moje zakupy, Roy perorował dalej:

– Nieraz mi mówiła: „Mój syn uważa, że wariuję z tymi kotami, ale to mój jedyny luksus. Nie mam mercedesa ani futra z norek”.

– Nie mówiłem, że wariuję. Mogłem powiedzieć, że to chybiony pomysł.

– Czasem parę łapała i zanosila do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami – podkreślił. – Po prostu natura ją prześcigała. – W jego życzliwym głosie wychwytywałem szelmowską nutkę i domyśliłem się, że matka ze swymi kotami musiała być nieustającym przedmiotem żartów całej okolicy. – No, chłopie – rzekł. – Dam ci taki sam upust za większy zakup, jaki jej dawałem.

– Nie musisz. – Powinienem być ugryźć się w język. Już słyszałem jego odpowiedź, przywodzącą na myśl pedantyczne rozróżnienia między sposobami wyrażania chęci i możliwości, które ćwiczyliśmy w trzeciej klasie.

– Wiem, że nie muszę, Davidzie, ale chcę. Była dobrą klientką – rzekł Roy. – Będzie nam jej tutaj brakowało. To stara gwardia.

Dział żywności dla kotów w Stoudt's Keystone z pewnością odczuje jej brak. Powiedziałem to, co należało wygłosić w pierwszym rzędzie:

– Dzięki za upust, Roy.

Na dworze, pod światłami, przytłumionymi przez nalatujące ćmy, przebłyskiwały na parkingu fragmenty opuszczonej linii kolejowej, tam gdzie nie opłacało się wyciągać żelaznych szyn z asfaltu. Przecinały drogę, kierując wzrok ku tunelom mroku. Okoliczne lasy nie odzyskały jeszcze w pełni swego terytorium, tory rozebrano, zostawiając jednak ich kawałki i krezolowe podkłady, hamujące wzrost roślinności. Przez tę czarną wyrwę mój dziadek śmigał niegdyś do Alton, po kamiennych zatoczkach i żelaznych mostkach, krzesząc snopy iskier.

Gdy wróciłem do domu, który przypadł mi w udziale, cienie kotów pierzchły na skraj werandy, a ludzkie głowy były ciasno skupione wokół telewizora. Obracając rączką otwieracza do puszek, usiłowałem przypomnieć sobie melodię, którą nuciła moja matka. Miała staroświecki zaśpiew, jak w piosence „Te brzóz kilka, ten bieg wody”, ale to nie było to. Z bawialni Nancy, nadal nadąsana, że nie nastawałem, by ze mną pojechała, zawołała, że precle są bez smaku. – Bo pieką je bez soli i tłuszczu – wyjaśniłem. – Dla zdrowia. – Gdy byłem chłopcem, niekiedy w letnie wieczory po pracy, mój ojciec przywoził nie tylko torbę precli, ale i karton lodów w trzech kolorach. – Powinienem był kupić lody. – W dzieciństwie nabierałem lody na precle, co poprawiało smak jednych i drugich.

– Boże drogi – rzekła moja żona z grubo wyściełanego fotela, na którym siadywała moja matka, oglądając po kolei bezsensowne programy. – Ty naprawdę powracasz do źródeł.

Rankiem w dzień pogrzebu, porządkując zasłane papierami biurko matki, znalazłem

notkę na kruchym, niebieskim papierze, w kopercie zaadresowanej po prostu: DAVID. Swym drobnym, pochyłym pismem matka zarządziła:

Po śmierci chcę być pochowana w najprostszej trumnie, a pogrzeb powinien być możliwie jak najskromniejszy. Zamiast kwiatów, proszę o datki dla:

Miejskiego Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami,
Boone, skr. poczt. 88,
Emmetstown, Penna.

Wszystko zorganizowałem nie tak. Podbudowany spadkiem, kupiłem mamie prawie najdroższą trumnę, jaką miał na składzie przedsiębiorca pogrzebowy, z wiśniowego drewna i z mosiężnymi kłami, a ponadto zamówiłem u luterańskiego pastora normalną luterańską mszę z poczęstunkiem po ceremonii. W nekrologu, zamieszczonym w altońskiej gazecie, nie wspomniałem o przekazaniu pieniędzy na Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami. Matka w swym rozporządzeniu nie wydała też żadnych dyspozycji co do kotów.

Po mszy żałobnej Dwight podszedł do mnie po porastającej cmentarz trawie i rzekł:

– Ostatnio nie miałem czasu, żeby przyjść ze strzelbą – przygotowaliśmy autobusy na początek roku szkolnego i serwis wymagał mnóstwa pracy. A u Adama dojrzały pierwsze brzoskwinie. Ale zajmujemy się tym, pod słowem.

Widok trumny z wiśniowego drewna, z mosiężnymi okuciami, nadal przebłyskiwał mi przed oczyma. – Dwight, chyba za wiele od was wymagam. Dajcie sobie z tym spokój, ty i Adam, a ja poszukam innego wyjścia. To nie wasze zmartwienie – rzekłem.

– Nie ma mowy – powiedział pocieszająco. Wyglądał dziwnie, w granatowym, świątecznym garniturze w południowym słońcu w powszedni dzień. Adam przyprowadził całą rodzinę, w tym troje wnuków, których wyciągnął z sadu i wbił w odświętne ubrania. Przybyło też paru innych sąsiadów, również Martha Stoudt z Fern Hollow – to ona zorganizowała poczęstunek. Roy został w sklepie za ladą. Ku memu wzruszeniu, pojawiły się trzy moje koleżanki z liceum oraz kolega z firmy mojego ojca, księgowy, który z nim współpracował. Myślałem, że już od dawna nie żyje, lecz choć starszy od moich rodziców, był żyłasty i opalony. Pół roku zwykł spędzać na Florydzie, gdzie nie brakowało mu partnerek do tańca, co mi zakomunikował, mrugając porozumiewawczo. O jego wieku świadczyły tylko łzy, które nie chciały wyschnąć na dworze mimo słońca, lejącego się promieniami w tych pierwszych dniach jesieni i suchych porywów wiatru, wionącego na cmentarne wzgórze. Cały smutek, którego w oszołomieniu nie zdołaliśmy odczuć, spłynął, zda się, tym nieprzerwanym strumyczkiem.

Martha Stoudt, żona pastora i ja zbyt optymistycznie oszacowaliśmy liczbę żałobników w kościelnej sali, przeznaczonej na uroczystości, na talerzach piętrzyły się stosy sałatki kartoflanej, surówki z białej kapusty, kromek chleba i zimnych mięs. Skupiliśmy się wokół jedzenia niczym muchy, mamrotaliśmy i krążyliśmy wokół, choć farmerzy chcieli jak

najprędzej wrócić do swych gospodarstw, a moje szkolne koleżanki do pracy. Jak się okazało, wszystkie trzy pracowały w opiece społecznej – z ramienia rządu matkowały tłumom sierot naszego kraju. – Wszystko będzie dobrze – zapewniała mnie June Zimmerman. Była najładniejsza z tej trójki przed czterdziestoma laty, kiedy ważyła połowę tego, co teraz. – Naprawdę uczą się angielskiego – mówiła śpiewnie. – Wiedzą, że muszą, jeśli nie chcą przez całe życie być służącymi. Rezultaty będą, naturalnie, widoczne dopiero w następnym pokoleniu, tak jak to było z nami. – Obdarzona nadzwyczaj bujnym biustem, dawno wyrosła z wywiniętych skarpetek i plisowanej spódnicy, podrygującej przy każdym ruchu, lecz taki jej obraz nadal miałem przed oczyma. A w jej oczach, być może, byłem nowo narodzonym sierotą.

Aż dziw, jak mało da się powiedzieć o życiu mojej matki, gdy dobiegło już końca. Wyczuwałem ją w pokoju, uprzejmą, lecz z sardoniczną nutką w głosie, tak na przyszłość, bo nie zdołamy stanąć na wysokości zadania. Zawsze uważała, że ludzie są niezdarni w porównaniu ze zwierzętami. Ze względu na nią mocno się zirytowałem, gdy pastor w swym oratorskim popisie usilnie starając się przedstawić nieodżałowaną Irmę jako osobę ze wszech miar niezwykłą, zapomniał dać znać organiście, by odegrał „Potężną fortecę”. Ilu luteranów spoczęło w ziemi bez akordów „Potężnej fortecy”, rozbrzmiewających po raz ostatni? Uznałem to za drobny, ale jednak skandal. Moi żyjący krewni ze wstydem zgarnęli resztki jedzenia i powrócili do opuszczonego domu, o gnijących parapetach, rojącego się od zgnęconego robactwa. Koty, choć nie była to ich pora posiłku, pełne nadziei tłoczyły się na ganku od tyłu; niektóre czworonogi z obory odważyły się podejść do domu i gdy nadjechał nasz samochód, wycofały się, tworząc szare smugi na trawniku.

W domu było duszno i cicho. Evelyn obchodziła wszystkie pokoje, otwierając zakleszczone okna, wbrew teorii mojej matki, że zamknięte okna utrzymują w mieszkaniu chłód. Ona, Nancy i jej rodzina rwali się do powrotu do domu – musieliśmy poprosić sąsiada, by karmił starą tłuściochę Josie wraz z naszym cocker-spanielem o lśniącej sierści. Ja z Maksem mieliśmy zostać jeszcze dzień lub dwa – ile będzie trzeba – żeby załadować ciężarówkę i doprowadzić dom do takiego stanu, by można go było pokazać agentowi nieruchomości. Dokądkolwiek zaglądaliśmy, od lodówki, wypełnionej zimnymi mięsami i sałatką kartoflaną, po strych, gdzie tkwiły połamane meble sprzed pół wieku, naczynia stołowe, owinięte w zbrązowiałe gazety, albumy przodków, których nazwisk już nikt nie pamiętał, a także egzemplarze magazynu „Life”, ukazujące wydarzenia o szczególnym znaczeniu historycznym, czuliśmy głębokie wzruszenie. Nancy ułożyła Petera na górze do snu. Evelyn rozboleła głowa, Maks i Hiram włączyli telewizor, a ja wsiałem do samochodu i pojechałem do Emmetstown. Pretekstu do ucieczki dostarczyła mi karteczka matki.

Cztery mile bocznymi drogami, po rozchwierutanych mostkach przez zatoczkę, doprowadziły mnie na obrzeża Emmetstown, gdzie zgrzebny, wypisany za pomocą szablonu znak wskazywał kierunek do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Byłem tam parę razy z

matką, przywożąc koty, które złapały się w pułapkę. Kilkanaście lat temu towarzystwo wypożyczyło jej dwie galwanizowane pułapki. Jako przynęty używała pasztetu z wątróbek. Wpadając tu od czasu do czasu na soboty i niedziele, pomagałem jej taszczyć tę kłopotliwą zdobycz. Najtrudniej było poradzić sobie z kocurami i kotkami, które właśnie powiły młode, gdyż ze strachu miały się tam i z powrotem po długiej klatce, ciskały się na opuszczone drzwiczki, gryzły drucianą siatkę i rzucały się na nią z pazurami. Stawialiśmy je na ladzie Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Przysadzista, blada kilkunastoletnia dziewczyna zabierała klatkę i po dziesięciu minutach, nieco bledsza, przynosiła ją z powrotem, pustą.

Przez lata, jak sięgam pamięcią, zaszły tu pewne zmiany na lepsze. Z wybetonowanego zaplecza nadal dochodził smrodek zwierząt, pomiaukiwania i wycie, lecz pomieszczenie od frontu, obwieszane dyplomami i rycinami zwierząt, bardziej przypominało biuro. Zniknęła wysoka, goła lada, a na środku wyłożonej włóchatym dywanem podłogi stało orzechowe biurko.

Siedziała za nim barczysta, bezbarwna, tleniona blondyna z nastroszonym, niemodnym tapirem na głowie. Gdy wszedłem, uniosła ku mnie bladą twarz. Zanim zdążyłem się przedstawić, rzekła:

– Bardzo mi przykro z powodu twojej matki, Davidzie. Była taka miła. Zawsze grzeczna i uprzejma, nawet kiedy miała zmartwienie.

Podejmując ten osobisty ton, zapytałem:

– A kiedy miała zmartwienie?

– Och, te koty kosztowały ją wiele nerwów. Wiesz, musiała je tu przywieźć, pozbyć się ich, a były dla niej jak domownicy. Czasami żegnała się z nimi po imieniu. Mówiła, że to te najbardziej oswojone ufały jej na tyle, by dać się złapać na przynętę – naprawdę dzikie nigdy nie wpadały w pułapkę.

– Rozmnażały się jak szalone.

– Tak to jest, jak się je karmi. – Gdy zmagalem się z tą maltuzjańską prawdą, dodała: – Taka jest zwierzęca natura. – Widząc moją konsternację, powiedziała: – Przykra sprawa.

– Tak – przyznałem. – To przykre. Co, pani zdaniem, powinienem zrobić?

– Z kotami?

– Właśnie. – A z czymże innym? Inne moje problemy – stosunki z Evelyn, wbijanie kanonu literatury europejskiej w głowy studentów, którzy potrafią skupić uwagę najwyżej na tyle minut, ile wynosi długość reklamy telewizyjnej – przekraczały zakres kompetencji Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami.

– A masz jeszcze pułapki? – spytała po chwili namysłu.

– Nie sprawdzałem, ale chyba są jeszcze w oborze.

– Pytam, bo już od paru lat twoja matka nie przyjeżdżała.

– Była na to za słaba. Trudno utrzymać klatkę, w której miota się kot.

– No, może rzeczywiście. – Mówiła do mnie coraz łagodniej, jak do kaleki. Choć paznokcie miała krótkie i niepomalowane, makijaż zrobiła sobie nieco zbyt mocny, co jest

charakterystyczne dla drobnych urzędniczek – kierowniczek prowincjonalnych urzędów pocztowych, sekretarek małomiasteczkowych prawników. Nagle zorientowałem się, że ta opanowana, samodzielna pracownica to krępa dziewczyna sprzed lat, nastoletnia oprawczyni. Uznała, że rozpoznałem ją od razu, tak jak ona mnie. Młody pomocnik w ogrodniczkach, z włosami związanymi w koński ogon, uchylił drzwi, wpuszczając zapachy z zewnątrz, wybełkotał coś niezrozumiale i, uzyskawszy potwierdzające skinienie głowy, wycofał się.

– To ją chyba przerosło, miała tylko tyle siły, żeby codziennie nakarmić koty. W lesie jest cała góra puszek! – ciągnąłem nieskładnie.

W zamyśleniu podrapała się za kształtnym uszkiem, a ja poczułem woń jej perfum. – Wiesz, Davidzie – odezwała się – taka populacja sama się ogranicza. Ze względu na chów wsobny i stłoczenie takie koty są bardzo podatne na choroby. Szerzy się wśród nich nawet coś w rodzaju AIDS.

– Wspaniale, ale tak czy tak mnóstwo ich wydziera się za drzwiami od tyłu. Moja rodzina, która przybyła na pogrzeb, boi się wyjść na dwór. Nie mogę tak po prostu wyjechać, bo koty przeniosą się do sąsiadów! Jeden nawet mi obiecał, że trochę zwierzaków wystrzela, ale to dla niego mitręga i wątpię, czy w końcu do tego dojdzie.

W skupieniu przechyliła nieco głowę i odniosłem wrażenie, że jej zawodowa cierpliwość zaczęła się z lekka wyczerpywać.

– Właśnie chciałam zaproponować, że jeśli nadal masz pułapki w oborze, nastaw je i przywoź po kilka co parę dni. Te koty, których nie wyłapiesz, zdążą tak zdziczeć, że uciekną w las.

– Ale nie mogę zostać!

Zdumiał ją mój wybuch. Podświadomie spodziewała się, że zastąpię matkę na gospodarstwie, na tych osiemdziesięciu dwu akrach trojeści, końskich much i czerwonego błota, jakbym do tej pory tylko zbijał bąki, czekając, by wreszcie przejąć posiadłość.

– Mieszkam w New Jersey – tłumaczyłem. – Muszę wracać do domu, do pracy.

– Wystawiasz stare kąty na sprzedaż?

– Nie mam wyjścia! Nie mogę osiąść na roli! Budynki już się rozpadają!

Zasznurowała lekko wargi, przyjmując do wiadomości moje słowa. – To ładny kawałek ziemi, ale jak nie, to nie. Twoja matka nie chciałaby, żebyś się zamęczał. – Lecz lojalność względem długoletniej znajomej kazała jej, po chwili, ciągnąć dalej: – Ale twoja matka zawsze mówiła, że przejmiesz po niej gospodarkę. Ciągle mi powtarzała: „Amy, wiem, że sąsiedzi uważają mnie za wariatkę, ale trzymam tę farmę dla Daveya”. Na jak długo możesz zostać?

– Tym razem najwyżej dwa dni.

Zmobilizowała cały swój profesjonalizm, by ukryć wstrząs z powodu mego nieopatrzego pośpiechu.

– No dobrze. W takim razie zwróć pożyczone pułapki, żebyś mogła je wykreślić z konta twojej matki, bo inaczej będę musiała cię obciążyć.

– Dobrze. Doskonale. Jutro je przywiozę. – Nie sądziła chyba, że przywiozę je z ładunkiem w środku. Po pierwsze, nie mam pasztetu z wątróbek.

– Ale ale, Davidzie – ciągnęła – mamy tu kogoś, kto zakłada dla nas pułapki. Mieszka niedaleko stąd i pracuje w twojej okolicy, w jednym z nowych sklepów dyskontowych w Morgantown. Jadąc do pracy, założy u ciebie pułapki i zabierze je w drodze powrotnej.

– Wspaniale. Wspaniale. Ile on sobie liczy za usługę? – Niczym kowboj, wsuwający w olstra rewolwery, zabrałem ze sobą książeczkę czekową, tak na wszelki wypadek.

– Od ciebie nic. Robi to w ramach miejskiego wydziału kontroli zwierzostanu. To jego konik.

– Wspaniale – powtórzyłem po raz kolejny. – Wprost nie mogę uwierzyć. Pozwól, że ofiaruję darowiznę na rzecz Ligi Ochrony Przyrody. Wiem, że matka by tego pragnęła. – Nie wyjaśniłem, dlaczego nie poprosiłem żałobników, by zamiast kwiatów składali datki. Zastanawiałem się nad odpowiednią sumą. Sto dolarów to chyba za mało, zważywszy, jak wielką wyświadczają mi przysługę. Wyobraziłem sobie fale kotów, poupychane niczym szare snopki w kłatkach, wystawionych o porannej rosie i zbieranych o zmroku. Nawet dwieście dolarów wydało mi się niewystarczające. Wypisałem czek na dwieście pięćdziesiąt, co dawało mniej więcej sześć dolarów za kota. Ta suma zaskoczyła ją, poznałem to po wygięciu jej wyskubanych i pociągniętych ołówkiem brwi. – A to mój numer w New Jersey, na wypadek gdyby był do czegoś potrzebny. Mogę poprosić o pani wizytówkę, żeby się dowiadywać, jak sprawy stoją? – Nie chciałem rezygnować ani z tej znajomości, ani z tej szansy.

– Oczywiście, Davidzie. – Zesztywniała, uświadomiwszy sobie wreszcie, że jest dla mnie obcą osobą że tylko korzystam z jej usług. Na wizytówce było wypisane: „Amy Stauffer, kierowniczka miejskiego oddziału Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami w Boone”. Adres był ten sam, co na karteczce matki. Jej wskazówka załatwiła sprawę. Wracałem na farmę rozradowany, z piskiem opon na krętej drodze z Emmetstown. Niegdyś myśl o licealnych miłościach skłaniała mnie do nieodpowiedzialnych zachowań za kółkiem, a teraz byłem zakochany w Amy Stauffer.

Maks okazał się zdumiewająco pomocny przy pakowaniu. Przez następne dwa dni, gdy tkwiłem pośród mojej spuścizny, sparaliżowany rzekomą wagą wszystkiego, wszystkich tych przedmiotów, tchnących moją przeszłością i dziedzictwem, on podejmował decyzje. To zabieramy, to zostawiamy. Nosił wszystkie ciężary i niczego nie zniszczył. Spoglądałem teraz na mego chłopca z nowym szacunkiem. Może jednak coś z niego wyrośnie. Jest po prostu dzieckiem swego czasu, któremu nie jest tak spieszno do opuszczenia domu, jak to było ze mną. Odjeżdżając wyładowaną ciężarówką pozostałą po pogrzebie resztę mięs zanieśliśmy do lasu, na ucztę dla kotów. – No dobra, kociaki – rzekłem do miauczących ku mnie pyszczków – teraz same sobie radźcie.

W następnych miesiącach, gdy w Rutgers rozpoczęły się jesienne zajęcia, wykręcałem się od powrotu na wieś. Bałem się, że mnie wciągnie. Wszystko załatwiałem przez telefon.

W niemym podziwieniu przyglądałem się sprawnej maszynie, którą społeczeństwo gładko wprawia w ruch dla dokonania cesji. Mój prawnik, kolejny kolega z liceum, zajął się oszacowaniem wartości majątku, po czym przysłał mi formularze, które miałem podpisać i odesłać. Pośrednik handlu nieruchomościami na bieżąco powiadamiał mnie o potencjalnych klientach i ich ofertach. Zapytany, czy gdy ostatnio pokazywał farmę ewentualnym nabywcom, zauważył jakieś koty na ganku od tyłu, udawał, że próbuje sobie przypomnieć, po czym odparł: – Nie, absolutnie! – Ich miauczenie, futerka, wygłodniałe sylwetki zniknęły jak senne majaki. Skromniutki skarby mojej matki – porcelana w różyczki, sosnowa szafka narożna, stolik do robótek z klonowego drewna, biżuteria Nawajów – turkusy oprawne w srebro, które rodzice przywieźli z jedynej wycieczki na Zachód, sześć krzeseł z drewnianymi oparciami do stołowego pokoju, znalazły miejsce w domu naszym i naszej córki, a parę sztuk obiecaliśmy Maksowi, gdy osiadzie na swoim – jeśli kiedykolwiek do tego dojdzie. Mały Peter zażądał wietrznych dzwonków. Josie odziedziczyła plastikową miskę na jedzenie. Personel domu aukcyjnego z Pensylwanii przybył do siedziby matki, wyczyścił ją z wszelkich podniszczonych mebli i pamiątek, w tym z numerów magazynu „Life”, relacjonujących Dzień Zwycięstwa w Europie oraz nad Japonią, a pod koniec października otrzymałem całkiem pokaźny czek na sumę uzyskaną z licytacji. Na początku listopada pośrednik handlu nieruchomościami znalazł małżeństwo emerytów z Filadelfii, które oferowało najniższą, możliwą dla mnie do przyjęcia sumę, a przy tym godziło się na dalszą dzierżawę pól przez Adama i Dwighta. Kupujący twierdzili, że nie zamierzają nabywać więcej ziemi, lecz zgodzili się podpisać umowę dopiero po znacznym obniżeniu ceny. Ustąpiłem. Niech farma sama sobie radzi, jak my wszyscy. Datę podpisania kontraktu ustaliliśmy na tydzień po Święcie Dziękczynienia.

Sprzedając farmę, miałem poczucie winy. Moja matka wierzyła, że to kawałek rajsu utraconego i pragnęła, bym w nim zamieszkał dla mego własnego dobra. Przekonywała mnie żałośnie, że nadal będę mógł wykładać w Rutgers, jeśli skupię swoje zajęcia w obrębie paru dni w środku tygodnia. – A co z moją żoną? – zapytałem.

– Powiedz Evelyn – odparła – że jako kobieta, dobrze czuję się tylko tutaj. W ziemi naprawdę kryją się czary. Wystarczy, że wyjadę stąd na dwa dni, a już chwytają mnie kurcze.

– A moje dzieci, mam? Wychowały się w willowej dzielnicy Nowego Jorku.

Było to zanim Nancy wyszła za mąż, a Maks wyleciał z Dartmouth. – To się jeszcze da zmienić – upierała się matka. – Gdy były małe, uwielbiały tu przyjeżdżać.

Westchnąłem i przestaliśmy mówić na ten temat, zdając sobie sprawę, że to ja stanowię tu główną przeszkodę. Dla mnie farma oznaczała oparzenia sokiem sumaka jadowitego, trawę pozarastaną palusznikiem krwawym, odchwaszczanie, co rok od nowa, instalację wodociągowo-kanalizacyjną, przestarzałą o jakieś czterdzieści lat i gromadę kotów, od których dostaje się astmatycznego kaszlu.

Całymi tygodniami nie dzwoniłem do Amy Stauffer, a gdy się wreszcie zdecydowałem, rozmawiała ze mną bardzo ogólnikowo. – Wiem, że był tam i rozpatrzył się w sytuacji –

powiedziała.

– A złapał coś?

– Coś mi mówił, że ma teraz pułapki w innej ciężarówce. Ale nie widział żadnych kotów.

– Nie? A kiedy tam był?

– Gdzieś tak w porze ich karmienia – powiedziała z wyraźnie wyczuwalnym uśmiechem w głosie. Widziałem oczyma duszy, jak siedzi statecznie przy swym uporządkowanym biurku w Emmetstown, mając z jednej strony dzikie kaczki na ścianie, z drugiej – drzwi, wiodące do klatek o betonowej podłodze. Jest dżinem, którego sam stworzyłem i po części straciłem nad nim panowanie z powodu jakichś krótkotrwałych zakłóceń w komunikacji międzystanowej.

– Chętnie tam przyjadę – oświadczyłem jej – tylko nie wiem, czy to się na cokolwiek zda.

– Otóż to, Davidzie – rzekła ze smutkiem, jak do dawnego kochanka – ja też nie wiem.

Jednak sprawa kotów dręczyła mnie, gdy budziłem się w nocy, migotał mi przed oczyma duch matki, w miejscu, w którym Evelyn rzucała swój biały szlafrok na oparcie krzesła i chciałem krzyczeć, ze strachu i poczucia niemocy. Kocięta o załzawionych oczach, zataczające się z głodu. Dlaczego powołano je do życia? Moja matka, odważniejsza ode mnie, topiła je, wciskając jeden kubeł w drugi, w połowie napełniony wodą i ich przenikliwymi piskami. Posłyszałem, jak matka nuciła, zaznaczając rytm walca rytmicznym pobrzękiwaniem rączki, a wraz z tym wspomnieniem uderzyła w moje nozdrza słodko-kwaśna woń kuchni, którą ukształtowała swoim życiem przez te wszystkie ranki, gdy wstawiała sama, parzyła kawę, robiła owsiankę i dokonywała obrządku karmienia kotów przy wtórze zachłystującego się gongu zegara na kominku. Jako oszczędna gospodyni, mieszała ze sobą resztki różnych mydeł, tworząc pstrą kostkę, którą kładła na mydelnicze w łazience, niczym wymówkę wobec swego jedyne go, skąpego syna.

Pewnego ranka Amy, ulitowawszy się nade mną, zadzwoniła, jeszcze zanim zdążyłem zupełnie się rozbudzić.

– Wziął się do roboty – poinformowała mnie. – Od prawie dwóch tygodni co rano przywozi po dwie, trzy klatki. Ale, jak powiada, inne coraz bardziej mają się na bacności, więc wpływy mogą maleć.

– Och, to fantastyczny postęp. Jestem pani niezmiernie wdzięczny. Przy tym tempie chyba niewiele ich już zostało.

– Zgadza się – przytwierdziła. – A młode jak nic wymrą z przyczyn naturalnych, skoro idą mrozy.

Słowa wdzięczności również z tego powodu jakoś nie mogły mi przejść przez usta.

Na początku sezonu łowieckiego zadzwonił Dwight, by mnie powiadomić, że obaj z Adamem umieścili znaki zakazu polowania na mojej ziemi. Czy mam coś przeciwko temu? Wiedział, naturalnie, że moja matka, ta dziwaczka, nie pozwalała ich stawiać, ku niezmiernej irytacji sąsiadów. – Sami chcą tam strzelać – wyjaśniła mi. – A w

szczegółności zależy im na tym, żeby nie polowali tu żadni czarni z Filadelfii. Któregoś roku, kiedy miałam jeszcze siłę w nogach, obeszałam cały teren i osobiście powyciągałam wszystkie słupki z napisem „Zabrania się polować”, które postawił Dwight. Zabrania, znaczy, każdemu prócz niego samego. Wściekłam się, jak rzadko kiedy.

– Nie – powiedziałem. – Nie mam nic przeciwko temu.

– Cieszę się, Davidzie – powiedział daleki głos Dwighta. – Nawet jeśli znajdę tam jeszcze jakiegoś kota, nie zdąży puścić farby. Sezon polowań to dla kotów ciężki czas. Myśliwi uważają je za konkurencję.

Wiedząc, że lada dzień przestanę być już właścicielem farmy, miałem do niej taki stosunek jak do kończyny fantomowej, którą człowiek czuje, ale jej nie widzi. Dokumenty miały zostać podpisane pierwszego grudnia, lecz uznałem, że powinienem tam pojechać dzień wcześniej, sprawdzić, czy w domu i w oborze nie pozostały jakieś resztki naszych przeżytych tu lat, po czym przenocować w motelu w Alton. Spodziewając się, że pewnie w ostatniej chwili będę musiał zamieść albo podnieść coś brudnego, powiesiłem garnitur w samochodzie i włożyłem podbitą wełną kurtkę khaki, kupioną w sklepie z mundurami z demobilu, którą mój ojciec nosił po pracy. Całkiem nieźle pasowała na moją matkę, która ją odziedziczyła i chodziła w niej w zimie. Nie miałem serca zostawiać jej na łaskę licytatorów. Założyłem ją i wrzuciłem do samochodu, tak jak sekator oraz parę roboczych rękawic.

Gdy wreszcie pożegnałem się z żoną i ze studentami, i przejechałem przez Filadelfię, do zmroku zostało tylko parę godzin. Kiedy zajechałem, farma wydawała się zamarła – jak martwa natura. Zieleń ostała się tylko na sosnach i dwóch połyskujących ostrokrzewach – męskim i żeńskim. Trawa w sadzie przywodziła na myśl gładki, jasnobrązowy stok, poprzecinany smugami cienia. Na widnokręgu rysował się las, wysoki i srebrzysty, łądygi mroku pomiędzy grubiejącymi pniami. W pobliżu leżało miasteczko Płomieniowo i jako chłopiec sądziłem, że jego nazwa wzięła się od czubków drzew, gorejących, gdy rzuca na nie blask zachodzące słońce.

Kiedy trzasnąłem drzwiami samochodu, echo odbiło się od ściany obory zapomnianym już dźwiękiem. Gdyśmy się tu wprowadzili, stawałem na podwórku i wydawałem okrzyki, z zadziwieniem wsłuchując się w echo jak w głos brata, którego nie miałem.

Brak właściciela widać było na każdym kroku. Zapłaciłem miejscowemu chłopakowi, by kosił trawnik, ale nie chciało mu się przejechać po krawędziach, gdzie sterczały teraz zmierzwione źdźbła, a pod orzech włoski, który rzucał papkowate łupiny, w ogóle się nie pofatygował. Wziąłem sekator, choć nie sądziłem, by na wiele się tu przydał – może sprawdzę tylko, czy na wątlej czereśni nie leżą połamane gałęzie albo wytnę pędy malin z grządek hosty, które posadziła matka, gdy się tu wprowadziliśmy. Praca to najlepszy sposób, by uspokoić sumienie i zaleczyć ranę po wycięciu kawałka życia.

Gdy w odziedziczonej kurtce snułem się po mizernym trawniku, kilka cieni wyłoniło się z sadu i przemknęło ku domowi, szparko sadząc susami. Parę innych wychynęło z lasu. Koty przetrwały. Wzięły mnie za moją matkę i uznały, że wróciły dobre czasy.

Ewolucja Oliwera

Rodzice Oliwera nie chcieli zrobić mu krzywdy, chcieli go kochać i naprawdę go kochali. Ale przyszedł na świat, gdy na wychowanie tej późnej latorośli zaczynało już brakować im sił, a do tego dzieciak miał pecha. Duży płód, skurczony w łonie matki, urodził się ze skręconymi do środka stopami i nauczył się pełzać z aparatem korekcyjnym, sięgającym mu do kostek. Gdy go wreszcie zdjęto, malec płakał z przerażenia, gdyż uważał, że te ciężkie gipsowe buty, drapiące i postukujące w podłogę, są częścią jego ciała.

Pewnego dnia, gdy był zupełnym berbeciem, znaleźli go w garderobie na podłodze, bawiącego się pudełkiem kulek na mole, niektóre były wilgotne od jego śliny; potem zastanawiali się, czy rzeczywiście trzeba było gnać do szpitala, gdzie zrobiono płukanie tego małego, biednego żołądeczka. Potem jego twarz przybrała odcień szarozielony. Następnego lata, gdy już umiał chodzić, jego rodzice nieopatrznie razem odpłynęli od brzegu, dążąc do romantycznej harmonii po przyjęciu, które przeciągnęło się długo w noc i po kłótni, będącej rezultatem nadmiernego spożycia alkoholu. Dopiero gdy ujrzeli pędzącego wzdłuż brzegu ratownika, zdali sobie sprawę, że Oliwer podreptał za nimi do wody i przez parę minut unosił się na falach z zanurzoną buzią, co mogłoby skończyć się tragicznie, gdyby ratownik nie wykazał się nadzwyczajną czujnością. Tym razem chłopczyk był siny i kasłał godzinami.

Z całego rodzeństwa on najrzadziej się skarżył. Nie obwiniął rodziców za to, że ani oni, ani nikt w szkole nie zauważył jego „sennego”, prawego oka w odpowiednim czasie, by podjąć skuteczną terapię, toteż kiedy zamykał to oko, wszystko widział jak przez mgłę. Na widok chłopca, trzymającego podręcznik pod dziwnym kątem do światła, jego ojcu zbierało się na płacz z bezsilności.

Traf chciał, że gdy był w najtrudniejszym wieku, w okresie największej wrażliwości, rodzice postanowili przeprowadzić separację, a potem rozwód. Jego starsi bracia przebywali wówczas w internacie i na studiach, wchodzili w wiek męski, oddalili się od rodziny. Młodsza siostra była na tyle mała, że nowy układ – posiłki w restauracji z ojcem, mili panowie, którzy zabierali jej matkę na kolacje – uznała za bardzo pociągający. Ale trzynastoletni Oliwer czuł na barkach brzemień prowadzenia domu, dzielił z matką poczucie porzucenia. I znowu ojciec cierpiał w poczuciu bezsilności. Jego, a nie syna winą w gruncie rzeczy były złe stopnie, które Oliwer zaczął otrzymywać w szkole, a potem na wyższej uczelni. Oliwer złamał też rękę, spadając ze schodów budynku studenckiej korporacji, a także, podczas kolejnego zamieszania, wyskakując z okna akademika studentek. Niejeden, a kilka rodzinnych samochodów zniszczył doszczętnie, siedząc za

kółkiem i nie doznał przy tym, o dziwo, większych obrażeń prócz stłuczonych kolan i obluzowanych zębów na przodzie. Zęby wrosły znowu, na całe szczęście, gdyż niewinny uśmiech Oliwera, z wolna rozjaśniający mu twarz, gdy w pełni dotarł doń humorystyczny aspekt kolejnej katastrofy, stanowił jeden z jego największych uroków. Zęby miał drobne, okrągłe i szeroko rozstawione – jak u dziecka.

Potem się ożenił, co wydawało się kolejnym niefortunnym wypadkiem, obok późnych powrotów do domu, porzuconych posad i zaprzepaszczonej okazji na początku dorosłego życia. Jego wybranka, Alicia, równie łatwo ulegała wypadkom co on, nadużywała środków odurzających, zachodziła w niechciane ciążę. Jej zaburzenia psychiczne raniły ją i otoczenie. W porównaniu z nią, Oliwer wydawał się człowiekiem solidnym i zrównoważonym, toteż go szanowała. I tu kryje się klucz zagadki. Ludzie starają się spełniać nasze oczekiwania. On starał się utrzymać na posadzie, ona starała się utrzymać ciążę. Żebyście go teraz zobaczyli, z dwojgiem dzieci, blondyneczką i ciemnowłosym chłopczykiem! Oliwer zmężniał i jest w stanie oboje wziąć na ręce jednocześnie. Są jak ptaki w gnieździe. On jest drzewem, opoką. Opiekunem słabych.

Kolor naturalny

Frank dostrzegł ją kawałek za następną przecznicą; w mieście, w którym zamieszkała, Maggie nie miała nic do roboty, toteż nie spodziewał się jej ujrzeć. Poznał ją po sposobie, w jaki trzymała głowę, jakby podziwiała obwieszone soplami lodu okapy śródmiejskich sklepów. A może to rude ogniki w jej włosach, na które padły niskie promienie zimowego słońca, rozblęły jak sygnał. Jego żona głośno wyrażała wątpliwości, czy to kolor naturalny, a on nie mógł wystąpić z argumentem, że jeśli są farbowane, Maggie musi farbować też włosy łonowe. Fakt, że Maggie uważała włosy za swą największą chlubę. Kiedy je rozpuszczała, ich pęki spowijające ją, splątane, stanowiły jakby trzecią istotę w łóżku, a gdy miała je upięte do góry, jak dziś, jej głowa wydawała się duża, a szyja wzruszająco chuda, zwłaszcza że lekko przechylała ją na bok.

Towarzyszył jej mężczyzna – wyższy od niej, choć ona sama była wysoka. Szurał nogami jak wielki, opiekuńczy niedźwiedź, pochylony ku niej, by nie uronić ani jednego słowa, które rzucała, gestykulując gołymi dłońmi w lutowym słońcu. Frank pamiętał jej twarz, pobladłą od wstrząsu, mokrą od łez. Każde słowo, które niechętnie z siebie wydierał, było ciosem, pogłębiającym jej bladość, zwielokrotniającym poczucie przegranej. – Nie dam rady tego załatwić – powiedział. W ich domach panowało piekielne zamieszanie, a miasto było zgorzzone.

– To znaczy – rzekła, marszcząc brwi i napinając górną wargę, by jej słowa zabrzmiały jak najwyraźniej – że chcesz wrócić?

– Chcieć nie chcę, ale chyba muszę.

– To idź, Franku. Idź, kochany. Mnie też, w pewnym sensie, będzie łatwiej.

Tę jej reakcję, wet za wet, odpowiedź odrzuceniem na odrzucenie, uznał za uroczy, rozczulający przykład kobiecej brawury, ale w sumie to Maggie przeprowadziła rozwód, on zaś pozostał na łonie rodziny, tyle że przeniósł się do innego miasta. Zdarzyło się to ponad dwadzieścia lat temu. Dzieci, których wówczas nie chciał zostawić, dorosły w końcu i odeszły z domu. Żona, której się tak kurczowo trzymał, wiedzioną instynktem samozachowawczym, odnosiła się do męża z rezerwą, a z czasem, gdy oboje wkroczyli w wiek średni, zdecydowanie się od Franka oddaliła. Jej bronią był kostyczny humor i nieprzenikniona otoczka własnej godności. Wybrał żonę i miał żonę, nic mniej i nic więcej.

Maggie natomiast wróciła do równowagi, miała towarzysza i na pierwszy rzut oka prezentowała się elegancko, w puchowej kurtce barwy zielonego groszku i czarnych spodniach, w których jej nogi wydawały się nienaturalnie długie. Frank, wstrząśnięty blaskiem, bijącym z jej włosów, zanurkował w najbliższe drzwi, prowadzące do domu

towarowego, by uniknąć zetknięcia się z nią twarzą w twarz, wzajemnych prezentacji, wymiany grzeczności. Widząc, jak Maggie kroczy śmiało przez jego miasto, poczuł się osobiście zaatakowany.

Wąłęsając się między stoiskami domu towarowego, jakby szukał cudownego środka na wszystko albo najpiękniejszej kartki z życzeniami urodzinowymi, czuł, jak z wolna wypełnia go wściekłość na Maggie za to, że go przeskoczyła, że ułożyła sobie życie. Szalejąc z całkiem niedorzeczną seksualną zazdrością, kroczył nieprzytomnie między tabletkami na przeziębienie i tonikami do twarzy, pastylkami nasennymi i środkami na zgagę. Przebiegł wzrokiem po mnogości prezerwatyw, w naszej postępowej, strzegącej przed AIDS dobie, rozłożonych na półce jak różnobarwne cukierki. Na każdym opakowaniu widniał cień kobiety i mężczyzny, konspiracyjnie nachylających ku sobie głowy. Czując pulsowanie krwi, nagle doszedł do wniosku, że seks niewiele ma wspólnego z dobrocią serca. W samym szczycie romansu z Maggie obchodził się z nią szorstko, okrutnie. Było to jego pierwsze, a jej kolejne zawirowanie miłosne. Siedząc na przednim fotelu jego samochodu, skierowała na Franka swe poważne, skupione spojrzenie, po czym rzekła:

– Kiedy byliśmy z Samem w separacji, zachowywałam się jak ostatnia dziwka. Szłam do łóżka z każdym.

Uroczysta powaga, z jaką wygłosiła to stwierdzenie, wywołałaby uśmiech na jego twarzy, gdyby nie oszołomiła go wspaniałość jej rozwiązłości, którą na próżno usiłował sobie wyobrazić. Wydawało mu się, że Maggie rośnie w oczach, siedząc obok niego na przednim fotelu jego forda kombi, zaparkowanego w ślepej alejce za miastem. To spotkanie, pospiesznie umówione przez telefon, do którego doszło wczesną wiosną, przypominało rozmowę kwalifikacyjną – Maggie była w zimowych tweedach, gdyż wracała z zakupów w Bostonie, on w garniturze, w którym chodził do pracy. Nie wypytywał o szczegóły. Sama opowiedziała mu o instruktorze jazdy na nartach w Vermont i nurkowania na Karaibach – przystojnych, beztroskich, młodych łowcach kobiet. Nie mówiła, czy spała z którymś z sąsiadów, ale przypuszczał, że z paroma tak, toteż stracił do niej serce jeszcze zanim ich romans się rozpoczął. Teraz już musiał pójść z nią do łóżka. To rodzaj wyścigu, w którym został niebezpiecznie daleko w tyle. Mężczyźni, z którymi spała, nadal w niej tkwili, niczym inwestycja, przynosząca odsetki, on zaś cnotliwie podziwiał ją z daleka. Frank swą niewinnością podwyższył wartość Maggie. Ponieważ była tak doświadczona, nigdy nie stali się sobie równi. Ona, zbliżając się do niego, podejmowała podobne ryzyko, co on, skandalu i rozbicia rodziny, ale Frank uważał, że jej małżeństwo jest już w tak opłakanym stanie, iż nie ma czego żałować, jego związek natomiast zdrada wzbogaciła, żona i dzieci, na które w każdej chwili mógł spaść cios, wydały mu się droższe. Wracając do nich, zadyszany jeszcze i wilgotny od grzesznych uciech, prawie płakał nad ich niewiedzą. Ale nie mógł przestać. Zwodził Maggie, zaślepiony nią, nie dbając o ich przyszłe losy, aż przyszedł czas, by je rozdzielić. Ona sama to powiedziała:

– Twardy jesteś, Frank.

Myślał, że chwali jego męską jurność. Oboje byli mokrzy w jej oblanym słońcem łóżku z widokiem na padok na farmie, gdzie hodowano konie, a Maggie, leżąc pod Frankiem, była podwójnie przesiąknięta potem. Zaczęli się widywać w kwietniu, a ich romans odkryto i rozstanie nastąpiło jeszcze zanim nastąpiła jesień. Frank pamiętał Maggie w jasnych, kolorowych sukienkach, ożywioną na przyjęciach, krążącą w blasku letnich dni, skrycie starającą się wciągnąć go w swą orbitę. Była serdeczna dla Ann, jego żony, a on zachowywał się jak fajny gość wobec Sama, jej męża, choć nawet tu nie było równości. Maggie najwyraźniej naprawdę lubiła Ann, a będąc z Frankiem, zastanawiała się na głos, skąd przyszło mu do głowy, by zostawić swą uroczą żonę. Z drugiej strony, w nim na każdej schadzce narastało przekonanie, że Sam – potężny, o czerwonych policzkach i ciężkiej głowie, pochylonej z niezgrabną groźbą, jak to krótkowidz – jest niegodny swej żony, Maggie zaś, pozostając w tym związku, okazuje słabość, potulnie zgadza się na codzienne skażenie.

– A możesz mi zaproponować coś lepszego? – rzuciła mu kiedyś, gdy, ściągając wargi, zdecydowała się skoczyć na głęboką wodę. Rzucając to wyzwanie, oczy miała okrągłe jak u dziecka.

Opadły z sił, spięty, odparł słabo:

– Wiesz, że chciałbym się z tobą ożenić. Sęk w tym, że nie jestem wolny.

– Piękny więzień – powiedziała, zdejmując zeń wzrok, jakby nagle się znudziła. – Chyba powinniśmy przestać się widywać.

– O Boże, nie, prędzej umrę.

– Ta sytuacja mnie dobija. Ale z ciebie dzieciak. Gdy dżentelmen zabawił się już z panią, żegnają.

Nie znosił, gdy okazywała mu swą wyższość w sprawach seksu. Chciał się uczyć, lecz nie być pouczanym.

– Tak by się zachował Sam?

– Sam nie jest taki zły, jak ci się wydaje – rzekła, niezgrabnie, ukradkiem ocierając łzy, które napłynęły jej do oczu, gdy w duchu ujrzała jakiś obraz, zrodzony z napięcia, jakie wzbudził w niej ten stan zawieszenia.

– Dobry w łóżku – rzucił Frank, nienawidząc ich oboje. W łóżku, tym samym łóżku z widokiem na starannie utrzymane stajnie i okolone płotem pastwiska.

Próbował tym sposobem okazać zazdrość, ale go zignorowała.

– On ciągle coś do mnie czuje. Na swój szorstki sposób, umie się zachować – rzekła z namysłem.

– A ja nie?

– Frank – wykrzyknęła z taką złością, że znowu łzy stanęły jej w oczach – dlaczego wszystko zawsze musi kręcić się wokół ciebie?

– Bo – mógł być odpowiedzieć – dzięki tobie pokochałem siebie. – Ale mógł być powiedzieć Maggie najprzeróżniejsze rzeczy, zanim nagle wszelka komunikacja pomiędzy

nimi urwała się, gdy Sam wpadł między nich z tępą wściekłością, miotając prawniczymi pogroźkami, Ann zaś wycofała się z godnością, demonstrując poczucie zranionej dumy. Frank uznał się za wroga Maggie, skoro nie udało mu się zostać jej mężem.

Podczas mroźnej zimy i chłodnej, deszczowej wiosny przeniósł się wraz z rodziną z tamtego miasta do tego odległego o sześć mil, ale podczas długiego sezonu spotkań towarzyskich obracali się w tych samych kręgach. Sam wyprowadził się do kawalerki w jeszcze innym mieście, trzy mile stąd – na tyle blisko, by pokaźne grono wspólnych znajomych miało wiele sposobności do okazania mu współczucia. Frank i Ann przyczaili się, odnawiając małżeńskie więzi, dręczyli się nawzajem oskarżeniami, przetykanymi przebłyskami wisielczego humorku. A Maggie utknęła w swym dużym domu z dwojgiem dzieci – ośmioletnią dziewczynką i sześciolatkiem chłopcem. Ich dawni wspólni znajomi, zmuszeni do dokonania wyboru między tymi wybuchowymi elementami, woleli utrzymywać kontakty z parą nienaruszoną niż z nieszczęśnikami, którzy się rozstali. Sam, choć policzki miał krwście czerwone, a oczy wąskie jak szparki, jakby twarz spuchła mu po solidnym obiciu, był w stanie przebywać w tym samym pokoju, co Frank, a nawet wymienić z nim parę wymuszonych uprzejmości. Ale Ann uciekła w ten jeden jedyny wieczór, podczas dorocznego śpiewania kolęd w siedzibie towarzystwa historycznego, gdzie odważyła się pojawić Maggie. Maggie przyszła późno, w oszałamiającej, obszytej cekinami zielonej bluzce z długimi rękawami i szkarłatnej, aksamitnej spódnicy do ziemi. Frank uśmiechnął się na widok tego śmiałego stroju, Ann natomiast jęknęła i wypadła z sali, po czym popędziła holem, obwieszonym starymi dagerotypami, ku frontowym drzwiom, cenionym ze względu na federalistyczne gzymsy i znajdujące się nad nimi śliczne, półkoliste okienko z oprawnymi w ołów szybkami. Wybiegając za nią na mróz z paltami, Frank rzekł:

– Zachowałeś się okrutnie.

– Próbowiała ukraść mi męża. To chyba bardziej okrutne.

– Wcale nie o to jej chodziło.

– Więc o co? Pieprzyła się z tobą w trosce o rozwój duchowy?

– Daj spokój, Ann. Ludzie patrzą. – Ale w istocie z wysokich okien na zaśnieżony chodnik płynęła chóralna pieśń o „Dobrym królu Wacławie”, tłumiąc odgłosy ich sprzeczek. Miasto było już świadkiem gorszych utarczek, jak choćby schizmy kongregacjonistów w Kościele unitariańskim w latach dwudziestych dziewiętnastego wieku.

– Włóż palto – powiedział sztywno, prowadząc ją pod ramię do samochodu, kombi, w którym Maggie z powagą oznajmiła mu, że była ostatnią dziwką, lecz teraz wnętrze wozu wypełniał dziecinny zapach okruszków ciastek i rozlanych koktajli mlecznych. W istocie, na krótką metę, romans dobrze przysłużył się małżeństwu – Ann nowym okiem spojrzała na męża, któremu udało się zdobyć efektowną Maggie, a Franka wzruszył wybuch zazdrości chłodnej zazwyczaj żony. Wyszło na to, że Maggie, osamotniona i bojkotowana, stała się nagrodą, którą oboje przyciągnęli do domu. – Skoro nie potrafisz opanować się w miejscu publicznym – oznajmił żonie – Maggie nie będzie mogła pojawić się nigdzie tam, dokąd ty

się wybierasz.

– Przecież usiłujemy wynieść się z miasta, agenci nieruchomości wychodzą nam uszami – rzekła Ann z komiczną żarliwością. – Za żadne skarby nie zabiorę dzieci przed końcem roku, w maju. I tak są zrozpaczone z powodu przeprowadzki. – Gdy ogrzewanie zaczęło działać, wytlumiając smrodem spalin kwaśny odór koktajli mlecznych, a za oknami migwały niechlujne domostwa starego miasta, przyznała: – Przepraszam. Nieładnie się zachowałam. Ale gadaliśmy o niej tygodniami i jak ją teraz zobaczyłam na własne oczy, zorientowałam się, co ty w niej widziałeś... przecież znasz jej każdy... i muszę przyznać, że wyglądała fantastycznie w tym niesamowitym stroju. Błada i spięta – ciągnęła Ann – ale schudła parę kilo. Szkoda, że nie mogę tego o sobie powiedzieć.

Ścisnął jej pulchne udo przez grube, zimowe palto. – Ma inny styl – rzekł, co było zakamuflowaną przechwałką. Miał wrażenie, że zjednoczyli się w podziwie dla Maggie – dwoje pokornych śmiertelników, przytłoczonych potęgą natury. Choć zbliżenie, oparte na tak kruchych podstawach, nie może trwać długo, na razie stwarza między nimi konspiracyjną bliskość.

Tymczasem Maggie skreślono ze wszystkich list gości. Swe codzienne obowiązki spełniała w majestatycznym odosobnieniu, odwiedzało ją tylko kilka łasych na plotki kobiet i zdziwaczałych mężczyzn, wietrzących okazję. Frank był rozdarty między zgodą na jej wykluczenie – władza, jaką nad nim miała, nimb, który ją otaczał, przynajmniej w jego mniemaniu, nie zostawiały miejsca na litość – i nierealnym pragnieniem, by znowu się z nią połączyć, by powiedzieć jej słowa, które wzniosą ich ponad to wszystko i sprowadzą z powrotem do wspólnego ‘łóżka. Będąc bardziej od niego doświadczoną, wiedziała, że nie ma takich słów. Parę miesięcy po owym wspólnym koledowaniu ojcowie miasta zorganizowali szukanie jajek wielkanocnych na pagórkowatych miejskich błoniach, po tej stronie cmentarza. W zamieszaniu, gdy rodzice uganiali się za rozdokazywanymi, rozbieganymi dziećmi po błotnistej, brązowej trawie, zdołał podejść do Maggie, ubranej w znajome, wiosenne tweedy. Spojrzała nań zgaszonym wzrokiem i wypowiedziała słowa, które najwyraźniej już od dawna chowała w zanadrzu:

– Twoja żona zrujnowała moje życie towarzyskie. I moich dzieci. Sam jest wściekły.

Tak małostkowy, konkretny zarzut wydawał się absolutnie niegodny ani obojga kochanków, ani ich miłości. Zaskoczony Frank zaoponował: – Ann niczego nie knuje. Po prostu tak się stało. – Jakby, po tak długim milczeniu, spotkali się, by omawiać charakter jego żony. Maggie odwróciła się. Rozgoryczony tym odrzuceniem, podziwiał jej barczyste ramiona i bujne, połyskujące włosy, splecione w gładki francuski warkocz.

Turyście, przejeżdżającemu przez miasteczka Nowej Anglii, jedno wydaje się bardzo podobne do drugiego – biała wieża, zielone błonia, kilka walczących o swój status śródmiejskich uliczek – lecz w istocie zachodzą między nimi poważne różnice ekonomiczne i duchowe, w których mieszkańcy doskonale się orientują. Po półrocznych zmaganiach z agentami nieruchomości Frank i Ann przenieśli się do miasteczka, w którym

poszczególne posiadłości były od siebie oddzielone murami, żywopłotami i zakazami wstępu. Sąsiedzi, z którymi stopniowo zawierali znajomości, zazwyczaj byli od nich starsi, często owdowiali i przebywający już na emeryturze. Ich żywoty, letnie domy przystosowane do zamieszkania w zimie, tereny zielone, pielęgnowane przez służby ogrodnicze, nabrały ostatecznego sznytu. Miasto, z którego się wyprowadzili, dopiero się kształtowało, jego kręte uliczki wytyczyły stopy purytanów, linie graniczne znakowały porzucone głązy i owiane legendą drzewa, których pnie zgniły na amen. Młodzi właściciele sami starali się dbać o swe posesje, zostawiając drabiny oparte o dachy ganków i odkładając pomalowanie dwóch ścian domów do następnego lata. Podwórka były zdewastowane przez gromady dzieci, w sobotę panował ciągły ruch, bo wszyscy wybierali się na tenisa albo na mecz piłki nożnej, po których wypijano parę drinków i spieszono do domów, by wziąć prysznic i ogolić się przed wieczornymi przyjęciami. Jak najdłużej starano się przebywać w cudzych domach, we własnym każdy czuł się źle z powodu dręczącego podejrzenia, że szczęście jest gdzie indziej. Wracając do domu po odwiedzeniu opiekunki do dziecka, Frank mijał ciemne domostwa, w których znajomi mężowie kładli się do łóżek, szepcząc, głowa przy głowie z żonami, na które łypał pożądliwie.

Z tego splotu rozwiązanych znajomości, z żenujących domowych przepychanek, wyłoniła się Maggie, która musnęła biodrem jego biodro, gdy na przyjęciu w ogrodzie stali obok siebie przy zatłoczonym, przykrytym lnem barze albo gdy krzyknęła bezwiednie: „Nie, nie wychodźcie!” załamującym się głosem małej dziewczynki, kiedy wraz z Ann podnieśli się wreszcie, by wyjść z kolacji, którą wydała z Samem. A gdy na jednym z balów dobroczynnych, których datami upstrzone były kalendarze mieszkańców tej eleganckiej dzielnicy, przyszła jego kolej, by zatańczyć z Maggie, objęli się tak ciasno, jak tylko dało się usprawiedliwić wypitymi kieliszkami, a na koniec uścisnęła mu rękę mocno, poważnie, całkiem na trzeźwo. Dopiero bardzo wyraźne sygnały zdołały się przebić przez mgłę jego nieśmiałości i małżeńskiego bezwładu, ale jej doświadczenie mówiło, że skoro Frank raz zaiskrzy, buchnie w nim płomień.

Teraz uzmysławiała sobie, jak łagodnie i cierpliwie wprowadzała go w tajniki romansu. Spotykali się przeważnie u niej, gdyż Sam pracował w Bostonie, Ann zaś zajmowała się domem. Przebiegając wzrokiem od półki z prezerwatywami do rozmaitości kapsułek przeciwhistaminowych Frank przypominał sobie podjazd do jej domu, na skraju miasta, obok farmy, na której hodowano konie i prowadzono szkółkę jeździecką. Podjazd skryty był za kępą rozrośniętych bzów i wysokim, pochyłym płotem, zbudowanym na wzór palisady. Sam ciągle przymierzał się do wymiany płotu i przycięcia bzów, ale tego lata nic z jego planów nie wyszło. Podjeżdżając, Frank musiał zwolnić na ostrym zakręcie, był to niebezpieczny moment, gdyż ktoś mógłby rozpoznać jego wóz z drogi – kilkoro dzieci znajomych brało lekcje konnej jazdy – a on wstrzymywał oddech, gdy na pół ukryty za gęstwiną wybijały bzów sunął po chrzęszczącym żwirze do garażu. Maggie podnosiła mu bramę do garażu, co, w czasach, gdy nie było jeszcze elektronicznych urządzeń, wymagało sporo wysiłku. Czekwała na niego za drzwiami z garażu do kuchni, w kostiumie

kąpielowym albo i bez. Po słońcu – wzrok wciąż jeszcze przyzwyczajał mu się do ciemniejszego pomieszczenia. Przywierała do niego ciasno, niczym długie, gładkie, drżące szczęnię. Wpatrywał się w sudafed i contac, nabrzmiały z tępej wściekłości, że wszystko to stracił.

Nareszcie, kupując parę rzeczy na chybił trafił, w rewanżu za schronienie, odważył się wyjść ze sklepu. Potoczywszy wzrokiem w głąb ulicy, stwierdził z ulgą, że w perspektywie obwieszonych soplami wystaw nie błyszczą żadne czerwone ogniki. Z walącym sercem, jakby ścigał go wróg, dotarł do samochodu i wrócił do domu. Był to szeregowy dom na dwuakrowej działce, starannie wykonany i dobrze zabezpieczony przed kaprysmi pogody. Krzewy, przykrywające fundamenty, świeżo zasadzone, gdy się wprowadzili, teraz wyglądały na przerośnięte, zasłaniając ceglane schody i okna od frontu. W kuchni Ann, która w brązowym lodenowym palcie wkładała zakupy do lodówki, rzuciła mu z ukosa szelmowskie spojrzenie, ale minę miała nieufną. – Widziałam twoją starą znajomą w Stop & Shop. – Gigantyczny, jaskrawo oświetlony supermarket był częścią centrum handlowego, które wyrosło w wiejskiej okolicy, z wolna zabudowywanej, pomiędzy miasteczkiem, które opuścili i tym, do którego się przenieśli.

– Którą? – zapytał, choć ze szczególnej żywości w jej głosie zdążył się już domyślić.

– Maggie Linsford. Czy jak tam się teraz nazywa. – Po rozwodzie z Samem Maggie wróciła do panińskiego nazwiska, którego Ann za nic nie mogła zapamiętać.

– Chase – rzekł Frank. – Chyba że ponownie wyszła za mąż.

– Nie zrobiłaby ci tego. Co masz w tej torbie?

– Żyłek. Sudafed. I przyniosłem ci twój ulubiony, perfumowany francuski żel do kąpieli. *Dorlotez-vous* – napisali na etykietce.

– Niemądry jesteś, kochanie. Mam tego mnóstwo. Nie chcesz posłuchać o Maggie?

– Jasne.

– Była z facetem, którego mi przedstawiła w tym swoim nadętym stylu jako „znajomego”. Przypominał mi Sama – duży, czerwony na gębie i widać, że lubi się rządzić.

– To dobrze.

– Frank, nie rób takiej miny. To było dwadzieścia pięć lat temu.

– Nie, myślę o tym, że lubi się rządzić. Chyba rzeczywiście lubił. Ona była miła?

– Och, niezwykle wylewna. Zawsze ją lubiłam, zanim między nami stanął. I ona mnie też, co?

Musiał się chwilę zastanowić. W szczytowej fazie romansu ich małżonkowie wydawali się mali i żałośni, jak polne myszy, nad którymi góruje jastrząb. Kochankom szkoda było o nich gadać. – Jasne – odparł. – Bardzo cię podziwiała. Nie rozumiała, co w niej widziałem.

– Nie bądź taki sarkastyczny. To wcale nie jest zabawne, Frank. Przynoszę ci ten smakołyk na talerzu, a ty wyglądasz, jakbyś miał zatwardzenie.

– A o czym rozmawialiście tak wylewnie?

– Och, o zimie. O jedzeniu. O tym, jakie okropne są centra handlowe. Podobno buduje się nowe, na terenie dawnych stajni, tuż obok domu, w którym mieszkała z Samem. Skarżyła się, że w całym supermarkecie nie może dostać mąki bezglutenowej ani ciastek niskokalorycznych – może próbuje odchudzić swego napakowanego przyjaciela – więc powiedziałam jej, że właśnie otwarto tu nowy sklep ze zdrową żywnością. Prowadzi go urocza, idealistycznie nastawiona dziewczyna, której wszyscy staraliśmy się znaleźć jakieś zajęcie. Maggie powiedziała, że zaraz tam pojedzie. Aż dziw, że jej nie widziałeś, skoro krążyłeś po supermarkecie.

Zrozumiał, że musi się przyznać, nic nie umknie kobiecej intuicji.

– Widziałem. Zobaczyłem ten błysk rudych włosów koło poczty i wolałem zanurkować do domu towarowego, niż z nią gadać.

– Ależ jesteś niemądry, kochanie. Na pewno byłaby dla ciebie bardzo miła.

– Nie spodobał mi się ten oprych, który z nią był.

– A gdyby szła sama, podszedłbyś do niej?

– Wątpię.

Ann włożyła ostatnią paczkę do lodówki, której drzwi zamknęła tak mocno, że magnes w kształcie ananasa upadł na podłogę. Nie podniosła go.

– Twoja nerwowa reakcja źle świadczy o nas obojgu.

Pomyślał, że niewierność z początku poszerza pole erotyczne pary, ale w sumie osłabia je i wyniszcza. Niczym środek halucynogeny, niszczy komórki. – Nic nie czułem – oświadczył Ann. – Czułem odrazę.

– „Błysk rudych włosów” – coś podobnego. A już teraz ufarbowała je na zupełnie nieprawdopodobny kolor.

– Zawsze mówiłaś, że je farbuje.

– Bo zawsze farbowała. A już teraz na pewno.

– Chyba nie. Maggie o to nie podejrzewam.

– Głuptasie, gdyby ich nie farbowała, miałyby siwe, tak jak my. Wygląda jak tania dziwka. Przedtem uczciwie nie mogłabym tego o niej powiedzieć. Miałeś rację, że nie chciałeś się jej przyjrzeć bliżej.

– Ty jędo. Lepiej od ciebie znam włosy Maggie. – Ann zamarła, nie mogąc zorientować się po jego minie, czy aby na pewno jej nie uderzy, ale nie miała się czego bać, bo Frank w ogóle żony nie widział. Widział natomiast kobietę, która, naga, sunie ku niemu po poznanym smugami słońca dywanie, kobietę, którą, póki będzie kochał, musi nienawidzić.

Miłosne solówki w sercu zimnej wojny

Na przełomie września i października 1964 roku spędziłem miesiąc jako ambasador kulturalny, przerzucając most między dwoma supermocarstwami za pomocą gry na bandžo i przyczyniając się tym sposobem do odsunięcia zagłady nuklearnej. U władzy był wtedy Chruszczów, a przynajmniej tak nam się wydawało. Uczestniczyliśmy wówczas w programie wymiany kulturalnej z Sowietami. Wedle teorii departamentu stanu, niemal każdy Amerykanin, którego pokaże się uciśnionym sowieckim masom, już ze względu na swobodę, z jaką mówi i porusza się, będzie taką zachętą do wolnego życia, że wywrotowe komórki zaczną wyskakiwać jego śladem niczym mleczko na kwietniowym trawniku. A zatem moja misja nie była tak niewinna, jakby się mogło wydawać. Niemniej, ochoczo się jej podjąłem.

Mój dom, w którym żyje mi się szczęśliwie, znajduje się w zachodniej Wirginii, co nie jest równoznaczne z Zachodnią Wirginią, choć obie krainy leżą w pobliżu, na samym końcu Blue Ridge. Waszyngton wydawał mi się wielką metropolią, toteż gdy zacząłem otrzymywać listy z oficjalnym stemplem tego grodu, nawet mi w głowie nie powstało, by odmówić czemuś tak wspaniałemu jak rząd amerykański przed Wietnamem. Jeśli idzie o Rosję, to obecnie stanowi jeszcze jeden przykład wolnorynkowego bałaganu, ale wówczas sytuowała się po ciemnej stronie księżyca. Jak pamiętam, w samolocie Aeroflotu z Paryża cuchnęło gotowanymi ziemniakami, a stewardesy były masywne jak wypakowane walizki. Gdy lądowaliśmy w nocy, miałem wrażenie, że schodzimy nad oceanem, taki mrok panował na dole.

Oświetlenie lotniska przywodziło mi na myśl owe nocne lampki w pokojach hotelowych, przy których nie można czytać. Młody żołnierz łapczywie przeglądał zniszczony egzemplarz „Playboya”, który usiłował przemyścić spłoniony handlarz futer w kolejce przede mną i moje pierwsze wrażenie z życia w komunizmie to błysk cudownej, nagiej skóry na tej nieszcześnie rozkładówce w brązowym poblasku świateł lotniska. Magazyn skonfiskowano, ale nie chce mi się wierzyć, że podróżującego handlarza zesłano do gułagu. Kości policzkowe wskazywały na azjatyckie pochodzenie – nie zdeprawowaliśmy czystej krwi Rosjanina. Chłopcy z departamentu stanu wyciągnęli mnie z komory celnej i wsadzili do limuzyny z szoferem, która nie cuchnęła gotowanymi ziemniakami, lecz była do cna przesiąknięta odorem tytoniu – innego naturalnego produktu. Tak pachniała stodoła dziadka, nawet gdy wysuszone liście zbelowano już i sprzedano. Ja – Eddie Chester, cieszący się międzynarodowym uznaniem gracz na bandžo – doszedłem do wniosku, że na pewno mi się tu spodoba.

Na drodze z lotniska do miasta w owych latach ustawiono olbrzymią tablicę z postacią Lenina, który pochylał się do przodu ze złośliwym uśmiechem nad kozią bródką, z palcem wycelowanym w coś w górze, niczym Jan Chrzciciel, wskazujący na Jezusa, którego na razie nie dane nam było ujrzeć. – To fantastyczne – powiedział z odchylanego siedzenia towarzyszący mi przedstawiciel departamentu stanu – trzystu milionom ludzi mówi: „Mam was gdzieś”. Nazywał się Bud Nevins i był attaché kulturalnym. W najbliższych tygodniach miałem często spotykać się z Budem, z nim i jego uroczą żoną, Libby.

Przygodę przeżyłem już w Waszyngtonie. Przez parę popołudni udzielali mi instrukcji nasi eksperci wespół z uciekinierami ze Związku Sowieckiego. Pewien zażywny stary czaruś, były członek kierownictwa KGB, siedząc przy długim, pokrytym skórą stole, przez całe popołudnie opowiadał mi, do jakich restauracji chodzić i co zamawiać. Wędzony jesiotr, pierożki, kulebiak. Ślinka napływała mu do ust, choć, na oko, w kapitalizmie nie głodował. A jednak nie ma to jak domowe jedzenie, tu się z nim zgadzałem. Te spryციule z Waszyngtonu lubiły się bawić. Po każdej nasiadówce urządzali przyjęcie, a na jednym z nich małe, czarnowłose dziewczę, które podczas tego szkolenia przynosiło kawę, podeszło do mnie, jakby ofiarowując mi swój biust na tacy. Był to biust bujny i jędrny, okryty brzoskwiniową kiecuszką, niewiele dłuższą od podkoszulka.

– Ubóstwiam pana – oznajmiła mi. Zawsze przyjemnie to słyszeć, toteż nie powinna była psuć miłego wrażenia, dodając: – Bardziej chyba tylko Earla Scruggsa. I tego uroczego, wysokiego Allena Sheltona, który grał na bandžo z Virginia Boys, och, on był taki słodki! A słyszał pan te nowe kawałki, które McReynoldsi nagrali w Jacksonville z takim chłopakiem, Bobbym Thompsonem? Ma przed sobą przyszłość! Zaprezentował całkiem nowy styl – słyszy się melodię! „Bezlitosny”. „Idźmy w tan”. O rany!

– Moja miła, nie gram country and western – oświadczyłem jej uprzejmie. – Earl, cóż, zaczyna trochę się gubić, ale bez niego się nie obejdzie, zgoda, góruje nad całą sceną muzyczną, podobnie jak Don Reno. Niemniej nade wszystko, jeśli chce pani wiedzieć, podziwiam Pete’a Seegera. Jest rewelacyjny, on i The Weavers przypominali po wojnie pięciostrunowiec, kiedy orkiestry taneczne zamieniły bandžo na ukulele.

– Raz na ludowo? Facet zgrywa się i jest niemrawy – rzekła, z emfazą akcentując słowa, do czego zaczynałem się już przyzwyczajać, a przy tym jej czarne oczy o gorącym spojrzeniu raz po raz śmigają ku mojej twarzy, niczym wzburzone końskie muchy. – A do tego zdradził swój kraj.

– Fakt – przyznałem. – W programach bogoojczyźnianych w najbliższym czasie nie wystąpi, ale studenci za nim szaleją, bo śpiewa szczerze, uczciwe songi – żadnych efektownych, rozrywkowych kawałków, na które czasami pozwala sobie pocziwy Earl. Moja miła, uspokój się, usiądź i posłuchaj czasem albumów, które Pete nagrał z Woodym i Almanacs przed wojną.

– Słuchałam – odparła skwapliwie. – Owszem, jak najbardziej. *Talking Union, Sod Buster Ballads*. Przepiękne, stuprocentowo lewicowe agitki. Komuchy z Zachodniego Wybrzeża musiały być zachwycone. Panie Chester, czy słyszał pan kiedyś program

„Jamboree” z rozgłośni z Wheeling?

– Czy słyszałem? Tam po raz pierwszy wystąpiłem na antenie, w starym, kochanym radiu West Wirginia. Jim Buchanan, zanim stał się sławny, przygrywał mi na skrzypkach. „Czy ugrzązłeś w grzechu?”, „Nie odchodź, jeśli mnie kochasz” i czasami „Ktoś cię kocha, miła”, żeby publiczność całkiem oszalała. Ale jeszcze nie wiem, jak masz na imię.

– Będziesz się śmiał. To głupie imię.

– Na pewno nie. Powinnaś kochać imię, którym obdarzył cię dobry Bóg.

– Żaden tam dobry Bóg, tylko moja wredna matka – powiedziała i zaczerpnąwszy powietrza, aż policzki wydeły się jej jak u trębacza, wyrzuciła z siebie „Imogena”. Potem, wypuściwszy powietrze z bulgotliwym świstem, zapytała: – Imogena Frye. Czy to nie brzmi głupio?

– Nie – odparłem. Wtedy pierwszy raz ją okłamałem. Już na pierwszy rzut oka czuło się, że jest kłębkim nerwów, ale dało się z nią pogadać o bandzo, a w tym mieście o szeregowej zabudowie, zaludnionym przez mężczyzn w antracytowych garniturach, była równie miła mojemu sercu jak barszcz i kwaszone ogórki owemu zabłąkanemu pułkownikowi KGB, któremu, jako zdrajcy, nigdy nie będzie dane wrócić do ukochanej ojczyzny.

– Fantastyczne były twoje solówki w „Dużym ruchu” i powtórzenie o oktawę wyżej w „Chodząc po Jerozolimie jak Jan”.

– To nie była oktawa, tylko kwinta – powiedziałem, moszcząc się wygodnie i biorąc dwa burbony ze srebrnej tacy, z którą krążył uprzejmy Murzyn. Uznałem, że możemy uciąć sobie rozmówkę. Bandza zaczynały wówczas zyskiwać popularność, temat *Beverly Hillbillies* przewijał się coraz częściej, a ja nie chciałem wchodzić w bliższą znajomość z żadną głupiutką wielbicieleką. – Czy słuchasz czasem – zapytałem – programów z Roanoke? I powiedz dokładnie, dlaczego uważasz, że przyszłość należy do Bobby’ego Thompsona.

Tymi swoimi żarliwymi, promiennymi oczyma, o niezmiernie rozszerzonych źrenicach dojrzała, że czuję się urażony i pospiesznie, urywanymi frazami, jęła mnie zapewniać, że jeśli o nią idzie, ja jestem terażniejszością, przeszłością i przyszłością. Żadne z nas nie zwykło regularnie popijać, ale czarni mężczyźni w białych rękawiczkach ciągle podsuwali nam tace i gdy przyjęcie dobiegało końca, cała sala zdała mi się drukowanym na jedwabiu obrazkiem, łagodnie powiewającym przed moimi oczyma. Eksperci zza żelaznej kurtyny rozjechali się do swoich domów w Bethesdzie i Silver Springs, i wydawało się rzeczą najbardziej naturalną na świecie, że mała Imogena, której moja postać też musiała falować w oczach, zaprosi mnie do swego mieszkania, gdzieś w okolicy, w której, jak powszechnie wiadomo, biały mężczyzna nie powinien się pokazywać późną nocą.

Biel i czerń, tylko tyle pamiętam. Włosy miała czarne i miękkie, a skórę białą i miękką; pod wpływem alkoholu i romansowej atmosfery mówiła wolniej, głósiem małej dziewczynki. Byłem na podłodze, ściągając z niej rajstopy, a ona oparła mi rękę na głowie dla utrzymania równowagi. Potem usiedliśmy na łóżku, a ona ujęła w dłonie swe bujne

piersi i wycelowała we mnie jak broń. – Chciałabym, żeby były jeszcze większe – rzekła tak cicho, że musiałem wyteńczyć słuch – dla ciebie. – Gdy pieściłem jej piersi, uśmiechnęła się, co w ukośnym świetle ulicznej latarni nadało jej łakomy wygląd pyzy z kreskówki, która pragnie mnie pożreć. Kiedy z czułościami przeniosłem się w niższe partie jej ciała, z początku wydała się nieco przestraszona, toteż zeszywniała na chwilę, nim znowu rozluźniła nogi i pozwoliła mi je rozsunąć. Jej poprzedni mężczyźni tego nie robili, było to jeszcze zanim Wietnam odebrał nam niewinność, lecz od czasu schadzki, które punkt kulminacyjny miały na siedzeniu mego samochodu, lubiłem zagłębiać twarz w intymną duszę dziewczyny, smakować wody, z których wszyscy wypływamy na światło. Starłem się skupić na głównym celu, walcząc z dygotem, o który przyprawił mnie rządowy alkohol, luźnymi rozważaniami co do aktualnej godziny, niespokojnym sumieniem, refleksjami na temat najbliższego otoczenia, w którym odbijał się smutek samotnej dziewczyny. Biel i czerń – jej pokój wyprany był z barw niczym pierwsze obrazy telewizyjne. W tej tonacji utrzymana była toaletka, na której leżały szczotki i stały oprawne w srebrne ramki fotografie rodziny, w której się wylęgała, fotel z zafoliowaną okładką książki z miejscowej wypożyczalni, rozłożonej na poręczu, gdzie ją zostawiła, nim ruszyła dziś rano do pracy; przenośne radio z modulacją częstotliwości i amplitudy, na którym mogłaby odbierać stacje z Antarktydy, wąskie łóżko z mosiężnym wezgłowiem, na którym niewygodnie się było oprzeć, gdy już zrobiliśmy, co mogliśmy, a teraz należało wspominać i ustalić granice.

– Wielki Boże – powiedziałem. Nie całkiem oddawało to stan moich uczuć, gdyż, kiedy doszło do szczytowego momentu, straciłem już nieco energii na wcześniejsze igraszki, które zaczęły się wiele godzin wcześniej na przyjęciu. Czułem się w niej zagubiony.

Dotknęła mego ramienia i wypowiedziała moje imię i nazwisko niepewnie, jakby się obawiała, że mi się to nie spodoba. – Eddie Chester. – Miała rację, zabrzmiało to zaborczo i coś się we mnie zjeżyło. – Naprawdę cię ubóstwiam.

– Powinnaś mnie zobaczyć, jak jestem trzeźwy.

– Kiedy? – zapytała szybko, głosem skwapliwym i ochoczym, jak na początku. Białka wokół jej opuchłych źrenic połyskiwały niczym iskry na ekranie telewizora. Stercząca poduszka zakrywała jej pół twarzy i połowę czarnych włosów, zmierzwionych tak, że tworzyły prawdziwą lwią grzywę.

Poprzednia kwestia po prostu mi się wypnęła. – Może nigdy, Imogeno – oznajmiłem. – Przez tydzień mam występy na zachodzie, a potem wyjeżdżam w tę podróż, by umacniać demokrację na naszej planecie.

– Ale zobaczymy się, kiedy wrócisz – nalegała. – Musisz wrócić do Waszyngtonu, żeby zdać sprawozdanie. Eddie, Eddie, Eddie – mówiła, jakby odgadując, że takie powtórki mnie irytują. – Nie pozwolę ci odejść.

Magiczne esencje Imogeny zaschły na moim obliczu, toteż marzyłem tylko o ręczniczku do twarzy i taksówce, by się stąd wydostać.

– Wiesz, mam żonę. I czworo drobiazgu.

– Kochasz żonę?

– Nie powiem, że nie, choć po piętnastu latach związek nieco traci na uroku.

– Ją też całujesz między nogami?

To już szczyt bezczelności. – Nie pamiętam – odrzekłem, zwlokłem się z łóżka i poszedłem do łazienki, której przekręcenie kontaktu przywróciło kolory, wszystkie różowości, błękity i żółcie na półkach apteczki – zdaje się, że Imogena musi zażywać mnóstwo pastylek, by móc funkcjonować.

– Eddie, nie odchodź – błagała. – Zostań na noc. Tu nie jest bezpiecznie. Nie ma co wzywać taksówki, i tak nie przyjedzie.

– Moja miła, jutro rano o siódmej trzydzieści do hotelu Willard przyjeżdża po mnie zamówiony samochód, żeby mnie zawieźć do zachodniej Wirginii i muszę tam być. Może nie jestem przyszłością bandzo, ale poczucie dumy zawodowej nie pozwala mi zawalić terminu. – Wkładając kalessy, przypomniałem sobie, że taksówka przejechała obok dworca, a potem oświetlonego Kapitolu i pomyślałem, że jakoś trafię na miejsce, kierując się na jego szpic albo na światła na pomniku Waszyngtona.

– Eddie, nie możesz odejść, nie puszcze cię – upierała się Imogena, która wyszła z łóżka, lecz jedna słodka, tłusta noga zaplątała się jej w pościeli. Piersi, niepodtrzymywane, nie wyglądały już tak przebojowo. Tak to już jest, że pulchna sylwetka skazuje kobietę na stanik.

Zanuciłem kilka wersów z „Nie odchodź, jeśli mnie kochasz”, póki nie poczułem pustki w głowie, choć nadal miałem przed oczyma twarz Jima Buchanana, o parę cali od mojej, wciśniętą w skrzypce, przed mikrofonem rozgłosi Zachodniej Wirginii. Potem powiedziałem Imogenie, jakbym nadal cytował tekst piosenki: – Słonko, nie zatrzymasz mnie tu, choć muszę przyznać, że było mi jak w raj. – I tak okłamałem Imogenę po raz trzeci, choć powiedziałem to kłamstwo w dobrych intencjach i trochę prawdy w nim się kryło. – Lepiej obdarz dozgonną miłością kogoś nieżonatego.

– Niech cię szlag! – zaskrzeczała i rzuciła się na mnie z pazurami, ale ją uciszyłem, zabajerowałem słodkimi słówkami i zapędziłem z powrotem do łóżka, a sam, walcząc z narastającym bólem głowy, wyszedłem na klatkę. Ulica, akurat ponumerowana, była spokojna jak scenografia teatralna, lecz idąc zdecydowanym krokiem w moich kowbojskim butach, ruszyłem, na moje wyczucie, ku zachodowi – wzrastając w cieniu Blue Ridge nabiera się niezawodnego wyczucia kierunku – i proszę, niebawem w oddali zobaczyłem czubek Kapitolu, biały jak jajko w kieliszku. Dwóch obdartych, kolorowych dżentelmenów wytoczyło się ku mnie z zabitych deskami drzwi, ale dałem każdemu po dolarze i rzuciłem parę ciepłych słów, po czym pomaszerowałem dalej. Jeśli człowiek bałby się chodzić po własnym kraju, jaki sens miałyby wciskanie trafaretów o wolności Rosjanom?

Bud Nevins zawiózł mnie i moje bandza – piękne, stare mastertony, inkrustowane macicą perłową firmy Gibson oraz zapasowe S.S. Stewarta, którego piąta struna zawsze dźwięczała nieco punkrockowo – do Moskwy i zapakował nas wszystkich do łóżka w pokoju gościnnym wielkiego mieszkania, które wraz z Libby i trójką dzieci zajmowali w

cementowym magazynie, w którym Rosjanie upychali cały personel dyplomatyczny z wolnego świata. Pani Nevins była długowłosa, rudawą blondynką, której twarz zaczęła układać się w ów cierpki, zmartwiony grymas, którym odznaczają się żony profesorów i urzędników państwowych, obarczone brzemieniem mężowskich karier. Depresja wywołana porządkiem dziobania. Minione sowieckie lato nie odświeżyło jej piegów, a czekała ją ostra, śnieżna zima. Był koniec września, teraz u nas w kraju wraca się bez koszuli z sadu po dniu zbierania jabłek. Pierzyna, którą mnie przykryli, pachniała, jak niegdyś, płatkami mydłanymi, taki zapach unosił się z prania matki, gdy pomagałem jej zanosić bieliznę w ciężkim, wiklinowym koszu, by rozwiesić ją na sznurze. Chwile największej bliskości z matką przeżywaliśmy właśnie przy rozwieszaniu prania.

Przygotowując mi posłanie, Nevins powiedział, że przysłała już dla mnie przesyłka pocztą dyplomatyczną. Na mojej poduszce leżała koperta, zaadresowana do mnie, za pośrednictwem poczty wojskowej ambasady. Adres nabazgrany był czarnym długopisem, a w środku znajdował się długi list od Imogeny, relacjonujący żałosny stan jej uczuć po moim wyjściu. Domyślała się, że jeszcze żyję, gdyż gazety nie napisały nic o moich zwłokach, znalezionych w pobliżu, usłyszała też w radiu reklamę mojego występu w St. Louis. Wspominała pewne seksualne szczegóły, które niekoniecznie należało przelewać na papier i przysięgała dozgonną miłość. Drugą stronę przebiegłem tylko wzrokiem. Trudno było odczytać jej charakter pisma, poszczególne litery zachodziły na siebie, a ja byłem wykończony po przebyciu tysięcy mil do ciemnej strony księżycy.

Podczas mego zawodowego życia spotkałem wielu życzliwych ludzi, ale muszę przyznać, że podczas tego miesiąca w Rosji po raz pierwszy zetknąłem się z taką liczbą przemitych, przychylnie nastawionych osób. Rosjanie, przynajmniej ci, którzy nie siedzieli w gułagu, tryskali energią – byli całą noc na nogach, a rano ochoczo brali się do pracy. Na twarzach młodych nie widziałem tego cienia, który zaczynał pojawiać się na obliczach amerykańskich dzieci w owych latach, jakby siłą odciągnięto je od telewizji i wypchnięto na dwór. Powiedziałbym, że Rosjanie spoglądali na życie wprost, na jego słoneczne strony, a także niebezpieczeństwa. Przykro mi to mówić, ale wydawali się niezepsuci. Uczniowie, dla których grałem w starych, pełnych przeciągów klasach, ślali mi uśmiechy. Wiele z owych pomieszczeń wyglądało na przerobione sale balowe, albo nawet nieprzerobione – po prostu wyciągnęli z nich carskich tancerzy i muzyków, i wstawili komunistyczne ławki. Na ścianach widniały zakurzone gzymsy i gipsowe girlandy, a obłazące tynki zachowały pastelowe barwy balowych sal. Okna, okolone gnijącymi pluszowymi draperiami, wychodziły na jakiś podmokły park, gdzie stare kobiety w babuszkach, tak poskręcane reumatyzmem i przygięte do ziemi, że nasze społeczeństwo wyrzuciłoby je na śmietnik, zamiatały ścieżki miotłami – witkami owiązаныmi wokół kija. Wykorzystywało się to, co było pod ręką. Ludzie mieli tak mało dóbr materialnych, że musieli czerpać przyjemność z samego faktu, że żyją.

Wygłaszałem małą pogadankę, rezerwując czas na przetłumaczenie. Zaczynałem od pochodzenia bandzo jako instrumentu afrykańskiego, zwanego „banza” we francuskich

koloniach Afryki Zachodniej oraz „banjer” na południu Stanów, gdzie w jakichś zaściankach nadal się je tak nazywa. Grali na nim niewolnicy, odbywały się też przedstawienia wędrownych minstrelów, podczas których biali wykonawcy, jak Dan Emmett i Joel Walker Sweeney nadal używali tradycyjnego czarnego „uderzenia”, „muskania” czy „walenia” w struny kciukiem i spodem paznokcia palca wskazującego (co demonstrowałem). Potem (nadal demonstrując) opowiadałem o narodzinach stylu „szarpania”, czyli gitarowego, w którym dochodzi palec środkowy, a za struny, prócz wspomnianych trzech paznokci, pociąga się jeszcze metalowymi plektronami, kończyłem zaś utworem bluegrass i tradycyjnymi melodiami ludowymi, które do swego repertuaru wprowadziło moje bożyszczko – Seeger. Gdy opowiedziałem o tym wszystkim, co zabierało mi około pół godziny, wygrywałem dla przykładu melodie w sposób, w jaki, w moim mniemaniu, wykonywali je minstrele, a także ragtime z końca dziewiętnastego wieku, tak jak Vess L. Ossman i Fred Van Eps nagrali je na cylindry Edisona w latach dziewięćdziesiątych XIX w. Występ swój wieńczyłem paroma kawałkami Leadbelly’ego, po czym słuchacze nieodmiennie pytali mnie, dlaczego uciskamy naszych czarnych braci.

Udawało mi się coraz lepiej odpowiadać na to pytanie, brzdąkając na strunach bandza, muskając je i trącając, aż echo szło po ścianach. Przestałem już mówić, że jeszcze nie tak dawno niewolnictwo było zjawiskiem powszechnym, że Rosjanie też mieli niewolników, że kilkaset tysięcy białych mężczyzn z Północy oddało życie za sprawę zniesienia niewolnictwa, że sto lat później Murzynom przyznano prawa obywatelskie, a lincze stały się rzadkością. Słuchając tłumaczenia moich słów, zdałem sobie sprawę, że ich nie przekonuję, że podobne teksty słyszeli od swoich nauczycieli i to ich nie rusza. Zamiast tego waliłem prosto z mostu: tak, to jest problem, haniebnym problemem, ale święcie wierzę, że Ameryka stara się z nim uporać, a muzyka jest jednym z głównych narzędzi przezwyciężenia go. Słuchając swojej przemowy, myślałem niekiedy, że departament stanu wiedział, co robi, sprowadzając tu takiego pełnego optymizmu, szczerego patriotę. Od czasu zamachu na JFK coraz trudniej znaleźć ludzi mego pokroju. Zapewne założyli mi teczkę, w której zdążyło się już nabierać sporo materiału – na myśl o tym zrobiło mi się nieswojo.

Najlepiej się czułem, gdy grałem, tak jak dla tłumów na jarmarku w kraju, wtedy te młode rosyjskie twarze rozjaśniały się, jakbym opowiadał dowcipy. Wszyscy słyszeli jazz, nawet trochę twista i płyty z nagraniami wczesnego rocka, które udało się przesznuć, ale rzadko wpadały im w ucho dźwięki tak żwawe, skoczne i radosne, tak nieodparte jak muzyka bandzo, grana pełną parą, gdy za grajka myślą palce i on sam słucha siebie w zadziwieniu. Czasami dodawali mi do pary gracza na bałajce, a z pewnym małym Azerbejdżaninem – chyba miał też domieszkę krwi cygańskiej – zamieniliśmy się na instrumenty. Występowaliśmy tak razem przez parę dni, objeżdżając górskie miasteczka Kaukazu, gdzie brodaci starcy zbierali się pod oknami sali gimnastycznej, jakby mieli saczyć bimber. Gdy z góry zapowiadano oficjalny koncert, gromadziły się takie tłumy, że sowieckie władze obciążyły liczbę występów.

Podczas trasy koncertowej tłumaczy miałem różnych, ale najczęściej towarzyszyła mi Nadia, niewiasta o cienkich wargach, po czterdziestce, która angielskiego nauczyła się podczas wojny, w wojsku. Herr Hitler zabrał jej dwóch braci i narzeczonego, i teraz złączona była z Czerwonymi więzami żelaza i smutku. Sama wyglądała jak chudy, wysoki żołnierz, który właśnie zdjął mundur – bez szminki, o długim, białym, błyszczącym nosie i krótko ostrzyżonych, pierzastych włosach, które siwiały nie pasmami, lecz kępkami. Z obojętnym wyrazem twarzy słuchała mojej gadki, kiwała głową na znak, że akurat tyle jest w stanie spamiętać, po czym z jej ust tryskał potok mowy, której dźwięki, miękkie i pokrętne, wydały mi się czystą muzyką. Im dłużej razem podróżowaliśmy, tym lepiej wiedziała, co zamierzam powiedzieć, rzadziej mi przerywała i tym więcej słyszałem poszczególnych słów, które układały się w przejrzyste frazy, pozwalające mi wejrzeć w nią niczym w okna miasta, przez które pędzi mój pociąg. Jeździliśmy zawsze w jednym przedziale, toteż z górnego łóżka widziałem jej ręce, zdejmujące buty i pończochy w musztardowym kolorze. Potem gołe stopy i ręce płochliwie znikają mi z oczu. Nasłuchiwałem, ale nigdy nie złowiłem uchem jej uspokojonego oddechu – pod koniec trasy wyznała mi, że w pociągach nie może zmrużyć oka. Ruch i stukot kół rozbudzają ją.

Krępowala nas obecność Buda Nevinsa w przedziale – znajdowały się tam dwa łóżka po obu stronach – a jeśli nie było Buda, towarzyszył nam jakiś inny wysłannik ambasady i często jeszcze ktoś czwarty, podwładny Buda bądź „opiekun” ze strony sowieckiej, który mówił po ormiańsku, kazachsku, czy w jakimś innym języku, używanym w miejscu, gdzie wysiadaliśmy. Czasami osób towarzyszących było tyle, że wszystkie nie mieściły się w przedziale i mam wrażenie, że często najlepiej mi się spało, gdy wszyscy się nawzajem pilnowali. Nadia była, wedle ich wszelkich norm, lojalną towarzyszką, ale i tak, najwyraźniej, należało mieć na nią oko. Gdy poznałem język jej ciała, wiedziałem, kiedy przedział jest zatłoczony, z politycznego punktu widzenia.

Po pewnym czasie zacząłem czuć więź z komunistami. Gdy przybywaliśmy do jakiejś miejscowości w głębi kraju, Nadia i jej towarzysze pakowali mnie do ziła i wszyscy razem podrzinali sobie z „ogona” z ambasady, który ciągnął za nami w importowanym chevroletcie. Kiedy pojechaliśmy na południe, Bud zabrał ze sobą tę swoją smukłą, rudawą blondynkę. Libby, prócz wiecznie zmartwionej miny, miała też śliczne, pulchne usteczka, w których kryło się nieco zbyt wiele zębów. Choć dorobili się już trójki dzieci, byli małżeństwem zaledwie od niespełna dziesięciu lat. Jako kochająca, lojalna żona chciała dzielić z mężem te wszystkie uciechy, których można było zaznać w złowieszczym ogromie Związku Sowieckiego.

Gdzieś hen w głębi Gruzji, górzystej krainy, odwiedziliśmy pokazowy klasztor, mający świadczyć o tolerancji religijnej w Związku Sowieckim. Nieliczni mnisi, którzy się ostali, krążyli wokół nas po ponurych, kamiennych pomieszczeniach. W przybytku tym panował przygnębiający święty zaduch, bijący od starych woskowych świec, krzyżma i pasty do polerowania mebli. Ostatni raz czułem w nozdrzach tę zapachową kombinację przed trzydziestoma laty, w pomieszczeniu magazynowym suterenu, w której mieściła się szkółka

niedzielną baptyistów. Pośród mnichów o brodach sięgających im po pas, znajdował się młody człowiek i zastanawiałem się, z jakich względów trafił do tego widmowego bractwa. Uznałem, że musi być upośledzony umysłowo albo na służbie rządowej. Miał jedwabiste długie włosy, jak księżniczka uwięziona w wieży, i uciekające, przekrwione gałki oczne szpiega. Każdy z nas był przedstawicielem zupełnie odmiennego gatunku człowieczego zwierzęcia, toteż patrząc na siebie, ledwo powstrzymywaliśmy dreszcz.

Na dworze, wokół samochodów, zebrał się tłumek pasterzy i owiec – obie grupy nie wyglądały na zbyt czyste. A gdy Nadia wyjaśniła, kim jesteśmy i po co tu przybyliśmy, pasterze zaprosili nas na posiłek, którego podstawą miała być jedna z owiec. Wolałbym kapuśniak i bliny w hotelu w Tbilisi, ale Nevinsów ogarnęło poczucie misji, jakby ta sposobność do nawiązania znajomości z prawdziwym ludem i przerzucenia mostów między narodami miała się już nigdy nie powtórzyć; i prawdopodobnie rozumowali słusznie. Ich obowiązkiem było dopilnowanie, bym spełnił swój obowiązek, a mój obowiązek rysował się jasno: mam zaprzyjaźnić się z pasterzami, by zdobywać punkty dla wolnego świata. Spojrzałem na Nadię, która z powagą skinęła głową, choć takiej biesiady nie było w planie. A kto wie, może była. Teraz widziałem już w niej sprzymierzeńca w mojej misji obalenia rządów proletariatu, choć, bez wątpienia, było to przekonanie złudne.

Chyba z milę jechaliśmy pod górę, po czym zasiedliśmy wokół obozowego ogniska, gdzie w złowieszczą olbrzymim garze rozgotowywały się kościste kawałki stworzenia, które jeszcze niedawno było równie żywe jak my. Pasterzom niezmiernie spodobały się swobodnie opadające włosy Libby i piegowate kolana, wystające spod minispódniczki, którą starała się obciągnąć, gdy przysiedliśmy na skałkach. Przyniesiono bukłak czerwonego wina, i choć, jak już wspomniałem, w napojach alkoholowych nie jestem wybredny, ten trunek był tak cierpki, że muchy padały w naszych kubkach, a jeden łyk wytrawiał podniebienie do żywego. Gdy bukłak parokrotnie okrążył nasze kółko, żywe zainteresowanie pasterzy zaczęło wyraźnie działać na Libby: rozpromieniła się, chichotała, przeciągała swe długie członki i wypróbowała na tubylcach swój szkolny rosyjski. Ci pasterze – robotnicy rolni, nadzorcy bydła, bo pewnie za takich się uważali – mieli szereg nierozwiązanych problemów dentystycznych, co ujrzeliśmy, gdy ich bokobrody rozwarły się ze śmiechu, ale wokół tego bulgoczącego gara czuło się atmosferę miłości, gorące pragnienie, by na świecie zapanował pokój. Nawet Bud zdjął kurtkę i rozpiął guzik przy kołnierzyku koszuli, a Nadia, pokładając się na rumowisku, zaczęła tłumaczyć moje słowa luźno, jak się zorientowałem, dodając sporo od siebie. Jagnię, które podano nam w cynowych miseczkach, mogło być jeszcze się trochę pogotować. Przyrządzono je ze źdźbłami palusznika krwawego, korzeniami i małymi, zielonymi kaparami, które w środku zawierały petardy, ale tylko Nevinsowie się pochorowali. Następnego dnia musieli zostać w hotelu z opuszczonymi storami, podczas gdy ja z komunistami pojechałem na występ do domu dla weteranów wojennych, skąd rozciągał się wspaniały widok na Elbrus. W samochodzie naśmiewaliśmy się z Nevinsów i ich delikatnych, kapitalistycznych żołądków i to była najokrutniejsza rzecz, jaka stała się moim udziałem podczas miesięcznego pobytu

w Związku Sowieckim.

Uzbekistan, Tadżykistan, Kazachstan – ciekawe, dlaczego Bóg stworzył tyle pustkowi, na których od czasu do czasu przebłyskuje złota kopuła albo błękitne jezioro, jako ochłap rzucony spragnionej duszy. Ale okazało się, że tu dojrzewa następna rewolucja – pod tymi islamskimi turbanami. Kiedy moje bandzo błyskało macicą perłową na ich drodze, krzyżowali palce, by odegnać zły urok. Diabelskie zagrywki umieli rozpoznać na pierwszy rzut oka.

Gdy wracałem do Moskwy, uroczyście wręczano mi paczki listów, nabazgranych czarnym długopisem Imogeny – całe stosy. Aż wierzyć się nie chce, ile papieru zdołała zmarnować, nie mówiąc już o kosztach, na jakie naraziła podatnika, wykorzystując pocztę dyplomatyczną. Usłyszawszy z rozgłośni z Charlottesville mój ośmiotaktowy wokal z kawałka „Ktoś cię kocha, najdroższa”, w nagraniu Decki, doszła do wniosku, że to szyfr. Tym sposobem przekazuję jej, że rzucam dla niej żonę. „Jestem całkowicie otwarta i TWOJA, mój najdroższy, NAJDROŻSZY Eddie” – pisała, co zapamiętałem z całego tego bełkotu. „Będę na ciebie czekać, nieważne jak DŁUGO, nawet DO KOŃCA ŚWIATA” – przysięgała w następnym liście. I tak nawijała i nawijała, opisując szczegółowo każdy swój dzień, łącznie ze szczegółami, dotyczącymi funkcjonowania jej organów wewnętrznych, czego mogła mi oszczędzić, choć byłem rad, że miała okres, a także, jaka jest nieszczęśliwa (bo mnie przy niej nie ma), ale i pełna nadziei (bo wkrótce będę). Rozwijała też teorię, że cały czas mówię do niej przez radio, na każdej częstotliwości, w tym na falach krótkich, na których nadają stacje z Karaibów i Azorów. Jeśli usłyszała braci Osborne, wykonujących „Moje samotne serce” czy „Zmieniłeś się”, wiedząc, że jestem ich bliskim przyjacielem, była przekonana, że przekazują jej wiadomość ode mnie, choć nagrali te utwory na początku lat pięćdziesiątych. Udawało mi się najwyżej przebiec wzrokiem jedną czy drugą stronę – jej pismo stawało się coraz mniejsze i bardziej ściśnięte, po czym nagle wybuchało miłosną deklaracją drukowanymi literami, potrójnie podkreślonymi. Już na widok samych kopert, kłębowiska wypchanych pakiecików, czułem zażenowanie wobec Buda Nevinsa i całego personelu ambasady, trwającego na pozycjach w samym sercu bezbożnego komunizmu. Jakże mogę pełnić rolę ambasadora kulturalnego, skoro dźwigam na barkach ten niedorzeczny bagaż zadufanego zaślepienia?

Imogena snuła plany, gdzie zamieszkamy, w co się ubierze, zasiadając w łoży honorowej na moich koncertach, co będzie wyprawiać w sypialni i w kuchni, by podtrzymać żar mojej miłości, buchający obecnie jaskrawym płomieniem. Przekonana, że zostaniemy razem na resztę życia, opisywała mi swoją rodzinę, matkę, na którą rzucała oszczerstwa, lecz która wcale nie była taka zła, ojca, tak krótko obecnego w jej życiu, że nie warto o nim wspominać oraz rodzeństwo – najwyraźniej najgorszą zbieraninę nieudaczników i darmozjadów na półwyspie DelMarVa. Obawiałem się, że te wynurzenia wzbudzą czujność KGB, prześwietlającego pocztę dyplomatyczną. Stracę twarz wobec Nadii, stalowego wzoru radzieckiego człowieka, potrafiącego obejść się niczym. Ci uczniowie o

niewinnych oczach wyczują moje moralne zepsucie. W obliczu zgrzebanej surowości sowieckiego życia, nadal wstrząsanego dreszczem strachu ery stalinowskiej, miłosne złudzenia jakiejś infantylnej Amerykanki zdały mi się odrażające. Gdy miesiąc mego pobytu zbliżał się do końca i świat kapitalistyczny wyciągał po mnie swoje macki, do zwariowanych listów Imogeny zaczęły dochodzić depesze z mojej agencji oraz bezbarwne, lecz pełne miłości listy żony, do których załączała karteczki oraz posłusznie wykonane dla tatusia rysunki moich dzieci, co jeszcze zwiększało moje obrzydzenie. Wysłałbym Imogenie depeszę: DAJ MI ŚWIĘTY SPOKÓJ albo NIE JESTEŚ PANIĄ MOJEGO SERCA, jednakże mimo chorego umysłu była na tyle szczwana, że ani razu nie podała mi adresu zwrotnego, a gdy usiłowałem sobie przypomnieć jej mieszkanie, miałem tylko poczucie bieli i czerni, pamiętałem, jak karmiła mnie piersią, podtykając po jednej, widziałem olbrzymie radio, pustą ulicę z czubkiem Kapitolu na końcu, niczym białoczekoladowy cukierek. To bolesne upokorzenie po prostu muszę przecierpieć.

Leningrad zostawili mi na koniec, ponieważ tu komuniści, nadal mający w pamięci obłąkanie, byli najbardziej nieprzejednani i mogłem spotkać się z wrogim przyjęciem. Ale gdy tylko odezwał się mój Gibson, potrącane struny zabrzczały niczym zgodnie toczące się małe i duże koła pociągu ja-dą-ce-go-z-da-le-ka, rozbłysły uśmiechy wzajemnego zrozumienia. Nie jestem dzielnym człowiekiem, ale ufam memu instrumentowi i ludzkiej naturze, która zasadniczo jest przyzwoita. St. Petersburg, który wrócił do dawnej nazwy, jest pięknym miastem; wielkie, zdobne rzeźbami budynki we włoskich barwach, niespodziewanie ukazujące się oczom, przywodzą na myśl Wenecję. Uczniowie, zgromadzeni w ponurych, dawnych salach balowych, obawiali się, że Amerykanie zagłosują na Goldwatera, a ja tłumaczyłem im, że moi rodacy nigdy nie wybiorą podżegacza wojennego. Przedstawiano mnie jako „postępowego” amerykańskiego artystę ludowego, ale musiałem im powiedzieć, że nie ma we mnie nic szczególnie postępowego – moi rodzice przez całe życie byli demokratami ze względu na wojnę, stoczoną sto lat wcześniej, a ja nie zamierzam zmieniać partii.

Potem, akurat jak już miałem wsiadać do samolotu Aeroflotu, Chruszczowa odsunięto od władzy i wszyscy otaczający mnie Sowietnicy bardzo się usztywnili, nie wiedząc, co będzie dalej. I pomyśleć tylko, że całym tym potężnym imperium rządziło za kulisami paru przepitych facetów o marsowych obliczach. Nadia – mój głos, moja przewodniczka, protektorka, bliższa mi przez ten miesiąc niż żona, gdyż bez niej nie dałbym sobie rady – dała mi dowód zaufania, zwierając mi się, gdzieś na Newskim Prospekcie czy też w jakimś holu, gdzie wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie zainstalowano pluskiew:

– Eddie, nie załatwiono tego w sposób cywilizowany. W cywilizowanym kraju tak się nie robi. Należało mu powiedzieć: „Dziękujemy, że zakończył pan rządy terroru”. A potem: – „Wybaczamy panu awanturnictwo, porażki w rolnictwie, i tak dalej. Żegnamy pana, ale *bolszoje* dzięki”.

Niekiedy, pod koniec męczącego dnia, wypełnionego występami, powiedzmy, w

Taszkencie, angielszczyzna Nadii pogarszała się, z powodu czystego znużenia wykorzystywaniem podwójnego zestawu komórek mózgowych, a jej powieki i czubek długiego, białego nosa zaróżowiały się. Mówiliśmy sobie dobranoc w hotelowym holu, wypełnionym stęchłym zapachem strychu i światłem lamp, podtrzymywanych przez mosiężne niedźwiedzie, a ona, wyciągając rękę, podawała mi nie dłoń i miękki kciuk, lecz cztery chłodne palce, równe jak paski na naramiennikach sierżanta. I tak zaczęliśmy się żegnać na lotnisku, ale zaraz przeskoczyliśmy przepaść między dwoma wielkimi krajami i pocałowałem ją w policzek, najpierw jeden, potem drugi, a później przycisnąłem Nadię do piersi jak prawdziwy Słowianin. Do oczu napłynęły jej łzy, ale może po prostu zaczynało ją brać przeziębienie.

Bud powiedział mi na lotnisku, tak niedbale, że powinienem był przeczuć kłopoty:

– Zdjęliśmy twój numer pocztowy przed dwoma dniami, więc po twoim odlocie przestaną ci tutaj przekazywać korespondencję. Będziesz dostawał listy prosto do domu.

– Całkiem słusznie – powiedziałem nieopatrznie. Bud chyba przewidywał komplikacje, ale jako dyplomata, prawdziwy zawodowiec, mówił tylko tyle, ile trzeba.

W czasie drogi powrotnej, na ostatnim etapie, gdy leciałem z Paryża, przeżyłem coś, czego dotąd, mimo wielu przelatanych mil, nigdy jeszcze nie doświadczyłem. Schodziliśmy, po wielkim luku, nad Gander i Nową Szkocją, a potem, gdy wznieśliśmy się pięć mil w górę, ujrzałem Nowy Jork z odległości wieluset mil, świetlisty obłok w zimnym, plastikowym owalu okna samolotu. Rozrastał się niczym wyciągana z wody ryba. Przyciskałem ziębnący policzek do plastiku, by nic nie uronić z tego widoku, maleńkiego punkciku na niewidzialnej powierzchni ziemi niczym mgławica, kłęb kurzu, tyle że świecący, zamazany ośrodek naszego amerykańskiego marzenia. Tylko on i ja, pośród nocnego nieba, złączeni tajemną więzią. Doznałem wizji.

Gdy załatwiłem formalności celne w niegdysiejszym Idlewild, zadzwoniłem do domu. Było po dziesiątej, ale czułem się niezwykle rad z powrotu do kraju wolnych ludzi. W głosie mojej żony prócz powitania usłyszałem coś jeszcze, jakby była płochliwą salamandrą pod płaską skałą. – Wczoraj i dzisiaj przyszły do ciebie jakieś listy – rzekła. – Najwyraźniej wszystkie od jednej osoby.

Jakże tu jasno, pomyślałem, w porównaniu z lotniskiem w Moskwie. Każdy kąt, każdy podjazd pod rampę były oświetlone, niczym zdjęcie policyjne, wszędzie wisiały reklamy, pełno było barów, a wszystko aż skwierczało od elektryczności. – Otworzyłaś je? – zapytałem, czując, że na serce opadła mi jakaś ciężka ręka.

– Tylko jeden – odparła. – Wystarczyło, Eddie. O Boże.

– To nic takiego – odparłem, co nie było stuprocentową prawdą. Choć z jednej strony nie byłem zachwycony tym, że Imogena stanie się ciągłym tematem rozmów w naszej kochanej rodzinie, z drugiej, nie można nikogo winić za to, że mnie ubóstwia. Cóż w tym dziwnego, że czułem iskierkę rozkoszy na wspomnienie, jak unosiła jedną pierś, a potem drugą, a każdy sutek w tym biało-czarnym pokoju wyglądał niczym otwór lufy, wycelowanej prosto w moje usta. Po podróży do ciemnej strony księżycy doszedłem do wniosku, iż

najcudowniejsze i najdziwniejsze jest to, że kobiety i mężczyźni jakoś ze sobą wytrzymują.

Jego dzieła wszystkie

Henry Bech, starzejący się pisarz amerykański, zauważył, że kobiety, z którymi sypiał przed dziesiątkami lat, pojawiają się teraz na jego publicznych wykładach. Wyczuwał je na widowni, nawet jeśli panowała tam ciemność. Clarissa Tompkins, na przykład, wślizgnęła się późno podczas jego wieczoru autorskiego w New Jersey do starej, podmiejskiej sali kinowej, przystosowanej do szerszej działalności kulturalnej, gdy przyćmiono już lampy, a on jął głośno odczytywać poemat prozą ze zbioru „Gdy święci” (1958), przywołujący obraz sklepu ze starzyzną w East Village. Unosząc głowę, by oszołomić słuchaczy frazą: „patyna niejasnego, dawnego użytkowania, wyżarzając współczesną, jakże silnie obecną warstwę kurzu”, rozkoszował się szelestem głosek szczelinowych w tym zwartym duecie słów, gdy ujrzał jej sylwetkę na tle mdłego poblasku, jaki rzucał staroświecki, ozdobny znak, wskazujący drogę do damskiej toalety. Clarissa przemknęła z wysepki bursztynowego światła w mrok tylnych rzędów, ale wszędzie by rozpoznał te zaczesane do góry włosy, w kolorze ciążutki, jak pamiętał, które rozdymały jej i tak sporą głowę, wieńczącą filigranową, płaską postać. Ten kształt jej sylwetki zawsze chwycił go za serce. Kochali się we wspianym apartamencie Tompkinsów na Piątej Alei, z widokiem na Reservoir, po czym nago biesiadowali na grubym, wschodnim kobiercu, rozłożonym pośrodku salonu; ciążutkowy odcień rozbłyskiwał niewinnie, gdy siedziała po turecku, pochłaniając połowę kanapki z indykiem, którą przygotowywała kucharka przed wyjściem – po południu miała wolne. Pośród przepychu swego mieszkania Clarissa zachowywała się jak ostatnie skąpiradło. Kanapkę dzieliła na dwoje, jedna torebka herbaty musiała wystarczyć na dwie filiżanki. Natapirowana fryzura przytłaczała drobną twarzyczkę, która niemal niknęła w połowie kanapki, gdy Clarissa się w nią wgrzyzała – mały, prosty nos, krótkowzroczne zielone oczy, zazwyczaj patrzące z wytężeniem, lecz teraz załzawione i przymglone po przeżytych orgazmie. Po odgryzieniu każdego kęsa jej pulchna górna warga pozostawiała jasnoczerwony ślad na brzeżku białego chleba. Rozmazana szminka dawała zadziwiająco trwałe ślady, nie wystarczało obetrzeć twarzy myjką, Bech musiał ją szorować papierowym ręcznikiem, umaczanym w wódcę, nim odważył się wystawić na spojrzenia windziarza, portiera, przechodniów na ulicy.

Dlaczego fatygowała się aż do New Jersey, do tej szkoły wciśniętej w podmiejskie pustkowie na północ od Newark? Jak dowiedziała się o jego wieczorze? Zastanawiając się nad tym, zapomniał, w którym miejscu przerwał czytanie i cisza rozpostarła się nad skrytymi w cieniu twarzami, nim odnalazł właściwy wers i ponownie podjął lekturę: „Pochyleni, uważnie przyglądamy się wydrążaczowi do jabłek, wykonanemu głównie z

drewna, którego kunsztowne zdobienia przywodzą na myśl narzędzie tortur z Borgesa czy Kafki; jakimś sposobem, poprzez łańcuch sprytnych i, miejmy nadzieję, korzystnych transakcji trafił z niedogrzanego strychu gdzieś w Vermont do tej dusznej, zawalonej towarem placówki handlowej w dolnym Gotham”. Nie był zadowolony z wielosłownia tego zdania, które dopiero teraz zauważył.

Pan Tompkins był mecenasem – i to głównym – awangardowego magazynu o surowej nazwie „Dezaprobat”, którego Bech był wiernym współpracownikiem. Być może Clarissa dostrzegła w nim szlachetnego dzikusa – krępego, o bujnym owłosieniu członka cyganerii, mającego za nic wszelkie drobnomieszczańskie skrupuły. W latach pięćdziesiątych nastąpił wysyp szlachetnych dzikusów, wzorowanych z grubsza na Henrym Millerze, po czym, dekadę później, odsądzono ich od czci i wiary, uznając za motłoch, wysuwający nedorzeczne żądania polityczne. Ale Bech żywił ciepłe uczucia nie tyle wobec bogactwa, gdyż jako twardogłowy marksista szczerze pogardzał bezrozumną masą cyfr w zestawieniu aktywów, ile wobec uroczych przedmiotów, które bogactwo może zapewnić – pożyłkował puszystych dywanów Tompkinsa, oprószonych pozłotą orientalnych rycin, kuchni, wyposażonej w lśniące, mosiężne szwajcarskie sprzęty i blaty z zielonego marmuru, olbrzymiego łoża i pościeli z wykwiłtej bawełny. Tompkinsowie nie mieli potomstwa, nagromadzone dobra były ich bezbronnymi dziećmi. Każda schadzka w ich luksusowym, dwupoziomowym apartamencie – pani domu taktownie zwalniała kucharkę i pokojówkę, ale kto wie, jak podłe kiełkowały w nich podejrzenia – wywoływała w Bechu moralne rozterki. Tompkins wspiera sztukę, artysta zaś odpłaca mu się, rżnąc jego żonę. Gdzie tu sprawiedliwość?

Clarissa, trzeba przyznać, wyczuwała, że dla jej kochanka sytuacja jest trochę niezręczna. Przedstawiała mu swe erotyczne wymagania, jakby zwracała się do inwalidy, łagodnym, lecz stanowczym głosem gościa odwiedzającego chorego w szpitalu, delikatnymi podnietami pobudzając jego jurność, uczyła go jak podrostka pewnych niekonwencjonalnych sposobów osiągnięcia rozkoszy, podczas których ślady jej szminki odbijały się raz po raz na ich ciałach, jak piłka na boisku do squasha. Do orgazmów dochodziła drogą nadzwyczaj krętą. Ćwiczyła jogę i lubiła, by odchyłać ją do tyłu na wyściełanym jedwabie stołku, by jej głowa opierała się na podłodze, stopę poniżej bioder, zielonymi oczyma szukając twarzy kochanka; zawijasy wzoru kobierca prześwitywały przez jej potargane, rozpuszczone włosy. Stopniowo dawała mu do zrozumienia, że nie ma nic przeciwko urozmaiceniom, jakie erotyka hinduska wprowadzała do tradycyjnych pozycji i niemymi zachętami wywabiała jego męską siłę ze skorupy nieśmiałości. Rezerwa i wahanie kochanka wręcz pobudzały ją najwyraźniej, do przełamania własnych zahamowań.

A mimo wszystko nie zdołała go zatrzymać. Zbeczczyłszy sztywny apartament Arnolda Tompkinsa, jego delikatne jedwabie, nieskazitelne satyny i płynące stąd wyrzuty sumienia kazały mu napisać do Clarissy pożegnalny list, w którym zaręczał, całkiem szczerze, że nie chce mącić jej spokoju pośród luksusów, których piękno i wartość lekceważyła, lecz on

cecił je wysoko. Krótko mówiąc, pragnął uniknąć ewentualnego skandalu, by nie brać sobie na głowę bogatej kobiety, choć ona tak żarliwie dążyła do poniżenia.

Z tej chwiejnej, źle oświetlonej mównicy przedzierał się przez poematy prozą sprzed czterdziestu lat, które nagle wydały mu się straszliwie manieryczne, a także źle datowane, potem przedstawił mocno wyeksploatowany fragment z antologii, opisujący burdę na parkingu dla ciężarówek, pochodzący z jego powieści drogi, „Lampa podróżna” (1955), a między poszczególnymi zdaniami obrzucał wzrokiem widownię, w nadziei, że a nuż zobaczy błysk wysoko upiętych, puszystych włosów Clarissy. Spod przymrużonych powiek zauważył, że przesunęła się z mroku, gdzie przycupnęła w tylnym rzędzie, w pobliże płonącego bursztynowym światłem znaku, rodzaju latami magicznej, metalowej szkatułki wyciętej, wedle wzorców elegancji właściwej dla dawnych sal kinowych, tak, by żarówka oświetlała sylwetkę kunsztownie uczesanej osiemnastowiecznej elegantki, poprawiającej toaletę. Nad nią wycięte litery układały się w napis *Mesdames*.

A gdy znowu zapaliły się światła i nadszedł czas tortur wydrążaczem jabłek, czas pytań do autora, Clarissa zniknęła, zapadła się na zawsze w morzu uśmiechniętych miłośniczek literatury, w wieku średnim i wręcz starszawych, a także wielbicielek pisarza. Cóż z niej za złośliwa bestia, pojawić się jak za dotknięciem różdżki, a potem zniknąć! Czy miała to być reprimenda za to, że zniknął z jej życia, choć otworzyła mu tak nieograniczony wstęp? Nie spotkali się więcej, nawet na przyjęciu w pracy, gdyż wkrótce potem Tompkins wycofał się z mecenatu nad „Dezaprobata” i pismo jeszcze trochę pociągnęło, po czym padło.

Na West Side „Y” – o ileż przytulniejszej niż znacznie bardziej rozreklamowane forum East Side na Ninety-second Street – Bech szukał wśród publiczności przyjaznej twarzy, do której mógłby się zwracać w trakcie czytania. Usiłował, nie pierwszy już raz, wlać więcej życia do sceny ze swej książki „Spójrz szerzej” (1979), w której Olive, uświadomiwszy sobie wreszcie, że jest lesbijką, opowiada o swych poprzednich miłościach Thelmie, porzuconej kochance Tada Greenbauma, leżąc w jej ramionach, w pomarańczowym blasku zachodzącego słońca, którego promienie zza Palisades wpadają do pokoju poziomo, niczym taktę muzyki. Fragment ten, w którym przeplatają się głosy dwu zamroczonych miłością kobiet, niełatwo odczytać w przekonujący sposób, toteż Bech potrzebował zachęcającego uśmiechu skwapliwej słuchaczki. Dziś uśmiechu, czarującego, kuszącego wręcz na szerokiej białej twarzy, nie musiał szukać, to uśmiech go odszukał. Czytając na głos, mamrocząc w szeleszczący, niekiedy poszczekujący mikrofon, miał dręczące poczucie, że widział już to krzepiące oblicze. W uśmiechu, podkreślonym szminką tak ciemną, że w półmroku, panującym na widowni, zdawała się czarna, krył się uroczy, pobłażliwy grymas w kąciku ust, nasuwający myśl o dawniejszej znajomości, o intuicyjnym zrozumieniu, wznoszącym się ponad te teatralne zagrywki, mające tchnąć życie w półprzytomne zwierzenia dwóch fikcyjnych cór Bilitis, dziewczęcia z francuskiego filmu, rezygnującego z kochanka na rzecz przyjaciółki. W jego tekście jedyną rzeczą prawdziwą

był pokój, dokładnie odwzorowujący apartament przy Riverside Drive, w którym mieszkał przez lata, nim zawarł pechowe małżeństwo z Beą Latchett, dość sympatyczną siostrą Normy Latchett.

Zaraz, pomyślał, nie przerywając lektury. Gdy w jego życiu dominowały siostry Latchett, była jednak szczelina, nisza, w którą dałoby się wpasować ów bezcielesny uśmiech czarnych ust. Bordowe wargi, oczy o fioletowych tęczęwkach i długich rzęsach, czarne, proste włosy, opadające na połyskliwe, barczyste ramiona. Pełen życia, czarny, wąski grot pomiędzy białymi, krągłymi grzebieniami miednicy. Kobieta, na którą natykał się z rzadka, zbyt pulchna i zasadnicza jak na jego gust, ale której zdumiewająca woskowa bladość, rozjaśniająca mroczne pokoje, przyciągała go od czasu do czasu, gdy chyłkiem, boczkim, płochliwie przemykał przez śródmiejskie kręgi literackie niechlujnych lat sześćdziesiątych. *Gretchen*. Gretchen Folz, niedoszła poetka. Jej żalosa klitka na Bleecker Street, z wąskim łóżkiem, ciepłym i przytulnym na tle ściany w kolorze natki pietruszki, od drugiej strony zastawionym chwiejnymi stosami tanich książek New Directions i Grove Press. Łóżko przykrywała narzuta, rękodzieło amiszów, której pozszywane trójkątne kawałki przywodziły na myśl gwiazdy Dawida, a żelazny wezglówek z pionowych rurek wbijał się Bechowi w plecy, gdy Gretchen, w pozycji lwicy leżącej, siadała na nim okrakiem, muskając mu usta sinymi sutkami.

Odgrzebawszy to wspomnienie, poczuł dreszcz radości, aż jego głos zadudnił, absolutnie nieodpowiednio, odczytywał bowiem czułe słowa Olive do Thelmy, podsumowujące jej dotychczasowe życie: „To wszystko było niczym las królowy Śnieżki, przez który ścieżka wiodła do ciebie”. Pamiętał, że przed dziesiątkami lat, wahając się między „ścieżką” i „drogą”, odrzucił w końcu „drogę”, jako słowo obarczone zbyt wieloma znaczeniami, zbyt przywodzące na myśl Prousta, lecz teraz „droga” wydała mu się bardziej naturalna, choć mniej kojarząca się z gmatwaną zmagani seksualnych, z lubieżnymi męskimi twarzami na disnejowskich pniach drzew.

Wiersze Gretchen snuły się po stronicy szarpaniną wersów, eliptycznymi skokami, które Bech uznawał za wierne odwzorowanie działania jej umysłu, zmiennych połączeń wewnętrznych. Orgazmy też nie przychodziły jej łatwo. Z początku denerwowała się, gdy Bech stanowczo i bez dyskusji postanowił przepracować z nią ten problem. – Rachuciachu, gachu, tak będzie najprzyjemniej – oznajmiła mu.

- Wymigujesz się – rzekł. – Będę się czuł jak ostatni drań, który cię wykorzystuje.
- Ale co... To znaczy, jak...

Jakże uroczo, zachwycająco rozjaśniła się jej szeroka, żądna intelektualnego rozwoju twarz w tym dziewczęcym zmieszaniu, prefeministycznej niechęci do analizy swych narządów płciowych. Rozbudził jej zainteresowanie i wspólnie przełazili przez stopy Pounda i Burroughsa, Céline’a i Geneta, Anaïs Nin i Djuny Barnes, które przewracały się jak kostki domina, sięgając do środka maleńkiego pokoiku.

Dlaczego tak rzadko spotykał się z Gretchen, tak sporadycznie, choć był równie chętny co ona, a ich zapal wzrastał? Może odstręczały go od niej jej literackie zapędy – jego

popęd erotyczny kazał mu się trzymać z dala od piszących kobiet, może z obawy, by nie współzawodniczyły z powściągliwym, niewysłowionym ośrodkiem jego racji bytu, nie próbowały się do niego dobrać. A do tego była rozłożysta, a on lubił kobiety gibkie i drobne, nie ufał obfitości jej bujnego ciała, powolnej miękkości, gdy dochodziła, pośród wzbierających zapachów solanki i rui, do wyładowania seksualnego. Gdyby trochę schudła, gdyby nie trzeba było wprawiać w ruch tyłu kilogramów, tę drogę – ścieżkę – łatwiej by jej było przebywać. Starania Becha bardziej przypominały zabiegi lekarza niż kochanka, a взгляд terapeutyczny rozmywał jego własne podniecenie. A także, zstępując do zatłoczonej izdebki, między jałowe ambicje literackie Bleecker Street, on, który stawał się znany, gdyż wszystkie jego cztery tytuły, do 1963 roku, zostały wymienione na bożonarodzeniowej liście Ważnych Książek „New York Times Book Review”, miał poczucie, że zadowala się byle czym. I do tego była Żydówką, czego najmniej w owym czasie potrzebował. Miał w sobie żydowskości za dwoje. Obdarzony był czymś, czego Gretchen mocno potrzebowała, cierpliwością seksualną, a ta jej żywotna potrzeba niepokoiła drzemiącego w nim wybrednego poszukiwacza przygód. I choć zaniedbywał dziewczynę całymi tygodniami, nigdy nie dąsała się długo, gdy wracał w jej orbitę.

Również i dziś wieczór, gdy wytrwale, choć z roztargnieniem, brnął przez lekturę, a potem bez entuzjazmu stawiał czoło pełnym zadęcia pytaniom, jakimi zarzucała go publiczność, Gretchen ani słowem nie wypomniała mu, że uwodził ją zrywami i odchodził bez przeprosin, lecz powitała go z dawnym, smętnym uśmiechem na dojrzałych ustach, z dziewczęcą nadzieją na spełnienie w jego ramionach. Ale w jej powitalnym pocałunku kryła się teraz władczość, nie była już tą młodziutką, nieśmiałą poetką. – Poznaj mojego męża – rzekła.

Był to postawny, rumiany mężczyzna koło sześćdziesiątki, pełen godności, ale sympatyczny, w garniturze w prążki, bardziej odpowiednim na posiedzenie zarządu niż na wieczór literacki. – Dobra rzecz – powiedział dzielnie, zdając sobie sprawę, po co kazano mu się tu stawić. Żeby się nim pochwalić.

– Henry, co ty wyprawiasz – rzekła Gretchen. – Przecież nie chcesz zostać lesbijką. Musiałbyś zawiązać jaja na supeł.

– Sam nie wiem. Ciągle się zmieniam – odparł, żałując, że cmoknęła go tylko w jeden kącik ust i to tak króciutko, tak beznamiętnie. Wyglądała na spełnioną. Jej bujna, rozłożysta postać nie raziła przy potężnej posturze męża. Fryzurę miała krótką, postrzępioną, a włosy ufarbowane na metaliczny odcień rudego cynobru, co nadawało jej zniewalająco futurystyczny wygląd.

– A co się stało z twoimi wierszami? – zapytał. Nie bardzo wiedział, jak rozmawiać z tymi kobietami, które tak niespodziewanie się pojawiały.

– Wydałam własnym sumptem – odparła. Ostre, ciemne kąciki ust wnikały w kremowe policzki z mściwym grymasem, jedynym odwetem, na jaki mogła zdobyć się ta dobra dusza.

– Wydrukowane pięknie. Bob je uwielbia.

– Bob – powtórzył Bech, przeciągając samogłoskę, jakby jeszcze raz chciał

posmakować Gretchen. – Bez wątpienia jest wytrawnym krytykiem. Podobają mu się te rzeczy. Rzeczy.

W Indianapolis największe i praktycznie jedyne atrakcje to Kopuła Swojaka oraz pomnik ku czci żołnierzy i żeglarzy. Ten zestaw skojarzył się Bechowi z jeszcze bardziej zbliżoną parą, w Londynie – Royal Albert Hall – okrągły, przestronny, różowy – i falliczny szpikulec Albert Memorial, po przeciwnej stronie Kensington Road. Może świat dałoby się zdekonstruować na te dwa podstawowe kształty, jeden poszukujący drugiego. Tuż przed jego spotkaniem z czytelnikami w bibliotece publicznej Marion County, gdy stał bezczynnie, wyjątkowo bez żadnego anioła stróża, z jednej strony schodów prowadzących na podium podeszła do Becha żwawa, niska, sympatycznie wyglądająca kobieta w tweedowym kostiumie koloru fuksji i spojrziała na pisarza roziskrzonym wzrokiem.

Nieraz patrzono już na Becha roziskrzonym wzrokiem, celowały w tym zwłaszcza kobiety, które zbytńio wczytały się w jego powieści, kreując się na zarysowaną w nich heroinę. Ta kobieta, jednakże, nie wyglądała na wielbicielkę. – Henry Bech – odezwała się z owym nieustraszonym, jednolitym akcentem mieszkańców serca Ameryki. – Nazywam się Alice Oglethorpe. Zapewne pan mnie nie pamięta, ale kiedyś jechaliśmy tym samym pociągiem z Nowego Jorku do Los Angeles.

Uścisnęła mu dłoń tak samo, jak mówiła, mocno, jej ręka nie była ani zimna, ani ciepła, ale wyczuł w niej lekkie drżenie. Potem, gdy zaczęło mu świtać, kogo ma przed sobą, poczuł gwałtowne uderzenie serca i on, zawodowy gawędziarz, zastygł z otwartą gębą, nie mogąc wykrztusić słowa. Niebieskie oczy z niesamowitym srebrzystym poblaskiem wpiły się w źrenice pisarza, a on sam gubił się w domysłach. Za nic w świecie by jej nie poznał. Wyglądała zbyt młodo, by być jego Alice. Choć krew zaczęła żywiej krążyć w jego żyłach, było mu wstyd, że od ich ostatniego spotkania tak bardzo się posunął. – O Boże – wykrztusił w końcu. – To ty. Naturalnie, że pamiętam. Twentieth Century Limited.

– Tylko do Chicago – poprawiła go. – Potem był Santa Fe Super Chief.

Lewą ręką, trzymającą książkę, której fragmenty miał wieczorem czytać, próbował niezgrabnie pogłaskać dłoń kobiety, tę cenną jej część, którą ścisnął w prawej. – Co u ciebie? – zapytał. – Gdzie mieszkasz? Co się stało potem?

Zmieszanie sprawiło jej przyjemność i uspokoiło nerwy. Zabrała wciąż drżącą dłoń. Wzrok nadal miała utkwiony w nim, ale jej usta, z początku napięte, rozciągnęły się w uśmiechu. Poznał ją. – Mieszkam tu – odparła. – A raczej w Bloomington. Nie mogę narzekać. Nadal jestem mężatką. Jakoś przez to przebrnęłam.

Prawie się nie postarzała, trochę tylko przybrała na wadze. Nadal była szatynką, jej włosy miały kolor zbyt nieokreślony, by mogły być farbowane – „lurowata blondynka” – jak określała to jego matka, a wełnianego kostiumu o barwie śmiałego fioletu nie założyłaby żadna elegantka. Alice nadal podtrzymywała swój wizerunek zwyczajnej, szacownej kobiety.

Jej mąż, jak pamiętał, był jakimś analitykiem finansowym, pracownikiem bankowym

średniego szczebla. Podróżowała do Los Angeles do męża, który uczestniczył tam w dobiegającej właśnie końca tygodniowej konferencji, zorganizowanej pod patronatem przemysłu obronnego południowej Kalifornii, wchodzącego w okres największego rozwoju. Och, mogła była pojechać z Tadem i zatrzymać się w hotelu, ale co by robiła całymi dniami – jeździła na wycieczki autobusowe, by oglądać domy gwiazd? Jej srebrzyste oczy i kostyczny ton powiedziały Bechowi, że w pewnym sensie także uważa się za gwiazdę. A przynajmniej była tuż obok, rozmawiając tylko z nim. Zawsze chciała podróżować po kraju, jak mu oznajmiła, a nienawidziła latać, choć mogła, wychyliwszy parę głębszych. Bech udawał się na przeciwległe wybrzeże, by się przekonać, jakie szanse przeniesienia na ekran ma jego pierwsza powieść, z elementami sensacji, „Latarnia podróżnika”. (Podejrzewał, że żadne). On również wolał podróżować pociągiem, niż powierzać swe ciało samolotom śmigłowym, w których niemiłosiernie rzucało – był to koniec lat pięćdziesiątych, przed erą wielkich odrzutowców. Śmigłe transkontynentalne pociągi wychodziły już z mody, toteż decydując się na podróż nimi, oboje z Alice objawili pokrewne, romantyczne natury. Wszystko to wypłynęło podczas ich pierwszej rozmowy, ponieważ przypadły im miejsca obok siebie, dwojgu samotnym podróżnym w zatłoczonym wagonie restauracyjnym.

Podrygujące sztuce na rozedrganym obrusie. Uspokajająca, bajkowa solidność kubków i dzbanków o ciężkim dnie, z nadrukiem znaku firmowego Dworca Centralnego. Czarni kelnerzy, obsługujący ich z teatralnym szacunkiem w świetle, w którym szczęśliwy czarny sługa również wychodził z mody. Gdy tylko podprowadzono ją do pobrzękującego stolika, przy którym siedział Bech, wyczuł, że się z nim prześpi. Powiedziało mu to blade światło w jej oczach, nieco zbyt mocny połysk szmaragdowego, wełnianego kostiumu, prąd, wyczuwalny w jej ruchach i, gdy wypita trochę wina, w sposobie mówienia. Na podwórkach Brooklynu, gdzie spędził dzieciństwo, starsi chłopcy szeptali między sobą, że kobiety, które dużo i chętnie mówią, są równie „chętne” pod innymi względami, a jego skromne dotychczasowe doświadczenia potwierdzały tę prawdę. A teraz siedzi w pędzącym pociągu, wiozącym go na północ wzdłuż błękitnego, spowitego jesiennymi mgłami Hudsonu, mając wrażenie, że znajduje się z tą kobietą sam na sam, jak na bezludnej wyspie.

Zawołała go jego opiekunka, główna bibliotekarka Indianapolis – czas wejść na podium i zarobić na swoje honorarium. Tonem ciepłym, lecz oficjalnym Alice Oglethorpe oznajmiła mu, że miło go było znowu zobaczyć po tylu latach.

– Wyglądasz cudownie – cudownie! – tylko tyle zdołał wykrztusić. Odwróciła się i on się odwrócił. Ależ z niego głupiec! Najbardziej nieśmiały uczeń byłby bardziej elokwentny. I jak niezgrabnie okazał jej czułość, właściwie drapał ręką, w której trzymał książkę. Nie zapytał o nic ważnego. Miał wrażenie, że jego ciało jest gongiem, w który właśnie uderzono, opuchłym od drgań. I pomyśleć tylko, że była tuż obok, że przyjechała, by go odnaleźć! Gdy brnął w oszołomieniu przez swój tekst, przychodziły mu do głowy pytania, które powinien był jej zadać. Gdzie właściwie mieszka? Czy jest szczęśliwa? Czy

uciekłaby z nim teraz, skoro dopełniła swe macierzyńskie obowiązki? Pamiętał, że wtedy miała małe dzieci, które zostawiła pod opieką teściów w Bronksie. Ale nie pochodziła z Nowego Jorku, jej podróż zaczęła się na północy stanu, dzięki czemu tym bardziej zdała mu się darem z innego świata. Gdzie rozum nie sięga. Ponad wszelkie oczekiwania. W świetle lampy na mównicy jego ręce wyglądały dziwnie, zwiędłe, lecz nadal piękne. Okryte skórą stawy, palce porośłe włosami. On sam też kiedyś był piękny.

Nie spała z nim pierwszej nocy. Podniosła się po kawie i pożegnała stanowczym tonem. W owych czasach wagony sypialne Pullmana, wyposażone w górne i dolne łóżka, oddzielone zielonymi zasłonkami, wyszły już z użycia, wagony sypialne Twentieth Century Limited podzielone były na przedziały wielkości siedmiu stóp na trzy. Bech prawie nie zmrużył oka, wiedząc, że Alice znajduje się parę kroków od niego, w innym przedziale. Może i ona wiała się pod zbyt ciasno posłaną pościelą i przekładała poduszkę w złudnej nadziei, że chłodny dotyk poszewki, w połączeniu z niez mordowanym, głuchym stukotem kół o szyny, przyniesie błogie zapomnienie. Nad ranem zgiełk i światła zapowiedziały Buffalo.

Odnaleźli się przy śniadaniu, w wagonie restauracyjnym, który kołysząc się i podzwaniając, mknął przez Ohio. – Jak ci się spało? – zapytał.

– Okropnie.

– Pewnie dlatego, że oboje byliśmy samotni.

– W pociągu zawsze źle śpię, ale dziękuję za troskę – odparła. Bładość po nieprzespanej nocy i bezlitosne poranne słońce, odbijające się od błyszczących rżysk, uwydatniły pewną szorstkość, zbiór mikroskopijnych zadraśnień, może śladów po młodzieńczym trądziku, pod jej kośćmi policzkowymi. Ostre, ukośne promienie zdradziły ją, a potem przytłumiły je mijane słupy, ceglane dwuspadowe dachy, składy kolejowe. Makijaż nie zdołał całkiem zakryć tego rozczulającego mankamentu urody. Zapomniał o nim, zapomniał zwrócić na niego uwagę podczas tych kilku zadziwiających chwil, gdy znowu się przed nim pojawiła. Kiedyś zapytała go, czy będzie ją zawsze pamiętał.

Obrócił nieco szorstką stronę, na którą padał blask lampy, oświetlającej mównicę. Wybrał – Bóg wie dlaczego, może uznał, że Indianapolis zamieszkuje pobożny lud – ten fragment z „Drańskiego braciszka” (1957), w którym mnisi ze zgromadzenia trapistów, opisanego z grubsza na podstawie pism Thomasa Mertona, milcząco, za pomocą ukradkowych gestów i zapisków na karteczkach, knują spisek, mający na celu przesznułowanie do klasztoru żydowskiego reportera z nowojorskiego brukowca – teraz nazwalibyśmy go szmatławcem – by zdemaskował tyranie i homoseksualne skłonności przeora. Dlaczego on, Henry Bech, wplątał się w tę żenującą gmatwaninę wydumanych, dekadentkich motywów, gdy najcudowniejsza dupa jego życia czaiła się tam, pomiędzy skrytymi w cieniu, urażonymi głowami subtelnych erudytów i kaznodziejów Butler University?

Zjadł z Alice śniadanie, a potem razem drzemali nad książkami w wagonie klubowym.

Inni podróżni zagadywali ich i podstępem wciągnęli w partię brydża, w którego zasadach Bech ledwo się orientował, zezując w karty obok osłoniętego przed słońcem okna, by rozszyfrować odzywki Alice, przenosząc ją zarazem w wymarzony świat bezsennych tęsknot i niemego oczekiwania nocy. Gdy późnym popołudniem zatrzymali się w Chicago, gdzie pół godziny trwała wymiana lokomotywy, Bech wyskoczył z ogromnego dworca o beczkowo sklepionym dachu, by, w owych latach tuż przed nadejściem wyzwalającej ery pigułki antykoncepcyjnej, kupić trzy sztuki prezerwatyw w pojedynczym opakowaniu w drogerii na Jackson Boulevard. Serce biło mu tak, że mało nie rozsadziło żeber. Sprzedawca, blondyn o chytrej minie i jasnym wąsiku, usiłował namówić go na całe pudełko, zawierające pięćdziesiąt sztuk zamiast jednej marnej paczuszki z trzema.

– Zużyje je pan – zapewniał, patrząc na czerwoną, zadyszana twarz Becha, a skoro klient odmówił dokonania tej korzystnej transakcji, złośliwiec niezmiernie powoli odliczał mu resztę. A jak pociąg odjedzie bez niego?

Teraz, w Indianapolis, przedzierał się przez stronice, które, dziesiątki lat wcześniej, czuł się w obowiązku zapisać, by swemu niezbyt wyrafinowanemu dziennikarzowi przydać rodzinne korzenie oraz stworzyć fachowy zarys historyczny powojennych nowojorskich kręgów literackich w ujęciu satyrycznym. Trudno o mniej fortunny dobór tekstów, w dodatku niemiłosiernie się dłużących. Kilka nerwowych chichotów wśród publiczności, starającej się sprostać temu kulturalnemu wyzwaniu. Czyżby usłyszał śmiech Alice? Tak, roześmiała się, dając mu do zrozumienia: „Tylko tak dalej”.

Przy kolacji, gdy pociąg mknął w ciemność przez tereny rolnicze, gdzie tylko nieliczne, rzadko rozrzucone domy kłuły nocne niebo, Alice niepewnie podniosła się znad kawy i strzepując okruszki z podołka, oznajmiła:

– Muszę się położyć. Niedobrze mi.

– O Boże, dlaczego?

Jego nowa znajoma uśmiechnęła się. – To ciągle kołysanie. Długi dzień. Nie przez ciebie. Lubię cię. – Zawahała się, usiłując zachować równowagę, gdy Super Chief toczył się po kamienistym podtorzu. Pochyliła się ku niemu ponad pobrzękującymi srebrami i cicho, lecz rzeczowo powiedziała: – Muszę godzinkę odpocząć. Przedział szesnasty. Zapukaj dwa razy.

„Klein był zafascynowany trapistami” – usłyszał własny głos. – „Jak chasydzi, posiadli starodawną tajemnicę radości, tajemnicę, zaszyfrowaną w dziwacznych fryzurach. Ich tonsury okalały różowy krąg czaszki, a z twarzy bił dziecięcy blask, promienne otumanienie, wyglansowane długimi modlitwami, umartwieniami i pobudką o świcie, wzywającą do żmudnego wieśniaczego trudu”. Za dużo szczelinowych, pomyślał Bech. A potem jego zniewolony język wdał się w długi, trącający myszką opis brata Kleina, przywódcy związkowego w czasach, gdy tacy ludzie mieli władzę i mogli zatrzymać życie w kraju.

Bech przez godzinę wpatrywał się w płaską, czarną od gliniastego piasku ziemię – czy nadal byli w Illinois? – po czym kazał posługaczowi przygotować swój przedział, numer

pięć, do spania. W piżamie i bawełnianym szlafroku w prążki odważył się wyjść na wysłany dywanem korytarz – samotna sylwetka, ginąca w okolonej sztywnymi ramami, długiej perspektywie. Obawiał się, że Alice będzie spała, ale usłyszawszy jego dwukrotne pukanie, otworzyła natychmiast. Włosy miała związane do tyłu, twarz bez makijażu – przypominała zakonnice albo więźniarkę w celi. Klęczała w szlafroku na łóżku, jedynej wolnej przestrzeni w tym maleńkim pomieszczeniu. Tylko w ten sposób dało się wcisnąć dwadzieścia cztery przedziały na powierzchnię jednego wagonu. Były połączone na jaskółczy ogon, każdy przedział różnił się o dwa stopnie w wysokości od przyległego, łóżko niżej położonego w dzień wsuwało się pod podłogę położonego wyżej przedziału obok, a stopy jego użytkowników zachodziły pod rozdzielającą oba pomieszczenia przegrodę, co krępowało ruchy pasażerów. Ale że Alice była drobna i gibka, a i on nie odznaczał się słusznym wzrostem, momentami przydzieloną im przestrzeń rozciągali do rozmiarów sali balowej. Podczas chwili wytchnienia ostrożnie podnieśli roletę, jakby obawiając się, że purytańscy Stróże moralności ze Środkowego Zachodu mogą czatować w czarnym, przepływającym na zewnątrz powietrzu. Olbrzymim, śpiącym krajobrazem wstrząsały powykęcane zarysy budowli, pojawiające się nagle pośród mroku; opuszczone szlabany, na których cierpliwie paliły się latarnie przednie czy też miejscowy dworzec – intrygująco pusta scena, na której zaraz zacznie się coś dziać. Małe miasteczka z neonami i prostymi sznurami lamp ulicznych przetaczały się i odpadały, odsłaniając główny dramat wizualny, otchłanną pustkę ziemi uprawnej. Niskie smugi chmur wisiały na tle słabej poświaty, niczym po wybuchu radioaktywnym.

Muszą być już w Missouri, a może nawet w Kansas. Jej uległa nagość, połączona z jego zmysłem dotyku i węchu, migotała w wygiętych zwarcjach, gdy pociąg z rykiem mijał światła, broniące wieży ciśień bądź silosów zbożowych. Kiedy pociąg zasyczał i zatrzymał się z poślizgiem na stacji, na której znajdował się tylko pusty wagon bagażowy i jedna hałaśliwie witająca się rodzina, podniósł na parę cali sztywną, zieloną roletę, by podziwiać bezwolne piękno swej towarzyszki jako ciągłą, spokojną, radosną całość, z wzniesieniami, zagłębieniami i słodkimi, skrytymi w cieniu zakamarkami. Dziwny, srebrzysty poblask oczu Alice rozjaśniał teraz całą jej skórę. W małej przestrzeni, wykrojonej z otoczenia, wspierającego turkot i warkot mknącego pociągu, była gigantką, która, jak czuł, skwapliwie otwierała się przed nim wszędzie, gdziekolwiek się w nią wdzierał. Robiła wszystko, powstrzymując jęki, by nie zbudzić nieznanym współpasażerów, najpewniej śpiących, na odległość ramienia od nich. – Zapomnisz mnie? – wyszeptała w pewnej chwili, gdy z oddali dobiegł ich cichy okrzyk. Zapadali w drzemkę i ponownie się zespalali. Szczwany drogista miał rację – Bech kupił za mało. Z zaspokojonym pożądaniami obojga harmonizował zapach, który nie dobywał się ani z niej, ani z niego. – Jesteśmy ze sobą zmieszani – wyszeptała, gdy, połknąwszy jego nasienie, złapała oddech. Środek kraju, przez który wciąż i wciąż się posuwali, nie wydawał się ogromniejszy od przestrzeni, które się w nich otworzyły. – Jesteś idealny – westchnęła nad ranem, ze smutkiem, prosto w jego ucho, jak odległy gwizd pociągu. Ona nie była

absolutnie idealna, jak zauważył w bezlitosnym porannym świetle w wagonie restauracyjnym. W mroku dotknął jej policzków, które rankiem wyglądały na szorstkie, jakby przejechano po nich papierem ściernym. To cud. Były idealnie gładkie. – Ty też – rzekł. Była to prawda.

Czytając na głos, przypomniawszy sobie, że to szef jego nieszczęśliwej szwagierki, zarozumiała oprych w dwurzędowym palcie z wielbłądziej wełny, niechętnie zdradził młodemu pisarzowi szczegóły sposobów działania związków zawodowych. W owym czasie Bechowi wydawało się, że w wyniku takich poszukiwań, w dłuższej przyszłości zdoła ułożyć mozaikę całego amerykańskiego życia. Teraz te szczegóły, przez mikrofon rozchodzące się w powietrzu, zdały mu się denerwujące i tandetne, a cyniczny sposób, w jaki jego antybohater Klein wykorzystał trapistów – nieudaczników, przygłupków, snujów – za bezduszny wygłup niedorostka. Z ulgą zakończył czytanie, lecz musiał jeszcze zmierzyć się z pytaniami publiczności. Czy używa pan procesora tekstów, a jeśli tak, to jakiego? Jacy pisarze wywarli na pana wpływ w młodości? Czy podobał się panu film „Latarnia podróżnika” z Sal Mineo w roli głównej? Którą – tego pytania szczególnie nie lubił – ze swoich książek ceni pan najwyżej? Zapalono światła na widowni, tak że widział machające ręce oraz pełne zapału, szacunku, a także napastliwe twarze. Poszukał wzrokiem Alice, lecz jej nie dostrzegł pośród tłumu ludzi, tym bardziej że publiczność kłębiła się też przy słabo oświetlonych ścianach, a nic, nawet karmazynowy kostium, nie wyróżniało jej z tłłu.

Ranek przywiódł ich na obszary ziem uprawnych, słabo nawodnionych i przechodzących, mila za milą, w pustynię. Wymknął się z jej przedziału jak złodziej i zdołał przespać się parę godzin w swoim. Wpasowali się w ekologiczny wystrój wagonu pulmanowskiego. Inni pasażerowie uważali ich teraz za parę. Ponownie zaprosili ich na brydża – Bech nie odważył się zaliczyć szlemika, choć Alice wyraźnie dawała mu do zrozumienia, że ma mocną kartę – a gdy zażywna para Teksaszczyków w średnim wieku dosiadła się do ich stolika w porze kolacji, nie zauważyła, że współbiedniacy są zbyt nieprzytomni, by prowadzić towarzyską pogawędkę i wyraźnie dopiero niedawno się poznali. Kiedy pociąg zatrzymał się na dziesięćminutowy postój na dworcu, zbudowanym w hiszpańskim stylu z suszonej na słońcu cegły, Bech wybiegł w poszukiwaniu drogerii, by zdobyć świeży zapas prezerwatyw. Ale w pobliżu znajdował się tylko sklep z ceramiką i wyrobami z kozłej skóry – pamiątkami z Zachodu. Gdy Bech usłyszał okrzyk konduktora: „Proszę wsiadać!”, pociąg stał się częścią jego superego, domem, do którego popędził w panice, by mu nie odjechał sprzed nosa.

– Nie szkodzi – rzekła Alice tej nocy. – Mogę mieć z tobą dziecko.

– Ale... – zaczął, myśląc o niczego niepodświadomym mężu. Tad. To imię nasuwało obraz człowieka afektowanego, niepewnego siebie, zabiegającego o względy innych, udającego kogoś lepszego.

– To moje ciało – wygłosiła jaskółka nowej kobiecości. Zastanawiał się, czy

przypadkiem każda tradycyjna pani domu w cichości ducha nie żywi równie radykalnych poglądów seksualnych. Zlitowała się nad nim. – Nie denerwuj się. Niedługo będę miała okres. Nic ci nie grozi. – A potem się zaśmiała, wydając krótki, ostry rechot, jakby głos jej się obniżył, gdy znalazła zrozumienie dla męskiego punktu widzenia.

Przez cały dzień chodzili jak błędni, potem, gdy noc zapadła na pustyni, pełnej wydm, porosłej kaktusami, złapali drugi oddech. – U ciebie, czy u mnie? – zapytał.

– U ciebie – odparła. Możliwość wyboru – maleńka gra w ich sytuacji – bawiła Alice. – Nienawidzę tego wstrętnego okapu, dopada mnie klaustrofobia. – W jego, nieco wyższym przedziale, niczego takiego nie było. Mogli się stosunkowo swobodnie wyciągnąć. Wszedłszy po dwóch stopniach, poczuli się wniebowzięci. Często przychodziło mu na myśl, że w ciągu tych trzech dni przeżyli zaloty, miodowy miesiąc, małżeństwo. Najpierw pieprzysz się, żeby zająć pozycję, a potem, by się na niej utrzymać. Podczas tej drugiej wspólnej nocy byli mniej wygłodniali, bardziej czuli, spoczywając w sobie, i spali parokrotnie przez godzinę, a może dłużej. Słyszeli, po nagłym kłasknięciu i zmianie tonu, jakby wielkiego instrumentu, jak pociąg wjeżdża w tunele, a koła toczą się ostrożnie po iglicy zwrotnicowej na jakimś ważnym węźle kolejowym. Czuli, jak pociąg wjeżdża pod górę, sunąc krętą drogą przez przełęcz czy wije się wzdłuż krawędzi kanionu, pod niewidocznymi, zimnymi gwiazdami, wiszącymi tuż nad górami pustyni. A wyczuwając, że noc pochyła się i gwałtownie skręca ku końcowi, Bech, wyczerpany i ogarnięty seksualną histerią, zaczął płakać i, niczym jeleni znaczący drzewo, łyzy, ciekące mu po twarzy, rozmazywał na brzuchu i piersiach Alice, jak duchowe nasienie, zostawiające na jej ciele oślizgły połysk. Poddawała się temu, poklepując go po gęstych, sprężystych włosach, targając kosmyki.

Kolejka wiernych czytelników z książkami do podpisu nie miała końca. – Czy zechciałby pan napisać tylko „Rogerowi”? To mój dziadek, uwielbia pańskie pisarstwo, mówi, że jest pan głosem jego pokolenia. – Mógłby pan dać bardziej osobistą dedykację: „Niepowtarzalnej Lyndi”? L,Y,N,D,I. Świetnie. Serdeczne dzięki. Wspaniale, że zawitał pan do nas, do Indiany.

W dzień, przez pustynię Mojave, na której od czasu do czasu pojawiała się oaza, dotarli do kalifornijskiego raj. Pastelowe domy i palmy pojawiały się coraz częściej, tworząc miasto o niskiej zabudowie, dziwnie bezbarwne pod niebem tak błękitnym i nieskazitelnie czystym jak filmowe tło. Pociąg podpełzł do dworca o misyjnej architekturze Południa, zarzucił po raz ostatni, a gdy się zatrzymał, na całej długości tego małego światka, który nagle się rozpadł, zaczęła się gorączkowa krzątanina – jednym posługaczom trzeba było dać napiwek, innych przywołać, pożegnać się ze współpasażerami bądź udąć, że się ich nie widzi, bagaże pozbierać i mieć na nie oko. Alice, która cały ranek przesiedziała u boku Becha w wagonie klubowym, śpiąc z głową opartą na jego ramieniu, uściśnęła mu rękę i podniosła się, mówiąc: – Wróć. – Słońce południowego zachodu, palące nawet przez szybę, uspiło go. Pociąg podskoczył. Gdzie ona się podziała? Wyszedł na peron, na nieprawdopodobnie łagodne powietrze. Dzieliły go od niej dwa, trzy samochody, gdy ją

zobaczył, krocząc obok bagażowego z wózkiem, koło lokomotywy, gdzie triumfujący maszynista rechotał na wypródki z umundurowanym pracownikiem dworca. Wpadła w objęcia mężczyzny w niedbałym brązowym stroju – spodnie w jednym odcieniu, marynarka w innym – i wtopiła się w tłum; mężczyzna odzyskał swą własność. Bech odniósł wrażenie, że Tad Oglethorpe jest wysoki i łysy. Co działo się potem? Przez całe lata, nie pamiętając już dlaczego, na widok kobiety o podrażnionej czy kostropatej skórze na policzkach, która, sądząc po cerze, powinna być jedwabście gładka, czuł się poruszony i smutny.

Wyobrażał sobie, że jakimś cudem znowu ją zobaczy. Wszechświat, widząc tak niezrównane połączenie dwojga istot, jakoś to urządzi. I urządził, jak zwykle w sposób, który nikogo nie zadowolił. Ostatni wiemy czytelnik z kolejki odszedł z autentycznym podpisem Henry’ego Becha, kawałkiem jego „ja” odłupanym od życia, które mu jeszcze zostało. Po sali krzątała się już tylko obsługa stoiska z książkami, pakująca niesprzedane egzemplarze do pudeł, oraz zmęczona, lecz radosna miejscowa działaczka, stojąca na czele komitetu, który go tu ściągnął. Alice zniknęła, naczelną bibliotekarką Indianapolis również poszła do domu.

Widok jego książek, siedmiu cienkich, przebrzmiałych tytułów, żwawo chowanych do pudeł, nappełnił Becha odrazą. Niezależnie od tego, ile ich sprzedał i podpisał, zawsze zostawały całe masy, czyli tony zmarnowanego papieru. Nie ulegało wątpliwości, że owe kobiety przychodziły na wieczory literackie Becha, by wydrwić jego książki – zmyślne, pokrętne, fałszywe książki, wyzute z wszelkich wartości. Owe kobiety, z którymi spał, mówiły:

– To my, my jesteśmy twoimi arcydziełami.

Jak to właściwie było?

Don Fairbairn z coraz większym trudem przypominał sobie, jak wyglądały dojrzałe lata jego życia, przynajmniej na początku, gdy mieszkał z pierwszą żoną i, niezbyt przytomnie, pomagał jej wychowywać dzieci. Jego drugie małżeństwo, które niegdyś zdawało się tak promienne, zadziwiające i nowe, teraz było równie przeżarte rutyną jak pierwsze, gdy – w pewien upiorny weekend – odszedł. Z drugą żoną mieszkał w domu zbyt wielkim jak dla nich dwoje, lecz tak pełnym pamiątek i kruchych, odziedziczonych skarbów, że nie wyobrażali sobie, by mogli zamieszkać gdzie indziej. W obecnym kręgu znajomych rozmawiało się głównie o zdrowiu i śmierci, podczas gdy kiedyś telefon urywał się, przenosząc wieści o romansach i rozwodach. Jego obecna żona, Vanessa, odkładała słuchawkę, by go poinformować, że Herbie Edgerton ma nawrót raka, który zaatakował teraz węzły chłonne i kości, podczas gdy trzydzieści lat wcześniej jego pierwsza żona, Alissa, odchodząc od telefonu, pytała, czy mają wolny wieczór w sobotę, by wyskoczyć do Langleyów na drinka i pizzę. Owszem, ciągnęła, zaproszenie z tak krótkim wyprzedzeniem od wszystkich pozostałych znajomych uznaliby za nietakt, ale Langleyowie to co innego. Gwałtownie pożąдали towarzystwa innych, skoro psychoterapia uświadomiła im, że nie mogą znieść siebie nawzajem. Zdrowie psychiczne i szczęście małżeńskie wszystkich znajomych było kruche, tak kruche, że kobiety, spotykając się, po zwyczajowym: „Jak się masz?” dodawały zaraz: „Ale jak się masz *naprawdę?*”

A potem – umykając wzrokiem, lekko zarumieniona – w miejscowym supermarkecie Alissa zobaczyła Wendy Chace, po czym bez namysłu zaprosiła ją i Jima na drinka na następny wieczór. Wendy zgodziła się chętnie, ale wpadną tylko na chwilę, bo Jim ma zebranie komisji planowania, unieszkodliwiają tego przedsiębiorcę budowlanego z innego stanu, który całą, zabytkową posiadłość Treadwell chce przebudować na kolonię domków w stylu szwajcarskich szaletów. Już przedrzeźnianie roztrzepanej, przejętej sprawami ogólnymi żony Jima rozpromieniało Alissę. Tak to przynajmniej zapamiętał Don – oczy jej błyszczały, policzki, zazwyczaj ziemiste, zaróżowiwały się, na wargach, zaciśniętych, wykrzywionych melancholijnym grymasem, tańczyły uśmiechy, błyskała dowcipem, gdy Jim był w pobliżu albo spodziewała się go niebawem. Don jej nie winił, sam zachowywał się podobnie, szukając poza domem siły, by nieść jego brzemię. Działo to tylko do pewnego czasu – chyba po czterdziestce doszli do wniosku, że życie nie trwa wiecznie. W istocie Fairbairnowie rozwiedli się jako jedni z ostatnich spośród kręgu znajomych. Trwali na tonącym okręcie, choć pokład się kołysał, maszt się roztrzaskał, żagle opadły, a wiatr targał poluzowanymi linami.

Teraz abstynent (tusza, wątroba, zażywane leki), Don pamiętał te popijawy – na gankach i nabrzeżach, w salonikach, w kuchniach i cichcem po pokojach. Świetlisty, metaliczny połysk dżinu, nieco bardziej lepka przejrzystość wódki, chropawość złocistego burbona, żrący posmaczek szkockiej, listek mięty, plasterek pomarańczy, cząsteczka limonki, wysokie, wąskie szklanki piwa z tryskającymi w górę banieczkami piany, półkola białego i czerwonego wina, unoszące się nad stołem na niewidocznych nóżkach, małe, o lepkich brzegach kieliszki anyżówki, cointreau, brandy z benedyktynką i zielonego chartreuse, podawane po obiedzie, by z zamętem w głowie przepędzić czas do północy, podczas gdy rozsądniejsi goście, spoza kręgu najbliższych znajomych, zerkali na zegarki, myśląc o opiekunce do dziecka i wyrzutach sumienia, które ich dopadną pod postacią bólu głowy. Jako gospodarz, pamiętał tak miły dla ucha trzask kostek lodu, wyrzucanych z aluminiowych tacek z władczym szarpnięciem dźwigienki przegrody czy układ półgalonowych butelek na półokrągłych półkach, stylizowanych na spiżarnię, w sklepie z alkoholami obok minimarketu. Koszt napojów uznawało się za rodzaj składki, którą ochoczo się płaciło za członkostwo w nieoficjalnym klubie młodych małżeństw. W towarzystwie ciągle tych samych kilkunastu osób czuł się dziwnie spełniony i na swoim miejscu. Gdzieś we wspomnieniach pionierów Dzikiego Zachodu przeczytał, że mięso bizonów, o dziwo, nigdy się nie przykrzy. Znajomi Fairbairnów przybywali o szóstej, by napić się po dniu pracy, udręczeni i stłamszeni, ciągnąc ze sobą dzieci – kobiety wymięte po całodziennym krzątaniu w domu, mężczyźni wybladli w murach miasta – i powoli zmieniali się w tryskające energią dusze towarzystwa. Lekko oszołomieni, zwierzali się, stawali wylewni i błyszczeli dowcipem. Do domu zbierali się dopiero przed ósmą – o wiele za późno, by dzieciom, objadającym się czipsami kartoflanymi ze wzrokiem utkwionym w telewizor w kuchni, dać porządną kolację i zapędzić do łóżek.

– Jak wyście z mamą dawali sobie radę? – synowie i córki Dona pytali go ze szczerym podziwem, mając na myśli ich dawny dom, w którym rodzice zajmowali się czwórką dzieci bez żadnej pomocy. Jego dzieci, które założyły rodziny koło czterdziestki, mieszkały w apartamentach w mieście albo zamknęły się w enklawach w New Jersey, z jednym dzieckiem, a najwyżej dwójką, nad którymi opieka i ochrona wymagała zatrudnienia gromadki kolorowych niań, nawzajem się wymieniających – jedna pilnowała, by dziecko ubrało się, zjadło śniadanie i bezpiecznie dotarło do przedszkola, druga podawała kolację, kąpała i czuwała przy wieczornym wideo. Niemniej jego córki były wyczerpane obowiązkami macierzyńskimi, których podjęły się późno, potomstwo było bowiem kwestią marginalną wobec ich błyskotliwych karier, toteż poczęciu towarzyszyło spore napięcie psychiczne, a poród najeżony był niebezpieczeństwami. Synowie z powagą i niepokojem rozmawiali z nim o wykształceniu dzieci, a także o jeszcze odleglejszych perspektywach pracy tych brzdąców, jakie będą się przed nimi rysowały w roku 2020. Obaj synowie kombinowali coś z komputerami i akcjami zwyczajnymi, toteż myśleli w kategoriach długich krzywych demograficznych. Don nie mógł powstrzymać śmiechu, gdy wypytywali go niczym jakiegoś pioniera, weterana mitycznej ery domowego zacisza, gdy olbrzymi

rodzice przemierzali Ziemię. – Przecież byliście wtedy na świecie – przypomniał im. – Pamiętajcie, jak to funkcjonowało. Podstawą był dobrotliwy brak zainteresowania. – Ale nie dali się zbyć i prawie go przekonali, że był heroicznym ojcem rodziny, który rąbał drzewa, by budować chaty na puszczy szczytu wyżu demograficznego.

Siedząc rozwój własnych dzieci, pytali go, ile mieli lat, gdy zaczęli raczkować, chodzić, mówić i czytać, a on ze wstydem przyznał, że nie pamięta. – Zapytajcie matki – poradził im.

– Mówi, że też nie pamięta. Twierdzi, że wszyscy byliśmy cudownie normalni.

Jako jednak, urodzony w czasach Wielkiego Kryzysu, przy urodzinach otrzymał wielką, białą księgę, na której wyściełanej okładce wytłoczono dumny napis: **Książka twojego dziecka**. Jej stronicę, w gołębi kolorze, czekały na opisy jego pierwszych osiągnięć wraz z datami. „20 lipca, 1935. Donald zrobił pierwszy krok, bardzo niepewny. 6 września, 1938. Idziemy do przedszkola! Donny nie chciał mnie puścić. Serce mi się krajało”. Ze zdumieniem stwierdził, że jego matka tą swoją drobną, powykręcaną, odchyłoną do tyłu ręką, która wydawała mu się esencją metodycznego macierzyństwa, odnotowała wszystkie jego dyplomy oraz pierwszy ślub, wpisała też dwoje pierwszych wnuków, lecz zupełnie pominęła drugą dwójkę, a także drugą ceremonię ślubną. Jakie to dziwne, myślał, że w dzisiejszych czasach amerykańskiego dobrobytu, który wziął się stąd, że w wydajności pracy pobiliśmy Niemcy i Japonię, rodziny tak samo się szczypią, tak samo o siebie troszczą, jak w latach Wielkiego Kryzysu. W jego szwankującym umyśle osiągnięcia każdego z dzieci zbiły się w miły sercu kłęb, ale na co dzień żywił się towarzyskim odpowiednikiem bizoniego mięsa.

Niemal się przeraził, że nic nie pamięta. Czy pomagał dzieciom w lekcjach? Chyba musiał. Czy razem z Alissą robili zakupy? Pamięć nie nasuwała mu żadnych obrazów. Ale jak się słało łóżka, skąd przez dwadzieścia dwa lata brały się na stole posiłki? To wszystko musiała robić Alissa, podczas gdy on czytał wiadomości sportowe. A rodzenie dzieci, teraz taki doniosły rytuał New Age, podkreślający bliskość młodych rodziców i nieskrępowany kult ciała? To też odbywała sama, w szpitalu, bez komplikacji czy słowa skargi. Dziecko po prostu pojawiało się w koszu obok jej łóżka albo przy piersi, a po paru dniach oboje przywoził do domu, dwoje, w którym przedtem było jedno, liczba osób podwoiła się niczym w sztuczce magicznej, dokonanej zbyt szybko, by się zorientować, o co w tym wszystkim chodzi. Don pamiętał, że ostatnim razem bóle porodowe schwyciły ją zimą o północy, obudzony położnik przyjechał po nią swoim samochodem, a ona stała z uśmiechem na zaśnieżonej ulicy, jak kolędnik w Boże Narodzenie, po czym zniknęła w dwutonowym buicku doktora. On został z resztą dzieci, roztrzęsiony i pewien, że włamywacz, albo jakiś inny zwariowany napastnik, wyczuwając, że rodzina jest rozdarta, łatwiej mu ulegnie, skrył się gdzieś w tym wielkim, trzeszczącym domu. Toteż nim Don położył się spać, wziął ze sobą do łóżka, dla obrony, żelazny kij golfowy, lepszy niż drewniany, bo szybciej daje się nim zamachnąć.

Usiłował wyobrazić sobie Alissę z odkurzaczem, lecz żaden taki jej obraz nie przychodził mu na pamięć, ale przypominał sobie, jak w ich pierwszym domu dzierżył urządzenie do usuwania tapet, przez parę minut przyciskając do ściany wielką, kwadratową panew, po czym zdierał tapetę szeroką szpachelką do kitowania i, w przesiąkniętych potem gatkach i podkoszulku, brodził przez skręcone, wilgotne płachty spłowiejących srebrzystych kwiatów. Raz w tygodniu, jak sobie uzmysłowił, w tym samym pokoju, podawała stek z łaty, brązowe mięso, zgrabnie okręcone wokół pikantnie przyprawionego nadzienia, a cały talerz, przybrany natką pietruszki i małymi kartofelkami o czerwonej skórce, przywoływał na myśl minione już czasy oszczędnego prowadzenia domu, te wzruszające ambicje kulinarne z lat pięćdziesiątych, pielęgnowane pojęcie wspólnego rodzinnego posiłku jako nabożnej ceremonii, zroszonej potem kobiecego mozołu. Podawała te posiłki z niewolniczą usługowością i w końcu pozbył się jej jak zbędnej służącej. Z Vanessą, skoro nie mieli do nakarmienia dzieci, połykali byle co, zadowalali się przekąskami albo jedli na mieście, a czasami wieczorne posiłki spożywali oddzielnie, dziobiąc z pojemników wyjętych z kuchenki mikrofalowej, gdy Peter Jennings wrodzonym ciepłem wypełniał wieczorne wiadomości. Vanessa nadal lubiła pizzę, czy to na gorąco, czy na zimno.

– A co ze spaniem? Jak dzieci bez przerwy się budzą? – drażyła starsza, zapracowana córka o lekko podsiniątych oczach.

– Od urodzenia praktycznie przespialiście całe noce – odparł, podejrzewając, że kłamie, ale nie mógł sobie przypomnieć, jak to było naprawdę. Czasami dziecko chlipało, bo je bolało ucho i zasypiało na boku, z głową przyciśniętą do gorącej, świeżo wyprasowanej ścierki. A może to on był tym dzieckiem? Nie przypominał sobie Alissy z żelazkiem w ręce. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek wstawał w środku nocy, by przynieść naręczce kwilącej protoplazmy i wręczyć je matce, która już siedziała w rozchyłonym szlafroku, z połyskującą nagą piersią. Zasypiał przy akompaniamencie odgłosów ssania małych usteczek, tupotu stóp. Chyba on był tym dzieckiem. Ale nikt z opieki społecznej nie przyszedł, by wyrwać malców z łap okrutnych rodziców, sąsiedzi ani razu nie poskarżyli się władzom, dzieci, czekając na szkolny autobus, ubrane były podobnie jak ich rówieśnicy – jak małe klauny w kosmicznych kombinezonach w tej dobie sztucznych włókien, odległej o dziesiątki lat od ciemnych, zawsze wilgotnych wełen, w które jego ubierano – i pięły się dość gładko po szczeblach szkolnej edukacji, po czym, niby inteligentne bomby, znalazły odpowiednie uczelnie, towarzyszy życia i posady, tak że najwyraźniej sprostał wymogom rodzica i głowy domu. – Aż strach bierze – wyznał córce – jak mało pamiętam.

A te sobotnie popołudnia, pokazy męskiej troski o dom, wymiana dodatkowych okien na siatki, stół warsztatowy w piwnicy, gdzie pająki snują sieć wokół zbiorowiska rdzewiejących narzędzi. Rachunki za ogrzewanie, elektryczność, telefon, wodę – nie pamięta, by wypisał choćby jeden czek, ale musiał to robić setki razy, wszystkie zostały zrealizowane, przekreślone i złożone na strychu Alissy, wraz ze slajdami, albumami z

wycinkami, świadectwami szkolnymi i podbarwionymi fotografiami klasowymi, które zebrały się przez te wszystkie dni w ciągu dwudziestu dwóch lat, dni pełne wzlotów i upadków, pechowych zdarzeń, katarów, emocjonujących opowieści, które snuły dzieci, stawiające pierwsze kroki na drodze do dorosłości, w nieznanym świecie. Don postradał poczucie struktury. Był niczym astronom przed lotami Voyagerów, przed zainstalowaniem teleskopu Hubble'a, poruszał się we mgle. Pamiętał, że kochał się w cudzych żonach, upijał po kolacji, odsyłał Alissę do łóżka i puszczał przez całą noc „Born to Lose” Raya Charlesa, a może „Stop! in the Name of Love!” the Supremes, wciąż na nowo unosząc ramię adaptera, by ponownie ustawić igłę w tym samym rowku, aż rano starszy syn powiedział mu z nieśmiałym uśmiechem: – Ależ słuchałeś i słuchałeś wczoraj w nocy tej płyty. – Zasłony rozdzielili się na moment, stawiając mu przed oczyma to wstydlive wydarzenie. Sypialnia syna znajdowała się tuż nad pokojem, w którym siedział Don, zatopiony w sobie i obracających się rowkach. Nie dał zasnąć chłopcu, który rano musiał wstać do szkoły.

A randki dziewcząt, ta tradycyjna tragikomedie z attyckim ojcobójstwem w podtekście, w dobie seriali komediowych? Jego starsza córka jako piętnastolatka wyjechała do szkoły z internatem, a kiedy młodsza miała dwanaście lat, on odszedł z domu. Nie przypomina sobie, by kiedykolwiek samochód z podrasowanym silnikiem skręcił z piskiem na trzeszczący podjazd, by uwięzić którąś z jego drżących dziewic.

Teraz młodsza córka zaprosiła go na kieliszek na statku. Wyjaśniła, że, naturalnie, nie musi pić alkoholu. Coraz więcej ludzi nie pije, gdyż alkohol kłóci się z treningami. Ona sama była szczupła i żyłasta jak chart; biegała w miejscowych maratonach, włosy, które, jak Alissie, zaczęły jej wcześniej siwieć, nosiła krótko obcięte, zapewne by zmniejszyć opór wiatru. – Oto, co postanowiono tato: mąż znajomej obchodzi czterdziestą rocznicę urodzin i żona daje mu w prezencie rejs po moczarach o zachodzie słońca, a ponieważ będą też jego rodzice, żona – rozumiesz, o co chodzi, tato? – chce zaprosić też paru przedstawicieli starszego pokolenia, więc czy zgodziłbyś się wziąć w tym udział razem z Vanessą, bo chyba poznałeś ojca jej męża na jakichś turniejach golfowych.

W istocie, ściskając dłoń swego rówieśnika pod dachem płaskodenego statku wycieczkowego przypomniał sobie, że gdy człowiek ten był jego przeciwnikiem, bezprawnie zamienił piłki na osiemnastym greenie, po czym wbił piłkę w dołek, by wygrać mecz. Nie chciało mu się wówczas wnosić skargi do organizatorów, by nie stwarzać kłopotliwej sytuacji, ale od tej pory unikał turniejów klubowych. Teraz ów krętacz – jeden z tych wstrętnych, dziarskich emerytów, o twarzy pobrużdżonej i zgrubiałej od całorocznej opalenizny – piał z radości z powodu niegdysiejszego zwycięstwa. Jego żona, nieco odeń młodsza, wystrojona w łaszki, które na Florydzie mniej biłyby w oczy, uwiesiła się na Vanessie jako jedynej bratniej duszy. Don umknął, próbując się skryć między młodszymi parami, którym nie miał nic do powiedzenia. Tak to jest, jak się nie pije – język trzeba naoliwić.

Dziwnie czuł się na przyjęciu pośród kobiet, które jeszcze miesiączkowały. Szczupłe, eleganckie, poruszały się, trajkotały i przybierały pozy z gorączkowym ożywieniem aktorek z niemych filmów, sprawiających wrażenie, jakby zdjęcia były przyspieszone. Mężczyźni, w marynarkach w kratkę i pastelowych spodniach, wyglądali chłopięco, lecz byli barczyści – niezbyt ciekawe tło dla żywotności żon, toteż radosne zamieszanie zaczęło rozpełzać się na boki, nieco przestraszony urok pań ukazywał się pod zupełnie nowymi kątami. Don głęboko wciągnął powietrze, jakby ze słonego zapachu chciał wydobyć aromat ich soków, ich sekretów. Na takim przyjęciu zobaczył Vanessę Langley, wraz z tym towarzyskim zwierzęciem, jej mężem. Jednym z powabów tej damy było imię, będzie żoną z „v”, jak „veni, vidi, vici”, jak viola d’amore. Zakochał się w niej, a ona w nim i oto są tu, razem na pokładzie, ponad dwadzieścia lat później.

Statek toczył się, niosąc ciężar nagranej na taśmie muzyki, pobrzękujących szklanek i świętujących ludzi, przez kręty kanał między czarnymi, błotnistymi brzegami złotozielonych moczarów ku bardziej otwartym wodom, gdzie wyspy, zabudowane krytymi gontem domkami letniskowymi z wolna zmieniały pozycję, prawą burtą do portu, gdy kapitan zatoczył półkole, pokazując kolejne widowiskowe punkty tej malowniczej okolicy. Don widział białą latarnię morską, oszałamiające, oblane słońcem wzgórze, które jakaś amerykańska osobistość starej daty kazała obsadzić przyciętymi krzewami, układającymi się w symetryczny wzór, jakby wielki ideogram; przystań, w której blade maszty stały gęsto, niczym łan pszenicy; zbity, bladozielony, ciągnący się aż po widnokrąg płat zadrzewionej ziemi, który cudem nie poszedł pod zabudowę; a na wschód widok na otwarte morze, ciemniejące już w oczekiwaniu na światło pierwszych gwiazd, podczas gdy pofałdowane tereny na zachodzie pławiły się w blasku promiennych, łososiowych pasm, skąpych resztek dnia. Don ogarniał wzrokiem te widoki, wpatrzony w przestrzeń, lecz jego współpasażerowie ledwie rzucali na nie okiem, zaabsorbowani tym, co dzieje się wewnątrz, sobą nawzajem, błyskotliwymi, zjadliwymi rozmowami, które stawały się coraz bardziej zgiełkliwe, gdy alkohol zaszumiał w głowach, a z taśm płynęły namiętne miłosne wyznania. Tak to było, tak to się zawsze odbywało, chwilę obecną, olśniewającą pięknem, lekceważono w pogoni za czymś piękniejszym, gdzie indziej, z kimś trochę innym, a tymczasem chwasty zarastały grządki peonii, pod kanapą zbierały się kłęby kurzu, a dzieci, na które nikt nie zwracał uwagi, obmyślały własne ucieczki, własne gdzie indziej.

Parę osób zabrało ze sobą dzieci, którym surowo przykazano, by nie wypadły za burtę, po czym malcy zajęli się sobą. Jakiemuś chłopcu, stojącemu bez ruchu przy barierce, w powrotnej drodze Don wskazał cypel i skapaną w różowym blasku rezydencję, której nazwę znał, hen za porastającą moczary trawą, stopniowo okrywającą się mrokiem, gdy odpływ odsłaniał jej korzenie. Vanessa, w drodze do domu, odezwała się:

– Okazało się, że z żoną ojca gospodarza mamy sporo wspólnych znajomych. Powiedziała, że moja współlokatorka z akademika, Angela Hart, właśnie miała podwójną mastektomię.

Don z kolei zastanawiał się, czy by jej nie wyjawić, jak niezwykłym uczuciem napawała

go obecność płodnych kobiet, nastrój podniecenia, jaki wokół siebie roztaczają. Z młodzieńczym okrucieństwem mógłby niegdyś coś takiego powiedzieć Alissie – byleby zareagowała, byleby wzburzyć w niej krew – ale między nim i Vanessą wytworzyła się taktowna więź, jak to między dwojgiem kalek, złączonych ze sobą ofiar czasu.

Sceny z lat pięćdziesiątych

TAK. Czas płynie, nie da się ukryć. Onegdaj przeczytałem, że umarł „Doc” Humes. Znałem Doca przelotnie, miał setki takich znajomych. Był pisarzem i gawędziarzem, sławnym – czy też goniącym za sławą, w latach pięćdziesiątych – niski mężczyzna, o wesołej, obciążonej cienką skórą twarzy, obdarzony chyba większą energią intelektualną i miłością życia, niż potrzeba pisarzowi. W 1957 roku opublikował długą powieść, „Podziemne miasto”, a potem, w 1959, krótszą, „Ludzie umierają”. Tytuł ten, który mój znajomy uznał wówczas za „brutalny i fatalny”, w sumie odpowiadał prawdzie, bo autor jednak umarł. Ostatnim razem, gdy go widziałem, grał w szachy z Marcelem Duchampem na przyjęciu, które przypieczętowało mój wyjazd z Nowego Jorku.

Był rok 1959, a na mój obraz tego wydarzenia silnie wpływała atmosfera owego momentu dziejowego – ów żywy relikwiarz szczytowego modernizmu siedział przy szachownicy niczym na surrealistycznej tratwie, na której dobił do wyspy szczęśliwej, jaką była Ameryka Eisenhowera. Wokół niego dziesiątki początkujących artystów i „robiących w sztuce” starych wyg popijało, pogryzało przekąski i gawędziło, krążąc żarłocznie w poszukiwaniu nieśmiertelności, którą Duchamp już się cieszył. W latach pięćdziesiątych sztuka zajmowała ważne miejsce. W tych pokojowych czasach rozsadzały nas wybujałe ambicje i rozdęte ego. Ja, który z czasem zostałem siwowłosym handlarzem antyków w Bostonie, widzę to przyjęcie – wydane w wysokim, dwupoziomowym apartamencie przez Bermanów, małżeńską parę mecenasów sztuki – jako gablotę, w której wystawili swój najcenniejszy towar, wynalazcę schodzącego aktu, a także innych, nieśmiertelnych, otoczonych famą błyskotek ironicznego zniechęcenia. Duchamp był przystojnym mężczyzną, ascetycznie szczupłym, o głowie w kształcie kowadełka. Niewykluczone, że miał na nogach skarpetki i sandały. Pamiętam też fajkę, duże uszy, z których wyrastały włosy i jedwabny fular.

Zastanawiałem się wówczas, czy Doc jest aż tak dobrym szachistą. – Hej, jak się masz – powitał mnie przyjaźnie Doc. – Pewnie znasz Marcela.

– Znam jego sztukę – odparłem. Ściskając ręce obu mężczyzn, jako młody zarozumialec, chytrze próbowałem ocenić ich pozycje. W mej świadomości, podnieconej obecnością sław, na szachownicy panował bezład. Miałem dość przyzwoitości, by niezwłocznie się oddalić, zauważywszy z prawdziwym żalem, że wyciągnięcie do mnie ręki przeszkodziło wielkiemu człowiekowi w planowaniu kolejnych posunięć. Popularne magazyny, które w latach pięćdziesiątych nadal poświęcały sporo miejsca sztuce, donosiły, iż Duchamp, z wdziękiem odmawiając dalszego uprawiania twórczości artystycznej, wszystkie siły, do

końca życia, postanowił skupić na grze w szachy, podobnie jak Rimbaud porzucił poezję na rzecz szmuglowania broni. Nie sądzę, by Doc był dlań godnym przeciwnikiem, ale podziwiałem sposób, w jaki mój przemądrzały rówieśnik rzucił się w krąg promieniowania wielkości i radośnie się w jej blasku pławił.

„The Paris Review”, którego Humes był założycielem, doniósł w rzewnym nekrologu, że ten popularny bywalec przybytków sztuki po napisaniu dwóch powieści porzucił twórczość z tego powodu, iż na początku lat sześćdziesiątych rzekomo wszedł w konflikt z wywiadem brytyjskim, który wszczepił mu w ząb mikroskopijny odbiornik radiowy, przez co stał się dogłębnie, obsesyjnie wtajemniczony w sekrety i najtajniejsze odgłosy zimnej wojny. Był przekonany, że zarówno CIA, jak i KGB założyły mu podsłuch w pokoju, toteż mówiąc, zwracał głowę raz w jedną stronę, raz w drugą, by wilk był syty i owca cała, i tym sposobem, dzięki swym uwagom, ocalał świat przed niechybnie grożącym mu kataklizmem. Mówił o czarnej skrzynce, zwanej Fido, przysłanej z „góry” przez inżynierów z MIT, nadającej ostrzeżenia, które tylko on był w stanie zrozumieć. Na fotografii obok nekrologu zauważyłem, że zapuścił wielką, powiewającą brodę. Przestał pisać. Głuche dudnienie globalnego niepokoju dla Doca stało się ogłuszającym zakłóceniem, był takim samym męczennikiem napięć zimnej wojny co, powiedzmy, Gary Powers.

Mnie osobiście nic bardziej nie nudzi niż teorie konspiracyjne, międzynarodowe szpiegostwo, czy powieści w tonie złowieszczo paranoidalnym. Uważam, że szmat czasu między mową Churchilla o żelaznej kurtynie i upadkiem muru berlińskiego, obejmujący większość mego dorosłego życia, to błogosławiony okres przejściowy, metternichowskie odłożenie zwyczajowych okrucieństw – które, jak zauważyłem, wracają. Zimna wojna pozbawiła mnie konieczności dokonywania diabelskich, heroicznych wyborów. Handluję antykami na Charles Street, z wieloletnim wspólnikiem, a nienaruszalność mego wypełnionego kruchymi cacuszkami sklepu zawdzięczam bombie atomowej, planowi Marshalla, Strategicznym Siłom Powietrznym i sowieckim czołgom. Czytelnik, którego wzrok padnie na te słowa w roku 2000, uwierzy mi, że lata pięćdziesiąte to cudowna era egoizmu, codziennie wypełnianego nadzieją i spokojnym poczuciem wartości.

W Nowym Jorku święcił triumfy abstrakcyjny ekspresjonizm, niebawem miał zatriumfować pop-art, a ja z żoną, którą poznałem w akademii sztuk pięknych, już, już mieliśmy odnieść triumf, a przynajmniej tak nam się wydawało przez trzy lata. To tak, jakbyśmy wydali przyjęcie i nikt nie przyszedł. Mieliśmy strych, żarliwą chęć poświęcenia się sztuce, co wiązało się z ascetycznym trybem życia, farby, pędzle, płótna i przyrządy spawalnicze (ja malowałem, ona rzeźbiła) – jednym słowem wszystko z wyjątkiem mecenasów, publiczności, zysków. Jeden z naszych nielicznych sukcesów seksualnych uwieńczony został dziecięciem płci żeńskiej i z tym przybytkiem, w ramach drastycznej próby ograniczenia wydatków, przenieśliśmy się do nadmorskiej wioski na północ od Bostonu. Niegdyś świetnie prosperujące tam stocznie, w których budowano drewniane klipry, skurczyły się do rzędu bud, gdzie składa się złowione małże, a wzdłuż głównej drogi po grobli prowadzono coś w rodzaju nieustającej wyprzedaży rzeczy używanych. Tu,

pośród wspaniałych słonych błot i milczących jankeskich farmerów, niechybnie dojrzeją nasze talenty. Z czasem, triumfalnie wrócimy do Nowego Jorku. Ja na razie wróciłem na dwa dni, by załatwić formalności związane z podjęciem strychu i zająć się wysyłką ogromnej liczby naszych dzieł, którymi, niestety, nikt się nie interesował.

W rzeczywistości nie wyglądało to wcale tak ponuro. Miałem dwadzieścia pięć lat i życie przed sobą. Już to, że znalazłem się w tym samym, wysokim pokoju z Marcelem Duchampem nappełniło mnie przeświadczeniem, że wszystko jest możliwe i warte nawet najwyższego trudu. Na przyjęciu tym spotkałem też kobietę, w której, jak mi się zdawało, zakochałem się, a w każdym razie niewiele mi do tego brakowało. Rozmawialiśmy dobrą godzinę, przybierając różne pozy na oparciu gigantycznej, obramowanej chromowaną listwą kanapy, pokrytej węzełkową, haitańską bawełną. Imię kobiety wyszło mi z głowy, ale pamiętam odcień jej skóry, neutralny, spokojny kolor, przypominający gipsowy odlew „ze starożytności”, jak nazywano go w akademii sztuk pięknych. Była Wenus z Milo z ramionami. Miała na sobie wydekoltowaną suknię w kolorze butelkowej zieleni, z któregoś z tych sztywnych, błyszczących materiałów – chyba tafty – jakie w latach pięćdziesiątych uważano za seksowne. Wszystko było jak należy, łącznie z geograficzną odległością, dzielącą mnie od żony i dręczącą, nastawiającą nas wrogo do siebie świadomością naszych wzajemnych niedostatków, która wkradła się do naszego małżeństwa po przeprowadzce na północ. A jednak nie byłem w stanie wykonać posunięcia, dokonać wypadu, którym zdobyłbym tę Wenus na noc. Umówiliśmy się natomiast, że wpadnę jutro do niej do pracy, do nowo otwartego muzeum Guggenheima. Gdy przybyłem, spłoniony i obładowany, akurat wyszła na obiad, jak poinformowano mnie w recepcji, toteż poszedłem spacerkiem na podjazd, oglądając wielkie, pomazane płótna. Abstrakcja wyczerpywała już swoje możliwości, lecz nie otwierały się żadne nowe perspektywy – zionęło pustką, jak w środku wspaniałej, wydrążonej świątyni Wrighta.

Gdy moja Wenus wróciła, w czarnych pończochach, z torebką przewieszoną przez ramię, gestem zaprosiła mnie do swego gabinetu, maleńkiego pokoiku w zatłoczonej suterenie. Usiadłem na składanym krześle, obciążonym niebieskim brezentem, a ona przycupnęła na biurku, czekając na mój ruch. Wiedziała, że jestem żonaty i że wyjeżdżam z miasta, powiedziałem jej to na przyjęciu, gdy oboje byliśmy naoliwieni. Teraz biegi ciężko mi chodziły. Paliliśmy, ostrożnie napomykaliśmy o rynku sztuki i plotkowaliśmy o naszych gospodarzach z poprzedniego wieczoru. Znała Sally Berman na tyle, by oświadczyć stanowczo:

– Nie jest szczęśliwa.

Zaskoczony, wziąłem to do siebie.

– Co powinna zrobić?

– O tym już sama musi zdecydować.

– Chyba tak – odparłem bez przekonania.

– Co masz w tej torebce? – zapytała.

– Zabawkę dla córki. Małą szczotkę i grzebień. Nie ma jeszcze trzech lat, a już się

nauczyła szczotkować włosy.

– Musi być fantastyczna, Howardzie. Ciekawe, czy kiedyś będę miała dziecko – podobno to niesłychane przeżycie.

– Cudowne, ale nie rozwiązuję problemów. Raczej je mnoży.

Wywnioskowała z moich słów, że posądzam ją o jakieś problemy i nieco wobec mnie ochłodziła. Patrząc kobiecym okiem, zapewne uznała, że to ja mam problemy. – No to życzę powodzenia – rzekła stanowczym tonem przy pożegnaniu, jak dyrektorka szkoły wyprawiająca ucznia. – Mam nadzieję, że nie czujesz się tam bardzo samotny.

Miała owo panujące na Manhattanie przeświadczenie, że tylko nowojorczyki żyją naprawdę, reszta to śmiechu warte zwidy.

– No... znajdzie się parę pokrewnych dusz, nawet tam.

– Jak często zamierzasz przyjeżdżać do Nowego Jorku?

– Sam nie wiem. Raczej niezbyt często. To kawał drogi.

– Zajrzyj, jak tu będziesz.

– Dzięki. Bardzo chętnie. – A choć wyciągnęła do mnie nagie, gipsowo blade ramię z niemal błagalnym wdziękiem, nic z tego nie wyszło, tak jak nic nie wyszło z Nowego Jorku.

Owszem, w owych czasach istniały linie lotnicze, ale nikomu nie przychodziło do głowy, by traktować je jak podniebne autobusy dla armii urzędników. W obie strony jechało się pociągiem, co trwało pięć godzin z przesiadką w New Haven, gdzie zmieniano lokomotywę. W Bostonie z South Station pojechałem taksówką do North Station, gdzie się okazało, że muszę czekać prawie dwie godziny na pociąg do mojego miasteczka na północnym wybrzeżu. Ale pociąg do Haverhill odjeżdżał za pięć minut, a ponieważ zupełnie nie orientowałem się w geografii Nowej Anglii – przeprowadziliśmy się zaledwie przed miesiącem – pomyślałem, że jadąc tam, oszczędzę na czasie i stamtąd zatelefonuję do żony.

Wsiadłem do pociągu i przez godzinę wpatrywałem się w nieprzeniknione światła, migające w czerni nocy i we własne, mroczne myśli. Była noc, niefortunne spotkanie u Guggenheima odwlokło moją ucieczkę do trzeciej. Z Nowego Jorku zawsze trudno się wyrwać, jak z przyjęcia, na którym po naszym wyjściu może zdarzyć się coś cudownego. W wielkiej, pustawej hali dworca Haverhill było kilka aparatów telefonicznych, ale żaden nie działał. Gdy zadzwoniłem ze sklepu o przecznicę dalej, żona rzekła z niedowierzaniem:

– Haverhill! Kochanie, kto cię tak wykierował?

Minęła już dziewiąta, byłem półprzytomny i poirytowany po tylu godzinach trzęsienia się w przegrzanych wagonach kolejowych. Wziąłem sobie do czytania tylko popularne wydanie *The Travels of Mungo Park* i od drgań drobnego druku rozboleły mnie oczy. – Nikt. To był mój pomysł. Pomyślałem, że może ci się spodoba. Robię, co mogę, żeby się zaaklimatyzować. – Urodziła się w Nowej Anglii, ja pochodzę z Maryland. Przeprowadzka w te okolice miała być po części ukłonem w jej stronę.

– Głuptasie – rzekła – Haverhill to straszne zadupie, jakieś dwadzieścia mil od domu. Nie mogę po ciebie przyjechać – jak cię nie było, Annie przez dwa dni miała gorączkę, więc nie chcę jej wyciągać z łóżka i pakować do zimnego samochodu. Ale głowa do góry. Malcolm tu jest. Ugotował nam obiad. Jego poproszę. Chyba nie będzie miał nic przeciwko temu, i tak przez całe noce słucha muzyki. – Przykryła słuchawkę, ale i tak usłyszałem: – Coś takiego! – a potem krótki śmiech, przeplatające się dwa głosy, kobiecy i męski.

Malcolm mieszkał w Manchester-by-the-Sea, obok naszego mniej szynownego Essex. Był przyjacielem naszego dalekiego znajomego z Nowego Jorku i jak dotąd jedyną bratnią duszą na tej nadmorskiej pustyni kulturalnej. Oboje go lubiliśmy, choć żona okazywała mu większą sympatię niż ja. Jak na moje oko, trochę się zgrywał. Najwyraźniej zarabiał dość, by sobie radzić bez stałej pracy. Malował akwarele, przedstawiające mokradła i wydmy, grał na harfie własnego wyrobu, słuchał płyt z muzyką klasyczną i jazzem z lat czterdziestych, czytał po parę książek tygodniowo. *Konał*, jak twierdził, z chęci napisania książki o swych strasznych rodzicach, ale oboje jeszcze żyli i mieszkali w ogromnym letnim domu na Coolidge Point. Nieco starszy od nas, o wiotkich mięśniach i bardzo białej skórze, zapalony kucharz i dekorator wnętrz, potrafił moją żonę rozśmieszyć, a nawet sprawić, że mruzczała z zadowolenia, gdy siedział w saloniku, z wolna sącząc burbona i biorąc ją, że się tak wyrażę, pod włos. Sam włosy miał romantycznie krucze, ale już rzedziejące, a z tyłu zaczęły mu się robić zaczątki łysiny. Podobnie jak nieboszczyk Doc Humes, wiedział wszystko, a przynajmniej chętnie rozmawiał na każdy temat. Przy pełnym życia, sympatycznym Malcolmie czułem się trochę nieswojo, ale nie mieliśmy wyboru, a moja żona potrzebowała towarzysztwa. Pół żartem pół serio zastanawiali się, czy by nie założyć na spółkę sklepu z antykami w pasie nadmorskim w Essex, gdzie istniało już kilka takich firm. – Malcolm powiada, że będzie za czterdzieści minut, dojedzie bocznymi drogami. Święty człowiek. Haverhill, doprawdy, kochanie – przecież to na końcu świata!

W Maryland ludzie nie wążają się po próżnicy, toteż nikt mi się nie naprzykrzał. Kupiłem colę i pączka w sklepie, który właśnie się zamykał i, zziębnięty, pomaszzerowałem na dworzec. Pewnie już go nie ma, dawno został rozebrany, nie wiem, nigdy więcej tam się nie pojawiłem. Był to dziewiętnastowieczny zabytek, który ostał się do połowy dwudziestego wieku, zaprojektowany, podobnie jak miejskie kościoły, z nazbyt optymistycznym rozmachem. W środku zdewastowane budki telefoniczne i zamykane na klucz szafki na bagaż uniemożliwiały dostęp do części wyłożonych boazerią i wyrzeźbionymi w drzewie gotyckimi zdobieniami. Nad troskliwie wykutą kratą w okienkach kasowych przybito nieociosaną tabliczkę z napisem: CZYNNE DO 18.00. Zostałem sam na sam z ławkami duchów podróżnych, którzy nie wrócą. W oddali ktoś się skarżył donośnym głosem konduktora kolejowego. Dwaj mężczyźni przemaszzerowali przez ogromną poczekalnię i razem weszli do ubikacji. Pod witrażami brązowe grzejniki pobrzękiwały i szumiały, ogrzewając lakierowane deski przyległej do nich ściany. Zamierzając wykorzystać te chwile samotności, usiadłem na środku pustej ławki, postawiłem walizkę przy nogach i otworzyłem Mungo Parka. Doszedłem już prawie do

końca, do dziennika jego drugiej wyprawy, która tak fatalnie się skończyła:

Wspinaliśmy się po górach na południe od Toniby aż do trzeciej, kiedy to zdobyliśmy szczyt grani, oddzielający Niger od odległych dopływów Senegalu, po którym pływałem nieco wcześniej, a gdy podszedłem do grzbietu wzgórze, ponownie ujrzałem Niger, toczący swe nieprzebrane wody po równinie!

Ale nie mogłem skupić uwagi na afrykańskiej scenerii. Dręczyło mnie przekonanie, do którego metafory dostarczyło moje obecne położenie: moje życie się wykoleiło. Moje górne ambicje i nadzieje wyparowały gdzieś w okolicach Nowego Londynu. Będę musiał znaleźć pracę, jakieś poniżające nudziarstwo, by zdobyć środki na dalsze uprawianie malarstwa. Które stopniowo zwiędnie. Podobnie jak moje małżeństwo – bez niczyjej winy, zrobiło klapę. Najdobitniej świadczy o tym niepohamowany pociąg (znów ten pociąg!), jaki moja żona odczuwa do Malcolma. A także moja córeczka – cudowność Annie przeraża mnie. Dumna, że umie sama szczotkować włosy, niezgrabnie je zaczesuje, aż unoszą się wokół jej buzi długimi, zwiewnymi pasmami, a ona wtedy przychodzi do mnie, pewna, że są nadzwyczaj gładkie i z zadowoloną miną mówi: „Popac, tatku. Popac”.

Na stacji nie tkwiłem zupełnie sam. Najwyraźniej był to ostatni pociąg po długiej przerwie. Jeden z mężczyzn, którzy byli w ubikacji, nie wyszedł z poczekalni, lecz stał przy drzwiach, wpatrując się w obskurny, małomiasteczkowy mrok. Samochód z zapalonymi światłami przejechał przez parking i z piskiem opon zatrzymał się przy krawężniku. Dojrzałem kilka głów, w tym nastroszony cień kobiecej fryzury i pomyślałem, że to może moja żona i córka ustąpiły i przyjechały tu z Malcolmem szybciej, niż się spodziewałem – niewiarygodnie szybko.

Ale to młodzieniec w sportowej kurtce wpadł z impetem przez podwójne drzwi i pomknął do ubikacji. Chyba za dużo piwa. Zostawił włączony silnik i zapalone światła. Blask padał na twarz mężczyzny przy drzwiach, oświetlając aureolą jego cienkie blond włosy. *Popac. Popac.*

Sportowiec rącho podbiegł z powrotem do samochodu, ryknął silnik, zamrugały światła i już go nie było. Mężczyzna przy drzwiach odezwał się: – Niezłe, co? Dwóch facetów i jedna cipa. – Szurając nogami, postąpił naprzód parę kroków – szczupły, przygarbiony facet. Nie był młody, ale jeszcze nie stary – po prostu wyniszczony ciężkim życiem i biedą.

– Poważnie? – powiedziałem, ostentacyjnie kierując wzrok na książkę.

Zdarzyło się to po południu, przywiązaliśmy go do drzewa, tuż obok namiotu, gdzie przywiązane były wszystkie osły. Gdy tylko zapadła ciemność, witki wyzarły mu wnętrzości, choć siedzieliśmy wszyscy w odległości dziesięciu jardów od wejścia do namiotu.

Szurające stopy zbliżały się.

– Myśli pan, że dogodzi im obu?

Nie miałem zamiaru odpowiadać. Trzęsło mnie potwornie w środku. – Założę się, że jednemu obciągnie laskę. – Przygarbiony przyszuwał prawie do moich kolan, przystanął, obszedł ławkę od tyłu, przystanął i wymruczał do siebie: – Nic tu się dzisiaj nie dzieje. –

Potem, ku mojej niezmiernej uldze, przez podwójne drzwi wyszedł w noc.

Mimo solidnego wiktoriańskiego wystroju, w hali dworcowej nie było zegara. Czterdzieści minut, których potrzebował Malcolm na przyjazd, musiało już minąć. W owych czasach nie nosiłem zegarka, który nie pasował mi do wizerunku artysty. Czytałem dalej:

Na jednej z wysp, pośrodku rzeki, ujrzeliśmy dużego słonia, barwy czerwonej gliny i o czarnych nogach.

Smutny, przygarbiony mężczyzna wrócił przez dworcowe drzwi, których mosiężne antaby wypolerowały pokolenia rąk. – Będzie dziś ziąb w nocy. – Ze wzrokiem nieśmiało wbitym gdzieś ponad moją głowę przybliżył się, szurając zgrzytliwie po marmurowej podłodze. – Nic tu się dzisiaj nie dzieje – powtórzył, przechylając na bok małą głowę.

– Czekam na kogoś – wyjaśniłem. – Mógłby już, do cholery, przyjechać.

– Noo taa – odparł, z dziwnie cynicznym, piskliwym zaśpiewem.

Zrozumiałem, że nie powinienem się odzywać, gdyż, cokolwiek bym powiedział, każde słowo potraktuje jak zachętę. Przygarbiony zatrzymał się dziesięć stóp ode mnie, zafascynowany jakimś zapachem. Wpatrywałem się nieruchomo w książkę, jakby obozowy ogień, opisany na jej białej karcie, tworzył wokół mnie krąg bezpieczeństwa. Stopa zaskrobała o krok bliżej, po czym mężczyzna usadowił się koło mnie. – Lubi pan czytać, co? – Jego uda, w pogniecionych bawełnianych spodniach, znalazły się parę cali od moich. – Hej – ciągnął dalej, tonem swobodnej rozmowy – ktoś panu kiedyś obciągnął laskę?

Zerwałem się i wybiegłem z dworca, zostawiając walizkę. Serce, nabrzmiące jak u słonia, waliło mi ze strachu i oburzenia. Byłem przecież bardzo młody. Nie miałem jeszcze dwudziestu sześciu lat – nie znałem samego siebie. O mały włos nie rzuciłem się pędem kamienną doliną między nasypem kolejowym i rzędem ciemnych sklepów. Sklep spożywczy, w którym kupiłem pączka, znajdował się na samym końcu tego rzędu i pogrążony był w mroku. Ale postój taksówek naprzeciwko sklepu był oświetlony, czekając na jakiegokolwiek odpadki, które wyrzuci z siebie zamierająca kolej. Za brudną witryną, w małym pokoiku obwieszonym kalendarzami, dwóch starych mężczyzn siedziało po obu stronach zniszczonego biurka, na którym stał telefon i radio. Z radia, pośród trzasków, dobiegała muzyka. Pamiętam chyba kwintet Benny'ego Goodmana. Jeden ze starców, w flanelowej koszuli w kratę, na mój widok otworzył drzwi.

– Chce pan taryfę?

Powiedziałem, że przyjedzie po mnie kolega, ale czy mogę poczekać na zewnątrz? Głos miałem chłopięcy, piskliwy i wiedziałem, że muszę wyglądać dziwnie – w miejskim ubraniu, z włosami w artystycznym nieładzie, trzymając palec w egzemplarzu Everymana, który nadal dzierżyłem w dłoni.

Tak. Jakże byliśmy młodzi w 1959 roku, byle drobiazg mógł nas wyprowadzić z równowagi. Malcolm przyjechał niedługo potem, granatowym kabrioletem MG. Zagraniczne samochody należały wówczas do rzadkości – niosły pewne przesłanie.

Zszedłem skrajem do połowy zbocza przed dworcem, by nie ominąć Malcolma. Cierpliwie wyjaśniłem, że uciekłem przed natrętem, a Malcolm patrzył na mnie z lekkim niedowierzaniem, stojąc w półmroku, na stromej, zimnej ulicy. Zaparkował przed dworcem i wszedł ze mną do środka po walizkę. Przygarbiony łązega wyszedł, ale walizka została nieruszona, na środku rzędu pustych ławek, wśród stukotu i syku pordzewiałych kaloryferów wzdłuż pokrytych boazerią ścian. Nawet papierowa torebka ze szczotką i grzebieniem Annie leżała tam nadal.

W drodze do domu Malcolm jakby zatracił zwykłą niefrasobliwość. – Howardzie – rzekł, tonem niemalże karcącym – taki człowiek nie stanowi dla ciebie żadnego zagrożenia. Oni rzadko bywają agresywni. Przemoc nie wchodzi tu w grę, a tak czy tak, to jego kłopot, nie twój.

Słusznie przywołał mnie do porządku, aż głupio, że wyszedłem na takiego tchórza. Dokądkolwiek się udałem, ludzie przekazywali mi jakieś przesłania, ale moje zwoje mózgowie ich nie odbierały.

Malcolm na tym nie poprzestał, najwyraźniej poświęcił temu tematowi wiele uwagi. Z książki, którą niedawno przeczytał, przytaczał mnóstwo danych dotyczących homoseksualistów – przestępczość wśród nich jest niska, gdyż są to ludzie nieagresywni, za to twórczy i wyrozumiali. Okazuje się, że to wzorcowi obywatele wyzwolonego, różnorodnego, bezpruderyjnego świata przyszłości. W jego głosie, któremu nosowa wymowa nadawała dość zmysłowe brzmienie, dosłyszałem ton, którego nie zauważyłem nigdy przedtem – po raz pierwszy mówił ze szczerym przekonaniem. Z moją żoną zawsze flirtował, był beztroski i zabawny.

– Może i tak – powiedziałem. – Wszystko pięknie. Ale dlaczego ja? Dlaczego uczepił się mnie?

– Najoczywistsza odpowiedź jest taka, że tam byłeś – odparł.

A potem, co do niego niepodobne, zamilkł. Czy była też odpowiedź mniej oczywista? Śmignęły obok nas przyćmione światła Haverhill, przejechaliśmy przez rzekę do Groveland. W kabriolecie było zadziwiająco ciepło, podobnie jak w hali dworcowej i ta temperatura zaczęła mnie rozbierać. Malcolm miał na głowie małą, mechatą czapkę w kratę, może by osłaniać łysinę. Wzruszyło mnie to, przy nim poczułem się młody, a moje bujne włosy uznałem za swój atut, pióropusz, źródło siły. Opowiedziałem Malcolmowi o spotkaniu z Duchampem na przyjęciu, o Docu Humesie, który jakimś sposobem docisnął się do szachownicy wielkiego człowieka. Malcolm śmiał się i dopominał o szczegóły, a ja mu ich nie szczędziłem, zostawiając dla siebie tylko epizod z Wenus, urok, jaki na mnie wywarła, wizytę w jej biurze w porze obiadowej i gest jej długiego ramienia, który z tego uroku łagodnie mnie wyzwolił. Malcolm zrewanżował się opowieścią o kolacji, jaką wydał któryś z okolicznych mieszkańców. Uczestniczył w niej wraz z siostrą, a wśród gości znalazł się John Marquand, przystojny i łaskawy. Marquand był wówczas wielką figurą.

Wspomnienia zacierają się w pamięci, ale, jak mi się zdaje, po długiej jeździe w

przytulnym wnętrzu samochodu przez wijący się, zimowy mrok, bocznymi drogami, przez Groveland, Georgetown i Ipswich, Malcolm bezpiecznie dowiózł mnie do domu i żony. Nieco zażenowany całym tym zdarzeniem, jakby wina leżała po mojej stronie, nie opowiedziałem żonie o zajściu na dworcu. Pozostało ono tajemnicą moją i Malcolma. Mijały lata, a on nadal pozostawał naszym przyjacielem, uwodzicielskim wobec nas obojga, łagodnie naciskając na to z nas, które łącniej gotowe było ulec naporowi jego miłosnych zapędów. Nic nie zdarza się nagle. Gdy obaj przenieśliśmy się do Bostonu, by otworzyć sklep z antykami na Charles Street, lata sześćdziesiąte były już w pełnym rozkwicie.

Przemiana

Anderson, próżniak i złoty młodzieniec, zbytnio lubił się opalać, a te godziny, spędzone na słońcu, odbiły mu się czkawką po pięćdziesiątce, w postaci raka twarzy i innych miejsc, wrażliwych na nadmierne nasłonecznienie. Jego okulistę, sumiennego fachowca z brooklińskim akcentem, zaniepokoiło rogowacenie w pobliżu kanalika łzowego prawego oka – „jeśli to się posunie dalej, będzie pan płakał z braku łez” – i odesłał go do chirurga, specjalizującego się w operacjach plastycznych twarzy, niejakiego doktora Kima, jak się okazało, kobiety, zaskakująco młodej Amerykanki koreańskiego pochodzenia, której niewątpliwych wdzięków nie zdołał skryć nawet workowaty fartuch lekarski. Była dość wysoka, prawie tak jak Anderson, niestety, miała „niskie zawieszenie”, solidne, pałakowate nogi i krągłe łydki Azjatek. Poruszała się z powściąganą krzepą, jej gesty były ponad potrzebę szybkie i zamaszyste, tak że fartuch rozchyłał się, a jego białe poły powiewały. Mówiła amerykańską angielszczyzną bez śladu obcego akcentu, z tym że był on miękki i męcząco jednostajny – Andersonowi przywodził na myśl pojazd księżycowy, z uporem sunący po jednolitym terenie w warunkach zmniejszonej grawitacji. Twarz miała szczupłą rozszerzającą się w okolicach kości policzkowych, matowo bladą w odcieniu kości słoniowej, tak gładką że z żalem myślał o własnej krościancej, plamistej, kostropatej fizys. A była wszak lekarką, toteż nie musiał odczuwać skrępowania. Mógł odprężyć się podczas badania jak dziecko pod czułym wzrokiem matki.

Najpierw przyjrzała mu się gołym okiem, potem uzbrojona w lupę, a na koniec przy pomocy skomplikowanego mechanizmu, na którym musiał oprzeć podbródek, podczas gdy soczewki wysuwały się i wsuwały z kliknięciem, a łuki i plamki światła zasłaniały mu na pół przesłonięty widok jej twarzy, oddalonej parę cali od niego w przyciemnionym pokoju. Nareszcie odstawiła przedzielający ich aparat i oznajmiła, że owszem, będzie operować i nie widzi większych trudności. W istocie występuje kilka rodzajów zmian chorobowych po wewnętrznej stronie jego oczodołu i wzdłuż dolnej powieki, ale można je wyciąć bez komplikacji.

– Wygląda na to, że ma pan przynajmniej milimetr niedotkniętej zmianą tkanki między rakiem podstawnokomórkowym i kanalikiem łzowym.

Nadal widział plamki i robaczki świętojańskie. – A drugie oko? – zapytał, nie tyle z ciekawości, co pragnąc jeszcze posłuchać, jak mówi. Artykułowała słowa z dziwnym poszumem, gdy skończyła zdanie, pobrzmiwało jeszcze jakieś nikłe echo.

– W drugim oku nic nie widzę. Nie ma problemu. *Problemmmuu.*

– Czy to nie dziwne, że jedno oko jest felerne, a drugie dobre, chociaż oba były tak samo

wystawione na słońce? A może myśli pani, że zawsze mrużyłem jedno oko jak Popeye?

To z gruntu nienaukowe pytanie wywołało tylko jej uśmiech, lecz nie raczyła odpowiedzieć. Wypełniła natomiast szereg karteczek, które dała Andersonowi na koniec wizyty. Stanąwszy obok niej, przekonał się, że góruje nad nią wzrostem o parę cali, co sprawiło mu niekłamaną satysfakcję. Czarne włosy czesała z przedziałkiem pośrodku, a z tyłu zbierała w kucyk upięty tak, że wyglądał niczym rączka prześlicznego dzbanuszka.

– W recepcji podadzą panu termin operacji – rzekła. – W tym dniu należy zjeść tylko lekkie śniadanie i przyjmować mało płynów. Zabieg potrwa około dwóch godzin. – *Goodziinn*. Opuściła pokój przed nim, spiesząc do następnego pacjenta, w innym gabinecie, owym lekkim, posuwistym krokiem; jej lśniące łydki błyszczały pod powiewającym fartuchem.

Nie mógł czekać – rak posuwał się ku kanalikowi łzowemu – ale najbliższy wolny termin wypadł za dwa i pół miesiąca. – Doktor Kim jest bardzo zajęta – poinformowała Andersona recepcjonistka w średnim wieku, zorientowawszy się na pierwszy rzut oka, że pacjent jest młodą lekarką urzeczony. Jak zauważył Anderson, dr Kim była równie nieocenioną częścią kliniki, co rozciągający się z czterdziestego piętra, na którym była usytuowana, widok na East River i miasteczka, połyskujące na widnokręgu w ten przepiękny poranek.

Była w ciąży. Nie zauważył tego podczas badania, a nawet dwa i pół miesiąca później zwróciła mu uwagę na ten fakt dopiero jedna z pielęgniarek w sali operacyjnej. – Naprawdę, pani doktor – rzekła, gdy twarz Andersona przygotowywano do zabiegu betadyną i okolono papierem antyseptycznym – nikomu *do głowy by nie przyszło*, że jest pani w trzydziestym trzecim tygodniu. Ja objąłam się wtedy o wszystko jak samochodzik w wesołym miasteczku. Byłam gruba jak beka.

Pielęgniarki były dwie i rozmawiały nad głową Andersona, jakby była woskowym owocem, ustawionym pośrodku stołu dla dekoracji. – Za pierwszym razem też tak było – rzekła lekarka ze swym fascynującym, bezceremonialnym bębnieniem. – Nic, nic, aż nagle bach. – *Baachch*.

Anderson próbował unieść głowę, by spojrzeć na brzuch dr Kim, ale stała za nim i widział ją odwrotnie, z błyszczącą strzykawką w ręce. – Absolutnie nie powinien pan ruszać głową. Może przywiążę panu rękę?

– Dobrze. Może być.

– Niektórzy ludzie wpadają w panikę – wyjaśniła.

Anderson miał już robioną operację plastyczną twarzy, ale nigdy nie leżał rozciągnięty na stole. Siedział na wyściełanym krześle, które odchyłało się do tyłu, a gogusiowaty młodzieniec, w białej koszuli i krawacie, jakby chwając się, że podczas zabiegów w jego wykonaniu krew się nie leje, wycinał mu kolejne zrogowacenia. Wtedy zabolął go tylko zastrzyk znieczulający, zwłaszcza w górną wargę i mostek nosa. Łzy wystąpiły z kanalików. Ale dr Kim, przetarłszy mu uprzednio skórę wacikiem o zapachu goździków czy cynamonu,

wsunęła igłę niepostrzeżenie. Pielęgniarka zapięła mu na piersi lekkie paski, a jego ogarnęło błogie poczucie bezradności.

Trzy kobiety krążyły wokół niego. Jedna co jakiś czas mierzyła mu puls i pompowała rękaw do mierzenia ciśnienia, podczas gdy druga podawała chirurgowi instrumenty. Wystający brzuch dr Kim, skoro już o nim widział, ocierał mu się o ciemną albo o któreś ucho, gdy pochylała się nad nim i pewnym ruchem przecinała skórę narzędziami, których wygląd nie bardzo sobie wyobrażał, ponieważ dotykały twarzy Andersona na skraju jego pola widzenia. Dostrzegł nóż o kształcie mocno wyostrzonego ołówka, lecz także coś w rodzaju wykwintnego wydrążacza, którym go jakby lekko przedziurkowano, zauważył też przyżegacz, syczący i cuchnący dymem. Dotyk jej palców w lateksowych rękawiczkach odczuwał jak dotyk stóp wróżek, obutych w pantofelki uszyte ze skórek małych krecików. Od czasu do czasu przytykano mu do skóry tampony, by zahamować krwawienie, czasami czuł ucisk i ciągnięcie, gdy szwy, w różnych rozmiarach, barwach i stopniu rozpuszczalności wsuwano, naciągano i zawiązywano na supeł, czemu towarzyszył szybki, hipnotyzujący obrót pochylonych kleszczy.

Kobiety gawędziły na najprzeróżniejsze tematy: o szansach Hillary Clinton na zwycięstwo nad burmistrzem Gulianim w wyścigu do senatu – będzie coś z tego, czy nie, czy jest babą z ikrą, czy po prostu się wygłupia, o sytuacji w Kosowie, beznadziejnej, a może dającej nadzieję, o Julii Roberts i Hugh Grancie w *Notting Hill* – zaiskrzyło między nimi, czy nie? Momentami Anderson, spod kwefu sterylne go papieru, usiłował wtrącić własne zdanie. – Za chuda – orzekł o Julii Roberts. – A on za bardzo się jąka.

– Gdy pan mówi – zauważyła dr Kim – poruszają się panu wszystkie mięśnie w twarzy.

– Jak się uczyłam anatomii – rzekła instrumentariuszka – nie mogłam uwierzyć, że w twarzy jest tyle mięśni. Profesor powiedział, że chyba osiemdziesiąt cztery, zależnie od tego, jak liczyć. Gardło i gałki oczne chyba ekstra?

Anderson czuł, jak ręce i narzędzia chirurga przesuwają się do dolnej powieki, okolicy łaskotliwej i skłonnej do drgawek.

Pielęgniarka, pilnująca pulsu i ciśnienia Andersona, spytała nad jego głową:

– Nie jest pani zmęczona, pani doktor? Ja bym była padnięta, stojąc tyle czasu w pani stanie.

– Operowanie nigdy mnie nie męczyło – padło zaskakujące wyznanie. – Całkowicie o sobie zapominam. – *Sssobbie*. – Mogłabym tu przepracować całą noc.

– Nie może pani przysiąc na stołeczku? – zapytał z galanterią Anderson, próbując nie poruszać wargami, jak brzuchomówca.

– Jakoś nie potrafię – łaskawie zechciała odpowiedzieć. – Muszę stać, żeby mieć swobodę ruchów. – Zwinnych, płynnych *rruuchóów*.

– To samo twierdzą fryzjerzy – powiedział Anderson. – Po całym dniu z rękami w powietrzu umarłbym ze zmęczenia.

– Trochę więcej lidokainy – rzekła dr Kim wyraźnie surowszym głosem. – Niech pan się nie rusza i nie mówi ani słowa. – Bawi się ze mną, pomyślał Anderson. Zaczynają się

uczyć wzajemnych gier.

Gdy się rozstali – on z kropkowanymi opatrunkami w kolorze ciała, przykrywającymi mu oczodół, a ona, mimo swych deklaracji, z cieniami znużenia pod oczami – Anderson życzył jej szczęśliwego powicia dziecięcia. *Powicia, dziecięcia* – przeciągał pieszczotliwie. Ostrzegła go, że przez tydzień będzie miał siniak pod okiem i poprosiła, by umówił się w recepcji na zdjęcie szwów za tydzień oraz na wizytę kontrolną za pół roku. East River, podzielona na kawałki przez zasłaniające ją wieżowce Manhattanu, lśniła w dole. Barkę, wyładowaną pomarańczowym złomem żelaznym, popychały ku morzu dwa holowniki, a jej powolny, czarny kilwater przesłonił raptownie rozwiewający się biały kilwater motorowej łodzi policyjnej. Obok kanału łozowego Anderson zaczynał odczuwać drobne ukłucia bólu.

Po siedmiu dniach zdjęła mu szwy, pomrukując z radości na widok piękna swego dzieła, następnym razem ujrzał ją dopiero po niespełna roku. Nadal była na urlopie macierzyńskim, gdy wypadał termin jego badań kontrolnych i, nadąsany, nie przełożył go. Rana goiła się gorzej, niż się spodziewał, sączyło się z niej przez całe tygodnie, a dziwny guzek żyłowanej tkanki z jednej strony mostka nosa przez całe miesiące był podrażniony przez mostek jego okularów do czytania. Gdy rany wreszcie zaczęły się goić, a czerwone kropki zbladły na tyle, że nie raziły na tle usianej różowymi punkcikami twarzy, zauważył nową zmarszczkę – właściwie nie zmarszczkę, lecz coś jakby uniesione ścięgno, nawias ciała tuż przy kanalicie łozowym. Dziewczyna Andersona, kolejna z długiej serii wiecznie kwękających biduś, uznała, że wgłębienie to nadaje mu wygląd nieco złowieszczy. Gdy wskazał tę drobną nieprawidłowość ponownie szczupłej doktor Kim, lekarka dźgnęła ją lekko, i to kilkakrotnie. – Powinien był pan ją masować – rzekła. – Ale teraz może już być za późno.

– Za późno?

Uśmiechnęła się, znowu dotknęła drażliwego fragmentu powłoki cielesnej Andersona i mocno rozmasowała go kulistymi ruchami. – O tak – powiedziała. – Dwa, trzy razy dziennie przez trzydzieści sekund.

Od dotknięcia doktor Kim mózg Andersona oniemiał, lecz on sam starał się rozumować rozsądnie.

– To chyba na niewiele się zda.

– Niech pan spróbuje przez pół roku. Cierpliwości.

– Nie może pani tego usunąć chirurgicznie?

– Tak to panu przeszkadza? To błaża usterka kosmetyczna, ale operacja wcale nie będzie błahostką i wcale nie możemy być stuprocentowo pewni sukcesu. – *Sukcessu*. Jakby nie całkiem mówiła własnym głosem, lecz jakiś brzuchomówca przekazywał go z innego, idealnego świata.

Anderson wysunął się do przodu na fotelu, jakby zamierzał oprzeć podbródek na metalowej podpórce. – Zaryzykujemy – powiedział. – Jeśli pani się zgodzi.

– Ubezpieczenie...

– Moje towarzystwo ubezpieczeniowe jest bardzo hojne – zapewnił ją. Wyobraził sobie operację – przelotny nacisk jej osłoniętych palców, jak trzewiki tańczących wrózek, bezbolesne skwierczenie przyżegadła, beztroška paplanina pielęgniarek, szelest antyseptycznego papieru na jego twarzy, gdy próbował się wtrącić, wypukły brzuch doktor Kim, ocierający się o jego głowę.

Ale gdy w wyznaczony dzień przyszło do operacji, nie przebiegła ona całkiem tak, jak sobie wyobrażał. Doktor Kim nie była w ciąży, zabieg odbywał się w mniejszej sali, asystowała tylko jedna pielęgniarka, która ciągle wchodziła i wychodziła. Tym razem znacznie bardziej go ciągnęło, a szwów założono mu tyle, że środek znieczulający już prawie przestał działać. Ale siła wzajemnego kontaktu nie zmniejszyła się. Anderson śmieiej się rozglądał i bez żenady wpatrywał w jej oczy, z dołu do góry. Wypływały z kielichów górnych powiek, podkreślone cienkimi, czarnymi uśmiechami brwi. Wydłużone bursztynowe plamki, niczym igły w emulsji, nadawały jej tęczątkom promienną, gwiezdną głębię, gdy skupiona uwaga płynęła przez szczeliny zwężonych źrenic, dziurek, przez które przechodzi cały olśniewający świat. Gdy mrugała, wrażenie było potworne, jakby krab poruszał otworem gębowym.

Gdy już było po wszystkim i opuściła bladozieloną papierową maskę, jej usta ułożyły się w wyraz zadowolenia. Zdjęła czepek w kształcie grzyba i potrząsnęła głową, tak że jej włosy rozsypały się – gęsty płaszcz, rzucający woskowe błyski. – Wszystko poszło świetnie – rzekła. – Nie jest łatwo zmusić luźną tkanę, żeby z powrotem się zrekonstruowała. – *Zrekonstruuowałaaa.* „R” były takie gardłowe, a „łaa” tak niemożliwie przeciągnięta, że zaczął się zastanawiać, czy lekarka aby się z niego nie nabija. Ale zachowywała wobec niego niewzruszony, zawodowy dystans, z powagą poinstruowała, jak stosować przepisane lekarstwa i dokładnie opisała przebieg zdrowienia. – Tym razem niech pan koniecznie masuje. – Pokazała, jak zataczać małe kółka na boku własnego, nieskazitelnego, prostego, ściśle obciążonego matową skórą noska. Gdy, drobiąc krótkimi nóżkami, wykonywała wszystkie przepisowe procedury pooperacyjne, jej rozpuszczone włosy nadal zwisały połyskującą falą, stopniowo zacierającą kształt splotów, niczym z wolna rozluźniające się mięśnie. – Szwy się rozpuszczą – powiedziała. – Proszę się pokazać za pół roku.

Wtedy brzegi East River pokrywał lód, a nad wodą unosiła się mgiełka styczniowego mrozu. Anderson ukradkiem przyjrzał się doktor Kim, by się przekonać, czy przypadkiem lekarka nie jest w ciąży, ale żadnych jej oznak pod workowatym fartuchem nie dostrzegł. Doktor Kim dotknęła prawie niewidocznej blizny koło kanalika łzowego.

– Ładna – powiedziała. – Symetryczna.

– Jestem pełen podziwu.

– Masował pan?

– Ściśle według instrukcji. Ale teraz zauważyłem, że na cienkiej skórze pod tym okiem

jest zmarszczka, której nie ma pod drugim okiem. I opadają mi górne powieki. Rano mam wrażenie, że opierają się na rzęsach. W lustrze widzę, że są zwinięte w byle jakie fałdy, jak mokre pranie.

Przyjrzała mu się bacznie i położyła palce na tej skórze, wciskając powiekę w gałkę oczną, tak że widział teraz podwójnie, a zarysy przedmiotów były zniekształcone.

– Można by ją podwinąć – przyznała – ale to nie jest konieczne. W widzeniu nie przeszkadza. – Nadal obmacywała mu powieki, tak że mówił urywanie, jak człowiek poddawany torturom.

– Ale mnie przeszkadza – powiedział z emfazą – że są takie pomięte. Chcę czegoś, co może się okazać dla pani za trudne.

Jej dotyk stał się ostrożniejszy.

– A o co chodzi?

– Chcę mieć powieki takie jak pani.

Opuszki palców, spoczywające w wewnętrznych kąciakach jego oczu, nie uniosły się. Wydawało mu się, że wyczuł w nich lekkie drżenie. – Ze zmarszczką nakątną? – zapytała.

– Jeśli to możliwe.

– Jak pan zauważył, to będzie trudne. Skórę do przeszczepu trzeba pobrać z bardzo wrażliwego miejsca. Na ciele jest kilka takich delikatnych pól. Po wewnętrznej stronie uda, na... Koloru nigdy się idealnie nie dobierze.

– A czy nie mogłaby pani po prostu podciągnąć tej obwisłej skóry? Z tymi zwisającymi fałdami czuję się jak nosorożec. Kiedy się pochylam, mam wrażenie, że skóra odpada mi od kości. I czy nie można by zlikwidować tego podbródka?

Z namysłem przesunęła palce na jego szczękę, dokonując delikatnych przymiarek. – To często wykonywany zabieg – rzekła – ale też nie taki prosty, jak odcięcie kawałka materiału. Pod skórą są mięśnie, nerwy i naczynia włoskowate. To będzie długa i uciążliwa operacja. – Usadowiła się w pozycji lotosu, ręce, odwrócone dłońmi na wierzch, złożyła na podołku. Jej twarz postrzegał nie tylko jako promienny owal, ale i arcydzieło sztuki krawieckiej, bez jednego szwu; warstwy skóry właściwej precyzyjnie dopasowane do kości policzkowych, zawiasów żuchwy i galaretowatych białek oczu.

– Może zrobić parę operacji – zaproponował Anderson.

Drobniutkie zmarszczki przemknęły po gładkiej powierzchni między jej brwiami, lecz błyskawicznie się wygładziły.

– Lepiej wszystko przeprowadzić za jednym zamachem. Jeden zabieg, jedno gojenie.

– Dam radę, jeśli pani doktor się zdecyduje – powiedział zniżonym, niemal wrogim tonem, którym, innej kobiecie, w innych okolicznościach, złożyłby nieskromną propozycję.

Doktor Kim wyprostowała się w krześle, utkwiała w swym pacjencie jasne, zamglone oczy i powiedziała, bardzo starannie dobierając słowa: – Podejmę się tego. Jeśli pan jest zdecydowany. Ale musi pan sobie zdawać sprawę, że czasami następuje pewna utrata czucia, a nawet sztywność mimiki.

– Zaryzykuję – odparł Anderson. – Nie mogę patrzeć na swoją twarz. – Choć nie chciał

skazić czystości ich wzajemnych stosunków takimi wyznaniem, mierziło go wykonywanie codziennych czynności – nie cierpiał się golić, czesać i strzyc, wkładać piżamy i kłaść się spać wieczorem ani zdejmować jej rano, zmiętej i przepoconej. Męczył go smród starzyzny, dolatujący z dolnych partii jego ciała, ohydny posmak dziur, które nagle objawiały się w jego plombowanych i łatanych koronami zębach, jakby wszystkie nekrologi, które czytał w gazetach, a także minione lata, zminiaturyzowane, utkwiły w szczelinach jego oślizgłej gęby.

Jak przewidziała doktor Kim, operacja była uciążliwa – lekarka przez sześć godzin stała, nacinając, naciągając i ostrzykując kolejne fragmenty jego twarzy, w miarę jak do nich przechodziła, niczym farmer, obsiewający pole. Nad zieloną, papierową maską nosiła okulary powiększające, jej skupiona twarz miała spokojny, księżycowy wygląd. Nawet plastyka powiek, dzięki znieczuleniu, wydała się Andersonowi zabiegiem przeprowadzanym gdzieś w oddali, choć tak się go obawiał. Nie było potrzeby robienia przeszczepu, miał tyle zbędnej skóry wokół nosa, co szczeniak na karku. Gdy już było po wszystkim, obie pielęgniarki otoczyły ją, jakby się obawiały, że zemdleje. Na noc zatrzymano go w szpitalu, łóżko było starannie pościelone i czyste.

Rankiem, w poczekalni, uśmiechnął się sztywno pod bandażami na widok pacjentów, przerażonych wkraczającą między nich mumią. Przez szparki, jak przeciwsłoneczne okulary Eskimosa, daleko w dole widział East River, której czarną powłokę rozrywały płynące barki, wyładowane po brzegi odpadkami, a także szybszy, turystyczny statek spacerowy, okrążający wyspę. Niebieskozielony budynek Citibanku, jedyny wieżowiec na Queens, wystrzelał w górę jak krokus. Była wiosna, drzewa okryły się pąkami, wypuszczą liście jak amen w pacierzu, stopniowo i z wdziękiem – podobnie i on zagoi się i powoli wypięknieje.

Przychodził teraz na wizyty co parę tygodni i za każdym razem bogaty wzorzec jego szwów stawał się skromniejszy – o dziwo, ich zdejmowanie okazało się boleśniejsze niż zakładanie – a po dwóch miesiącach stawiał się na badanie kontrolne. Jakby wspólnie przeżyli chwile zbyt zachwycające, by je niebawem powtórzyć, te spotkania na wszelki wypadek były pobieżne, pospieszne – doktor Kim zawsze się spóźniała, a pacjentów napływało tyle, że klinika praktycznie się zakorkowała. Na widok swej posiniaczonej, opuchniętej twarzy w lustrze Andersona ogarniało przerażenie. Zapewnienia jego dziewczyny – nowej – że z każdym dniem będzie wyglądał lepiej, nie polepszały mu samopoczucia – znał na pamięć te pochlebstwa, dawno przejrzał irytujące kobiece fortele. Tylko doktor Kim powie mu prawdę, chłodno i bez owijania w bawełnę. Wiarygodność wyczuwał w jej dotyku.

Podczas kolejnej wizyty, po ośmiu miesiącach, odsunawszy go na odległość ramienia, z wolna zawyrokowała: – Dobrze wyszło. Kąty szpary powiekowej nadal widać, ale powieki są bardzo napięte. Żółte sińce na szczęce zbledną – *zble-dnq* – dwie sylaby, jakby to wypowiedziała mówiąca lalka – z czasem, podobnie jak czerwone, pionowe blizny

przed uszami. – Wysunęła się do przodu i pogłaskała je gołymi opuszkami palców. Poły jej fartucha rozchyliły się i Anderson spostrzegł, że lekarka znowu jest w ciąży. Podała mu ciężkie, plastikowe, ręczne lustro. – Niech pan spojrzy – rzekła. Niech pan powie, co jest do poprawki. Ja wychodzę.

Wyszła szybkim, kołyszącym się krokiem, w butach na niskich, czarnych obcasach, nie zaś w żałosnych, białych tenisówkach, powszechnie noszonych przez personel szpitalny; poły jej fartucha powiewały, upięte włosy lśniły z tyłu niczym czarny, jedwabny sznur. Zbliżało się Boże Narodzenie i na jej biurku, całkiem nieoczekiwanie, stał mały żłóbek, zrobiony z jednego kawałka jakiejś masy. W lustrze ujrzał beznamiętną, orientalną twarz, o gładkiej, napiętej skórze, którą szpeciły jedynie drobne obrzęki. Wyblakłe niebieskie oczy miały nieciekawą odcień, a siwe włosy były przerzedzone, ale poza tym nie miał większych zastrzeżeń.

Nigdy przedtem nie został sam w jej gabinecie. Zszedł z fotela, wyposażonego w kłopotliwe oparcie na nogi i podszedł do jej biurka. Żłóbek był plastikowy, ale dość ładnie wykonany, z tym że Dzieciątko, Najświętsza Panienka, św. Józef, owce, wół i pasterze wyglądali na równie przerażonych. Obok stały podbarwione fotografie małego brzdąca, chłopca i dziewczynki w wieku przedszkolnym, mieszanej rasy – i starego człowieka. Może nie tyle starego, chyba nawet nie starszego od Andersona, białej rasy, ale o pobrużdżonej, uśmiechniętej twarzy, guzowatej i pomarszczonej oraz wielkim nosie.

– Och! – wykrzyknęła dziewczęcym głosem doktor Kim, zdumiona widokiem Andersona przy jej biurku. Ale zaraz przybrała zawodowy, równy, dość szeleszczący ton głosu. – To mój mąż. – *Mmqżż*, rozkosznie przeciągnięte, samo pojęcie zdało się pochodzić z jakiegoś odległego, doskonałego świata. Odwróciwszy głowę, by doktor Kim nie widziała jego głupiej miny, dotknął swego prawego kanalika łzowego. Był na miejscu.

Wspomnienie o Króliku

I.

Janice Harrison podchodzi do frontowych drzwi, gdy w ciszy zaszurgocze stary dzwonek. Rdza, pokrywająca go od dziesięcioleci, przeżarła gong, a kiedyś zaniknie na dobre, serce dzwonka zastygnie, druciki się spalą, czy co tam jeszcze. Gdy tylko mówi, że chce wezwać elektryka, Ronnie niezmiennie odpowiada, że ma to w planach, że się tym zajmie. Lubi wszystko robić sam. To Harry wyręczał się innymi.

Nagły, ostry ból w biodrze spowalnia jej kroki, gdy wychodzi z wyblakłej od słońca kuchni, przez jadalnię, gdzie rolety są spuszczone, by orientalne kobierce nie wyblakły, a mahoniowy blat na wysoki połysk nie rozeschnął się, do pokoju na froncie. Tu bladym szlakiem, wydeptanym w dywanie, obchodzi ławę przed sofą, pokrytą strzyżonym aksamitem. Ekran dużego, brązowego telewizora Zenith, zastawionego na górze zakurzonymi bibelotami matki, wycelowany jest w miejsce, gdzie kiedyś stał rozkładany fotel ojca. Nie siadają już tu na sofie, by oglądać telewizję. Ronnie lubi oglądać wieczorne wiadomości na małym aparacie Sony w kuchni, a Nelson, gdy po pracy siedzi w domu, woli tkwić przy komputerze, który sprawia mu więcej frajdy, bo jest interaktywny. Z żoną nie był tak interaktywny, toteż Teresa z dziećmi przed rokiem wróciła do Ohio. Wysyłają sobie z Royem mnóstwo e-maili, głównie sprośnych żartów (jeden szczególnie oburzający tego lata brzmiał: „Pamiętasz czasy, gdy bracia Kennedy załatwiali tylko jedną kobitkę naraz?”) – jakby e-mail mógł zastąpić prawdziwego ojca, mieszkającego z synem pod jednym dachem.

Janice często nie słyszy dzwonka, nawet gdy jest w domu albo w ogrodzie od tyłu. Znajduje zatknięte w drzwiach karteczki od dostawców, którzy musieli odejść z kwitkiem albo akwizytorów, którym nie dane było wystąpić z oracją wychwalającą oferowany towar. To jej odpowiada, ale mimo wszystko czuje się osamotniona – a gdyby zadzwonił ktoś, z kim bardzo chciałaby się zobaczyć? Co prawda nie do końca wie, ktoż by to mógł być. Tyle bliskich jej sercu osób nie żyje.

Ciężkie drzwi z orzechowego drzewa z szybami ze szkła matowego w kwieciste arabeski po bokach, drzwi, przez które przechodziła, w tę i we w tę, większą część swojego życia, z niewielkimi przerwami, były spęczniałe i lepkie od letniej, parnej wilgoci, która jednakże nie zdołała wydusić z siebie deszczu. Teraz otwierają się łatwiej, z suchym trzaskiem, skoro w powietrzu zapanowała jesienna rześkość. Dziewczyna – właściwie kobieta, niemal w wieku Nelsona, która stoi na ganku, kogoś Janice przypomina.

Ma dużą, białą twarz, oczy szeroko rozstawione, błękitne z mlecznymi plamkami i zapowiedziami kurzych łapek w kącikach. Nieco wyższa od Janice, ubrana jest w letnią, beżową sukienkę, ściśle opinającą jej sylwetkę na piersiach i podołku. Na ramiona zarzuciła granatowy sweter, modą młodych kobiet w biurze obrotu nieruchomościami Pearsona i Schracka, obsługujących jarzące się komputery i dających do zrozumienia, że tu się załatwia poważne interesy. – Pani Angstrom? – pyta niespodziewany gość.

Janice jest zaskoczona. – Kiedyś tak – przyznaje. – Teraz nazywam się Harrison.

Dziewczyna okrywa się rumieńcem. – Przepraszam, nie wiedziałam. Nie pomyślałam. – Mlecznobłękitne oczy rozszerzają się i Janice czuje, że nieznajoma drży, jej ciało trzęsie się pod tym stonowanym strojem, niczym stworzenie schwyte w pułapkę na wycieracze, w kwadratowym cieniu ganku o słupach z cegieł.

Za nią, po Joseph Street, ze świstem śmigają samochody, wydając czyste, suche dźwięki. Nowiutki, ceglasczerwony lexus stoi przy łaciatym krawężniku, pod wciąż jeszcze zielonymi klonami. Po niebie przesuwa się chmura i w jej cieniu przechodzi ziąb – tak właśnie odczuwa się nową porę roku, cienie stają się wyrazistsze i ciemniejsze, świerszcze śpiewają wszędzie. Tego lata panowała straszliwa susza, toteż liście wcześniej żółkną, na kasztanowcach brązowieją na brzegach i zwijają się, a na podwórkach przed domami, gdzie ich nie podlewano, żółkły jak słoma, co Janice pamięta z dzieciństwa, gdy było się bliżej ziemi, a lato nie miało końca.

– Moja matka zmarła przed dwoma miesiącami – zaczęła ponownie dziewczyna, zaczerpując oddechu, by opanować drżenie, obiema rękami ścisnęła małą, pasiastą torebkę, która zwisała jej na brzuchu.

– Bardzo mi przykro – mówi Janice. Nelson w pracy cały czas ma do czynienia z wariatami i twierdzi, że nie należy się ich lękać. Ona ma do czynienia z ludźmi, którzy chcą sprzedać albo kupić dom i są to przeważnie jedyne pieniądze, jakimi w życiu dysponowali, toteż często bywają spięci i zachowują się nieroztropnie.

– Nie wyszłam za mąż, oprócz niej nie miałam rodziny.

A więc, mimo nobliwego stroju, jest żebraczką. – Przykro mi – powtarza Janice nieco ostrzejszym tonem – ale chyba nie mogę pani pomóc. – Wyciąga rękę do ciężkich drzwi, by je zamknąć. Nelson przyjmuje w klinice, a Ronnie gra w klubie w golfa z innymi emerytami, tak że jest sama w domu. Dziewczyna co prawda nie wygląda, jakby miała jej zrobić krzywdę. Tyle że jest potężniejsza od Janice, sprawia wrażenie bardziej krzepkiej, niebezpiecznie wypełnia sobą przestrzeń, jakby po długich wahaniach powzięła wreszcie decyzję, niczym klientka, która postanawia przyjąć ofertę o trzydzieści tysięcy dolarów wyższą niż może sobie pozwolić. Pod kwadratowymi oczodołami widnieje opuchlizna, świadcząca o bezsenności, a w modnie podciętych, postrzępionych włosach jasno- i ciemnobrązowe pasemka przeplatają się z siwymi kosmykami.

– Też tak uważam – przyznaje. – Ale moja matka twierdziła, że może mi pani pomóc.

– Znałam pani matkę?

– Nigdy się osobiście nie spotkałyście, ale wiedziałyście nawzajem o swoim istnieniu.

Janice chciałyby, żeby Nelson tu był. Na pierwszy rzut oka potrafi ocenić, czy ktoś jest doprowadzony do ostateczności i określić jego stan stosowną nazwą – dwubiegunowy, schizofreniczny, paranoidalny, psychotyczny. Chory w stanie psychozy ma omamy słuchowe i wzrokowe, i może zabić, nie zdając sobie z tego sprawy, a potem w sądzie sprawiać wrażenie niewiniątka. Polakierowane słoje drewnianych drzwi pod jej ręką stanowią potencjalną tarczę, a zatrzaszkując je, można zakończyć rozmowę, ale dziewczyna wydaje się miła, łagodna i spokojna, choć także zmartwiona i drżąca, toteż drzwi pozostają otwarte. Ciepłe, suche powietrze początków jesieni w Pensylwanii – dzieci upchnięte po szkołach, ulice ciche o późnym poranku, warzywa z ogrodów za domami zebrane albo wykorzystane na nasiona – owiewa twarz Janice tchnieniem przeszłości, gdyż jej gość przybywa z tego samego obszaru.

– Pielęgnowałam ją do końca, nie lubiła szpitali, czuła się w nich jak w zamknięciu – ciągnie pogodny, uprzejmy, drżący głos.

– W końcu to pani matka – wtrąca się mimo woli Janice.

– Tak, oczywiście, jako pielęgniarka byłam do tego przygotowana, umiem podawać lekarstwa, przypilnować, żeby ją obracano w łóżku i tak dalej. Tyle że jakoś dziwnie jest doglądać własnej matki. Jej ciało miało dla mnie wiele znaczeń. Póki starczało jej sił, nie lubiła, żeby ją dotykać. Chociaż umiała żyć z ludźmi, miała kota na punkcie prywatności, nawet wobec mnie. O sobie zaczęła mi opowiadać dopiero, jak już wiedziała, że umiera.

Dziewczyna nawet się nie zorientowała, że gdy się trochę uspokoiła, opuściła pewien etap swojej historii. – A co to ma wspólnego ze mną? – pyta Janice.

– Noo, chyba... chyba była pani żoną mojego ojca.

Przejeżdża furgonetka pocztowa, jeden z owych pojazdów bez przodu, które są teraz w użyciu, biała z czerwonym i niebieskim paskiem. Niegdyś całe były wymalowane na zielono, jak wozy wojskowe. Listy roznosili wyłącznie mężczyźni, teraz zatrudniono młodą kobietę o długich, wyblakłych na słońcu włosach i masywnych nogach w szortach, która wozi przed sobą torbę na trzykołowym wózku po chodniku. Zazwyczaj obchodzi swój rejon później, lecz po przeciwnej stronie Joseph Street, z ganku bliźniaka po prawej, wychodzi inna młoda kobieta. Przez całe lata mieszkała tam para, która Janice wydawała się niezmiennie stara. Potem przenieśli się do mieszkania z opieką, a na ich miejsce wprowadziło się młode małżeństwo, które troskliwie pielęgnuje pnące rośliny, puszcza muzykę na całą okolicę i wychowuje dwoje przedszkolaków.

– Proszę, niech pani wejdzie – mówi Janice, cofając się uprzejmie, choć na myśl o wpuszczeniu do domu tej pamiątki dawno zapomnianej, wstydlivej przeszłości, ogarnia ją odraza i strach.

W zagraconej, pogrążonej w półmroku bawialni dziewczyna, o twarzy i ramionach tak białych, jakby lata w ogóle nie było, zawadza, niczym jeszcze jeden mebel, który powolne trzęsienie czasu wyrzuciło ze swego miejsca. Sprawia wrażenie, podobnie jak niegdyś Harry, jakby stworzono ją w nieodpowiedniej skali. Janice przyzwyczajona jest, że pod jej dachem przebywają ludzie średniego wzrostu, tacy jak ona, Nelson i Ronnie, choć Alex

Ronniego, który przyjeżdża czasem w odwiedziny z Wirginii, to kawał chłopca, a Judy i Roy, gdy tu mieszkali, zabierali mnóstwo miejsca na swe instrumenty, gry i nieustającą rywalizację. Choć raptem przy parce – dziewczynce i chłopcu, których dzielą ponad cztery lata, nie było aż tak strasznie.

– Może kawy? – zapytała Janice. – Albo herbaty – mój mąż pija teraz tylko herbatę, ze względu na ciśnienie, a ja też już się tak przyzwyczaiłam.

– Nie, dzięki – niczego bym teraz nie przełknęła. Długo zastanawiałam się, co powiedzieć, a teraz wszystko wyszło nie tak. Nazywam się Annabella Kupczyk.

Janice przyzwyczajona jest do terminologii handlowej. Na każdego sprzedawcę przypada jakiś kupczyk.

– Jak już powiedziałam, nie wyszłam za mąż. W przyszłym roku stuknie mi czterdziestka. Jestem pielęgniarką, przez trzynaście lat pracowałam w St. Joe's, a od pięciu zajmuję się pensjonariuszami domu opieki, choć mam ich coraz mniej, bo fundusz zdrowia nie bardzo chce płacić.

– Niech pani przynajmniej usiądzie – powiada Janice, by promienne cielsko nieproszonego gościa nie wytrącało jej tak z równowagi. Dziewczyna siada na kanapie, w którą, jak wszyscy, zapada się nadszpodziewanie głęboko, jej gołe kolana śmigają w górę, połyskując bielą. Kilkoma pospiesznymi ruchami wygładza spódnice, skrywając nieco odsłoniętą powierzchnię uda. Janice siada na zielonym fotelu, o pokrowcach na poręczach zgniecionych w harmonijkę, składając dłonie na podołku, tak jak matka, gotowa słuchać, jeśli pozwoli jej na to walące serce. A serce trzepocze się w sieci kalkulacji, próbującej oszacować, jak dalece to najście, odstręczające, choć intruz pozostaje w błogiej tego nieświadomości, wpłynie na jej życie i zakłóci spokój. Ronnie, w porównaniu z Harrym, jest człowiekiem niezwykle zrównoważonym, przy nim zaznała spokoju.

– Mama martwiła się, że nie wyszłam za mąż – mówi Annabella. Sądząc z jej spokojnego głosu, czuje się tu swobodniej, niżby Janice uznawała za stosowne. – Zastanawiała się, czy to przypadkiem nie jej wina, czy z powodu tego, co ona przeszła, nie nabrałam nieufności do mężczyzn czy do seksu. Odpowiadałam jej, że to bzdura. Tata, jak do niego mówiłam, był cudownym człowiekiem. Umarł, jak miałam szesnaście lat, ale zdążył przekazać mi wartościowy obraz mężczyzny. Podrzucił mnie do góry jeszcze jak miałam jedenaście lat, nauczył mnie prowadzić traktor i wszystkiego, co musi umieć dziecko, żeby pomagać na farmie – zbierać jabłka, truskawki, karmić kurczaki, wycinać krzaki i sumaka jadowitego. Nawet razem zajmowaliśmy się ciesielką i nauczył mnie strzelać. Miałam dwóch braci, Scotta i Morrisa, z którymi dobrze mi się układało – na wsi wiele rzeczy robi się wspólnie. Miałam też kawalerów, całkiem normalnych, chociaż pewnie w porównaniu z chłopcami z miasta brakowało im śmiałości. Po skończeniu szkoły średniej dostałam pracę jako pomoc pielęgniarska w domu opieki w Sunnyside, koło dawnego placu targowego...

Patrzy, czy Janice słucha. Janice kiwa głową.

– Słyszałam o nim. Sunnyside.

– Potem poszłam na roczny kurs, zdałam egzaminy i gdy zaczęłam pracę w St. Joe’s, chłopcy już się tak nie krępowali, niektórzy to byli żonaci lekarze, ale i kawalerowie, i to wszystko wydawało mi się całkiem normalne, tyle że, wie pani, nigdy nie zaiskrzyło, nikt mi się nie oświadczył. A może wcale tego nie chciałam. Mówiłam mamie, trudno, wyjdę za mąż, to wyjdę, a nie to nie, nie jestem przez to gorsza, ale ona zamartwiała się na śmierć, że jestem niezależna, jakby mi w czymś przeszkadzała, zwłaszcza kiedy sprzedała farmę i poprosiłam, żebyśmy zamieszkały razem, znajdziemy coś większego, na Eisenhower Avenue...

Janice serce zatłukło w piersiach. Mieszkała kiedyś na Eisenhower Avenue, z Charliem Stavrosem, pod numerem 1204, w latach sześćdziesiątych, kiedy wszyscy mieli zajaczki w głowach. Ale nie powinna się dziwić, państwo zajmujący domy jednorodzinne na tej szacownej ulicy w jej czasach świetności mieli czarnych i irlandzkich służących, później, gdy na ich miejsce wprowadzili się nieudacznicy, jak ona i Charlie czy też ta dziewczyna z matką, i tak mieszkano się stosunkowo bezpiecznie przy niezbyt wygórowanych czynszach.

– ...bardzo się bała, że stoi mi na drodze, powtarzała, że nie będzie wychodzić z pokoju, jeśli przyjdę z mężczyzną, ale jak mieszkalam sama w Brewer, straciłam chęć na sprowadzanie mężczyzn do domu, czasami bywają brutalni, a ja byłam po trzydziestce i wszyscy przyzwoici mężczyźni już zdążyli się ożenić. Kiedy zorientowała się, że umiera – gdy wykryto guzy, owsianokomórkowego raka płuc, były już przerzuty na węzły chłonne i kości – powiedziała, że mam rodzinę, o której nie wiem. Że tata nie był moim prawdziwym ojcem, że kochał mamę na tyle, by ją wziąć z cudzym dzieckiem. Nie miałam jeszcze roku, zajmowali się mną dziadkowie w West Brewer, gdy mama pracowała w restauracji koło Stogey’s Quarry, gdzie poznała mojego... gdzie poznała Franka Kupczyka. Nie tracił czasu – chyba jego matka umarła niedługo przedtem, a na farmie potrzebna była kobieta. Ale nie to, że nie kochał mamy – szalał za nią. Był po czterdziestce, a ona miała dwadzieścia parę lat, a jak już mniej więcej wiedziałam, co i jak, zorientowałam się, że nadal wiele ich łączy. Żartował, że jest gruba, ale wtedy sam był tłuściochem.

Janice mierzi opowieść o tych tak bardzo zwyczajnych ludziach. – Nie zastanawiała się pani – pyta zniecierpliwiona – skąd się pani wzięła na świecie przed ślubem rodziców? – Przez półprzezroczystą zasłonę w oknie panoramicznym frontowego pokoju – nazywają je szklanymi zasłonami, choć są z materiału – widzi, że kobieta po przeciwnej stronie ulicy nadal krząta się po ganku, niemrawo podlewając rośliny z długiej konewki, jakby podsłuchiwała. Ale z tej odległości to niemożliwe. Obecność dziewczyny wydaje się Janice czymś zawstydzającym. Zawstydzającym i bezwstydnym.

– Specjalnie się nad tym nie zastanawiałam – informuje ją Annabella. – Dzieci przyjmują wszystko po prostu, w przekonaniu, że tak ma być. Scott był w szkole tylko o klasę niżej ode mnie, termin ostateczny przypadał w lutym, ja urodziłam się w styczniu, a on w listopadzie następnego roku. Zawsze byłam najmłodsza w klasie, dlatego czułam się, rozumie pani, taka niewinna. Wydawało mi się, że wszystkie dzieci wiedzą więcej ode mnie i na więcej sobie pozwalają. Ja zawsze byłam grzeczną dziewczynką, która po

lekcjach szkolnym autobusem wracała prosto do domu.

Dziewczyna zaczyna mówić do Janice jak do jakiejś ciotki czy wręcz matki. Janice nie uważa siebie za wzór matki i nie chce ponownie wypróbować się w tej roli. Pyta jednak:

– A może napije się pani kawy? Ja muszę sobie zrobić herbaty, tyle pytań chodzi mi po głowie. To ci dopiero nowiny, jeśli, naturalnie, mówi pani prawdę.

Podnosi się, lecz Annabella też wstaje i idzie za nią do kuchni, choć Janice wolałaby trochę odetchnąć od gościa, by wszystko to sobie poukładać w głowie. Przychodzą jej na myśl świadkowie Jehowy, którzy, gdy się ich wpuści przez drzwi, wydają się strasznie bladzi i słabowici, a jednak tak potrafią człowieka omotać, rzucając cytaty z Biblii, jeden za drugim, wskazując nagłówki, które mają dowieść prawdziwości Apokalipsy według św. Jana, że nie można się ich pozbyć. Janice nie lubi, by we własnej kuchni ktoś wchodził jej na głowę. Prowadzenie domu nie należało do jej mocnych stron, co prowokowało Harry'ego do sarkastycznych uwag (choć jego matkę trudno uznać za drugą Marthę Stewart ani jego samego za majster-klepkę, w przeciwieństwie do Ronniego czy ich wspólnego znajomego, tego sympatycznego Webba Murketta), tak że Janice z ulgą przeszła wraz z Ronniem z kawy na herbatę, gdy tak mu zalecił lekarz. Nigdy nie wiedziała, ile kawy wsypać, a z herbatą to proste – wkłada się torebkę do kubka, kubek do mikrofal i gotowe. Używa zwykłego starego liptona – z czasów, gdy była młodą dziewczyną, pamięta rzewną piosenkę z jakiegoś programu radiowego, który sponsorował... a może to był Maxwell House? Doris Kaufmann i inne panie namawiają ją, by spróbowała herbaty ziołowej, jaśminowej albo zielonej, która ma zbawienne działanie, zapobiegając wszystkiemu, od czkawki po raka jelita grubego, ale po co ją pić, skoro ani trochę nie pobudza?

Woda grzeje się dwie minuty i dwadzieścia sekund. Annabella przez chwilę przygląda się elektronicznemu minutnikowi, po czym przechodzi do okien, wychodzących na tył domu i na werandę. – Ile tu słońca – powiada. – Od frontu jest tak ciemno.

– To te klony. Rosną i rosą. Przez te lata parę drzew uschło. Szkoda mi wielkiego, pięknego buka czerwonolistnego, który rzucał cień na bok. Na pewno nie chce się pani niczego napić? – Pretensjonalne imię dziewczyny, rodem z jakiegoś romansidła, nie może jej przejść przez gardło. Przychodzi jej do głowy, że aby ukoić nerwy po tym wstrząsie, wybrnąć z tej idiotycznej sytuacji, powinna wypić szklaneczkę wytrawnej sherry.

– Chętnie napiłabym się wody.

– Samej wody? Z lodem?

– O nie, bez lodu. Nie uwierzysz pani, jakie mnóstwo bakterii żyje w lodzie.

Przy Harrym zawsze czuła się nieczysta, nawet gdy nie miał racji. Wręcza dziewczynie dzbanek przezroczystego płynu. Masa odcisków palców. Teraz badają DNA – ale O.J. i tak puszczono wolno. Ta długonoga prokurator przekombinowała, a czarny adwokat był spryrciulą. Dziewczyna zwraca się ku drzwiom, prowadzącym za dom, najwyraźniej ma ochotę usiąść na werandzie, skąd widać ogródek warzywny i starą huśtawkę, ale Janice stanowczym krokiem zmierza z powrotem do bawialni, ponurej i mało używanej. Stąd

prostą drogą idzie się do wyjścia. Puszczą dziewczynę przodem, a sama ociąga się na tyle, by wyciągnąć butelkę sherry z kredensu w jadalni, odkręcić ją i wlać odrobinę do herbaty. Krzepki, płowy, cierpki płyn unosi się, zagłuszając antyseptyczny smrodek, ciągnący się za dziewczyną, jakby miętowy płyn do ust, którym zioną jej kark i nagie ramiona. – A więc opowiedziałas mi wszystko – powiada Janice, gdy obie usadowiły się na tych samych meblach.

Annabella na to nie przystaje. Podejmuje opowieść:

– Mówiłam, że jako dziecko nie wiedziałam, kiedy rodzice się pobrali, a gdy podrosłam na tyle, żeby się tym zainteresować, mama przyznała, że może urodziłam się przed ślubem, gdyż matka taty jeszcze żyła, ale niedomagała i małżeństwo mogłoby przyspieszyć jej śmierć. To by pasowało, zważywszy, że był rok 1960, zanim życie się zliberalizowało.

Co się zliberalizowało? – zadała sobie pytanie Janice. Zapewne chodzi o aborcję. I o mieszkanie pod jednym dachem bez ślubu. Ale wtedy takie rzeczy też się zdarzały, tylko bardziej się z nimi kryto. Rok 1959 zdawał się bliski, tak bliski jak bicie jej serca, które wówczas też biło, hen w tunelu czasu, ten sam wiemy miesiąc, pośród mroku i krwi. Ale nie chce przedłużać tej dyskusji, nie chce się w to mieszać, choć coś ją ciągnie w smutny, wilgotny dół przeszłości.

Dziewczyna jakby czytała w jej myślach. – Tak, moja matka opisała ten, jak go zwał, tak go zwał, romans. Ona i mój... i pani mąż, pan Angstrom, mieszkali razem, chyba na Summer Street, przez trzy miesiące. Nie wiedział, czy mnie urodziła, czy nie. Ja go poznałam. Spotkałam go parę razy, nie wiedząc, kim jest. To znaczy, kim jest dla mnie. Trafił jako pacjent do St. Joe's, kiedy jeszcze tam pracowałam. Robili mu angioplastykę. Był uroczy. Ciągłe żartował.

– Umarł na Florydzie – rzekła Janice oskarżycielskim tonem – niespełna pół roku później. Na atak serca. Miał dopiero pięćdziesiąt sześć lat. – Jakby te tragiczne fakty, tak dla niej dramatyczne w owym czasie, mogły oddzielić Harry'ego od tej dziewczyny.

– Chyba powinni byli zrobić mu by-pass. Wtedy nie przeprowadzano tego tak rutynowo.

– Nie chciał. Nie chciał, żeby gmerano mu w ciele. Bał się tego. – Janice z przerażeniem słyszy, że głos się jej łamie, do oczu napływają łzy, jakby to przez nią Harry uznał, że jego życie jest nic niewarte. Nie pojechała do niego na Florydę, gdy ją o to prosił. Błagał ją o wybaczenie, ale ona była niewzruszona.

– A jeszcze wcześniej – ciągnęła dziewczyna, nieświadoma, jakie wrażenie robią jej słowa – kiedy byłam pomocnicą pielęgniarki w Sunnyside, mój dawny znajomy z Galilee, Jamie i ja – mieszkaliśmy razem, w małym mieszkanku na Youngquist Boulevard, ale potem mieszkania w tym domu trzeba było wykupić i przez to się rozstaliśmy, ale to już całkiem inna historia – w każdym razie pojechaliśmy obejrzeć toyoty na trasie 111. Kupiliśmy ją w końcu, ale nie tego dnia, gdy obsługiwał nas pan Angstrom. Był tak miły, że aż mnie to zaskoczyło. Zwracał się do mnie, nie tylko do Jamiego ani nie próbował niczego nam wciskać, jak to robią inni sprzedawcy.

– Handel nie był jego powołaniem – wtrąciła się Janice. – Właściwie po skończeniu

szkoły średniej nie wiedział, co chce robić.

Ale jakież był piękny, wspomina Janice, na korytarzach liceum – wysoki, wspaniała grzywa długich włosów wikinga zaczesana do tyłu, ale spadająca wiotkimi, seksownymi kosmykami na czoło. Odgarniał je dużymi, zgrabnymi, białymi dłońmi, żartując z innymi uczniami wyższych klas i z tą swoją wysoką dziewczyną, Mary Ann. Królował na tych korytarzach, spoglądając władczym wzrokiem spod półprzymkniętych powiek. Na nią, oczywiście, skromną uczenniczkę dziewiątej klasy, jakieś chucherko, nie zwracał najmniejszej uwagi. Zaczęli ze sobą chodzić dopiero, gdy oboje pracowali już u Krolla w Brewer, ona na stoisku z orzechowymi ciasteczkami, on był po dwóch latach wojska, które odsłużył w Teksasie – nie wysłano go na śmierć do Korei. Często wspominał Koreę, jakby żałował, że ominęła go walka, że wrócił do spokojnego życia. Nikt nie chce wojny, ale mężczyźni nie pragną też wyłącznie pokoju.

– Tak – syczy Annabella, zgadzając się zbyt skwapliwie, nie rozumie bowiem prostoty naszych ówczesnych natur – był fantastycznym atletą, pamiętam wycinki na ścianach w salonie wystawowym, no i moja mama o tym mówiła. Poszła do innej szkoły średniej, która grała mecze z jego szkołą. Jak już zaczęła, nie przestawała o nim mówić, zanim... odeszła. Wiem o pani, o Nelsonie, o tym, że pani dom się spalił, matka chyba śledziła wasze losy w gazetach. Ciekawiło ją to. Z tego, co mówiła pod koniec, można wnioskować, że nie chowała urazy. Takie były czasy, powiedziała. Zaplątał się, i co miał zrobić? Tak czy tak, ja nie byłam szczególnie łakomym kąskiem, powtarzała mi.

Ruth i jej poglądy, których przez te wszystkie lata w ogóle nie brała pod uwagę, wtargnęły do bawialni. – O mój Boże – tylko tyle Janice zdołała z siebie wydusić, lecz gdy sherry zaczęła krążyć w jej żyłach, zabarwiła ten koszmar na bardziej znośny kolor. Czyż to, co zdarzyło się przed czterdziestoma laty, może jej teraz w najmniejszym stopniu zaszkodzić?

– Odwiedzał ją, wie pani – tokuje dalej młoda kobieta, gestykulując coraz swobodniej, jej ciało wydaje się większe, gdy zakłada nogę na nogę, co rusz je zmieniając, a beżowa sukienka podjeżdża coraz wyżej na udach. Jej włosy też wydają się zbyt krótkie i zanadto podskakują, gdy wysuwa głowę do przodu. W tych włosach kryje się jakaś próżność, jakaś przebojowość – w ich wielobarwnej bujności, modnym, wyzywającym cięciu, kosmykach to długich, to krótkich. – Chyba w tym roku, w którym umarł. Jakoś odnalazł naszą farmę.

– Naprawdę? – To straszne. Romans Harry'ego z Thelmą ona i Ronnie pogrzebali, w ogóle o nim nie wspominając, gdy zakończyli pierwszy etap zalotów, kiedy wyznaje się wszystko. Przetrwali to i teraz triumfowali, Harry i Thelma obrócili się w cienie, truchła, zapadające się coraz głębiej w bezkrwistość zakopanych trumien, ich skóra rozpadała się, coraz bardziej napięta, jak u tej peruwiańskiej dziewczynki złożonej w ofierze, którą znaleźli na szczycie góry. Potworny widok. Ale żeby w tym samym czasie, gdy widywał się z Thelmą uganiał się za tą starą, tłustą źdźzirą po całym hrabstwie Diamond? Harry z za grobu mącił jej spokój, tak jak zatruwał go za życia. Nie mógł być zwyczajny, szanowany, odpowiedzialny. Uważał, że jest ponad to. Ta dziewczyna, zarazem nieśmiała i butna, miła,

ale jakaś dziwna, jest wysłanniczką z za grobu. Janice nie chce mieć z nią nic wspólnego. – A w jakim celu? – pyta.

Dziewczyna zwiera kolana i pochyla się do przodu, by podkreślić wagę swych słów, ale sukienkę ma tak krótką że mimo wszystko widać trójkąt majtek. – Mama powiedziała, że pytał o mnie. Ale nie pisnęła słówka. Chciała mnie przed nim uchronić. Potem, gdy zorientowała się, że odchodzi, zmieniła zdanie i uznała, że powinnam wiedzieć. – W stłumionym świetle bawialni oczy dziewczyny nie mają już tak intensywnie mlecznego odcienia, błyszczą poczuciem własnej ważności, które nadaje jej ta opowieść.

– Dlaczego? – krzyczy Janice, próbując opanować nerwy. – Zostawmy przeszłość w spokoju. Po co się w niej grzebać, skoro i tak nic już się nie poradzi? Przepraszam – mówi. – Muszę nalać sobie świeżej herbaty. – Nie udaje nawet, że idzie do kuchni, nalewa jeszcze trochę wytrawnej sherry tuż przy kredensie, gdzie dziewczyna mogłaby ją zobaczyć, gdyby zerknęła w bok. Ale we frontowym pokoju Annabella siedzi, wpatrując się w ciężkie, zielone, szklane jajo, z bańką w środku, leżące na nieczynnym telewizorze obok innych bibelotów, które zbierała Bessie Springer na dowód swej zamożności, gdy ojciec rozkręcił interes samochodowy. Mama i jej futro, mama i jej niebieski chrysler – wtedy świat był prostszy, miłość własną dało się zadowolić takimi przedmiotami. Ta dziewczyna, siedząc na niskiej sofie, obnaża całą nogę, ramiona ma gołe, bo zsunął się z nich sweter i wysuwa ciało do przodu jak dziwka – pewnie wychodzi z niej matka. Jest też w niej jakaś bezbarwność, bezbarwność dziecka bez ojca, jej twarz z profilu pobiera światło równie niemo co jajo z zielonego szkła.

Wyczuwa spoczywając na niej oko Janice, obraca się do niej twarzą i mówi: – Postawiłam panią w kłopotliwym położeniu tym swoim przyjazdem, co? Ja też czuję się niezręcznie. – Ma pulchną górną wargę, przez co jej uśmiech wydaje się dziecinny, pytający. Chyba łatwo ją zranić.

– No cóż – mówi z namaszczeniem pani domu, sadowiąc się na powrót w fotelu z kubkiem o wzmocnionej zawartości, której ozdowieńczy, cierpki smak sprawia, że Janice rozpieszcza się wygodniej we władczej pozycji. Przed laty przysięgała sobie, że nigdy się tak nie roztyje jak matka, ale podziwiała ją pod koniec życia, gdy po śmierci męża i większości rówieśników zajęła się wszystkim, pilnując rodzinnej kasy, bacząc, by zasady przyzwoitości i dobre obyczaje pozostały nienaruszone. Mieszkając tu, w tym domu, Janice nadal wyczuwa ją wokół siebie – niewzruszone, niezmiennie meble Bessie Springer, niezachwiane poczucie własnej wartości. Koernerowska zaciętość, mówiła mama, nabijając się z siebie samej. – Może to pani matka chciała postawić wszystkich w kłopotliwej sytuacji – rzuca Janice. – Bo po co by to wszystko opowiadała, w pani wieku? Napsuć krwi, o to jej chodziło. I czy ktoś to może potwierdzić, choćby jedno słowo? – Ale czuje, że to prawda – woń Harry’ego, blada poświata, niepokojący prąd płynie od tej dziewczyny, trzydziestodzieciuletniego dowodu.

– O nie, nie wymyśliłaby tego, to z niej *wyplłynęło*. Nigdy nie zmyślała, to nie leżało w jej naturze. O powieściach kryminalnych, których czytała mnóstwo, zawsze mawiała: „Jak

oni to wszystko wymyślają? Muszą być stuknięci”. I pokazała mi metrykę ze szpitala w Pottstown. Napisano tam: „Ojciec nieznany”.

– No właśnie, nieznany – sunie jak czołg Janice, niczym adwokat przepychający wątpliwą sprawę.

– Pytała pani, dlaczego – rzecze Annabella. – Chyba spodziewała się – nagle łyzy odbijają światła w jej oczach, pulchna górna warga drży niepowstrzymanie – że możecie mi jakoś pomóc. – Śmieje się z własnych łez, szybko ociera twarz wprawnymi dłońmi, dłońmi, które nawykły dawać – nacierać, obejmować, poklepywać, i podtrzymywać – pielęgniarzką opiekę. – Pewnie uważała, że jestem strasznie samotna. Od lat nie byłam z nikim w poważnym związku. A moi bracia – Scott wyjechał do Seattle, a Morris do Delaware. On był najbardziej wściekły, że mama sprzedała farmę i zamieszkała ze mną w Brewer. Myślał, że mógłby tam osiąść i utrzymywać się z pracy na roli, ale gdyby wszystko jemu zapisała, to by było niesprawiedliwe. Zresztą z samej farmy nie wyżyłby. Nawet mój tata – nawet Frank – musiał zatrudnić się w mieście jako kierowca autobusów szkolnych, żeby związać koniec z końcem.

– Więc chodzi o pieniądze? – pyta Janice, teraz ostrożnie, gdy z tej gmatwaniny zaczyna się coś wykluwać. Do pieniędzy ma smykałkę, jak wszyscy Springerowie. Pracowała jako księgowa u swego ojca, a potem u Nelsona, starając się ze wszystkich sił, póki musiał tak wiele ukrywać. Ronnie ma własne oszczędności i emeryturę, ale ona nadal zarządza spadkiem, pilnuje terminów wypłaty dywidendy, oprocentowania i baczy, by podatki od zysków kapitałowych nie uszczupliły funduszy wzajemnych – niektórzy zarządzający kumulują zyski, by roczne sprawozdania wyglądały możliwie imponująco. Dziewczyna nie dostanie od niej ani centa. Janice pociąga z kubka i spokojnym wzrokiem wpatruje się w nieproszonego gościa.

Annabella zastanawia się chwilę, unosząc oczy do góry.

– Noo, nie. Agencja płaci mi dwadzieścia dolarów za godzinę, a często pracuję po dwanaście godzin. Mama sporo nam zostawiła, nawet jak się to podzieli na trzy. Farma była obciążona hipotecznie na niewielką sumkę, licząc na dzisiejsze pieniądze. A ona przez ostatnie piętnaście lat miała przyzwoitą posadę, w firmie doradztwa inwestycyjnego, w nowym szklanym budynku w środku miasta. Sama się z siebie śmiała, gdy codziennie zakładała rajstopy i szpilki, że kiedyś była takim wiejskim flejtuchem. Schudła do stu pięćdziesięciu pięciu funtów.

– Praca to cudowna rzecz – przyznaje Janice. – Kobiety z naszego pokolenia późno się do niej zabrały. – Nie chce myśleć, że cokolwiek może wiązać ją z Ruth, tak nieprawdopodobnie obmierzłą, przytrzymującą jej męża po drugiej stronie Mt. Judge, Ruth zdradziecką, parszywą ciemną stroną szacowności.

– Nie, nie chodzi o pieniądze – mówi Annabella, która przesuwa się na skraj sofy, by się podnieść, poprawia sweter na ramionach i bierze do ręki torebkę w żółte, czarne i czerwone paski. – Chyba chodziło jej o rodzinę. Ale nieważne, pani Harrison. Widzę, że nie chce się pani w to mieszać i szczerze mówiąc, wcale się pani nie dziwię. To był

pomysł mojej matki, a była już wtedy półprzytomna od leków. Wbrew temu, co nam się wydaje, umierający wcale nie odznaczają się jakąś nadzwyczajną mądrością. Zrobiłam to dla niej, bo mnie prosiła. – Podnosi się, spoglądając z góry na Janice.

– Ależ proszę jeszcze zostać.

– I tak była pani bardzo cierpliwa. Wyobrażam sobie, jaki to musiał być dla pani wstrząs. – Te wprawne, mocne ręce poprawiają coś przy włosach, ich zmyślny bałagan, jakby to ona przeżyła wstrząs.

– Nie można tak po prostu przyjść i opowiedzieć człowiekowi coś podobnego – mówi Janice w swojej obronie.

– Nie wiedziałam, jak to inaczej załatwić. Zdawało mi się, że listownie czy telefonicznie nie wypada. – Przyzwyczajona ruszać się energicznie, paroma krokami podchodzi do drzwi i kładzie rękę na gałce, staroświeckiej, z wypukłym wzorem, wypolerowanym przez lata przez wiele rąk, niczym mosiężna koronka. Żwawym pociągnięciem otwiera ciężko chodzące drzwi, wywołując lekki pogłos, okrzyk, który po chwili zamiera.

Jest coś żalospnego w tym silnym kobiecym ciele, które porusza się prawie jak męskie, jak te zawodniczki, grające w piłkę nożną, które w tym roku zwyciężyły Chiny. Janice nieodmiennie traci swoje córki: Becky, potem Teresę, która zostawiła Nelsona po prawie dwudziestu latach, a dziewiętnastolatka Judy, skryta i opryskliwa, żyje wyłącznie w świecie szepczących słuchawek walkmana, odgradzając się od babki. – Annabelle – zaczyna – przykro mi, że wyszłam na idiotkę...

– Wcale nie. To ja wyszłam na idiotkę. Pani była podejrzliwa, co jest całkiem zrozumiałe. Dzięki za wodę.

– Muszę to przemyśleć, porozmawiać z Ronniem i Nelsonem.

– Z Nelsonem. Owszem. To mój brat. Myślę o nim jako o małym chłopcu. Mama opowiadała mi, że kiedy byli razem, pani mąż ciągle o nim mówił, martwił się o niego.

Teraz dziewczyna jest już na ganku, stoi na wycieracze z włókna kokosowego, za nią poszeptuje niemrawy ruch późnego poranka, zakurzone, przywiedle, podskubane liście klonu rzucają przetykany promieniami słonecznymi cień na nowego, czerwonego lexusa, zaparkowanego przy krawężniku. Kupiony za spadek, przypuszcza Janice. Wścibska młoda sąsiadka z naprzeciwka nareszcie zeszła z ganku.

– W razie czego, jak się z panią skontaktować?

Stopy Annabelli, w niskich, beżowych szpilkach, postukują o deski ganku, po czym zatrzymują się. – Jestem w książce telefonicznej – mówi, odwracając się. – Wymieniona jako „A.”, jedna jedyna pod tą literą. Tylko proszę nie dzwonić po dziewiątej wieczorem. Wstaję o pół do szóstej. – Aha, twardy charakter matki. – Ale nie musi pani wcale dzwonić. – Potem jej promienna, okrągła twarz znowu przybiera dziecinny wyraz, uśmiecha się jak dziecko, niewyraźnie i przeprasząco. – Wcale się nie spodziewam. Miło mi było panią poznać. Myślałam, że jest pani niższa.

– Gdy byłam żoną twojego ojca – odpowiada Janice, której sherry poszła do głowy na tyle, że pozwoliła sobie na żart – wyglądałam na niższą.

Prześlizgnęła się przez resztę dnia, przemierzając chyłkiem wyschlą wrześniową promienność czarnym kabrioletem le baron, o wnętrzu obitym szarym sukmem. To rocznik 1995, ostatni, w którym produkowali ten model. Zastanawia się, dlaczego Chrysler przestał go wytwarzać. Janice uwielbia ten samochód, łatwość, z jaką się go prowadzi i to, jak ona w nim wygląda, w powiewającej chustce na głowie i okularach słonecznych DKNY. Kupno le baron przed pięcioma laty było największym szaleństwem, na jakie sobie pozwoliła, przynajmniej jako wdowa. Teraz nie jest wdową, przecież wyszła za Ronniego. To drugie małżeństwo obojga. W drugim małżeństwie jest jakiś pikantny urok, choć nie może być jak pierwsze, takie uroczyste, gdy oboje z niezmierną powagą składacie przysięgę i co noc możecie być razem, i nikt wam słowa nie powie, i wszyscy rodzice jeszcze żyją i patrzą, czy nie popełniacie błędu. Ona popełniła błąd, straszny, a i inne też, jeśli Charliego uzna się za błąd, i doprawdy mogła tego uniknąć. Wyzwolił ją i przywrócił poczucie własnej wartości. A najdziwniejsze było to, że zachował przyjaźń Harry'ego i nawet matka dobrze o nim mówiła – wiedział, jak trafić do Bessie Springer. Kochany Charlie, zmarł dwa czy trzy lata temu, sam w mieszkaniu w południowo-zachodniej dzielnicy Brewer, w starych blokach, w których mieszkali Polacy i Grecy, zanim wprowadzili się do nich Latynosi; znaleźli go na kanapie z nierozłożoną gazetą na piersi, po prostu zamknął oczy, żeby się zdrzemnąć i odszedł. Charlie już taki był, zawsze powściągliwy, jego biedne, słabe serce, o które zawsze się martwiła, by się nie nadwerężyło, gdy się kochają, nagle, ot, tak sobie, postanowiło się zatrzymać. Podobnie jak śmierć rodziców, śmierć ukochanego człowieka zabiera jeszcze jednego świadka twojego życia. Patrząc wstecz, nie uważa już, że to Harry ponosi winę za kłopoty na początku ich małżeństwa, po prostu on też przymierzał się do życia – próbował żyć, uprawiać seks, płodzić dzieci, odnaleźć własną tożsamość. W drugim małżeństwie wszystko jest łatwiejsze. Po prostu chcecie mieć towarzystwo i trochę frajdy. Nikomu nic do tego. Nelson żartuje z jej kabrioletu, nazywa ją Batmobile, ale ona wie, że przemawia przez niego rozczarowanie, jego małżeństwo zakończyło się fiaskiem, nawet bez porządnego rozwodu. Nelson powiada, że go nie stać, a Teresa, że trzeba poczekać, aż Roy skończy osiemnaście lat. Albo, uważa Janice, póki tam, w Akron, nie zjawi się odpowiedni mężczyzna.

Dziwne, przez tyle lat jeździła toyotami taty, a jednak wróciła do wozów amerykańskich. Ronnie zawsze pozostał im wiemy. Gdy był mężem Thelmy, jeździł burymi, bezpiecznymi samochodami, przystojącymi agentowi ubezpieczeniowemu, skromnymi, ale w sam raz na jego potrzeby, jak premia, którą zgarną bliscy, gdy ciebie zabraknie, jak to się lirycznie mówi; Janice nie pamięta marek, chevrolety czy ford. Sama myśl o tym, że Thelma romansowała z Harrym prawie aż do śmierci, napełnia Janice uczuciem bolesnej pustki. Teraz Ronnie jeździ nowym taurusem, srebrnoszarym jak teflonowa patelnia; zgodnie z modą, obowiązującą w 1999 roku, o przewadze kształtów owalnych – owalne są przednie i tylne światła, wbudowana klamka i tył, gdzie podnosi się bagażnik, ciągły owalny zarys, jak wąż albo wałek ciasta z proszku, przyciśnięty w środku. Samochody miały takie ekstrawaganckie kształty jak samoloty, gdy benzyna była tania, po dwadzieścia pięć centów

za galon.

W południe, na nowym osiedlu na południe od Maiden Springs, pokazuje dom młodej parze, która szukała czegoś mniejszego. Janice musi im uświadomić, że teraz nie buduje się małych domów, ziemia jest zbyt droga, a ludzie mają za dużo pieniędzy. A jednak ta sama para zrobiła przerażone miny, gdy pokazała im bardzo ładny i dobrze utrzymany szeregowy dom w północnej stronie Brewer, z tarasem od frontu, obsadzonym bluszczem i osobnym mieszkaniem na drugim piętrze (schody na zewnątrz), które może im przynieść dodatkowy dochód, póki nie będą potrzebowali większej powierzchni, gdy pojawią się dzieci. – Czy to okolica zróżnicowana etnicznie? – pyta młody człowiek. – Może mieć dwadzieścia parę lat, ale już ma nadwagę, jest pulchny, grymaśny i zapewne łatwo wpada w złość, jak wszystkie tłuściochy, których uciskają ubrania i są zmęczeni tachaniem tej góry mięcha. Teraz tyłu młodych, nawet ta dziewczyna rano wyglądała, jakby nigdy nie wychodziła na słońce. Janice zawsze jest ładnie opalona, to w sobie lubi, no i że nie ma grubych nóg.

Odpowiada mu pogodnie:

– Parę przecznic dalej jest trochę rodzin z mniejszości etnicznych, które pną się w górę, ale zasadniczo zamieszkują tu ludzie o dochodach powyżej średniej, to dzielnica absolutnie bezpieczna dla państwa i dzieci, kiedy się pojawią. W tej okolicy zachowały się sklepiki na rogu i małe zakłady usługowe, teraz mnóstwo ludzi wraca z terenów podmiejskich do miast, by korzystać z jego wygód i atrakcji. Chcą mieszkać w okolicy zróżnicowanej etnicznie, ze względu na dzieci i siebie. Otwierają się tu modne restauracje, w centrum Weiser Street, gdzie domy przez lata były zabite na głucho, pojawiają się butiki. Proszę mi wierzyć, teraz śródmieście to jest to.

– Nie wyobrażam sobie, żebym w ciąży wspinała się po tych schodach – powiada ewentualna nabywczyni, spoglądając na długie, tarasowate zbcze, przez które prowadzą betonowe schody, a barierka z rur, w kolorze zielononiebieskim, na jaki maluje się baseny, harmonizuje z ozdobnymi listwami ganku w kolorze piernika. Gdy te bloki o jednakowych, fabrycznie powielanych schodach, ścianach oporowych, gankach, półkolistych okienkach nad drzwiami i stromych, dwuspadowych dachach, krytych dachówką, przeszły z rąk niemieckich robotników z Pensylwanii do bardziej zróżnicowanych właścicieli, ozdobne listwy, framugi okien i drzwi pomalowano na żywsze, weselsze kolory – zielononiebieski, kanarkowożółty, fioletowoczerwony, lazurowy, jak ciepłe morze, pamiętane z dawnych lat.

Janice ledwo się powstrzymuje, by nie powiedzieć: „Całe pokolenia tak chodziły. Trochę ruchu dobrze ci robi, nadęte dziewczusko”. – Niektórzy ludzie stawiają sobie wiaty dla samochodów za domem – powiada. – Trzeba mieć pozwolenie, ale to da się załatwić. Jeśli nie chcą państwo nawet podejść i obejrzeć, spójrzmy, jakie nowe oferty będą w przyszłym tygodniu. Lokale, które by państwa interesowały, idą jak świeże bułeczki. Aż trudno uwierzyć, jaki jest popyt na nieruchomości w hrabstwie Diamond, zważywszy że ten region przeszedł recesję. By mieć pewność kupna, podajcie cenę powyżej proponowanej. Osiedlają się tutaj emeryci z Filadelfii. Powiadają, że odpowiada im wolniejsze tempo życia, przyjazna atmosfera. – Nie dodaje wszakże, iż Brewer, gdy tu

wzrastała, uważano za miasto pełne zepsucia i zgnilizny, w którym rządzą gangsterzy i skorumpowani policjanci oraz baronowie przemysłu stalowego, węglowego i tekstylnego, pragnący tu zbudować swoje zakłady, miasto, w którym dzieci mogły kupić losy na loterię w trafice, a w zaułkach wokół dworca pełno było tak zwanych domów uciechy.

Z miejsca, w którym stoi, na pnącym się pod górę Locust Boulevard, rozciąga się rozległy widok na gęsto stojące bloki – cegły, asfaltowe dachówki, korony drzew – schodzące do zakola rzeki o milę dalej. Opadającą płaszczyznę przesywa gmach sądu ze szklanym pudłem dobudówki oraz drugie szklane pudło, naprzeciw dawnej siedziby Krolla. Młodości podchodzą jej do gardła na myśl, że znajduje się teraz zaledwie parę ulic powyżej Summer, gdzie została poczęta dziewczyna, która dzisiaj ją odwiedziła – jeśli jej historia jest prawdziwa. Robi jej się niedobrze, lecz czuje też pewne uniesienie, jakby stała na krawędzi kanionu, który widzi tylko ona. Ona żyje, ci, którzy w odległej przeszłości sprowadzili na nią upokorzenie, gryzą ziemię.

Nie wraca do Mt. Judge na obiad, gdzie listonoszka zostawi rachunki i reklamy w holu, a promienie popołudniowego słońca będą igrać w bawialni, wsuwając klin z drobinek złotego kurzu za Zenitha. Nie chce wracać do domu zbrukanego wizytą tej dziewczyny, przez którą przeszłość znowu stanęła jej przed oczyma. Zamawia sobie natomiast kanapkę z tuńczykiem i dietetyczną colę w taniej knajpie, otwartej całą dobę. Przychodzili tu po tańcach w Mt. Judge; zmieniali się właściciele i pokolenia kelnerek, lecz wystrój wnętrza: niskie boksy pod oknami po obu stronach, długa lada, za nią ściana z wyłaczanego aluminium z otworem, przez który kucharze podają zamówione dania, a nawet pojedyncze szafy grające, z repertuarem klasyki popu i country, wyglądają jak dawniej.

Janice obsługuje szczupłą, czarnobrewa dziewczyna o zaskakującej urodzie, tak olśniewającej pośród kelnerek w średnim wieku i pulchnych, krościatych nastolatek, że Janice pieką oczy. Ciemne włosy, ciemne oczy, prosty nos, jędrny, krągły podbródek, miękkie usta. Greczynka, Włoszka, może nawet Ormianka – Janice, która sama ma ciemną karnację, jest czuła na taki powab. Gdy ślicznotka otwiera usta, wylewa się miejscowy, przeciągły akcent – to co ci przynieść, kochana? – a wraz z nim wizja przyszłości dziewczyny: małżeństwo, ciążę, obfite posiłki, zgasły czar. Promienna piękność skurczyła się do jaskrawej iskierki, igielka gniewnego niezadowolenia przepadła pośród ulic, zabudowanych szeregowymi domami o aluminiowych daszkach i małych gankach od frontu, gdzie cierpliwi mieszkańcy siedzą, wchłaniając wieczorny upał i zastanawiając się, gdzie się to wszystko podziało. Telewizja sprzedaje widzom perfumy i szykowne džinsy, z wolna przechodząc do zestawu witamin i kleju do protez, którego zalety zachwalają podstarzałe gwiazdy filmowe. Być pięknym za młodu to błąd, Harry go popełnił, ale Janice Bóg ustrzegł, nadal może się rozwijać, jak mawiała matka, kupując jej z oszczędności ubrania dwa numery za duże. Zostawia kelnerce dolara napiwku, choć kanapka i dietetyczna cola kosztowały mniej niż pięć dolarów, wliczając nawet ćwierć dolara, które włożyła do szafy grającej, by jeszcze przed śmiercią usłyszeć „Crazy” w wykonaniu Patsy Cline. Patsy Cline zginęła młodo w katastrofie samolotowej, tak jak ten biedny młody Kennedy. Ale okazuje

się, że to nie jest wersja Patsy Cline, lecz jakiejś młodej popowej „diwy”, więc ćwierć dolara poszło w błoto.

West Brewer leży po drodze do domu Doris Kaufmann w Penn Park, gdzie ulice stają się kręte i wykwintne, oddalone od pospolitości Brewer. Nazywała się Kaufmann, gdy Janice ją poznała, potem Eberhardt, a gdy parę lat temu Eberhardtowi się zmarło, Doris zdołała usidlić Henry’ego Dietricha, wnuka założyciela fabryki wyrobów pończosznich, którą zamknięto dopiero po wojnie. By do niej dotrzeć, Janice musi jechać Weiser za Emberly Avenue, która doprowadzi ją do Emberly Drive i dalej do Vista Crescent, gdzie mieszkała z Harrym i Nelsonem, póki domu nie spalili rasistowscy sąsiedzi, z powodu tego, co się tam działo. Nie mogła ich winić, Harry, przez swe samolubstwo, dopuszczał do strasznych rzeczy. Zrozumiała, jakim był egoistą dopiero po ślubie z Ronniem, człowiekiem odpowiedzialnym i metodycznym. Jedni działają na łapu-capu, inni mają trochę pomysłu. A teraz objawia się to trzydziestodwuletnie dziewczę, pewne siebie niewiniątko – wykpany tatuś!

Janice lubi brydża ze względów towarzyskich, a przy okazji dowiaduje się, jak idzie handel nieruchomości w Penn Park, ale dziś gra przyprawia ją o lekki ból głowy w tyle czaszki. Najpierw przelicytowuje, potem, dla równowagi, niedolicytowuje, poprzestając na trzech pikach, choć, jak się okazuje, powinny były grać szlemika. Doris, jej partnerka w tej rozgrywce, nie jest zadowolona, choć, pomna na swe dobre maniery, stara się to ukryć. – Z dwunastoma punktami w ręku – mówi, tasując karty ze świstem, wskazującym na długą praktykę – gdy otworzyłam, pokazując, że mam przynajmniej trzynaście punktów, a ty miałaś cztery piki, z czego dwie figury, trzeba było chociaż zalicytować partię.

– Zmyliło mnie to, że zgłosiłaś kara. Miałam tylko dwa.

– Pokazałam ci drugi kolor na wszelki wypadek. Na tym polega sztuka komunikacji – powiada Doris, ciskając potasowaną talię i sięgając po newport z czerwonym filtrem, który zostawiła palący się na popielniczce. Jest jedną z nielicznych znajomych Janice, która jeszcze pali, choć zbliża się do siedemdziesiątki, a może już ją skończyła, lecz tego nikt z niej nie wydobędzie.

Janice broni się: – Myślałam, że to jakaś konwencja, której nie znam. – Jeśli zawiodła Doris w partii, Doris ostatnio zawiodła ją, starzejąc się: zmarszczki nawet na policzkach, pooranych jak u Clinta Eastwooda, powieki opadające na rzęsy, długie, brązowe ręce niczym szpony, chwytające karty. Grube, wysadzone drogimi kamieniami pierścienie Doris, część masy spadkowej po mężach, zsuwają się z kościstych palców, bransolety brzęczą na przegubach. Janice podziwiała jej wiedzę na absolutnie każdy temat, lecz Doris zdradziła ją, zmieniając się w nerwową, półgłuchą, przemądrzałą wiedźmę. Warknęła teraz: – Przecież nie zgłaszałabym dwójki w słabym kolorze po tym, jak otworzyłam z pika.

Dwie pozostałe kobiety przy stole, ustawionym w olbrzymim salonie Dietrichów, niczym maleńka tratwa ratunkowa na morzu, to Amy McNear, po śmierci męża również działająca na rynku nieruchomości, oraz Norma Hammacher, którą Janice, gdy poznają lepiej, zapyta, czy jest spokrewniona z Lindą Hammacher. Linda Hammacher, z którą pracowała u Krolla,

użyczala jej i Harry'emu mieszkania i łóżka w Brewer, z widokiem na zbiorniki paliwa nad rzeką, gdy oboje pracowali u Krolla i zaczęli ze sobą chodzić. Od czasu, gdy była głupiutką licealistką, która wodziła za nim zakochanym wzrokiem na szkolnych korytarzach, poznała nieco życie. W pierwszej klasie liceum swojemu chłopakowi, Jerry'emu Nagle'owi, pozwoliła się obmacywać i ocierać podbrzuszymi w packardzie jego ojca, a w ostatniej klasie Warren Bixler całował ją z języczkiem i przy pomocy jej ręki rozładowywał się po wyjściu z kina, co było obrzydliwe, ale pozwoliło jej zrozumieć, jak to właściwie jest, a potem, gdy skończyła liceum, tata wynajął na miesiąc domek na obozie religijnym metodystów w Rehoboth, Delaware, gdzie przez cały dzień chodziła w kostiumie kąpielowym i opaliła się na czekoladkę, jak Polinezyjka, dzięki czemu poczuła się wolna i swobodna. Tego lata prowadziła się z paczką złotej młodzieży z Waszyngtonu, której było wszystko wolno, gdyż ojcowie przebywali za granicą, w wojsku albo w służbie dyplomatycznej. Przez cały dzień snuli się po deptaku i po Baltimore Avenue, a nocami gnali samochodami do Whiskey Beach, gdzie któryś z du Pontów miał wielki, różowy dom, którego wysokie wieże oczami jak szparki nadal wypatrywały okrętów podwodnych, a studenci, z soku winogronowego i wódki w ocynkowanych kubkach na śmieci sporządzali napitek, który nazywali Purpurowym Jezusem; wtedy po raz pierwszy w życiu wypila coś mocniejszego od piwa. Po paru tygodniach uznała, że nadeszła pora i dopuściła do siebie barczystego chłopaka o wąskim tyłku, tam, na wydmach, na zapiaszczonym kocu, w blasku ognia, oświetlającego poszarpany zarys następnej wydmy. Dostrzegła błysk światła na prezerwatywie, którą zakładał, co było z jego strony przejawem rozsądku i troski o nią, choć bez naturalnej wilgoci bolało bardziej; bolało, ale miała to już za sobą, w sierpniu 1954 roku stała się kobietą, na imię miał Grant, wstyd, że nie pamięta, jak się nazywał, ale musiał wracać z rodziną następnego dnia, albo jeszcze dzień później, a nie pozwoliła mu zrobić tego ze sobą jeszcze raz, zbyt była obolała i przerażona.

– Janice. Ty licytujesz.

– Ja pas – powiedziała, choć spomiędzy rozłożonych kart wyzierały ku niej jakieś asy i króle. Przez pewien czas pisali do siebie z Grantem, ale nie podobał się jej własny charakter pisma, nie miała mu też wiele do powiedzenia, toteż korespondencja się urwała.

Ale nawet wtedy, choć w głowie jej się kręciło od Purpurowego Jezusa i czuła się nieswojo na myśl, że ktoś z siedzących przy ognisku może zająć za wydmy, by się wysiusiać, dobrze jej było tak leżeć na plecach, wspierając świat w postaci ciała tego dyszącego chłopaka, wiedząc, że została tak zbudowana, by go przyjąć, jego bolesne pchnięcia, skowyt, gdy się spuścił. Mężczyźni są niezwykle wzruszający po stosunku, przez chwilę czują ogromną wdzięczność. Miała potem paru chłopaków, gdy pracowała w biurze ojca, zajmującego się handlem używanymi samochodami, gdzie prowadziła rachunki, zanim ojciec otrzymał franszyzę na toyotę i japońskie samochody stały się niezwykle popularne, lecz z dala od nadmorskiego słońca czegoś jej niedostawało, traciła cały, nienadzwyczajny zresztą powab – dlatego w końcu tak polubiła Florydę. Janice szła już dwudziestka, a nic szczególnego się jej nie przydarzało, więc by wyrwać się od

rodziców, przyjęła posadę u Krolla, przy sprzedaży kandyzowanych orzechów, dostała biały fartuch z przytwierdzoną do kieszonki plaketką „Jan”, choć rodzice zawsze nazywali ją pełnym imieniem „Janice”, wymawiając je smakowicie, stanowczo, gdyż była ich jedynym dzieckiem, cennym, chronionym. Okazało się, że u Krolla najbardziej niewdzięczną pracę, przy wysyłce i przyjmowaniu towaru, wykonuje ten piękny chłopak, którego pamiętała z liceum w Mt. Judge, gdzie był gwiazdą drużyny koszykówki, a ona chucherką z najmłodszej klasy, o krótko ostrzyżonych włosach, których nie mogła zatuszować grzywką. Biegał też na 440 metrów i w sztafecie na jedną milę, ale pamiętali go z meczów koszykówki – ci, którzy go w ogóle pamiętali. Wydawał się zagubiony i dziwny, niemal przeproszał, że żyje, po dwóch latach w wojsku i paru posadach bez perspektyw. Myślała o tym przez cały dzień, stojąc za ladą, ale po raz pierwszy wiedziała, z taką pewnością, z jaką zasypia, tak zwyczajnie, jak coś zjada albo wsuwa tampon, że będzie się z nim kochać, że będą się ze sobą pieprzyć, żarliwie i ochoczo, a nie że da się po prostu przelecieć, wbrew rozsądkowi, jak to dotąd bywało. Na ulicy wszyscy będą robić to, co zawsze, a oni pojedą starym nashem Harry’ego po Warren Avenue, zdążając do metalowego łóżka Lindy Hammacher, które trzeszczało i trzęsło się tak strasznie, że wybuchali śmiechem i musieli kończyć na podłodze, ona przyciśnięta plecami do wytartego dywanu, mając kłębki kurzu parę stóp od twarzy, plus jakiś zapomniany kapeć w cielistym kolorze. Harry był kochankiem mniej metodycznym niż Ronnie, nie potrafił utrzymać miarowego rytmu i miał mniejszy rozmiar, choć nie odgrywa to aż takiej roli, jak się wydaje mężczyznom, ale tak podniecał ją jego lśniący tors, pamięć o tym, jak dzielnie sprawiał się na boisku, lśniący od potu, że miała orgazm, bezwstydnie pchając w górę, gdy już głęboko w nią wszedł. Na brudnej podłodze wychodziło im lepiej. Bywa czasem ślamazarna, ale orgazm akurat osiąga szybko. Nawet teraz, gdy ma sześćdziesiąt trzy lata, Ronnie ją za to komplementuje. Uśmiecha się do tego swojego sekretu.

Wszystkie panie pasują. Doris rozgląda się podejrzliwie i mówi:

– Ktoś musi mieć te punkty. Ja miałam tylko trzy, waleta i damę.

Gdy Norma rozdaje karty, Janice, która zebrała się wreszcie na odwagę, zadaje jej pytanie:

– Normo, czy jesteś w jakimś stopniu spokrewniona z Lindą Hammacher? Pracowałyśmy razem u Krolla, kiedyś, w latach pięćdziesiątych.

Norma nieruchomieje, zastyga z kartami w ręce.

– Miałam daleką krewną, Lindę.

– Co się z nią dzieje?

– Nie żyje.

– Ojej! No cóż, zbliżamy się do tego wieku.

– Umarła dawno temu, stosunkowo młodo. Była w tym jakaś tajemnica.

– Jak to? – pyta Janice.

– Coś mówili o AIDS, chociaż w nekrologu pisali tylko o długiej chorobie. Jej rodzina nie chciała o tym mówić. Była rozwódką.

– O Boże – mówi Janice, naprawdę wstrząśnięta tym zatrutym wspomnieniem szczęścia.
– To naprawdę tragiczne – oznajmia Norma. – A niech to. Policzcie karty. Powinnam mieć ostatnią, a nie mam.

Jakby chcąc pocieszyć Janice, która namieszała w głowie rozdającej, podczas następnego rozdania Amy opowiada jej o kolejnych perypetiach z wielką parcelą na wschodzie hrabstwa Diamond, sześć tysięcy akrów, należących niegdyś do Bethlehem Steel, które użytkowało ten teren ze względu na obecność w niej ubogiej rudy żelaza, po czym sprzedało go kanadyjskiemu przedsiębiorcy budowlanemu. Ten, zmęczony niekończącymi się bataliami z miejscowymi farmerami, którzy oprostowywali każdą inicjatywę budowlaną, całkowicie zgodnie z prawem, przekwalifikował ten kawał lasu Williama Penna na miasteczko zamieszkałe przez czterdziestu obywateli posiadających prawo głosu, z których wszyscy prócz trzech są pracownikami przedsiębiorstwa. Już przegłosowali umieszczenie tam centralnie zarządzanego wysypiska śmieci, które będzie przyjmować czterysta ton odpadów z Filadelfii dziennie, dostarczanych autostradą karawanami śmieciarek, a także parku wodnego, w którym znajdzie się basen wielkości boiska do piłki nożnej, toru do raftingu wysokości stu pięćdziesięciu stóp oraz sztucznie oświetlonego pola golfowego par-three.

– Teraz mówią o dziesięciopiętrowym osiedlu dla emerytów i półmilowym torze wyścigowym dla tych miniaturowych samochodzików, na których punkcie szaleją w Maryland – powiada Amy.

– Cóż – rzecze Janice. – W tym jest przyszłość.

Doris niedosłyszany i zrzędlonym tonem mówi:

– Rozmawiacie o wirusie Y2K? Deet twierdzi, że specjalnie to rozdmuchali, żeby napędzić klientów firmom komputerowym.

Odzywa się Norma:

– Dwa piki. To chyba dobra odzywka, skoro mam siekiere w rękę.

Janice widzi po swoich kartach, że nie będzie musiała licytować, bez względu na to, co powie Doris, więc by to po cichu uczcić, zjada kilka orzeszków ziemnych w cukrze z bladezielonej porcelanowej miseczki, którą Doris i Deet przywieźli zeszłej jesieni z wycieczki do Chin. Miseczka stoi na rzeźbionym stole o okrągłym blacie, który również tam kupili – Chińczycy uwielbiają wysyłać towary statkiem, nawet kamienne lwy, ważące tyleż, co głaz, a wysłaliby nawet głaz, w głazach dostrzegają niezwykle piękno, oznajmia Doris. Drugi, identyczny rzeźbiony stół ustawiono w przeciwległym rogu, dla dwu innych brydżystek, znajdując się na nim waterfordzkie szklanki do wody, te miseczki i popielniczka Doris (wdmuchuje im dym w płuca, ale nic nie można powiedzieć, bo jest gospodynią), a ona wspomina, jak Harry lubił pogryzać smakołyki, aż go to zabiło i o takich kobietach jak Doris, fanatycznych kapłankach domowego ogniska, pilnujących, by na wszystko było miejsce i wszystko było na miejscu. Ona nigdy nie zostanie czcicielką mebelków. Nawet jej matka taka nie była, choć lubiła ładne rzeczy, zwłaszcza gdy tato zaczął zarabiać na handlu samochodami. Doris w pewnym sensie terroryzuje gości, wystawiając te wszystkie

kosztowne pamiątki z kosztownych podróży, przysłane statkiem i poukładane w sterty, jak również obwieszając się biżuterią, którą nagromadziła podczas poprzednich małżeństw; sprzątaczkę przychodzi odkurzać to wszystko jak eksponaty w muzeum.

Podczas dwu ostatnich partii Doris częstuje przyjaciółki wermutem w małych kieliszkach o różowo barwionych nóżkach, które przywiozła z Wenecji, a gdy żegna je przy drzwiach i zaprasza na przyszły tydzień, Janice zastanawia się, jak mogła tak sponiewierać w myślach kochaną starą Doris, która tak często gości ją w swoim domu i udzieliła jej tylu dobrych rad podczas owych okropnych lat z Harrym.

Harry, Harry, on stanowił problem, uznaje Janice, i ta dziewczyna, która zjawiła się tak nagle, twierdząc, że jest jego córką; nic dziwnego, że nie mogła skupić się na brydżu, straciła dolara i siedemdziesiąt centów, była bez dwóch na wylicytowanym przez Doris trzy bez atutu, które łatwo by wygrała, gdyby tylko zachowała stopujące karo. Harry potwornie bałaganił, ale nigdy po sobie nie sprzątał, nawet teraz, choć nie żyje od dziesięciu lat, spada to na żyjących.

Brewer przelewa się wokół niej, nikiącej w le baronie, rzeka cegieł i reklam. Liczbę tablic reklamowych dyskutuje się na specjalnych sesjach, wartość nieruchomości idzie w górę, gdy miejscowa społeczność decyduje się skasować część billboardów i zakopać przewody elektryczne. Janice przystaje na światłach, po czym sznur wozów rusza ponownie, strumień obrazów, które zna od lat. Przejeżdża przez most na Weiser Street, na którym żeliwne latarnie rozjaśniają mrok i wisi plakietka, upamiętniająca jakiegoś zmarłego burmistrza, którego nazwiskiem wszakże mostu nie ochrzczono. Jako dziewczynka zawsze zastanawiała się, dlaczego most nie unosi się lukiem w powietrzu, jak Running Horse Bridge pół mili na południe albo nie opada ku Brewer jak Youngquist Boulevard Overpass na północy. W tym miejscu rzeka była najpłytsza. Gdy mieszkali tu jeszcze Indianie, wokół brodu zaczęli osiedlać się biali przybysze. Za jej dziewczęcych lat rzeka miała barwę smoliscie czarną od wydm z osadów węglowego szlamu. Oczyszczono ją wiele lat temu, tak że teraz pływają po niej motorówki, ludzie się kąpią, pojawiły się nawet ryby. Pamięta, jak smutny pan Lister, na kursach handlu nieruchomościami, podczas zajęć z prawa własności i rozwoju tłumaczył im, że dziewiętnastowieczne miasta przemysłowe popełniły gruby błąd, odwracając się tyłem do swych nabrzeży. A następne stulecie, bez wątplenia, popełni własne błędy. Janice jedzie prosto Weiser, obok długiego kompleksu Zakładu Pogrzebowego Schoenbaum z białej cegły, a kiedyś był to pojedynczy budynek ze smutnymi, stożkowatymi, wiecznie zielonymi roślinami na froncie. Ciekawe, ile jeszcze lat ona sama zdoła uchościć ich łapskom, ile lat długowieczne geny Koernerów będą zwycięsko walczyć z mniej żywotnymi genami taty. Po zachodniej stronie Weiser Square nowe, czteropiętrowe centrum handlowe, z oszklonym atrium, gdzie mają odbywać się koncerty i imprezy publiczne, wbrew zapowiedziom planistów, nie przyciągnęło jeszcze sklepów ani restauracji. Po wschodniej stronie budynku wyglądają mniej więcej tak samo jak za czasów jej wczesnej młodości, choć w ciągu tych lat fasady zostały zmienione, szereg pokryto szkłem lustrzanym albo zamalowano od wewnątrz; poznaje szerokie szyby

dawnego sklepu meblowego Schaechnera i zwężający się kształt wejścia do magazynu „Wszystko dla stóp” Arnolda, dokąd matka zabierała ją, by kupić skórzane, wyjściowe czółenka i gdzie stał aparat, w którym, w upiornie zielonym świetle, można było zobaczyć poruszające się kości swoich stóp, potem okazało się, że jest on rakotwórczy. Te budynki, całe dwie przecznice, nad parterem miały okna obramowane dla ozdoby cegłą, z tukami i kunsztownymi okapami na górze, na podobieństwo dawnych zamków. Mija siedzibę największego, głównego rywala Krolla w handlowej części śródmieścia, nazwa piętrowej wysokości: **Fineman’s** wymalowana farbą, widnieje nadal; tu chłodna restauracja w podziemiach przyciągała znużonych klientów, a dział odzieży dla nastolatków na czwartym piętrze wyglądał na nieco bardziej „nowojorski” niż u Krolla, towar był szykowniejszy i bardziej rajcowny – obcisłe swetry z angory w pastelowych kolorach, szerokie paski z błyszczącej, sztucznej skóry, seksowne nylonowe bluzki, wełniane spódnice, sięgające prawie do wysokości skarpet, ciężkie, opinające się na biodrach, skłaniały dziewczyny do poruszania się kołyszącym krokiem, dzięki czemu czuły się bardziej kobieco. „Nowojorski” znaczyło mniej więcej to samo co „żydowski”, lecz nawet matka, mimo swych wszelkich uprzedzeń, musiała przyznać, że krój i tkaniny u Finemana były lepsze i nigdy nie mogła odmówić sobie karmelowych lodów w restauracji w podziemiach. W dziecięcych latach Janice urzekały widoczne z zewnątrz windy i wibrujące rurki do przesyłki pieniędzy i paragonów, grzechoczące na suficie. To wszystko, cały ten upojny luksus smakowitych dóbr przepadł, została tylko blaknąca nazwa na pustym budynku: **Fineman’s**.

Po przeciwnej stronie placu Weiser, nieco w górę za Finemanem, nadal stoją cztery wielkie kolumny Brewer Trust, wchłoniętego teraz przez coś, co nazywa się **MellPenn**, wielki, zielony szyld podświetlony od wewnątrz przesłania dawną nazwę wykutą w granicie. Tym razem mieli z Harrym szczęście, ceny złota i srebra poleciały w dół jakoś w miesiąc później. Nad placem, między ulicą Szóstą i linią kolejową, gdzie niegdyś miały siedzibę śródmiejskie teatry – rząd pałaców, do których można było uciec, z lustrami w długich foyer i papierowymi sopłami lodu, zwisającymi z markiz, nie ma nic – wyasfaltowany parking z jednej strony i wielka dziura w ziemi z drugiej. Na tablicach widnieje co prawda projekt osiedla o zróżnicowanej zabudowie, w którym wybijają się połyskliwe wieże, ale deweloperowi skończyły się cudze pieniądze. Był tam sklep z artykułami dla zwierząt i sklep muzyczny „Nutki na smutki”, który prowadził Ollie Fosnacht. Janice nie może uwierzyć, że tyle zniknęło, a ona trwa nadal i pamięta.

Światłość we wrześniu świeci coraz słabiej. Ulica skrywa się w półcieniach. Nad Mt. Judge wysokie, cienkie chmury rozkładają się jak talia kart. Samochodowy zegar pokazuje dwadzieścia po piątej. Sznur pojazdów, ciągnących na północ, do domu, po Weiser i wzdłuż Cityview Drive, sunie nieprzerwanie, odkąd sklepy i klasa średnia wyniosły się ze śródmieścia. Została tylko biedota, stare białe kobiety i młodzi Latynosi, wydający drobniaki w Rexall’s i McCrary’s, ostatnich tanich sklepach wielobranżowych, jakie się tu ostały. Nelson się nimi zajmuje, tymi pechowcami, w ośrodku terapii dorosłych „Nowy

początek”, parę przecznic od miejsca, w którym Janice się teraz znajduje, po tej stronie dawnej wytwórni pastylek na kaszel. Aż dziw, jaką pogodą napawa go praca wśród tych nieszczęśników. To rodzina wpływa nań przygnębiająco. Janice ma nadzieję, że zdoła opowiedzieć Ronniemu o dziewczynie, zanim Nelson wróci do domu. Za bardzo by się tym przejął.

Sprawozdawca radiowy z niezwykłym podnieceniem opowiada o wielokrotnym zabójstwie w Camden – jakiś mężczyzna zabił żonę, która od niego odeszła i ich troje małych dzieci, najstarsze uciekało przez podwórko za domem, ale przy drucianej siatce dosięgła je kula. I czym tu się tak podniecać? To się zdarza bez przerwy. Osaczony przez policję o milę dalej, mężczyzna strzelił sobie w głowę. Podejrzany był biały, czuje się w obowiązku dodać sprawozdawca tytułem wyjaśnienia, gdyż w tej okolicy, słysząc o przemocy, myśli się przede wszystkim o czarnych. Od miesięcy w telewizji ogląda się masakry, dzieci w szkole w Colorado, mężczyzna, obcinający kobietom głowy w parku Yosemite, a także gracz z Georgii, który na transakcjach internetowych tracił dziennie sto tysięcy dolarów, obwiniając wszystkich prócz siebie. Zostawił długi, nabożny list, prosząc Boga, by zabrał do siebie jego żonę i kochane maleństwa, gdy tymczasem młodociani mordercy z Colorado dla żartów zabili dziewczynę, która powiedziała, że wierzy w Boga. Tak czy tak, zabija się ich, posyłając prosto do nieba albo w nicość, w pustkę, jak ta wielka, pomarańczowa dziura pośrodku Brewer. Człowiek zaczyna się zastanawiać nad wiarą, czy trochę nie wystarczy, bo zbyt wielka wiara czyni z wyznawcy mordercę, wręczającego listy do nieba, jak ten potworny facet, Jones, w południowoamerykańskiej dżungli. Janice nigdy nie twierdziła, że nie wierzy w żadnego Boga, ale też nie robiła z tego wielkiej sprawy, podobnie jak matka, czy na swój dziwaczny sposób Harry. Czuli, że coś tam, gdzieś tam jest, domniemywając to na podstawie własnego, dobrego zdania o sobie. Uniesienie. Wieczność. Żółknące tabliczki nagrobne wzdłuż muru kościoła św. Jana, postać Jezusa na witrażu nad ołtarzem, ręce wyciągnięte w geście uścisku lub rozpacz. Człowiek potrzebuje czegoś. Harry sam żartował z religii, ale nie lubił, gdy czynili to inni, dlatego między nim i Nelsonem dochodziło do niesnasek. Nelson stroił sobie żarciki, żeby wkurzyć Harry’ego. A potem zaczął uszczęśliwiać innych, poświęcając swe życie dla bliźnich, jak to mówią. Kolejny policzek, wymierzony jego rodzicom. Całe późne lato, nawet dwa tygodnie w sierpniu w Pocono z Judy i Royem, którzy przyjechali z Ohio, by odwiedzić ojca, zepsuł Janice wypadek młodego Kennedy’ego, który runął z nieba wraz ze swą nieszczęsną żoną i szwagierką, musieli krzyczeć, strasznie krzyczeć, waląc się w wodę jak w czarny mur. Analitycy twierdzili, że trwało to zaledwie parę sekund, ale cóż to musiały być za sekundy, jak można wierzyć w Boga, który na to pozwala, człowiek wraca myślą do jego ojca, który został zastrzelony tak młodo, a był przywódcą wolnego świata, nawet jeśli rzeczywiście kazał sprowadzać sobie prostytutki do Białego Domu; ona wróciła myślą do dziecka, które utonęło, do Becky, niewinnego maleństwa, ale Bóg mógłby się upierać, że każdy jest niewinny. Ci wszyscy Turcy w wyniku trzęsienia ziemi, dziesiątki tysięcy spało w łóżkach o trzeciej rano. Nawet czekający na wykonanie wyroku w celi

śmierci to głównie schizofrenicy, twierdzi Nelson, a pedofile sami byli molestowani, po prostu przekazują swoje doświadczenia w poszanowaniu ojca i matki.

Wyjechała już z parku, zostawiła miasto za sobą i teraz okrąża górę. Wiadukt ma po prawej, łuki i domy porozrzucane w dolinie u jego stóp rysują się ostro w niskich promieniach popołudniowego światła, widać wyraźnie dachówki i krzewy, a w oddali błękitne wzgórza, których nazwy nigdy się nie dowie. W połowie drogi do Mt. Judge, części centrum handlowego, które właściwie nigdy nie zaczęło działać, a teraz stało się popadającą w ruinę starocią, czteroekranowy multipleks reklamuje BŁĘKITNE OCZY BLAIR WITCH SZÓSTY ZMYŚŁ KRÓLEWSKI ROMANS. Zjeżdża z autostrady 422 i, koło kościoła z piaskowca, należącego do baptystów, skręca do swego miasta, wjeżdża w górę Jackson Street, po czym, minąwszy trzy przecznice, w Joseph.

Sunie bez namysłu pod klonami, które pamięta, jak były jeszcze o połowę niższe, tak małe, że dziecko, podskoczywszy, dosięgało najniższej gałęzi. Wspięła się kiedyś na takie drzewko, na którym było gniazdo szerszeni i nie zdążyła umknąć przed użądleniem. Teraz klony tak się rozrosły, że chodniki na niektórych ulicach wypaczyły się. Pamięta, że Joseph Street kiedyś była bardziej słoneczna – bardziej odkryta nad drutami telefonicznymi i lampami ulicznymi, żółtymi, a nie, jak teraz, zabarwionymi na niebiesko. W domach mieszkało wiele statecznych, starszych osób, a nie te młode rodziny, które bez sensu zawieszają chorągiewki na gankach, jakby codziennie było święto. Z poślizgiem zatrzymuje le barona przy krawężniku, zbyt znużona i zmartwiona tym dniem, by podjechać do garażu w alejce i wejść przez podwórko od tyłu. Ta straszna para, która nie chciała nawet spojrzeć na szeregowy dom przy Locust Boulevard. Snobizm bez pokrycia. Gdyby ciężarne kobiety nie chciały chodzić po schodach, ludzkość już dawno by wyginęła. Janice wysiada i przeciąga się, by rozprostować kości, zeszywniałe od zbyt długiego siedzenia. Duży, otynkowany dom przy Joseph 89 coś stracił, gdy ścięto wielki, czerwonolistny buk. Harry zwykł był mawiać, że przypomina mu rozдутą budkę z lodami. Bez drzewa jest tu goło. Wydaje się, że całe wieki minęły od poranka i pojawienia się dziewczyny. Jakby to był sen – ale nie był. Wchodzi do środka pomiędzy dwiema bocznymi, matowymi szybami – pod drzwiami szeleści stosik dzisiejszej poczty – i wciąga nieruchome powietrze saloniku, powietrze jej życia, pozornie niezmienione.

Biedny Ronnie, jest taki dobry. Zostało mu jeszcze trochę klientów z dawnych lat, którzy nie kupią ubezpieczenia ani nie zasięgną porady inwestycyjnej u nikogo innego, chcąc podwyższyć ochronę ubezpieczeniową w miarę wzrostu wartości majątku albo pożonglować sumką odłożoną na czarną godzinę na ich indywidualnym koncie emerytalnym, by zwiększyć na nim udział akcji, ale zasadniczo, odkąd Schuyllkill Mutual zabrał Ronniemu boks w biurze, telefon i służbowy samochód, niewiele ma do roboty i prawie nigdy się nie skarży. Urządził sobie schludne biuro, wyposażone w komputer, faks i

szafę na dokumenty w tym małym pokoiku od frontu, w którym mama szła, a na jakiś czas wstawili tam pojedyncze łóżko, gdy Nelson zaczął sprowadzać do domu dziewczyny z college'u w Ohio. Mniej więcej przez godzinę Ronnie stuka w klawiaturę, wpatruje się w ekran i gmera w papierach w tej zagraconej kanciapie, sprawdza w internecie ostatnie notowania giełdowe oraz pogodę, po czym wyjeżdża swym kluchowatym srebrnym taurusem, jakby miał coś do załatwienia w interesach jakiegoś klienta. Przez całe lato gra w golfa w Flying Eagle, choć nie tak namiętnie jak Harry – ma na to zbyt trzeźwe podejście, a poza tym boli go kolano. Nadal działa w tym robotniczym kościele, do którego należeli oboje z Thelmą. Prócz tego Ronnie wynajduje sobie mnóstwo zajęć wokół domu, do czego Harry nie miał cierpliwości ani głowy. Ronnie maluje listwy ozdobne na zewnątrz, kładzie na szybach świeży kit, bo stary popękał od słońca, i instaluje nową siatkę w drzwiach werandy. Mimo nadwerężonego kolana, które uszkodził sobie podczas meczu piłki nożnej w liceum, wchodzi na szczyt rozsuniętej na całą długość podwójnej aluminiowej drabiny, której Harry nie chciał nawet podnieść i czyści stare, ocynkowane rynny. Zapowiada, że w następnej kolejności weźmie się za kominy, uzupełni brakujące cegły. Staje się to powodem konfliktu. Gdy Janice mówi, że obawia się, by Ronnie nie spadł i się nie zabił, odpowiada, że dom to jej cały majątek, a do tego był straszliwie zaniedbany, zanim on się pojawił. Jej poprzedniemu mężowi nie chciało się palcem kiwnąć przy posesji, a i synek jest nie lepszy. Czy nie rozumieli, że należy ten dom traktować jak inwestycję? Ronnie urządził w piwnicy warsztat, z którego świst i zgrzytanie narzędzi z napędem elektrycznym przechodzi przez podłogę, a niekiedy wzniesany przezeń kurz pokrywa filizanki i spodeczki w szafkach w kuchni. Gdy zakładał gipsowe ścianki działowe w spiżarni koło kuchni, gipsowy pył przenikał wszystko, osiadł na kredensie w jadalni, na skarbach mamy – ręcznie malowanych, szklanych dzbankach z osiemnastego wieku i prawdziwej białej zastawie z Chester. Kurz przedostał się nawet do lodówki, po czym całe jedzenie smakowało jak pastylki z wapniem, które Janice bierze na osteoporozę. Po ośmiu latach jeszcze nie całkiem przywykła do męża, który jest zdecydowanie tu, na miejscu, a nie wrywa się, myślami wybiegając gdzieś daleko.

Na szczęście, zgodnie z jej życzeniem, wraca do domu wcześniej niż Nelson, by uzgodnili stanowisko, wobec którego Nelson jak nic stanie okoniem. – Wygrałem trzy dolce i zrobiłem tylko dwa hooki. Nie masz pojęcia, jak uderzyłem piłkę na siedemnastce – powiada, wszedłszy przez drzwi od tyłu, by włożyć kije golfowe i strój do specjalnej, schludnej szafki, którą sam zrobił w tym gipsowym pyłe. Teraz mieszkanie pachnie Ronniem, jego potem na główkach kijów, butami bez kolców, nawet kwaśnym odorem wnętrza jego kapeluszy. Każdy kapelusz wisi na własnym kołku, jest też oddzielny kołek na rękawicę, zwisającą jak nietoperz górą do dołu. Podoba jej się schludność Ronniego, lecz z drugiej strony stanowi dla niej wyrzut, podobnie jak czystość matki. Ronnie porusza się niemrawo, jak człowiek cierpiący, kulejąc, wchodzi do kuchni. – Jak ci się dziś grało? – pyta uprzejmie. Może w drugich małżeństwach zawsze panuje pewna sztywność, taktowna rezerwa.

– Cały czas się zastanawiałam, dlaczego właściwie gram – zwierza się Janice. – Strasznie czymś zirytowałam Doris. Nie pamiętam już, o co chodziło. Robi się z niej stara zrzęda. Deet ją rozpuścił.

– Co jest na kolację? Rozmroziłaś coś? – Ronnie nauczył się zadawania stosownych pytań. Thelma była dobrą kucharką i gorliwą gospodynią, z równym zapałem uczyła też w szkole i wychowywała trzech synów. Janice z początku starała się przyrządzać Ronniemu prawdziwe posiłki, ale zawsze coś albo wysychało albo było zbyt surowe, a już próby przyprawiania, choć zawsze ściśle trzymała się przepisu, dawały w efekcie smak dziwny i podejrzany. Gdy okolice Brewer zaczęli zasiedlać ludzie młodzi i dobrze zarabiający, zatrudnieni w tych wszystkich niejasnych branżach niewytwarzających niczego, co można wziąć do ręki, prowadzić albo włożyć do pudełka – w „przemysle informatycznym”, jak go nazywają – jak na drożdżach zaczęły powstawać dobre i niedrogie restauracyjki, do których chętnie się wpadało, nie trzeba było wyprawiać się do śródmieścia, jak to czynili przy większych okazjach rodzice, którzy zazwyczaj zamawiali stół w którymś z dwu dużych śródmiejskich hoteli, Conrad Weiser albo Thad Stevens. A ponadto w supermarketach sprzedawano świetne mrożone potrawy i pojemniki sałatek.

– Prawdę mówiąc, zapomniałam – wyznaje Janice. – Wróciłam dopiero przed pięcioma minutami. Robiłam tyle różnych rzeczy, a dziś rano, co za historia, Ronnie, w drzwiach staje ta dziewczyna...

Ronnie nie słucha, otwiera drzwi lodówki i zagląda do środka. – Zostało trochę sałatki z kurczaka z przedwczoraj, chyba jeszcze da się zjeść. I ten japoński makaron, który Nelson lubi. O, a za tą zwiędłą sałatą stoi pojemnik z sałatką z trzech rodzajów fasoli, który jakoś nam umknął – nie szkodzi, że jest taki zaparowany? Powinno wystarczyć. Podobno im mniej się je, tym lepiej. – Podchodzi do lady, by włączyć telewizor. – Chciałbym tylko posłuchać prognozy pogody. Na jutro zapowiadali deszcz, ale coś mi się wierzyć nie chce. La Niña odchylił strumień powietrza, więc możemy poczuć się jak na Saharze.

– Ronnie, proszę, nie włączaj telewizora. Posłuchaj, to ważna sprawa. Ta dziewczyna – a właściwie kobieta, mniej więcej w wieku Nelsona – zadzwoniła do drzwi – a tak nawiasem, z tym dzwonkiem dalej coś jest nie tak – i powiedziała, że jest córką Harry’ego. Jej matka umarła latem i przed śmiercią o wszystkim jej opowiedziała. Ruth ją na nas napuściła.

Ronnie zaczyna słuchać. Stracił trzydzieści funtów, odkąd Janice go poznała i teraz wydaje się jej sflaczały, skurczony, jak to zawsze z ludźmi, których znaliśmy kilkanaście kilogramów wcześniej. Włosy, lekko kręcone, o barwie mosiądzu, prawie całkiem mu wyszły, nawet nad uszami, które sterczą teraz jak kawały gumowatego, czerwonego mięcha. Blade rzęsy stały się już prawie niewidoczne, przez co powieki wyglądają na różowe od pocierania. Twarz ma pomarszczoną jak suszona śliwka, ale nie tak głęboko pobrużdżoną jak szorstkie oblicze Doris Kaufmann. Choć Harry zawsze uważał, że Ronnie jest prostacki i szpetny, w istocie ma ciekawą, jedwabistą skórę i dotykając go, Janice czuje, jakby muskała dziecięcą buzię, ale, oczywiście, Harry nie mógł tego wiedzieć. A teraz Ronnie

zwraca uwagę na to, co w porannych rewelacjach dla Janice było najmniej istotne. – A więc Ruth Leonard nie żyje – powiada.

Janice przypomina sobie, że Ronnie znał tę Ruth, gdy była z Harrym, w istocie z nią sypiał, o co Harry miał pretensję, ku zdziwieniu Janice, gdyż w owym czasie mnóstwo facetów z nią kręciło. Janice nigdy nie zetknęła się osobiście z Ruth, ale w szkole średniej były takie ździiry, których nazwiska wypisywano na ścianach ubikacji: SUSIE PETROCELLI SSAŁA FIUTA MOJEGO CHŁOPAKA czy CAROLE STICHTER TO GŁUPIA DZIWKĄ. Były to dziewczęta ze zdeprawowanych rodzin, zazwyczaj z ubogiej dzielnicy, niezbyt ładne, grube, klasowe milczki, istniały nawet w czasach Eisenhowera, gdy rzekomo wszyscy byli tacy święci. Nie może uwierzyć, że łajza, którą przeleciał czterdzieści lat temu, jeszcze coś dla niego znaczy, ale sądząc z tego, jak stoi, oszołomiony, przygarbiony w przepoconej, trykotowej koszulce polo i spodniach do golfa w szkocką kratę, najwyraźniej się przejął. – Na tej jej farmie – powiedział – to susza ją zabiła. – Stara się żartem zbyć ten trans, w jaki wpadają mężczyźni, usiłując sobie przypomnieć, jak wchodzili w przestrzeń pewnej kobiety. Ta przestrzeń nie istnieje i nigdy nie wróci.

– Obudź się, kochanie. Ta dziewczyna powiedziała, że matka od lat nie mieszkała na farmie, przeniosła się do Brewer z córką i pracowała w jakiejś szemranej firmie inwestycyjnej, w tym szklanym budynku naprzeciwko dawnego domu towarowego Krolla. A właściwie dlaczego cię to obchodzi?

– Właściwie nie bardzo. To Królik się w niej zadurzył. Dla mnie to była zwykła ździira. A dziewczyna ma jakiś dowód na to, że jest jego dzieckiem?

– Żadnego – tylko jakieś mętne fakty, które jedynie ona może znać, na przykład, że matka okłamała ją co do daty swego ślubu z tym Kupczykiem, żeby wyszło na to, że on jest ojcem, a nie ktoś, z kim była wcześniej. Nie mamy pojęcia, ile podobnych historii się działo, kiedy o aborcję nie było tak łatwo.

– Moim zdaniem, jest za łatwo. Czarni i Latynosi fundują ją sobie jak normalną wizytę u lekarza. Nikogo to nie obchodzi.

– Ronnie, nie o to chodzi! Musimy porozmawiać o tej dziewczynie, zanim wróci Nelson!

Harry zawsze uważał, że Ronnie jest straszliwie ograniczony – nazywał go egzekutorem, wirtuozem upierdliwości – lecz Janice uważa, że jest człowiekiem nie tyle ograniczonym, co zawałdą, który nie odpuści, jeśli wszystko nie idzie dokładnie po jego myśli. Ileż to razy okupował saloniki, odmawiając wyjścia dopóty, dopóki gospodarz nie dostrzegł absolutnej konieczności wykupienia polisy – działa tu jego rażąca siła bezwład. Harry'ego fascynował wielki kutas Ronniego, istotnie pokaźny, płaski na szczycie, tak że można było zagłębić w nim kieliszek wina, ale już za pierwszym razem uderzyła Janice stosunkowo niewielka różnica między jego członkiem w stanie erekcji i spoczynku. A z Harrym to było jak dzień i noc, jak między śpiącym, skulonym jak dziecko i rozbudzonym, z szeroko otwartymi oczyma, wysokim na sześć stóp i gotowym do czynu.

– No dobra – powiada Ronnie swym powolnym, nieustępliwym głosem – Ruth spała wtedy ze wszystkimi dookoła. Skąd wiadomo, że to Waźniak zrobił jej dziecko? Czy

dziewczyna jest do niego podobna?

Stara się być uczciwa.

– Głupio powiedzieć, ale nie bardzo pamiętam, jak wyglądał Harry. Było w niej coś, jakiś, jakby tu powiedzieć, blady poblask i to, że się ciągle wierciła, co mi się mgliście kojarzyło z Harrym.

– Mgliście kojarzyło. Musisz mieć coś więcej, zanim cokolwiek od nas wyciągnie.

– Nie mówiła, że chce coś od nas wyciągnąć. Powiedziała tylko, że przysłała ją matka, bo jest sama jedna na świecie.

– Więc wychodzi na to, że wszyscy jesteśmy sami jedni na świecie – powiada Ronnie. Janice nie wie, o co mu dokładnie chodzi, ale robi jej się przykro. Harry mógł też się tak czuć, ale nigdy by tego Janice nie powiedział. Czasami zastanawia się, czy Ronnie nie ożenił się z nią tylko z tego względu, by zakasować Harry'ego. Jego oczy pod bezzębnymi, różowymi powiekami z zakłopotaniem prześlizgują się obok jej twarzy, na której odbił się przeżyty przed chwilą wstrząs, ku zegarowi w mikrofalówce, martwiąc się o obiad albo rychły powrót Nelsona. – Zobaczysz, że w końcu zejdziesz na pieniądze, jeśli nie skończysz raz na zawsze z tą dzidzią.

– Pracuje jako pielęgniarka, a i matka musiała jej coś zostawić, w końcu miała pieniądze ze sprzedaży farmy.

– No, myślę. Więc na czym w końcu stanęło?

– Mamy się z nią skontaktować. Ona nie będzie nas nagabywać.

– To dobrze. Wygląda mi to na niezły kant.

– Ale ja tu byłam. Czy w dzieciństwie rodzice nie mówili ci, że przybysz w drzwiach może być przebrany aniołem?

– Nie – odpowiada. – Nigdy. Przestrzegali natomiast, że facet w drzwiach pewnie będzie chciał mnie okantować. Jeśli przyznamy, że stary Kurwikrólik był jej ojcem, może wystąpić o setki tysięcy zaległych alimentów.

Janice postępuje krok naprzód, by dotknąć jego ramienia i by on ją dotknął.

– Ronnie, kochanie, dlaczego jesteś taki cięty na Harry'ego? On nie żyje. Nie może nam już zatruć życia.

– Mnie zatruwa życie. Pieprzył się z moją żoną. Dwa razy pieprzył się z moją żoną – dodaje, mając na myśli wówczas Thelmę i teraz ją, co miało być żartem rozładującym atmosferę, więc Janice opiera się o mężczyznę, czując jego spocone od golfa ciało, jego obecność, która daje jej pociechę. Ronnie kładzie na niej rękę, tam gdzie zawsze. Łapie ją za tyłek. Jako młoda dziewczyna nigdy by nie uwierzyła, jakim błogim spokojem napawa kobietę po sześćdziesiątce taka niewinna, rubaszna pieszczota. Waży w dłoniach jej oba pośladki, jakby obejmował coś cennego. Przychodzi jej do głowy, że powinni więcej czasu spędzać ze sobą w łóżku, póki jeszcze żyją. Ale w ich wieku jest tyle do zrobienia, tyle spraw, z których nic nie wynika, różnych drobnych zobowiązań.

Stukot kroków na werandzie od tyłu, oddzielonej siatką. Nelson musiał wstawić samochód, corollę rocznik 94 w kolorach bieli i kości słoniowej, którą kupił za camry

Janice – dała mu ją gdy poślubiła Ronniego i chciała pozbyć się ostatniego ogniwa, łączącego ją z franszyzą toyoty – do garażu, widząc, że le baron matki zaparkowany jest od frontu. Janice i Ronnie, zawstydzeni, odskakują od siebie w kuchni. Nelson widzi, że coś się dzieje, jego ojczym obmacywał matkę. By pokryć zmieszanie, Janice opowiada mu, a Ronnie przerywa, gdy jej obecna wersja różni się od poprzedniej, o porannej wizycie dziwnej dziewczyny... kobiety.

Głęboko osadzone, nieufne oczy Nelsona śmigają od jednej twarzy do drugiej. Słucha uważnie. Słuchaniem zarabia na życie, toteż nie przerywa, sięgając tymczasem po piwo do lodówki. Ma czterdzieści dwa lata. Przytył, lecz nie tak jak Harry w swoim czasie, wspomnienie ojca jest mu przestrogą. Rzedniejące włosy, ciemne, lecz cienkie jak ojca – włosy unosiły się Harry’emu na głowie, gdy wysuszały się od czesania – ma obcięte tak krótko, że kąty czaszki i twarzy rysują się wyraźnie, jak u więźnia. Ubrany jest w mundurek pracownika opieki społecznej – spodnie khaki, białą koszulę i krawat, ale bez marynarki. Marynarka zbytnio podkreślałaby dystans dzielący go od podopiecznych Ośrodka Opieki Diennej dla Dorosłych „Nowy początek” w Elm i Eight Street. Czysta koszula i krawat sygnalizują że on tu rządzi, jako jeden ze strażników bram rządowego programu opieki medycznej dla dorosłych, finansującego ośrodki opieki dziennej, powstałe na miejsce ponurych instytucji, w których przetrzymywano, jak ich wówczas nazywano, „szaleńców”. Jest zatrudniony jako psychoterapeuta z pensją dwudziestu siedmiu tysięcy dolarów rocznie. Jeśli idzie o jego wykształcenie, to uzyskał licencjat z geografii na uniwersytecie stanowym Kent w Ohio, a dziesięć lat później zdobył dyplom psychologa na rocznym (1990-91) kursie w college’u Huberta F. Johnsona, mieszczącym się w nowych budynkach wzdłuż rzeki, w South Brewer, mieszkając, wraz z trojgiem członków rodziny na utrzymaniu, przy Joseph Street 89, dzięki uprzejmości świeżej wdowy. Nadal tu tkwi, a teraz siedzi z matką i ojczymem za okrągłym kuchennym stołem, przy naprędce przygotowanym posiłku i napojach. Nelson pije piwo, Ronnie napój dietetyczny, z troski o wagę i ciśnienie, a Janice sherry w szklance na sok pomarańczowy, którą nalała sobie po powrocie do domu, by splukać kwaśny posmak w ustach, jaki poczuła uświadomiwszy sobie, że jej przyjaciółka Doris jest już do niczego, zmieniła się w zadzierającą nosa, półgłuchą starą jędzę. Jak powiedział Ronnie, jesteśmy sami. Mamy tylko rodzinę, cokolwiek to znaczy.

– Mamo, uważasz, że próbowała cię okantować? – pyta Nelson. Wcześniej Ronnie, kończąc opowieść o tej wizycie, wyraził taką opinię. Nelson zasadniczo unika konfliktów z ojczymem, choć gdy Janice powiedziała synowi, że zamierza poślubić Ronniego, przypinał mu łatki tak samo jak Harry.

– Sama nie wiem – odpowiada. – Chyba mówiła szczerze, ale też wydawała się trochę bezczelna.

– Naciągacze sprawiają wrażenie szczerych – rzekł Ronnie – dlatego im się udaje. Nabierają nawet siebie.

– Ale na co można nas naciągnąć? – pyta Nelson z zawodową łagodnością, do

wszystkiego podchodząc pytająco. – Ledwo wiążemy koniec z końcem, w domu dla nas za dużym, który powinniśmy sprzedać. Ty jesteś emerytowanym pracownikiem szemranej firmy ubezpieczeniowej, a my z mamą mamy główniane posady, za marne pieniądze. – Rzęsy, długie jak na mężczyznę, trzepoczą nad głębokimi oczodołami. Wy strzyżona głowa nadaje mu wygląd komandosa albo mnicha.

Cienka skóra na twarzy Ronniego czerwienieje.

– Jako facet, który wciągnął przez nos przedstawicielstwo wielkiej firmy samochodowej, świetnie znasz się na szemranych interesach.

– Jak już mówiłam Ronniemu, nie wyglądała na biedną. Była dobrze ubrana – wtrąciła Janice.

– A czym jeździ? – zapytał Ronnie.

– Miałam taki zamęt w głowie, że nawet nie spojrzałam. Ale zaraz. – Usiłuje przypomnieć sobie ranek, cienie klonów na ulicy, przejeżdżającą furgonetkę pocztową... – Lexusem – oznajmia. – Nowiutkim, czerwonym jak szminka do ust.

Nelson rzuca Ronniemu triumfujące spojrzenie. – Oczko wyżej od taurusa – powiada. – Matce tłumaczy: – To świetnie, że miała dość charakteru, żeby tu w ogóle przyjechać. A w ogóle przecież nic, co się stało wcześniej, nie było jej winą. Jest podobna do taty?

– Och, Nelsonie, teraz ty o to pytasz. Tak mi się wydaje, ale też doszukiwałam się podobieństw. Wiesz, jak to z tym jest, nie zawsze da się je dokładnie wskazać. Ma okrągłą, bladą twarz i mocne, długie nogi.

– Ale to pasuje do wszystkich, na miły Bóg – powiada Ronnie.

– I oczy – bladoniebieskie, mają lekko opuszczone zewnętrzne kąciaki, jak u Harry’ego.

Oczy Nelsona, brązowe jak jej, rozszerzają się z ciekawością. Matka z radością widzi, że się zainteresował. Pewnie tak wygląda w pracy. Do domu przychodzi wyczerpany, rozdrażniony i milczący. – Powinniśmy ją tu sprowadzić – powiada.

Ronnie jest stanowczy. – To błąd. Daj dziewczynie palec, a nigdy się jej nie pozbędziemy. Czy mamy rujnować sobie życie dlatego, że – stara się mówić możliwie ogólnie – sto lat temu ojciec Nelsona pieprzył tę zdechłą krowę?

– O ile pamiętam, ty też się z nią zadawałeś – wyskakuje Janice, co jej się nie zdarza. Słucha teraz uważnie. – Wtedy też ci się wydawała taką krową?

– Wielkie krówsko rasy Brewer – konstatuje Ronnie, mrugnawszy powieką – które szło z każdym.

– Nie w czasie tych trzech miesięcy – powiada Janice. – Jak pamiętam, Harry się do niej wprowadził. To był taki miodowy miesiąc. Ja w ciąży z biedną Becky, a mój mąż wyjechał na miodowy miesiąc. – Przedstawiając to w ten sposób, wpada we wściekłość, już łzy napłynęłyby jej do oczu. Ronnie, naturalnie, ma rację. Dziewczyna jest obcym intruzem, którego trzeba odegnąć.

– Zabraniam – oświadcza Ronnie, zapominając, jakie mnóstwo sałatki z kurczaka napakował sobie do ust – komukolwiek kontaktować się z tą cipą.

– Ronnie – Nelson niemal nigdy nie zwraca się do ojczyrna po imieniu, a i teraz

wypowiada je cicho. – Ta cipa może być moją siostrą. Tata wspominał coś czasem o jakiejś siostrze. I oto się zjawia, zdając się na naszą łaskę i niełaskę.

– Ale czego ona chce, Nelsonie? – pyta Janice. Czuje się już lepiej, umysł ma jaśniejszy, stwierdzając, że staje po stronie męża.

– Chce pieniędzy – oznajmia Ronnie.

– Ależ – powiada Nelson cienkim głosem, tocząc po nich błędnym wzrokiem. Zaciekle broni swego stanowiska, chwytając tym Janice za serce – chce tego, co wszyscy. Chce miłości.

Ronnie konspiracyjnie zwraca się do Janice.

– Jest tak samo porąbany jak jego stary. Pamiętasz, jak Królik przygarnął tę Czarną Panterę i naćpanego hipisa?

– Z tą miłością chyba trochę przesadziłeś – przyznaje Janice.

– W takim razie sam jej się przyjrzę – grozi Nelson. – A. Kupczyk. Mówisz, że jest tylko taka jedna w książce telefonicznej.

– Nelsonie, posłuchaj mnie – Ronnie stara się wejść w rolę prawdziwego ojca – czeka cię tylko ciężkie rozczarowanie. Od drugiego roku życia jesteś ofiarą Harry’ego Angstroma. Mało ci tego było?

– Ale widzę w naszych stosunkach i pozytywne elementy – upiera się Nelson. – To nie było jedno pasmo cierpień.

– Harry kochał Nelsona – wtrąca Janice. – Bardzo się gryzł, że nie potrafił tego należycie okazać.

– Patrzcie no, jakie czułe serduszka – powiada Ronnie z irytacją, głosem dość silnym i gniewnym, by zakończyć rozmowę. – Znałem Królika dłużej, niż którekolwiek z was. Znałem go jeszcze, jak obaj byliśmy pędrakami w krótkich majtkach i zwijaliśmy drobniaki z lady sklepu z mydłem i powidłem Lennerta. Ten zarozumiały, gruboskórny pajac kochał tylko siebie. Matka rozpuściła go jak dziadowski bicz.

II.

– Halo?

– Słucham? – Nieufny głos. Nic dziwnego, samotne kobiety muszą być ostrożne, świat jest pełen telefonicznych świrów.

– Czy pani Annabella Kupczyk?

– Tak. – Powiedziała to nieco pewniej, usłyszawszy swoje nazwisko.

– Mówi Nelson Angstrom.

– Och! Nelson! Miło, że dzwonisz.

Pauza, powiedziała to z takim entuzjazmem, że spodziewał się jeszcze dalszego ciągu. – Matka opowiedziała mi o twojej wizycie – brnie dalej.

– Naprawdę? Chyba nie bardzo się udała.

– Ależ tak. Spodobałaś się jej. Tylko nie wiedziała, jak się odnaleźć w tej sytuacji. Była zaskoczona.

– Ja też. To znaczy z początku, kiedy mama mi o wszystkim opowiedziała. Przecież to nie takie ważne, w końcu jestem dorosłą kobietą.

– Owszem, to bardzo ważne. – Czuje się pewniej, mogąc wystąpić jako psychoterapeuta.

– A co ty o tym sądzisz? – pyta Annabella.

– Cieszę się – powiada. – Dlaczego nie? Im nas więcej, tym weselej, jak to mówią. Słuchaj, a może umówilibyśmy się na obiad któregoś dnia? Tak, żeby się sobie przyjrzeć. – To chyba jedno zdanie za dużo, ale dlaczego ma ukrywać, że jest jej ciekaw?

Ona się waha. Właściwie dlaczego się waha, skoro to ona wynurzyła się z niebytu.

– Bardzo chętnie.

– Jutro? Pojutrze? Kiedy masz wolne? – pyta. – Pracuję w Eight and Elm, na przecznicy w Elm w kierunku na Weiser otworzyli małą restauracyjkę, nazywa się „Zieleniak”, ale nie zrażaj się, jest całkiem przyzwoita, zupy, kanapki i sałatki, trochę w stylu New Age, ale mają boksy, w których można pogadać.

– Super – mówi Annabella. To go trochę deprymuje. Siostra czy nie siostra, może mieć ptasi mózdzek. W końcu, jakimi genami dysponuje? Niezbyt obiecującymi. – Może być po przyszłym wtorku? Przez ten cały czas pracuję dzień w dzień przy chorym na alzheimera, którego nie mogę zostawić ani na chwilę.

– Świetnie – mówi Nelson. – Więc wtorek szesnastego. Może być pół do pierwszej? Będę czekał na zewnątrz. Jestem średniego wzrostu, teraz krótko ostrzyżony.

– Ja... – zaczęła, po czym zachichotała, nie wiedząc, jak siebie opisać – będę w białych butach na grubej podeszwie.

No i akurat na ten wrześnieowy dzień zapowiedziano przejście huraganu Floyd. Wiatr poczynił straszliwe szkody w Północnej Karolinie, którą nawiedziła też groźna powódź, po czym miał przejść przez Chesapeake do południowo-wschodniej Pensylwanii. Ale meteorologom płaci się za wywoływanie popłochu i choć wichry przez całą noc nie dawał Nelsonowi spać, uderzając we framugi okienne, które Ronnie pomalował zeszłego lata, i siekąc strugami po krytym smołowaną papą dachu, który należało naprawić, jeśli chce się utrzymać wartość domu, ranek nie był taki zły, samochody poruszały się po Joseph Street, zwalniając, by objechać średniej wielkości gałąź klonu, która odłamała się i trzasnęła na jezdnię, gdy Nelson spał. Nie usłyszał hałasu, sen miał mocniejszy, niż mu się wydawało. Gałąź leży na środku asfaltu niczym wielkie zwierzę zabite na szosie, jej blade gałęzie, obrócone spodem na wierzch, już zaczynają więdnąć.

Nelson zastanawia się, czy by nie zadzwonić do Annabelli i nie odwołać spotkania, ale nie chce, by mama i Ronnie dowiedzieli się, że w ogóle ma coś takiego w planach. Dzwoni natomiast do swojej szefowej, Esther Bloom, która mieszka w Brewer, a ona informuje go,

że ośrodek będzie czynny co najmniej do południa.

– Ci ludzie nie mają dokąd pójść, Nelsonie. Taki kataklizm budzi w nich lęk o przetrwanie, który muszą gdzieś rozładować.

Na drodze do miasta widzi policjantów w pomarańczowych kamizelkach, kierujących ruchem, oraz dwa zespoły pracowników drogowych, oświetlających szosę reflektorami i, przy pomocy pił łańcuchowych, oczyszczających ją z powalonych drzew – starej wierzby, która wrosła korzeniami w przydrożny rów obok plajtującego centrum handlowego z czterema salami kinowymi i, po przeciwnej stronie wiaduktu, gdzie 422 wkracza w granice miasta i przechodzi w Cityview Drive, wspaniałej, wielkiej topoli na skraju parku. Na Nelsonie park zawsze sprawiał wrażenie nieco złowieszcze. Małe łobuziaki z miejscowych mniejszości etnicznych rozrabiały tam między drzewami, a ponadto mgliście kojarzył mu się z odejściem ojca, który zamieszkał wówczas nieopodal w mieście, na Summer Street. Człóg z drugiej wojny światowej, stojący obok kortu tenisowego, niedawno usunięto i w to miejsce, w ramach rewitalizacji śródmieścia, postawiono śliczną, biało-zieloną estradę, choć Nelson nie pamięta, by kiedykolwiek odbył się tam jakiś koncert – miejscowa młodzież głównie smaruje tam graffiti i pod jej dachem oprychy szukają schronienia podczas brzydkiej pogody. Z radia leją się informacje o kolejnym psychopacie, który, strzelając na oślep, zabił siedem osób, a potem siebie w jakimś kościele baptystów w Teksasie, o zamachach terrorystycznych w Moskwie, w których zginęły dziesiątki ludzi oraz ciekawa wiadomość, której całkiem nie złapał, o związku kokainizmu z nagromadzeniem się pewnych protein w mózgu – to nie była jego wina, to reakcje chemiczne, zachodzące w mózgu – i kolejna nowinka medyczna, mniej dla niego interesująca, o zbawiennym wpływie gorących kąpielii na cukrzyków. Phillies zwyciężyli Houston osiem do sześciu w dziesięciu rundach, ale i tak nie pojedą na dalsze rozgrywki, jest już wszak połowa września. Gdy sunie przez najbardziej odkrytą aleję parku, wiatr tak mocno targa jego samochodem, że musi zaciskać obie ręce na kierownicy.

W Brewer wokół Eight and Elm zabudowania tłumią nieco wiatr. To starsza dzielnica, mieszcząca budynki zarówno mieszkalne, jak i przemysłowe. Dawna fabryka kapeluszy jest zupełnie opustoszała z wyjątkiem drukarni offsetowej o nazwie SUPERDRUK, mieszczącej się na parterze w narożniku. Ośrodek zajmuje suterенę trzypiętrowej rudery, w której niegdyś znajdowała się szkoła podstawowa, przyjmująca uczniów od zerówki do szóstej klasy. Parking to pas stanowisk wytyczonych ukośnymi liniami z boku budynku, gdzie okoliczni mieszkańcy stawiają swoje zardzewiałe gruchoty w nocy w poprzek, tarasując dwa miejsca, a rano nie chce im się pofatygować, by je przestawić. Okolica jest nędzna, ale niegroźna, podobnie jak większość pacjentów.

Gdy Nelson wysiada ze swej corolli, widzi ciemne siniaki skrawków nieba nad ceglanymi gzymsami, warstwy chmur rwące się na strzępy w podmuchach wiatru, ale deszcz najwyraźniej ustaje, a powietrze rozjaśnia się, jakby miało się oczyścić. Przechodnie na chodnikach, zwłaszcza młode kobiety, spieszące do pracy w szklanej przybudówce do sądu przecnicę dalej, kulą się w bluzkach i sukienkach, nie mając nawet

parasoli i najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, że wokół huczy huragan. Po drugiej stronie ulicy tandetną, dużą pomarańczową tablicę z napisem BIURO SPRZEDAŻY DYSKONTOWEJ przytwierdzono nad drzwiami starego sklepu papierniczego. Nelson nadal pamięta zapach gumek i korektorów, gdyż było to jeszcze zanim w sprzedaży hurtowej powszechnie zaczęto stosować opakowania z plastiku pęcherzykowego. Tablica wydaje drżący dźwięk, gdy bębnią w nią promienne krople deszczu. Dalej w dół Eight staroświecki szyld, na którym złotymi literami wyłobiono: **Tawerna**, huśta się w przód i w tył. Może tu powinien być się umówić – ten lokal wygląda na bardziej fantastyczny, stwarza intymniejszą atmosferę, a do tego podają tu trunki – ale z jakiegoś powodu chciał, by to spotkanie z siostrą przebiegło w atmosferze trzeźwej i czystej – to ma być uroczysta okazja.

Słyszysz w radiu, że gubernator Ridge zastanawia się nad wprowadzeniem stanu wyjątkowego i odsyła wszystkich stanowych i miejscowych pracowników do domu, ale w ośrodku stawili się wszyscy z wyjątkiem Andrei, która prowadzi terapię sztuką i mieszka za Pottstown, prawie przy magistrali kolejowej. Dojeżdża do Brewer, ponieważ fundusze na terapię sztuką są obcinane w całym kraju i straciła posadę w Philly. W oczach zadzierającej nosa, nadętej Andrei, brunetki przyczernionej henną, która na prawie każdym palcu nosi pierścionek własnej produkcji, Brewer to prowincjonalna dziura, o zbyt wielkim procencie świrów religijnych i tępych Holendrów wśród miejscowej populacji.

Ranek jeszcze nie minął, gdy deszcz uderzył w okna sutereny ze wzmożoną siłą, tak gwałtownie, że woda zaczyna ciec ciurkiem po drewnianych parapetach. Przed laty, nim zatrudniono tu Nelsona, wszystko stąd wyniesiono i podzielono przestrzeń na odpowiednie pomieszczenia: małe biura dla personelu, większe pokoje grupowe dla pacjentów, hol, kuchnię, gdzie pacjenci przygotowywali posiłki i jadalnię, w której stało sześć okrągłych stołów, przylegających do kanap oraz wyściełane krzesła ze świetlicy. W świetlicy pacjenci, którzy nie uczestniczą w terapii grupowej ani nie mają konsultacji, mogą czytać, robić na drutach, grać w gry i, na co organizatorzy mają nadzieję, nawiązywać wzajemne kontakty. Gdy mieściło się tu przedszkole, pięciolatki uczyły się zawiązywać sznurowadła i dopasowywać kołeczki do otworów, ale przede wszystkim miały osiąść sztukę nawiązywania kontaktów, współżycia w grupie, siedząc w kręgu, uczyły się wspólnoty, z którą ci nieprzystosowani dorośli nadal mają kłopoty. W ośrodku od dziewiętej do czwartej teoretycznie przebywa trzydzieścioro podopiecznych i ośmioosobowy personel, którym kieruje Esther, doktor psychologii. Nelson odrzucił sugestie dalszego kształcenia się czy robienia specjalizacji, nie chce prowadzić prywatnej praktyki, odmawia też wzięcia na siebie jakichkolwiek obowiązków administracyjnych, skoro już raz nie poradził sobie z prowadzeniem salonu toyoty. Zna swoje ograniczenia.

Powoli schodzą się pacjenci, przemoczeni i rozradowani pokonaniem trudów, którym stawiają czoło na równi ze wszystkimi mieszkańcami Brewer, inni woleli zostać w domu ze swymi urojeniami, niepokojami i telewizorami. Z powodu niskiej frekwencji, grupę Nelsona, trzy razy w tygodniu dyskutującą o Związkach, Katie Shirk włącza do swoich

podopiecznych, z którymi omawia Cele i Priorytety. Ten czas przestoju Nelson wykorzystuje na nadgonienie papierkowej roboty – robi notatki na temat postępów, wypełnia formularze nowo przyjętych – i papierowymi ręcznikami wyciera parapety. Jeśli je zostawi mokre, oblezie farba. Deszcz znowu się wzmógł.

Mimo to zjawia się rodzina DiLorenzo, cała trójka, punkt o jedenastej, nie bacząc na groźbę huraganu. Są pod ścianą. Ich świat rozpadł się z powodu paru niewydolnych neuronów. Poczekalnię wypełnia buchający od nich, potężny odór konsternacji – od siwiejącego patriarchy, o wydatnym brzuszku, ale nadal potężnych rękach i ramionach, matki, której wiejska siermiężność przebija z ciemnego, prostego kostiumu, choć o zamożności świadczą buty i jedwabna apaszka, od syna, szczupłego, przystojnego dwudziestolatka, delikatnego jak kobieta. Ma promienne oczy, falujące włosy, lecz od bezczynności jego twarz staje się nalana i ziemista, a lęk przed własną dziwnością sprawia, że ciemne oczy z niepokoju wychodzą mu na wierzch. Te oczy fascynują Nelsona swym bezradnym pięknem – ciemne, ale nie czarne, bledsze niż gęste brwi, w kolorze piwa albo ciemnej galaretki, jaką pszczoły karmią swoją królową, upstrzone jasnymi plamkami; tłące się w nich życie to krople trucizny. Postanawia najpierw porozmawiać z chłopakiem, prosząc rodziców, by zaczekali.

– No i jak się miewasz, Michaelu? – pyta, gdy drzwi się już zamknęły, a on zasiadł za biurkiem. Biurko jest maleńkie, o blacie ze sztucznymi słojami drewna. Młodzieniec zwiija się w plastikowym, jednoczęściowym, wyłaczanym krześle barwy pomarańczowej, stojącym naprzeciwko. Chce się rozsiaść nonszalancko, by pokazać, że niezbyt się tym wszystkim przejmuje, ale krzesło, przez swój lichy materiał oraz naukowo zaprojektowaną konstrukcję, nie pozwala na zbyt dużą nonszalancję.

– Może być. Tak samo.

– Głosy ucichły?

Michael oblizuje wargi, jakby nagle poczuł, że są suche.

– Tak.

Kłamie, Nelson wie o tym, ale wbija wzrok w teczkę młodzieńca, założoną przed sześcioma miesiącami.

– Zażywasz trilafon regularnie?

– O tak, proszę pana. – Kolejne kłamstwo, Nelson poznaje to po pewnym wahnięciu w młodym głosie, charakterystycznym spłaszczeniu, ale Michael chce w to wierzyć, chce się wyleczyć z choroby, której źródłem jest on sam, gnicie jego najskrytszego ego, wewnętrzny głos, który umościł się, rzekomo bezpiecznie, w jego czasce.

– Odczuwasz jakieś uboczne działanie trilafonu, o którym powinien wiedzieć dr Wu? – Howard Wu jest lekarzem w ośrodku, przyjmuje trzy razy w tygodniu przez pół dnia. O złocistej karnacji, krępy, uwielbiany przez pacjentów za trzeźwy chiński pragmatyzm i duże, wypukłe zęby. Jest ich radosnym Buddą.

Chłopak, przycupnięty na skraju krzesła, sadowi się wygodniej i gwałtownym ruchem wysuwa do przodu. – Czuję się zatkany. Z obu końców. Jakbym bez przerwy miał katar.

Cały dzień chodzę śpiący, a potem nie mogę zasnąć w nocy. Cholernie źle się czuję – powiada i chichocze, jakby chciał wyprzeć się tego uczucia. Jakieś rozszczepienie, rozproszenie w jego młodej twarzy sprawia, że Nelson stara się na nią nie patrzeć.

– Chcesz, żebym zapisał: „Nie słyszy głosów”? Wtedy dr Wu podtrzyma tę samą kurację.

Stanowczy wzrok Nelsona wzbudza w Michaelu popłoch, zaczyna umykać spojrzeniem, trzepocząc rzęsami pod kształtnym łukiem czarnych brwi, wiecznie zmarszczonych, jak to u Włochów i bujniejszych przy grzbiecie nosa. Musiał robić spore wrażenie w Brewer High, nie wspominając o wyprawach w poszukiwaniu miłosnych przygód, co znacznie ułatwiało mu posiadanie kabrioletu, który kupili mu rodzice, dumni, że mogą sobie na to pozwolić. Za wcześnie wspiął się na swój szczyt, w pewnym sensie podobnie jak tato. Nieco brawury, niebezpiecznej, choć manieri ma dobre, nadal kryje się w jego uśmiechu, w przylizanej fryzurze, ujarzmiającej czarne, sprężyste włosy. To dobrze, że przykłada wagę do swego wyglądu. Czy też to matka dziś go uczesała, ze względu na umówioną wizytę i dopilnowała, by się ogolił? – Słyszę jakieś głosy – przyznaje ochryple, po czym uśmiecha się z wyższością, jakby przestrzegając, by nikt nie ważył się robić z tego wielkiego halo.

– Pamiętasz, co mówiły?

Milczenie.

– Co mówiły głosy?

– Jakieś ohydztwa.

Nelson czeka.

– Mówią mi, że jestem kompletnym dupkiem. Żebym się zabił. A może to ja tak myślę, żeby z nimi skończyć. To by mi się opłacało.

– Michaelu – powiada Nelson, na tyle głośno i natarczywie, by spoczęły na nim rozbiegane, mrugające oczy chłopaka. – Jeśli kiedykolwiek przyszłoby ci do głowy, że mógłbyś ulec tym impulsom, wiesz, co masz zrobić?

Długa cisza.

– Nie wiem.

– Musisz skontaktować się z ośrodkiem. O każdej porze.

– No tak, ale, kurczę, nie będę dzwonił do żadnego ośrodka o czwartej rano.

– Automatyczna sekretarka przekazuje numer pogotowiu. Zadzwoń tam. Na wszelki wypadek podaję ci numer. – Wypisuje go na kartce z nadrukiem „Nowy początek” i wydziera ją z notesu. Strugi deszczu z nową siłą uderzają w okno za plecami Nelsona. Oczyma duszy widzi, jak pęknięcia w murach nabierają śmiałości, drżą, wydłużają się, aż do parapetów tej starej szkoły, od wcześniejszych napęcznień obłazi farba. – Czy głosy jeszcze coś mówią? – Szum deszczu niemal całkowicie zagłusza odpowiedź.

– Mówią, żebym zabił rodziców.

Wymamrotał to ochryple, ale w jego głosie dało się słyszeć opór, a z twarzy zniknął pewny siebie uśmiezek młodzieńczej buty. – I jak się z tym czujesz? – pyta Nelson.

Zdumiała go siła uczucia, bijąca ze słów Michaela:

– *Strasznie*. Kocham moich rodziców. Byli dla mnie fantastyczni, dawali mi wszystko,

czego chciałem, nie zmuszali mnie, żebym przejął tę ich pierdoloną firmę pralniczą. – Mówił coraz szybciej, by nadążyć za potokiem myśli. – Posłali mnie na studia, chociaż większość rodziców kazałaby synowi jak najszybciej zająć się interesami. Tata się starzeje i robi się coraz słabszy. Posłali mnie do Penn, najlepszego uniwersytetu w całym stanie. A co ja zrobiłem? Wszystko spieprzyłem.

– Nie, Michaelu, zachorowałeś. Próbujemy cię wyleczyć. Już ci się polepszyło. Ubierasz się, przestałeś być agresywny...

– Mogę być agresywny w domu. – Zaczyna się przechwalać przed kimś zrodzonym w jego wyobraźni, kto siedzi na miejscu Nelsona. – Moja matka to straszna jędba, jak Boga kocham. Ciągłe marudzi, żebym przestał oglądać stare filmy w telewizji, wstał z łóżka, zrobił to czy tamto. A po cholere?

– Żebyś normalnie funkcjonował w sensie psychofizycznym, jak my to nazywamy. Trzeba w to włożyć trochę wysiłku. Spójrzmy na twój grafik. Nie przychodziłeś do ośrodka przez cały tydzień, a w poprzednim byłeś tylko dwa razy. Dlatego poprosiłem twoich rodziców, żeby przyszli z tobą. Oni, dr Birkits i my wszyscy chcemy, byś uczęszczał tu regularnie. – Birkits był psychiatrą, którego DiLorenzo zatrudnili za radą poradni psychologicznej uniwersytetu Penn, gdy ich syn przeżył załamanie. Birkits, jeden z owych zdemoralizowanych terapeutów, którym już się nawet gadać nie chce z pacjentami, by pozbyć się tego uciążliwego psychola, skierował go do „Nowego początku”. Nie mają wielu podopiecznych z normalnych domów, a kto może sobie pozwolić na psychiatrę?

– Jasne, wy wszyscy – rzecze szyderczo Michael.

– Owszem, Michaelu. Chcemy poprawić twoje funkcjonowanie i zapewniamy ci tutaj, w „Nowym początku”, bezpieczne otoczenie, w którym możesz ćwiczyć działanie w grupie, a także poradnictwo. Ale musisz przychodzić.

– Ha. Czy mogę być z panem szczerzy?

– Jasne.

– Nie mogę znieść tych ludzi. Są grubi, dziwaczni, brzydki. Nie lubię takich typów.

– A jakich typów lubisz? – pyta Nelson i robi mu się przykro, bo słyszy wrogość w tym pytaniu, które wyrwało mu się odruchowo.

– Przegranych – odpowiada Michael i śmieje się, wydając dziwne szczerki, które nie pasuje do jego wystraszonej twarzy. – Przegranych, jak ja.

– Nieprawda. Ani ty, ani nikt tutaj nie jest przegrany. Jesteśmy ludźmi, a to nie zawsze łatwe. Inni pacjenci są mili, a wszyscy przychodzą tu po to, żeby sobie nawzajem pomagać. O ciebie też się zatroszczą, jeśli im tylko pozwolisz.

– Palcem by nie kiwnęli, gdyby wiedzieli, co mi chodzi po głowie. – Gwałtownie wysuwa się do przodu z prostego krzesła. Skórę ma trochę lepka, wilgotną przy linii włosów. Oczy pełne jadu patrzą ze wstydem, ale i z podnieceniem, gdyż dzieje się z nim coś dziwnego, coś, co zmienia go nie do poznania. – Głosy szepczą mi na temat dziewczyn na ulicy. Tej i tamtej. Żebym sobie wyobraził, jak sra.

– Jak sra? – Nelson zdradził się ze swym zdumieniem. Może Michaelowi o to chodziło.

Zastanawiał się, jak dalece chłopak widzi w nim wroga. Czy wyczuwa w swym psychoterapeucie jakąś etniczną wrogość, zazdrość szczupłej, zgrabnej sylwetki, zabójczej urody makaroniarza? Gdy Nelson usiłuje sobie uzmysłwić, jak postrzega schizofrenik, dźwięczą mu w uszach słowa Howiego Wu: „Mają zaburzone poczucie odległości”. Rzeczy bliskie wydają się im odległe, tak to ujmuje Nelson – nie potrafią odnaleźć swego miejsca w przestrzeni. System, pozwalający nam dostosowywać się do siebie nawzajem, zawodzi, rozwścieczająco, rozbrajająco. Próbując zrozumieć sposób myślenia Michaela, Nelson ma wrażenie, jakby wbijał się weń tnący nóż, pod żebrami czuje jednostajne, zimne, mdlące drżenie.

– Pokazują mi, jak kuca. Chcę wetrzeć jej to w twarz. Chcę, żeby to zeżarła. Rzuciło panem?

– Nie – kłamie Nelson.

– A mną tak. – Michael znowu opada na krzesło, na ile jest to możliwe na tym wątlwym mebelku. Jego afekt mija, oczy zwężają się, gdy wspomina: – Trzydzieści tysięcy dolców rocznie, ma pan pojęcie, plus ekstrawydatki i własny samochód. Wszędzie chętne cipy. Pierwszorzędni profesorowie. Wszystkie bractwa studenckie wyrwały mnie sobie. A ja to spierdoliłem. Nie dawałem rady. Nie wiedziałem nawet, na jakie zajęcia chodzić. Zasztywałem się w swoim pokoju, spuszczałem rolety, aż kolega, z którym mieszkałem, poskarżył się dziekanowi i nasłali na mnie uczelnianych psychiatrów. Podobno powiedziałem dziekanowi czy komuś takiemu, że jest Babilońską Wszetecznicą. Nigdy o niej nie słyszałem. – Chichocze, badając efekt, jaki wywarł na rozmówcy.

– Michaelu – odzywa się Nelson stanowczym tonem. Teraz chłopak się przechwala, usiłuje go sterroryzować. „Gdy się czujesz nieswojo” – radził mu Howie – „zaufaj intuicji. Idź na żywioł”. – Jeszcze raz podkreślam z całą mocą, że dla ciebie najważniejsze jest regularne przyjmowanie leków. Zrobiłem notatkę dla dr. Wu, żeby ponownie ustalił dawkowanie trilafonu.

– W Penn piłem piwo i tequilę – wyznaje Michael, wstając niepewnie, wyczuwając, że konsultacja skończona, czując ulgę, ale i niezadowolenie, bo nie został uleczony. – Moi rodzice nic nie wiedzieli, ale zalewałem się w trupa. Może przez to mam spieprzony mózg.

– Chyba nie. Piwo nie działa tak silnie na ludzki mózg. Michaelu, to nie jest twoja wina – powiada Nelson, obchodząc biurko tak, że w tym malutkim gabinecie chłopak – wysoki, gdy się podnosi, jego dziecinne usta opadają, twarz połyskuje w świetle deszczowego dnia, błagając, by go zrozumiano – nie ma dokąd pójść, jedyna droga prowadzi do poczekalni, gdzie siedzą rodzice przebierający nogami, by wejść do gabinetu.

– Taki wspaniały chłopak – powiada pan DiLorenzo, gdy przed biurkiem dostawiono drugie krzesło dla jego żony. – Bystry, dobry. Cudowne dziecko. Kiedy się urodził, mieliśmy już trzy córki, a Maria była po czterdziestce. Dla nas to był cud. – Słowa wypowiada starannie, z godnością, jak ktoś, kto pamięta, że kiedyś mówił po angielsku gorzej, będąc dzieckiem emigrantów, prawie w ogóle nie znających języka. Włosy, sczesane do tyłu, siwieją mu, ale gęste brwi nadal ma czarne.

Odzywa się żona:

– Ale nawet jako mały chłopiec zawsze stał trochę z boku. Bawił się z innymi, a potem odchodził i wracał do domu. Pytałam: – Co się stało? – Nic – odpowiadał. Jakby nie wiedział, po co są ludzie. Był spokojny. Nigdy nie miał napadów złości.

– Żonie coś się przestawia – powiada pan DiLorenzo, który siedzi wyprostowany, oczy, powiększone przez grube szkła, są kompletnie zniszczone od wpatrywania się w tkaniny. – Był absolutnie normalnym chłopcem. Przez całą szkołę dostawał najwyższe oceny. Na wręczeniu dyplomów wygłosił mowę o tym, jak powinniśmy pomagać Rosji w budowie demokracji i kapitalizmu. Nigdy nikomu nie sprawiał kłopotów – ani nauczycielom, ani mnie, nikomu.

– Gdyby miał trochę kłopotów, jego życie byłoby normalniejsze – mówi żona. – Czasami zastanawiałam się, czy starsze siostry czegoś w nim nie zabiły. Zawsze świetnie się z córkami rozumiałyśmy, było dużo śmiechu, krzątania w domu, ploteczek. A Michael żył jak mały książę, z boku.

– Niech pan jej nie słucha, panie...

– Angstrom. Niech pan mi mówi Nelson.

– Nie słuchaj jej, Nelsonie. Wszystko z nim było w porządku. Uprawiał sporty, miał dobre stopnie, kandydował do rady studentów. Nie brał narkotyków, nie pił. Służył do mszy do piętnastego roku życia, choć wcale go nie naciskaliśmy. W Ameryce to osobista sprawa. Tak samo powiedziałem mu: – Michaelu, posłuchaj, jeśli nie chcesz prowadzić pralni, wolisz zdobyć jakiś zawód – lekarza, adwokata, czyja wiem, siedzieć za biurkiem, używając szarych komórek – ani ja, ani mama nie mamy nic przeciwko temu. Bylebyś był szczęśliwy. To jest Ameryka. – Ale nie, chciał prowadzić pralnię, uczył się tego latem, po szkole, uwielbiał tę robotę. Ja go absolutnie nie naciskałem.

– Ależ owszem – informuje Nelsona pani DiLorenzo. – Joe chciał mieć w nim następcę i Michael o tym wiedział. Przez to, że nie powiedział mu tego otwarcie, tylko pogorszył sytuację. Dziewczęta powychodziły za mąż i wyprowadziły się. Miały tego dosyć, chemikaliów, pras, siedzenia w zakładzie do siódmej, ósmej. Tylko jedna została w tym samym stanie i też mieszka hen, koło Pittsburgha, w ładnej podmiejskiej dzielnicy, wzdłuż Allegheny. Ich mężowie nie chcą słyszeć o pralni. Wszystko spadło na Michaela, z czego doskonale zdawał sobie sprawę. Nie wytrzymał nerwowo. Mężczyźni nie lubią, jak wytycza się im przyszłe życie. Pragną przygody. Mam rację, panie Nelsonie?

– Plecie – wyjawia pan DiLorenzo. – Nie pragnął przygody. Nie był taki jak te młode łobuziaki, które mają w głowie tylko hip-hop i chcą wystrzelać kolegów z klasy, żeby powiedzieli o nich w wieczornych wiadomościach. Strzelają do rodziców, nie ma dla nich nic świętego. Michael chciał prowadzić rodzinny interes. Nikt na niego nie naciskał. W Penn studiował chemię, żeby być najlepszym z najlepszych, wprowadzać najnowsze rozpuszczalniki, najbardziej przyjazne dla środowiska, jak to się dzisiaj mówi. Usuwanie zużytych środków czyszczących to największa zbrodnia w tej branży, jeden jedyny pozew o spowodowanie raka może człowieka załatwić na amen, nawet jeśli się wybroni. Kocham

Amerykę, ale to nie jest sprawiedliwy system.

– Joe, były naciski. – Nelsonowi pani DiLorenzo wyjaśnia: – Mój mąż tyrał jak wół, by stworzyć firmę. Najpierw wykonywał najgorszą robotę dla tego starego Żyda w South Brewer, w piwnicy, w szeregowym domu, w małej czarnej norze, cały sprzęt miał wciśnięty na zapleczu, w szopie zbudowanej bez pozwolenia, za pięćdziesiąt centów za godzinę, a i tak dobrze, jeśli mu zapłacili – Joego zawsze kantowali. Kiedy Żyd umarł, Joe pożyczył pieniądze, by odkupić firmę od wdowy i nazwał ją „Pranie perfekt”.

– Po włosku brzmi to lepiej, *perfetto* – powiedział pan DiLorenzo, przeciągając zgłoski – ale taka jest Ameryka. Tu wszystko musi być perfekcyjne. Niech pan nie słucho Marii – Jake był dla mnie dobry, nauczył zawodu od podszewki. Najpierw pracowałem przy kadziach, wdychałem czterochlorek węgla, potem przeniósłem się do rozpuszczalników benzynowych, później robiłem prace wykończeniowe, przy prasie parowej, aż wreszcie zająłem się wywabianiem plam – to wymaga kwalifikacji, można zniszczyć jedwabną bluzkę albo elegancki wełniany garnitur. Po jakimś czasie interes tak się rozkręcił, że otworzyłem filię w West Brewer, a potem kolejną w Hamburgu, a dwa lata temu wystawiono na sprzedaż tereny pofabryczne w Hemmigtown. Od dawna chciałem postawić większy zakład, z przechowalnią futer na lato i sprzętem, który wypierze wszystko, nawet stare koronkowe obrusy, które z czasem żółkną i robią się bardzo delikatne, a także wielkie aksamitne zasłony, gromadzące tyle kurzu, że można się udusić, właściciele niektórych rezydencji w Penn Park i wzdłuż Youngquist nigdy...

Nelson uznał, że zyskał już wystarczającą wiedzę na temat pralni chemicznych.

– I liczył pan, że Michael kiedyś przejmie interes.

– Kiedyś, ale nie teraz. Może za dziesięć lat, może za mniej. Mamy domek na Florydzie, tutejsze zimy nie służą Marii...

– Jeśli chcesz pojechać na Florydę i zostawić chłopcu na głowie wszystkie zakłady, pracowników i te całe świadczenia, przynajmniej nie zrzucaj winy na mnie...

DiLorenzo podchwytuje to entuzjastycznie: – Proszę, socjalizm w czystej postaci. Te zasiłki, ubezpieczenia, wyeliminują z rynku wszystkie firmy mniejsze niż Perfekt. Kiedyś pralnia była na co drugiej ulicy. Nie mogę narzekać, dla większych zakładów to tylko lepiej, ale mimo wszystko przykro na to patrzeć. Gdybym teraz zaczynał, bez żadnego kapitału, nie dorobiłbym się tak jak kiedyś.

– Haruje jak wół – oznajmia jego żona – i chce to wszystko zostawić na głowie Michaela. Zamierza pojechać na Florydę, przyglądać się dziewczynom na plaży i opalić się na murzyna.

– Chłopak był chętny i to bez żadnych nacisków z mojej strony.

– Ale czuł się naciskany. Już w ostatniej klasie odpływał we własny świat. Uczył się na czwórki.

Nelson wtrąca się, by przerwać te miłosne gruchania. Kochają się, a ich najdroższym dziecięciem jest Perfekt. – Michael wścieka się na siebie – informuję ich – za to, że zawiódł swoją rodzinę. Ale tłumaczę mu, że to nie jego wina. Ani wasza. Nikt tu nie jest

winien.

– Więc o co chodzi? – pyta wprost pan DiLorenzo o tego niewidocznego intruza, który zniszczył jego syna.

Dobre pytanie. – To – tłumaczy Nelson – zaburzenie systemu nerwowego związane z przepływem dopaminy, kiedy synapsy padają.

– Często się zastanawiałam – wpada mu w słowo matka Michaela. – Kiedy był taki młody, miał trzynaście, czternaście lat, pracował z ojcem latem i wdychał te wszystkie trucizny.

– Mario, zastanów się chwilę – powiada jej mąż, ochrypliły od mówienia. – Spójrz na mnie, wdycham je całe życie.

– To inny rodzaj chemii – wyjaśnia Nelson. – Nie jestem lekarzem, nie bardzo się na tym wyznaję, chemia mózgu jest sprawą bardzo skomplikowaną, bardzo subtelną. Dlatego schizofrenię stwierdzamy dopiero po półrocznym kontakcie z pacjentem i stałej obserwacji objawów. Wiadomo, że ta choroba – zaburzenie – często występuje u młodych mężczyzn tuż po okresie dojrzewania i w okolicach dwudziestki, którzy wcześniej byli zdrowi i funkcjonowali całkiem normalnie. Michael ma właśnie taki profil psychologiczny. Załamanie nerwowe na początku studiów zdarza się dość często. – Spogląda na żółty ołówek, który nadal trzyma w dłoni. Twarze siedzących przed nim rodziców, na górnej linii wzroku, w jakiejś halucynacyjnej wizji wznoszą się niczym balony, które, choć spuszczone z uwięzi, nie ulatują.

– Co możemy zrobić? – pyta ona, cienie niż poprzednio.

– Czy nie ma nadziei? – pyta on głosem grubszym, krzesło pod nim trzeszczy pod nagle zwiększonym brzemieniem, brzemieniem beznadziei.

– Oczywiście, że jest – odpowiada stanowczo Nelson, jakby odczytując z leżącej przed nim karty. – Leki neuroleptyczne naprawdę działają, a przez cały czas powstają nowe. Halucynacje Michaela zmniejszyły się, a jego zachowanie wyraźnie się unormowało. Teraz – w czym mogę pomóc – musi korzystać z możliwości ośrodka, sam pilnować przyjmowania leków, przepisanych codziennych dawek.

– Mówi, że jak je bierze, czuje się nieswój – odzywa się jego matka. – Nie lubi osoby, którą się staje po zażyciu leków.

– Pacjenci często się na to skarżą – przyznaje Nelson. – Ale, bez zrzędzenia i przymuszania, przypominajcie mu, jaki był, gdy ich nie brał. Chce znowu tak się czuć?

– Panie Angstrom, wiem, że nie lubi pan stawiać prognoz – powiada ojciec, mężnie, gotów ubić interes – ale czy te lekarstwa podziałają na niego na tyle, że będzie mógł wrócić do pracy – trzymać się harmonogramu, zaliczać zajęcia?

Kolejne dobre pytanie. Zbyt dobre. – Każdy przypadek jest inny – odpowiada Nelson. – Ale przy silnym wsparciu rodziny i otoczenia pacjenci z poważnymi zaburzeniami psychiatrycznymi powracają do prawie normalnego funkcjonowania.

– Na ile normalnego? – pyta ojciec.

– Na tyle – mówi ostrożnie Nelson – że mogą samodzielnie mieszkać i pracować pod

nadzorem. – Mieć pokój w ośrodku i pakować towar w supermarkecie, działającym w programie zatrudniania niepełnosprawnych. Jak dobrze pójdzie. – Ale proszę pamiętać, że wiele zadań i codziennych czynności, które dla nas są proste i oczywiste, Michaelowi w tym momencie mogą sprawiać trudność. Nie tylko słyszy głosy, ale też widzi i czuje, a nawet dotyka rzeczy, które wkradają się między niego i rzeczywistość. A jednak nie jest to nieświadoma psychoza – wie, że myśli nie tak jak należy i ta wiedza go dręczy.

Siedząca przed nim dwójka ze znużeniem przyswaja jego słowa. Czas konsultacji dobiega końca. Słyszą fale deszczu, uderzające o rozchwierutane okna dawnej podstawówki w szale wściekłości, w świecie, który wypadł z form.

– Serce się kraje – powiada pan DiLorenzo. – Przez te wszystkie lata, gdy chłopak dorastał, myślałem, że dla niego się staram. Dla niego rozbudowuję Perfekt.

– Nie bądź takim sobkiem – mówi żona, raczej przyjaźnie. – Pomyśl o Michaelu. Co się stało z jego życiem? Obsunęło się w szaleństwo.

– Nie, nie – gwałtownie zaprzecza Nelson, nieomal tracąc zawodowe opanowanie. – Nadal jest waszym dzieckiem, które wychowaliście i które kochacie. To ciągle jest wasz Michael. Po prostu zachorował i potrzebuje was bardziej niż inni młodzieńcy potrzebują rodziców.

– Potrzebuje nas – mówi pani DiLorenzo. Jej słowa zawisają w powietrzu. Podnosi się z wysiłkiem, bacząc, by wyszywana czarnymi koralikami torebka nie zsunęła się jej z kolan.

– A my – uzupełnia mąż, który powstaje razem z nią, wypuszczając westchnienie przez nos – potrzebujemy spokoju. I wakacji. A widać, że nie będzie nam to dane. Nigdy. – Niczym meduza, zmieniająca w wodzie swój połyskliwy kształt, na ich twarzach strach o syna przechodzi w strach przed nim, przed ofiarami, które będą musieli ponieść.

Nelson milczy. Rozmowa kosztowała go wiele nerwów, ale to dobrze, że starsi państwo uzmysłowili sobie parę spraw. Schizofrenii nie da się całkiem wyleczyć. Ten film, z Australijczykiem w roli pianisty, który wciąż gra, bo przygarnęła go miła, dobra, kochająca kobieta, to stek sentymentalnych bzdur. Oni nie wchodzą w związki. Nie są w stanie ich utrzymać. Nie potrafią wziąć się do kupy. Aż dziw, że większość ludzi potrafi jako tako wziąć się do kupy, zważywszy, jak niezmiernej koordynacji neuronów wymaga przebrnięcie przez najzwyczajniejszy dzień. Patrząc na swych zaburzonych podopiecznych, uświadamia sobie, jak jest sprawny. Oni nie denerwują go tak jak normalni ludzie. Są określone granice. Trzeba wypełnić formularze, napisać sprawozdania i włożyć je do odpowiednich teczek – zbawienny porządek. Pod koniec dnia każdą kupkę nieszczęścia można zostawić w teczce w szufladzie. Tymczasem w zewnętrznym świecie nie ma ucieczki od odpowiedzialności, nic nie chroni człowieka przed cudzymi potrzebami, cudzym smutkiem. Dezorganizacja zbiera żniwo: rozbite małżeństwo i dwoje dzieci bez ojca w Ohio, dziesiętnastolatka Judy, arogancka, nie chce go znać, czternastoletni Roy usiłuje utrzymać z nim kontakt za pomocą e-maili; Pru nie wiadomo co chodzi po głowie, zerwała z nim na amen, a on nadal mieszka z mamą i Ronniem, jakby sam był niepełnosprawny umysłowo i cierpiał na lęk przestrzeni. Tu, w ośrodku terapeutycznym,

ma do odegrania określoną rolę. Pacjenci go szanują. W tym niskim, schludnym czterdziestodwulatku, w krawacie w paski i czystej, białej koszuli, wyczuwają stłumiony ból, grzechy pokonane, wchłonięte, przywołane do porządku. Gdy ma wolną chwilę, tak jak dziś, po wyjściu DiLorenzów, dołącza do pacjentów w świetlicy, uczestniczy w ich zajęciach.

Główne miejsce zebrań, naćkane wysiedzianymi, tapicerowanymi meblami, stolikami karcianymi na pająkowatych nóżkach i chwiejącymi się lampami, które jednakże świecą, przesycone jest zapachem kawy, pastylek na kaszel, niemytych ciał oraz posiłku – fasoli w sosie pomidorowym z szynką i smażonych kartofli, których wonie dobiegają z kuchni obok. Przy jednym ze stolików karcianych Shirley, chorobliwie otyła pięćdziesięciolatka, cierpiąca na depresję, gra w domino z Glennem, homoseksualistą o skłonnościach samobójczych, lat około trzydziestu pięciu, nadużywającym środków odurzających. Glenn bije w oczy. Nosi sztuczne brylanciki w małżowinach uszu i ponad skrzydełkiem nosa, oczy maluje jaskrawoniebieskim cieniem w kremie i różuje się pod oczami jak gejsza. Mysi ogonek ma zawsze świeżo zapleciony. Nelson wątpi, czy człowieka, który przykłada taką wagę do swego wyglądu, naprawdę trapią samobójcze myśli. Glenn po prostu wie, że najprędzej zyska zainteresowanie opieki społecznej, a co za tym idzie, zasiłki, deklarując chęć popełnienia samobójstwa. To pseudochrześcijańskie towarzystwo na głowie stanie, by podtrzymać w człowieku wolę życia, nie bacząc na to, że żyłuje podatnika. Esther Bloom nie zgadza się. Geje to geje, ale również mężczyźni, powiada. Kobiety flirtują, robią szum emocjonalny. Kiedy mężczyźni naprawdę zamierzają popełnić samobójstwo, dokonują tego, a nie robią wygłupów ze zbyt małymi dawkami barbituranów czy efektownymi, ale płytkimi nacięciami na przegubach. Statystyki wykazują, że najwyższy wskaźnik samobójstw występuje w grupie przedsiębiorców, którym się nie powiodło. Drudzy w kolejności są mężczyźni, którzy już czują się martwi.

Ale Glenn żyje i jest w dobrym humorze. On i Shirley – której ogromne cielsko, bele ciastowatego mięcha, wydziela ze swych niemytych zagieć smród, który wydaje się nie do zniesienia, póki całkiem człowieka nie ogarnie – ciskają czarne kostki, pokryte białymi kropkami, z taką siłą, że trzaski przeszywają świetlicę niczym wystrzały karabinowe. Paru pacjentów otoczyło ich, przyglądając się grze. Nelson też tam stoi, zadziwiony układem kostek. Nawet jeśli kiedyś grał w domino, już tego nie pamięta. Na boisku w Mt. Judge, w krytym pawilonie, było domino i chińczyk, a on grał z Billym Fosnachttem w kulki, w kręgu na ziemi, znaczy się, przez rok czy dwa lata, zanim pozostający w separacji rodzice Billy'ego kupili mu minimotor i skończyła się chłopięca era niewinnie skromnej konsumpcji. Nelson czuje się opuszczony, patrząc, jak Shirley i Glenn chichoczą i nawzajem krzyżują sobie szyki, rozciągając i powstrzymując kropkowanego węża, który wije się kanciasto po metalowym blacie stolika do gry. – Do parku sztywnych, palancie! – krzyczy Shirley, której wesołość udziela się patrzącym, znieruchomiałym beczynnie w kręgu jej cielesnych oparów.

– Sama zaraz zeszywniejesz, skarbie! – powiada Glenn. – I co teraz powiesz? – Ciska

podwójną piątkę ukośnie na koniec węża kostek.

– Co to oznacza? – pyta Nelson. – Jak postawi się poprzecznie podwójną liczbę?

Glenn rzuca mu spod oka pytające spojrzenie, jedną, wysmarowaną błękitnym cieniem powiekę ma półprzymkniętą, od fasetu brylancika w nosie odbija się fluorescencyjne światło górnej lampy. – Nigdy nie grałeś w domino, Nels? – pyta. Mimo gejowskiego makijażu ma szorstki głos, głos ulicznika z Brewer, głębszy, niż można się spodziewać i zadziorny. Jego ton sugeruje, że Nelson ma problemy z rozgraniczeniem roli terapeuty i prywatnego człowieka.

Może i tak. Inni pacjenci przysłuchują się, czujni jak dzieci, niemające nic innego do roboty. Ale nauczono go, by był szczery, bezpośredni i nieustraszony w ramach swej terapeutycznej osobowości.

– Jeśli nawet, to już zapomniałem. A o co w tym chodzi?

– Żeby zabić czas – odpowiada Glenn.

– Ty biedaku – odzywa się do niego Shirley. – Byłeś jedynakiem?

Nelson waha się. Byleby nie przekroczyć granic.

– Miałem siostrę. Umarła w dzieciństwie.

To ich poruszyło, czego się spodziewał. Mają własne problemy, dlatego się tu znaleźli, nie by słuchać o jego kłopotach. – Nauczmy cię, skarbie, jak skończymy – ofiarowuje się Shirley. Na jej olbrzymim obliczu widać ślad, delikatny odcisk, niczym paproci w łośupku, jej twarzy z młodości. Mały, prosty nos i spiczasty podbródek – trójkątny kawałek kości w tłuszczu.

– Każdy głupi się nauczy – powiada Glenn w formie rubasznej zachęty.

Osoby nieprzystosowane obdarzone są między innymi tą ujmującą cechą, że nie chowają uraz. Nie mają żadnego wydumanego poczucia godności własnej, obchodzi ich to, co się zdarzy za chwilę. I gdy Nelson tak siedzi przez dwadzieścia minut, pobierając lekcję gry w domino od kobiecej góry w luźnej, poplamionej sukni i wysłuchując porad praktycznych uróżowanego zbrojczy z trzema szklanymi kolczykami w twarzy – czwarty, mosiężny, zdobi górną krawędź wyskubanych brwi Glenna – czuje, że jego wewnętrzne zasupłania poluzowują się, także węzeł lęku z powodu umówionego spotkania na obiad, kompletnie zwariowanego, z dziewczyną znikąd, która twierdzi, że jest jego siostrą.

Przed ośrodkiem deszcz pada dalej, ale jest już mniejszy, wiatr wiruje nim, rozcieńczając na kształt białego słonecznego światła. Nie ma co rozkładać parasola, wichur wciśnie go wierzchem na zewnątrz. Nelson biegnie więc, zwalniając tylko, gdy czuje, że pod płaszczem deszczowym koszula nasiąka mu potem. Trzyma się blisko ceglanych budynków i fasad wyłożonych kamieniem po południowej stronie Elm Street. Plastikowe szyldy wałęsają i trzęsą mu się nad głową, cynowe skrzynki pocztowe bujają się na jednej śrubie przed frontowymi drzwiami czteropiętrowych kamienic, zmienionych na czynszówki, puste aluminiowe puszkę po napojach chłodzących brzęczą w rynsztoku, liście szeleszczą, pędzone podmuchami wiatru niczym kile po spiętrzonych falach. Wiązy, którymi wysadzono tę ulicę, już dawno pousychały, grusze, którymi miasto je zastąpiło, rozrosły się

tak, że należałoby je powycinać z przewodów elektrycznych. Na chodnikach widać mniej ludzi niż zazwyczaj, ale ci, którzy wyszli, wyglądają na dziwnie beztrojskich. Czarna para w żółtych, błyszczących płaszczach przeciwdeszczowych stoi w drzwiach, obściskując się. Chuda Latynoska w niebieskich džinsach i różowym sweterku z krótkimi rękawami stuka wysokimi koturnami, rozmawiając przez telefon komórkowy. To w końcu jest huragan, czy go nie ma? Ludzie zlekceważyli pogodę. Telewizja rozdmuchała to wydarzenie, chcąc poprawić oglądalność, a widzowie się zbuntowali.

Przebiega obok jednego z nielicznych już zakładów fryzjerskich, w których salon widoczny jest za frontową szybą. Dwóch starszych facetów czekało na swoją kolej, jeden siedział z płachtą pod szyją, wszyscy trzej wyłysiali na ciemieniu, razem z fryzjerem było ich czterech. Tata nie chciał czekać, aż się zestarzeje. Nie miał cierpliwości. Wiatr kreśli owalne pętle w ścianie deszczu. Za chmurami, przepływającymi nad dachami i kominami, ciągną się smugi jak za atramentem w wodzie. Na oko jest mniej niż pięćdziesiąt procent szans, że Annabella przyjdzie w taki okropny dzień. Nelson ma nadzieję, że nie, wybawiłoby go to z opresji.

Ale jest, czeka przed „Zieleniakiem” (Sałatki, Zupy, Kanapki), pod niebieściutkim parasolem, nie w solidnych sportowych pantoflach, jak się umawiali, ale w mokasynach, na które nałożyła przezroczyście, plastikowe buciki do kostki. – Cześć, jestem Nelson – mówi bardziej szorstko, niżby chciał, pewnie dlatego, że zziąjął się od biegu. – Nie powinnaś była czekać na zewnątrz, bo przemokniesz – trajkocze nerwowo, rozpoczynając ich znajomość na nucie oskarżycielskiej.

Ale ona nie zwraca na to uwagi. Jej łagodne oczy, których błękit pogłębia niebieściutka parasolka, obejmują go spojrzeniem, gdy mówi na swą obronę: – Ale na zewnątrz jest ciekawie. Czujesz elektryczność w powietrzu? Jak tu jechałam, usłyszałam przez radio, że oko cyklonu jest nad Wilmington.

– Na pewno zaraz okaże się, że to zwykła tropikalna burza. Naprawdę ciężko ucierpiała Północna Karolina. Pensylwanię prawdziwe kataklizmy omijają.

– To chyba dobrze, co? – mówi Annabella.

Ich głowy znajdują się na tym samym poziomie. On jest niski jak na mężczyznę, ona przewyższa nieco przeciętną kobietę. Nelson zastanawia się, czy przypadkowy przechodzień uznałby ich za rodzeństwo. – Wejźmy do środka – powiada, wciąż jeszcze zadyszany.

Siedzi tam chyba z sześciu klientów, a trzy ostatnie boksy są wolne. W nozdrza uderza pamiętany z dawnych lat zapach szatni – mokrych ubrań i dziecięcych sekretów. Annabella sprawnie zdejmuje biały płaszcz deszczowy, czerwony szalik i wiesza je na kołkach przy nieoznaczonych drzwiach do toalety. Jej samodzielność wzrusza Nelsona – już jest starą panną. Ale gdy energicznie, z promieniejącym wzrokiem siada, przesuwając się do środka stołu, widać, że ciągle ma nadzieję, że nie wypadła z gry, jakakolwiek by ona była.

Kelnerka, zbyt posunięta w latach, ma króciutki, zielony mundurek, wychodzi zza lady i wręcza im karty dań, ślicznie wydrukowane z obrzeżami w liściaste wzorki, ale

wysmarowane i wystrzępione już przez wiele rąk. – Mamy też – powiada – hamburgery i hot dogi.

– Myślałem, że to wbrew waszym zasadom – powiada Nelson.

Kelnerka ma guzowatą, ziemistą cerę, ale tli się w niej iskra humoru.

– Owszem, ale klienci ciągle o nie pytali. Nadal nie podajemy pizzy ani frytek.

– To już coś – powiada Nelson. Przez te osiem lat w zawodzie lakoniczne odpowiedzi weszły mu w krew, ale ta okazja wymaga czegoś więcej – powinien dawać, przewodzić, być dobrodziejem.

– Uwielbiam zdrowe jedzenie – powiada Annabella Kupczyk.

– Zdecydowali się już państwo? – pyta kelnerka. – Czy przyjść za parę minut? – Nelson stołuje się w tej restauracji parę razy w tygodniu, odkąd otwarto ją zeszłej wiosny, lecz kelnerka traktuje go z nowym respektem, ponieważ pojawił się z towarzyszką. Annabella jest trochę okrągła na twarzy i nijaka, w porównaniu ze smukłą Latynoską, ale można się z nią pokazać, mogłaby uchodzić za jego koleżankę z ośrodka, jak Katie Shirk.

– Ja się zdecydowałem – mówi kelnerce. – Poproszę filiżankę tej waszej zupy z brokułów...

– To nie jest krem – przerywa kelnerka. – To czysta zupa, niektórzy goście uważają, że jest wodnista.

– Poproszę tę zupę – upiera się Nelson – a do tego sałatkę ze szpinaku z winegretem malinowym i nie za dużo bekonu.

– Poproszę o to samo – powiada Annabella z nadmierną, zdaniem Nelsona, radością.

Kelnerka zapisuje.

– A bekonu sporo, czy nie?

– Nie – odpowiadają chórem Nelson i Annabella. – Nelson dodaje: – A do picia, z uwagi na fatalną pogodę, filiżankę gorącej herbaty. Nie ziołowej, z kofeiną. Może być lipton, jeśli ją macie.

– Dla mnie też – dodaje jego siostra. Nelson zaczyna dostrzegać minusy jej posiadania.

– Nie masz własnych pomysłów? – pytają.

– Niemal wyłącznie. Gdybyś pozwolił mi zamówić pierwszej, jak powinienesz być, to ty byś mnie naśladował.

– Wybrałbym coś innego. Ich sałatka Cezara z kawałkami ekologicznego kurczaka może być fantastyczna.

– Uwielbiam zdrową żywność.

– Już mówiłaś.

– Trochę się denerwuję. To dziwne, spotkać się wreszcie z własnym bratem i do tego to był twój pomysł.

– Tak, ale to ty wpadłaś na pomysł, żeby odwiedzić moją matkę i śmiertelnie ją wystraszyć. A przy okazji, bardzo mi przykro z powodu twojej matki.

– Dzięki. Ale twoja wcale nie wyglądała na przestraszoną. Raczej wydawała się dość zadziorna. Uważała, że chodziło mi o pieniądze.

– A o cóżby innego? A zresztą, ona wcale tak dużo nie ma. – O dziwo, przy tej osobce czuje się na tyle swobodnie, że zdobywa się na wojowniczy ton, jakby współzawodnictwo przećwiczyli już kiedyś przed laty. – A tak nawiasem, to już kiedyś się spotkaliśmy – powiada. – Jakieś dwadzieścia lat temu, na przyjęciu w mieszkaniu przy Locust Boulevard. Honory domu czyniła para: Jason i Pam, i jakiś pedał, który się tam plątał, Slim. – Nie użyłby słowa „pedał” w pracy – pracuje z wieloma gejami, zarówno pacjentami, jak i opiekunami i czuje się z nimi całkiem normalnie, odkąd przestał się obawiać, że któryś z nich chwyci go za krocze – ale przy tej dziewczynie powraca do dawnego, mniej politycznie poprawnego „ja”. – Przyszedłem z moją żoną. Była w zaawansowanej ciąży, upiła się i spadła ze schodów. – Owo wspomnienie nadal napełnia go wstydem – to on przyłożył Pru tak, że straciła równowagę. Wciąż widzi, jak żona ześlizguje się ze schodów, obitych metalową taśmą na krawędziach, a obraz jej nóg w pomarańczowych rajstopach, szeroko rozchylonych, niczym zaproszenie do seksu na skraju katastrofy, stał się punktem zwrotnym w jego życiu: „Stać mnie na coś lepszego”, pomyślał wówczas.

– Nic takiego nie pamiętam – rzecze Annabella, której nijakość jest niepokojąca i nieco arogancka.

– Ja ciebie pamiętam – powiada Nelson oskarżycielsko. – Pamiętam, że mi się spodobałaś. Podziwiałem twoje ucho. Chodziłaś z jakimś Jamiem i pracowałaś w domu starców za starym placem targowym.

– Sunnyside – mówi Annabella. – Moje ucho? – pyta. Nieśmiało dotyka prawego ucha, którego nie zasłania puszysta, krótka fryzurka. Włosy, lekko wilgotne od wystawania w deszczu, ma brązowe, gęsto przetykane siwizną, z kasztanowymi pasemkami, które wyglądają na naturalne. Znać po niej upływ czasu, choć twarz stara mu się opierać.

– Nie jest przekłute. – Nelson nie dodaje, że przypomina mu jego własne. Spodobały mu się też jej okrągłości, pulchna górna warga i bujne uda, kiedy się podnosi. Może jest trochę przyciężka, ale mężczyźni w tym hrabstwie są do tego przyzwyczajeni. Jakim cudem uniknęła zamążpójścia?

– Matka mi nie pozwoliła – mówi Annabella. – Chyba była przesądna, mówiła, że chce, bym była naturalna, taka, jak się urodziłam. Rany, ciekawe, co by powiedziała o dzisiejszych dziewczynach. Nawet pielęgniarki przekłuwają pępek, sutki, co tylko chcesz. Pytam je, jak mogą przy tym utrzymać higienę, a one odpowiadają, że ich chłopcy to lubią. Takie urozmaicenie pieszczotek. – Rumieni się i spuszcza wzrok.

Pojawia się zupa, kwietna, cienka zupka, którą w „Zieleniaku” gotują z różyczek brokułów, skłębionych kiełków fasoli i płatków orzecha wodnego tak cienkich, że aż przezroczystych. Nelson i Annabella pochylają twarze nad żarem zupy, uświadamiając sobie, że oto uchodzi czas, który mają spędzić razem. – Przykro mi – mówi Annabella – że tak słabo pamiętam to przyjęcie. Może byłam nawalona.

– Nie, to ja byłem nawalony. Nawalony albo na haju, tak się wtedy prowadziłem. Po śmierci ojca zwróciłem się do religii, w pewnym sensie, i uzyskałem dyplom psychoterapeuty. To dziwne, prawda, że oboje pracujemy w opiece społecznej?

– Nie, skoro jesteśmy spokrewnieni – odpowiada Annabella. – Wierzę w genetykę. A opieka medyczna to dziedzina, która coraz bardziej się rozwija, skoro świat pełen jest ludzi, którzy sto lat temu nie przeżyliby. Pod koniec prawie każdy potrzebuje opieki.

– Taak i zastanawiam się, czy to jest warte zachodu. Utrzymujesz przy życiu te wszystkie wraki z alzheimerem, które nawet nie są w stanie ci podziękować, a ja wychodzę z siebie, żeby bandzie depresyjnych świrów wybić z głów samobójcze myśli, chociaż gdyby ze sobą skończyli, rząd oszczędziłby kupę forsy.

Spogląda na niego ze ściągniętymi wargami, póki nie przełknie łyżki zupy, po czym mówi:

– Nelsonie. Wcale tak nie myślisz. Teoretycznie może się tak wydawać, póki nie spojrzysz pacjentowi w twarz. Pracuję w zespołach, które wysyła hospicjum. Nawet pod sam koniec coś tam jest, dusza czy jakkolwiek byś to nazwał, co musisz pokochać.

– Zwłaszcza jeśli ci za tę miłość płacą – odpowiada Nelson, zastanawiając się, czy któryś z płatków orzecha wodnego nie był przypadkiem podgniły. W takich specjalistycznych lokalach obrót nie jest na tyle duży, by mogli podawać zawsze świeże produkty, przeważnie wykorzystują je jeszcze następnego dnia po upływie terminu ważności. Gdy tu weszli, inni goście zaczęli, jeden po drugim, wychodzić, choć mała grupka tkwi jeszcze w środku, czekając, aż przejdzie nagle fala ukośnie zacinającego deszczu. Lampy na suficie płoną, jakby zapadał wieczór, choć nie ma jeszcze pierwszej.

– Opowiedz mi o nim – domaga się Annabella.

– O kim? – Choć wie.

– O naszym ojcu.

Nelson wzrusza ramionami. – O czym tu mówić? Powiedziałbym, że cierpiał na upośledzenie narcystyczne. Miał intuicję, ale brakowało mu empatii. Nigdy nie dorósł. Przyszło mi do głowy, właśnie teraz, kiedy mijałem zakład fryzjerski pełen staruchów, że umarł dlatego, że chciał. Wszyscyśmy go prosili, żeby nie umierał, ale miał nas gdzieś. – Gdy ojciec wyszedł ze szpitala, Pru spała z nim, by wybić mu umieranie z głowy, a w każdym razie tak wmówił sobie Nelson. Nieźle to wygląda, myśli.

– Dlaczego nie chcieliście, żeby umierał, skoro był taki okropny?

– Powiedziałem, że był okropny? Był niefrasobliwy i zapatrzony we własny pępek, ale miał też swoje zalety. Ludzie lubili jego towarzystwo. Był optymistą. Ponieważ nigdy nie dorósł, umiał nawiązać kontakt z dziećmi, nawet ze mną, gdy byłem mały. Im mniejsze dzieci, tym lepsze miał z nimi stosunki. Był lepszym dziadkiem niż ojcem, ponieważ przy wnukach mógł się wygłupiać, nie ponosił żadnej bezpośredniej odpowiedzialności i nie wpędzał ich w przygnębienie. Mnie przy nim bez przerwy męczyły czarne myśli. Miał też niejedno na sumieniu. Uciekł od mamy, by zamieszkać z twoją matką. Wdał się w znajomość z megalomańskim Murzynem i białą masochistką, która uciekła z domu, przez których spłonął nasz dom. Zapałał nagle uczuciem do głupkowatej, młodej żony przyjaciela rodziców, gdy jeszcze regularnie chadzali do klubu sportowego. Potem przez długi czas skrycie romansował z żoną swego najdawniejszego przyjaciela. Mówię,

przyjaciela, ale w istocie zawsze się z Ronniem nienawidzili. Nie można powiedzieć, by była to osobowość konstruktywna.

– Ale nie chciałeś, żeby umarł.

– A co ci mam powiedzieć? Nie miałem innego ojca, do cholery. Co miałem zrobić, życzyć mu śmierci?

Annabella uśmiecha się. Jej talerz z zupą jest pusty.

– Niektórzy uznaliby, że to normalne.

– Chodzi ci o te bzdury z Edypem? Freud jest zabawny do czytania, ale w pracy się nie sprawdza. Nikt już się do niego nie odwołuje. – Ale jej słowa zrobiły na nim nadszpiegowanie silne wrażenie, które stara się ukryć. „To normalne”. Pragnął, by jego ojciec żył, by nadal się nim opiekował, by był dla syna schronieniem, choćby i tak bardzo niepewnym. Na dworze wiatr zawył głośniej, to zwykła tropikalna burza Floyd. Światła na suficie mrugają i gasną.

W tym samym momencie kelnerka przynosi im talerze sałatki. – Oj – mówi. – Dojrzycie, co jecie, gołąbeczki, czy wygrzebać świece?

– Coś niecoś widać – powiada Nelson. W ponurym świetle, migoczącym w rytm porywów targającego gałęziami wiatru, Nelson wychyla się do przodu i cicho tłumaczy siostrze:

– Był wysoki, jakieś osiem cali wyższy ode mnie i trzymał się swobodnie i z wdziękiem, jak atleta. Było mu przykro, że nie jestem do niego bardziej podobny. W szkole średniej był mistrzem koszykówki, kiedy jeszcze biali w to grali.

– Ale to chyba nie jest sposób na życie, co? – pyta Annabella, podnosząc do ust pierwszą porcję sałatki. Zajada z apetytem, żując z zamkniętymi ustami, na których widnieje uśmiech zadowolenia, jej górna warga błyszczący od oliwy.

– Wszyscy mu to powtarzali przez całe życie – powiada Nelson. – Ale sam nie wiem. Przynajmniej to było coś, co zostaje w pamięci. We mnie nie ma nic szczególnego, co mógłbym zapamiętać.

– A twoja rodzina? – pyta Annabella, nim nałożyła sobie następną porcję, bacząc, by kawałki bekonu nie zsunęły się jej ze szpinaku.

– Zostawiła mnie. Moja żona, Pru, ta, co ją widziałas w ciąży na przyjęciu, które całkiem wyleciało ci z pamięci, odeszła ode mnie przed rokiem i zabrała dzieci. Wróciła do Ohio, skąd pochodzi. Do Akron. Poznałem ją na studiach na uniwersytecie stanowym Kent. – Nie mówi, że była sekretarką, starszą od niego, to go wprawia w zażenowanie. – Moja córka, Judy, ma dziewiętnaście lat, w styczniu skończy dwadzieścia i liczy się tylko ze zdaniem bandy swoich chłopaków, a z synem, Royem, utrzymujemy kontakt, wysyłając sobie e-maile. Ma czternaście lat i wie więcej o komputerach niż ja się dowiem w życiu.

– Dlaczego odeszła Pru?

– Nie mam pojęcia. Chyba ją rozczarowałem. Uważa mnie za gnojka.

Annabella kończy przeżuwać, po czym odzywa się z żarem w głosie:

– To nieprawda, Nelsonie. Jesteś czułym, inteligentnym człowiekiem.

– No tak, ale przy tym można też być gnojkiem. Doprowadzam ludzi do rozpacz. Przeważnie chciała, żebyśmy kupili własny dom, ale ja uważałem, że to bez sensu, skoro matka zajmuje taką dużą posesję w Mt. Judge. Nie chciałem zostawiać mamy samej.

– Ale teraz ma męża.

– No tak. Ale nie chciałem jej zostawiać samej z moim dość beznadziejnym ojczymem. Zaraz – wydają ci się normalny, czy rąbnięty? Gdy jestem z moimi czubkami, nie muszę słuchać siebie. Pozwalam im mówić. Rany, ale niektórzy plotą! Każdy uważa, że ich opowiadanie to historia wszechświata.

Wraca kelnerka z kuchni, kładzie na stoliku świecę w ceramicznym pojemniku, po czym zapalają. – To niepotrzebne – powiada Nelson. – Właśnie wychodzimy.

– Ale dlaczego? – Kelnerka wolno podchodzi do drzwi i wygląda przez uchylne okno na wysmagane wiatrem, połyskujące miasto. – Od wschodu ciemno, choć oko wykol – powiada. – Aż za budynek sądu. – Tekturowa tabliczka, wciśnięta za gzyms, ogłasza fluorescencyjnymi literami: ZAMKNIĘTE. Kelnerka obraca tabliczkę napisem ZAMKNIĘTE w stronę ulicy. Para w boksie słyszy przekręcany zamek. – Wsiadła kuchenka i grill – wyjaśnia kelnerka.

Bliżej Nelson słyszy ten drugi kobiecy głos, równie cichy i przejrzysty, jak głos w jego głowie, mówiący: – Opowiedz jeszcze o swoim ojcu, jakim go widziałeś. – Dziewczyna ze wszystkich sił stara się być miła. I może nawet jest. Ale Nelson nie lubi mówić o swoim ojcu. Wrywa mu to z duszy coś nienazwanego i cennego. Gdy próbuje wrócić pamięcią do czasów dorastania, powraca obraz ich obu siedzących z przodu samochodu. Nie mają sobie nic do powiedzenia, ale dobrze im w tej ciszy, wspólne podążanie naprzód sprawia im radość. Ojciec podwozi dokądś Nelsona. Na lekcję gry na pianinie, która kosztuje go sporo nerwów, gdyż w ciągu tygodnia nie poświęca dość czasu na ćwiczenia, co pan Schiffner, który nosi lawendowe koszule i hitlerowski wąsik, nieomylnie wykrywa. Na trening piłki nożnej, gdy jako nastolatek grał w weekendowej lidze i miał nadzieję, że zostanie gwiazdą, niewielką, ale zwinną. Do Billy'ego Fosnacha albo jakiegoś innego kumpla – nie było ich znowu tak wielu – na noc. Tymczasem ojciec, ta szalona głowa, szczęśliwy bujał w obłokach, a jego ręce, blade, z wielkimi przezroczystymi półksiężycami na paznokciach, spoczywały lekko na kierownicy. Właściwie na kierownicy trzymał jedną rękę, a drugą z roztargnieniem głaskał się i poklepywał po tyle głowy, co być może zostało mu z czasów, gdy nastolatkiem nosił przyłizane plerezy, jak Sal Mineo czy James Dean jako buntownicy w starych filmach, które Nelson oglądał na wideo. Jego ojciec też był w pewnym sensie buntownikiem i śmiałkiem nie lada, lecz gdy wiek zaczął poskramiać jego temperament, promieniował szczęściem z powodu najprostszych rzeczy, jakimi obdarza swych mieszkańców Ameryka: radowała go jazda po autostradzie, radio, nadające muzykę, grzejnik, wydzielający ciepło, cieszył się, podwożąc syna dokądkolwiek w tej miejskiej okolicy, w której znał każdy dom, każdą przecznicę. W nocy, w słabo oświetlonej widmowości przedniego fotela, ich cienie zdawały się na zawsze związane węzłem krwi. W dzieciństwie Nelson własną śmierć uważał za całkiem możliwą, skoro świat wokół jest

tak niebezpieczny, ale był pewien, że ojciec nie umrze nigdy.

– W końcu – rzecze Nelson – uznałem go za ofiarę losu, która nigdy nie znalazła swojego miejsca na ziemi i nie skończyła mamie tylko dzięki majątkowi mamy, którego dorobił się jej ojciec. Mama mamy – moja babcia ze strony matki, Springerów – zawsze mi powtarzała, że jestem podobny do Freda, jej męża. Był dość niski, z ikrą i miał głowę do interesów. Ale ojciec nie uważał się za przegranego. Czuł się człowiekiem sukcesu i ja też tak o nim myślałem, póki nie zacząłem dorastać.

– Ja też kochałam mojego ojca – mówi Annabella – to znaczy mężczyznę, którego uważałam za ojca. Potrafił naprawić wszystko – wiesz, jak to na farmie, ciągle coś się psuje, ale nigdy nie mówił, że nie daje rady, tylko wzdychał i brał się do roboty. Miał takie cudowne, pewne siebie, spokojne podejście do ludzi – nawet do mojej matki, kiedy ponosiły ją nerwy. Gdy któryś z moich pacjentów staje się zanadto pobudzony, myślę o ojcu i staram się zachowywać tak, jak on by się zachował.

Wewnętrzne ucho Nelsona wychwytuje, że coś tu jest nie tak, że coś mu się wciska. Ale może ucho ma sterane wysłuchiwaniami przez cały dzień rodzinnych historii, rozplątywaniem najprzeróżniejszych odmian zależności i niechęci, miłości i jej przeciwieństwa, chorobliwie zwróconego do wewnątrz poczucia niemożności zerwania tych bliskich więzów. Jeśli społeczeństwo jest więzieniem, rodziny są celami, a dobre zachowanie nie skraca tu wyroku. W istocie dobre zachowanie może wyrok wręcz wydłużyć.

– Wygląda na to, że był fantastyczny – burczy. – Za każdym razem, kiedy mój ojciec usiłował coś naprawić w domu, ruina była jeszcze większa. – Słyszysz swe słowa i zastanawia się, czy są sprawiedliwe. Przypomina sobie, jak ojciec kopał w ogrodzie, który urządził za domem, postawił nawet płot z drucianej siatki, by osłonić warzywa przed królikami. Pamięta, jak podczas którejś z wypraw samochodowych ojciec błagał go, by się nie żenił, choć Pru była w ciąży i ustalono już datę ślubu – zaskoczył syna, namawiając, by Pru zdecydowała się na aborcję i proponując, że ją spłaci. „Nie chcę, żeby cię złapali. Za wiele masz w sobie ze mnie”.

„Nie jestem tobą! Nikt mnie nie złapał!”

„Nellie, złapali cię. Przyskrzynili, a ty nawet nie pisnąłeś”.

Odrzucił argumenty rodzica, oskarżył staruszka, że przemawia przez niego zazdrość, zaprzeczył swemu podobieństwu do ojca. „Przecież nie musisz żyć tak jak ja, chyba to chciałem ci przekazać”. No i nie żył, fakt, a małżeństwo z Pru okazało się pomyłką, fakt, a teraz Nelson cierpi, bo dostrzegł właśnie, że ojciec, na tyle na ile jego narcyzm pozwalał mu spojrzeć poza własny pępek, próbował pomóc synowi, uchronić go przed katastrofą, którą pociąga za sobą większość decyzji. Usiłował być lepszym ojcem niż Nelson skłonny był przyznać, nawet teraz. – Ale nie był taki zły – mówi z trudem. – Świetnie nam się grało w piłkę za domem. I zabierał mnie na mecze Blasts na stadionie. Raz nawet pojechaliśmy do Philly na mecz Flyerów, kiedy ktoś dał mu bilet.

– Kiedyś go spotkałam, wiesz? W salonie samochodowym. Sprawiał miłe wrażenie.

Naturalnie nie miałam pojęcia, że to mój ojciec, ale zachowywał się wobec mnie po ojcowsku. I był zabawny.

– Co powiedział zabawnego?

– Nelsonie, skąd mogę pamiętać? – I wtedy staje jej to wyraźnie przed oczami. Słoneczny czerwcowy dzień, punkt sprzedaży toyoty przy trasie 111 po drugiej stronie rzeki, jadą z Jamiem przy kierownicy i siedzącym obok niego wysokim, potężnym sprzedawcą o jasnych, cienkich włosach. Siedział w fotelu pasażera, Annabella z tyłu. – W tym okresie brakowało benzyny – mówi. – Powiedział, że wszystkie sklepy z artykułami żelaznymi w Brewer wyprzedają się z lewów wodnych i niebawem będziemy stać w kolejkach po wszystko, nawet po batony. Jakby mu wcale nie zależało, żebyśmy kupili ten samochód.

– Bo nie. Zależało mu tylko na jednej pracy – chciał obsługiwać linotyp, jak jego ojciec. Ale potem linotypy wyszły z użycia.

– To smutne – odzywa się jego córka.

Staje przy nich kelnerka w zielonym fartuszk.

– Mogę zaproponować wam jakiś deser?

– Myślałem, że już zamknęliście – powiada Nelson.

– No tak, owszem, ale kucharz jeszcze został, mówi, że prąd mogą włączyć lada chwila. Na deser mamy tofu, ciasteczka owsiane w miodzie, kozi ser pieczony w kokilkach i niskokaloryczny mrożony jogurt. I od niedawna wprowadziliśmy domowe ciasta, bo goście pytali. Mamy drożdżowe z kruszonką, bezy cytrynowe i szarlotkę. Może został jeszcze kawałek rabarbarowego. Ale nie możemy nic podgrzać, póki nie ma prądu.

Nelsonowi przychodzi do głowy, że jest ona wspólną, jego i Annabelli, matką. To mieszkanka Brewer czystej krwi, o twarzy kwadratowej i asymetrycznej, niczym pięknie wypieczona bułeczka. Dobry humor, z jakim znosi swe udręki – obolałe nogi, zbłąkanych synów, codzienne skargi – promieniuje przez jej mundurek. A choć ta kobieta wydaje mu się stara, zapewne nie jest dużo starsza od nich – musi być po czterdziestce.

– To może szarlotkę – mówi Nelson, nie chcąc, by obiad się skończył. Bo co dalej? To nie jest jak pierwsza randka, na której wiadomo, że druga czy trzecia skończy się w łóżku.

– Szarlotki chyba nie powinnam – oznajmia jego siostra – ale spróbuję owsianych ciasteczek w miodzie.

Kelnerka zniża głos, jakby zdradzała wielką tajemnicę:

– Są trochę suche. Radzę wziąć do nich porcję mrożonego waniliowego jogurtu. Na koszt firmy. I tak się rozmrozi, jeśli nie włączą prądu.

– Ależ pani kusi – powiada Annabella. Jej okrągła twarz promienieje, oczy błyszczą jak u dziecka, spodziewającego się urodzinowych prezentów. Choć od dwudziestu lat mieszka w mieście, zachowała niewinność wiejskiej dziewczynki, co wprawia Nelsona w zakłopotanie, skoro biorą ją za jego dziewczynę. W tym zakłopotaniu wpatruje się w ścianę nad boksami, przedstawiającą zieleń – paprocie, krzewy i zwisające gałęzie w różnych odcieniach leśnej drzewiny. Ale dotąd, gdy w południe przełykał pospiesznie coś przy

barze, nie zauważył na muralu dwojga dzieci, na środkowym planie, odwróconych plecami, chłopca i dziewczynki w staroświeckich niemieckich ubrankach – skórzanych portkach, z włosami zebranymi w mysie ogonki, trzymających się za ręce, zagubionych.

– No i tak – powiada. – Chyba nie dowiedziałaś się ode mnie zbyt wiele o moim... naszym ojcu. Mama ma w domu mnóstwo zdjęć i wycinków – chciałabyś kiedyś wpaść i je obejrzeć? – Chce podarować Annabelli jej ojca, swego ojca, ale gdy wyciąga ręce, osypuje się z nich popiół, zbyt drobny, suchy i martwy, by go zatrzymać. W ciągu zaledwie dziesięciu lat czas obrócił tego efektownego mężczyznę w proch.

– Chyba twoja matka nie chce mnie widzieć w swoim domu – mówi Annabella.

– Ależ oczywiście, że chce – rzecze Nelson, wiedząc, że matka tego nie chce. – To jest również mój dom – dodał, wiedząc, że jeszcze nie jest.

– Chyba któreś z was prosiło o zieloną herbatę – mówi kelnerka, stawiając dwa zimne desery i dwie parujące filiżanki. – Woda jeszcze trzyma ciepło, a herbata podobno jest zdrowa. Japończycy żyją najdłużej. W zeszłą niedzielę w „Sixty minutes” pokazywali bliźniaczki, obie ponadstuletnie. Traktują je jak gwiazdy rocka.

– Zielona herbata jest świetna – powiada Nelson, by ta kobieta o macierzyńskim podejściu zostawiła ich w spokoju. Gdy rodzeństwo zostaje sam na sam, Nelson powiada do siostry: – Wspaniale, że się spotkaliśmy. Szkoda, że ojciec cię nie poznał. Strasznie żałował, że nie ma córki.

– To się rzadko zdarza. Czy wszyscy mężczyźni w jego wieku nie są szowinistami?

– Nie przepadał za męskim towarzystwem, również za moim. W mężczyznach widział konkurentów. Wobec kobiet. Był przerażony swymi homoerotycznymi ciągotami. Tłumił je. Tak naprawdę jego jedynym przyjacielem był... chcesz o tym słuchać?

– O tak.

– ...pewien sprzedawca samochodów, który przez jakiś czas sypiał z moją matką. Panowie spędzali ze sobą miłe chwile i jakoś to wszystko szło. Charlie, tak było na imię temu facetowi, umarł parę lat temu. Też miał felerne serduszko, ale w przeciwieństwie do taty, zaliczył cały komplet: potrójny by-pass, świńskie zastawki, Bóg wie co jeszcze... Przez jakiś czas to działało, ale nie mogło iść wiecznie, co sama wiesz, jako pielęgniarka. Matka utrzymywała z nim kontakt nawet po ślubie z Ronem. W tym pokoleniu, gdy ktoś raz z kimś – odrzuca automatycznie narzucający się czasownik – gdy ktoś raz z kimś poszedł do łóżka, czuł się z nim związany na zawsze. – Sporo zбочzył z głównego wątku. Wykładowcy na kursie dla psychoterapeutów w college’u w Johnson słusznie twierdzili, że jeśli pozwolisz człowiekowi się wygadać, wszystko wyjdzie na jaw, najskrytsze tajemnice. – A więc tata i Charlie są tam hen, w niebie – kończy z ironią – patrząc, jak się spiknęliśmy.

– Ciekawe, kiedy znowu się spikniemy – powiada Annabella, bez śladu ironii. Annabella wali prosto z mostu, co ma do powiedzenia, to jedna ze stron jej niewinności. Jak dalece niewinna może być trzydziestodwuletnia kobieta w 1999 roku?

– Niedługo – obiecuje. Zastanawia się, jakie też brzemienie na siebie bierze. – Chcę coś zorganizować. Powinnaś poznać też innych ludzi oprócz mnie.

– Tak myślisz?

– Jasne – odpowiada Nelson pewnym siebie tonem starszego brata. Z tym samym nastawieniem daje znak kelnerce, która przygląda się burzy przez okno, stojąc za ladą obok wysokich, aluminiowych urn, w których stygnie kawa i gorąca woda.

– Patrzą, czy gałęzie się nie łamią – mówi im – ale ani ani.

– Pensylwanii nie stać na porządny huragan – żartuje z niej Nelson. – Wszyscy powinniśmy się przenieść do którejś Karoliny. – Uzmysławia sobie, że tęskni za huraganem – za wstrząsem, który rozniesie wszystko w puch.

Półmrok, zalegający knajpkę, zaczyna się rozjaśniać. Nelson osłania ręką płomień i dmuchnięciem gasi świecę. Kelnerka przynosi im rachunek, wypisany ręcznie na odwrocie przedartej na pół karty dań: \$11,48. – Mam nadzieję, że ma pan akurat, bo jak nie ma prądu, nie mogę otworzyć kasy i wydać reszty.

Nelson zagląda do portfela – ma jedną jednodolarówkę, a resztę w banknotach dwudziestodolarowych. Tutejsze bankomaty wydają żądane sumy tylko w dwudziestkach, zachęcając klientów, by wydawali szybciej. Banknoty są nowe. Nie podoba mu się wielka twarz Jacksona, usytuowana gdzieś z boku. Wygląda na mięczaka. Krwawego mordercę Indian zmienili tu we Wrażliwego Faceta z New Age. Pieniądze wyglądają jak dziecinne banknoty do zabawy.

Widząc, że Nelson waha się, Annabella pyta:

– Dołożyć się do rachunku?

– Absolutnie nie.

Może i kelnerka była troskliwa jak matka, ale prędzej skona, niż zostawi jej osiem dolarów i pięćdziesiąt dwa centy napiwku. Nie chce też wziąć pieniędzy od Annabelli – wyszedłby na gnojka. Schwytany w pułapkę, przyskrzyniony, miota się w sytuacji bez wyjścia – jest zaburzony. Mógłby zapłacić kartą, ale do tego również potrzebna jest elektryczność. – Oddasz mi następnym razem – pocziwie proponuje siostra. Nie zwraca na nią uwagi, wpatrując się w szarozielone brzegi banknotów w portfelu, jakby czekał na cud.

I cud się zdarza – zapala się światło. Urządzenia restauracyjne ponownie zaczynają chodzić. – Znowu muszę otworzyć – żali się kelnerka. Oddziera zadrukowany kawałek papieru, a on z reszty zabiera piąta i dwie jednodolarówki.

– Uprzejmie dziękuję. Życzę państwu miłego dnia.

W Brewer napiwek wyższy niż dziesięć procent nadal napełnia wdzięcznością. – Bardzo mi smakowało – powiada Nelson. – Smacznie i zdrowo. Mnóstwo kruszonki na cieście, jak u mojej babci.

– Zapraszamy ponownie – powiada kelnerka, ale już automatycznie, poruszając się na bolących stopach, by przetrzeć stół i przykryć go świeżymi, papierowymi podkładkami pod nakrycia.

Na dworze wiatr miota już tylko kłębam powietrza, strząsając krople deszczu z grusz. Plastikowe buciki Annabelli połyskują, a gdy zawiązuje sobie pod szyją czerwony szalik,

jej twarz wydaje się poważniejsza i szczuplejsza. Skrapia ją kapuśniaczkę, a ona mruga gwałtownie, po czym się uśmiecha. Nie wie, czego się spodziewać. On chciałby jej nieba przychylić, ale nie wie, jak się do tego zabrać. – Było bardzo miło – powiada. – Będziemy w kontakcie. – I całuje ją w policzek, smakując deszcz, wyobrażając sobie, że jej skóra jest w połowie jego skórą, myśląc: „Moja siostra. Moja”.

– Jest córką taty, na sto procent – oznajmia Nelson matce. – Ta sama swoista niewinność, niefrasobliwość.

– Niefrasobliwa, akurat. Nie zjechała tu, ot tak – powiada Janice. – Wyraźnie o coś jej chodziło. I ta niechlujna fryzura i nogi, odsłonięte aż po krocze.

– A może by znowu przyjechała? Zaprosilibyśmy ją i jeszcze parę osób.

– Jakich osób? I co mam im powiedzieć? Że to nieślubna córka mojego męża sprzed czterdziestu lat? Dostyc się wtedy wstydu najadłam, to był istny koszmar, Nelsonie. Nie widzę powodów, żebym jeszcze raz miała przez to przechodzić. Nie mogę uwierzyć, że mnie o to prosisz – czyż pracownicy opieki społecznej nie powinni okazywać szczególnej wrażliwości?

– Niekoniecznie wobec własnych rodzin. Mamo, ona należy do rodziny. Nie możemy udawać, że jej nie ma, skoro już się pojawiła. Wydajmy rodzinny obiad, może z chłopcami Ronniego.

Z trzech synów Ronniego i Thelmy dwóch obecnie nie jest żonatych. Georgie, średni, mieszka w Nowym Jorku, choć nie udało mu się zostać tancerzem rewiowym. Alex, najstarszy, maniak komputerowy, odniósł największy sukces. Rozwiódł się z żoną, mieszka w Fairfax, w Wirginii, i co prawda nie jest Billem Gatesem, ale powodzi mu się dobrze i jest w wieku Annabelli. Ron junior, najmłodszy, po dwóch latach zostawił college Lehigh i zatrudnił się jako cieśla w miejscowym przedsiębiorstwie budowlanym. Ożenił się z miejscową dziewczyną i mają troje dzieci poniżej dziesięciu lat. Nelson rzadko widuje przyrodnych braci, najczęściej Georgie’ a, który uciekając przed nowojorską nerwówką, zwała się do sypialni od frontu, gdzie, przed wyprawdawką Pru, był pokój Judy. Ale zazwyczaj zbierają się w Święto Dziękczynienia na obiad, który Thelma zawsze wydawała w wielkim stylu, a Ronnie nalega, by Janice kontynuowała tę tradycję, choć nigdy jako kucharka Thelmie nie dorówna. Pierwsza pani Harrison była nauczycielką i do swych obowiązków domowych wniosła poczucie porządku, umiaru, szacunek dla świąt, a także klasę, szeroki gest. To z powodu swej bujnej natury przyłgnęła do Harry’ego, choć kochając go, ściągnęła na siebie hańbę. W Janice indyk budzi lęk – nie wie, jakiej powinien być wielkości, ile czasu go piec, w jakiej temperaturze – i nigdy się jej nie udaje. Albo pierś tak wysycha, że kruszy się pod nożem Ronniego, albo z niedopieczonego mięsa tryska krwawy sok, wywołując okrzyki obrzydzenia dzieci. Spotkania rodzinne zawsze były dla Janice powodem udręki, zgromadzenia tych ludzi, którym coś jesteśmy winni, przywodzą jej na myśl obrady ponurych sędziów: najpierw rodziców i starszych, potem naszych dzieci i ich dzieci. Mimo wszelkich niesnasek, łączyła ją z Harrym skryta niechęć

do tego wszystkiego, do owych spodziewanych ceremonii. Mama zawsze pilnie chodziła do kościoła, ciągnąc za sobą tatę, lecz Janice nieodmiennie czuła się nieswojo, na krawędzi łez, gdy grzniały organy, zwłaszcza po śmierci Becky, kiedy to Bóg, w tych strasznych chwilach, nie podał im pomocnej dłoni. Tak naprawdę oboje z Harrym czuli się najszczęśliwsi na Florydzie, w Valhalla Village, gdzie byli tylko we dwoje, on grał w golfa, ona w tenisa, obracali się w osobnych kręgach przyjaciół, a posiłki jadali w zupełnie przyzwoitej, przyjemnej restauracji, Mead Hall, urządzonej na sposób modernistyczny, w stylu wikingów.

Janice marszczy brwi.

– Nie bardzo wyobrażam sobie takie spotkanie, Nelsonie, byłoby wymuszone i niezręczne. Tylko dlatego, że ta nieżyjąca żdzira nasłała na nas tę dziewczynę...

– Mamo, to moja siostra. Posłuchaj. Skoro nie może być gościem w naszym domu, może już czas, żebym się wyprowadził. Pru zawsze tak uważała, jeśli chcę zachować dla siebie odrobinę szacunku.

– Naprawdę? Pru tak mówiła? – Janice sądziła, że synowej mieszkało się pod jej dachem całkiem dobrze przez te wszystkie lata po śmierci Harry’ego, kiedy wspólnie postanowili sprzedać jego ukochany dom w Penn Park. Przez większość dnia Janice zajęta była pracą w agencji nieruchomości, a że Teresa musiała zostać z dziećmi, naturalną kolejną rzeczy gotowała, zajmowała się domem i trochę ogrodem. Wydawało się to jedynie słuszne, skoro nie płacili czynszu. Gdy pojawił się Ronnie, sprawy nie szły już tak gładko. Ścierały się różne prądy. Ronnie miał własne pomysły na prowadzenie domu, kuchni i w ogóle wszystkiego. Thelma tak się o niego troszczyła, że zrobił się bardzo wybredny. Thelma rozpaskudzała mężczyzn, była to z jej strony złośliwość, która ją przetrwała.

Biedny Nelson. Ma fioła – chce uszczęśliwić tę nikomu nieznaną dziewczynę. Janice chwyta to za serce – zawsze pragnął mieć rodzeństwo, którego nie mogli mu dać, większą, szczęśliwszą rodzinę. Kochał swoich rodziców, gdyż na nich zaczynało się to poczucie, którego pragnął – klanu, działającego w świecie, a ten duży, zdobny stiukami dom uważał za coś w rodzaju fortu. Tak bardzo pragnął, by ona i Harry byli szczęśliwi. Gdy się kłócili, nawet o głupstwa, jego mała twarzyczka bladła ze zmartwienia niczym bańka, która za nic nie chce pęknąć. A ta jego chęć uzdrawiania wszystkich dookoła – serce jej się ściska na myśl, jak dotkliwie musieli go zranić.

– Sama nie wiem, Nelsonie – ustępuje Janice. – Może na Święto Dziękczynienia. Zginie w tłumie gości.

– Mamo, to jeszcze kawał czasu.

– Akurat tyle, żebyśmy się przyzwyczaili do tego pomysłu. Muszę pogadać z Ronniem. Na pewno się nie zgodzi.

Ale gdy tej nocy, a może następnej, w sypialni opowiada Ronniemu o głupiutkim, żalonym pragnieniu Nelsona i proponuje spotkanie w Święto Dziękczynienia, pewna, że Ronnie nie zostawi na tym pomysłe suchej nitki, mąż odpowiada głosem bardziej młodzieńczym, z nutką brutalności:

– Właściwie czemu nie? Ciekawe, co wyrosło z córki Ruth Leonard.

Widać, że dobrze pamięta jej imię i nazwisko, które Janice zawsze wylatywało z głowy, ale wszak, przypomina sobie, Ronnie i ta dziwka spali ze sobą w jakiś weekend na wybrzeżu Jersey, jeszcze zanim Harry zdążył ją poznać, co zawsze go wkurzało, zdaniem Janice w zasadzie nie miał prawa się wściekać. Ale Harry już taki był: przyznawał sobie mnóstwo praw tylko dlatego, że był taki wspaniały.

III.

Od: Roya Angstroma [royson@buckeymedia.com]

Data: Piątek, październik 22,1999, 20:04

Do: nelsang.harrison@qwikbrew.com

Temat: żarty urodzinowe

Tato, nie masz pojęcia, na jakiej byłem imprezie i kogo tam nie było! Oto stary kawał, ale go nie znałem i uważam, że jest całkiem zabawny. Kiedy prezydent Clinton odwiedzał Oklahoma City po tornado, 3 maja, jakiś człowiek, z którego domu została tylko ściana z resztką drutu elektrycznego, wywiesił tabliczkę z napisem: HEJ BILL MNIE DOPIERO OBCIĄGNĘŁO DRUTA! Służba bezpieczeństwa kazała mu to zdjąć, ale podobno historyjka jest prawdziwa. Jak ci się podoba?

Nelson, siedzący w małym pokoiku od frontu na piętrze, z udręką wpatruje się w ekran komputera, kręcąc się na obrotowym krześle. Syn wyraźnie tylko w ten sposób jest w stanie się z nim porozumiewać. Lepsze to niż nic, ale Nelson zastanawia się, co szczeniak wie o obciążaniu druta. Choć po sprawie Lewinsky nawet przedszkolaki są zorientowane w tej materii, to pierwsza wiadomość we wszystkich dziennikach. Pru robiła mu to z początku, zwłaszcza przed ślubem, ale w małżeńskim stadle zdarzało się to coraz rzadziej, nawet gdy oboje czymś się podniecili albo on pieścił jej puszystą, rudą cipkę, skąpo owłosioną w porównaniu, na przykład, z kędziorkami Melanie. Kiedyś ustawił się w takiej pozycji, by Pru mogła odwzajemnić mu pieśczętę, a ona powiedziała prosto z mostu, że niedobrze jej się robi od tego zapachu. – Jakiego zapachu? – rzekł wtedy, czując, że zaczyna się kurczyć. – Przecież się myję.

– Nic na to nie poradzisz – rzekła. – Tego zapachu się nie wymyje. Jest jakiś kwaskowaty. Tak czy tak, boję się, że mi się spuścisz w ustach.

– Dlaczego, kochanie? Czego się boisz? To takie miłe, od czasu do czasu.

– Dla ciebie.

– Kiedyś to lubiałaś.

– Nie pamiętam. Powiedziałaś, bo wiem, że chcesz, bym była z tobą szczerą.

– Okłamywałaś mnie?

– Wiesz, w ten sposób można się zarazić AIDS.

– O Boże. Gdybym miał AIDS, już byś go złapała. Skąd miałbym zachorować na AIDS? Od bardzo dawna jestem tylko z tobą.

– Akurat. A te narkokurwy, z którymi się pieprzyłeś, zanim przestałeś ćpać?

Narkokurwy, nie ma żadnych narkokurew. To po prostu kobiety, które nie mają takiego cipościsku jak cała reszta. Prawda, że zanim przestał ćpać był stałym gościem w „Luz bluesie”, gdzie krążyły dziewczęta oferujące szybki numer w zamian za działkę. One lubiły robić druta, bo załatwiały faceta bez tego całego zawracania głowy. Nie musiały nawet zdejmować rajstop w samochodzie. Rzeczywiście potem usta im cuchnęły, a gdy był naćpany, chciał je całować, choć się opierały i mówiły, że musi być zbokiem, albo wręcz gejem. Te kurwy, mimo swej profesji, miały w gruncie rzeczy bardzo ograniczoną wyobraźnię, kurze horyzonciki. „Gdybym miał AIDS, już by to wyszło.”

– Niekoniecznie. Czytałam, gdzie wirus może przetrwać w stanie uśpionym przez piętnaście lat. Ukrywa się u podstawy kręgosłupa.

– Boże wielki. I to ma być małżeństwo.

– Przecież możesz mnie pieprzyć.

– Gdzie twój rozsądek? A AIDS?

– Nelsonie, powiedziałam, że możesz mnie pieprzyć. To już jak chcesz.

– Nie chcę. Przeszło mi.

– Widzę. Ty dzieciaku.

A tak lubił mieć kobietę tam w dole, czuć w dłoniach jej włosy, czubki uszu i kark, twarzy nie widać, ale ramiona tężeją, gdy dochodzi i podobno to je też podnieca, choć Pru mówiła, że kłamią, bo chcą czegoś całkiem innego. Kobiety kłamią tak samo jak czarni. Rasie niewolników prawda na nic się nie zda. Zapominają, co to w ogóle jest. Nelson widzi to przez cały czas w ośrodku. Tylko ludziom sprawującym władzę opłaca się wiedzieć, jak się rzeczy mają. Nelson nie jest zachwycony, że Roy wie, na czym polega obciążanie druta.

Chłopak ma czternaście lat, masturbacja powinna mu wystarczyć. Naprężenie, nowość, plecy oparte o wysokie, białe, zamknięte drzwi, uczucie, jakby przez sekundę stało się na głowie, skurcz drobniutkich mięśni, wrażenie przenosin do innego świata, hen za widnokregiem, zimnego jak lody, prywatnego jak myśl, potem metaliczny posmak w ustach, posmak całkiem odmiennego bytu. Ale chce, by chłopiec miał tylko wyobrażenia niewinne, myśli pana młodego, by dziewczynę, która siedzi obok niego w klasie w Ohio, widział pod sobą pośród koronek i rozgniecionych kwiatów, gdy dochodzi w bezpiecznej przystani łóżka. Żadnych internetowych świństw, wymierzonych w młodocianych. Kto by przypuszczał, że internet, który miał zestalić świat w lśniącą kulę, niedosięglą dla tyranii, okaże się przybytkiem napalonych wyrostków?

Albo taki, tato. Podczas podróży poślubnej żona wymawia się od seksu i idzie spać. O trzeciej nad ranem wstaje, by wypić szklankę wody i widzi, że mąż nie śpi, więc pyta, o co chodzi. On mówi, że ma tak naprężonego kutasa, że już nie starcza skóry, żeby zamknąć oczy.

To już lepiej, myśli Nelson. Przynajmniej normalny, małżeński seks. Judy poszła z chłopakami na całość, Nelson nie wie, kiedy straciła niewinność, zapewne w Pensylwanii,

kiedy jeszcze wszyscy razem mieszkali w tym domu, Judy w sypialni od frontu; czasami umawiała się z chłopakami dość późno, Nelson pamięta, jak budził go trzask tych źle dopasowanych drzwi, szelest stóp na schodach, gdy miała zaledwie szesnaście, siedemnaście lat i piegi. Pru będzie wiedziała. Ale Pru nie chce z nim o tym rozmawiać. „A dlaczego nie?” – odpaliła pewnego razu. „Twoja ciotka Mim to dziwka, wszyscy Angstromowie są napaleni jak króliki”.

A ona sama, z tatą, w tym pokoju, w którym właśnie siedzi, w blasku światła, promieniującego z monitora. Odpychał to od siebie, co było zdrową reakcją. Jest coś takiego, jak zdrowe zaprzeczenie. Mechanizm ten wykorzystują molestowane dzieci, wmawiając sobie, że ich prześladowca jest dobrotliwym opiekunem. Gdy wypytywał o to Pru, mówiła, że również tego nie rozumie. „To się po prostu stało, Nelsonie. Różne rzeczy zdarzają się same z siebie, nie wszystko dzieje się z głęboko uzasadnionych powodów, jak to cię uczono w szkole dla pracowników opieki społecznej.

– Naprawdę tego mnie uczono?

– Tak i zadawania pytań zamiast udzielania odpowiedzi.

– Ja mam udzielać odpowiedzi? A jakie było twoje pytanie?

– Dlaczego ciągle mi wypominasz to, co raptem raz zaszło między twoim ojcem i mną, kiedy oboje byliśmy półprzytomni ze zmartwienia, ja przez twoje ćpanie, a on z powodu chorego, steranego serca? On nie żyje, Nelsonie, twój ojciec nie żyje i to, co było, już się nie powtórzy, nawet gdybyśmy oboje tego chcieli. Ale nie chcemy. Nie chcieliśmy”.

Nelson spogląda przez ulicę na okna pierwszego piętra przeciwległego segmentu w nadziei, że ujrzy panią domu bez ubrania. W budynku tym są trzy okna, w środkowym wisi plastikowa dynia z zapaloną żarówką, oba okna po bokach są słabo oświetlone, z tego po prawej widać chyba podest, lecz dwa pozostałe to najprawdopodobniej okna sypialni, zapewne dziecięcej. W tym bliźniaku przez całe lata mieszkało starsze małżeństwo, które najczęściej przebywało od tyłu, w kuchni i pokoju telewizyjnym, ale to młode małżeństwo z dwojgiem małych dzieci ma zupełnie inny styl życia, od czasu do czasu widuje się żonę paradującą w szlafroku czy w bieliźnie, w czarnych majtkach bikini i dwóch beżowych miseczkach, milutkich jak skóra, takie staniki, reklamowane w brewerowskim „Standard” na modelkach, noszą nazwy: Kreacja kształtu, Uwodzicielski sznyt, Aksamit i koronki. Niemal naga. Pru nosiła kiedyś majtki bikini, lecz gdy tyłek jej się rozrósł, przerzuciła się na staroświeckie, bawełniane majtadały, z których materiału starczyłoby na podkoszulek dla kierowcy ciężarówki. „Przecież możesz mnie pieprzyć”. Potrzebuje kobiety. Praca, powrót do domu, do matki i ojczyma, a potem komedie w telewizji, nakręcone z myślą o nowojorskich dwudziestoparolatkach to żadne życie. Źle śpi, nie starcza mu skóry, by zamknąć oczy. Ale w wieku czterdziestu trzech lat czułby się głupio w barach dla singli albo dla napalonych facetów, gdyby coś takiego znalazł. Życie, które toczyło się w „Luz bluesie”, na Dziewiątej i Weiser, to już zamierzchnia przeszłość – teraz obowiązują inne mody, inne narkotyki są w użyciu. Wtedy przejmowano się zimną wojną, Japonią. Wraz z końcem stulecia to wszystko odeszło do lamusa. I boi się też, że jeżeli wróci do życia

towarzyskiego, wróci też do koki, albo ecstasy, jeśli to się teraz bierze albo do wciąż taniejącej heroiny; tak łatwo jest się obsunąć, jeśli nie ma się wiele do stracenia. Gdy w ośrodku rozmawia z pacjentami nadużywającymi środków odurzających, którzy wysuwają ten argument, nie bardzo wie, co zaproponować w zamian. Szczęście to owa chwila, w której czujesz się szczęśliwy. Może skraca ci życie, ale skoro i tak nie żyjesz, to co za różnica? Aby dorwać się do następnej działki, wyzebranej wyzerki – to nadaje ich życiu sens. Bez narkotyków byliby wystawieni na życie bez sensu.

Leci mi tu całkiem nieźle, tato. Dziesiąta klasa nie różni się specjalnie od dziewiątej, tyle że jestem już wyżej i cieszę się większym poważaniem niż ten nowy motłoch. W North High jest mnóstwo Afroamerykanów, ale da się wytrzymać, jak człowiek pilnuje własnego nosa i nikomu nie ubliża, a lekcje oblecą. Za pierwszy okres dostałem cztery piątki i tylko czwórkę z biologii, ale nauczyciel biologii, pan Pedersen mówi, że stać mnie na więcej.

Judy doprowadza mamę do szału, nocami gdzieś lata, a rankami jej łóżko często jest nieruszone, ale zastanawia się, czy nie iść na kurs dla stewardes, którego ośrodek jest w Pittsburgu. Mama bierze nadgodziny u tego prawnika Gekoppolosa w śródmieściu na Buchtel Ave i jakoś leci, ale mam ci przekazać, że dalej potrzebujemy twojego czeku, który się spóźnia.

To by było tyle, tato, chcę zagrać jeszcze raz w Kosmiczną załogę, a potem porządnie przyłożyć się do testu z biologii. TTNT (to tyle na teraz) ściskam ROY.

Nelsona pieką oczy od czytania drobnego druku Windows 98. Nawet druk i maleńkie ikonki projektowane są z myślą o bardzo młodych oczach. Chłopak jest bystry, żeby tylko dorodził z jego otoczenia nie napiępryli mu w głowie. A Judy może i wie, co robi. Najwyraźniej nie czuje strachu przed lataniem, choć nie jest zachwycony myślą, że jego córka będzie ciągle bujać w przestworzach. Tata też bał się podróży samolotem.

Od: Taty [nelsang.harrison@qwikbrew.com]
Data: Niedziela, październik, 24,1999, 21.31
Do: royson@buckeymedia.com
Temat: ojcowska miłość

Roy – wspaniałe stopnie, gratuluję. Tak trzymaj. Dowcipy świetne, ale czy lecą tylko świńskie? Seks bywa zabawny, ale to też cholernie poważna rzecz, bo dotyczy najpoważniejszej sprawy w naszym życiu. Dobrze, że Judy spotyka się z wieloma osobami, ale powiedz swojej siostrze, żeby się szanowała. Inni ludzie sądzą nas po tym, jak sami siebie cenimy, a kobieta jest zawsze bardziej narażona na złe języki. Cieszę się, że myśli o swojej przyszłości, choć nie taki zawód bym dla niej wybrał. Nasza rodzina do tej pory była raczej przywiązana do ziemi. Powiedz matce, że wyślę czek, ale Ronnie uważa, że powinienem więcej płacić na dom, bo on jest na emeryturze, a wszystko idzie w górę, łącznie z podatkami za nieruchomości.

Mam dla ciebie niesamowitą wiadomość, a przynajmniej ja uważam, że to bomba – otóż pojawiła się twoja ciotka, o której istnieniu nikt z nas nie miał pojęcia – to córka twojego dziadka z inną kobietą, kiedy byłem małym dzieckiem. Ma na imię Annabella. Nikt o niej nie wiedział, póki nie przyjechała przed paroma tygodniami i nie opowiedziała swojej historii twojej babce. Zaprosiłem ją w zeszłym miesiącu na obiad i świetnie się dogadywaliśmy. Rozmawialiśmy, jakbyśmy się znali całe życie. Ona jest pielęgniarką, a ja pracuję w programie ochrony zdrowia psychicznego – czy to nie zaskakujący zbieg okoliczności? Babcia zaprosi ją do nas na Święto Dziękczynienia i może spotkacie się, gdy matka przywiezie cię tu na Boże Narodzenie – nie mogę się już doczekać, kiedy was wszystkich

zobaczą. Sierpień w Poconos był bardzo miły, ale to już kawał czasu.

Tu wszyscy są zdrowi. Po tegorocznej suszy przyszła fala deszczów, ale dla farmerów to już za późno. Jeśli idzie o dowcipy, to słyszałem tylko jeden od czarnego pacjenta w ośrodku, który ma w zanadru mnóstwo kawałów z serii „Ależ twoja mamuśka jest gruba”. Słyszałem taki: może sprzedawać swój cień, smaruje majonezem aspirynę, a kiedy idzie do kina, siedzi obok wszystkich. Mamy w ośrodku bardzo tłustą kobietę, ale przy niej nie opowiadamy takich żartów.

Jestem z ciebie bardzo dumny, Royu i bardzo cię kocham. Tata.

P.S: Strasznie „latasz” w ostatnim liście, czy to plany Judy wpłynęły na twoje słownictwo?

Naciska klawisz WYŚLIJ, nie czytając tego, co napisał. Z jego e-maila wylania się obraz ojca – sztywniaka i mądrali, jakiego nigdy nie miał, ale też i szczególnie nie pragnął. Jego ojciec zwykł był mawiać: „Gdy ktoś mi mówi, co mam zrobić, instynktownie robię coś wręcz przeciwnego”. Ale musi panować jakiś porządek, jakaś organizacja. Należy dać wyraz swym więziom uczuciowym, bo inaczej wszystko się rozpadnie.

Nelson ostrożnie zamyka komputer. Czasami urządzenie bez powodu się zawiesza, wyświetlając karcącą informację: TEN PROGRAM WYKONAŁ NIELEGALNĄ OPERACJĘ I ZOSTANIE ZAMKNIĘTY. Naprzeciwno świeci już tylko uśmiechnięta, elektryczna dynia. Tym razem zobaczył kobietę w bieliźnie, brzuch ma kompletnie goły i cudownie długi, z głęboko schowanym pępkiem, tak jak to teraz robią.

– Ciociu Mim? Tu Nelson. Twój bratanek.

– Wiem, że jesteś moim bratankiem, skarbie – a jak myślisz, ilu ich mam? Co się dzieje, kotku? Co słyhać na starych śmieciach?

Głos ma ochrypy i skrzekliwy, wypalony papierosami jak pustynia słońcem, ale miły, stare żyły wypełniają się rodzinnym ciepłem, bo bez wątpienia zdarzyło się coś nadzwyczajnego. Czy by zadzwonił, gdyby nic się nie działo? Jest sześć lat młodsza od taty, więc teraz musi mieć sześćdziesiątkę i w niektórych dziedzinach mogłaby jeszcze pracować, ale ze swego, najstarszego zawodu świata wypadła już dawno, mimo operacji plastycznych, podciągania pośladków i cudów współczesnej dentystryki. Nelson zastanawia się, kiedy zrobiła ostatni numerek. Od czasu do czasu do ośrodka trafiają prostytutki i niektóre zachowują starych klientów, tworząc niemal układ małżeński. Teraz, skoro zabrakło brata i rodziców, ciotki Mim nic z tą okolicą nie łączy i nigdy tu nie przyjeżdża. Ostatni raz zawitała do nas na pogrzeb taty. Nie było ciała, tylko kwadratowa, zamykana na wieczko urna, wykonana z jakiejś złożonej substancji, przypominającej prasowane płatki otrąb. Mama kazała go spopielić na Florydzie, by rozwiązać problem transportu. Wraz z Nelsonem, zmieniając się za kierownicą, przywiozła go z powrotem na północ w niebieskoszarej celice, w której odbył ostatnią przejażdżkę. On z mamą dostali się na nocny samolot z Philly, Pru przyleciała z dziećmi następnego dnia, lecz gdy wylądowała, tata już odszedł. Odszedł, a jego ciało, sześć stóp trzy cale, dwieście pięćdziesiąt pięć funtów, ze szpitala pospiesznie zawieziono do krematorium. Pru popadła w niełaskę, gdyż wyznała – jako katoliczka wzrosła w przekonaniu, że wyznawać należy wszystko – że ona i

tato popełnili, jakby to nazwać – dubeltowe cudzołóstwo. Swojego rodzaju kazirodztwo, ale zdarzyło się to tylko jednej nocy. Ona i dzieci zostały wciśnięte na za ciasne, tylne siedzenie dwudrzwiowego sportowego samochodu, a solidne pudło o grubej obudowie, coś na kształt styropianowego pojemnika z izolacją termiczną, ale mniejszego i o ważkiej, niezmiernie esencjonalnej zawartości, jechało w bagażniku między walizkami. Strasznie trudno było to wszystko upakować, a Nelson nie okazał śladu współczucia, gdy mała Judy, licząca wówczas dziewięć lat, wybuchnęła płaczem na pierwszym postoju, w motelu pod Savannah na myśl o dziadku, pozostawionym samotnie w zimnym, ciemnym bagażniku. W dwóch pokojach hotelowych nie było żadnego dostatecznie bezpiecznego miejsca, na którym można by złożyć rzecz tak świętą i niepokojącą – zadziwiająco lekką, pieczone płatki kostne, koncentrat Harolda C. Angstroma – a zatem umieścili go na górze szafki z imitacji drewna, w której mieścił się wysuwany telewizor. Mama spała w pokoju z dziećmi, które musiała pilnować, by nie wspięły się na szafkę i nie otwały urny, żeby zajrzeć do środka. On i Pru tak działali sobie na nerwy, że nie mogli zasnąć i w końcu kochali się, żeby się odprężyć, ale to ich jeszcze bardziej wkurzyło i zasmuciło. Następnej nocy, w Comfort Inn za Raleigh, mama i Pru spały w jednym pokoju, a on z dziećmi w drugim. Dzieci usnęły przed nim, po obejrzeniu *Roseanne* w telewizji, ale rano i tak był półprzytomny i gdy przy śniadaniu przemówili się z Pru, rodzina była tak podminowana, że odjechali, zostawiając urnę z prochami – dużą, kwadratową kasetę barwy otrąb, przypominającą pudełko na herbatniki, zapomnianą w szafie w Comfort Inn, na półce na dodatkowe koce.

To Judy sobie przypomniała, jakieś dwa zjazdy dalej. Choć Nelson wcisnął gaz do dechy, do następnego zjazdu jechali całe wieki i zawrócili na 95. Aż cały oklapł z poczucia winy i pośpiechu. Czarny recepcjonista, który właśnie zaczął dyżur, z podejrzliwą miną wysłuchał wyjaśnień zadyszanego Nelsona, lecz dał im klucz. Z powrotem w tym pokoju poczuli się dziwnie, jak w pustym grobie – jakby całą rodziną umarli albo zostali uprowadzeni. Łóżka nadal były nieposłane, mokre ręczniki leżały za kabiną prysznicową. W łazience znaleźli dziecięcą szczoteczkę do zębów, a także szczątki dziadka spoczywające potulnie na półce w szafce, kwadratowa urna wtapiała się w tło jak szyfrowe sejfy, które czasami przydzielają w motelach. Nelson doznał nagłego poczucia głębokiego zespolenia, błogości wymazanych grzechów. Potem, gdy nabył już stosowną wiedzę, z perspektywy czasu dostrzegł, że pozostawienie taty było aktem nieuświadomionej zemsty, skoro on tyle razy ich zostawiał.

Nelson nie pamięta, czy śmiali się z tego, że na śmierć zapomnieli o głowie rodziny, ale pamięta, że ciotka Mim ubrała się na pogrzeb zbyt czarno, wystąpiła spowita w czerń, rękawiczki, kapelusz i wielkie ciemne okulary były raczej przejawem stylu niż świadectwem żałoby. Jej postać, szykownego wampira, wybijała się na tle cichych, równych rzędów cmentarza na wzgórzu, na tylnym zboczu Mt. Judge, gdzie Earl W. (1905-1976) i Mary R. (1904-1974) Angstrom spoczywali pod różowym, lśniącym, podwójnym nagrobkiem, oddzielonym tylko wąskim, porośłym trawą pasem od mniejszego, starszego,

bardziej matowego nagrobka w kolorze gołębiej szarości, na którym wyryto:

REBECCA JUNE ANGSTROM

1959

Jego siostra. Zawsze w jakimś sensie czuł się winny. Gdyby był miłszym dzieckiem, tata nie odszedłby, mama by się nie upiła i nie doszłoby do tego. Na pogrzebie taty ciotka Mim wydawała się jedynym ożywionym, zuchwałym śmignięciem czerni pośród niechlujnych żałobników (pokazali się nawet jacyś obcy jegomości, którzy pracowali ze zmarłym w Verity Press albo w salonie Toyoty, albo grali z nieboszczykiem bądź przeciw niemu, gdy jako wyrostek budził świetne nadzieje i czuli z nim związek na tyle silny, by poświęcić mu jeden ranek z reszty swojego życia), ale rodzeństwo kochało się z krańcową bezradnością więzów krwi, które wtrącają nas do rodziny jak w otchłań nieszczęścia.

– A teraz najśmieszniejsze, ciociu – powiada Nelson do słuchawki. – Okazuje się, że tato miał dziecko z kobietą z którą wtedy żył. To była dziewczynka, teraz ma trzydzieści dziewięć lat i właśnie się u nas pojawiła. Jest pielęgniarką i pracuje tu, w Brewer. Wychowała się na farmie. Byliśmy razem na obiedzie. Jest trochę podobna do taty, zanim się roztył, kiedy twarz już zaczynała mu się zaokrąglać – ma takie samo senne spojrzenie i bardzo białą skórę. Więc oprócz bratanka masz jeszcze bratanicę.

– A niech to – zaskrzeczał po chwili telefon. – Będę musiała zmienić testament. Jak to się stało, że objawiła się dopiero teraz? Harry o niej wiedział?

– Chyba coś przypuszczał, ale nie był pewien. Jej matka nie pisnęła mu nawet słówkiem. Umarła teraz latem, a przed śmiercią powiedziała Annabelli. Przyjechała do nas.

– To znaczy do kogo?

– Do rodziny. Do mnie, do mamy i Ronniego.

– Na pewno Ronnie był wniebowzięty. A Janice jeszcze bardziej. Przypuszczam, że przyjechała do ciebie, Nelsonie. A co ty o tym myślisz?

– Ona daje sobie radę, zarabia lepiej ode mnie, ale chyba jest strasznie samotna. Powinna mieć jakieś towarzystwo. Ale odkąd przestałem brać, prawie z nikim się nie widuję prócz pacjentów w ośrodku.

Po drugiej stronie linii telefonicznej ciotka Mim zastanawia się.

– Kiedy się dowiedziałeś o tej dziewczynie?

– We wrześniu.

– I dopiero teraz dzwonisz?

– Głównie, jak do tego podejść.

– Wstydzileś się – konkluduje ciotka Mim. – Nie masz się czego wstydzić, dziecko. Twój ojciec nie znał się na antykoncepcji. Jak pamiętam, urodziłeś się parę miesięcy za wcześniej. To nie twój pogrzeb. Chcesz posłuchać rady starej ciotki, której życie nie było wzorem dla nikogo?

– Pewnie.

– Ta pielęgniarczka to nie twój problem. W wieku trzydziestu dziewięciu lat samemu się rozwiązuje swoje problemy. Masz rodzinę – jak im leci?

Bieg tej rozmowy rozczarowuje go. Sądził, że z całej rodziny cud pojawienia się siostry doceni właśnie ciotka Mim, siostra ojca.

– Chyba nieźle. Pru w końcu miała mnie dosyć i półtora roku temu zabrała dzieci z powrotem do Akron. Pracuje u greckiego prawnika w śródmieściu, koło dawnej fabryki Goodricha.

– Och, ci Grecy – powiada ciotka Mim. – Głoszą wszem wobec, że wynaleźli demokrację.

– A Judy rzuciła szkołę i chce zostać stewardesą.

– To, co ten personel latający czasami wyprawia, dozwolone jest tylko w Nevadzie.

– Wiem. Martwię się o nią. Jest trochę szalona.

– Za dużo się martwisz. Życie jest szalone. Albo robi się strasznie nudne.

– A chłopiec, Roy, ma prawie piętnaście lat. Przesyłałyśmy sobie e-maile. Okazuje się, że ma głowę na karku.

– Co się tak dziwisz? Twój ojciec nie był głupi, tylko zachowywał się jak dureń. No. A teraz masz siostrę do pełni szczęścia. Okazuje się, że jesteś bardzo rodzinny, Nelsonie. Nie wiem, skąd ci się to wzięło. Chyba od Springerów. Byli dobrymi Niemcami. Angstromowie się do nich nie umywali.

– Myślałem, że może ty wpadniesz na jakiś pomysł.

– Względem czego?

– No, co mam zrobić z siostrą.

– Twój ojciec trzymał mnie za rękę, kiedy przechodziliśmy przez jezdnię i lubił podglądać, jak robię siusiu, ale może ona już z tego wyrosła. To jak ta dziewczyna ma na imię?

– Annabella. Annabella Kupczyk.

– A ten Kupczyk to co za jeden?

– Jej ojczym. Był farmerem.

– On też nie żyje?

– Zgadza się.

– Zdążyłeś zauważyć, że coraz więcej ludzi nie żyje? Vegas, miasto hazardu, też umarło. Kiedyś przyjeżdżali tu goście z klasą – gangsterzy, gwiazdki. Było niebezpiecznie i wspaniale. Klasa. Faceci płacili gotówką za wszystko z grubego zwoju pięćdziesiątaków. Teraz zwalają się tłumy. Bezimienne hordy. Palanci. Motłoch, z debetem na karcie. Hazard jest dozwolony w połowie stanów, więc postawili te przybytki dla przygłupów wzdłuż całego wybrzeża, aż do lotniska. Piramidy, wieża Eiffla, Wenecja – wszystkiego tam naćkali, Nelsonie, w tym rajy dla przygłupów. To potwornie przygnębiające. Czasami zastanawiam się, czy by nie wrócić na wschód, ale sama nie wiem, gdzie jest moje miejsce.

– Tu jest twoje miejsce, ciociu Mim – usłyszał własny głos. – Dla nas samych dom jest

za duży.

Śmieje się, pokasłuje, po czym znowu się śmieje.

– Nigdy nie miałam odpowiedniej figury na hrabstwo Diamond. Byłam chuda i koleżanki mnie nie cierpiały. A jak się trzyma twoja siostra?

– Jest trochę pulchna, ale bez przesady. Niektórzy nasi pacjenci w ośrodku...

– O właśnie – przerywa ciotka Mim. – Odpuszcza sobie. Nie można sobie na to pozwolić, jeśli chce się wytrzymać konkurencję. – Wyczerpał zapas jej cierpliwości. Wspomnieniom może poświęcić tylko określoną ilość czasu. Świat pędzi wciąż naprzód.

– Przyjedź tu do mnie, Nellie. Z siostrą, jeśli byś miał ochotę. Bilety lotnicze są prawie za darmo, żeby przysłupy ciągle tu przyjeżdżały. A jeśli zaczekasz, aż Judy zaczną latać, wypadnie ci jeszcze taniej. Ja się trzymam. Palę tylko na pokaz. Charlie Stavros jeszcze dycha?

A więc na niego wypadło przekazanie tej wiadomości.

– Niestety, przykro mi powiedzieć. Miał potrójny bypass i był tam jakiś szmer czy coś, wadliwa zastawka, więc go jeszcze raz kroili, ale tym razem wdało się zakażenie...

– Przerażasz mnie, chłopcze. Fajny był z niego facet. Miał w sobie coś. Klasę. Ty, ty jesteś cudny. Pamiętaj, że ciocia Mim cię kocha. – I odkłada słuchawkę bez pożegnania, nie czekając, aż on coś powie. Nie zdążył nawet zapytać, czy dużo klientek przychodzi do jej salonu piękności ani czy ma męża.

Pewnej nocy na początku listopada Nelson śni, że leży w swojej sypialni, prawdziwej, choć nieco mniejszej, wielkości pokoiku od fontu, w którym znajduje się komputer Rona. Wstaje z łóżka, gdy z oddali słyszy klikanie. Podchodzi do okna i na podwórzu od tyłu widzi wysokiego mężczyznę, który w świetle księżyca ćwiczy krótkie zagrania do dołka. Z jego postaci, pochylonej, skupionej na piłce, w szarobłękitnej poświacie emanuje jakiś smutek. Obrócony jest plecami i nie odwraca głowy, by spojrzeć na Nelsona, choć Nelson się tego obawia – wpatrzonej weń białej maski w świetle księżyca. Ale dostrzega tylko ową cierpliwą koncentrację, jakby wyznaczono mu zadanie na wieczność – starannie wymierzony półwymach, uważne spojrzenie na wynik, już w swobodniejszej pozycji, posępne przetoczenie kolejnej piłki licem główki kija na pozycję u stóp mężczyzny i kolejny wymierzony wymach. Nelson czuje oburzenie na myśl, że ten ponury, wysoki mężczyzna w średnim wieku, w nijakich spodniach i niebieskoszarej koszuli z długimi rękawami, wszedł na ich podwórko od Joseph Street, tak bezczelnie naruszając teren prywatny, a do tego hałasuje w środku nocy, raz po raz wywołując ten irytujący dźwięk. Ani we śnie, ani gdy ta zmora go obudziła, Nelson nie mówi sobie, kim jest bezdomny.

Przechodzi w stan czuwania. Drzwi do holu, niezamknięte na zatrask, bujają się w przód i w tył, jakby pod dotknięciem ducha, targane przeciągami, wionącymi po domu, gdyż z powodu chłódów włączono ogrzewanie. Ronnie zawsze stara się ustawić termostat na jak najniższą temperaturę, powiada, że ci wredni Arabowie znowu przykręcają kurek i w ciągu roku cena baryłki ropy wzrosła ponad dwukrotnie.

Nelson z trudem zwleka się z ciepłego łóżka, po czym wygląda przez okno, by się przekonać, czy wysoki mężczyzna naprawdę ćwiczy krótkie zagrania do dołka. Zamyka drzwi na tyle mocno, że słychać wyraźne kliknięcie. Ostry dźwięk roznosi się po cichym domu. Nie całkiem cichym – piec posapuje, lodówka pulsuje. W pokoju obok jego matka śpi z mężczyzną, który nie jest jego ojcem. Kiedyś był to pokój jego rodziców, w niektóre noce słyszał, jak baraszkują, robiąc więcej hałasu niż sądzili. Dwie puste sypialnie od frontu wychodzą na Joseph Street, na której nie ma żadnego ruchu. Nelson zastanawia się dlaczego, nawet jeśli dzień spędził radośnie i bezgrzesznie, kiedy budzi się w środku nocy, ma nieokreślone poczucie winy, dręczące wrażenie, że wszystko jest nie tak, że on jest winien, że świat jest winien, jakby ciemność była rodzajem światła ukazującego otchłań, w którą niebawem wpadniemy.

Następnego ranka dzwoni do mieszkania Annabelli. Kobieta ma głos zaspany, Nelson domyśla się, że odsypiała nocny dyżur, a on ją obudził. Przepraszającym głosem proponuje, by ponownie spotkali się na obiedzie, w tej samej restauracji, jeśli by miała ochotę. – O tak, to urocza knajpka – odpowiada Annabella z nutą przesadnej szczerości, jak ktoś, kto usiłuje sobie przypomnieć, o czym jest mowa. Czyżby nie myślała o nim tak często jak on o niej?

Tym razem „Zieleniak” jest zatłoczony. Muszą czekać na boks, a w głowie Nelsona nadal dźwięczą gniewne, żalose, pełne szczerości głosy uczestników grupy Stosunków Międzyludzkich, którą prowadził dziś o dziesiątej. Nie ma matczynej kelnerki, obsługuje ich nieporadna, zaharowana nastolatka, która mogłaby być ich córką. Annabella ma na sobie niebieskie dżinsy i fioletowy golf; jakby tym strojem chciała zademonstrować mu nową, beztroską, niezależną stronę swej natury. A może, gdy mówiła zaspanym głosem, wcale nie odsypiała dyżuru. Ani razu nie stwierdziła, że nie ma partnera.

Nadciągnęły jesienne chłody. Na golf Annabella nałożyła haftowany czerwony zakiet, hinduski, a w każdym razie jakiś orientalny. Przez Elm Street nie przeciąga żaden huragan, niosący za sobą mżawkę, świeci słabe słońce, na obrzeżach miasta niebo zasnuwa biała mgiełka, ale z grusz spadło już tyle liści, że światło, padające przez nagie gałęzie, odbija się od nawierzchni, połyskując na smołowanych łatach. Zaganiana kelnerka usadza ich w boksie od frontu, którego nie zdążyła posprzątać po poprzednich gościach. Tym razem Nelson siada twarzą do okna, skąd przenikający blask rozświetla mu twarz, ujawniając wszelkie niedoskonałości i stargane nerwy. Nelson przywykł do półmroku ośrodka, którego okienka znajdują się na poziomie ulicy, ponurej, zatłoczonej Joseph Street 89. – W zeszłym tygodniu śnił mi się mój ojciec. Nasz ojciec. To był chyba on.

– Nie jesteś pewien?

– Nie widziałem jego twarzy. Ale działał w afekcie. – Jako pielęgniarka musi znać to słowo. – Tak się zachowywał pod koniec. Zanim wyjechał na południe i umarł.

– Wyjechał na południe?

– Nie wiedziałaś? Tak, właściwie... wolał wsiąść do samochodu i pojechać do swego mieszkania w Deleon, to jest po stronie Zatoki, niż stanąć oko w oko z moją matką.

- Rozumiem go. Twoja matka ma własne zdanie.
- Zabawne, uważał, że właśnie tego nie ma.
- Mówiłeś, że działał w afekcie. Na czym to polegało?

Nelson zastanawiał się chwilę.

– Był zniechęcony. Ale uparty. Stwarzał pozory. Ćwiczył golfa na podwórku za domem, choć nigdy tego nie robił. Nie było miejsca – to ogród warzywny, a nie pole golfowe. W istocie nigdy nie ćwiczył golfa. Po prostu stawał na rzutni i uważał, że będzie świetny.

– I był?

– Nie bardzo. Ale był przekonany, że ma ogromne możliwości.

– Myślę, że był kochany. Jak mały chłopiec, którego zawsze ktoś hołubi.

– To cały on. Czy twoim zdaniem ten sen coś znaczy?

– Ty mi powiedz, Nelsonie. Ty jesteś psychiatrą.

– Nie jestem psychiatrą, ciągle to powtarzam pacjentom. Oczekują ode mnie odpowiedzi – cały świat szuka guru. Zbawcy. Nikogo nie zbawię.

– Nawet mnie? – Uśmiecha się, a przynajmniej tak mu się wydaje, bo Annabella twarz ma w cieniu, wielkie okno za nią jest jaskrawożółte, bo z drzew, porastających krawędź chodnika, opadają liście. – Powiedział ci coś w tym śnie? Czy... czy dał ci jakieś polecenia?

– Nie. Nigdy mi niczego nie kazał. Prawie nigdy. Nigdy nawet na mnie nie patrzył, bo to był dla niego zbyt przykry widok.

– A to dlaczego?

– Może przypominałem mu o jego drugim dziecku, tym, które zmarło. Mojej siostrze Becky. A poza tym, był nieszczęśliwy, że jestem taki niski, po matce.

– Naprawdę tak uważał, czy może tak ci się tylko zdaje? Jesteś tego samego wzrostu co ja, a ja nie należę do niskich. Pięć stóp siedem cali.

– Naprawdę? – Myśli o czymś innym, a jest tak rozdygotany, że jej o tym opowiada. – Dziś rano próbowałem prowadzić zajęcia ze Stosunków Międzyludzkich, rozmawialiśmy o tym, jak przetrwać święta – podczas świąt rośnie liczba samobójstw, psychoz, uzewnętrzniają się emocje, bo ludzie zbyt wiele się spodziewają – i nagle przestałem nad tym panować, zaczęliśmy mówić o sensie życia. Glenn, ten gej o skłonnościach samobójczych, który całą twarz ma nabitą diamentami, nakręca się, opowiadając wszystkim, że nic nie ma sensu, wszechświat to zjawisko przypadkowe, czkawka w pustej przestrzeni kosmicznej, nasze istnienie to okrutny kawał, który zrobiła nam ewolucja, a on chętnie machnąłby na to wszystko ręką, ale ma zbyt wiele pogardy dla tej całej farsy, by pociągnąć za spust. To rozwściecza Rosę, która cierpi na psychozę dwubiegunową i w fazie maniakalnej twierdzi, że Jezus przemawia do niej za pomocą swych różnych systemów. Rosa mówi Glennowi, że pójdzie prosto do piekła i że ona nie ma dla niego cienia litości, popatrzy na niego z góry i będzie się śmiała. Teraz zaczyna się wściekać Shirley. Shirley tak się obżera, że waży trzysta funtów i przeszła terapię elektrowstrząsową z powodu depresji. Shirley mówi, że Glenn jest bardzo miły i delikatny i że dla niej sens

życia polega na codziennych dobrych uczynkach, a jakiś daleki Bóg w niebie nie ma z tym nic wspólnego.

– Jak pusta przestrzeń kosmiczna czka? Wyjaśnił to?

– W pewnym sensie. Mówił coś chyba o wirtualnych cząsteczkach. Pusta przestrzeń kosmiczna nie jest wcale taka pusta, pełno w niej wirtualnych cząsteczek, które pojawiają się i znikają w nanosekundach. Jakimś cudem połączyły się ze sobą i spowodowały Wielki Wybuch. Jest z tym na bieżąco.

– To ciekawe. Nie wygląda mi na samobójcę.

– Mnie też nie! Tylko tak gada, żeby nie musiał od nas odchodzić. Jesteśmy jego rodziną. A potem Michael – opowiadałem ci o Michaelu?

– Coś niecoś. To ten ładny synek bogatych rodziców, którzy sami doszli do wszystkiego?

– Właśnie. – Chwilami, gwarząc z Annabellą, ma wrażenie, że rozmawia ze sobą, tak się świetnie zgadzają. – Michael bardzo się denerwuje i mówi, że jest ciekaw, skąd ludzie, którzy myślą, że rozmawiają z Jezusem, wiedzą, że to nie Diabeł, udający Jezusa i że głosy, które do niego mówią, rzucają plugastwa, jakie nie przeszłyby mu przez usta, stąd wie, że nie powstają w jego głowie. Cieszę się, że potrafi o tym opowiadać, bo kiedy raczy się zjawić, jest ponad to. Był na pierwszym roku w Penn, kiedy przeszedł załamanie. Potem Jim – chcesz słuchać tych bzdur? Nie chcesz.

– Skończ, Nelsonie. Chcę. Ale musimy zawołać kelnerkę i coś zamówić. Nie sprzątnęła jeszcze ze stołu, a ja na drugą mam umówionego dentystę.

– Naprawdę? Nigdy nie umawiam się z dentystą po obiedzie.

– Mam w torebce nitkę i szczotkę do zębów – mówi Annabella z afektacją, zadowolona z siebie. Jej puszysta, postrzępiona fryzurka tworzy aureolę na tle okna, twarz, skryta w cieniu, jest okrągła jak zaćmione słońce. Nagle wydaje się Nelsonowi całkowicie obcą osobą, aniołem pustki i zastanawia się, co on tu w ogóle robi, Annabella staje się dlań zbyt wielkim obciążeniem. Ten sam nękający ból, który budzi go w nocy, atakuje jego żołądek i pozbawia apetytu akurat gdy kelnerka, zarumieniona i zaharowana, zjawia się w ich boksie, zgarnia stertę brudnych talerzy w garść i chce przyjąć zamówienie.

– Nie dostaliśmy menu – odzywa się Nelson.

Ale dziewczyna jeszcze nie zdążyła po nie pójść, gdy wtrąca się Annabella:

– Spiesz nam się. Poproszę o hamburgera.

Nelson spogląda na tablicę nad ladą, na której wypisano, co dziś poleca kucharz i mówi:

– Dla mnie niech będzie zupa z grochu łuskanego i pół kanapki z kiełkami fasoli.

– A do picia?

– Kawa.

– Sprite – powiada Annabella.

– Twoje zęby wyglądają idealnie – mówi Nelson oskarżycielskim tonem, gdy kelnerka odchodzi.

– Nie, muszę o nie bardzo dbać. W trzonowych mam mnóstwo plomb i może będę musiała założyć korony. Zawsze lubiłam słodczyce. Potem Jim – odpowiedziała.

– Potem Jim – Jim jest nałogowcem. Żadnym nałogiem nie pogardzi. Ma brzuch piwosza od chlania, palce żółte od papierosów i od lat jest na metadonie. Będzie brał środki pobudzające i uspokajające, uzależni się od pastylek czekoladowych, jeśli nie będzie nic innego.

– Rany – komentuje Annabella.

– Jim powiada, może tylko po to, by nas rozzłościć, że sensem życia jest seks i, nie przebierając w słowach, zaczyna opisywać ostatnią seksualną przygodę. Przewraca oczami i wymądrza się, opowiadając o dziewczynie, którą poznał w barze na Third Street...

– Mów dalej.

– Zapropował, by zrobiła coś, a ona: – Dlaczego nie, przystojniaku, ziemia zaczyna drżeć i trząść się – musiałem mu przerwać, choć tego nie znoszę, ale to był czysty ekshibicjonizm, Rosa wręcz wyszła, było to tak niestosowne...

– Wiem – powiada Annabella. – Mam to samo z moimi chorymi na alzheimera. Zrywają wszelkie hamulce.

– Twój ojciec – mówi Nelson, uznając, że należy zmienić temat. – Ten, którego uważałaś za ojca. Czy on na ciebie patrzył?

Z jej oczu, niebieskich w odcieniu spranych dżinsów, znika senny wyraz, rozszerzają się jak u lalki, którą posadzono prosto.

– Bo mój tata – spieszy z wyjaśnieniami Nelson – we śnie nie patrzył na mnie, choć wiedziałem, że wie, że tam jestem.

– Owszem – odpowiada Annabella. – Frank patrzył na mnie. Zwłaszcza...

– Zwłaszcza jak skończyłaś szesnaście lat.

– Umarł, kiedy miałam szesnaście lat. Zaczął na mnie patrzeć wcześniej. Jak byłam czternastolatką. – Jej oczy odzyskują nieskazitelny spokój. – Ale, wiesz, nic z tych rzeczy. Był cudownym, wielkodusznym człowiekiem. Z moją matką nie było łatwo. Miała temperament i tak naprawdę na wsi nie czuła się całkiem u siebie. Nie umiała rozmawiać z wiejskimi kobietami, a niektóre były menonitkami.

Kelnerka, sprawniejsza niż można by z pozoru sądzić, przynosi Nelsonowi grochówkę i pół kanapki z pierzastymi kiełkami, Annabelli zaś hamburgera, frytki i kawałek ogórka konserwowego, ukrojonego wzdłuż. Zapach mielonego, smażonego mięsa dolatuje doń z laminowanego blatu, przywołując na pamięć szkołę średnią – obiady w stołówce, jazdy samochodem bez celu, kończące się olbrzymimi hamburgerami w Burger Kingu. Od śmierci ojca, spowodowanej zatkaniem tętnic, uważa na to, co je – ciśnienie krwi i poziom cholesterolu ma wysokie, jak na swój wiek. Jest zdania, że Annabella, zamawiając hamburgera, zachowała się agresywnie i również jej strój jest agresywny – fioletowy golf, rozepchnięty bujnym biustem. Podobnie jak wobec sąsiadki z naprzeciwka zastanawia się, czy siostrzyczka ma na sobie beżowy stanik, przylegającą jedwabną Olgę, koronkowe Bali czy satynowe Małoco. Nabiera też przekonania, że jej niewinność jest wyuczona, że to przykrywka. Po dwóch kęsach hamburgera Annabella wyznaje:

– Boję się Święta Dziękczynienia. Nie wiem, czego się po mnie spodziewasz?

– Czego się spodziewam? Niczego szczególnego, po prostu, że będziesz sobą, a inni zachowają się uprzejmie.

– Otóż to. Dlaczego miałiby silić się na uprzejmość? Koleżanka, z którą pracuję w St. Joe's, zaprosiła mnie na to święto do swojej rodziny w Brewer Heights. Lepiej pojedę do niej. Wszystkim będzie łatwiej.

Wchodzi w rolę terapeuty, mówi wolniej, każdemu słowu nadając znaczenie.

– Łatwiej nie znaczy lepiej. Jesteś moją rodziną i chciałbym w święto być z tobą.

– Rodziną jestem dla ciebie, ale nie dla nich. Twojej matce przypominam tylko dawne niedole.

– Niedole tego padołu – powiada, zagłębiając się w siebie, by przewyciężyć jej opór. – O tym myślałem podczas dzisiejszych zajęć – to wszystko jest takie żałosne, my wszyscy, te pogubione dusze, usiłujące tak rozpaczliwie wyrwać się z pomroki – przebić wzrokiem nasze przymusowe zachowania, potrzeby, które nas zżerają. Wpadłem w panikę i straciłem panowanie nad grupą. To grupa prowadziła mnie.

– Kilku staruszków, którymi się opiekuję – podejmuje Annabella, usiłując utrzymać się w tym samym nastroju – myśli, że jestem ich żoną. Chcą mnie trzymać za rękę, uważają, że jestem dla nich w odpowiednim wieku, zapominają, ile mają lat, kiedy nie patrzą w lustro.

– W tym egipskim samolocie, który się rozbił – ciągnie Nelson – jeden z pilotów postanowił popełnić samobójstwo i pociągnąć wszystkich za sobą. Dzieci i wszystkich. Bo nie mógł zapłacić za leczenie córki. Ludzie powariowali. Czasami, gdy siedzę z pacjentami, nie widzę różnicy między nimi i sobą, z wyjątkiem struktury, w której wszyscy tkwimy. Mnie płacą nieszczególnie, a oni mają opiekę też nieszczególną.

– Więc dlaczego chcesz, żebym spotkała się z twoją rodziną w Święto Dziękczynienia?

– Z tego samego powodu, dla którego przyjechałaś do nas do domu – odpowiada Nelson.

– Bez matki jesteś uziemiona. Nigdzie nie chodzisz. Rzucono na ciebie urok i trzeba go zdjąć.

– Mój wybawca. – Delikatnie bierze zwiotczały kawałek ogórka i nim go ugryzie zładnie pięknymi zębami, rzuca Nelsonowi wyzywające, siostrzane spojrzenie. – Na pewno ze mnie trzeba zdjąć urok?

Denerwuje się ze względu na matkę, siostrę i samego siebie, ale w Święto Dziękczynienia wszystko idzie w miarę dobrze, póki nie opróżniono czterech butelek kalifornijskiego sauterne i biesiadnicy nie stają się niespokojni i poirytowani od długiego siedzenia przy stole, mahoniowym stole na wysoki połysk, od lat w rodzinie Springerów, przykrytym aż dwoma obrusami, skoro trzeba było dostawić blaty. Dzień jest nadzwyczaj ciepły, jak na tę porę roku, z przelotnymi deszczami, które co rusz biją o szyby. Zapomniano już o letniej suszy. Teraz przydałby się mróz. Wykiełkowały pędy żonkili i krokusów, a pączki bzu są pełne jak w kwietniu. Niebo się zatkało, choć już wcześniej szczelną pokrywą przesłoniły je emisje z naszych pędzących bezrozumnie samochodów.

Z Harrisonów, Alex, maniak komputerowy, rozwiedziony, przyjechał z Wirginii, a

Georgie z Nowego Jorku. Georgie nadal się nie ożenił i nietrudno zgadnąć, dlaczego. Ron junior przybył z żoną, pulchną Margie i trojgiem dzieci, z nowego osiedla na drodze od dawnej autostrady do Maiden Springs. Razem z Nelsonem i Annabellą to już jedenaście osób, ale ponieważ mama tyle razy korzystała z gościny i krzepiących rad Doris Dietrich, jak się obecnie nazywa, zaprosiła też i ją, wraz ze starym, bogatym mężem, Henrym, którego Doris pieszczotliwie nazywa Detkiem, od DDT. Janice nawet nie marzyła, że Doris przyjmie jej zaproszenie, ale stara dama zgodziła się łaskawie, wyniośle informując, że dali kucharce wolne, a jej słabo się robi na myśl, że miałyby upichcić wymyślne danie tylko dla Detka. Ma on przynajmniej osiemdziesiątkę i jest jeszcze bardziej głuchy niż Doris. Ale nadal trzyma się prosto i wygląda dystyngowanie – arystokrata hrabstwa Diamond, żywa pamiątka czasów, gdy olbrzymie, stare zakłady pończosnicze były zakładami, a nie sklepami sprzedającymi ubrania z rabatem. Po długich wahaniach i naradach postanowiono usadzić go po prawej ręce Janice. Obok niego wyznaczono miejsce Annabelli, której towarzyszem przy stole miał być Georgie, zdaniem Nelsona najmniej groźny z Harrisonów.

A stary pan docenił – cienka czerwona skóra na jego kościach policzkowych lśniła – że posadzono go przy najprzystojniejszych i najmłodszych kobietach spośród przybyłych gości. Margie, jedyna rywalka Annabelli do miana najatrakcyjniejszej niewiasty przy stole, należała do grona owych miejscowych dziewcząt o grubych, krzepkich nogach w białych, wywiniętych skarpetkach i wielkich cyckach, skrytych pod obszernym, sportowym swetrem z emblematem szkolnej drużyny sportowej, które jako siedemnastoletnie cheerleaderki zwalają z nóg męską część populacji, ale po trzydziestce, wzorem matek, toną w tłuszczu. Ron junior również przytył i miał trwałą opalenizną budowlanica. Usta matki, na których często gościł trochę nieśmiały, ale serdeczny uśmiech, u syna zacisnęły się w zawzięty grymas człowieka, który przystał na mniej, niż mógł osiągnąć. Po dwóch latach w Lehigh skończył na wbijaniu kantówek w szkielety tandetnych domów stojących rzędami na półakrowych działkach. Stał się wariantem ojca, umięśnionym, łysiejącym i potencjalnie zadziornym, choć nie miał bladej cery sprzedawcy ubezpieczeń. Alex, najstarszy i najwyższy, teraz był najbardziej podobny do matki – żyłasty i skrzywiony, jak ona po długiej chorobie, inteligentny i sztywniacki w okularach w drucianej oprawie. Czy to z powodu pracy przy miniaturowych obwodach jego usta wyglądają jak ciasna dziurka od guzika? Z trzech braci jemu powiodło się najlepiej, przeniósł się na Zachodnie Wybrzeże, po czym wrócił, wspinając się po krętej drabinie awansu programisty komputerowego, choć w tej dziedzinie, w której bystrzaki i szczęściarze zarabiają miliony przed trzydziestką, mógł czuć się nieco przegrany, w każdym razie był lekko zgarbiony, trochę jak człowiek, który przeprasza, że żyje – podobną postawę, z biegiem lat, zaczęła przybierać jego matka.

Nelson nie pamięta, kiedy uzmysłowił sobie, że jego ojciec romansował z panią Harrison. Miał wówczas własną rodzinę i własne problemy, a znajomi rodziców w jego oczach prezentowali się jako banda podstarzałych ramoli, którzy wysiadali w Flying

Eagle i uważali, że trzeci dzin z tonikiem to prawdziwy odjazd, a powiedzenie „pierdolić” w mieszanym towarzystwie to prawdziwy przełom. Buddy Inglesfinger był największym dupkiem, ale Webb Murkett i jego pulchniutka, młoda żona napełniali go wyjątkową odrazą. Na panią Harrison ledwo rzucał okiem, była tak bezbarwna, tak cicha, tak dręcząco chora. A jednak, gdy po wciągnięciu koki wzrastała jego wrażliwość, wyczuwał prądy – choćby sposób, w jaki dorośli zbijali się w grupki, gdy ich widział razem – mama stawała przy niezdarnym panu Murkettcie albo przysadzistym panu Harrisonie, tato zaś i pani Harrison razem, zawsze o pół kroku z tyłu, szepcząc coś sobie na ucho, a od otaczającej ich, dziwnej aury niezwykłego uspokojenia mrówki chodziły po plecach. Dla Nelsona też była miła, może nieco zbyt miła, jak wobec trudnego dziecka, o którym wiele się rozmawia. Ta kobieta o ziemistej cerze, mająca w sobie coś z belferki, wiedziała o nim zbyt wiele i lubiła go nieco bardziej, niż sam z siebie zasługiwał. Aż dziw, jak potwornie go wkurzała. Murkettowie się rozeszli, a Inglesfingerowie wyprowadzili – Buddy znalazł sobie kobietę równie postrzeloną jak on, ale Harrisonowie i Angstromowie nadal się odwiedzali, sześć miesięcy po powrocie rodziców z Florydy, chodzili razem do kina albo na mecze Blasts, choć tata zawsze twierdził, że nie znosi Ronniego od zawsze, ponieważ Ronnie był łobuziakiem z Wenrich Alley. A Nelson zauważył, że w tym kwartecie ojciec jest cichszy niż zazwyczaj, mniej rozrabia, mniej się ciska, co zawsze tak drażniło mamę, wydawał się bardziej powściągliwy i zadowolony – jakby wydorósł. Trudno było wiązać tę zmianę z panią Harrison, ale jak inaczej to wytłumaczyć? A potem umarła. Ojciec okazywał mniej żalu niżby należało, nawet posprzeczał się ze zbolałym wdowcem na cmentarzu. Jego ojciec był nieczułym, gruboskórnym pajacem, dokładnie tak, jak mówił Ronnie.

Wieść o romansie dawno już wyciekła i zatruwa wszelkie spotkania z przyrodniemi braćmi. Nie żeby coś mówili. Ale wiedzą i upatrują w nim dziedzica winy ojca, skażenia ich skądinąd idealnej matki.

– Ale, cieszę się, że cię widzę – kłamie Nelson. – Nabrałeś już południowego akcentu?

– Jest zaraźliwy – przyznaje dawne cudowne dziecko komputerowe, obecnie pracownik średniego szczebla. – Wirginia to zabawny stan – w połowie grajdoł, a w połowie metropolia, w okolicach Waszyngtonu.

– Jak Pensylwania i Philly – rzuca Nelson.

– Ma silniejsze poczucie tożsamości niż Pensylwania. Stąd pochodzi paru prezydentów, tu była stolica konfederatów, a teraz gwałtownie rusza gospodarka. Drapacze chmur, których nie można stawiać w obrębie Waszyngtonu, buduje się po drugiej stronie rzeki w Wirginii. – Słowa wydobywają się z jego ust z niejakim trudem, jakby zmuszał mózg do wykonania niemiłej czynności.

– Znasz moją siostrę, Annabellę? Właściwie siostrę przyrodną.

– Słyszałem, że ma przyjechać. Jak się masz?

– Cześć – mówi Annabella, zastanawiając się, czy Nelson chciał, by poznała tego właśnie brata. Chyba tak – z dwu pozostałych, jeden jest gejem, drugi, jak zdążyła

zauważyć, ewidentnie ma żonę. Ale dlaczego Nelson zakłada, że nie wyszłaby już dawno za mąż, gdyby chciała? Nelson obrażają myśląc, że nie mogłaby sobie przygodać doktora, kiedy była młodsza. Ten blady mężczyzna w okularach dwuogniskowych, duma rodziny Harrisonów, przypomina lekarza – ta sama chłodna schludność, to samo poczucie wyższości człowieka, który zdołał opanować rzadki język.

– A czym ty się zajmujesz? – pyta, jakby wiedza o jego pracy była powszechna.

– A tak sobie zbijam baki – odpowiada Annabella, drażniąc się z nim, bo taki wydaje się nadęty, taki lodowato obojętny.

Nelson wtrąca się z boku:

– Jest dyplomowaną pielęgniarką teraz ma prywatną praktykę i opiekuje się głównie starszymi.

– Mm, to jest coś – powiada Alex. – Geriatria to sektor bardzo rozwojowy.

– Przeważnie bardziej doskwiera im samotność niż choroby – rzuca Annabella, niepewna, czy Alex jest wrogo nastawiony, czy myśli w kategoriach sektorów.

– Aż trudno uwierzyć, jak wielki balast nieproduktywnej populacji społeczeństwo jest w stanie udźwignąć – ciągnie Alex. – Ale w którymś momencie w następnym stuleciu rządy będą musiały ustalić granicę. Postąpili tak Eskimosi, gdy byli ludem zdolnym do życia. Tak zachowywały się plemiona rdzennych Amerykanów. Na Sycylii robili sobie z tego zabawę – ludzie rzucali poduszki i gdy stary człowiek się udusił, nie było pojedynczego „winnego”.

Jest wrogo nastawiony, uznaje Annabella. – No nie wiem – powiada – jednak warto się starać, nawet jeśli zapominają, co się działo przed chwilą. Łatwo z nimi nawiązać kontakt. Może wstyd im, że są bezużyteczni, lecz nie potrafią tego wyrazić i dlatego są tacy otwarci. – Usta mu się zaciskają, okulary błyszczą. Zrozumiał aluzję, że nie jest otwarty i trudno z nim nawiązać kontakt. Ach, to sondowanie, te zagrywki, w które musimy bawić się w towarzystwie. O ileż łatwiej, myśli Annabella, jest zostać w pokojach, które zna się jak własne ciało, zjeść ciepły posiłek i spędzić wieczór przed telewizorem, bez uciążliwego odbijania piłeczki.

Przy stole dobrze się czuje w towarzystwie pana Dietricha, który ma kształną, długą głowę, mały aparat słuchowy o barwie ciała i wystające, ostro zarysowane kości policzkowe, na których wystąpiły plamy dostojnego podniecenia. Opowiada Annabelli o swych podróżach – okazałych pamiątkach, które bez opamiętania kupuje żona, o oszustwach miejscowych – w Meksyku, Egipcie, na Sri Lance. Daje do zrozumienia, że jest rad, iż jego status materialny pozwala mu finansować zachłanną żonę i zastępy oszustów. – Większość tych cudzoziemców to nicponie – powiada – ale nie można mieć do nich pretensji, skoro nie mają szczęścia być Amerykanami. – I rzuca jej z ukosa chytre spojrzenie, by się przekonać, jak na to zareaguje, po czym zwraca się do matki Nelsona, siedzącej po jego drugiej ręce. – Mam rację, Janice? Słyszałaś, co powiedziałem do tej uroczej młodej damy?

– Nie, Detku, kochanie, powtórz mi.

Pani Harrison jest spięta. Jej ciemne oczy – podobne do oczu Nelsona, ale bardziej wilgotne, kobiece, przykryte rzadszymi rzęsami, skurczone wpływem lat – przebiegają spojrzeniem stół, wpatrując się w te wszystkie związane z nią twarze. Wraz z przyrodnim wnukiem aż się wzdrygnęła, gdy doszły ją podteksty kryjące się w słowach starca. Znają się od dawna, panuje między nimi owa ciepłkowata bliskość, łącząca ludzi w wieku więcej niż średnim – mogą się przekomarzać bez żadnych przykrych następstw.

– Powiedziałem, moja droga, że nie można mieć do cudzoziemców pretensji o to, że są nicponiami, skoro nie mają szczęścia być Amerykanami.

Janice się zastanawia.

– Nie bardzo rozumiem. Skoro są cudzoziemcami, naturalną kolejną rzeczą nie mogą być Amerykanami.

– Właśnie! Otóż to! – Detek triumfalnie opiera wielką, pokrytą plamami dłoń na jej przedramieniu i czule je ściska.

Z drugiego boku Annabelli Georgie pyta ją o przedstawienia na Broadwayu. Nie może uwierzyć, że nie widziała *Kotów* ani *Miss Saigon*. Ale uprzejmie opisuje jej przedstawienie zatytułowane *Walcie dalej*, pokazujące wyłącznie mężczyzn grających na bębnach. Proponuje, że załatwi jej i Nelsonowi bilety: – Stąd jest dużo bliżej do Nowego Jorku, niż się wydaje. Jedzie się mniej niż trzy godziny, a jeśli człowiek nie chce zawracać sobie głowy szukaniem miejsca do zaparkowania, kursuje tam całkiem wygodny autobus. Jeżeli nie macie z Nelsonem ochoty słuchać tego bębnienia, wiem, że odbywają się próby do musicalu *Pocałuj mnie Kasiu*, który ma wrócić na scenę w przyszłym tygodniu. Najbardziej zdumiewające przedstawienie, jakie ostatnio widziałem, nosi dość żenujący tytuł *Monologi waginy*. To sztuka Eve Ensler dla jednej aktorki i naprawdę chodzi w niej o poważniejsze sprawy, niżby można z pozoru sądzić. Mówi o nas, o naszych ciałach. Nas wszystkich. Kobiet, mężczyzn i pośrednich.

– Ale my z Nelsonem nie chodzimy nigdzie razem – musi mu uświadomić Annabella. – Dopiero niedawno dowiedzieliśmy się nawzajem o naszym istnieniu.

– Zadziwiająca – powiada Georgie, chwytając się najmniejszego jej słowa, by podtrzymać rozmowę. Annabella zdaje sobie sprawę, że Georgie czuje się przy niej nieswojo. Z jego ust nie schodzi uśmiech – jak petarda, która w każdej chwili może wybuchnąć. Rysy ma wydatne jak teatralna maska, twarz pomarszczoną od słońca, jakby pracował w polu – Annabella domyśla się, że Georgie dużo czasu musi spędzać na plażach. Jest nienaturalnie szczupły, ma figurę maratończyka, a do tego pełne, ruchliwe usta, duży, haczykowany nos i długie ręce o wyraźnie rysujących się pod skórą sznurach żył.

– Tu się wychowałeś?

– Jasne.

– I nie chcesz się stąd wyrwać? Ja nie mogłem się doczekać. Strasznie chciałem tańczyć i występować w zespołach rewiowych, ale nie załapałem się na żadne przedstawienie, które by długo szło. Taki pech. Teraz staram się związać koniec z końcem – życie w mieście stało się horrendalnie drogie, nawet w byle jakich dzielnicach. Ułatwiam

dokonywanie zakupów w agencji sprzedaży biletów. A prawdę mówiąc, przyjmuję zlecenia telefoniczne. Moi bracia i ojciec uważają, że to idiotyczne zajęcie dla faceta po czterdziestce, ale uznałem, że ani oni, ani nobliwi mieszkańcy elegantszych dzielnic Brewer nie przeżyją za mnie życia. Moja agencja organizuje tournée zespołów teatralnych po kraju, co wymaga pewnych umiejętności zarządzania i negocjacji – naprawdę, nie widzę powodu, bym miał się kajać. Mam bezpłatne bilety na każde przedstawienie, a do tego co dzień przez godzinę ćwiczę jetés i pliés. Nie zarzuciłem tańca, pojawia się coraz więcej ciekawych ról dla dojrzałych mężczyzn. Producenci zwracają większą uwagę na profil demograficzny publiczności. Ameryka siwieje i wszyscy mamy w tym swój udział.

Annabella rozgląda się, unosząc głowę znad rodzinnego sosu. Jak pamięta, jej rodzina czerpała energię życiową od braci, którzy, gdy podrośli, wnosili do domu nieco świata – gry, które uprawiali, nowe umiejętności, powiedzonka i piosenki, ale matka była otyłą samotnicą, a Frank mało się odzywał, prowadził autobusy, by zarobić i jak wszyscy farmerzy czuł się wykorzystywany i pozostawiony na marginesie. Ich wakacje były jakby ukradkowe, bez przekonania. Rodziny jej koleżanek z miejscowej szkoły średniej wyjeżdżały na wakacje dłuższe, bardziej egzotyczne, na Boże Narodzenie dostawały wyższą choinkę, więcej prezentów, a w ich domach świętowano bardziej ochoczo i beztrudnie. W czasie świąt była wystawiona na różne nieprzyjemności – jak dzieciątko Jezus w żłóbku, nagie, na chłód gwiazdzistego nieba – toteż czuła ulgę, gdy się kończyły i wraz z nowym rokiem znowu wtapiała się w bezpieczną pracowitą codzienność. Jamie, jedyny chłopak, którego naprawdę знаła od lat, zaprosił ją na bal dla starszych klas na zakończenie roku szkolnego, a suknia, brzoskwiniowy szyfon z satynową górą gorąca i klejąca się do skóry, wydała się jej kawałkiem ciała rodziców, wykrajany z ich szczupłego budżetu. Czuła się sztywno jak lalka, odpicowana, choć matka, w dzinsach i flanelowej koszuli, próbowała pożegnać ją błogosławieństwem: „Moja śliczna córeczka” – powiedziała. Annabella uważała, że nie ma prawa do takich samych wydatków, jakie rodzice ponosili na rzecz braci: na ich sprzęt sportowy, wycieczki, składki klubowe – jakby w pieśczości matki, pełnej żalostnej czułości, wyczuwała, że jest tylko jej dzieckiem. Z zaciekawieniem przypatruje się innym członkom rodziny, brat jak baranek pośród swego przyrodniego rodzeństwa.

Nelson siedzi na przeciwległym krańcu stołu, pomiędzy panią Dietrich i pulchną niską zadufaną w sobie Margie. Między Margie i Janice wiercą się starsze dzieci, dwaj chłopcy, którzy z nieukrywaną ciekawością wpatrują się w Annabellę. Z drugiego boku Georgie’a zasiedli dwaj jego bracia, Alex, dalej Ron junior, jego najmłodsze dziecko, dziewczynka w wysokim krześle, a obok niej jej dziadek, który, w miarę jak stojąca przed nim butelka wina opróżnia się, z coraz większym zapałem emabljuje panią Dietrich. Jej chropawa powłoka przyozdobiona jest mnóstwem długąsnej, metalowej biżuterii, jakby wyszykowała się na uroczystość bardziej szumną i paradną niż taki rodzinny obiad. Dietrichowie wnoszą do tej biesiady urok pieniędzy, bogactwo solidnego przemysłu włókienniczego, a choć maszyny sprzedano na południe, pracownicy, dawno zwolnieni, pomarli od kłaczków i

trujących środków zwiotczających, to zainwestowane zyski nadal pracują na użytek dziedziców założyciela do trzeciego pokolenia.

Janice siedzi na końcu stołu, naprzeciwko męża i obok dwornego Detka, lecz zachowuje się nie tyle jak gospodyni, co raczej jak gość, szczęśliwy, że się tu znalazł. Czuje się coraz bardziej beztrosko, w miarę jak jej kieliszek napełnia się wciąż na nowo, a biesiadnicy sumiennie konsumują przygotowany przez nią posiłek. Indyk był suchy, a sos nieco za gęsty i zimny, lecz nadzieje, kartofle puree z sosem żurawinowym, kupione gotowe, smakowało wspaniale, choć przydałoby się podnieść jego smak odrobiną kwasu czy pieprzu, ale finezyjne przyprawianie jest sztuką, którą opanowali jedynie mistrzowie kuchni. Z całej postaci Janice bije ulga – ma spokój aż do przyszłego roku. Kiwając potakująco głową, słucha opowieści Detka o miriadach świątyń w Myanmarze, dawniej zwanym Birmą, kraju w południowo-wschodniej Azji, najmniej spaskudzoną przez zachodnich turystów dzięki twardym małym generałom, lecz jej wzrok spoczywa na głowie męża, przysuwającej się coraz bliżej do dyndających, miedzianych kolczyków Doris. Ale nawet tak zajęty Ronnie co rusz rzuca w kierunku Annabelli spojrzenie jak pchnięcie, które wytrąca Janice z równowagi, przenika ją do głębi.

– A teraz ta suka chce startować w wyborach – szorstki, nienawykły do sprzeciwu głos Doris rozrywa tête-à-tête. – Tych dwoje nie ma wstydu.

Dwóm chłopcom, dziesięcio- i ośmioletniemu, nudzącym się jak mopsy, pozwolono odejść od stołu aż do deseru i teraz słychać było, jak tłuką się po werandzie za kuchnią. Annabella patrzy, czy Janice nie zamierza się podnieść, by pozbierać nakrycia, gotowa jej pomóc. Ale gospodyni spokojnie pociąga z kieliszka, choć grzmiący przegląd zamorskich przygód pana Dietricha na chwilę ucichł. Głos żony, który słyszeli wszyscy prócz małżonka, zagłuszył wszelkie rozmowy przy stole.

Nelson wpatruje się w swe rozbabrane jedzenie. Sos żurawinowy zapaprał puree. Marszcząc z niezadowoleniem brwi, pyta:

– A co ma jej pani do zarzucenia?

– Po pierwsze, to krętaczka – podrzuca Ron junior, na wypadek gdyby Doris Dietrich nie miała gotowej odpowiedzi na podorędziu.

– A po drugie, jest taką samą rdzenną mieszkanką Nowego Jorku jak ja – dodaje Alex ze zdumiewającym refleksem, wprowadzając dane do swego komputera.

Musi się wtrącić trzeci brat. – Co to znaczy, rdzenna mieszkanka Nowego Jorku? – pyta Georgie. – Wszyscy tam jesteśmy napływowci.

– Będziesz na nią głosował? – pyta Ron junior.

Annabella czuje, jak Georgie przy jej boku wzdraga się, ale mobilizuje ducha walki.

– Pewnie tak. Jeśli jej kontrkandydatem będzie Giuliani. To spięty dupek, który musi trzymać łapę na wszystkim. Dla mnie jest skończony po tym, jak spanikował z Brooklyn Museum. Próbował wstrzymać im fundusze miejskie, chce rządzić sztuką jak za komunizmu.

Bransoletki na ramieniu Doris pobrzękują, gdy, podpierając się łokciem, wyciąga z ust palącego się papierosa.

– Od dwudziestu lat w tym mieście nie było tak bezpiecznie – powiada. – Już się nie boimy przyjeżdżać tam z Detkiem.

– Może to kwestia demografii – powiada Nelson. – Jest mniej młodych, czarnych mężczyzn. I dzięki dobrej koniunkturze za Clintona więcej z nich ma pracę.

– Według mojego rozeznania dobrej koniunktury nie zawdzięczamy Clintonowi. O rozwoju gospodarki zdecydował amerykański przemysł elektroniczny – oznajmia Alex. – Podatki Clintona tylko go przyhamowały. A teraz ministerstwo sprawiedliwości ściga Microsoft – zabijają kurę, która znosi złote jaja.

– I Alan Greenspan – ogłasza Detek, schwyciwszy uchem tylko fragment rozmowy.

– Nelson broni Clintona, kochanie – woła doń Doris z drugiego końca stołu.

– I pani Clinton też – powiada Nelson. Annabella dostrzega w nim nutkę arogancji – ten lekceważący stosunek do otoczenia może mieć po ojcu.

– Uważam, że oboje są odrażający – wtrąca pulchna żona Rona juniora, która wróciła właśnie z okolic kuchni, sprawdziwszy, co porabiają jej dwaj rozbrykani synowie. – Uważam, że oboje tak samo ponoszą winę za skandal z Monicą.

– Jak to? – pyta Nelson.

– Nie zgrywaj naiwniaka, Nelsonie. Od lat pozwalała mu na skoki w bok. Gdyby nie wybroniła go z tej historii z Jennifer Flowers, nigdy by go nie wybrali.

– Facet jest wyposzczony – odzywa się gospodarz ze szczytu stołu. Różowy rumieniec oblewa głowę Ronniego, skórę na ciemieniu, prześwitującą przez rzadkie włosy, rzuca poblask na delikatne powieki, przenika przez wydatne uszy. – Tak samo przytrzymują zawodowych bokserów.

– To już inne pokolenie, myśli Annabella. Bardziej szorstka, bliższa ciału, mentalność mieszkańca okręgu uprzemysłowionego. Ten człowiek znał jej biologicznego ojca – grał w tej samej sali gimnastycznej, wdychał to samo powietrze, pełne węglowego pyłu.

– A ona i Vince Foster? – pyta Ron junior. – Nie sądzicie, że to wyjdzie znowu, jeśli Hillary wystartuje?

– Król i królowa plugastwa – mówi jego żona, w nagłym przypiływie ekscytacji. – Nie znoszę ich! – To jest właśnie małżeństwo, myśli Annabella, ta wspólna ekscytacja.

– Tak – wpada jej w słowo Georgie, głosem pełnym napięcia, które w nim narastało – będę na nią głosować. – W przeciwieństwie do was wszystkich, republikanów, ma serce na swoim miejscu. Jest za prawem wyboru, wolnością wypowiedzi, za wsparciem biedaków. – Z podniecenia zaczyna się jąkać, pozostali Harrisonowie zwięzają oczy i wzdychają w odruchu litości i pogardy, dziś nie zależy im na takim koźle ofiarnym.

– Jak nieszczęśni Palestyńczycy. Jak pani Arafat. Uwielbiają Nowy Jork. – Kochanie, niech cię uściskam – ciągnie dalej Ron junior.

– W Nowym Jorku – mówi wyniośle Alex do brata – mieszkają same... – zawiesza głos na głosce „p”.

– Chcesz powiedzieć, „pedały” – wpada mu w słowo brat.

– Chciałem powiedzieć „popierdalone świry”, ale ugryzłem się w język. Przy stole

siedzą panie i mała dziewczynka. – Jeszcze mocniej ściąga drobne usta.

– Nie ma popleczników – zauważa Ron senior, który nadal myśli praktycznie. – Wszyscy wiemy, że tego cymbała należało postawić w stan oskarżenia.

– Ależ postawiono go – informuje ojczyma Nelson. – Nie należało go skazywać i, jak zapewne pamiętasz, nie dostał wyroku.

Ale Nelson również nie jest pożądanym kozłem ofiarnym. Jego ojczym tłumaczy cierpliwie:

– Nellie, okłamał nas, naród amerykański. Powiedział w telewizji: „Nie uprawiałem seksu z tą kobietą, jak jej tam”.

Annabella czuje, że powinna się odezwać: – Uważam, że jest doskonałym prezydentem – mówi.

Jej głos, choć nieśmiały, ale czysty i wyraźny, zaskoczył wszystkich. Wzburzony stół, z którego płyną zapachy zjedzonych i niezjedzonych potraw, ucichł. W końcu to gość, o tyle o ile. Kim ona właściwie jest, przybłęda znikąd, o bladej, okrągłej twarzy?

– Jak to, kochanie? – pyta Doris Dietrich z drugiego rogu stołu. Jej jarmarczne kolczyki, kawałki miedzi, pobrzękują, gdy wysuwa głowę, by usłyszeć odpowiedź.

Annabella usiłuje powstrzymać rumieniec, który ani chybi za moment obleje jej twarz. Wyciąga szyję, by płomień rozlał się na większej powierzchni. Uświadamia sobie, że jej uwielbienie dla Clintona zrodziło się podczas godzin spędzonych przed telewizorem, kiedy chłonęła jego pełne powagi i szczerości opinie wyróżniającego się studenta, pauzy, gdy przygryzał wargi, by znaleźć roztropne słowo, nieco chrapliwą wymowę prostaczka. – Z bardzo zwyczajnych powodów – wyjaśnia. – Słuchając go, mam wrażenie, że naprawdę mu zależy, że mnie widzi. Zna życie, pochodzi z nędznej miejsciny, miał okrutnego ojczyma. I jest mądry, zna wszystkie fakty, zawsze ma rację. Ci wszyscy eksperci w telewizji, jak George Willm, mówili, że bombardowanie Kosowa nic nie da, a dało. I jak pojechał na Haiti. I doprowadził do pokojowego rozwiązania w Irlandii.

– To dekonnik! – nie może się powstrzymać Ron junior. – Gdybym był żołnierzem, powiedziałbym mu, gdzie może sobie wsadzić swoje rozkazy. Mnie niech nie wysyła do Bośni!

– Zadano jej pytanie, więc niech spokojnie odpowie – powiada Nelson, przyzwyczajony do kierowania grupami.

Brnie dalej, oblana gorącym rumieńcem, nie znosi bowiem wygłaszania mów, ale – skoro tylekroć miała do czynienia ze śmiertelnie chorymi, wie, co nas czeka, wszystkich, również tych, siedzących przy tym stole – nie boi się wygłosić swego zdania, bo wszak jej prezydent sprawował swój urząd, gdy cały kraj używał sobie na nim, opowiadając tanie, zjadliwe dowcipy. – On naprawdę kocha ludzi. I ma charakter. Wie, kiedy zaryzykować, a kiedy się wstrzymać. I nie chowa uraz, nawet wobec tych kongresmenów, którzy go nienawidzili i usiłowali zniszczyć. Fakt, fatalnie wyszło... gdy potrzebował trochę uczucia, ale może miał do tego prawo. Jak chyba wszyscy?

– Obciążanie druta to trochę uczucia? – pyta gospodarz, rzucając jej spojrzenie,

pchnięcie z przeszłości, w której Annabella nie istniała.

– No cóż...

– Jasne – interweniuje Nelson. – Przecież o to chodzi.

– Też tak uważasz, Georgie? – pyta Alex młodszego brata.

– Spadaj, Lex. Wracaj na łono fundamentalistów. Chociaż w gruncie rzeczy zgadzam się z Annabellą. To żałosne, że w tym głupim, purytańskim narodzie prezydent musi kręcić jak nastolatek. W każdym innym kraju mógłby mieć harem, gdyby dobrze wykonywał swoją robotę.

Detek usłyszał dość, by się zorientować, że rozmawiają o Clintonie. Rozkazującym tonem głuchego człowieka głosi:

– Może ma dobre intencje, ale posuwa się za daleko, oddając wszystkie rządowe pieniądze nierobom. Nic tak nie szkodzi gospodarce jak podnoszenie podatków warstwom zamożnym, historia udowadnia to raz po raz.

– Ależ on właśnie dąży do tego, żeby bezrobotni na zasiłku odpracowywali go – powiada Nelson, dusząc się w tej atmosferze kompletnej ignorancji. – Liberałowie go za to nienawidzą.

– Przez niego wstydzę się, że jestem Amerykanką – wyrывa się Margie. Odezwało się w niej coś zbliżonego do namiętności seksualnej, na twarzy widać ślady młodzieńczego trądziku. – Wystawia Amerykę na pośmiewisko, unurzał nas w plugastwie, a teraz lata po świecie, jakby nic się nie stało. To niesłychana bezczelność.

Jej córka, licząca ze dwa latka, jest za duża, by tkwić tak długo w dzieciennym krzeselku. Słyszając pełen napięcia głos matki i czując, że w rodzicielce wrze krew, zaczyna kopać nóżkami i pochlipywać. Z rozdrażnieniem ciska z bekhendu groszek i kąski pokrojonego indyka ze swej tacki na podłogę. – Spokojnie, Alice – odzywa się Ron junior, który oberwał groszkiem w szyję.

– Ale trzeba przyznać Śliskiemu Billowi, że dzięki niemu zaczęto otwarcie używać tego określenia. Za moich młodych lat trzeba było tłumaczyć dziewczętom, o co chodzi. Nie mogły uwierzyć, że się robi coś takiego.

Janice uważa, że Ronnie wygląda na zmęczonego – sińce pod oczami, zmierzwiłone kosmyki cienkich włosów, zaognione uszy. Straciwszy przedwcześnie pierwszego męża, trzęsie się nad tym mężczyzną o jedwabistej skórze, spokojnym usposobieniu.

Nelson cicho zwraca się do Margie: – Może i bezczelność, ale, na miły Bóg, jest prezydentem – i do Detka, na cały głos: – W istocie, jeśli idzie o finanse, demokrata nie może być już bardziej konserwatywny. Odczuwamy cięcia w ośrodku, może mi pan wierzyć.

– Spójrz prawdzie w oczy, Nellie, ten facet to śmierdziel – powiada Ron junior, któremu córka wierci się na kolanach rada, że wyrwała się z krzesła, ale nie chcąc też więznąć w ramionach ojca. – Zgniłek. Resztki pleśniejące w zakamarkach lodówki.

– Przy nim Nixon to święty – deklaruje z afektacją Alex. – Nixon miał chociaż tyle przyzwoitości, żeby zejść nam z oczu. Przynajmniej było mu wstyd.

– Nixonowi? Słyszałem wyłącznie, jak użalał się nad sobą – rzecze Nelson.

– To plugastwo! – krzyczy Margie w paroksyzmie jakiegoś orgazmu, wyraźnie drżąc. Alice zaczyna pochlipywać ze współczuciem. Matka wyciąga ku niej rękę. – A co sobie dzieci pomyślą? Co powiecie harcerzom?

– Harcerzom! – wykrzykuje Georgie, którego twarz wykrzywia drwiący uśmiech. – Strzeżcie się zgnilizny moralnej – to nam mówił zastępowy. Ale się nie strześliśmy. Harcerze nie są święci. Zastępowy też nie był święty, jak się potem okazało.

– Człowiek wielce spostonowany – oznajmia Detek, do którego doszło słowo „Nixon”.
– Teraz jego postępek przeszedłby bez wrażenia.

– Tak jak na Reaganie nie zrobiła wrażenia afera z Iran-contras – wtrąca Nelson. – Fakt, że nie miał pojęcia, o co w tym wszystkim chodziło. Kliniczny przypadek demencji starczej.

– Ale załatwił Ruskich na cacy. Obalił Mur – powiada Ron senior, który podnosi stojącą przed nim butelkę i stwierdza, że jest pusta. – Janice, mamy jeszcze trochę wina? Czy już nic nie zostało?

Siedząca obok niego Doris Dietrich również zwraca się do Janice.

– Janice, a ty co o tym sądzisz? O kandydowaniu Hillary?

Janice usiłuje się skupić. Myśli, że Nelson, w swej obronie prezydentów, jest bardzo podobny do Harry’ego. Jej syn ma minę, którą Harry nazywał „chorobliwą prawością”. Dlaczego tak się zachowują, dlaczego tak bronią dobrego imienia tych obcych ludzi? Utożsamiają się z nimi. Uważają, że państwo jest tak słabe jak oni. Jej ojciec, który do śmierci nienawidził Roosevelta, bardzo się gorączkował, twierdząc, że demokraci oddają państwo. Wyczekującym gościom gospodyni oznajmia:

– Czy ja wiem... Niech kandyduje, jeśli jej na tym zależy. Żeby miała to z głowy. Ronnie, dosyć już tego wina. Muszę sprzątnąć ze stołu, ale proszę nie wstawać. Annabella mi pomoże.

Ale nie udaje się jej uchronić dziewczyny, gdyż wszyscy, prócz Dietrichów oraz Margie i Alice, zbierają brudne talerze i gromadą zmierzają do kuchni. Dwaj synowie Rona juniora, Angus i Ron III, wyjęli kije golfowe Rona seniora z szafki i zanieśli je na werandę, gdzie wśród postawionych do góry nogami letnich mebli ustawili coś w rodzaju pola golfowego. Wymachy chłopców stają się coraz bardziej zamaszyste, a ojciec dopada ich, zanim zdążyli cokolwiek rozwalić – stół z falistego szkła, przy którym czasem latem jadają albo nową płytę z włókna szklanego do drzwi. – Będą ciastka, chłopcy – obiecuje Janice, a potem uświadamia sobie, że powinna była podgrzewać jabłka i nadzienie z bakalii, zamiast tam siedzieć i słuchać ogólnej kłótni.

Goście kłębią się przy kuchennej ladzie, odkładając talerze, kieliszki i sztućce. Annabella spłukuje je do młynka do rozdrabniania odpadków i wkłada do zmywarki o błękitnym wnętrzu, jakiego dotąd nie widziała. Gospodarz podchodzi, by jej pomóc, do czego ma prawo, w końcu to jego kuchnia. Ale staje nieco zbyt blisko, jest bez marynarki, ma podwinięte rękawy koszuli, aż widać siwiejące blond włosy na przedramieniu.

Delikatnie odtrąca Annabellę i odbiera od niej mokre naczynia. Jest zwarty w sobie, zawzięty, pod tym względem Annabella wyczuwa w nim pokrewieństwo duchowe.

– Duże talerze włożymy do niższego koszyka, a z talerzykami zaczekamy do następnej tury.

– Odsunę się, jeśli woli pan sam to zrobić.

– Dlaczego? Tak jest w sam raz. Ty płuczesz, ja wkładam. – Stoi tak blisko, że Annabella czuje słodki aromat sauterne wokół jego głowy o czerwonych uszach. – A więc – mówi – obciążanie druta to twoim zdaniem wyraz uczucia.

– Tak powiedziałam. – Jest przyzwyczajona do seksualnych zaczepki ze strony starszych panów, toteż nie traci równowagi, wie, że sobie poradzi.

– Jesteś podobna do matki.

– Myśli pan?

– Znałem kiedyś twoją matkę. Zanim zaczęła się zadawać z tym draniem Angstromem.

– Naprawdę? – Obawa i fascynacja walczą w niej o lepsze. Ręka jej drży, wkładając rodzinne skarby – kruche, stare, rżnięte kieliszki do wina do górnego koszyka. Bierze je od niej, po dwa naraz i ustawia na nowo te, które już włożyła.

– Kładę tak, żeby się nie trzęsły i nie potłukły – wyjaśnia Ronnie.

– Jaka wtedy była? – Zadając to pytanie, Annabella już wie, że nie chce ciągnąć dalej tej rozmowy. Odwraca się od niego bokiem, szukając ręcznika, by wytrzeć ręce.

Ronnie mówi cicho, tak że Janice, wkładająca, zbyt późno, ciastka do pieca, nic nie słyszy. – Szła do łóżka z każdym – szepcze do cienkich włosów z boku szyi Annabelli.

– Dlaczego nie zrobiłaś tego wcześniej? – skamle Nelson do matki.

– Wyszło mi z głowy – odpowiada. – Wszyscy tak się emocjonowali Clintonem. Przecież jego kadencja upływa tak czy tak?

– Nie tak zaraz – krzyczy Ron junior z werandy, gdzie usiłuje zaprowadzić porządek.

– Jak też się musi czuć – mamrocze Ronnie do Annabelli – nieślubna córka dziwki i menela?

Łzy napływają jej do oczu jak za smagnięciem gałązki podczas spaceru po lesie. Nelson widzi zmianę na jej twarzy, widzi, jak odwraca się gwałtownie od zlewu, nadal trzymając mokre ręce w powietrzu i dwoma susami znajduje się u jej boku. – Co się stało? – pyta. Oddech ma gorący, oczy głęboko zapadnięte.

– Nic – wykrztusza z siebie Annabella, powstrzymując szloch.

– Co ci powiedział?

– Nic takiego.

– Zapytałem ją – mówi Ronnie pasierbowi tonem towarzyskiej pogawędki – jak to jest być bękartem kurwy i menela. Ale nie prosiłem, żeby mi obciągnęła druta.

– Ronnie! – woła Janice od piecyka, puszczając drzwiczki, które się zatrzasnęły.

– Kurczę – powiada, tylko nieco skonfundowany – po cholere tu przyjechała, żeby nam opowiadać, jaki z Clintona jest wspaniały facet?

Nelson staje przed nim w wojowniczej pozie, choć jest niższy i nigdy nie zaliczał się do

atletów.

– To ty powiedziałaś mamie, że może przyjechać. Powiedziałaś, że chcesz zobaczyć, na kogo wyrosła córka Ruth Leonard.

– I teraz wiem. Wygląda tak samo jak ona, tyle że nie jest ruda. I pewnie nieźła z niej pizza. – Z jego chłodnego osądu przebijają lata skrywanej niechęci cnotliwca.

– Nie mogłeś tego znieść, co? – powiada Nelson. – Ojciec wygrywał z tobą za każdym razem. Za każdym razem, gdy występowałaś przeciwko niemu, bił cię na głowę. Tak to było, Ronnie. On wygrywał. Ty jesteś przegrany.

– Dużo wiesz – powiada Ronnie.

Do kuchni wepchnęło się dwóch starszych synów Harrisona. – Co się dzieje? – pyta Ronnie.

– Mamo – zwraca się Nelson do matki. – Dlaczego za niego wyszłaś? Jak mogłaś nam to zrobić? – Zdaje sobie sprawę, że „nam” obejmuje również jego zmarłego ojca.

Janice sprawia wrażenie, jakby rozmawiała już z synem na ten temat i czuje się nim śmiertelnie znużona. – Jest dla mnie dobry – tłumaczy. – Za dużo wypił. Mam rację, Ron?

– Nie – odpowiada. – Właściwie za mało. Wyście wszystko wytrąbili z waszego końca.

– Zapomnij o wszystkim, co powiedział – mówi Janice do Annabelli. – Chodźmy na spacer, w parę osób. Póki ciastka się nie zagrzeją.

– Znowu zaczęło padać – przestrzega Alex.

Ron junior chce bronić ojca, ale nie wie dokładnie przed czym. – Ty gnojku – mówi do Nelsona. – Ty wymyśliłeś, żeby ją tu sprowadzić.

– To go wytrąciło z równowagi – Georgie próbuje wyjaśnić sytuację z perspektywy nowojorczyka. Patrząc na ojca z dystansem, na jaki tamci dwaj się jeszcze nie zdobyli, widzi wiekowego człowieka, który coraz bardziej posuwa się w latach. – To wspomnienie go podminowało. – Jego przedwcześnie postarzała twarz, o przesadnie wydatnych rysach, w gwałtownie uniesionej zmarszczce uśmiechu w kąciку ust odsłania rys wspólny z braćmi – satysfakcję, że ktoś wreszcie przyłożył Królikowi Angstromowi za nakłonienie matki do cudzołóstwa.

– Nie jestem podminowany – oznajmia Ronnie z kamiennym spokojem, niewzruszony jak agent ubezpieczeniowy, który nie pójdzie sobie, nie opuści domu klienta bez sprzedania polisy. – Ja chcę decydować o tym, kto przebywa pod moim dachem.

– W takim razie wychodzimy – oznajmia mu Nelson. – Dość tego. Przyjdę po swoje rzeczy, kiedy tej świni tu nie będzie.

– Nelsonie, nie masz dokąd pójść!

– Coś sobie znajdę. Chodź, Annabelle. Tędy – ku zdumieniu wszystkich robi gwałtowny unik, by obejść Ronniego, po czym odrywa spory kawał papierowego ręcznika z rolki pod staromodnymi drewnianymi szafkami i wręcza go siostrze, by wytarła mokre, namydłone ręce.

Odrętwiała, uginając się pod brzemieniem hańby, idzie za nim z powrotem do jadalni, mijając wysoką serwantkę, w której cenna porcelana Koernerska, skarb mamy Springer,

drży od tupotu dwóch par uchodzących nóg. Annabella musi pospiesznie drobić, by dotrzymać bratu kroku. Wystroiła się na to przyjęcie w biały, kaszmirowy sweter i ciemnobrązową spódnicę, może nieco zbyt obcisłą i krótką na tak uroczystą okazję. Ale właściciele butików w centrach handlowych tylko takie zamawiają z Nowego Jorku.

Przy stole została tylko Margie z małą Alice i Dietrichami. Chmura z papierosa Doris zawisała pod sufitem wokół wypukłego, mosiężnego oświetlenia. Nelson zatrzymuje się, pochyla i mówi: – Bardzo mi przykro, ale zaszło coś nieoczekiwanego i musimy uciekać przed deserem. Życzymy państwu wszystkiego najlepszego. Mamie potrzebna jest taka przyjaciółka jak pani. Margie, nie w pełni zgadzam się z tobą co do Clintona, ale córkę masz naprawdę urocą.

– Do widzenia – chrypi Annabella w kierunku stołu ledwo słyszalnym szeptem, gardło ma obolałe od tłumionych łkań. Dotyka mokrych policzków papierowym ręcznikiem, trzymanym w ręce, której nie ściska Nelson, ciągnąc ją za sobą. Dwaj chłopcy wbiegli przed nimi do saloniku i włączyli telewizor. Mecz piłki nożnej: biało-zielone kostiumy rozstawione na jaskrawozielonej murawie za pomocą żółtej, dziesięciojardowej linii, którą stworzyła grafika komputerowa. Góra telewizora zastawiona jest bibelotami, jest wśród nich ciężkie, bladozielone szklane jajko, które od dziecka wydawało się Nelsonowi cudowne. Jak udało się zamknąć w środku tę bańkę powietrza w kształcie łyzy? Nelson nie ma płaszcza, a marynarka Annabelli wisi w holu. Frontowe drzwi, o cienkich szybach ze zdobionego szkła matowego, ciężko chodzą w wilgotny dzień, ale otwierają się ze skrzypieniem, wypuszczając ich na świeże powietrze ganku. Pada, chłodne tchnienie budzi do życia. W dzieciństwie zawsze uwielbiał ten ganek, ganek dziadków Springerów, gdzie rozsiadła się wyściełana huśtawka, która piszczała i pachniała jak pokryty ceratą materac w jego kojcu. Stał tam też fotel z niemalowanej wikliny. Teraz nie korzysta się z ganków, meble zabrano na nieczynne dziś wysypisko śmieci w Mt. Judge w czasach, kiedy nie zwrócił na to szczególnej uwagi. Dorosłość najwyraźniej polega na niezwracaniu szczególnej uwagi. Wiklina w jego dziecińczych nozdrzach pachniała macierzystą rośliną, wierzbą z bajki, drzewem, które rośnie nad stawem i zanurza opadające gałęzie, porośnięte pierzastym listowiem, w kryształowo czystej wodzie. Nelson zmysły ma znowu nieskażone, deszcz bije mu w twarz, męczyzna wyraźnie słyszy, jak bębni w liście klonu w górze, gdy ciągnie siostrę do sfatygowanej białej corolli, w której ją tu przywiózł. Dom naprzeciwko, gdzie jaśniały dynie i kobieta w staniku, jest ciemny, pusty. Sąsiedzi wyjechali na święto i nie zobaczą, jak dziedzic posesji przy Joseph Street 89 opuszcza ją na zawsze.

IV.

– Zgoda, zgoda, zawaliłem to – kaja się Ronnie przed Janice. – Zachowałem się jak gbur, ludzie nie mają wpływu na okoliczności swego poczęcia.

– Powinieneś zadzwonić i przeprosić. – Ten incydent zdenerwował ją, wzbudził dość

gniewu, by go wyładowała. Ronnie zobaczył w tej dziewczynie zmarłą kobietę, którą pieprzył, wystartował do niej i zaatakował w poczuciu bezsilności. Nie świadczy to dobrze o jej pozycji, żony. Gdy się uspokoiła, dojrzała jasno, że ożenił się z nią, by zemścić się na Harrym i zawładnąć domem. „To mój dom” – powiedział, ale to nieprawda, to był jej dom, dom, w którym się wychowała, dom, który duma jej matki czyściła i polerowała, a pieniądze ojca utrzymywały. Otaczał ich dobytek Koernerów i Springerów, Angstromowie dołożyli najwyżej parę gratów, byli nikim w hrabstwie i nic po sobie nie pozostawiają prócz kamieni nagrobnych.

– Jeszcze do tego nie dojrzałem – odpowiada Ronnie. – Nie mam pewności, że zachowam się jak należy. Ona uwielbia Clintona, na miły Bóg. Pewnie się prowadzi z bandą cudaków z North Brewer.

Janice orientuje się, że Ronnie chciał się pieprzyć z tą dziewczyną i jako dobrej żonie jest mu go żal na myśl o jego ciężkim fiucie, który zwisa pod owłosionym bandziochem, nie wiedząc, co ze sobą począć, fiucie płaskim z wierzchu, z ciężką, żalostną pałą, obrzezanym, w przeciwieństwie do Harry’ego. Nie ma gdzie skryć żołędzia. Zadzwoń przynajmniej do Nelsona – powiada.

– Przecież nie wiemy, gdzie jest, prawda? – Słusznie przypuszcza, że żona ma nieco więcej informacji. Od Święta Dziękczynienia minął długi weekend. Nelson przyjechał w niedzielę, gdy Ronnie był w kościele. Ronnie wiernie chodzi do nieokreślonego kościoła fundamentalistycznego za Arrowdale, do którego uczęszczali z Thelmą. Gdy Janice kiedyś zapytała, na co mu to, warknął: – Na to, co wszystkim. Bo wszyscy jesteśmy grzesznikami. – Janice odebrała to jak policzek. Harry nigdy by tego nie powiedział, w najmniejszym stopniu nie uważał się za grzesznika. Stara się nie czuć nienawiści do Thelmy, skoro już nie żyje, ale nie powinna była dzielić z nią dwóch mężów. Janice po matce należy do kościoła episkopalnego, ale nie przejęła po Bessie Springer zwyczaju regularnego uczestnictwa w mszy. Przez całe lata w niedzielne poranki miała zbyt wiele roboty: latem spotkania żeńskiego klubu tenisowego w Flying Eagle, a zimą ćwiczenia na bieżni na siłowni w zamierającym centrum handlowym po drodze do Brewer. Nie zapuści się tak jak matka. Najbardziej w sobie lubi swą zgrabną figurkę. Ale matka miała przyjaciółki, z którymi się prowadziła po śmierci taty – Grace Stuhl, Amy Gehringer – a Janice nie ma nikogo. A zatem w niedzielne poranki zostaje sam na sam z kolorowymi rubrykami brewerskiego „Standardu”, podczas gdy jej mąż komunikuje się ze zmarłymi.

Znając domowe zwyczaje, Nelson zadzwonił pięć minut po tym, jak Ronnie przestąpił próg domu i przyjechał na miejsce kwadrans później. Zabrał ze sobą dwa naręczna ubrań i powiedział, że wróci po jeden z telewizorów i parę krzeseł z góry, gdy tylko coś sobie znajdzie. Spał na podłodze u Annabelli na East Muriel Street, w poniedziałek zacznie szukać dla siebie pokoju. Annabella czuje się dobrze, tylko strasznie płakała, bo wszyscy Harrisonowie jej nienawidzą. Uspokoił ją, że Georgie nie czuje do niej nienawiści, a inni nie zdawali sobie sprawy ze swych prawdziwych uczuć. Tak czy tak, był to błąd. Kolejny błąd popełnił, zbyt długo trzymając się rodzinnego gniazda, z braku lepszego pomysłu, a

także łudząc się, że matka go potrzebuje.

– Nie potrzebujesz mnie, mamo. Świetnie sobie radzisz. Ronnie też jest całkiem w porządku, jak na takiego durnego palanta. Dobrze o nim świadczy, że tak długo ze mną wytrzymał.

Nie bardzo mogła go od tego odwozić. Kochała Nelsona za to, co razem przeszli, ale w swoim wieku nie dawała już rady zaspokajając jego potrzeb. Będąc sami, oboje z Ronniem, dbali o siebie nawzajem, między innymi, czego nigdy głośno nie mówili, przygotowując się do śmierci, a proces umierania mógł zacząć się w każdej chwili. Nocny ból, mamy wynik badań laboratoryjnych i zacznie się zjazd. Oboje widzieli, jak w ten sposób odchodzili ich partnerzy. Czuła, jak niemowlę wyslizguje się jej z namydlonych rąk i przez parę sekund nie mogła go znaleźć w mętnej, szarej wodzie, wypełniającej wannę. Jeśli Kościół mówi prawdę, już niedługo połączy się ze swym dzieckiem. To ofiarowuje jej śmierć.

Dała Nelsonowi kawałek zapiekanki, którą przetrzymała dla niego w lodówce i powiedziała, że bardzo jej przykro z powodu tego, co się wydarzyło. Chyba wszyscy poczuli się okropnie z wyjątkiem Detka i trojga dzieci. – Nie – odparł jej syn. – Nareszcie sytuacja się wyjaśniła. Uświadomiłem sobie, jak wrednie was wykorzystuję. Nie było powodu wszystkich was w to wciągać, moja siostra to sprawa między moim tatą i mną, nie wami.

To było wczoraj. Teraz Janice mówi Ronniemu: – Możesz zadzwonić do niego do pracy. – Przyjmuje to jak polecenie, bo przeholował.

Niełatwo mu będzie przeprowadzić tę rozmowę, ale namówienie klienta do kupna polisy przedstawia zbliżony stopień trudności. Podejdzie do tego podobnie – otoczy się skorupą i będzie mówił z wewnątrz.

– Nelsonie, masz chwilkę?

– Chwilkę tak. – Za dziesięć minut zaczyna zajęcia z Relacji Międzyludzkich.

– Paskudnie się zachowałem wobec Annabelli.

Nelson czuje się urażony, słysząc jej imię z jego ust, ale słucha dalej.

– Musiałem być zalany.

– Aż tak? Żeby wspominać o cipie jej matki?

Pacjenci ośrodka może i są nieprzystosowani, ale mają długie uszy. Przez otwarte drzwi swego maleńkiego gabinetu Nelson widzi kilka głów w świetlicy, wśród nich Rosę, która rozmawia z Jezusem. Jest nową pacjentką, ma czterdzieści siedem lat i zaburzenia obsesyjno-kompulsywne. Gdy ją przyjmowano, uderzył go widok jej rąk, szorowanych bez litości, spierzchniętych, o paznokciach obgryzionych do różowego mięsa. Przypomina sobie, że Pru miała takie długie, czerwone dłonie – o niezdarnych przegubach, delikatnych opuszkach.

– Słuchaj – naciska głos Ronniego – naprawdę bardzo mi przykro, więc już odpuść.

– Mam odpuścić? W zasadzie chyba nie mnie powinieneś przeproszać, lecz Annabellę.

– Wolalbym trzymać się od niej z daleka. Wkurza mnie jej gorące uczucie do Clintona.

– Naprawdę to Clinton cię wkurzył? Powiedz no, Ronnie, kiedy na nią patrzyłeś, co

zobaczyłeś?

- Zobaczyłem dupę o gorącym serduszku, za wielkim na jej minispódniczkę.
- I co jeszcze? Rusz głową.
- Zobaczyłem Ruth Leonard w latach pięćdziesiątych. Dawała dupy każdemu.
- Nie wykręcaj się. Kogo jeszcze widziałeś?

Ronnie nie odzywa się, ale świadczy to nie tyle o wrogości, co o tym, że się zastanawia. Nelsonowi nigdy się z nim tak dobrze nie rozmawiało. A stało się to dzięki przeprowadzce, już po czterech dniach. Pierwszy raz Ronnie poczuł doń nieco szacunku. – Chcesz, żebym powiedział, że twego ojca – wyrzuca z siebie w końcu.

– Tylko jeżeli to prawda.

– To prawda. Jest do niego bardziej podobna niż ty. I przestań mnie dobijać tymi pytaniami. Wściekasz się na mnie, bo dupczę twoją matkę.

– Tak uważasz? A może właśnie za to cię lubię, ja cię tu nie zastąpię. Właściwie to nawet cię lubię, Ronnie. Z jakichś powodów nie zagrażasz mi tak, jak zagrażałeś tacie. Naprawdę cię lubię. Podoba mi się, że tak się troszczysz o mamę i o ten nasz dom, wielki jak stodoła. Troskliwy z ciebie facet. Agenci ubezpieczeniowi to troskliwi faceci, którzy roztaczają pieczę nad najbliższymi, gdy żywiciel rodziny kopnie w kalendarz. Próbujesz zaprząć do pracy zmarłych, tak jak ja próbuję zaprząć do pracy świrów. Nie jesteśmy nadętymi ważniakami, jesteśmy odpowiedzialnymi obywatelami. Clinton cię wpieprza, bo wszystko uchodzi mu na sucho. Tak samo było z moim ojcem. Ale powiem ci jedno, Ronnie: jak zauważyłem, nic nikomu nie uchodzi na sucho. Ci, którzy uniknęli kary, sami ją sobie wymierzają. To dotyczy każdego. Sami się ze sobą rozliczamy.

Ronnie milczy, rozważając to, szukając haka. – Ale pieprzysz – odzywa się w końcu. – W takim pierdoleniu stałeś się mistrzem.

– Lubię cię z jeszcze jednego powodu, Ronnie – Nelson doznał tak silnego olśnienia, że musiał je natychmiast z siebie wyrzucić. – My dwaj jesteśmy chyba ostatnimi ludźmi na ziemi, których mój ojciec jeszcze wpieprza. A wpieprza nas, bo chcieliśmy usłyszeć od niego dobre słowo i nigdy nam się nie udało. Był od nas gorszy, ale też i lepszy. Bije nas na głowę. Patrząc na Annabellę, widzisz żywy dowód na to, że cię zakasował – dymałeś Ruth, ale on zrobił jej dziecko i teraz wpatruje się w ciebie jej oczyma. Zgadza się?

– Sam już nie wiem – przyznaje Ronnie. – A powiedz, co ten dzieciak dla ciebie znaczy?

– Mam poczucie, że ojciec mi ją zostawił, żebym się nią zaopiekował, a ja nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać. Święto Dziękczynienia nie wypaliło. Twoi synowie też się na nic nie zdali.

– Pozwól, że ci coś powiem ze szczerego serca – zaczął Ron Harrison tonem obłudnika. – Chcę ci otworzyć oczy. To sprytna mała cipa, która sama świetnie potrafi o siebie zadbać. A teraz uważaj. Tam w kuchni rozochociłem ją. Chciała, żebym ją przeleciał. Czuję to i musiałem ostro ją potraktować, dla dobra rodziny. Poświęciłem się.

– Głupoty pieprzysz – mówi Nelson i odkłada słuchawkę. Ta długa rozmowa wystraszyła Rosę i nowego pacjenta, przeraziło ich to, co podsłuchali. Nelson rusza za nimi do

światlicy, by się dowiedzieć, czego chcą i pokazać im, że zasadniczo jest zrównoważony, normalny i godny zaufania.

Od: Taty [nelsang.harrison@qwikbrew.com]

Data: Piątek, 10 grudnia, 1999, 17.11

Do: royson@buckeymedia.com

Dotyczy: zmiany adresu

Kochany Royu – przepraszam, że dopiero teraz odpowiadam na twoje wiadomości i żarty. Ten o tym, ilu studentów teksaskiego A&M potrzeba, żeby wkręcić żarówkę, jest zabawny, ale trochę okrutny, zważywszy że przy układaniu stosu na ognisko zginęło dwunastu młodych ludzi, a większość z nich to byli studenci pierwszego roku, którym tę robotę zlecili starsi, ale, jak się okazało, wcale nie mądrzejsi. Jak pójdziesz na studia, ufaj własnemu rozsądkowi. Ja w Kent State straciłem mnóstwo czasu na popijawy ze studencką bracją, zanim twoja mama nie wzięła mnie za łeb. Była trochę starsza i otrzymała bardziej życiowe wychowanie.

Ostatnio odpowiadałem ci z opóźnieniem, bo wyprowadziłem się z domu, w którym mieszkają twoja babcia i pan Harrison, tak że nie mam codziennego dostępu do tego komputera, a teraz używam go cichcem, korzystając z tego, że oboje poszli do centrum handlowego, żeby zrobić świąteczne zakupy, a potem może obejrzą film, nowego Jamesa Bonda albo nowego Toma Hanksa. Przemówiliśmy się trochę podczas Świąta Dziękczynienia, co przyspieszyło moją wyprowadzkę, ale przymierzałem się do niej już od jakiegoś czasu. Zastanawialiśmy się nad tym z twoją mamą, kiedy rośliście tam z Judy, ale jakoś nie mogliśmy się zdecydować, zwłaszcza że czynsz był bardzo atrakcyjny (\$0.00).

Za trochę więcej (\$85 tygodniowo, więc powiedz mamie, że mam nowy wydatek), wynająłem duży pokój od frontu na Almond Street, bocznej od Eisenhower Avenue, trzy przecznice od przejścia podziemnego, gdzie ty i Judy, i mama, jeśli będzie miała ochotę, możecie przenocować, kiedy przyjedziecie na Wschód po Bożym Narodzeniu. Można rozłożyć materace na podłodze, a śpiwory pożyczysz się od dwóch dziewcząt, które mieszkają w drugiej połowie piętra. Obie mają po dwadzieścia parę lat i pełnią funkcje sekretarek, ale to się teraz nazywa asystentka administracyjna i organizatorka danych wejściowych korporacji. Rzadko je widuję, ale czasem późno w nocy słyszę, jak przychodzą ze swymi okropnymi partnerami.

Mieszkam na Almond Street dopiero od tygodnia, ale jestem dość zadowolony. Mam telewizję kablową, inne niezbędne wyposażenie i łazienkę z prysznicem. Brak tu kuchni, ale twoja babcia podarowała mi małą kuchenkę mikrofalową o pojemności jednej stopy, Magic Chef, żebym mógł rano zrobić sobie kawę, a wieczorem podgrzać posiłek do jedzenia przy telewizji. Sklep mam przy tej samej ulicy. W tym pokoju mieszkała córka gospodyni, zanim wyszła za mąż i wyprowadziła się, tak że zostało po niej mnóstwo słodkich drobiażdzków.

Kiedy przyjedziesz, musisz poznać swoją nową ciotkę, a właściwie ciotkę przyrodnią, jeśli coś takiego istnieje. Jest nieśmiała, ale bardzo miła i wie o tobie wszystko. Jeśli chodzi o te protesty w Seattle, to przypominam sobie, że kiedy byłem w twoim wieku, ludzie protestowali przeciw wszystkiemu i dochodziło do zamieszek. Policjantów wyzywano od świń, a prezydenta jeszcze gorzej, tak jak teraz. Historia chyba powtarza się cyklicznie.

Cieszę się, że twoje urodziny dobrze wypadły i przepraszam, że rocznica wyleciała mi z głowy. Daj mi znać, co chciałbyś na prezent i załatwimy to, kiedy się tu zjawisz. Własny telefon komórkowy to trochę dużo, mimo że wszyscy twoi koledzy go mają. Trzeba wносить comiesięczne opłaty, które musiałbyś pokrywać z własnej kieszeni. Możesz wysyłać do mnie e-maile pod ten adres, ale jak powiedziałem, nie mam do niego łatwego dostępu. W pracy nie mogę wykorzystywać komputera do wysyłania prywatnych e-maili. Ale w mieszkaniu mam telefon: 610-846-7331. Zadzwoni, kiedy będziesz miał ochotę pogadać. Całuję ciebie i wszystkich fantastycznych Angstromów z Akron. Tata.

Nie jest zdziwiony, gdy Pru dzwoni następnego ranka. Głos ma pogodniejszy, bardziej

dziewczęcy, niż pamiętał z poprzednich lat.

– Nelsonie, co cię napadło, że wynosisz się od mamusi?

– Nie ma tu dla mnie miejsca. Ronnie to kawał kutasa, co mój tata zawsze powtarzał.

– Czy to twoja niby-siostra cię do tego namówiła?

– Annabella nigdy by na to nie naciskała.

– Ale doprowadziła do tego, co mnie się nie udało.

– Czyżby? Nigdy tak jasno nie stawiałaś sprawy. Nie mogłaś się zdecydować, podobnie jak ja. Mieliśmy wszystko za darmo, łącznie ze stałą opieką dla dzieci.

Pru milknie, usiłując sobie przypomnieć, jak to właściwie wyglądało. Nelson oczyma duszy widzi jej kościstą twarz, wessane w zamyśleniu wargi, jak u kosmonauty, który zaczyna odczuwać działanie siły ciężenia. – Może musiałam się wyrwać z Pensylwanii – powiada Pru. – Wszyscy są tu mili i przyjaźni, ale panuje jakiś duszny klimat moralny. Myślę, że tak jest lepiej dla Judy, nie musi się przeciw niczemu buntować.

– A Roy?

– Przeraza mnie, oczywiście, że ciągle siedzi przed komputerem, ale jego koledzy są tacy sami. My oboje widzimy na monitorze mniej więcej te same stare bzdety, a oni dopatrują się w nich magicznej przestrzeni, pełnej tuneli, przejść i możliwości zrobienia strasznej forszy. W takim świecie wyrastał.

Zdaje sobie sprawę, że Pru chce się go poradzić, jako rodzica, współpracownika w tym niezmiernym, przypadkowym przedsięwzięciu, jakim jest wprowadzenie istoty ludzkiej w świat.

– No tak, zawsze coś jest. Telewizja, samochody, kino, bejsbol. Tradycja ludowa. Ludzie muszą mieć tradycję. A zresztą Roy zawsze lubił bujać w przestworzach.

– Ale masturbuje się jak szalony. W internecie jest mnóstwo pornografii. A on nie ma tyle rozumu, by przetrzeć prześcieradło chusteczką.

Nelson wzdycha, postrzegając pętlę seksu, w którą nieuchronnie wpadnie Roy, jako mroczne i bezlitosne wszystkożerne zwierzę.

– No cóż. Myśli, że tego nie widać. Mnie się chyba też tak wydawało. A tak nawiasem, jak układa ci się życie na odcinku romansu?

Jeszcze tydzień temu nie ośmieliłby się zadać tego pytania, ale wyprowadzka ustawiła go na innej stopie nie tylko względem ojczyma, ale i rozwiedzionej żony. Pru jest od niego starsza o rok i ten rok wybijał się w ich związku od początku – jako studentka starszego roku wydawała się tym cenniejszą zdobyczą, gdy zaczęli się spotykać na uniwersytecie Kent State. Do tego doszły takie atrybuty dorosłości, jak pensja sekretarki, samochód (przeżarty solą brązowy valiant), własne mieszkanie w Stow i znajomość tajników seksu, gdy w kluczowym momencie wpychała mu łechtaczkę w kość miedniczną i miała orgazm, jak gdyby nigdy nic, jakby to było jej święte kobiece prawo. Ale gdy się pobrali, ta różnica roku stała się kłopotliwa, jakby Nelson jedynie zmienił matkę. Nic dziwnego, że tak dobrze dogadywała się z tatą. Ostatnimi laty ta różnica znowu znaczyła coraz mniej, była zaledwie nieco ambarasująca, jak to, że Pru jest leworęczna, a wyrosła z tego roku, gdy ona miała

czterdziestkę, a on zaledwie lat trzydzieści dziewięć. Miał czterdzieści jeden lat, gdy go opuściła, odchodząc w parnym sierpniowym upale, by zapisać dzieci do szkół w Akron. Latami narzekała na wspólne mieszkanie z jego matką i Ronniem, a także pracę Nelsona, bo trzymanie za rączkę socjopatów, nadymanie sobie ego ich kosztem nie daje żadnych perspektyw, a do tego troszczy się o nich bardziej niż o własną żonę i dzieci, ale w sumie uznał, że właściwie chodziło jej o to, co kiedyś wykrzyknęła, błyskając zielonymi oczyma, jak odłamkami szkła w zaczerwienionej twarzy: „Moje życie z tobą jest za małe!” Za małe. Jakby, jako organizatorka danych wejściowych u latynoskiego prawnika i chętna dupa, prezentowała sobą coś więcej. Ale życie jest takie, za jakie uważa je sam człowiek. Pru była jednym z siedmiorga dzieci, a choć jej ojciec, były hydraulik, zmarł z powodu wypicia zbyt wielu piw, a matka, szczupła, drobna, snobująca się na mieszkankę irlandzka katoliczka mieszka w domu z zapewnioną opieką, to ma jeszcze sześcioro rodzeństwa i ich potomstwo, przed którymi może odgrywać ciotkę. Podczas gdy ciotka Mim miała tylko jego. A teraz Annabelle.

– Aleś ty wścibski – odpowiada Pru. – A układa mi się świetnie. Na początku przyszłego roku odchodzę od Gekopoulosa. Chcę pracować z ludźmi, może w jakiejś agencji kształtowania wizerunku. Tu z gotowych formułek układam roszczenia odszkodowawcze i ugody rozwodowe, co jest zajęciem dość monotonnym.

Nelson powstrzymuje się od wyrażenia poglądu, że życie w ogóle jest zajęciem dość monotonnym.

– W tej pracy chyba nie wykorzystujesz w pełni swoich zdolności.

– Dzięki, tylko jakich zdolności, można by zapytać. Ale ciągle drąży mnie myśl, że przecież do czegoś się nadaję. Potrafię być miła. Na ogół mnie lubią, przynajmniej z początku. Może razem z Judy powinnam się zapisać do szkoły dla stewardes. Tyle że w czasie lotu strasznie mi się pocą ręce. I nie znoszę tych długich lądowań, kiedy przelatuje się nad autostradami i cmentarzami.

Boże Narodzenie spędza z matką i rodzeństwem, a potem jedzie do niego, taki szmat drogi, mijając góry i kamieniołomy, młyny i farmy, autostradą przez osiem, dziewięć godzin, na zmianę z Judy za kierownicą, Roy na każdym postoju z nosem w grach komputerowych. – Kiedy tu przyjedziecie po świętach, gdzie chcecie nocować? – pyta Nelson. – Mam tylko ten jeden pokój. Ty możesz zatrzymać się u mamy i Ronniego, a dzieci prześpią się u mnie w śpiworach. Czy Judy jest już na to za duża?

– Pomyślimy o tym. Najważniejsze, że zobaczą się z ojcem.

– Racja. Mogę coś powiedzieć? Cieszę się, że zobaczę się też z tobą.

– Mhm. Hmm – odpowiada tonem cwaniary z Akron.

– Zabawmy się – nalega. – Życie jest za krótkie.

– Dam ci Roya – powiada Pru. – Judy wyszła.

– Jak leci? – pyta Nelson syna.

– W porządku – pada ostrożna odpowiedź. Nelsona zawsze zaskakiwał dziwny, głęboki głos Roya. Córkę Nelson pokochał od razu – poważne spojrzenie jej orzechowych oczu,

kwadratowe stopki, nóżki w kostce elastyczne jak przeguby, malutką pękniętą bułeczkę między nogami. Roy o surowych oczach i wystającym guziczku penisa miał w sobie coś z intruza z obcej planety, nieubłaganego rywala, domagającego się miejsca dla siebie, jedzenia, poświęcania mu uwagi.

– Dostałeś chyba mój e-mail.

– Taak. Dziękuję.

– Jak tam w szkole?

– Dobrze.

– Uczysz się czegoś ciekawego?

– Właściwie nie. Nasz nauczyciel informatyki pokazał nam błędy w programowaniu Windows 98. Uważa, że Bill Gates w tym momencie powstrzymuje technikę surfowania po internecie i rząd ma rację.

To była chyba najdłuższa wypowiedź, jaką kiedykolwiek usłyszał z ust Roya. – Tu mnie sporo wyprzedzasz – mówi. – Nigdy nie będę wiedział o komputerach tyle, co ty teraz.

– To proste. To logika booleańska.

– Czy chcesz robić coś specjalnego w hrabstwie Diamond? Kupować w sklepach dyskontowych? Jeść w restauracji na szczycie Mt. Judge? Odwiedzić jeszcze raz wapienną jaskinię? Chociaż na zimę mogą ją zamykać.

Przechodząc kolejne punkty tej ponurej listy, uświadamia sobie, że w hrabstwie Diamond nie ma co robić – tylko urodzić się, żyć i umrzeć.

Ale w poważnym, dźwięcznym głosie Roya zadźwięczała nagle energia i świadomość celu.

– Tato, może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale w hrabstwie Diamond znajduje się jedna z największych na świecie firm biotechnologicznych. W Hemmingtown – wiesz, gdzie to jest?

– Wiem.

Rola troskliwego ojca zaczyna trochę Nelsona nużyć. Uświadamia sobie, że jego syn jest maniakiem komputerowym, nudziarzem w oczach kolegów i udręką dla nauczycieli.

– Genomics dot.com. Są słynni w internecie. Uczą się przeszczepiać geny, by utworzyć wirusy zżerające choroby u ludzi. I neutralizować części komórki powodujące starzenie się. I to wszystko czysta robota.

– Roy, szczerze mówiąc, to brzmi strasznie. Jeśli nikt nie będzie umierał, gdzie się pomieszczą te wszystkie nowe ciała? Ale sprawdzę to. Chcesz tam pójść?

– Chciałbym przynajmniej zerknąć na ten budynek.

– Jeśli wejdiesz do środka, możesz złapać wirusa.

– Do tej części mnie nie wpuszczą.

– Jak już powiedziałem, rozejrzę się. Cieszę się, że robią tu coś, o czym słyszałeś.

Chłopak się rozkręca.

– Tato, miałeś pojęcie, że niedługo chipów komputerowych nie będzie się produkować, tylko hodować, jak bakcyle na płytce Petriego? Pojedyncze jony będą działać jak

tranzystory.

– Roy, nie chcę odrywać cię od lekcji.

– Taak. Dobra. Do widzenia.

Trzask odkładanej słuchawki, zanim Nelson zdążył powiedzieć: „Kocham cię”.

W Brewer zainstalowano bożonarodzeniowe oświetlenie – od sznura wielokolorowych, miniaturowych, migających żaróweczek, upiętych w oknie sklepu spożywczego na Almond Street, po zielono-czerwone betonowe orły oświetlone jaskrawo na szczycie dwudziestopiętrowego budynku sądu hrabstwa. Przycisnąwszy twarz do szyby w bocznym oknie swego mieszkania, Nelson widzi czerwony koniuszek masztu flagi. W strefie handlowej wokół ośrodka biuro sprzedaży dyskontowej ustawiło na wystawach dekoracje z ułożonych w stożki stert ryz papieru, ołówków automatycznych i pudełek dyskietek, obsypanych sreberkami i konfetti, a SuperDruk odbił wieniec na arkuszu każdego rodzaju papieru kolorowego, jaki ma w ofercie i rozwiesił je na długim sznurze jak bieliznę, jak pranie w tęczowym świetle. W ośrodku pacjenci, pod okiem personelu, dzielnie usiłują odpędzić świąteczne smutki za pomocą śniegu z waty, elektrycznych, oszczędnościowych świeczek w oknach i wysokiej na siedem stóp choinki tak przeładowanej wykonanymi ręcznie dekoracjami, co zaburzony umysł nieodpowiednimi myślami.

Nelson może teraz pieszo wracać do domu i lubi te przechadzki – dziesięć przecnic na zachód od Weiser Street, za dawną fabryką pastylek na kaszel, opustoszałą, lecz, po tylu latach, nadal pachnącą miętą wzdłuż kwartałów szeregowych domków, zbudowanych, kwartał po kwartale, z funduszy robotniczych związków kas oszczędnościowo-pożyczkowych, w stuleciu poprzedzającym obecne, które właśnie dobiega końca. Część teraźniejszych mieszkańców przyozdobiła swe ganeczki i drzwi z półokrągłymi okienkami oraz frontowe okna z katolicką bądź zielonoświątkową żarliwością – podwójnymi lub potrójnymi sznurami lampek w krzykliwych kolorach, grubymi, błyszczącymi lametami, a także, tu i ówdzie, gipsowymi szopkami oraz oleodrukami z postacią dorosłego Chrystusa, jakby chcieli powiedzieć: i na co przyszło temu dzieciątku, którego narodzinom przyświecała gwiazda? Stał się brodatym człowiekiem-Bogiem, zrodzonym, by zawisnąć na krzyżu.

Nelsona znają już w sklepie, a on zna sprzedawców i kasjerów: bujną tlenioną blondynę, która mówi slangiem i czasem przyprowadza śniadego synka, by odrabiał lekcje w kącie za fotokopiarką (dziesięć centów za odbitkę); zachmurzoną białą dziewczynę o niezbyt pięknej karnacji i krótko obciętych włosach, z których jeden kosmyk ufarbowany jest na zielono; zawsze z nosem w grubym podręczniku akademickim, otrząsającą się nieufnie, jeśli powie się jej miłe słówko; starszawego mężczyznę o błagalnym spojrzeniu załzawionych oczu i mizernej znajomości angielskiego – zapewne jest to uciekinier z komunistycznego imperium, które nagle wyparowało; zatrwającą potężnego czarnego faceta o ogolonej głowie, który bez przerwy słucha głośnego rapu i hip-hopu oraz rozmawia przez telefon w niezrozumiałej, karaibskiej angielszczyźnie; drobną Latynoskę o

kręconych włosach i przekłutym kolczykiem języku. Teraz już prawie nie zwracają uwagi na Nelsona, gdy przychodzi koło pół do szóstej, by kupić sobie gotowy obiad do podgrzania w kuchence mikrofalowej na wieczór i ćwierć litra mleka w kartonie do porannej owsianki. Stawia je na parapecie, gdyż grudniowe noce są tak nadzwyczajnie ciepłe, że mleko szybko się kwasi.

Nelson uważa, że telewizja jest głupia, ale lubi nagły rozbłysk technicolorowych barw, które pokazują się w kilka sekund po naciśnięciu pilota, co też robi, gdy tylko przekroczy próg mieszkania. Dżin, zjawiający się po potarciu lampy, mnóstwo dżinów. Ogląda, póki jego inteligencja nie przestaje wytrzymywać naporu głupoty, a cierpliwości nie wyczerpią reklamy, które coraz zachłanniej przerywają program, gdy tylko staje się interesujący. Ale na niektóre reklamy czeka z utęsknieniem. W reklamie nicodermu występuje zgrabna kobietka, mniej więcej w jego wieku, z drobną zmarszczką na podbródku, świadcząca o dojrzałości i doświadczeniu, w sukni prostej w ramionach, przekonująca, że ten oto plasterek w szybki i skuteczny sposób pomoże rzucić palenie. Niezmiernie przypada mu do gustu rzeczowe spojrzenie, któremu towarzyszy zaledwie cień uśmiechu. Jej oczy dają do zrozumienia, że gdy tylko widz rzuci palenie, pójdą razem przez życie na czystszych zasadach. Jeszcze bardziej podoba mu się młodsza kobieta reklamująca Secret Platinum, „najsilniejszy dezodorant dostępny na rynku bez recepty”. Kobieta ma ciemną karnację i ani grama tłuszczu z wyjątkiem pełnych warg i w miarę, jak rośnie siła jej perswazji, a ciało podskakuje i podryguje po ekranie, oblewa się coraz większymi strumieniami potu, aż w szczytowym momencie filmiku aktorka napręży mięsień i unosi ramię, rzucając z ukosa diaboliczne spojrzenie prosto na Nelsona. Daje z siebie wszystko na ekranie, da z siebie wszystko w łóżku, rozszyfrowuje podtekst Nelson. Chryste, ależ potrzebuje kobiety. W niektóre noce, jak w tym dowcipie, który przysłał mu e-mailem syn, nie starcza mu skóry, żeby zamknąć oczy. Próbuje zrobić sobie psychoanalizę – dlaczego te dwie kobiety z reklam na niego działają? Zdaje sobie sprawę, że obie są silne. Potrzebuje kobiety, która obejmie nad nim pieczę. Na znalezienie jej w pracy szanse ma marne – z pacjentkami nie wolno mu nawiązywać prywatnych stosunków i podobnie powinno być z koleżankami, nawet gdyby były atrakcyjniejsze niż brzydka, poważna Katie Shirk, nadąsana, zadzierająca nosa Andrea, prowadząca terapię sztuką czy Elenita, recepcjonistka z Dominikany, o włosach ufarbowanych na pomarańczowo i upiętych na górze w wełniane motki, jak Sideshow Bob w *Simpsonach*, albo Esther, starsza od niego Żydówka, żona wziętego prawnika, która jest *nazbyt* silna. W barach, do których zwykł chodzić, dziewczyny zrobiły się, jak dla niego, o wiele za młode, tak młode, że wydawały mu się głupiutki, jak te dwie za ścianą. Mówią „jakby” i „no wiesz”, i każdą frazę kończą na wydechu, jak młodociane prezenterki radiowe. Nelson myśli, że się z niego zgrywają, naśladowując filmowe wampy, ale jest to ich naturalny sposób mówienia. Gdy któraś z dziewcząt za ścianą zaczyna chichotać, a jej głos i pomruki kochasia splatają się, coraz oszczędniejsze w słowach, aż zapada milczenie, przechodzące w zwierzęce odgłosy, Nelsonem nie targa szczególna zazdrość, czuje się raczej, jakby w myślach rozebrał lalkę Barbie i stwierdził, że jest

gładka i sztywna, nie ma sutek, a nogi się jej nie uginają.

Czeka, by zadzwoniła jakaś kobieta. Mama dzwoni, żeby zapytać, jak Nelson sobie radzi, ale jej telefony stają się coraz rzadsze. Na rynku nieruchomości panuje duży ruch, jakby pod koniec roku – stulecia, milenium, dotychczasowego świata – rozgorączkowani ludzie zapragnęli odnowy pod nowym dachem. Ona sama zbiera się do wyjazdu na Florydę, gdzie ma mieszkanie w Deleon, jak tylko przejdzie Boże Narodzenie i wyjadą wnuki.

– Szczerze mówiąc, Nelsonie, trochę się tego boję, bez ciebie w domu będzie dziwnie.

Nelson jest niewzruszony.

– Ronnie do mojej siostry odniósł się jak kutas, a pozostali Harrisonowie wcale nie byli lepsi. Ty zachowałeś się znośnie, ale nic ponadto. W końcu byłeś żoną taty przez trzydzieści trzy lata.

– Trudno, żebym się roztkliwiała, widząc ten owoc miłości na boku.

Uśmiecha się z tego określenia „owoc miłości”. Nelson zawsze był blisko z matką. Wmawiano mu, że jest typowym Springerem – drobnym, ciemnookim, a do tego niezłym kombinatorem, jak dziadek, a teraz zastanawia się, czy by nie poluzować tych więzów. To nagłe pojawienie się siostry, tego owocu miłości, daje okazję zbliżenia się do taty, do tych cech swojej natury, które odziedziczył po Angstromach.

Jednak trzecie spotkanie na obiedzie w „Zieleniaku” odczuł jako krok wstecz. W listopadzie Elm Street wygląda ponuro, a ta ponurość po części spowodowana jest niesamowicie ciepłą pogodą, dziś ponad sześćdziesiąt stopni, co przekreśla wszelkie nadzieje na śnieżne Boże Narodzenie i wzbudza taką samą obawę przed globalnym ociepleniem co letnia susza. Planetę diabli biorą. Podniesie się poziom oceanów, pola uprawne zamienią się w pustynie. „Zieleniak” spsiał. Jedyne bożonarodzeniowe dekoracje to spłaszczone, białe sferoidy z błyszczącego, byle jakiego tworzywa w oknie i przy lustrach za ladą – nie prawdziwe bożonarodzeniowe kule, lecz o wymiarach dwa i pół, jak wytwór grafiki komputerowej. Nelson jeszcze raz przeprosza Annabellę za wstrętne zachowanie rodzinnego grona.

– Mogłam się tego spodziewać – mówi Annabella. – Nie powinnam była przyjeżdżać.

– To moja wina. Wyobrażałem sobie, że wszyscy będą patrzyli na ciebie moimi oczyma i zobaczą to, co ja.

– To znaczy co, Nelsonie?

– Uroczą istotę – odpowiada. Owoc miłości. Nagle zapragnął położyć ręce na jej dłoniach, szerokich, o krótko obciętych paznokciach, spoczywających na laminowanym blacie. Chowa ręce, jakby czytała w jego myślach.

– Nie jestem taką uroczą osobą, Nelsonie. Robiłam paskudne rzeczy i ze mną też wyprawiano różne świństwa.

– Nikt nie jest święty – odpowiada Nelson. Te słowa w jego uszach brzmią protekcyjnie, odzywka starszego brata. – Takie jest życie – dodaje, co również brzmi głupio. Ale o czym ona właściwie mówi?

– Myślę – powiada Annabella – że na razie powinniśmy dać sobie spokój. Mieszkasz sam i musisz dojść do ładu ze swoją rodziną. Ja właściwie nie jestem twoją rodziną.

Jak te białe bożonarodzeniowe bombki, które właściwie nie są bombkami.

– Jesteś, do cholery.

– Wyjeżdżam przed świętami i jeszcze na parę dni później. Ta koleżanka, co ci mówiłam, z którą byłam w St. Joe, razem z mężem zaprosiła mnie, żebyśmy we trójkę pojechali do Las Vegas i pomyślałam sobie, właściwie czemu nie, nigdy tam nie byłam, właściwie nigdzie nie byłam. Mówią że jeśli się nie uprawia hazardu, wszystko jest dość tanie. Jest tam mnóstwo fantastycznych budynków, po których można łązić za darmo.

– No to musisz zajrzeć do ciotki Mim. Twojej ciotki Mim. Siostry ojca. Poważnie. Opowiedziałem jej o tobie i bardzo się ucieszyła. Jest niesamowita. Prowadzi tam salon piękności. Nie wiem, jak się teraz nazywa, miała paru mężów, ale jej panięńskie nazwisko to Miriam Angstrom i podam ci numer jej telefonu. Zadzwońię do niej i uprzedzę. Skontaktuj się z nią. Proszę. Nie będzie żadnych zgrzytów, ciotka Miriam to fajna babka. – Z ulgą myśli, że Annabella będzie miała z kim spędzić święta, więc on z czystym sumieniem wpadnie do Ronniego i mamy. Zastanawia się, czy wszyscy mają takie sumienia pokręcone odkąd pamięta i zawsze niespokojne.

– Nie chcę, Nelsonie. Miałabym jeszcze jedno na głowie.

– Jak uważasz – odparł ostro. Odrzuciła jedną z tych paru rzeczy, które mógł jej ofiarować, perełkę z jego własnych genów. – Zostawię ci numer ciotki na sekretarce, ale nic jej nie powiem o twoim przyjeździe. – Przygnębiająca atmosfera „Zieleniaka” zaczyna dawać mu się we znaki. Nie bardzo ma o czym rozmawiać z tą na pół obcą osobą. W końcu czerpie natchnienie z dziennika telewizyjnego. – Jak myślisz? Powinni odesłać tego małego Kubańczyka do ojca i tej nędzy, czy zatrzymać w ojczyźnie Disneya?

– Odesłać do ojca.

– Zgadzam się z tobą. – Niesamowite, jak się ze sobą we wszystkim zgadzają. Niesamowite jak ta pogoda.

Telefon rzeczywiście dzwoni któregoś wieczoru, gdy Nelson po raz kolejny ogląda *Star Trek*. Ale to nie kobieta, lecz męski głos z przeszłości, należący do Billy’ego Fosnacha. – Dostałem numer od twojej matki. Dowiedziałem się od małego Rona Harrisona, że się wyprowadziłeś. Jego żona jest moją pacjentką.

– Wredna suka. Skrajna chrześcijańska prawica.

– Gdybyś znał jej szczękę tak jak ja, byłoby ci żal kobitki. Dosłownie kreda. Zrobiłem trzy implanty, trzymając kciuki.

Billy ukończył szkołę dentystyczną w Bostonie, pod Bostonem, o nazwie Tufts. Przyjaźnili się od dziecka, widywali się w Brewer, gdy Nelson się szlajał, po „Luz bluesie” i innych tego rodzaju miejscowych przybytkach, lecz gdy Nelson przed dziesięcioma laty przestał brać, ich drogi się rozeszły. – Co to jest implant? – pyta.

– Nellie, jak możesz nie wiedzieć, co to jest implant? Ja się tym zajmuję. To wszczepiony w kość sztuczny ząb. Najlepsze robią w Szwecji. Wyrывa się prawdziwy

zęb, który jest już zepsuty do korzenia, bo inaczej wstawiłoby się w korzeń złoty sztyft i nałożyło koronę, po czym otwiera się dziąsło i wsuwa śrubę tytanową z nicią wewnętrzną i zewnętrzną, i jeśli wrośnie w kość w ciągu pięciu, sześciu miesięcy, wkręca się w nią sztuczny zęb i gryziesz jak nowym. Jeszcze lepiej niż nowym. Robię trzy, cztery takie implanty dziennie. Tylko wtedy, jak wstawiam implanty, jestem szczęśliwy.

– Nie jesteś szczęśliwy, Billy?

– Nieważne. Później ci opowiem. Spotkajmy się na obiedzie. Ja stawiam. Jestem przy forsie, a nie mam żony, żeby mi to wydała.

Billy zaczął mówić w nowy sposób – dynamiczny, autoironiczny, gwałtowny. Cztery miesiące starszy od Nelsona, w czasie wspólnie spędzanych lat dzieciństwa był parę cali wyższy i pierwszy dostawał najbardziej pożądane dziecięce zabawki. Podczas seksualnego zamętu lat sześćdziesiątych jego rodzice przeżyli krótki wspólny epizod, po czym się rozstali, jak wszystkie ówczesne pary. Pani Fosnacht umarła potem na raka piersi, a ojciec Billy’ego – drobny, chuderlawy facecik, który prowadził sklep muzyczny nad starym kinem Bagdad na Weiser Street, gdzie teraz jest wielka dziura w ziemi – ruszył na południe i zniknął w Nowym Orleanie, kolebce jazzu. Z rozmowy starych kumpli wynika, że choć raczej nie mają tych samych pacjentów, obaj pomagają członkom społeczności Brewer zacząć od nowa oraz obaj, będąc w średnim wieku, nie wiedzą, co ze sobą począć. – Jasne – odpowiada Nelson w kwestii obiadu.

Umawiają się w śródmieściu, w restauracji na Weiser Square, gdzie przed laty w Gospodzie Johnny’ego Fryera serwowano kotlety, potem była tam Café Barcelona, Chrupki przysmak, czyli naleśniki, bar sałatkowy, a teraz Casa della Pasta – makarony podobno dobrze wpływają na stan tętnic, a są pożywniejsze niż sałatki czy naleśniki. Okazuje się, że w dniu ich spotkania Charles Schulz oznajmił, że kończy komiks *Fistaszki*, a Jimmy Carter udał się do Panamy, by oddać im Kanał.

– Dwa razy musiał go oddawać – zauważa Billy. – Raz, kiedy był prezydentem, a teraz jako były. Zwróć uwagę, że Clinton jest za sprytny, żeby się tam pokazać. Przekonasz się, że za dziesięć lat w tej strefie będą rządzić czerwone Chiny. Ci Latynosi ją sprzedadzą.

Nelson wzdraga się, gdy ktokolwiek lekceważąco wyraża się o Clintonie czy jakimkolwiek urzędującym prezydencie. Ma to po ojcu. Tata nie lubił Billy’ego, wyśmiewał jego pulchne wargi. Jednak na widok starego kumpla Nelsonowi robi się ciepło na sercu – był współnikiem jego dziecięcych marzeń, spisku nieprzytomnej prędkości, z jaką wyrostki pędzą w swych fantazjach i triumfującej przemocy; chłopcy wchodzą ze sobą w tę znowę niczym do namiotu za domem pod przerażającymi gwiazdami. Billy, który był gruby jak jego zezowata, pechowa matka, zrobił się chuderlawy jak ojciec, choć wyższy. Włosy, czarne kędziory, których nie odziedziczył po żadnym z rodziców, zrzedły mu na ciemieniu jeszcze bardziej niż prosty język Nelsona. Na tyle głowy Billy ma łysinę wielkości jarmułki. Zawsze było w nim coś, co nie pozwalało otoczeniu traktować go całkiem serio i z tego wesołego chłopaczka wyrósł na wygadanego, drwiącego z siebie Żyda, który przejął hipochondrię od nauczycieli i kolegów z protetyki

stomatologicznej. Tak, powiada, jego ojciec jeszcze żyje, gra na klarncie w tak zwanych kapelach dixielandowych, choć jako biały jest na dużo gorszej pozycji, a prócz tego wdaje się w różne podejrzone interesy, próbując związać koniec z końcem. Tak, Billy był żonaty – nawet dwukrotnie, raz z miłą dziewczyną z Newton, poznaną tu, w Nowej Anglii, a potem z jedną z asystentek, która pomagała mu w miejscowej praktyce. Pierwszy związek rozpadł się przez drugi, a potem i w nim zaczęły się kłopoty. Druga żona była od niego dwanaście lat młodsza i chciała się bawić znacznie częściej niż on, a prócz tego miała dość jego nocnych potów, wrzasków przez sen i zmiennych nastrojów.

– Nastrojów? – pyta Nelson.

– Byłem przygnębiony, rozdrażniony, nie mogłem spać. W weekendy czułem się tak wykończony i znudzony, że modliłem się o jakiś nagły wypadek. Z naprawą struktur zębowych daję sobie radę. Żony – ciągnie – wyłączają się całkiem bezwiednie. Najpierw przestają się starać, a potem obcinają już nawet podstawowe sprawy – raz na tydzień, potem dwa razy w miesiącu, później już tylko w czasie wakacji i podróży zagranicznych. Portugalia, Australia, Acapulco – taki kawał drogi, żeby się trochę pobzykać ze ślubną małżonką?

– W moim wypadku – zaczyna Nelson, ale Billy nie słucha go.

– A potem, kiedy dajesz do zrozumienia, że może w tym małżeństwie coś idzie nie tak, udają kompletnie zaskoczone i każą adwokatowi wydrzeć ci wszystko, co się da, bo to ty z tym wyszedłeś.

Z Billym, który od lat ma do czynienia z ludźmi o unieruchomionych szczękach, łatwo się rozmawia i wystarczy niewielka zachęta, by otworzyć upust jego wymowy. – Krzyczysz przez sen? – pyta Nelson.

Kelnerka, która przypomina trochę spoconą piękność o oliwkowej skórze z reklamy Secret Platinum, przerywa im, proponując dania dnia. Billy zamawia kokardki z krojonymi krewetkami, a Nelson grzybowe ravioli. Obaj rezygnują z wina na rzecz wody. – Weź gazowane pellegrino, jest strasznie drogie – powiada Billy. – Pamiętaj, ja stawiam. – Opowiada dalej Nelsonowi: – Tak, mam straszne sny. W jednym zostałem wepchnięty do bagażnika samochodu, twarz mam wciśniętą w lewarek i widzę jak samochód – wiesz, we śnie widzi się z zewnątrz i od wewnątrz – zostaje zepchnięty do rzeki, tak jak matka zrzuciła kiedyś dzieci w Południowej Karolinie. W innym śnie gdzieś jestem, mój dom, w innym miejscu, płonie, a ja nie mogę się do niego dostać, choć widzę płomienie, przebijające się przez podłogę, tuż pod moimi stopami. – Milknie na chwilę. – Więc... co o tym sądzisz?

Więc... dlatego zaprosił Nelsona na obiad, by uzyskać bezpłatną konsultację. Nie chodziło tylko o te dobre, stare czasy, gdy mieszkali w namiocie za domem. Nelson nie lubi udzielać fachowych porad poza ośrodkiem. – Raczej nie zajmujemy się snami podczas terapii. Nie ma czasu. Towarzystwo ubezpieczeniowe żąda natychmiastowych rezultatów. Przesyłają gości z powodu jakiejś kryzysowej sytuacji. „Proszę wziąć te tabletki. Następny, proszę”. Ale drugi sen jest dość oczywisty. Kiedyś nocowałem u was, gdy była

tam twoja matka i szczeniak, spłonął nasz dom w Penn Villas, o milę stamtąd.

Billy podejrzliwie wydyma wargi i oczy też trochę wychodzą mu na wierzch.

– Kiedy to było? Ile mieliśmy lat?

– Ze dwanaście, ty mogłeś mieć trzynaście. Poważnie, zapomniałeś?

– Teraz sobie przypominam, że chyba coś mi się obilo o uszy, pewnie usłyszałem o tym w wiadomościach. Ale, Nelsonie. Mniejsza o sny. Te ataki dopadają mnie w środku dnia. Oblewam się zimnym potem, serce wali mi z podwójną szybkością, jakbym ćwiczył na ruchomej bieżni. I myślę o śmierci, o tym, że mnie zaplombują w małym, ołowianym pudełku; cały wszechświat będzie trwał nadal, obracał się, wybuchał, czy co on tam do diabła robi, w każdym razie, będzie ciągnął, aż w końcu padnie, a ja wciąż w tej skrzynce, zapomniany od Boga i ludzi. Umrę, ciągle tkwi mi to w głowie. Muszę teraz nosić lateksowe rękawiczki, lecz wciąż mnie prześladowuje myśl, że kropelka krwi przesiąknie z dziąseł jakiegoś faceta i zarażę się AIDS. Wystarczy, że kropelka spadnie na minimalne otarcie. To mnie pozbawia wszelkiej przyjemności z zakładania implantów.

Nelson musi się roześmiać, jego przyjaciel jest tak zaabsorbowany sobą, tak solennie przeżywa umysłową udrękę. Czy chce, by jego paznokcie, włosy w nosie, trwały wiecznie?

– W naszym wieku, Billy, powinniśmy już się z tym pogodzić.

– A ty się pogodziłeś?

– Chyba tak. To tak, jakbyś się zdrzemnął, tylko że się nie obudzisz i nie będziesz musiał szukać pantofli. – Nie okazuje zrozumienia, a widzi, że Billy cierpi, choć jest tylko zabawnym starym kumplem. Nie tylko wargi ma pulchne, nos również mu pogrubiał, wygląda jak doczepiony na środek twarzy, skóra na nim jest dziwnie wybladła. Już z pewnym współczuciem Nelson radzi: – Uwierz w Boga i życie pozagrobowe, może to ci pomoże. Istnieją jakieś dowody – ludzie, którzy przeżyli śmierć kliniczną są o tym absolutnie przekonani i nie mogą się doczekać, by wrócić na drugą stronę.

– Bóg – powiada szyderczo Billy. – Jak można wierzyć w Boga po holocauście? Czy Bóg pomógł mojej matce? Obcięli jej cycki, a i tak umarła.

Nelson pamięta panią Fosnacht, jej bezradne oko z wywróconym białkiem, otwarte, szczere spojrzenie i duże, przyjacielskie, niechlujne ciało, zazwyczaj wystającą halkę i buty wypuczone z boku, jakby ją uwierały. Była miła, uważała, że Nelson wywiera dobry wpływ na Billy'ego. – Napady lęku – uspokaja go – zazwyczaj ustępują. Organizm nuży się nimi na dłuższą metę i przerzuca się na coś innego.

– Nellie, nie jestem w stanie przejechać przez tunel. Nie przepadam też za mostami, zwłaszcza Running Horse, bo wygina się w łuk. Ale jak mam się dostać na konferencję w Nowym Jorku, skoro nie mogę przejechać przez tunel? Muszę dobrnąć do Fort Lee i tracić nerwy na ulicy George'a Washingtona.

– I tak nie możesz narzekać – pociesza go Nelson. – Wokół Brewer nie ma tuneli.

– Nie, ale są przejazdy dołem. Muszę zebrać wszystkie siły, żeby przejechać pod Eisenhower i Seventh. Nie mogę przebywać w zamkniętym pomieszczeniu. Nawet tu, jak pewnie zauważyłeś, musiałem usiąść koło drzwi. Samolotem nie leciałem od rozstania z

Moirą. To cynowe tunele, ciągnące się pięć mil wzwyż.

– Jak radziłeś sobie z tymi obawami – pyta Nelson – gdy byłeś żonaty?

Billy podnosi rękę, niezwykle czyste, o opuszkach pomarszczonych od lateksowych rękawiczek, by kelnerka mogła postawić przed nim górę kokardek z pokrojonymi w kostkę krewetkami. – Shoshana – odpowiada – sama była roztrzęsiona, a ja ją uspokajałem. Z Moirą, jak mówiłem, latałem po całym świecie, żeby łaskawie dała dupy, a na lotnisku wypijałem parę głębszych.

Kelnerka stawia przed Nelsonem parujące ravioli, bijący w nozdrza aromat grzybów przywodzi mu na myśl tajemniczy grzybiasty gąszcz, wilgotną ziemię, szklarnie.

Billy tokuje dalej: – Może w małżeńskich czasach byłem za młody, by myśleć o tym, że naprawdę umrę. Tak naprawdę, całkowicie, trzask, zero. Będziesz *nada*, niczym. Nie mogę jeść. – Odkłada widelec.

Nelson bierze swój.

– Nasz umysł nie jest przystosowany do zaakceptowania tego pojęcia. Więc przestań mu je wciskać na siłę. Weź się do jedzenia. Ciesz się życiem. Mówiłem ci Billy, że mam siostrę? Świeżo ją odkryłem. Nie, mówię poważnie.

W Boże Narodzenie, zdaniem Nelsona, najmniej udawania jest w ośrodku. Te niespokojne psychiki i niemyte ciała, będące ciężarem dla społeczeństwa i ich rodzin, które niejednokrotnie odsyłają je do domów opieki i ośrodków rehabilitacyjnych, chłoną tę opowieść, tonącą w mrokach dziejów – o bezdomnej parze, naznaczonej piętnem tajemniczego poczęcia, o dziecięciu, urodzonym na słomie pośród gnoju, sekretnej chwale, którą wyczuli pasterze, osły i woły, stojące niemo przy żłobach. Glenn, ten z błękitnymi powiekami i błyszczącym ćwiekiem w nosie, gra na pianinie, czego nauczył się podczas samotniczego dzieciństwa, a teraz wydobywa z rozstrojonego instrumentu dźwięczne melodie najpopularniejszych kolęd, które opasła Shirley podchwytuje srebrnym głosikiem, a dr Howard Wu wtóruje jej ochoczo metalicznym barytonem. Gdy włączył się doktor, a Esther Bloom, świetna kumpelka, podrzuciła chrześcijańskie słowa, pacjenci ośmielili się – ci uzależnieni od narkotyków, cierpiący na urojenia, na nerwice lękowe, a także przypadki z pogranicza – Rosa z nową przyjaciółką kompulsywnie obgryzającą paznokcie, nazwiskiem Josephine Foote, krzepki Jim, nałogowiec o obwisłym brzuchu, który wyrykuje na całe gardło pierwszy wers każdej kolędy z pamięci, lecz później jego umysł odpuszcza. Nelson jest rad, widząc tu Michaela DiLorenzo, którego chłód topnieje, gdy dzieli kartkę z tekstami kolęd z małą, czarną Bethleen, osobą maniakalno-depresyjną. Wargi chłopaka poruszają się, lecz jego oczy barwy portera pod kształtnymi łukami brwi patrzą nieobecny wzrokiem, mętne i śmigające w tę i we w tę, nie w takt. Jest nieogolony, co Nelson uważa za dobry znak – matka przestaje suszyć mu o to głowę. Wszyscy, na swój pokręcony sposób, biorą w tym udział, radując się zorganizowanym hałasem, wspólnym śpiewem, złudzeniem świętowania w szczęśliwej rodzinie wokół drzewka zapełnionego ozdobami, które sami wykonali podczas zajęć z terapii sztuką z Andream. Po odśpiewaniu

kolęd są ciasteczka, ciasto i lody oraz drobne prezenty od personelu, kupione w sklepie z rabatem – dla mężczyzn długopisy o fallicznym kształcie z czterokolorowym wkładem, a dla kobiet waginalne, kieszonkowe kalendarze. Z kolei niektórzy członkowie personelu otrzymują zagadkowe drobiażdżki, nieśmiałe dowody wdzięczności za troskę. Od Josephine Nelson dostaje misterny kolaż – na czarnej, lakierowanej deseczce uśmiechnięte, bezcielesne twarze, wycięte z reklam z pism ilustrowanych i ułożone gęsto obok siebie, jak kwiaty w bukietach. A może jest to raczej płatek śniegu, wyklejony z uśmiechów? Doktora Wu obdarowano pagodą z wykałaczek i grudkowatym tukiem z wielobarwnej gliny, który przedstawia tęczę wyrastającą z „trawki”, na którą wskazuje Jim. Patrzący wybuchają śmiechem. Suterena promienieje serdeczną wiarą, że świat za tymi murami starej podstawówki jest przyjazny, pamięta o nich i pragnie, by żyli w spokoju i radości.

Dziś jest wigilia, piątek. Następnego dnia, Boże Narodzenie u mamy i Ronniego po prostu musi odbębnąć. Podjeżdża do Mt. Judge rankiem, zabierając corollę z krawężnika przy Almond Street, gdzie stała zaparkowana przez wiele dni. „Jego” sklep jest otwarty nawet w porze, gdy dzieci rozpakowują prezenty od wszechwiedzącego, wszechobecnego św. Mikołaja. Weiser Square i miejski park opustoszały, tylko wiatr goni po alejkach plastikową torebkę, a jakiś zabłąkany, zgarbiony przechodzień wpatruje się w swój cień w ten świąteczny dzień, opromieniony słabym blaskiem bladego słońca. Centrum handlowe przed wiaduktem wygląda jak wymarłe jezioro prążkowanego asfaltu. ZIELONA MILA TOY II ANNA KING KOSMICZNA ZAŁOGA.

Jak zawsze miał kłopot z wymyśleniem prezentu dla mamy. Kiedyś dawał jej cukierki, wiedząc, że zaraz go nimi poczęstuje. Gdy dorastał, musiał powściągać chęć kupienia jej zmysłowych upominków, jak bielizna i pończochy na nogi, z których była taka dumna. Z dzieciństwa pamięta, że przytrzymywały je podwiązki, przymocowane do pasa, a na górze były zwieńczone ciemniejszymi kólkami, od których mrowie przechodziło go po krzyżu. Rajstopy natomiast miały ciemniejszą łąkę w kroku w kształcie fasoli półksiężycowatej. Kiedyś, jako wyrostek, ofiarował jej legginsy i nawet one, elastyczny zwój, wyciągnięty z jajowego pudełka, przyprawiły go o rumieniec. W tym roku z gotówką u niego krucho – osiemdziesiąt pięć dolarów tygodniowo czynszu za pokój, trzysta sześćdziesiąt alimentów Pru, dodatkowe wydatki – jak minilodówka, którą kupił, by mleko mu się nie zsiadało, tak że po potrąceniu podatku zostaje mu ledwo czterysta dolców, a zatem Ronniemu kupuje tuzin najlepszych miękkich piłek, choć tata zawsze powtarzał, że jest graczem siłowym, a dla mamy program „Brydż dla opornych”, wyobrażając sobie, że będzie korzystać z komputera stojącego w pokoiku, w którym babcia Springer zrobiła sobie pracownię krawiecką. Ale Ronnie powiada, tu w bawialni, gdzie wszystko odsunięto, by zrobić miejsce na choinkę, że może mu to zapchać dysk, co grozi wykasowaniem wszystkich rozliczeń finansowych, jeszcze od lat siedemdziesiątych.

By osłodzić mu tę odmowę, mama powiada:

– A i tak, Nelsonie, chyba nie umiałabym się posługiwać tym programem, jest zbyt skomplikowany, ledwo rozumiem, co Doris mi za każdym razem cierpliwie tłumaczy.

– Dobra, oddam go – warczy Nelson – i przyniosę ci coś innego. Może seksowną koszulkę nocną? – Od niej dostał flanelową piżamę i rdzawobrazowy sweter w warkocze, jakby chciała mieć pewność, że z dala od niej nie zmarznie.

Ronnie wystąpił z dziwnym prezentem, jakby chciał dać mu coś do zrozumienia: „Sztuką szczęścia” pióra Dalaj Lamy i jakiegoś amerykańskiego doktora. Nelson wzdrygnął się, gdyż, kiedy wyjął książkę z opakowania, twarz świątobliwego Azjaty przywiodła mu na pamięć zmarłego ojca, nie tyle pod względem fizycznego podobieństwa, co aury przyczajonej przebiegłości, czegoś ni to uroczonego, ni to cwanego w ostrożnym uśmiechu. Tonem agenta ubezpieczeniowego Ron tłumaczy:

– Skoro pogardzasz religią katolicką, może przemówi do ciebie inna wiara. Pierwiastek duchowy niezbędny jest w życiu każdego człowieka. Na całym świecie wzbiera ogromna fala duchowości na powitanie nowego tysiąclecia.

Nelson ma wrażenie, że Ronnie cytuje czyjeś słowa. Ogląda książkę, by zobaczyć, czy nie została kupiona na wyprzedazy, ale nie, za swój dziwaczny prezent Ronnie zapłacił pełną cenę. – Dalaj Lama – powiada Nelson. Jak łagodnie ta czujna twarz, w której kryje się niepewność, uśmiecha się do niego zza przyciemnionych, kwadratowych okularów, tak mógłby uśmiechać się ojciec. – Dzięki, Ron – mówi. – Będę do niej zaglądał podczas samotnych nocy. – Może miała to być gałązka oliwna, ale nie była potrzebna, po awanturze w Święto Dziękczynienia i rozmowie, do której potem doszło, Nelson czuje się dobrze w towarzystwie Ronniego, tak dobrze jak nigdy dotąd. Ron jest po prostu zwyczajnym, pełnym najlepszych intencji amerykańskim palantem, niezależnie od tego, że dupczy mamę. Gdy opada testosteron, zostaje zwiotczały kutas i zagłębienie się w sprawy ducha.

Chce wyjść, zanim Ron junior, Margie i ich troje dzieci przyjdą na świąteczną biesiadę. Nabiesiadował się już z nimi na rok z góry. Alex jest w Wirginii ze swą rozbitą rodziną, ale Georgie przyjeżdża z Nowego Jorku autobusową linią Bieber. Mama i Ron jeszcze raz zapraszają Nelsona, dostawią po prostu jedno nakrycie, ale po Święcie Dziękczynienia wie, że z przyrodnimi braćmi nie czuje się jak w domu.

Przy drzwiach matka mówi: – Byłabym zapomniała. Rano dzwoniła jakaś kobieta. Ta Esther, która prowadzi waszą klinikę. Zapytałam ją, czy nie wie, że jest ranek Bożego Narodzenia. Odpowiedziała, że wie, ale niemniej prosi, żebyś do niej zadzwonił. Potraktowała mnie obcesowo, ci Żydzi są tacy drażliwi.

– Nie mam pojęcia, o co jej chodzi. Zadzwonię do niej od siebie. Dzięki, mamu. Wesołych świąt. Pozdrów ode mnie resztę Harrisonów. – Całuje jej drobny, suchy policzek i myśli, że mama bardzo się pomarszczyła. Osteoporoza, jak to ciągle powtarzają w telewizji. Wszystko wyługowuje kości. Małżeństwo z sąsiedztwa wyszło z synkiem na podwórko koło domu, wynosząc jego nowe sanki o czerwonych płozach, choć na trawie nie leży ani jeden płatek śniegu. Promienie słońca sprawiają, że wszelkie ozdoby, na które pada wzrok Nelsona w drodze powrotnej do Brewer, wszelkie lampki, błyskotki, plastikowe Mikołaje i renifer o czerwonym nosie wyglądają na wyblakłe, wyzute z radości. Nelson przystaje przy sklepie, kupuje mrożoną potrawę z mięsa i ziemniaków oraz

kawę w plastikowym kubku, zdobnym świątecznie w listki i jagody jemioli. Trzeba przyznać, że robią tu całkiem niezłą kawę. Mobilizując swą mizerną znajomość hiszpańskiego, którą nabył, pracując w opiece społecznej, mówi: „*Feliz Navidad*” do dziewczyny o kręconych włosach za ladą. Odpowiada mu uśmiechem, rozpromieniającym jej śniadą twarz i potokiem hiszpańszczyzny, z którego Nelson wyławia jedynie: „*Muchasz gracias, señor*”; „s” dziewczyna wymawia szeleszcząco z powodu ćwieka w języku.

Już w swoim pokoju Nelson, sącząc kawę, nakręca domowy numer Esther. Telefon odbiera jej mąż, miodopłynny, protekcyjny, adwokacki głos. Jest bogaty, Esther nie potrzebuje pieniędzy, prowadzi ośrodek, bo kocha ludzkość. Gdy się odzywa, głos ma przybity, wręcz roztrzęsiony:

– Nelsonie, uznałam, że powinieneś wiedzieć, bo ten mały DiLorenzo był twoim pacjentem.

– O czym powinienem wiedzieć? – Ale przecucie ścisnęło mu już serce. Widział Michaela jeszcze wczoraj, jak stał na skraju grupki skupionej wokół pianina, próbując włączyć się do kolędującego chóru. Nelson życzył mu wesołych świąt. – Dobra, proszę pana – odparł chłopak, odwracając wzrok. Nie ogolił się, ale zaczął uczestniczyć w zajęciach, przewyciężając odrazę wobec innych pacjentów. Chciał wydobrzeć.

– Popełnił samobójstwo. W nocy. Znaleźli go rankiem. DiLorenzo osobiście zadzwonił do ośrodka. Był w szoku, ale zagroził, że pozwie nas i Birkitsa.

Jego wewnętrzne „ja”, w którym niegdyś, usiłując wnikać w psychikę Michaela, czuł przesuwające się ostrze noża, teraz staje się bardziej śliskie, Nelson sięga w głąb, by coś stamtąd wydobyć, lecz z jego rąk, jakby namydlonych, to coś wyslizguje się i zapada. *Będziesz nada.* – O Boże – mówi do Esther. – Nie może być. Jak on to zrobił?

– Plastikowym workiem na ubrania. Owiązał go wokół szyi krawatem. Jakby pragnął przekazać rodzicom: „Chcieliście pralni chemicznej, no to macie pralnię”.

– Nie pomogliśmy mu. Ja nie umiałem mu pomóc.

– Nelsonie, nie bierz tego do siebie. Robiliśmy, co mogliśmy, ale nie zawsze nam się udaje. Po prostu chciałam, żebyś się dowiedział o Michaelu, zanim napiszą o tym niedzielne gazety. Wszyscy korzystają z Perfektu, to będzie na czołówkach. – Jest dzielna i rzeczowa, ale to cios dla ośrodka, plama na wizerunku.

– Myślisz, że ojciec naprawdę chce nas skarżyć?

– Bardzo możliwe. Jest człowiekiem czynu, musi działać.

– Przyszedł do nas na umówione spotkanie, kiedy był taki straszny wichur. Ufał nam. Powinieneś być coś zauważyć, zostawiłem notatkę Howiemu w sprawie leków. Trilafon nie uciszył głosów.

– Nie truj się tym, Nelsonie. To nie twoja wina.

Wszyscy to mówią. *On* też im to mówił. Ale gdy Esther odkłada słuchawkę, chłopiec dalej nie żyje. Zaplombowany pod czarnym szkłem, nogami naprzód sunie donikąd. Nelson wyobraża sobie panią DiLorenzo, leżącą w zaciemnionym pokoju, przybywające do domu córki, którym zepsuto święta, twarz o dziewczęcej urodzie, rozmazaną pod oblepiającą ją

bańką jak hełm kosmonauty. Jakże potężny wysiłek, by nie zedrzeć paznokciami duszącego plastiku, jak straszliwe pragnienie, by słumić głosy, uciszyć ich plugastwa.

Jest zbyt załamany, zbyt przygnębiony, żeby cokolwiek przełknąć. Chciałby do kogoś zadzwonić, ale Annabella jest w Las Vegas, Pru w Ohio i nie można jej zakłócać świąt w rodzinnym gronie. Mama w tej chwili przytula do łona pasierbów. Hałas uliczny, którym zazwyczaj huczy miasto, w tym dniu Bożego Narodzenia ucichł, tylko na Eisenhower Avenue tłucze się paru samotników i szyderców. Kres tego bardzo krótkiego dnia okrył mrokiem okna, zanim Nelson zebrał się w sobie, by podgrzać w mikrofalówce potrawę i włączyć rozgrywki Oahu Bowl. Hawaje zwyciężają Oregon, dwadzieścia trzy do siedemnastu, w wiadomościach o szóstej dowiaduje się, że Jerry Seinfeld wreszcie się ożenił, teleskop Hubble'a znowu działa, jacyś sikhowie porwali hinduski samolot bez żadnego wyraźnego powodu i krążą po niebie. O Michaelu DiLorenzo ani słowa. To wyłącznie lokalna wiadomość.

– Hej. Wróciłaś. Jak było w Las Vegas?

– Ale miałam ubaw! Nelsonie, to jest coś. Moja przyjaciółka i jej mąż namówili mnie, żebym zagrała i wygrałam dwieście dolarów, ale oczywiście straciłam je następnego wieczoru.

– I pewnie nie zadzwoniłaś do ciotki Mim.

– Zdziwisz się, ale zadzwoniłam, a ona okazała się przemiła i strasznie wesoła. Mgliście pamiętała moją matkę z jakiegoś spotkania w barze na Running Horse Street i dużo opowiadała mi o moim ojcu. To znaczy o naszym ojcu.

– Taak? A co takiego?

– No, jakim był troskliwym starszym bratem, jak mozolnie trenował koszykówkę. Nie był urodzonym graczem. I jak ją wspierał i nigdy nie powiedział jej złego słowa, nawet gdy została dziwką.

– Tak ci powiedziała?

– Jasne, dlaczego nie? Mówiła też, że moja matka nie była prawdziwą dziwką, bo nie miała odpowiedniego podejścia. Nawet zaprowadziła nas do Cirque du Soleil, czy jak to się tam wymawia. Czegóż takiego nie ma nawet w Nowym Jorku – widziałam balet podwodny, skoki na bungee i łódkę, która wznosi się w powietrze! Byłam kompletnie oszołomiona.

– No tak – wyrzeka Nelson – kiedy ty się świetnie bawiłaś, ja sam jeden jadłem świąteczny obiad, a jeden z młodych pacjentów ośrodka popełnił samobójstwo.

– O nie! To straszne, Nelsonie! To któryś z twoich podopiecznych?

– Nie dzielimy ich w ten sposób, ale prowadziłem jego terapię. Zdawało mi się, że jego stan się polepsza – był aktywniejszy na zajęciach, nie miał omamów słuchowych. Teraz widzę, jak słabo się orientuję.

– Nie obwiniaj się – Annabella ciągnie tonem praktycznym, miłym, ale troszkę jakby myślami była gdzie indziej. – Robimy, co możemy, ale nie należy wymagać od nas cudów.

Tuż przed moim wyjazdem umarł pan Potteiger. Miał osiemdziesiąt sześć lat, był strasznie słaby, już prawie nie chodził, ale jaki żywy, figlarny umysł. Nawet sobie podflirtowywał! Mieszkał w domu starców koło Oriole i pewnego ranka, gdy weszłam do jego pokojów, zobaczyłam przyklepioną na drzwiach karteczkę z informacją, że odszedł. Tylko to jedno słowo. „Odszedł”.

– To niezupełnie to samo – zaczyna tłumaczyć Nelson, ale Annabella mu przerywa.

– A jak twoja urocza rodzina? Przyjechała?

– W pewnym sensie.

– Jak to?

– Judy wierzgnęła. Chciała zostać ze swoim chłopakiem w jego mieszkaniu, bo jego kolega wyjechał na święta na narty do Colorado, a potem pójść z nim, znaczy z tym chłopakiem, na wielką milenijną fetę w uroczystych strojach do jakiegoś bardzo eleganckiego domu kolegi tego chłopaka. Kolega jest synem jakiegoś bogacza z Silver Lake, który dorobił się na wyrobach gumowych. A synek, zdaje się, ciągnie z niego jak gąbka.

– Mogłam się domyślić, że porównasz go do gąbki.

– Strasznie się o to pokłóciły z Pru i w końcu Pru dała za wygraną. W końcu smarkata skończy w przyszłym miesiącu dwadzieścia lat i nie prosiła się, żeby pojechać do Akron, po prostu usiłuje możliwie najlepiej poradzić sobie w sytuacji, w którą wpakowali ją porąbani rodzice. Pru przez całą drogę prowadziła sama, na zmianę z Royem, i kiedy przybyli na miejsce, koło dziewiątej wieczorem w poniedziałek, była wykończona, nocowali w eleganckim hotelu. – Czuje się znużony już na samą myśl o swojej starzejącej się, niesfornej rodzinie.

– A gdzie się zatrzymali?

– Naprawdę cię to interesuje? U mamy. Nędznie tam i ciasno, a rano po Eisenhower pędzi tyle samochodów, że cały dom się trzęsie. – Nie mówi jej, że zeszłego wieczoru, we wtorek, poszedł po pracy na kolację, którą Pru przygotowała w kuchni mamy i został na noc w swoim pokoju na tyłach domu, Pru zajęła dawny pokój Judy od frontu, a Roy mały pokój, ten z komputerem, gdzie spał na łóżku polowym. Każdy po prostu zajął swoje miejsce, tyle że Nelson chciał pójść do łóżka z Pru, a przynajmniej zobaczyć ją w bieliźnie, toteż wiercił się i przewracał z boku na bok. Myślał o zbyt wielu ludziach, jakby miał w głowie coś na kształt tej plakietki, którą Jo Foote sporządziła dla niego w prezencie. I obawiał się też, że jeśli uśnie, może znowu zobaczyć tego człowieka, ćwiczącego krótkie zagrania do dołka.

– To przykre, Nelsonie – powiedziała jego siostra. – Przynajmniej Roy powinien być przy tobie.

– Taak, ale muszę pracować, w ośrodku w tym tygodniu mamy za mało personelu, a to samobójstwo już kompletnie wyprowadziło pacjentów z równowagi. Poza tym, Roy i Ronnie dziwnie dobrze się dogadują. Rozmawiają o megabajtach, o RAM-ie i przez cały dzień szukają czegoś po internecie. Pewnie jakichś świństw. Wczoraj wieczorem Ron

zabrał go na szkolny mecz koszykówki. Chyba z okazji świąt odbywa się turniej drużyn z całego hrabstwa, chłopięcych i dziewczęcych, więc to spora impreza.

– A nie przykro ci, że twoja córka nie przyjechała, żeby się z tobą zobaczyć?

– Nie, w pewnym sensie poczułem ulgę. Robi się strasznie nieusłuchana. Jest zapalczywym rudzielcem, jak jej matka.

– Ale powinna widywać się z ojcem.

– Pru jej to powiedziała, a Judy rzekła, że skoro nie obchodzi ojca na tyle, by tu przyjechał, to ona nie widzi powodu, by tłuc się do niego taki szmat drogi i przepuścić wydarzenie, które wypada raz na tysiąc lat. Uważa, że nowe milenium zacznie się w Akron, a w Brewer już nie.

– Cóż – odpowiada z afektacją Annabella – nie brzmi to zachęcająco. Więc kiedy poznam Pru i mego kochanego siostrzeńca?

– Właśnie o tym musimy porozmawiać. Co robisz w piątek wieczorem?

– To...

– Wiem. Pożegnanie tysiąclecia.

– Chciałam po prostu położyć się do łóżka i przeczekać.

– Taak, ja też, ale Pru jest tak samo niezdolna jak jej córka. Koniecznie musi coś *robić*. Po tym, co się działo w Święto Dziękczynienia, nie chciałem cię więcej zapraszać do mamy do domu, ale może udałoby się załatwić to tak, że podjechalibyśmy, zabrali Pru, przywitałabyś się z Royem, potem poszlibyśmy na kolację i do kina. Nie chcę chodzić na żadne tańce ani nic w tym rodzaju.

– Ty z dwiema kobietami? To by dziwnie wyglądało, Nelsonie.

– Nie żartuj sobie ze mnie. Masz rację. Ale niedawno odezwał się do mnie pewien facet, mój najlepszy przyjaciel z dzieciństwa, teraz jest dentystą, który wszczepia szwedzkie implanty. W zeszłym tygodniu zaprosił mnie na obiad i naprawdę wydaje się zagubiony. Był dwa razy żonaty, ale teraz jest rozwiedziony. Może by go doprosić? Nazywa się Billy Fosnacht.

– Jakoś mi się to nie widzi. Dwoje kompletnie nieznanymi ludzi i ty.

– Zaraz, ufasz swojemu bratu, czy nie? Z Pru nie będziesz miała kłopotu, wszyscy ją lubią, kiedyś była piękna, a Billy to taki przegrany facet – mój ojciec mówił, że to matoł – ale nie zapraszamy go jako twojego partnera, tylko tak, dla towarzystwa. A tak nawiasem, on świetnie zarabia. Masz coś lepszego na widoku? Twoja koleżanka i jej mąż? Czy też ostatnio mieliście już siebie trochę dosyć? – To, zdaje się, było okrutne.

Nie odpowiada tak ani nie. – Podobno zapowiadają ataki terrorystyczne – mówi.

– W Brewer? Gdzie, na fabrykę precli?

– Burmistrz Seattle odwołał uroczystości.

– Musi dbać o bezpieczeństwo Space Needle.

– Nelsonie, mam nadzieję, że wiesz, co robisz. – W ten sposób Annabella wyraża zgodę.

– Nie – odpowiada, po raz pierwszy czując radość w tym ostatnim tygodniu tysiąclecia.

– A to mój syn, Roy.

– Ależ wyrosłeś! Bardzo mi miło cię poznać, Royu – mówi Annabella tonem starej ciotki.

Wszyscy, łącznie z Billym Fosnacht, siedzą stłoczeni w saloniku, przycupnąwszy, gdzie się da, na ciasnej przestrzeni między sofą, obitą strzyżonym aksamitem oraz ławą z jednej strony, a choinką i telewizorem Zenith, zwieńczonym bezładną mieszaniną bibelotów. Pru i Annabella uścisnęły sobie dłonie niczym dwa kocury, ocierające się wąsami, a Ronnie i mama są nadzwyczaj serdeczni dla tej młodej kobiety o okrągłej twarzy, która po raz pierwszy stanęła na ich progu we wrześniu. Annabella ma na sobie krótką, czerwoną sukienkę z wysokim kołnierzem i zamkiem błyskawicznym, wszytym pionowo na piersi, a masywne nogi okrywają ciemne kabaretki – trochę jak dziwka, pomyślał Nelson, zabierając ją swoją corollą z East Muriel Street. Może Ronnie coś wyczuł. Pru wygrzebała sukienkę z mieniącego się jedwabiu w kolorze gołębiej szarości i zakiet o pudełkowatym kroju, połyskujący i wyszczuplający jej biodra; gdy Pru się porusza, szarość gra odcieniami od srebra do purpury. Przytyła w pasie, ma solidniejszą szczękę i kurze łapki, a maleńkie zmarszczki pojawiają się na policzkach i nawet na brodzie, gdy krzywi wargi w tym swoim kwaśnym uśmiechu. Nelson nie może sobie przypomnieć, czy nos zawsze miała taki haczykowaty i ostry na czubku. Długonogą, zielonooką piękność, której pożądali zarówno on, jak i jego ojciec, spowiła zwiewna zasłona wieku i rozczarowania, lecz ci, którzy pamiętają Pru z dawnych lat, mogą przez nią przejrzeć; Nelson uważa, że jak na czterdzieści cztery lata była żona trzyma się całkiem nieźle. Włosy, niegdyś proste, długie, o barwie marchewki, mają teraz podejrzenie wyrównany odcień i połysk w porównaniu z kudłatą, wielokolorową fryzurą Annabelli, która zapuszcza włosy, dzięki czemu jej masywna biała szyja nie wygląda tak goło. Pru widzi w Billym jednego z tych drani, którzy omal nie doprowadzili Nelsona do zguby w czasach „Luz bluesa” i wita się z nim chłodno, choć w istocie Billy nigdy dużo nie brał, jego rodzice wcześniej odstawili go od cycka i sam musiał się sobą zająć. Mama, która jest podenerwowana, a być może już zdążyła łyknąć sobie dla kurażu, piszczy: „Billy Fosnacht!” i rzuca mu się na szyję niemal ze łzami, wykrzykując: „Tak lubiłam pańską drogą matkę!”

Roy, wyższy od babki, jest mniej więcej tego samego wzrostu co Nelson, Ronnie, Pru i Annabella, ale jeszcze urośnie, jako piętnastolatek ma pod tym względem duży potencjał. Ciemne geny Springerów wyparły bladość Angstromów we włosach, brwiach, długich, podwiniętych rzęsach i w oczach chłopca, głęboko osadzonych, jak u ojca, lecz nie tak nieufnych. Sypie mu się meszek pod nosem, uszy mu sterczą a oczy promienieją następnym wiekiem należy do niego. Wsuwa kościstą rękę w miękką sprawną dłoń Annabelli, mówiąc:

– Siostra przeprasza, że nie mogła się z panią dzisiaj spotkać. Ale miałem przekazać, że pani ojciec był super.

– Super? – uśmiecha się Annabella.

– Chyba chodzi jej o to, że był równym gościem. Kiedy umarł, miała osiem lat, więc

pamięta go o wiele lepiej niż ja.

Wtrąca się Nelson:

– Pamięta, jak tata uratował jej kiedyś życie, na Florydzie, kiedy łódka się wywróciła. Można by też powiedzieć, że mało jej nie zabił.

– Nelsonie – odzywa się Pru z wymuszoną, żoniną przyganą w głosie.

Odzywa się Roy:

– Pamiętam, jak kiedyś odwiedziłem go w szpitalu, leżał na wysokim, białym łóżku i był podłączony do mnóstwa rurek. I jak wyrywaliśmy sobie cukierki i orzeszki – potrafił ściągnąć nam batona sprzed nosa.

Ta opowiadka się spodobała, wszyscy wybuchają śmiechem. Roy uśmiecha się do matki kącikiem ust, a Annabella powiada:

– Dzięki, Roy. Jakbym go widziała.

– Koniecznie musisz przyjść do nas na obiad w nowym roku – mówi Ronnie, jakby wygłaszał wyuczoną kwestię, unikając przy tym wzroku Annabelli. – Znam mnóstwo anegdotek o Króliku, których nawet Janice nie słyszała.

– Mamy rezerwację w „Panoramie” – przerywa Nelson. Starszym członkom rodziny wyjaśnia: – To nowa, modna restauracja w starym hotelu Pinnacle. Kiedy zadzwoniłem, powiedzieli, że wszystkie stoliki są zarezerwowane. Ale Billy załatwił dla nas kolację w pierwszej turze na siódmą.

– Zrobiłem kierownikowi sali górny prawy przedtrzonowy – wyjaśnia Billy. – Musieliśmy powtarzać całą operację, bo za pierwszym razem się nie przyjął. Czasami ludzie w takiej sytuacji wybuchają płaczem.

– Och, jak pięknie wszyscy wyglądacie! – wykrzykuje Janice, gdyż przy tej okazji coś, nagle sprzężenie się wątków, sięgających głębin jej bytowania na tej ziemi, przepełniło serce starszej pani po brzegi. Wilgotne oczy, które łzami zasnuło wspomnienie Peggy Fosnacht, poważnej, zezowatej, niezgrabnej Peggy – Peggy Gring w czasach młodości ich obu – jak przez mgłę widzą czworo dorosłych dzieci, wśród nich jej syna oraz matkę jej wnucząt, tak wzruszających, wystrojonych na powitanie owego szczególnego kalendarzowego fatum, a w nich, za sprawą DNA, tkwią wciśnięci: Harry, Fred, mama i mała Becky.

– Pomyślcie tylko – mówi – następnym razem, kiedy się zobaczymy, w roku będzie tyle tych zer! Nie mogę tego znieść!

– No dobrze, mamó – wyrywa się nerwowo Nelsonowi.

Ronnie, mężowską wylewnością starając się zatrzeć wrażenie wywołane łzami Janice, a jednocześnie z nich dumny, mówi z zadęciem: – Ten oto młody Bill Gates i ja będziemy się fantastycznie bawić – zrobimy hot dogi, uprażymy kukurydzę, obejrzymy w telewizji, jak rozwija się przed nami przyszłość. Rok 2000 już od paru godzin obowiązuje na Fidżi i w Japonii – i jak na razie nie zaobserwowali żadnych problemów z Y2K. Przed pół godziną była wielka feta w Paryżu, a o siódmej na celowniku będzie Londyn, Blair, królowa i ich Dome. Dla większości świata północ już dawno wybiła! Czas jest wartością względną, jak

wskazał Einstein. Mam rację, Roy?

– W pewnym sensie tak – odpowiada chłopak, zażenowany tym nazbyt daleko idącym uproszczeniem.

– Rozciąga się – brnie oblesnie Ronnie. – Jak prezerwatywa. – Pragnie iść do kościoła, choć mózg niezmiennie trzyma w gaciach.

Będąc tak razem, pozbywają się zahamowań. – Myślę o wszystkich, którzy nie dociągnęli do dzisiejszego dnia – oznajmia Billy. – JFK junior, Payne Stewart, a onegdaj Samotny Strażnik.

– Niech cię Bóg błogosławi, Billy! – wykrzykuje Janice, czerpiąc podniecie do swych bredzeń z bezładnego zasobu smutku, w który Nelson zapuszcza niewzruszone spojrzenie jak do ciemnej studni, widząc na dnie zarys swej własnej głowy, pobłyskujący w krążku odbitego nieba. Pod naciskiem doniosłego, nieuchwytnego wydarzenia, które niebawem się objawi, wszyscy się całują, Nelson Roya, Janice Pru, a Billy panią Angstrom (jak nadal ją w myślach nazywa), Ronnie Annabellę, która usiłuje podsunąć mu policzek, lecz zostaje przygwożdżona pocałunkiem w usta – te same miękkie, niezapomniane usta, którymi Ruth go ssała w szopie na wybrzeżu Jersey; od soli w powietrzu wszystko się lepilo, wszędzie zapachy seksu, jak ich porozrzucone ubrania, a ona robiła to powoli, jakby ssała loda na patyku, ustawała i znowu zabierała się do rzeczy, rzucając mu spojrzenia ponad jego gołym, porośniętym złotymi włoskami brzuchem. Wszyscy się całują, całują przy drzwiach, drzwiach z chrypiącym, wiecznie psującym się dzwonkiem i owalną, mosiężną gałką, którą wypolerowały niezliczone dłonie niezliczonych osób, przewijających się przez dom przy Joseph Street 89 w dwudziestym wieku. Nelson widzi, że w domu naprzeciwko płoną wszystkie światła, jakby na przyjęcie gości, w pokoju od frontu na górze młoda pani domu, w żarowiastej bluzce, gwałtownie wyrzuca z siebie słowa, których Nelson nie słyszy.

No dalej, nie mogą się spóźnić, oberkelner odda ich stolik innym gościom; pośród nerwowych pokrzykiwań pędzą do szarzałej corolli Nelsona, zaparkowanej przy krawężniku, podnieceni jak grupka nastolatków, wyrrywająca się z domu w miasto. W planie mają kolację, a następnie kino, ale nie w jednej z czterech sal spiałego centrum handlowego na drodze do Brewer, choć gdy je mijają, Billy mówi tęsknie z tylnego siedzenia:

– Chciałbym obejrzeć *Kosmiczną załogę*. Jedna z moich higienistek powiada, że jest tam fantastyczna scena erotyczna, gdy jeden z ludzi robi to z istotą pozaziemską, która się wciąga do wewnątrz, jak ośmiornica, gdy się podnieci.

– To urocze – powiada Annabella, która siedzi z tyłu razem z nim.

– Najbardziej poruszającym zgonem – ciągnie – pod koniec tego roku była, moim zdaniem, wczorajsza śmierć tej pensjonariuszki domu starców w Allentown, najstarszej kobiety świata. Sto dziewiętnaście lat. Gdyby pociągnęła jeszcze dwa dni, żyłaby w trzech stuleciach.

– Gra warta świeczki – mówi ironicznie Pru, która jeszcze nie całkiem przekonała się do Billy'ego. Siedzi skupiona obok Nelsona, w milczeniu pomagając mu prowadzić.

Wyczuwa, że jest spięty. Myśli o Michaelu DiLorenzo, który też nie doczekał trzeciego tysiąclecia.

– Macie pojęcie – mówi Billy – że najstarsza osoba na świecie mieszkała w Pensylwanii?

Annabella czeka, czy Pru albo Nelson nie wyjdą z jakimś grubiaństwem, ale ponieważ się nie odzywają, uznaje, że musi to jakoś skwitować:

– Wcale mnie to nie dziwi. Starzy ludzie uwielbiają ten stan. Tylko na Florydzie mieszka ich więcej, oczywiście proporcjonalnie.

Nelson chce, by obejrzeni *American Beauty*, uznany za najlepszy film roku przez szereg krytyków z wielkich miast, lecz atakowany przez kilku obrońców przyzwoitości z Pensylwanii. Teraz jego seanse wznowiono w tanim kinie „Twoi klasycy”, znajdującym się za dawnym targowiskiem. I oglądają ten film, po czym, dwadzieścia po jedenastej, wsiadają do samochodu Nelsona, w którym panuje przytulny nastrój po pięciu wspólnie spędzonych godzinach w kinie, a przedtem na miłej pogawędce w restauracji, gdzie obmyślali tematy do rozmowy, odwodząc obu mężczyzn od wspomnień z dzieciństwa, kobiety zaś wymieniały ujemne strony ich pracy zawodowej, a każde z tej czwórki w duchu lękało się momentu nadejścia nowego tysiąclecia, usiłując wchłonąć jego znaczenie z powietrza, zgniłego, bezśnieżnego. Widok podczas kolacji, na szczycie Mt. Judge, gdzie mieli miejsce oddalone zaledwie o stół od okna, lecz niemniej wspaniałe, na szerokim ekranie rzeczywistości, odsłaniał przed nimi siatkę ulic Brewer, rozciągającą się aż do czarnego zakrętu rzeki i kilku wielkich zbiorników, których jeszcze nie rozebrano, a dalej na przedmieścia, promieniejące coraz słabszym blaskiem, aż do świateł, rozproszonych na porośniętych lasami wzgórzach w kolorze indygo, znajome światła hrabstwa Diamond.

Z powrotem w corolli, mozolnie trawiąc film do spółki z winem i wędzonymi ostrygami z kolacji, Pru rzecze:

– Ależ to świetny film! Zupełnie się nie spodziewałam. Niewiarygodne zakończenie. Widok gwiazd w nocy z pola, ręce jego babki – a mogłoby się wydawać, że ten facet w ogóle nie zwróciłby uwagi na ręce babki ani w ogóle na nic, zapatrzone we własny pępek i zagrożone ego.

Z tylnego siedzenia Billy dorzuca:

– Po tym filmie spokojniej myślę o śmierci. Nie uważacie, że Kevin Spacey wyglądał na szczęśliwego nieboszczyka?

– Wyglądał jak spacja, jak przerwa w życiorysie – odpowiada Nelson. – Jak stop klatka. Śmierć to właśnie to, stop klatka. Hej, dokąd teraz jedziemy? Nie mam pomysłu. Zostało nam jeszcze pół godziny. Wiem, że jest jakaś impreza w mieście. Będą grać koncert chrześcijańskiego rocka w ogrzewanym namiocie na Weiser za Szóstą, w tej wielkiej dziurze, gdzie utknęła budowa osiedla. Moglibyśmy się tam pokręcić.

– Uhm – odpowiada Billy.

Z parkingu „Twoich klasyków” trudno się wydostać, pięć rzędów samochodów ciśnie się do jedynej drogi wyjazdowej, a Nelson nie czuje się zbyt pewnie po tej stronie Brewer.

Zbudowano kilka nowych obwodnic i dróg dojazdowych do centrum handlowego, w których nie bardzo się orientuje. Miał cichą nadzieję, że reszta towarzystwa podpowie mu, dokąd jechać. Dlaczego zawsze wszystko spada na niego? – A może pojechać do „Luz bluesa”? – rzuca.

– Czy to ta melina, w której kiedyś ćpałeś? – pyta Pru.

– Teraz jest czysta – słabym głosem wtrąca Billy. – Po nalocie policji poprzedni właściciele poszli siedzieć. Przy tych nowych nie ma mowy o narkotykach i w ogóle nie wolno palić.

– Mam skrócić w prawo czy w lewo, żeby się wydostać z powrotem na 222? – pyta Nelson.

Annabella słyszy go, lecz odpowiada tylko:

– Pracowałam tu w okolicy w domu opieki, ale wszystko się pozmieniało.

– Prościej będzie skrócić w prawo – radzi Billy.

Idąc za jego wskazówką, Nelson słyszy, jak z tyłu Annabella pyta cichym, pełnym współczucia, dociekliwym głosem, jakim nigdy nie rozmawiała z bratem:

– Billy, często rozmyślasz o śmierci?

– Cały czas, skąd wiesz?

– Cały czas się wzdrygałeś w kinie.

– Myślałem, że ten dzieciak z kamerą wideo kogoś zabije, na przykład tę dziewczynę, którą szpiegował.

– A czy ona nie była bezduszną wiedźmą? – wtrąca się Nelson. „Zabij ojca. Na co czekasz?” Pamięta, jak Michael DiLorenzo wyznawał mu, że chce zabić rodziców i może dlatego sam się zabił, żeby tego nie zrobić. Nelson czuje metaliczny smak żelaza w jądrze niepokalanie zielonych planet. Nie można zacząć od początku, nie można liczyć na litość. W świetle reflektorów migoczą plamki, iskierki jak jętki, ale to nie może być śnieg, raczej drobinki ziemi wzbijane w górę prądem powietrza.

– Nie podobała mi się – oznajmia Annabella. – Bardziej utożsamiałam się z tą drugą, ładną, która zachowywała się jak dziwka, a potem okazała się dziewicą.

– A to całe pedalstwo mnie zbrzydziło – powiada Billy.

– Uważam, że było przesadzone i nieprzekonujące – oświadcza Pru, która z profilu wygląda mizernie w błyskach reflektorów nadjeżdżających pojazdów; w plątaninie rozjarzonych świateł ledwo widać asfalt, strzałki i pasy zlewają się z podłożem.

– Rany – trajkocze Billy – ależ zbrzydzali ścianę krwią, kiedy go zastrzelili.

– Podobał mi się ten numer cheerleaderek z melonikami – wpada mu w słowo Annabella.

– Czysty Fosse – powiada Billy. – Bałem się, że spłonie czyjś dom, bohatera albo wojskowego, który mieszkał obok.

– Ale co to za film – upiera się Pru – same ciosy poniżej pasa. Reklamy, wojsko, ple ple. Dajcie spokój.

– To było takie miłe – Annabella ciągnie swój wątek myślowy – że ona jest chętna, ale

on z nią nie śpi i zamiast tego robi jej hamburgera. – Nelson jeszcze nie słyszał, by mówiła tym tonem, niezobowiązującym i dziecięco ufnym. Może ten wieczór nie okaże się jednak tak kompletną klapą, jak mu się wydaje. Ma nieodparte wrażenie, że w samochodzie, prócz ich czworga, znajduje się jeszcze jedna osoba.

– Ej, Nelsonie – dobiega z tyłu jękliwy głos Billy’ego – nie jedziesz przypadkiem w przeciwną stronę?

Zastanawiał się, dlaczego ruch jest taki mały. Ich samochód był jedyny na autostradzie pomiędzy mrocznymi zboczami, na których znajdowały się pola uprawne i odległymi świątecznymi lampkami.

– Jedziesz w kierunku Maiden Springs – informuje go Billy. – Brewer jest z tyłu!

– A niech to jasny szlag trafi – mówi Nelson. – Pytałem na parkingu, jak mam jechać i nikt nie umiał mi nic powiedzieć.

– Nelsonie, mieszkałeś tu przez całe życie – wskazuje Pru.

– Tak, ale nie koło wesołego miasteczka. Nie znoszę tej okolicy. Wesołe miasteczko zawsze mnie przybijało, zwłaszcza że co rok we wrześniu musieliśmy tam chodzić ze szkołą.

– Mnie też – powiada Billy. – Bałem się zbrojeńców. A przy jazdach kolejką wywracał mi się żołądek. Pamiętam taką kolejkę górską, w której naprzeciwko mnie siedziała Betty Majka, a ja się zląkłem, że ją obrzygam.

– Następny zjazd – odzywa się Pru cichym, ostrym głosem żony, która wie, co mówi. – Zjedź w lewo przy estakadzie, a potem w prawo, żeby się dostać na autostradę w przeciwną stronę.

– Umieć zawrócić – warczy Nelson.

– I zwierzęta w klatkach – ciągnie Billy. – Śniło mi się po nocach, że siedzę w klatce, która staje się coraz mniejsza, jak krajacz do jajek.

– Ach, ty biedne, nieszczęśliwe stworzenie – mówi ze słodyczą Annabella.

Gdy Nelson ze złością przyspiesza na zjeździe, Pru mówi do Annabelli:

– Wydaje mi się też, że to nie ma nic wspólnego z życiem. Większość mężczyzn i tak by się z nią przespała. Przecież on właściwie tylko to miał w głowie.

Ale trudno jej wnikać w kokon wzajemnych narcystycznych względów, skoro utknęła na tylnym siedzeniu. Patrząc z estakady, mroczne pola uprawne zdają się rozciągać we wszystkich kierunkach, przecięte jedynie stacją benzynową, nad którą góruje płonący owalny znak, równy zarysowi wzgórz. Nelson pyta tylne siedzenie:

– Jak myślisz, Annabelle? Jak daleko posunąłby się starszy mężczyzna? Ten niby-ojciec?

Dobiega go łagodny głos:

– Nelsonie, o co ci chodzi?

– Jak daleko pan Kupczyk posunął się z tobą? Coś czuję – rzecze, brawurowo wjeżdżając na autostradę i prując w kierunku Brewer, którego kopuła świateł rzuca blask na sklepienie nieba – że dość daleko. Dlatego zawsze powtarzasz, jaki to wspaniały facet. Guzik prawda. Lubił macanki. Dobrze, że kojfnął, jak miałaś szesnaście lat, bo to by się

skończyło dużo gorzej.

– Kochanie – mówi Pru do męża, ale teraz nie da się go już powstrzymać, skoro on i corolla mkną we właściwym kierunku. Musi obnażyć siostrę na oczach Billy’ego.

– A matka na nic ci się nie zdała, co? Była sprytną starą dziwką, musiała się domyślać. Sama przeszła twardą szkołę, dlaczego tobie miałyby się upiec, co?

– To nieprawda! – krzyczy Annabella. – O niczym nie miała pojęcia. – A on nigdy... jak to się mówi...

– Nie wszedł w ciebie? – podpowiada Nelson.

– Właśnie – mówi Annabella. – Tylko obmacywał, wyłącznie w ramach okazywania ojcowskich uczuć. – Ta próba sarkazmu przełamuje jakąś barierę, kobieta wydaje dziwny, wydłużony dźwięk, w którym drży wezbrany żal, po czym wybucha, szlochając tak, że nie może złapać tchu.

– Nie miałam śmiałości powiedzieć mu, żeby przestał, dobierał się do mnie od dziecka, wiedziałam, że coś jest nie tak, ale czy to mogło być bardzo złe? On sam nie mógł przestać, robił to jakby we śnie. Potem mnie otulał.

– Wiedział to, o czym ty nie miałaś pojęcia – wypunktowuje Nelson. – Że nie jest twoim prawdziwym ojcem. A twoja matka o wszystkim wiedziała.

– Jestem pewna, że z niczego nie zdawała sobie sprawy. Ale kiedy umarł, poczułam taką ulgę, że obwinałam siebie. To musiał być nasz wspólny sekret, jakbym ja też tego chciała, a ja tych rzeczy nienawidziłam! – Teraz łzy płynęły jej niepohamowanym strumieniem, nagromadzone przez lata, oskarżycielskie. Nelson mruży oczy przed snopami światła wysokich lamp, ciężarówek i tych pieprzonych terenówek, które oślepiają go z tyłu i z przodu. Samochody pędzą w obu kierunkach ku jakiejś katastrofie, do kresu znanego czasu. Annabella robi następny krok, wykrzykując: – Czuję, że go zabiłam! I bardzo dobrze! – Jej okrągła twarz mignęła mu w lusterku wstecznym, zażawione oko napotkało jego wzrok.

– No dobra – powiada spokojnie Nelson. – To ci spieszyło stosunki z mężczyznami, co? Dlatego nie wyszłaś za męża?

– Och, daj spokój – denerwuje się Annabella. – Dlaczego chcesz, żebyśmy wyszła za męża, co to cię w ogóle obchodzi? – Opada na fotel, wydając z siebie teraz stłumione, szemrzące szlochy, co by znaczyło, że Billy ją pociesza. Nelson boi się odwrócić głowę, by zerknąć na tył, przemożne poczucie, że w samochodzie jest jeszcze piąta osoba, każe mu mocniej uchwycić się kierownicy.

– Dobra robota, Nelsonie – odzywa się Billy. – Odwaliłeś kawał porządnej psychoterapii.

– Trzeba otwarcie stawiać sprawy – odpowiada ponuro. – Od tego punktu można posuwać się naprzód. – Wpatruje się przed siebie. Nigdy nie lubił tej płaskiej okolicy Brewer, w przeciwieństwie do lekko pochyłych terenów od strony Mt. Judge. Samoobsługowe stacje benzynowe z rzędami pomp, bary szybkiej obsługi z plastikowym wyposażeniem placów zabaw dla otyłych parolatków, smętne sześciopiętrowe, długasne sklepy dyskontowe, sprzedające dywany i linoleum, stragany z warzywami, zabite deskami

na zimę, pretensjonalne, wycięte z tektury sylwetki amiszów, kierujące nieświadomych rzeczy turystów z miast w głębi stanu do „Prawdziwej holenderskiej kuchni”. Teraz Nelson już wie, gdzie się znajduje. Jeżeli będzie jechał nadal tą nową, ulepszoną autostradą 222, obwodnica wyprowadzi go z Brewer na południowy zachód ku Lancaster i płatnej autostradzie, toteż skręca obok składu materaców, do którego na zapleczu przykleił się „Salon masażu Aurory”, na dawną trasę 111, biegnącą równoległe do rzeki; w oddali po prawej majaczy Mt. Judge, zwieńczona światłami hotelu Pinnacle, gdzie byli całą czwórką i jeszcze parę godzin wcześniej siedzieli, jedli i prowadzili miłą pogawędkę. Czas czyni cuda.

Odwracając głowę do Annabelli, Pru mówi: – Więc cię obłapiano. Mnie też. Mój ojciec był w sumie starym świntuchem. Ale to się jakoś da wytrzymać. – Jest twarda. Czubek nosa z profilu ma ostry, jak wiedźma, ale Nelson wyczuwa, że cała jej postać, jej ciało w połyskliwej jedwabnej sukni i rudobrazowym płaszczu, promieniuje ciepłem. Długie ręce spoczywają beczynn timer na skrytym w cieniu podołku. Nelson sięga, by podkreślić ogrzewanie i jego dłoń oraz kolana Pru wyglądają równie blado w świetle tablicy rozdzielczej. Mężczyzna przypomina sobie, że kiedyś, gdy dopiero weszła do rodziny, niespodziewanie dodała mu otuchy, mówiąc: „Z tego co widzę, kochanie, twoi rodzice na pewno się kochają. Pary, które są ze sobą tak długo, muszą coś do siebie czuć”.

Na tylnym siedzeniu jego siostra pociąga nosem, a Billy jej powtarza:

– Spokojnie, spokojnie. Było, minęło.

Na szosie pojawiły się teraz światła, a gdzieś z przodu ktoś, sprzedawca samochodów albo właściciel klubu, szarpnął się na wynajęcie całego zestawu reflektorów, trzy z nich śmigają po niebie aż do granic unoszącej się nad miastem mgiełki.

– Mijamy – informuje Nelson monotonn timer głosem przewodnika, oprowadzającego wycieczkę – dawną siedzibę salonu Toyoty Springera, obecnie opuszczoną.

Mama sprzedała teren i budynek przedsiębiorstwu, produkującemu części do komputerów, które nigdy nie rozpoczęło działalności, gdyż z powodu nagłego zwrotu w technologii wytwarzania nie nadążyło ze zmianami. Oczyma duszy widzi inny księżyc, a w jego świetle duchy ojca, swój, Charliego Stavrosa i Elviry Ollenbach przy zabitych deskami oknach, wyglądających klientów, którzy nigdy się nie pojawili.

– Mojego ojca! – mówi Annabella, unosząc się przy akompaniamencie szelestu ubrania. – Pamiętam. Z Jamiem. Kupił w końcu pomarańczową corollę.

– Co więcej, teren należał też do mojej matki – powiada Nelson. – Przedsiębiorstwo, które go od niej kupiło, nadal przeprowadza postępowanie upadłościowe, po dziesięciu latach. Pewnie zapomnieli, że są jego właścicielami. Słyszałem, że tą działką interesuje się firma Barnes i Noble, chcą na niej postawić hipermarket.

Reflektory ustawiono nieco dalej na trasie 111, przed dawnym sklepem „Fistaszki z farmy”, który w latach siedemdziesiątych, po dodaniu dobudówki, zmieniono na dyskotekę. Wysoką, patykowatą sylwetkę pana Fistaszka na tablicy o wysokości dwunastu stóp zastąpiła prawie naga tancerka, której części intymne osłaniały bańki piany, lecz był to

obrazek zbyt seksistowski, by mógł długo przynosić wstyd okolicy. Teraz człekokształtna sylwetka przedstawia kowbojkę w krótkiej, białej spódniczce i wysokich, białych butach, reklamującą PRAWDZIWĄ MUZYKĘ COUNTRY. Muzyka country wraca wciąż na nowo. A może po prostu nie może odejść? Na parkingu połowa miejsc jest wolna. Ludzie rozsądni zostają dzisiaj w domu, wykończeni całym tym szumem, drżący ze strachu przed arabskimi fanatykami, przekradającymi się do Stanów z Kanady.

– Hej, Nellie – odzywa się słaby głos Billy’ego. – Już prawie północ, a my w lesie.

– Wiem, wiem, już szybciej nie mogę. Gdybyście nie pokręcili mi drogi...

– Czy Nelson ci opowiadał – pyta Pru Annabellę – jak nie trafił do agencji, którą miał pod samym nosem?

– Nie, nie przypominam sobie. – Sądząc z jej głosu, przestała płakać, przynajmniej na razie.

– No wiesz! – mówi Nelson do żony z wyrzutem.

– Rodzeństwo nie powinno mieć przed sobą sekretów – rzecze Pru, a Nelson, nie patrząc na nią, wie, że robi tę swoją świętoszkowatą minkę, jakby ssała coś kwaśnego. – Nelson nie zawsze był taki święty.

– Tak naprawdę był głupkowskim maminsynkiem – dorzuca Billy, wszczynając brutalne przepychanki. – Prawdziwy pieścioszek, robiący w majtki ze strachu przed ojcem, który w gruncie rzeczy był fajnym facetem.

– W przeciwieństwie do twojego – odparowuje Nelson. – Strasznej mendy.

– Ale był bardzo muzykalny – opowiada Billy Annabelli. – Potrafił zagrać wszystko, na każdym instrumencie, ze słuchu.

– Och, zawsze tego ludziom zazdrościłam – odpowiada Annabella, wtulona w coś, sądząc z jej przytłumionego głosu. Czy Nelsonowi się tylko wydaje, czy rzeczywiście rozlega się trzask rozpinanego zamka błyskawicznego, długiego, pionowego zamka na przodzie jej sukni? Jego siostra chichocze, słysząc plaśnięcie po grzbiecie dłoni.

Nelson prowadzi corollę przez West Brewer. Te nowoczesne lampy w kształcie sopli zwisają niczym pieluszki z ganków szeregowych domków, schodzących do rzeki i Weiser Street Bridge. Lampy na moście są staroświeckie, żółte szklane kule i żelazne zakrętasy, nabierające z upływem lat patyny, ale blask z wysokich fioletowych rurek w aluminiowej oprawie jest współcześnie zimny. Na przeciwległym końcu mostu, gdzie teraz pyszni się ekskluzywna kawiarnia, znajdowała się knajpa czarnych, „U Jimba”, zanim podniesienie statusu South Brewer nie przepędziło czarnych z tej okolicy. A teraz pod kołami corolli ciągnie się główna arteria Brewer w całym świątecznym blasku – drzewa, okalające Weiser Square, obwieszane są naszyjnikami białych świateł, trójwymiarowymi bazgrołami. Plac, niegdyś otwarty targ, na którym okoliczni rolnicy sprzedawali swe płody, parę dziesiątków lat temu nierozważnie ogrodzono, by stworzyć park dla spacerowiczów z myślą o odrodzeniu śródmieścia, lecz zmienił się on w zagajnik, do którego niebezpiecznie było się zapuszczać, po czym postanowiono przystosować go do ruchu samochodowego. Mijają Fourth Street i brązowy posąg Conrada Weisera w pióropuszu Mohawków na

środku ronda na Fifth Street. Z tego punktu w kierunku wschodnim, zachodnim, północnym i południowym jeździły trolejbusy do parków rozrywki i zagajników, dokąd całe rodziny udawały się na pikniki. Tłum gęstnieje, ojcowie miasta zorganizowali Bal Milenijny w atrium oszklonego centrum handlowego między ulicą Piątą i Szóstą po lewej stronie, a także koncert chrześcijańskiego rocka przecnicę dalej po prawej, w wielkiej dziurze. Przez zamknięte okna samochodu dochodzi do nich wrzawa.

– Ej, Nelsonie – odzywa się Billy. – Zegar kompanii piwnej pokazuje północ! Zaczyna się milenium, a myśmy utknęli w tym japońskim gruchocie! Stoimy w miejscu!

– Nie panikuj – odpowiada Nelson. – Ten zegar zawsze źle chodził. „Luz blues” jest na Dziewiątej, będziemy tam za chwilę.

Potem Nelson widzi, że doszło do katastrofy – na skrzyżowaniu Szóstej i Weiser, gdzie niegdyś stał dom towarowy Krolla, dwa samochody przed nimi gaśnie światło uliczne. Wysoko nad asfaltem sygnalizator, pokazujący zielone, wysiadł. Nie sterroryzował czerwonym, tylko zgasł. Ospały ruch zamarł kompletnie. Rozhukana młodź, głównie Latynosi w dżinsach i wiatrówkach, śmiga między samochodami. Tu i ówdzie wzbija się w górę okrzyk, jakby nikt nie wiedział, co się właściwie dzieje. Samochody za nimi trąbią na wiwat albo ze złości. Lampy uliczne migoczą.

– O Boże – odzywa się Annabella – terroryści, tak jak ostrzegali – i zaczyna płakać.

– To tylko krótkotrwałe zakłócenie – powiada Billy, udając spokój, choć musi czuć się jak w tunelu. – Te światła regulowane są komputerowo.

– Skurwysyn! – powiada Nelson. Dziesięciolecia krzywd, upokorzeń, niesprawiedliwie ponoszonej śmierci, cisną mu się do oczu. Zamyka okna. Osłonięta kapturami smarkateria, o twarzach osypanych brokatem, tłoczy się wokół corolli, patrząc w górę ulicy, ku Mt. Judge. Zaczynają zawodzić syreny strażackie, smętnie biją kościelne dzwony. Na wierzchołku Mt. Judge z wolna zapalają się fajerwerki, wybuchając w niebo jeden po drugim, z grzechotem wystrzeliwuje biały potas, zielony bar, żółty sól i niebieski chlor; rozpraszają się, śmigają w górę w pękach i znowu rozpraszają w smugach ulatujących iskier, a tępy huk przenika przez przednią szybę. – Nic nie zobaczymy! – krzyczy Nelson.

Corolla była trzecim samochodem od skrzyżowania, gdy siadła sygnalizacja. Pierwszy samochód przemknął, nieświadomy awarii, a drugi czekał, aż przejedzie samochód z prawej. Szósta jest na tym odcinku ulicą jednokierunkową, a z lewej nic nie jedzie. Samochody z tyłu toną w ciemności, lecz tak blisko skrzyżowania rozwiązanie problemu wydaje się proste – skręć w stylu amerykańskiej demokracji. Samochód przed Nelsonem, mały, wiśniowy egzemplarz unowocześnionej wersji volkswagena garbusa, o uroku robala, owalnych, skośnie rozmieszczonych tylnych światłach, przywodzący na myśl oczy disneyowskich zwierząt, przepęłza przez jezdnię, a wóz z prawej, poważne, kwadratowe, brązowe audi, o masce zdobnej, czterema pierścieniami, skręca jak przystoi praworządному obywatelowi. Potem przychodzi kolej Nelsona, kolej jego brudnej, białej toyoty, by przejechać przy zgaszonych światłach i ciągnąć dalej Weiser, ku górze i fajerwerkom, za dawną siedzibą Krolla, w której spiknęli się mama z tatą (bo, zważmy, że

inaczej nie byłoby go na świecie) i dalej przecinając Siódmą, gdzie wlokły się długie na milę pociągi z węglem, zmierzające z Pottsville do Philly i kiedyś była chińska restauracja; wciąż dalej w górę, by poszukać miejsca do parkowania między blokami za „Luz bluesem”, gdzie tata robił skład dla Verity Press. Przyjemnie będzie wyjść, całą czwórką, napowietrzę. Oczyma duszy widział już kieliszek schłodzonego daiquiri, czy może raczej margarity, z obwódką soli wokół krawędzi.

– Ejże! – krzyczy. Siedzący na ogonie audi srebrnoczarny ford expedition, potężna terenowa z kołami jak ciężarówka i bocznym lusterkiem wielkości ludzkiej głowy, co rusz wrywa się do przodu, usiłując ściąć zakręt, na przekór porządkowi i wszelkiej przyzwoitości. Jakiś pomiot miejscowego bogacza, nawalony piwskim, w bejsbolówce na głowie, z kumplami, mającymi przyklejone uśmiešky wyższości do tępych mord, wpatruje się w Nelsona szklistym wzrokiem, mówiącym: „I co mi zrobisz?” Nelsonowi robi się czerwono przed oczyma. – Chuj! – mówi. „Ten program wykonał nielegalną operację, toteż zostanie skasowany.” Pru wydaje zduszony okrzyk, widząc, że Nelson przycisnął gaz do dechy i będzie rwać do przodu, nie bacząc, że uderzy w expedition. W jego masywnym, wysokim zderzaku – w dwóch odcieniach, dolna połowa jest chromowana – odbija się rozjarzony, rozmazany, prawy reflektor corolli; Pru gotuje się do spodziewanego uderzenia – roztrzaskanej przedniej szyby, wgniecionego metalu, tępego bólu. Ale bezczelny szczeniak w bejsbolówce widzi rozszerzonymi oczyma, że Nelson nie żartuje i z całej siły wciska hamulec tak mocno, że puste głowy jego kumpli zgodnie podskakują. Corolla prześlizguje się, ciągle przyspieszając, mija forda o włos. Smród gumy z rozgrzanych opon wypełnia wnętrze. Para na tylnym siedzeniu wiwatuje głosami nieco zadyszanymi. – Nienawidzę terenówek – wyjaśnia Nelson. – Nadęci pożeracze benzyny, myślą, że szosa do nich należy.

U góry podbarwionej na zielonkawo przedniej szyby wybucha kula rozmigotanego ognia. Chrześcijański rock dudni w olbrzymim, oświetlonym wykopie po prawej. Nelson drży, jakby swarliwy duch go opuszczał. A teraz dobiera się do niego Pru, wciskając mu nos w policzek, jej ciepły oddech owiewa mu szyję.

– Och, kochanie, ależ napędziłeś stracha temu dupkowi. Chyba zsikałam się w majtki.

– Mnie też niewiele brakowało – powiada Annabella.

– Z tą śmiercią jest dziwnie – dorzuca Billy ze swojego fotela. – Kiedy staje się z nią oko w oko, jakoś to tak szybko idzie.

Do Nelsona Pru mówi tak cicho, że aby ją usłyszeć, tamtych dwoje musiałoby przestać zajmować się sobą i pilnie nastawić ucha.

– Nie przesiadujmy za długo w „Luz bluesie”. Chciałabym pójść na noc do ciebie.

V. I dalej

Do: ron.harrison@qwikbrew.com.

Temat: podziękowania

Cześć Babciu i Ronnie – minął już tydzień, więc najwyższy czas, żeby podziękować wam za wspólnie spędzoną wigilię. Było fantastycznie. Strasznie mi się podobały fajerwerki, które puszczali na całym świecie, we wszystkich strefach czasowych po kolei. Uświadomiłem sobie, jak mała jest planeta ZIEMIA. Mama mówi, że mogliśmy zobaczyć te, które strzelały na Mt. Judge. Najlepiej pamiętam trzech niechlujnych facetów z programu Davida Lettermana, gdzie jeden wybił piłkę do golfa z pępka jednego tłuściocha, a ten trzeci złapał ją ustami. Mógł sobie złamać ząb.

Mama nie wróciła do domu dlatego, że o mały włos mieliby straszny wypadek, bo wysiadły światła i to ich kompletnie wykończyło. Mówi, że tata zamieszka z nami w Ohio i to też jest fantastyczne.

Opowiem wam kawał – dlaczego nie wpuszczają terrorystów do islamskiego raju? Odpowiedź – bo już zabrakło dziewic. Właściwie to miło, że w Iranie wypuścili ich, z wyjątkiem tego pasażera, któremu podcięli gardło, bo dziwnie patrzył na tego jednego, którego nazywali Doktorem. Naprawdę w wiadomościach zainteresował mnie ten mały Tybetańczyk, drugi co do ważności lama na świecie, który, żeby uciec, szedł kilka dni w zamieci przez Himalaje, on to nazywa KARMAPA. Na tej samej stronie internetowej przeczytałem, że Dolly lama (najważniejszy lama) powiedział o Y2K „Milenium? Słońce i Księżyc wyglądają dla mnie tak samo”. Ron, możesz to sprawdzić na www.tibet.com. Mnóstwo kawałów jest na www.ohyesyouare.com. Na przykład – jak odróżnić Ala Gore’a od Billa Bradleya? Odpowiedź – jeden jest nudziarzem, a drugi marudą. TURPO (Turlam się po podłodze ze śmiechu).

Dzięki jeszcze raz za wszystko i za to, że nauczyłeś mnie grać w bezika. Następnym razem będę grać w bezika po nocy chyba dopiero, jak pójdę na studia, może do Kent State, jak tata. To najlepsza uczelnia.

Całuski dla was obojga;-) (Puszczam do Was oko)

ROY

– Halo? Annabella? Mówi...

– Nelson! Co u ciebie?

– Nieźle. Właściwie całkiem dobrze. Pru ma dość duże mieszkanie, ale może z czasem rozejrzemy się za domem. Roy chciałby mieć dom w Stow.

– Musi to strasznie przeżywać.

– W jego wieku niczego nie przeżywa się dłużej niż pół godziny, ale, owszem, chyba jest zadowolony. I Judy się cieszy. Mówi, że chłopcy traktują dziewczynę znacznie poważniej, jeżeli ojciec jest na miejscu. Całe szczęście zerwała z tym mendą, który zatrzymał ją w Ohio, żeby poszli razem na tę sztywniacką imprezę, jak to określiła. Teraz żałuje, że nie pojechała do Brewer.

– I dalej chce zostać stewardesą?

– No cóż, obawiam się, że to wisi w powietrzu...

– Wiedziałam, że tak powiesz, „wisi w powietrzu”.

– Chyba się jednak zdecyduje, jeśli jakiś palant nie namówi jej, by z nim zamieszkała. Ale dzisiejsze dziewczęta trudno do czegokolwiek namówić. Poczły się, jak to się mówi, wyemancypowane. Judy się ze mnie nabija, że gapię się na nią jak sroka w gnat, ale sam jestem zdumiony, jak bardzo wypiękniała od lata, kiedy ją ostatnim razem widziałem. Każdy ząb, rzęsa, wiesz, wszystko takie, jak należy. Kosmyk tak samo opada jej na jedną

brew jak tacie i mnie. Porusza się i robi wszystko zupełnie inaczej, energiczniej. Jest niższa od matki, lecz włosy ma takie jak niegdyś Pru, lecz nie jest tak rozlazłą, rozłożystą niezgułą jak Pru. Judy jest sprężysta. W szkole średniej uprawiała sporty i ćwiczy na siłowni. Pozwala mi macać swoje bicepsy.

– Chyba jest podobna do twojej matki.

– Naprawdę? Mama nigdzie nie pasuje, a Judy wszędzie, jak ta lala, ale, czy ja wiem, może coś w tym jest. Drobnokoścista. – Te małe springerowskie dłonie. – Lubię patrzeć na jej ręce, są prawie dziecinne i mają taki, jakby to określić, wdzięk spokoju i długie, dwubarwne paznokcie. Jedna połowa purpurowa, druga żółta. Uprzedziłem ją, że w amerykańskich liniach lotniczych takie paznokcie nie przejdą. – Wiem, tato. Po prostu mi odbiło. Wiesz, że ludziom czasami odbija.

– A Pru?

– Dobrze. Odpowiedziała na ogłoszenie jednego z dużych banków na Market Street. Poszukiwali asystentki w dziale kadr, kogoś „łatwo nawiązującego kontakty” i spodobała się. Jest jedną z raptem trzech osób, na które się w końcu zdecydowali. Nie miała akurat takiego doświadczenia zawodowego, na jakim im zależało, ale najwyraźniej ten Gekopoulos dał jej fantastyczne referencje.

– Chodziło mi o ciebie i Pru.

– Uhu. Aha. W porządku. Poznałaś ją, wiesz, jaka jest. Nie można jej uznać za osobę szczególnie wylewną. Powiada, że mężczyzna w mieszkaniu jest równie męczący jak dwa nieulożone psy. Może sobie mówić, w okolicy mieszka mnóstwo jej krewnych, którzy ciągle dzwonią i wpadają.

– Ty, odkąd do niej wróciłeś, z pewnością stałeś się bardziej rozmowny.

– Z tobą chciałbym porozmawiać. Za dużo szczęścia, co?

– Och nie, absolutnie. Ale dlaczego nazywasz ją Pru? Twoja matka mówi o niej „Teresa”.

– Skąd wiesz?

– Zadzwoiła i zaprosiła mnie na obiad. Ma być tylko ona i Ronnie. I mogę przyprowadzić Billy’ego.

– Billy’ego. Tego matoła. Przepraszam, że ci go wwaliłem na głowę na sylwestra. Przez niego zgubiłem drogę we własnym hrabstwie, a potem utknąłem na drodze w najważniejszym momencie w historii.

– Tak, to było straszne. Krzyczy o tym we śnie.

Milczenie, podczas którego zastanawia się, jak ma potraktować tę niedyskrecję. – Teresa ma na imię, ale w liceum wszyscy uważali, że jest pruderyjna, a w klasie była już jedna Terry. Ale masz rację, miło być z nią znowu. Chyba ją Kocham.

– Jasne, że tak.

– Zacząłem się rozglądać za pracą w ośrodkach zdrowia psychicznego. Akron jest trzy razy większe od Brewer, ale poza tym bardzo podobne. Ta sama rzeka, mile szeregowych domków, porzucone zakłady przemysłowe, przerobione na coś innego – w ogromnej

dawnej przetwórci płatków owsianych mieści się teraz hotel Hiltona, w starych zbiornikach zbożowych urządzono okrągłe pokoje – i mnóstwo nieszczęścia. Chciałem czegoś poszukać w ośrodku odwykowym dla narkomanów, ale nie zajmują się samobójstwami.

– To straszne nieszczęście. Widziałam, jak bardzo się przejąłeś.

– Wcale nie tak bardzo. Esther powiedziała mi, żebym nie brał tego do siebie. Kiedy składałem wymówienie, zapytała, czy to z tego powodu. Odparłem, że chyba nie. Hej, wszystkiego najlepszego w dniu urodzin. Czterdziestka. Rany.

– Pamiętałeś.

– Jakże mógłbym nie pamiętać? Przygotowałem nawet dla ciebie stosowny cytat: „Całe nasze życie zmierza ku szczęściu”. Koniec cytatu.

– Z czego to?

– Z bardzo głupiej książki, którą dostałem od Ronniego Harrisona na Boże Narodzenie. Jest zaraz na pierwszej stronie, dalej nie dotarłem.

– Może spróbuj dobrnąć do drugiej.

Rozmowa nie toczy się już tak gładko i miło, Ronnie Harrison nadal przeraża Annabellę.
– A jak tam pogoda w hrabstwie Diamond? – pyta Nelson.

– Chłodna. Zima! Mamy parę centymetrów śniegu, a dziś w nocy znowu ma napadać. Myśleliśmy, że już zimy nie będzie z powodu globalnego ocieplenia.

– Wiem. Tu jest tak samo. Taka sama pogoda, właściwie wszystko jest takie samo. Ale mnie się podoba. Z przyjemnością patrzę na inne tablice rejestracyjne.

– Twoja matka powiedziała przez telefon, że jadą z Ronniem do mieszkania na Florydzie, a w ogóle myślą o tym, żeby sprzedać dom i przenieść się tam na stałe. Oboje mają dolegliwości, na które ciepła pogoda może pomóc.

– Od lat jej mówiłem, żeby go sprzedała. Ale posłuchaj. Jeżeli idziesz do mamy na obiad, weź ze sobą Billy’ego albo w ogóle kogokolwiek dla obrony przed Ronniem. Jesteś zbyt...

Czeka.

– Ponętna. Słodka. Niewinna – mówi, ku własnemu zdumieniu.

– Nelsonie.

– Tak?

– Widuję się z Billym.

– Proszę, proszę.

– Naumyślnie powiedziałeś, że to matole?

– W szczenięcych latach był matolem. Ale w naszym kraju nawet matolom przysługują prawa obywatelskie.

– Uważam, że jest kochany.

– Pod jakim względem?

– Myśli, że jestem cudowna. Po wyznaniach o tych strasznych rzeczach, do których mnie zmusiłeś w samochodzie, przynajmniej nie muszę niczego przed nim ukrywać. Mówi, że

kiedy jest ze mną, opuszcza go niepokój.

– Ale czy to wystarczający powód...?

– Nelsonie, żaden powód nie jest idealny. Ani my.

– No dobra, to mnie przekonuje. – Już czuje, jak radość z jej szczęścia wzbiera w nim, niczym podchodząca do góry woda.

– Chcę cię o coś zapytać. Tylko bez żartów, to dla mnie ważne. Już od dziecka marzyłam o kościelnym ślubie, ze wszystkimi szykanami. Czy jeśli zdecyduję się na małżeństwo z Billym, poprowadzisz mnie do ołtarza? – pyta Annabella.

– Z przyjemnością – odpowiada Nelson.

Najnowszy zbiór dwunastu opowiadań,
z których większość łączy osoba autora,
sześćdziesięcikilkuletniego pisarza dokonującego
bilansu swojego dotychczasowego życia, związków
z kobietami, rodzicami i dorastającymi dziećmi.
Książka przedstawia świat oglądany oczyma
człowieka doświadczonego, patrzącego nań
wrozumiale i z dobroduszną ironią; zawiera także
pochwałę instynktu życia, triumfującego wbrew
wielu przeciwnościom. Uzupełnieniem tomu jest
kontynuacja znanej i popularnej w Polsce powieści
Updike'a *Uciekaj, Króliku*.

Wzruszający, elegijny zbiór opowiadań o wierności
małżeńskiej, o znaczeniu rodziny, o przemijaniu,
o sercu i innych organach. [...] Updike prowadzi narrację
tak powoli i tak metodycznie, że czytelnik jest zaskakiwany
dynamizmem jego emocji.

„Newsweek”

Wspólną cechą tych historyjek jest retrospekcja i zaprawiony
kroplą goryczy ton przebaczenia.

„The New York Times Book Review”



<http://ksiegarnia.bellona.pl>

Spis treści

[One się urwały](#)

[Duża przerwa](#)

[Nowojorskie dziewczę](#)

[Mój ojciec na skraju kompromitacji](#)

[Koty](#)

[Ewolucja Oliwera](#)

[Kolor naturalny](#)

[Miłosne solówki w sercu zimnej wojny](#)

[Jego dzieła wszystkie](#)

[Jak to właściwie było?](#)

[Sceny z lat pięćdziesiątych](#)

[Przemiana](#)

[Wspomnienie o Króliku](#)

[I.](#)

[II.](#)

[III.](#)

[IV.](#)

[V. I dalej](#)